IGNACY DOMEYKO

MOJE PODRÓŻE

PAMIĘTNIKI WYGNAŃCA

III

Przygotowała do druku, opatrzyła przedmową i przypisami
ELŻBIETA HELENA NIECIOWA



WROCŁAW — WARSZAWA — KRAKÓW
ZAKŁAD NARODOWY IMIENIA OSSOLIŃSKICH — WYDAWNICTWO
1963

REDAKTOR NAUKOWY
HENRYK WERESZYCKI

OBWOLUTĘ PROJEKTOWAŁ
RYSZARD GACHOWSKI

Redaktor Anna Lergetporer-Jakimow
Redaktor techniczny Marian Naorniakowski

Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo. Wrocław 1963. Wyd. I. Nakład 4800 + 200 egz. Objętość ark. wyd. 25,15, ark. druk. 21,25+10 wkl., ark. form. A1 29,92. Papier druk. sat. kl. V, 70 g, 70×100 (16), z fabryki we Włocławku. Oddano do składania 3 I 1962 r., podp. do druku 13 III 1963 r., druk ukończono w kwietniu 1963 r. Zakłady Kartograficzne — Wrocław, ul. T. Kościuszki 29. Zam. nr 82. (B-9). Cena t. I—III zł 150.—

TOM CZWARTY

CZTERDZIEŚCIE SZEŚĆ LAT

MEGO ZAWODU NAUCZYCIELSKIEGO I NAUKOWEGO W CHILE

Powielokrotny zamysł powrotu do kraju zawiedziony

CZĘŚĆ PIERWSZA

I. Coquimbo 1838—1846

Na mocy umowy zawartej z Rządem Rzeczypospolitej Chilijskiej i na jej koszcie — jak to na innym miejscu powiedziałem — przybyłem w charakterze nauczyciela chemii i mineralogii do szkoły gimnazjalnej w Coquimbo d[nia] 2 czerwca 1838, we dwadzieście lát niespełna po wybiciu się tego państwa spod panowania Hiszpanów.

Niebo czyste, piękna ziemia, wspaniały widok na Andy od wschodu, na Ocean od zachodniej strony; zacisza; ciepły, łagodny charakter mieszkańców — to był nowy świat dla mnie po sześcioletnim gwarze paryskim. Jakże nie lgnąć do ludzi, kiedy oni na cię tak pogodnie patrzą?

Poznałem wnet obywateli, których nie darmo ojcami ojczyzny zowiono przez to, że się przyłożyli do wyzwolenia jej spod jarzma obcego, i znalazłem wielu ukształceńszych, którym nie brakło znajomości łaciny, prawa krajowego, przedniejszych epok historycznych i początków — jak ich nauczono — filozofii; a nade wszystko widać było w nich zdrowy rozum, prawość, prostótę wiary. Czytano po domach żywoty świętych, nikt się nie wstydził przeżegnać się na ulicy, gdy zadzwoniono na »Angelus«, a każdy miał sobie obecne świeże pobicie nieprzyjaciela i przyszłość swego wolnego narodu.

Cóż, że nie znane im były natenczas chemia, fizyka, nauki przyrodnicze? Rolnictwo dawało im obfitość zboża, kopalnie — bogactwo niemałe w srebrze i miedzi, handel otwarty otwierał im stosunki ze wszystkimi państwami świata.

Była tu zawsze i za królewskich rządów szkoła klasyczna dla dzieci; utrudzano je łaciną, ale nie męczono; w godzinę gorącą po południu, kiedy cała ludność szła spać, la siesta*, to i studenci kładli się do łóżek; była nawet kara przepisana na tych, co spać nie chcieli.

Wnet po ustaleniu pokoju pomyślano o szkole. Przybyły tu przed czter[e]ma laty człowiek światły i uczciwy, były uczeń Seminarium Saint Sulpice, rodem z Auvernii, Cantournet, urządził kolegium i sam począł uczyć według lepszej metody łacińskiego i francuskiego języka; przysłano z Santiago wcale niezłego nauczyciela matematyki; ukazał się młody, jakimś przypadkiem przybyły Augustyn z Barcelony, któremu powierzono uczyć filozofii, a do tego przyłączono osobnych nauczycieli gramatyki

* Tak nazywano sen poobiedni.

hiszpańskiej, geografii i religii. Rektorem był Cantournet. Sam pobożny, gorliwym był o wychowanie pobożne uczniów. Rząd nowy Rzeczypospolitej nie szczędził kosztów na utrzymanie kolegium.

Cieszyli się z tego posyłający do tej nowo uposażonej szkoły synów swoich obywatele, a zachęceni ich postępem w naukach byli skorzy do ofiar na powiększenie liczby nauczycieli. Widząc to były intendent prowincji gen[era]ł Aldunate zaproponował im złożyć dwa tysiące piastrów na sprowadzenie z Europy profesora mineralogii; nie znalazł oporu. Sądzono, że mineralogia była nauką szukania i znajdywania w ziemi żył metalicznych srebra, złota, miedzi i wytapiania z wydobywających się rud czystego metalu.

Temu wszakże błędnemu pojmowaniu znaczenia mineralogii winienem był mój przyjazd do Ameryki. Owe dwa tysiące piastrów (dziesięć tysięcy fr.) wystarczyło nie tylko na podróż, ale też na zakupienie i przywiezienie narzędzi i wszelkiego rodzaju przyrządów do utworzenia laboratorium i gabinetów fizycznego i mineralogicznego. Choć bowiem potrzeby tych gabinetów i laboratorium nie mieli na myśli oczekujący profesora mineralogii obywatele Coquimbo, trzeba było za nich o wszystkim pomyśleć, wszystko przewidzieć i wyznać muszę, że marzyłem jeszcze w Paryżu, gdym się do podróży gotował, jak sobie urządzić mam w Ameryce dobrą pracownię chemiczną do analiz i wszelkich dociekań, do których wielkiego upodobania byłem nabył pod kierownictwem p. Berthier[1] w Szkole Górniczej Paryskiej.

Zdziwił się niejeden zacny Chilijczyk, kiedy z okrętu trzydzieście dużych pak wyładowano i przywieziono do kolegium jako przeznaczonych na utworzenie nowej klasy mineralogii. Bardziej jeszcze poważne i wysokie wyobrażenie poczynano mieć o tej nauce, kiedy na moje żądanie poczęto budować dom na mineralogię, nieodzownie potrzebny do pomieszczenia w nim pracowni chemicznej i zbiorów.

Najtrudniejszym dla mnie zadaniem było wyuczyć się we trzy miesiące języka hiszpańskiego, tak aby w tym języku uczyć i być zrozumianym, a nie śmiałem na długo odkładać rozpoczęcia kursu, by nie nadużywać niecierpliwości młodych Chilijczyków, gotujących się do zapowiedzianej przez rektora klasy mineralogii.

Od czegoż zaczynać, kiedy od strony władzy szkolnej i rodziców żadnego nie było programu ni wyraźnych wymagań, ani pojęcia o nauce, do której mnie sprowadzono; przy nieograniczonej zaś ufności, jaką pokładano we mnie, jedynym prawidłem i obowiązkiem moim było trzymać się uczciwości i obmyślić to tylko, co mogłoby wyjść na dobro i korzyść

---

[1] Pierre Berthier (1782—1861), mineralog francuski, profesor i kierownik laboratorium w Szkole Górniczej w Paryżu, od r. 1827 członek l'Académie des Sciences, autor sławnego dzieła *Traité des essais par la voie séche* (1833).

przyszłych moich uczniów gościnnego kraju, postanowiłem ułożyć plan niezależny od tego, jakiego się pospolicie trzymają pedagodzy po szkołach, i zastosować się do pojęcia uczniów, których jeszcze nie znałem, jako też do ich rzeczywistej korzyści i potrzeby.

Mogłem-że poczynać od mineralogii, jak ją sobie wyobrażano, kiedy dzieci nie miały najmniejszej znajomości nauk zasadniczych? Wypadło począć od elementarnych zasad fizyki doświadczalnej, nimi zaostrzyć ciekawość słuchaczy i razem okazać użyteczność nauki.

Na kilka dni przed rocznicą niepodległości narodowej, przypadającej 18 września, to jest we trzy miesiące po przybyciu do Coquimbo, począłem dawać lekcje w tutejszym kolegium. Zebrało się piętnastu uczniów rozmaitego wieku i usposobienia, ale wszyscy uważni i z dobrą ochotą; nadstawiali ucho, aby mnie zrozumieć. Spostrzegałem, jak niekiedy jaki malec zasłaniał sobie dłonią usta, nie mogąc się wstrzymać od śmiechu, kiedym źle wymówił lub przekręcił jaki wyraz pięknego kastylijskiego narzecza; przypominałem sobie, jakeśmy się śmieli z Grodka[2] po wieloletnim już jego nauczycielstwie w Wilnie.

Gdybym dla nadania sobie powagi rozprawiał uczenie o rzeczach niezrozumiałych, wdając się od początku w teorie, jak zwykli czynić profesorowie elementarnych nauk po szkołach, mianowicie fizyki, to moi ze zdrowym rozsądkiem studenci bardziej by się ze mnie śmieli niż my z Grodka. Ja — o ile było można — poczynałem zawsze od zrobienia jakiego doświadczenia lub zwrócenia uwagi na jaki prosty przedmiot powszedni, w praktycznym życiu znany. Potem, gdy było mogące się łatwo powtórzyć doświadczenie, dawałem potrzebne do niego narzędzia w ręce którego z uczniów, aby to samo, co był widział, powtórzył i swymi własnymi słowami opowiedział, co ode mnie słyszał i co sam był wykonał. Następnie przechodziłem do wytłumaczenia zjawiska, które już było im dobrze wiadome i na co patrzyli. Niekiedy zręcznymi zapytaniami udawało mi się naprowadzić pojętniejszego ucznia na to, że sam już ośmielał się tłumaczyć i prawie zgadywał przyczynę tego, na co patrzył.

Trudna w istocie była to do wykonania metoda, zwłaszcza póki te młode umysły nie oswoiły się z wyrazami i wyrażeniami naukowymi, których nie znały lub — co gorsza — które w potocznym użyciu miały fałszywe znaczenie.

Starałem się też przyciągnąć ku sobie nieśmiałych uczniów; niejeden z nich dziwił się i chwalił się z tego przed drugim, że ja tak z nimi rozmawiam, jak oni między sobą, jak gdybym nie był profesorem.

Pierwszy miesiąc mego nauczycielstwa dał mi wprawdzie wiele do

---

[2] Gotfryd Ernest Groddeck (1762—1825), znakomity filolog polski, od r. 1804 prof. literatury greckiej i rzymskiej na Uniwersytecie Wileńskim, członek Warszawskiego Tow. Przyjaciół Nauk.

czynienia i wiele do pokonania trudności. Dostrzegłem w pięciu moich uczniach wielką pojętność i wyrozumienie. Lekcje były codzienne, przeciągające się każda do dwóch i trzech godzin.

W przeciągu trzech miesięcy starałem się wyłożyć pierwsze zasady fizyki, o ile były potrzebne do rozpoczęcia następnego roku kursu chemii. W połowie stycznia 1839 na popisie publicznym dość jasno przed rodzicami swymi tłumaczyli lepsi uczniowie skład i użytek barometru, termometru, areometrów etc., etc., jak się przekonać o ciśnieniu powietrza, jaka jest budowa pomp, jak potężna siła pary wodnej etc.; robili doświadczenia z machiną elektryczną, pneumatyczną i rozmaitymi przyrządami nowego gabinetu.

Ucieszona była publiczność. Uważano wprawdzie, że nie było i wzmianki o mineralogii, lecz nietrudno było uspokoić niecierpliwszych przyrzeczeniem, że się jej uczyć będą ci sami uczniowie w roku następnym.

Tegoż miesiąca i w lutym zrobiłem pierwszą w Chile wycieczkę do przyległych gór i kopalni; zwiedziłem niektóre huty miedziane i przywiozłem niemałą ilość okazów. Tym sposobem przyszedłem do nabycia pierwszych pojęć o stanie przemysłu górniczego i naturze rud metalicznych w Chile.

Z początkiem roku szkolnego, w marcu, rozpocząłem kurs chemii. Już byli oznajomieni moi uczniowie przeszłoroczni z moim hiszpańskim językiem i ja lepiej ich rozumiałem. Ale jakąż chemią trzeba było im przyrządzić, kiedy wszyscy prawie byli synami właścicieli kopalni, pieców do wytapiania miedzi i amalgamarni srebra? Chcieli mineralogii, nie chemii. Pięknie bym się popisał, gdybym — jak to czynią po szkołach — poczynał od teorii atomistycznej i praw powinowactwa, a dał jaki tekst do uczenia się go na pamięć.

Uczniowie moi byli już nawykli do mojej przemawiającej do zmysłów, prawie namacalnej metody. Pierwszą zaraz lekcją począłem dla nich od preparacji tlenu i najprostszych z nim doświadczeń. Jakież to było ich podziwienie i radość, gdy obaczyli, że jakieś powietrze wychodzi z retortki, tworzy pęcherzyki przechodząc przez wodę, zbiera się do szklanki i ze szklanki do szklanki daje się przelewać jak wino z kieliszka do kieliszka. Potem większe zadziwienie, gdy spostrzegli, z jakim blaskiem w tym powietrzu płoną siarka, węgiel, fosfor, nawet żelazo, a zapałka, świeżo zdmuchnięta, sama się zapala. Dozwoliłem im samym powtarzać te same doświadczenia, strzegąc tylko, żeby się nie poparzyli. Na trzeciej lekcji obaczyli wod[ór] i rozmaitsze z nim doświadczenia, które zabrały więcej czasu i dały im sposobność do pierwszych pojęć o ciałach prostych i łączeniu się jednych z drugimi. Tu się dłużej trzeba było zatrzymać nad własnościami wody, destylacją, rozpuszczalnością ciał, ulotnieniem etc., etc.

Trzymając się zawsze tej samej metody praktycznej, przechodziłem do azotu, węgla, chloru i tych tylko ciał prostych, które się obficiej znajdują w związku z metalami lub wchodzą do składu ciał użyteczniejszych dla człowieka. Mówiąc o węglu, dotknąłem ważnej dla tej prowincji, ubogiej w drzewo, sztuki układania stosów i prowadzenia ognia w wyrabianiu węgla dr[z]ewnego; mówiąc o siarce, uczyłem, jak należy korzystać z bogatych w ten produkt chilijskich solfatar, jak się oczyszcza siarka i jak wielki z niej użytek.

Ale najwięcej czasu, sześć czy siedm miesięcy, zabrała mi część kursu obejmująca własności metalów najbardziej użytecznych i do których się odnosi bogactwo górnicze chilijskie. Nie zaniedbałem wprawdzie mówić uczniom o eksploatacji saletry rodzimej, jej oczyszczaniu i użytku, i o salinach, czyli wyrabianiu soli z wody morskiej na pobrzeżu Oceanu, dwóch gałęziach przemysłu wielkiej wagi dla Chile, jako też o wypalaniu wapna i fabrykacji hydraulicznych materiałów etc., lecz kiedy przyszło do miedzi, do srebra, ołowiu i złota, trzeba się było zupełnie oddalić od zwyczajnych tekstów chemii, a trzymać się raczej w skróceniu traktatu Berthiera.

Każdy z tych metali stanowiących przemysł krajowy, po okazaniu jego własności głównych związków z tlenem, siarką, arszenikiem, chlorem etc., trzeba było położyć na stole i dać do rąk każdemu z uczniów rudy metaliczne, opisać, jak się one zwykle znajdują w naturze, i robić tuż na lekcji, nie tracąc czasu na słowne przepisy, próby tych rud z dmuchawką, z kwasami i z tym, co było pod ręką. Nie dosyć na tym; starsi i pojętniejsi uczniowie, w godziny wolne od klas, musieli być w laboratorium, kiedym przy nich wykonywał drogą ogniową czy za pomocą płynnych działaczy dłuższe operacje probiercze i potem te same wykonywali pod moim okiem.

Dawało to wprawdzie wiele dla mnie do roboty, nie podjąłby się tej pracy żaden profesor w Europie; niekiedy do późna w nocy przeciągały się roboty. Razu jednego przechodząc koło kolegium gubernator (intendent prowincji), zacny bardzo patriota z wojny o niepodległość, a wielce mi przyjazny, Don Francisco de Borjas Irarrazabal, widzi o dziewiątej w nocy wielki ogień w laboratorium. Zląkł się, bieży obaczyć, co się dzieje, widzi piec rozpalony do kopelacji[3], w drugim topiono coś w tyglu, widzi mnie i trzech ze szkolnej młodzieży w cichości bardzo zajętych i przy mnie coś jeszcze ruszającego się, przyglądającego się naszym robotom; to ostatnie było [to] prześliczne źwierzę, mój guanaco, lekkie, zwinne jak młoda sarna, łagodne jak baranek. Krzyknął, witając mnie po imieniu

[3] Właśc.: kupelacja — oddzielenie srebra i złota od różnych metali w specjalnym piecu, zwanym kopulak.

gubernator, zerwał się i przeskoczył przez stół guanaco; popsuły się nasze manipulacje, aleśmy dobrze naśmieli [się] z zadziwienia i przestrachu gubernatora.

Łatwo pojąć, jak prędko przejść musiał dla mnie ten rok w Coquimbo. Nazwyczaiłem się do ciągłego przestawania z uczniami i szczerze polubiłem ich; a kiedy na popisie 24 stycz[nia] 1840 roku wystąpili oni wobec licznie zgromadzonych właścicieli hut i kopalni z okazaniem znajomości rud i rozmaitych minerałów, których wystawa była przed nimi, tudzież z opisywaniem sposobów probierczych na przedniejsze gatunki nie tylko rud miedzi, srebra etc., ale i żużli, i aliażów, i niektórych użytecznych minerałów, jak kobaltu, niklu[a], o których publiczność nigdy przedtem nie słyszała, wtenczas spostrzeżono, że się już uczyły dzieci mineralogii i nastało powszechne zadowolenie tak w miejscowych, jak i z daleka przybyłych obywatelach.

Dodać winienem, że kiedym przybył do Coquimbo, pomimo dość rozległego przemysłu i handlu miedzianego w tej prowincji nie znana była sztuka probiercza. Jakiś stary górnik z kowalem topili w kuźni miedzianą rudę z kremoztartarą[4] w tyglu, aby oznaczyć, ile w tej rudzie było metalu. Nieco może lepiej robił próby jeden Yankee, handlujący rudami, kupujący je u górników, zachowujący swoją umiejętność w tajemnicy. Handel miedzią nie był oparty na stałej postawie. Właściciele kopalni przedawali rudę kupcom zagranicznym lub hutnikom krajowym, nie wiedząc, ile metalu zawierały ich rudy; sądzili pospolicie, że były bogatsze w miedź, niż były w istocie; kupujący cieszyli się częstokroć, że mogą odtargować wiele z tego, co na pozór mogła zawierać ruda, i często bardzo mylili się, nie wychodzili na swoje. Częste były bankructwa. Jedni i drudzy mylili się, jak gdyby idąc o lepsze, kto kogo oszuka. Żeby jednych i drugich przekonać, jak dla jednych i drugich korzystnym i nieodbicie potrzebnym jest warunkiem wiedzieć dokładnie, ile na wagę czystego metalu zawiera ruda, musiałem w ciągu całego roku (1840) robić wiele prób bezpłatnie tak dla znajomszych dla mnie właścicieli kopalni, jako też dla kupujących i wytapiających rudy hutników, z którymi starałem się od początku wejść w ściślejsze stosunki. Tym sposobem przygotowałem zawczasu dla moich uczniów zyskowny zawód handlowych probierzy.

Wnet po skończonych popisach uczniów w kolegium wyjechałem na dwa miesiące w daleką podróż do Copiapó, liczne kopalnie miedzi i srebra zwiedziłem, mianowicie wielkie pokłady srebra w Chañarcillo, i przedarłem się w głąb Andów prowincji Atacama, na trzy tysiące m n. [p.] m.

Ta podróż była dla mnie i dla moich uczniów użyteczną, albowiem

---

[a] W autogr.: niquelu.

[4] kremortartari (cremor tartari) — winian potasu, kamień winny.

przywiozłem z niej wielki zasób postrzeżeń geologicznych i minerałów, które posłużyły mi do nadania lekcjom moim w tym roku więcej wagi.

W tym roku 1840 dla przeszłorocznych uczniów otworzyłem kurs mineralogii i początkowych zasad geologii, zastosowując i w tych lekcjach metodę do usposobienia słuchaczy i rzeczywistego ich pożytku. Obeznawszy ich za pomocą modelów przywiezionych z Paryża z formami kryształów, przystąpiłem do mineralogii praktycznej. Miałem zawsze na stole, przy którym uczniowie siedzieli, młot, dmuchawkę, przedniejsze reaktywy[5], lampy i co tylko potrzebne było do prędszego rozpoznania charakteru każdego minerału. Dawałem do rąk uczniom okazy, aby się w nie sami wpatrywali, sam przed nimi pierwsze próby robiłem i potem je powtarzali zdolniejsi i wprawniejsi do manipulacji uczniowie. Lekcje były najmniej dwugodzinne, okazy zostawały jeszcze na stole. Nie było wprawdzie między nimi bardzo rzadkich i drogich, wybierałem tylko te, których znajomość najbardziej potrzebna była dla inżynierów górniczych i które przedstawiały największą obfitość mas mineralnych w przyrodzie gór chilijskich. Dostarczano nam zewsząd liczne okazy rud metalicznych, a uczniowie nie mieli wady ich kradzenia, tak pospolitej u naszych europejskich amatorów mineralogii.

Co do geologii, ta przeważnie była też górnicza, opisująca formy żył i wszelkiego rodzaju pokładów metalicznych, węglowych i innych, którymi się przemysł zajmuje. Tu już potrzeba było wskazywać, o ile czas pozwalał, pierwsze zarysy eksploatacji, jako też miernictwa podziemnego, odkładając obszerniejszy rozwój tego przedmiotu na rok następny.

Uczniowie mineralogii ćwiczyli się przez cały ten rok w operacjach probierczych, a nawet niektórzy zdolniejsi w rozbiorze chemicznym rud, ku czemu wykładałem dla nich w osobne godziny zasady chemii analitycznej. Ci sami uczniowie obowiązani byli stale uczęszczać na kurs fizyki, który w tym roku miałem obszerniejszy dla nich i dla uczniów nowo przybywających.

Na wszystko miałem czas i ochotę, nie brakło mi przy tym godzin na moje własne prace analityczne i poszukiwania nie znanych dotąd gatunków mineralnych.

Wielkie wrażenie sprawiły na licznie zebranej publiczności popisy uczniów odbyte w połowie stycznia 1841 [roku].

We dwa dni po nich puściłem się konno w 150-milową podróż do stolicy Santiago przez Combarbala, Illapel, Petorca. Po drodze wstąpiłem do wielu hut i kopalni. W stolicy przyjęty byłem najuprzejmiej tak od prezesa i władz rządowych, jak i od prywatnych obywateli. Poznałem młodego natenczas ministra oświaty pana Montt i generałów Aldunate i Pinto, któ-

---

[5] reaktywy — odczynniki.

rzy odtąd najstalszymi dla mnie byli orędnikami. Z Santiago pojechałem jeszcze dalej dla zwiedzenia sławnych kopalni srebra San Pedro Nolasco. (Podróż tę osobno opisałem[6].)

Z równąż pracowitością jak roku ubiegłego, trzymając się metody wyżej opisanej, pełniłem obowiązki mego nauczycielstwa w 1841 [r.] Miałem 13 uczniów z lat przeszłych i przez cały rok wykładałem dla nich obszerniejszy od poprzedniego kurs chemii. Mogłem już tą razą, obok praktycznej i utylitarnej, dać im do pojęcia głębszą, teoretyczną część nauki.

Wyłącznie zaś tych, co już się byli obeznali z mineralogią i geologią, uczyłem geometrii p o d z i e m n e j (miernictwa górniczego). Trzeba było zacząć od najprostszych zasad geometrii wykreślnej, o której nie mieli najmniejszego pojęcia, i wnet — dając im do rąk narzędzia miernicze — przystąpić do praktycznej nauki, ale jakże? Oto wpadłem na sposób następujący. Na obszernym, szerokim kurytarzu rozciągałem, w rozmaitych kierunkach i nachyleniach, sznury przywiązane końcami do g[w]oździ wbitych już to do słupów i belek górnych, już to do muru; sznury te wyobrażały, w kierunkach, nachyleniach i długościach stosunkowo, kopalnię obejmującą tyleż co te sznury sztoli, galerii pochyłych, pionowych i poziomych. Tym sposobem łatwo było pokazać, czym są ich projekcje[7], wyrysować ich plan poziomy na podłodze, a pionowy na murze, zawieszając na tych sznurach zwyczajne narzędzia miernicze (poches des mines[8], aiguiles a suspension[9]). Sami praktycznie nabywali wprawy, mało nawet posiadający znajomości geometrii o trzech wymiarach uczniowie, do dokładnego wymiaru dość nawet zawiłych co do liczby i kierunków galerii podziemnych, jako też do rysowania ich planów. Niektórzy lepiej obeznani z geometrią analityczną prędko pojęli metodę ściślejszą, podaną przez Combesa[10] w jego dziele *Traité d'exploitation*[11]. Każdy z uczniów musiał w tym roku zdjąć najmniej trzy plany niejednakowo urządzonych sznurów przedstawiających rozmaite kopalnie, ułożyć w tablice wyniki wymiarów i rachunków, które posłużyły do wyrysowania planu, i następnie za ich pomocą rozwiązywać główniejsze zadania. Przy końcu tego roku dowiedziałem się, że w jednej kopalni miedzi, o dwie mile od miasta położonej, górnicy pracowali około galerii, która miała połączyć ze sobą dwa

---

[6] *Moje podróże*, t. II, cz. 3.

[7] projekcja (z łac.) — rzut, obraz, dający pojęcie o kształcie, położeniu i wymiarach.

[8] poches des mines (hiszp.) — torby górnicze.

[9] aiguiles a suspension (hiszp.) — haki do zawieszania.

[10] Charles Pierre Mathien Combes (1802—1872), uczony francuski, inżynier, profesor l'Ecole des Mines, od r. 1847 członek, od 1853 prezes l'Académie des Sciences.

[11] „Rozprawa o eksploatacji".

ważne punkty w podziemnych robotach, i trafić z jednego do drugiego nie mogli, a robota drogo ich kosztowała. Uprosiłem więc właściciela kopalni, aby pozwolił mojej gromadce uczniów spuścić się do wnętrza galerii wiodących do każdego z wzmiankowanych punktów z zamiarem wskazania prawdziwego kierunku, jaki powinna mieć galeria mająca je połączyć. Śmieli się starzy górnicy widząc studentów niewprawnych do spuszczania [się] do min, nie wiedzieć z jakimi narzędziami, zapisujących starannie to, co robili. Ale nabyła nasza szkoła wraz wielkiej powagi, kiedy we dwa potem tygodnie te same dzieci zeszły z pięknie wyrysowanym planem do głębi, gdzie się rzeczone punkty znajdowały, i wskazany był przez nich rzetelny kierunek i kąt, pod jakim prowadzona powinna być galeria. Miesiąc nie uszedł, otwarta została według ich wskazówki komunikacja między dwoma punktami, tak że na jeden decymetr nie było schybienia, a poprzednie roboty galerii okazały się bezużyteczne.

Nie bez przyczyny wspominam o tym wypadku, bo on dać może wyobrażenie, jak się starałem zawsze o to, aby nauce dać praktyczny charakter i użytek. Toteż i co do chemii przez cały ten rok widziano zawsze dwóch czy trzech uczniów w laboratorium zajętych, w godziny wolne od innych klas, już to jaką probierczą manipulacją, już rozbiorem minerałów. Już w tym roku, sam będąc bardziej zajęty niż lat przeszłych, nie robiłem dla żadnego górnika prób bezpłatnie, ale pozwoliłem jednemu z moich lepszych uczniów, odznaczającemu się sumiennością w wykonaniu robót i rozwagą, robić próby rud miedzianych pod moim okiem i pobierać dla siebie nagrodę, co w istocie przyczyniło dla niego sposobu do utrzymania się, a dla drugich [było] zachętą do nauki.

Przeszedł rok 1841 jak jeden dzień dla mnie. Po odbytych popisach uczniów w połowie stycznia 1842 [r.] popłynąłem na parowcu do Valparaiso, a stamtąd do Santiago, gdzie się była utworzyła Spółka Ochotników do szukania min w Kordylierach, chociaż z niewielkim tymczasem kapitałem. Postanowiono sprowadzić z Coquimbo dziesięciu górników wprawnych do szukania żył metalicznych i mnie wezwano do ich zarządu i przewodnictwa na dwa wakacyjne miesiące.

Widząc, że tym sposobem będę mógł odbyć długą, kosztowną wycieczkę w Kordyliery, korzystną, a w każdym razie dającą mi sposobność do nowych postrzeżeń i badań geologicznych, przyjąłem z ochotą, bezpłatnie, zrobioną mi propozycją. Sześćdziesiąt dni przebyłem w górach, pod gołym niebem, na wyżynach dotykających odwiecznego lodu, przestając tylko z prostymi górnikami. Podróż tę mozolną osobno opisałem[12].

Wracając z niej miałem długie posłuchanie u ministra oświecenia i wskutek wielkiego zaufania, jakie we mnie pokładał, uzyskałem następujące od niego postanowienia:

---

[12] W tomie drugim, część druga *Moich podróży*.

1. Rząd wyśle na trzy lata do Szkoły Górniczej Paryskiej dla ukończenia nauk trzech moich celujących uczniów, których imiona mu przedstawię, i da im posadę, na moje miejsce, nauczycieli, gdy termin umowy mojej z rządem upłynie i zechcę z posady dzisiejszej usunąć się.

2. Rząd przeznacza 2000 piastrów na zakupienie małych laboratoriów probierczych i narzędzi mierniczych przeznaczonych na zapomogi dla tych uczniów, którzy po ukończeniu kursu chemii i mineralogii w Coquimbo okażą się zdolnymi do jakiej posługi w przemyśle górniczym.

3. Rząd kosztem Rzeczypospolitej każe wydrukować mój *Traktat probierczy* i *Mineralogią* przygotowane i użyte przeze mnie jako teksty do nauczania.

4. Minister poleca mi zwiedzić na początku przyszłego roku zakłady przemysłowe górnicze i Kordyliery departamentu Copiapó kosztem rządowym.

Z takimi przyrzeczeniami ministra, które się niebawem ziściły, przybyłem pod koniec marca tego roku (1842) do Coquimbo i natychmiast rozpocząłem lekcje fizyki (daleko obszerniejsze niż owe z zaprzeszłego roku) dla uczniów nowo przybywających, manipulacji zaś chemicznych i miernictwa górniczego dla najbardziej uzdolnionych z poprzedniego kursu.

Trzymając się wiernie mojej wzmiankowanej metody praktycznej, miałem przyjemność widzieć tenże sam postęp w nowo przybywających uczniach, co i w tych, którzy od pierwszego roku przybycia mego z Francji do mnie się przyłączyli. Z tych ostatnich trzej celujący, Cuadros, Alfonso i Osorio, już się przygotowywali do podróży i przed końcem roku zostali kosztem rządu wysłani do Paryża, gdzie dwóch pierwszych weszło do Szkoły Górniczej Wyższej, a trzeci udał się do Szkoły Górniczej Praktycznej w Saint Etienne[13].

Tak miałem tego roku urządzone lekcje, że mi zostawało więcej czasu niż lat przeszłych do moich poszukiwań mineralogicznych i analiz, które posłużyły mi do odkrycia niejednego już nie znanego dotąd minerału.

Już od r. 1840 ponawiały się na posiedzeniach Akademii Nauk Paryskiej, w „Rocznikach" (Jahresberichten) Berzeliusa i w „Rocznikach Min" (Annales des Mines) wydawanych przez nauczycieli Szkoły Górniczej Paryskiej rozbiory moje chemiczne minerałów chilijskich i postrzeżenia nad nimi, jako też wyniki z pierwszych moich wycieczek w Kordyliery.

Wiele liczyłem na podróż, którą z początkiem następnego roku miałem odbyć na północ z polecenia ministra. Jakoż zaledwo przy końcu roku uczniowie moi zdali egzaminy, już miałem konie osiodłane, ujuczoną mulicę i dwóch dobrych służących do podróży Plan, który do niej zawczasu

[13] Saint Etienne, miasto we Francji, depart. Loire, bogate w kopalnie węgla kamiennego.

ułożyłem, był następujący: puścić się drogą nadmorską, około sta mil idącą do Copiapó, dla poznania pasma zachodnich gór chilijskich; od Copiapó przejechać w poprzek przez całe Andy aż do ich grzbietu, tam i nazad, i wracać do Coquimbo drogą lądową wewnętrzną, pośrednią między Kordylierą Nadmorską i Wschodnią Andów.

Ta podróż zabrała mi prawie trzy miesiące czasu*. Głównie posłużyła do pojęcia ogólnych zarysów w budowie owych dwóch pasm Kordylierowych i wdzierających się podłużnie między nimi dolin. Przyniosłem z tej podróży wiele notat geologicznych, wiele okazów skał, minerałów, rud metalicznych i cenny zbiór paleontologiczny konch z wyższej strefy andyjskiej**.

Już były rozpoczęte lekcje w kolegium, kiedym powrócił z podróży, cały zaś rok 1843 był poświęcony szczególnie chemii powszechnej, którą wykładałem uczniom z poprzedniego kursu fizyki. Dla tychże samych uczniów od połowy roku były lekcje mineralogii i w skróceniu początkowych zasad geologii. Oprócz tego niektórzy z dawnych uczniów nie przestawali pracować pod moim kierownictwem w laboratorium i byli mi w tym pomocni, że im dawałem do rozbioru lub tylko do rozpoznania pierwiastków wchodzących do składu jakiego minerału (analisa qualitativa) okazy zwracające bardziej na siebie moją uwagę. Działania, choć niedokładne, tych uczniów naprowadzały mię częstokroć na wybór lepszej metody do rozbioru dokładniejszego lub wskazywały właściwość niezwykłą w jakiej rudzie lub czystszym minerale.

Zaledwo ubiegł rok szkolny, zaraz po zwyczajnych popisach uczniów do nowej przygotowany byłem wycieczki w Kordyliery. Ale tą razą umyśliłem pociągnąć za sobą uczniów moich, na co się z ochotą zgodzili.

Mając świeżo w pamięci, com był rozpoznał rok temu w przecięciu od zachodu na wschód gór należących do prowincji Atacama, położonych na wschód od Copiapó, postanowiłem uczynić to samo przecinając w poprzek Kordyliery leżące naprzeciw Coquimbo i dotrzeć aż do ich najwyższego grzbietu, odgraniczającego Chile od Stanów Argentyńskich.

W licznej tedy komitywie, na dobrych koniach, dobrze opatrzeni we wszelkie zapasy żywności, ruszyliśmy w połowie stycznia 1844 roku w góry poza rzekę Coquimbo, przez Elgui, Rivadavia, ku sławnej ze swych morskich konch, na 4526 m podniesionych n. p. m. Kordylierze Doña Ana. Stamtąd, spuściwszy [się] na wąwozy rzeki Rio Claro, nie bez trudu kierując się ku najwyższej w tej części Andów górze Vacas Heladas, poza jej

* Dojechałem w tej podróży do szczytu Andów, w punkcie zwanym Come Caballo, 4426 m n. p. m. w przejściu na drugą stronę Kordyliery.

** Opis tej podróży znajduje się w rocznikach górniczych paryskich, „Annales des Mines", t. IX, 1846, w rozprawie: *Memoire sur la constitution géologique du Chili suos la latitude de Copiapó*, p. 365.

skłoniami, doszliśmy do samego grzbietu Andów, do linii, od której się poczyna ich spadzistość na wschód ku argentyńskim błoniom*.

Wielce uradowani byli moi młodzi towarzysze z tej podróży, z której nowy obfity zapas postrzeżeń i zapisków przywiozłem.

Nastąpił rok szkolny 1844, ostatni umowy mojej z rządem Rzeczypospolitej Chilijskiej. Był to rok może najważniejszy dla mnie ze wszystkich spędzonych w Coquimbo. Miałem już z czego się cieszyć i czym się jeszcze bardziej korzystnie zatrudnić.

Trzej moi najlepsi uczniowie sposobią się już na inżynierów kopalni w wyższych zakładach we Francji i mają mnie zastąpić, kiedy się usunę. Czterom pozostałym na miejscu dałem świadectwo, że posiadają znajomość minerałów, umiejętność probierstwa do wszelkiego rodzaju rud i aliaży metalicznych, wprawę do mierzenia i robienia planów kopalni, jako też uzdolnienie do rozmaitych posług w hutach i górniczych robotach. Dla każdego z nich dano sprowadzone z Francji niezbędnie potrzebne chemiczne i miernicze narzędzia do użytku, za które każdy obowiązany był (dlatego jedynie, aby je umiał cenić) zwrócić rządowi wartość pieniężną, ja zaś byłem dla nich poręczycielem zwrotu i na żadnych nie zawiodłem się.

Świadectwa moje dawane uczniom na probierzy i na uzdolnionych do rozmaitych posług w górniczym przemyśle przez wiele lat potem szanowane były i uwierzyt[e]l[ni]one w handlu po całym kraju.

Jeden z moich uczniów, syn prostego górnika, Don Manuel Aracena, już tak był znany z uczciwości i dokładnie wykonywanych prób wszelkiego rodzaju rud miedzianych i srebrnych, że na jego świadectwo oznaczające ilości czystego metalu tak w rudach, jak i wyrobach hutniczych, które rozbierał, zawierano kupna i sprzedaże, częstokroć do sta tysięcy piastrów wartające. Drugi zaś, Don Nicolas Naranjo, szczególniejszych zdolności do robót górniczych, ulubiony mój uczeń, był już poddyrektorem w jednej z najważniejszych kopalni, wyszedł wkrótce na dyrektora, a po wielu latach sumiennej pracy odkrył jedną bogatą żyłę srebra, której dał moje naźwisko (Mina de Domeyko), i został milionowym panem.

Ogłoszone w tychże latach kosztem rządowym pierwsze wydania mojego *Traktatu probierstwa (Tratado de ensayes)* i mojej *Mineralogii* prędko rozeszły się po Chile i Peruwii.

Najwięcej czasu mi zabrało w tym roku, w godzinach wolnych od obowiązkowych zatrudnień, streszczenie geologicznych moich notat i postrzeżeń, które byłem nagromadził w dwóch długich moich podróżach na północ, do Copiapó (w 1840 i 43), w dwóch daleko dłuższych na południe, do

---

* Punkt, w którym przeszliśmy na wschodni skłoń Kordyliery zwanej Vacas Heladas, ma 4747 m wysokości (n. p. m.). Podróż ta znajduje się w wyżej cytowanej *Memoirè, sur la constitution des Andes,* „Annales des Mines" (1846).

Santiago (w 1841 i 42), w owym sześćdziesięciodniowym cateo, to jest poszukiwaniu żył metalicznych w Andach prowincji Santiago (1842), w wielu pomniejszych wycieczkach w rozmaite strony i na koniec tej, którą na początku tego roku 1844 zrobiłem w towarzystwie uczniów. Były to źródła, z których pierwsze czerpiąc poglądy na ogólną zewnętrzną konfigurację i budowę gór chilijskich, obszerną o tym napisałem rozprawę pod tytułem *Recherches sur la constitution geologique du Chili.* Przesłałem ją memu b. nauczycielowi p. Elie de Beaumont, który mnie zawsze dowodami swojej dobroci i szacunku zaszczycał. Była wydrukowana w „Annales des Mines" w tomie IX, 1846.

W tychże samych „Rocznikach Min" paryskich i w nowszych traktatach mineralogicznych ogłaszane były rozbiory i opisy nowo przeze mnie odkrytych minerałów, między którymi znajdowały się arquevit, embolity, zawiły w swym składzie amiolit, mało znane dotąd gatunki siarczyków srebra z miedzią, merkuriusza z miedzią, jako też miedzi arszenikalnej, której Haidinger[14] w Wiedniu dał moje imię Domeykit, i niektórych innych gatunków pojawiających się szczególnie w żyłach metalicznych chilijskich.

Pomimo wielce mnie zajmujących prac naukowych swoim torem szły lekcje szkolne; miałem się zawsze na ostrożności, żeby owe prace nie zabierały czasu, do którego mieli prawo uczniowie moi. Nie ostygając w gorliwości o dobro ich, wykładałem w tym roku (1844) tak dla przeszłorocznych, jako i dla nowo przybyłych fizykę; trzymałem się zaś, przyjąwszy za tekst, *Traktatu fizyki* Biota[15]. Ci zaś z uczniów, którzy w poprzednim roku ukończyli byli kurs chemii i mineralogii, ćwiczyli się praktycznie w manipulacjach chemicznych i sztuce mierniczej podziemnej. Wszyscy zdawali jednocześnie examen ostatnich dni grudnia.

Nadchodził rok 1845, siódmy od mego pożegnania się w Paryżu z przyjaciółmi. Pomimo nieustannych zatrudnień i ciągłego zajęcia, które całą moją istotę bytu stanowiło, coraz silniej i częściej pojawiała się w duszy tęsknota za swoimi, łagodzona nadzieją w Bogu, że niezadługo znowu z nimi się połączę. Pozostawała jeszcze jedna żądza i ochota, których w sobie od dawna pohamować nie mogłem i które w końcu zaspokoić postanowi-

---

[14] Wilhelm Karol Haidinger (1795—1871), geolog austriacki, dyrektor gabinetu mineralogicznego w Wiedniu, zwanego później Muzeum Montanistycznym. Opracował kartę geologiczną Austrii (1847) i środkowej części Afryki, zajmował się gorliwie badaniem meteorytów, ogłosił pokaźną liczbę rozpraw z zakresu geologii i mineralogii w różnych pismach specjalnych.

[15] Jean Baptiste Biot (1774—1862), fizyk francuski, profesor w Chollège de France (1800), członek l'Académie des Sciences (1803), razem z Gay-Lussakiem odbył pierwszą podróż badawczą aerostatkiem. Dzieło, o którym mowa, nosi tytuł: *Traité de physique experimentale et matematique* (1816).

łem, pierwej niż opuszczę Chile. Był to zamiar zwiedzenia dzikich Araukanów i buchających ogniem wulkanicznych gór południowego Chile.

W tym celu, wcześnie przed końcem roku szkolnego, poczyniłem przygotowania [do] owej podróży dalszej i dłuższej od poprzednich, która już miała zakończyć i uwieńczyć przyjemnie mój pobyt w Ameryce. Za towarzysza w niej powierzyła mi jedynaka syna swego, a mego ulubionego ucznia, rodzina Munizagów, jedna z przedniejszych i najbardziej szanowanych w tej prowincji Coquimbo.

Podróż miała podwójne widoki: najprzód filantropiczne, mające na celu poznanie tego bohaterskiego ludu, który przez trzy wieki bronił niepodległości swojej od Hiszpanów i z którym dotąd nie po chrześcijańsku obchodził się rząd Rzeczypospolitej i myślał o zawojowaniu go siłą militarną, po wtóre — geologiczne, gdyż pilno mi było poznać wulkany chilijskie, mianowicie słynną z podróży Pöppiga górę Antuco.

Podróż ta zabrała miesiące styczeń, luty i marzec 1845 roku. O niej tu mówić nie będę, bom ją osobno opisał[16]. Dodam tylko, że wróciłem z niej, z moim młodym towarzyszem Munizagą, szczęśliwie na początku kwietnia i w połowie tegoż roku wydałem dziełko pod tytułem *Araucana y sus habitantes*, mające na celu wykazać stan, w jakim się dziś znajdują Araukanie, ich pojęcia i na wpół dzikie obyczaje, wady i uczciwość, niesprawiedliwości i nadużycia, jakich się nad nimi dopuszczają pograniczne osady chilijskie i urzędnicy chilijscy, brak misjonarzy do ich oświecenia i w końcu — jedyne środki godziwe, które by doprowadzić mogły do zachowania tej rasy szlachetnej tubylców amerykańskich i zlania się jej z narodem chilijskim.

Podobało się to moje dziełko Chilijczykom, chociaż w nim oskarżałem ich i rząd ich, i żołnierzy o niesprawiedliwe obchodzenie się z tymi synami przedkolumbowej Ameryki, których im Opatrzność w opiekę, przy wyniesieniu się tej szczęśliwej Rzeczypospolitej na niepodległość, zostawiła. Przedrukowano tę małą książeczkę i za krajem, w argentyńskich dziennikach i w Kolumbii, a mój przyjaciel (belwederczyk) Rettel[17] przełożył ją na polski nasz język. Wielka w tym była łaska Boża dla mnie, że potem i rząd chilijski zmienił na dobre obchodzenie się z Araukanią.

Wracając z kraju Araukanów na północ, zboczyłem poza prawym brzegiem Bio-Bio ku wschodowi, drogą na Yumbel; zwiedziłem kataraktę rzeki Laja i po[za] lewym brzegiem tej rzeki przebyłem w poprzek Andy do wulkanicznej góry Antuco. Patrzyłem na jej wybuchy, wszedłem na jej

---

[16] W tomie trzecim *Moich podróży*.

[17] Leonard Rettel (1811—1855), poeta, publicysta i tłumacz; uczestnik powstania listopadowego, później emigrant, towiańczyk, znany jako korespondent czasopism pod pseudonimem Zamostowski. Pod tym też pseudonimem przetłumaczył dzieło Domeyki *Araukania i jej mieszkańcy* (Wilno 1860).

lodowaty wierzch, potem — spuściwszy się z niej — puściłem się dalej na wschód i doszedłem aż do samej linii rozdziału wód i grzbietu Kordylierów, do punktu zwanego Pichachen (Piczaczen)*. Przepyszny stamtąd widok odsłonił mi się przy wschodzącym słońcu na stepy dzikich Pehuenczów i jeziora na nich solne, krainę strusiów i guanaków. Było to już czwarte moje przejście przez łańcuch Chilijskich Andów, w punktach rozłożonych więcej niż na dwieście mil naszych po tym łańcuchu (Mata-Cabullo, Vacas-Heladas, Cumbre-Uspallata i Pichachen).

Lecz nie tu miejsce opisywać moje podróże. Postrzeżenia i zapiski zebrane na tej wycieczce do Antuco i Kordyliery Pichachen posłużyły mi do napisania osobnej rozprawy, *Mémoire sur la composition géologique du Chile, à la latitude de Concepcion, depuis la baie de Talcahuano jusqu'au sommet de la Cordillère de Pichachen, comprenant la description du volcan d'Antuco*[18], wydrukowanej w „Annales des Mines" na r. 1844, tom XIV, p. 162. Odsyłam więc czytelnika do paryskich „Annales des Mines", a mnie już pilno wracać do moich uczniów w Coquimbo.

Był to rok chemii i mineralogii dla nich. Nie przestawałem też w ciągu roku zajmować się, może i z większą gorliwością niż lat przeszłych (przez to, że to już miał być rok ostatni mego pobytu w Coquimbo), uczniami, którzy lepiej od drugich, ukończywszy kurs zaprzeszłoroczny chemii i przeszłoroczny fizyki, oddawali się pilnie praktyce w laboratorium, rysowaniu planów i miernictwu podziemnemu kopalni.

Pamiętam, jak patrząc na działania probiercze jednej ołowianej rudy, niezbyt umiejętnie wykonywane przez miernego ucznia, w momencie, kiedym go strofował, spostrzegłem w błękitnych płynach, które miał wyrzucić, przesiąkłych swądem wod[or]u siarczanego, reakcją wanadu[19]. Rzuciłem się wnet do rozbioru owej rudy i trafiłem na odkrycie nowych gatunków wanadanu miedzi i ołowiu.

Była to już ostatnia moja analiza tego roku. Starałem się uczniów jak najlepiej przygotować do popisów, które 5 stycz[nia] 1846 r. odbyły się z wielkim zadowolnieniem licznie zebranych obywateli.

Już na początku roku 1846 miałem wiadomość, że wysłani do Francji uczniowie moi mają powrócić w połowie tego roku do Coquimbo na zajęcie miejsca po mnie w kolegium i zbliżał się czas do powrotu mego, jeżeli nie do kraju, to przynajmniej do moich przyjaciół we Francji.

---

* Łańcuch Andów na przejściu przez nie w punkcie Pichachen nie ma już i 300 m n. p. m.

[18] „Rozprawa o układzie geologicznym Chile na szerokości geograficznej Concepción od Zatoki Talcahuano aż do szczytu Pichachen w Kordylierach, zawierająca opis wulkanu Antuco".

[19] wanad — składnik szlachetnych stali stopowych, trudno topliwy, bardzo twardy, ulega działaniu tlenu.

Korzystałem z ostatnich wakacji do zrobienia jednej jeszcze wycieczki w Kordyliery dla zwiedzenia nie znanej mi jeszcze części Andów znajdujących się na przedłużeniu od południa, tych które dwa lata temu, w 1844 [r.], były przedmiotem moich postrzeżeń. W tym celu doliną rzeki Limari, jadąc w górę aż do ujścia do niej rzeki Rapel, znalazłem niemało przedmiotów nowych dla mnie do nauki i trzymając się dalej stromych brzegów r[zeki] Rapel dojechałem do położonych w strefie najwyższej tych gór kopalni srebra Rapel i w pobliżu samego grzbietu Andów wklęsłej, bogatej w pastwiska płaszczyzny.

Po tej ostatniej geologicznej z Coquimbo wycieczce jeszcze tegoż samego lata jedną wymyśliłem dla siebie i dla uczniów moich korzystną podróż w sposób następujący: Wysławszy z nich kilku do pobliskich hut dla przypatrzenia się wytapianiu rud miedzianych, a drugich do niedalekich kopalni do zdejmowania planów, objechałem te miejsca, na których się znajdowali, aby się przekonać, czy wypełniają polecenia moje i być im jeszcze radą i pomocą.

Rozpocząłem za powrotem, już po raz ostatni, lekcje moje ustne i praktyczne w połowie marca. Nie brakło mi i w tym roku tejże ochoty i gorliwości o dobro moich dzieciaków, z jaką rozpoczynałem zawód mój, przybywając tu z Paryża przed siedmiu laty. Nie czułem się być zmordowanym ni słabszym na siłach, ale już wpadałem w roztargnienie, myśląc o zbliżającym się terminie do opuszczenia Chile i jego obywateli, do których od dawna byłem przylgnął sercem i nawyknieniem.

Pracowało jeszcze ciągle czterech czy pięciu lepszych uczniów w laboratorium i tyleż zajmowało się miernictwem i rysowaniem planów w sposób, jak o tym już powiedziałem. Do kursu chemii, który dla nich w tym roku przypadał, dołączyłem ważniejsze zasady nauki wytapiania rud miedzianych i amalgamacji srebra.

Miałem też jeszcze niemało własnych prac, analiz chemicznych i mineralogicznych poszukiwań. Zabierało mi szczególnie wiele czasu uporządkowanie gabinetu mineralogicznego, który utworzyłem był w kolegium, i wielkiej ilości okazów, które dla siebie i dla mojej nauki miałem oddzielone. Oczyścić każdy okaz, opatrzyć go dobrze napisaną kartką i numerem i opakować dobrze obwinięte w papier, to tylko o tym ci mają wyobrażenie, którzy się zajmują zbiorami minerałów.

Nadchodzi w końcu wiadomość z Paryża, że trzej wysłani przed trzema laty do Europy moi uczniowie wracają do Chile. Posłałem do ministra moją dymisją i ta, na moje naleganie, z początkiem listopada została przyjęta. Dziesiątego tegoż miesiąca zdali ostatni examen moi uczniowie z chemii ogólnej i analitycznej, z mineralogii, początkowej geologii i podziemnego miernictwa w kopalniach.

Nader czułe i serdeczne było moje pożegnanie z uczniami; zalecałem

im, aby zachowali na całe życie pracowitość, nauki nabyte, a nade wszystko uczciwość; przypominałem im, jak w ciągu wykładów moich, mianowicie fizyki, geologii, własności ciał i sił w przyrodzie, przywodziłem im zawsze na uwagę mądrość Stwórcy, nicość naszą i ograniczony rozum, a potrzebę Wiary. W istocie, była to młodzież niezepsuta, uległa rodzicom, powolna radom nauczycielskim, umiarkowana w obejściu się i charakterze, dość pojętna i pochopna do dobrych uczynków. Sam rektor w tym kolegium, Cantournet, i nauczyciele byli pobożni; mieli uczniowie swoją kaplicę, modlitwy ranne i wieczorne, msze w niedziele, rekolekcje i spowiedzie wielkanocne.

Nie mniej czule i uprzejmie żegnałem się z obywatelami miasta i bliższymi przyjaciółmi, z którymi przed rokiem założyłem był Towarzystwo Dobroczynności. Najsmutniej mi było rozstawać się z rodziną Troncoso, bardzo do mnie przywiązaną, pobożną i gościnną; jej dom był dla mnie domem familijnym. Również wiernym i przejętym szczególną ku mnie wdzięcznością i przywiązaniem pozostał, wyżej wspomniany, jeden z najdawniejszych uczniów, Don Manuel Aracena, z twarzy i jej ciemnego koloru — rzekłbyś — Indianin, a z serca, pobożności i silnego charakteru — caballero jakby z grandów hiszpańskich.

O godzinie dziewiątej z rana, choć nie brakowało już powozów z miasta do portu, wsiadłem ostatni raz na mego baio (płowego), silnego rumaka, który mi od lat sześciu służył do dalekich podróży, widział po trzykroć szczyty lodowatych Andów i czarne w nich przepaście, a wyniósł mnie nie z jednej ciężkiej przeprawy. Zsiadłszy z niego, już na wsiadaniu do parowca, pogłaskałem go i oddałem rektorowi szkoły z oświadczeniem, że mego konia zostawiam w spadku i daruję temu, kto pierwszy po mnie w Coquimbo opróżnioną przeze mnie katedrę i laboratorium chemiczne obejmie.

Bogu dzięki, taki był mój ośmioletni pobyt w Coquimbo.

TOM CZWARTY

SANTIAGO

Przebieg lat od 1846 do 1884

CZĘŚĆ DRUGA

I. Santiago 1846—1851

Jeśli komu przyjdzie przejrzeć te moje pamiętniki, zdziwiłby się, gdyby w nich nie znalazł czterdziestu lat od czasu opuszczenia Coquimbo w 1846 do wyjazdu z Ameryki w 1884 [roku]. Opowiem więc pobieżnie, co się też ze mną w tych latach działo.

Już o tym w pierwszej części tej ubogiej kroniki mego pobytu w Chile była mowa, że w 1846 [r.] był już upłynął termin mego zobowiązania się do nauczycielstwa w tym kraju i miałem silne postanowienie wracać do Europy. Pierwszych dni listopada tego roku czekałem już w porcie Valparaiso na parowiec, którym miałem opuścić Amerykę. Że zaś owego parowca spodziewano się zaledwo za tydzień, przybywającego z peruwiańskich portów, umyśliłem, korzystając z tej przewłoki, pojechać na parę dni do Santiago, aby tam pożegnać generała Aldunate, [od którego] przez cały ciąg pobytu mego w Chile wiele łask i dowodów przywiązania doznałem i jego inicjatywie przyjazd mój do tego kraju winien byłem.

Ugościł mię jak najuprzejmiej w swoim domu generał i takie były jego nalegania, jako też zabiegi równie wielkich moich orędowników, generała Pinto i ministra oświecenia Montt, abym choć na parę miesięcy zatrzymał się w stolicy, żem musiał zadosyćuczynić ich żądaniu. Głównym ich do tego celem było użyć mojej pomocy do przeprowadzenia w Radzie Uniwersyteckiej projektu reform, o których potrzebie przed dwoma laty pisałem obszernie w poufnych listach do rzeczonego ministra. W tym celu mianują mnie natychmiast członkiem owej Rady i otaczają dowodami zaufania.

Z przyczyny, że nic mię nie nagliło do wyjazdu, z ojczystych ziem najsmutniejsze dochodziły wiadomości, a tu mogłem jeszcze oddać jakie zasługi gościnnemu narodowi, zostawuję, tak jak były upakowane, rzeczy moje i mineralogiczne zbiory u jednego ze znajomych Francuzów w Valparaiso i biorę się tymczasem do zredagowania projektu reformy szkół i samegoż Uniwersytetu w Chile.

Uprzedzić muszę, że założony przed trzema laty Uniwersytet Chilijski nie był, jak są niemieckie, hiszpańskie i inne, szkołą wyższej instrukcji, ale na wzór jakoby napoleońskiego we Francji uniwersytetu władzą dozorczą i administracyjną nad szkołami. Władza ta spoczywała mianowicie w Radzie Uniwersyteckiej, złożonej z pięciu dziekanów, dwóch rad-

ców rządowych, sekretarza i rektora. Członkowie zaś pięciu wydziałów posiadali wyłącznie monopol egzaminów, tekstów i przyznawania stopni uniwersyteckich; mieli zajmować się postępem nauk i literatury, sami zaś nie uczyli i nie było żadnych kursów w Uniwersytecie. Wszystkie gałęzie nauk specjalnych, jako to prawa, medycyny, wyższej matematyki i nauk przyrodniczych, miały swoje katedry (a ich niewiele było) w szkole zwanej Instituto Nacional, założonej w pierwszych latach niepodległości Chile. W tej szkole wszystkie kursy wyższej oświaty pomieszane z gimnazjalnymi i elementarnymi, wszyscy ich nauczyciele i uczniowie znajdowali się pod zarządem jednego rektora, pod jedną i tąż samą prawidłową ustawą co do karności i porządku, prawie bez względu na lata i usposobienie uczących się. Zachowało się było w tej szkole wiele dobrego z hiszpańskich czasów pod względem nauki religii, pełnienia przepisów Kościoła i nawyknienia do pewnej uległości władzom, ale ukazywały się też i ponawiały się już buntownicze odgrażania się między dorosłymi, wyższych kursów uczniami, a od nich zgorszenia udzielały się młodszym.

Podany przeze mnie do Rady Oświecenia projekt do reformy zasadzał się głównie na tym, aby oddzielić z istniejącego Instytutu katedry należące do wyższej instrukcji i po dodaniu do nich niezbędnie na ten raz potrzebnych gałęzi nauk, których brakło, utworzyć z nich uniwersytet na wzór niemieckich (naszego dawniej wileńskiego), przemienić zaś ów Instytut wyłącznie na gimnazjalną szkołę, zostawiwszy w nim, mianowicie w internacie szkolnym, co było dobrego, porządek i wychowanie religijne. Wiele tam było szczegółów w owym projekcie tyczących się organizacji szkoły i nowego uniwersytetu, o których za długo byłoby tu pisać.

Gdy przyszło w Radzie do dyskusji nad reformą, znalazłem się od początku w sprzeczności z człowiekiem wykształconym, prawym patriotą, dawnym rektorem rzeczonego Instytutu, Don Antonio Varas[1], który się nie zgadzał na zmiany i polepszenia, był zwolennikiem nade wszystko karności i zaprowadzonego przez siebie porządku; lękał się uwalniać starszą młodzież uczącą się prawa, medycyny, filozofii spod reguły szkolnej i nie dowierzał, jako dobry Hiszpan, niemieckim uniwersytetom, był zaś z charakteru popędliwy, uparty i szorstki w obejściu się.

Nie brakło mu na dosadnych argumentach i ceniłem w nim dobre chęci dla kraju. Ale jakże Polakowi uchodzić z placu dyskusji, nie bronić z zapałem tego, co się zdawało mu być pożytecznym dla tegoż kraju, do którego był już przylgnął sercem jak do własnego. Żartkie było starcie się moje z Don Antonio; patrząc z ubocza rzekłby ktoś: trafiła kosa na kamień.

[1] Antonio Varas (1817—1886), polityk, mówca chilijski, profesor i dyrektor Instituto Nacional, później minister spraw wewnętrznych i zewnętrznych oraz prezes ministrów. Opuścił to stanowisko w 1856 r., objął go ponownie w 1861 r. Ruchliwy i oddany sprawom publicznym, przez długie lata współpracował z Manuelem Monttem.

Nadszedł styczeń, lato wakacyjne, nie przyszło w Radzie do rozstrzygnięcia sporu; trzeba było zatrzymać się do marca.

W tym czasie chodziło miastu Santiago o sprowadzenie wodociągiem jakiej najlepszej wody z okolicznych źródeł, bo rzeczna z Mapocho i Maypó były niegodziwe. Uprasza mię minister spraw zewnętrznych[!], abym się zajął zwiedzeniem okolic stolicy i wydał zdanie o strumieniach wychodzących spod podnóża przyległego łańcucha Andów. Jakże odmówić tej usługi, która w czas piękny, pogodny zachęcała do przyjemnej geologicznej ekskursji[2].

Pierwszy tydzień spędziłem na obejrzeniu wielu źródeł i przywiezieniu rozmaitych gatunków wody, których rozbiorem zajęty byłem przez dwa letnie miesiące w pracowni Instytutu. Zdałem sprawę z tej pracy ministrowi i ogłosiłem ją w gazecie rządowej „Araucano" z odbitką pod tytułem *Memoria sobre las aguas de Santiago y de sus immediaciones*[3].

Z początkiem marca wracamy do naszych rozpraw w Radzie nad reformą i w tymże czasie gruchnęła po całym Chile wieść o odkryciu nieźmiernych bogactw rodzimego złota w Kalifornii. Tak dalece ta wieść zawróciła głowę mieszkańcom stolicy, że pierwszy lepszy z amatorów pięknego metalu biegł do San Francisco, opuszczając niejeden dom i rodzinę. Za nimi podążył nauczyciel chemii z Instytutu, były uczeń Szkoły Górniczej paryskiej, pan Crosnier. Ja nie uczułem w sobie najmniejszej chętki do owego złota, myśląc tylko, aby czym prędzej ukończyć mój spór z Don Antonio i wracać do Europy.

Lecz tu nowe zachodzą starania i namowy panów Aldunate, Pinto i ministra, abym zastąpił w Instytucie pana Crosnier, póki nowy nauczyciel chemii nie przybędzie. Długo się namyślałem. Wabiło mnie do siebie obszerne, nieźle uposażone laboratorium chemiczne; niewiele trudu mię kosztowały i lubiłem improwizować publicznie lekcje chemii z doświadczeniami, do których nabyłem już był wprawy; świeżo nadesłane od moich uczniów nowo odkryte minerały w prowincji Coquimbo, w których przekonałem się o bycie selenium[4], zachęcały mnie do niezwłocznego ich rozbioru.

Jeszcze się waham. Odbieram listy z kraju i dzienniki o rzezi galicyjskiej, o rozterkach w Emigracji i śmierci stryja mego, opiekuna lat moich dziecinnych. Chętnie czy niechętnie, nie myśląc, jak na długo, otwieram kurs chemii. Rzeczy moje tymczasem i mój zbiór mineralogiczny spakowane czekają na mnie zostawione do podróży w porcie Valparaiso.

---

[2] ekskursja (z łac.) — wycieczka naukowa.

[3] „Rozprawa o wodach w Santiago i najbliższej okolicy".

[4] selen — pierwiastek występujący w minerałach siarkowych, m. in. służy do barwienia szkła (kolor różowy do czerwonego).

Dochodzi w końcu do rozstrzygnienia spór mój o reformę w Radzie. Przyjętym został w zasadzie mój projekt; zgodzono się na rozdział istniejącego Instytutu na dwie sekcje, jedną — niższą (gimnazjalną), zatrzymującą tytuł Instytutu pod zarządem osobnego rektora Instytutu, drugą zaś — wyższą, obejmującą gałęzie nauk profesjonalnych (uniwersyteckich) pod zarządem delegata uniwersyteckiego i z oddzielną organizacją. Uradzono też, przez grzeczność dla Don Antonio Varas, nie nazywać jeszcze tej drugiej sekcji Uniwersytetem, tylko Delegacją.

Projekt otrzymał sankcją prezesa Rzeczypospolitej, ale urzędu delegata przyjąć nie chciałem, nikomu go powierzyć rząd nie chciał i wykonanie reformy do czasu zawieszone zostało.

Nastąpiła około tegoż czasu zmiana ministerium i obejmuje tekę [ministra] oświecenia publicznego przyjaciel mój osobisty, uczony i szlachetnych uczuć Don Manuel Antonio Tocornal, syn starodawnej hiszpańskiej rodziny. On, nie pytając mnie, czy przystanę na jego usilne żądanie, mianuje mnie profesorem fizyki. „Kiedyś już — rzecze — rozpoczął kurs chemii, niewiele ci czasu zabierze w tym roku dać wyobrażenie uczniom Instytutu i tej drugiej gałęzi nauk, którą tu może niejeden za coś bezbożnego lub trudnego do pojęcia uważa".

Trudno było odmówić, gdy i sam lubiłem tę naukę, i uczułem, że mogę z niej przynieść rzetelną korzyść dla młodzieży. W obszernej sali na otwarcie mego kursu fizyki zebrało się wielu obywateli; przybył i minister, i rektor Uniwersytetu Bello[5], a mianowicie cisnęła się słyszeć mnie niemała ilość uczniów Instytutu. Odczytałem na tym zgromadzeniu obszerną mowę, mającą służyć za wstęp do uczenia się nauk przyrodniczych, której przedmiotem było okazać wyższy cel moralny i umysłowy tych nauk, wolność od widoków osobistych, materialnych i szlachetne uczucia, z jakimi do ich uczenia się przystąpić należy, stosunek ich do wiary świętej, której prawdom i wyrokom poddane być powinny, a bez niej do błędnych wniosków doprowadzać mogą, na koniec — wyższość duchowej wiedzy ludzi, jakimi byli Newton, Kopernik, Leibnitz, Kepler, Kartezjusz i inni, którym nauki te silne podwaliny i lot swój są winne. Mowa ta (tym nawet, dla których niezupełnie była zrozumiała) podobała się publiczności, ogłosiły ją na swych szpaltach dzienniki i wyszła w odbitkach pod tytułem *Introduccion al estudio de las ciencias naturales*[6], Santiago 1847.

Kiedym tak był zajęty publicznymi lekcjami chemii i fizyki, w pra-

---

[5] Andrés Bello (1781—1865), pisarz, poeta i polityk chilijski, założyciel i pierwszy rektor Uniwersytetu w Santiago, autor poezji, studiów krytycznych oraz tłumacz dzieł francuskich i włoskich na język hiszpański.

[6] Ogłoszona także w „Anales de la Universidad de Chile", Santiago 1847, s. 125—157.

cowni analizami nowych minerałów, przesyła rząd Radzie do rozstrzygnięcia rzecz ważną, tyczącą się religijnej oświaty ludu. Gorliwy o nią arcybiskup z powodu złego prowadzenia się wielu mianowanych przez ministerium bakałarzy szkołek parafialnych i wad w ustroju szkoły normalnej dla nauczycieli ludowych domagał się u rządu, aby dozwolony mu był nadzór nad tą szkołą co do pełnienia w niej przepisów Kościoła i nauki religii i mianowanie dla niej nauczycieli tej nauki i kapelana; żądał też, aby dozwolone było proboszczom mieć czynny udział w mianowaniu bakałarzy przy parafialnych szkołkach i mieć nad nimi opiekę. Znalazły te sprawiedliwe żądania w Radzie silny opór, ja zaś z całą usilnością stanąłem po stronie arcybiskupa. Przez trzy do północy przeciągające się posiedzenia, na każdym z nich w długich wywodach broniłem praw pasterza opierających się na „ite et docente"[7] i wykazywałem zgubne skutki, jakich się lękać należało ze zgorszenia, którego przykład dawali po wielu parafiach tak nazwani nauczyciele ludu, pozbawieni zasad religijnych i moralności, źle płatni, oddający się niegodnym zyskom, nieprzyjaciele władzy.

Znalazł się w tej rozprawie najzaciętszym opozytorem moim Don Antonio Varas; chociaż przyznawał niejako słuszność wymaganiom arcybiskupa, ale opierając się na tym — jak się wyrażał — że społeczeństwo oprócz dążenia (tendencji) religijnego musi też mieć na celu pewne dążenie polityczne, obstawał za wzmocnieniem władzy cywilnej i na ten temat rozwodząc się szeroko kończył na potrzebie opierania się przewadze klerykalnych wpływów. Słabo popierany byłem od obecnego na tych posiedzeniach dziekana teologii, sprawa arcybiskupa upadła.

Na owych sporach w Radzie Oświecenia i publicznych odczytach przeszedł rok 1847, a jednak nie schodził z myśli konieczny mój na lato wyjazd z Ameryki z powrotem do swoich.

Już było bliskie święto Bożego Narodzenia, najpiękniejsza pora roku w tym kraju, kiedy jeden dziennik z miasta gubernialnego Talca ogłosił, że w tym mieście o sto mil położonym od Santiago, a pięćdziesiąt z górą mil drogi od wygasłego wulkanu Descabezado, na wyżynach Andów, spadła (27 listopada 1847 r.) jakby mgła popiołu z nadzwyczajnym jakimś swądem, podobnym do palącej się siarki, i że w tymże czasie między wspomnianą górą i przyległą do niej Cerro Azul wybuchł nowy wulkan w Kordylierach, słychać ogromny łoskot kamieni, a od zawieszonych nad górami chmur odbijała się łuna jak od najogromniejszego pożaru.

Jakże więc myśleć o wyjeździe z Chile, nie obaczywszy takiego zjawiska? Jakież tam pole być musi do postrzeżeń! Co za szczęście być obecnym — rzekłbyś — przy narodzeniu się nowego wulkanu.

---

[7] „Idźcie i nauczajcie".

Zaledwo więc ukończyły się popisy uczniów moich w Instytucie, miałem już konie, muły i służących do podróży i puściłem się ochotnie konno o sto mil do Talca, a stamtąd, prawie nie zatrzymując się, dalej w Kordyliery Descabezado.

Byłoby za długo przywodzić tu szczegóły geologiczne tej podróży, która w tym roku ogłoszoną została w „Rocznikach Uniwersytetu w Santiago" („Anales de la Universidad", 1848, p. 1 — 42), a którą osobno myślę opisać. Wspomnieć tylko muszę o przygodzie, która mnie w tej podróży spotkała i mało nie pozbawiła życia. Wyjechałem z Santiago w przekonaniu, że obaczę coś podobnego do Etny czy Wezuwiusza; droga do Talca przechodzi przez najpiękniejszą część Chile, bogatą w zboża i winnice; z Talca, kierując się na wschód ku panującej nad całym tu łańcuchem Andów śnieżnej górze Descabezado, dojechałem do położonego u ich stóp folwarku Cumpeo, gdzie gościnny obywatel dał mi dwóch młodych, silnych przewodników i dobrze obeznanego z tymi górami starego stróża trzód swoich, aby mi towarzyszyli i strzegli jak swojego pana od wszelkich niebezpieczeństw.

Że w tej podróży miałem na celu nie tylko widzieć nowy wulkan, ale i poznać sam grzbiet Kordylierowy na linii rozdziału wód, dlatego prosto na wschód z dworu Cumpeo, przez górę tegoż nazwania, spuściłem się na dolinę rzeki Rio Claro, przecinającą wszerz Andy, na której piękne dziewicze lasy pną się po urwistych skałach jak owe skierkowe[8] w Alpach, o których nasi turyści mają tyle do powiedzenia. Lasy te stanowią pas tak nazwany b r w i ą k o r d y l i e r o w ą (ceja de la montaña) i dochodzą tu do wysokości 1500—1600 m n. p. m. Jadąc dalej w tymże kierunku już na wysokości 2200 m n.p.m. przebywam pierwsze masy zlodowaciałego śniegu na południowym skłoniu góry Cuesta de las Animas i dalej podobnież na Cuesta de las Cruzes, na której szczycie barometr już tylko 567 mm ciśnienia wskazywał, a termometr w południe + 24°. Obie góry i wszystkie dokoła wulkanicznego utworu, z rozmaitego gatunku trachitowych skał złożone, miejscami w szerokie płyty, miejscami na sposób bazaltowych w pionowe kolumny poryte, nie zatrzymały mię długo. Widoki były ze wszech stron prześliczne, wspaniałe, cudowne nade wszystko położenie jeziora Mondaca, otoczonego z jednej strony pionowo w graniastosłupy pociętymi skałami z trachitu, a od południa masą nieforemną granitu, u którego z podnóża wytryska strumień wód mineralnych. O cztery mile od tego jeziora, idąc w górę, pierwszy raz odsłania mi się od południa w całym swoim przepychu olbrzymia góra Descabezado, mająca na sobie dwa szczyty wulkaniczne: Descabezado Grande i Descabezado Chico, przedzielone nie-

---

[8] Zapewne chodzi o lasy świerkowe.

żmierną masą odwiecznych nietopniejących lodów, spod których u spodu przedziera się czarny strumień jakiejś zastygłej lawy. Na obu szczytach najmniejszego śladu wybuchu nie było; cała góra ukazała mi się znacznie położoną na zachód od linii rozdziału wód, do której mnie przewodnik prowadził.

Dojechałem do niej w miejscu zwanym Puerta del Yeso, na którym grzbiet Andów i przejście na nim na drugą stronę Kordylierów nie ma więcej nad 2400 m wysokości n. p. m., kiedy szczyt Descabezado, górujący nad całym łańcuchem Południowych Andów, dochodzi do 3500—3600 m wysokości nad tenże poziom. To jest wierzch najwyższy w Andach i przejścia przez nie więcej niż o połowę niższe tu są od odpowiadających im szczytów i przejść w Kordylierach naprzeciw Santiago (33° szer. geogr.).

Przejście na drugą stronę Andów w Puerta del Yeso jest łatwe, niestrome, nie było na nim śniegu. Dla przekonania się zaś, że w istocie jest tu rozdział wód, przebiegłem kilka mil dalej na wschód po skłoniach należących do Rzeczypospolitej Argentyńskiej i wróciłem na zachodnie, chilijskie. Był to już czwarty punkt na łańcuchu Andów, na którym przebyłem te olbrzymie góry ze wschodu na zachód.

Z tego punktu dążę już prosto do miejsca, gdzie miał się otworzyć nowy wulkan, cel główny mojej podróży. Okrążam stojącą jakby na połowie odległości między Descabezado i Puerta del Yeso górę Cerro del Medio i spuszczam się na szeroką dolinę Valle de los Jirones (zwaną też Valle de Juvernada, przez to, że na niej pasą się trzody nawet zimową porą), położoną na zachodnim podnóżu dwóch Descabezado (Grande i Chico), a na której południowym końcu od strony Cer[ro] Verde spostrzegam białawy dym zachodzący między dwie przyległe do siebie góry: Cerro Verde i Cerro de Descabezado.

Na tej dolinie, o jakie dwa kilometry od miesca, gdzie się ów dym ukazywał, obierają służący i przewodnicy moi przy wartkim strumieniu źródlanej wody i gdzie było pod dostatkiem dla koni i mułów paszy i karłowatej krzewiny na ogień, miejsce na nocleg. Ja tymczasem, nie zsiadając z konia, ze starym góralem z Cumpeo dojechałem przed zachodem słońca do owego wulkanu, aby z dala pierwszym rzutem oka obejrzeć jego kształt na zewnątrz i wyrzuty.

Niemało się zdziwiłem, spostrzegłszy zamiast lawy, popiołów czy lapili wulkanicznych ogromne stosy brył kamiennych połamanych, pokruszonych, tworzących jakoby jaki na sto metrów wysoki szaniec, poczynający się na samej dolinie, a rozciągnięty między dwiema górami po szerokim wąwozie, którędy — zapewniał mnie mój góral — przed dwoma miesiącami szła porządna droga odwieczna i jeszcze przed dwoma miesiącami pędzili mieszkańce bliższych wsi trzody swoje na paszę.

Dymiły te kamienie, wydawały parę i silny zapach palącej się siarki; miejscami spomiędzy nich silniejszy rzut zgęszczonej pary wybuchał, wylatywały kamienne okruchy w powietrze i od czasu do czasu dochodziły zza góry podobne do karabinowych wystrzały.

Nie było to wszystko podobne do zwyczajnie opisywanych dotąd wulkanicznych wybuchów. Wróciłem na nocleg do naszego ogniska, ale nic tej nocy snu nie było. Nierozważnie, z pośpiechem, nie opatrzywszy się w napój i jaką przekąskę, z dwoma młodymi, silniejszymi ode mnie przewodnikami ruszyliśmy przed wschodem słońca z zamiarem dotarcia do samego krateru nowego wulkanu.

W bród przebywszy bystry strumień mętnej wody, w lodowatych wyżynach Descabezado biorący źródło swoje, zostawiamy konie nad tym strumieniem i z wielkim trudem poczynamy piąć się po skalistych bryłach, po części już działaniem pary kwasami przesiąkłej na proch i gliniaste materie przetworzonych, którym dowierzać byłoby niebezpiecznie i raczej z twardych na twardsze kamienie przeskakiwać musieliśmy.

Skorośmy weszli na wierzch utworzonego z tych kamieni szerokiego wału, którego boki od strony Descabezado stromo zapadały, a od strony Cerro Verde o tę górę opierały się, odsłania się nam obraz strasznego zniszczenia, jakby świeżo na szmaty, na gruzy rozwalonej góry. Rozszerza się powierzchnia wału i mniej więcej wyraźnie w poprzek wystyrkłe kondygnacje podnosi się, a razem i wzdłuż, chociaż mniej wyraźnie, rzędami większych brył i tworzącą się z nich gliniastą masą poprzedzielanych poszarpana. Tam i sam, a szczególnie przy krawędziach od strony Descabezado, sterczą jak małe wieżyczki graniaste słupy grubszych brył, koło których więcej dymu i pary, więcej palącej siarki dobywa się na zewnątrz brunatnymi, żółtymi, czerwonymi żyłami ubarwione. Miejscami potworzyły się już na trzy do czterech metrów doły, spod których od czasu do czasu wybucha para w kształcie ostrokręgu, wirując i rozszerzając się u góry, a niekiedy z hukiem kawał odszczepanej skały wyleci. Najobficiej zaś rozsiane są małe, tak nazwane przez geologów fumarole, to jest niewielkie otwory, z których gaz kwasu podsiarczanego, a niekiedy i płomień palącej się siarki ukaże się. Nigdzie nie widać lawy stopionej, żużli ni wyrzuconego pumeksu, tylko przy otworach, skąd zapewne silniejszy płomień dobywał się, daje się niekiedy spostrzec róg czy krawędź jakiego kamienia na wpół żużlowatą materią poczerniony.

Łatwo pojąć, jak wśród tego topieliska gazu i pary przesiąkłej kwasem wodoelorowym[9] powietrze było duszące, trudne do oddychania,

[9] Poprawnie nazwa ta brzmiała wówczas: kwas wodorowo-chlorowy (wodorowy), nazwa dzisiejsza: kwas solny.

a słońce z góry poczynało dogrzewać. Prędko z tej ciężkiej przeprawy uciekł jeden z moich przewodników, z drugim tylko zostałem, a i ten ze strachem poczynał przemawiać o „paszczy piekielnej", która według niego miała być już od nas niedaleko.

Idziemy dalej i dalej, a coraz trudniejsze do przebycia napotykamy zawady; już trzeba unikać miększej, suchej czy gliniastej drogi, miejscami gorącej, do której noga do kolan zapadała; bezpieczniej było z twardych na twardsze przeskakiwać kamienie. Całe niebo chwilami gęstą pokrywało się parą i nie było nic widać przed nami, a gdy się rozpierzchał obłok, słońce pionowo nie mniej gorętszym niż zarzewie od dołu dogrzewało promieniem. Mój towarzysz coraz dalej ode mnie zatrzymywał się, a w końcu i znikł, mnie samego zostawiwszy.

Już było południe; od rana zaledwo może dwa kilometry uszedłem; zdawało mi się, że już niedaleko jestem od środka wąwozu między dwiema górami, gdzie się spodziewałem lepiej zbadać naturę całego zjawiska. Było rzeczą widoczną, że wulkan nie mógł się był utworzyć na dnie zawartym między dwiema więcej niż na 3000 m wysokimi górami i nie mógł na trzy czy cztery kilometry ze swego krateru wyrzucić i nagromadzić tyle brył potłuczonej skały, których objętoście dochodziły do dziesięciu metrów sześciennych, a które składały się z rozmaitego gatunku trachitów, takich samych, jakie się ukazują na całej powierzchni gór przyległych. Descabezado była nietknięta, lecz Cerro Verde miała część dolną powierzchni odartą i na jej skłoni dymiło z dwóch punktów, na których się też były potworzyły niewielkie stosy kamienne.

Szedłem jeszcze przez dwie godziny w górę, szczeblując jak pierwej, a coraz z większą trudnością i natężeniem siły. Nic nowego nie spostrzegłem, w niczym się nie zmieniał zewnętrzny ustor[10] tego olbrzymiego wału nagromadzonych brył i okruchów skał, dymiących i wyrzucających ostrokręgi pary wodnej z wystrzałami i ciskaniem ułamków kamieni więcej niż na kilogram wagi mających, ale nie czułem najmniejszego wstrząśnienia ziemi, jak to się zwykle dzieje przy wielkich wybuchach z kraterów wulkanicznych. Tylko obszar owego wału rósł i rozszerzał się, oparty od północy o podnóże góry Cerro Verde, zostawując od południa ciasny a głęboki wąwóz, który go oddzielał od Descabezado.

Poznałem wtenczas, że nie był to zwyczajny wulkan, ale solfatara wzdłuż między dwiema wulkanicznymi otwarta górami, które dziś w stanie odpoczynku, nie mając dość siły do wyrzutu przez górne paszcze burzących się w ich wnętrzu law i palnych materiałów, użyły swych działaczy do rozdarcia u podnóża, po linii słabszego oporu, trachitowej skorupy i otworzenia szerokiej szpary, przez którą pogrucho-

[10] ustor — ustrój, budowa.

tane skały wyparte ciśnieniem pary wodnej, podziemnych gazów i pary siarczanej, sadowiąc się jedne na drugich, utworzyły ten wał — rzekłbyś — tysiącem cyklopów roboty. Przyłożyła się do jego utworu część niższa poszarpanej Cerro Verde, pod której zewnętrzną warstwą trachitowego pokładu szukał ujścia nadmiar sprężystych żywiołów. Przy tym wichry, które na tym ściśniętym przejściu między dwie góry dmą nieustannie od zachodu na wschód z większą siłą niż na samych szczytach andyjskich, zapalić musiały i dotąd utrzymują palenie się nieźmiernej ilości siarki dobywającej się spomiędzy szczelin międzykamiennych.

Tak sobie tłumaczyłem zrodzenie się tej olbrzymiej solfatary; rad byłem z mego domysłu i w tym momencie nie czułem prawie mocy srogich żywiołów, zgęszczonej pary, duszącego powietrza i skwary, które mnie ogarniały, chociaż się znajdowałem na środkowej części solfatary, gdzie ona mieć musiała o niemało kilometr szerokości i tam się zdawała koncentrować siła podziemnych działaczy. Lecz taka to dola człowieka: po dopięciu celu myśl stygnie, duch słabieje, ciało bierze panowanie. Takie nagle poczułem w nogach zemdlenie, suchość w gardle, oddech ciężki i czczość wewnętrzną, że postanowiłem wracać.

Było już po drugiej. Jeżeli iść w górę i — unikając niebezpiecznych dołów, w których się kryły zarzewia — stąpać po wywrotach kamiennych było mozolną pracą, daleko trudniej było i bardziej mordowało teraz schodzić, [ze]skakiwać z wyżej położonych brył na niższe, przy osłabieniu już od rana tą ciężką przeprawą osłabionych nóg. Ślizgały się stopy i zapadały częstokroć w gruz i ziemne materie, spod których lub blisko nich dobywały się silniej po południu niż z rana kłęby pary i gazy, a miejscami płomień od palącej się siarki. Co kilkanaście kroków trzeba się było zatrzymywać dla braku oddechu i zmęczenia. W jednym zmyleniu kroku upadłem na duży płyt trachitu i dalej iść nie mogłem. Nie wiem, czy to był sen, czy zemdlenie od swądu siarczanego i gorąca. Nie wiem, jak długo byłem odszedł od siebie. Słońce już było zaszło, kiedym otworzył oczy, chłodny wiatr orzeźwił mnie. Poszedłem prędzej i pewniejszym krokiem, nie wiedząc, w jakim kierunku. Ale powietrze coraz się bardziej ochładzało, coraz czystsze nie zachmurzało się już wybuchami. Znalazłem się niebawem na niezbyt stromej i niewysokiej spadzistości wału, z której spuściłem się, poruszając za sobą w tumanie pyłu walące się okruchy popękanej skały.

Znalazłem się u brzegu strumienia na małej łączce, na której stał mój koń z zawiązaną u szyi uździenicą. Nie było na co się oglądać ni czasu do szukania brodu. Wyniósł mnie szczęśliwie mój rumak z zimnej toni zmoczonego po żebra. O jedynastej w nocy trafiłem do silnie rozniecconego ogniska, koło którego siedzieli moi przewodnicy spokojnie, mając mnie za straconego.

Strapiony mój sługa Ignacio prędko przyrządził róg* z gorącym winem, cytrynę i herbatę, otworzył almofré i przygotował pościel. Zaledwo dnieć poczynało, budzi mnie gęsto spadający śnieg, jak gdyby u nas w grudniu, choć tu jesteśmy w połowie lata, pod szerokością Algieru, lecz na [a] metrów wyniesieni nad poziom morza. Niedaleko nas był duży kamień, bryła runiętego z najbliższej góry trachitu; oparty o nią przesiedziałem dzień cały, mając nad sobą przyrządzone almofré niby za poddasze. Ubielone zostały całkowicie góry i doliny, zasypane drogi; na drugi dzień zaświeciło słońce i niewielu godzin trzeba było na stopnienie świeżego śniegu. Tymczasem w obawie powtórnej niepogody stary góral z Cumpeo, którego na moje podziwienie śnieg już był z astmy wyleczył, widząc, że zapas nasz żywności już do końca dochodził, poszedł z drugim młodszym towarzyszem, gdzie się pasły trzody, wybrał tam pierwszego tucznego cielca roczniaka, zarznęli go i wziąwszy z sobą porządny jego szmat na mój użytek, resztę stróżowi bydła oddali; z pewnością że i sam właściciel za to się nie zagniewa, bo to się stało z potrzeby.

Skoro przynieśli ową zdobycz moi towarzysze, polepszył się humor i po dobrej uczcie pociągnęliśmy obozem po skłoniach Descabezado w górę i przeszedłszy między dwa jego szczyty, Grande i Chico, po lodowatym grzbiecie, który je łączy, a dochodzi do 3000 m wysokości n. p. m., spuściłem się po północno-zachodniej pochyłości tej góry ku tejże samej solfatarze, którą byłem już zbadał od wschodu. Nic na niej nowego z tej strony nie spostrzegłem, tylko może gwałtowniejsze i częstsze wybuchy pary i wiele wyrzucanych kamieni padało na powierzchnię Descabezado. Szerszą daleko przestrzeń zajęły tu nagromadzone materiały i utworzyły wał nieco wyższy niż po wschodniej stronie, ale i tu nie znalazłem najmniejszego śladu stopionych law ni drobnych ziarn pumeksu, które pospolicie wyrzucają wulkany chilijskie.

Wróciłem z tej geologicznej wyprawy przy końcu lutego, z mocnym postanowieniem odwiedzić jeszcze później tęż samą solfatarę, jeżeli jeszcze na jaki czas pozostanę w Chile.

W tymże czasie przybył do Santiago młody Jełowicki[11], pięknych przymiotów duszy, synowiec mego przyjaciela ojca Aleksandra Jełowickiego, dawny uczeń Szkoły Paryskiej Sztuk i Rzemiosł. Zamieszkał u mnie i zapoznaliśmy się wnet z sobą, jak gdybyśmy się od dzieciństwa znali. Przedstawiłem go przedniejszym obywatelom i wkrótce pan

* Służy pospolicie w tym kraju za szklankę czy kubek do picia dla podróżnych róg woli, wielkiej objętości; almofré jest [to] rodzaj walizy skórzanej, w której się mieści mały materac, kołdra i poduszka.

[a] W autogr. wolne miejsce.

[11] Wiktor Jełowicki, zmarł w Paryżu.

Montt, który już nie był u steru rządu, zaproponował mu, żeby się zajął wykonaniem rozmiaru robót w jednej kopalni.

Jełowicki tak tęsknił za krajem, jak ja; młodszy, niecierpliwszy ode mnie, był jak na wylocie z Ameryki; moje też rzeczy i zbiory mineralogiczne czekały na mnie upakowane w Valparaiso. On się wahał, czy ma zająć się korzystnym dla niego zatrudnieniem w kopalni, i ja, czy jeszcze powinienem rozpocząć kursy w Instytucie na cały rok bieżący. Długoż naradzaliśmy się. Smutne ku nam dochodziły wiadomości z Galicji, smutniejsze z Litwy; między naszymi w Emigracji szerzyła się towiańszczyzna, tu zaś — ludzie używający pokoju i swobody, dobrzy, szlachetni, wielką dla nas ukazywali przychylność; zostańmy więc na ten rok w Chile. Jełowickiemu nie miała więcej nad pół roku zabrać robota w kopalni, ja byłem obowiązany dokończyć drugoletni kurs fizyki i chemii dla uczniów, którzy już do mnie tak byli nawykli, jak ja do nich, i miałem do zbadania i rozbioru w pracowni chemicznej wiele okazów mineralogicznych przywiezionych z ostatniej wycieczki i nadesłanych z północy. A do tego i dwom nam, niedaleko siebie czy z sobą, łatwiej już było prowadzić życie na obczyźnie niż każdemu z osobna.

Wzięliśmy się wnet z ochotą każdy do swego. On odjechał i wracał często do mnie, ja zupełnie oddałem się moim obowiązkom. Rok przeszedł prędko. Ministrem oświecenia był jeszcze mój zacny przyjaciel Tocornal, również przyjaznym dla mnie był prezes Rzeczypospolitej, generał Bulnes, u którego teścia, gen[era]ła Pinto, byłem jakby należącym do rodziny, a szczególniejszych łask i dowodów dobroci doznawałem od generała Aldunate, szefa Szkoły Wojskowej.

Powołany byłem w tym roku do Komisji Kolonizacyjnej, przez to samo, że pierwszą może myśl do osadnictwa w mało zaludnionych ziemiach południowej części Chile rzuciłem był w opisie podróży mojej do Araukanii. Z ministrem Tocornalem i rektorem Bello ułożyliśmy dla agenta mającego przywieźć osadników z Europy instrukcją, której głównym punktem było sprowadzić na ten rok jedynie dwieście rodzin katolickich z Niemiec, a z nimi księdza i dla ich dzieci nauczyciela. Przyrzeczono dla kolonów dać ziemię i wszelkiego rodzaju zapomogi. Na nieszczęście mianowany został agentem do tego i wysłanym do Europy jeden Prusak[12], który się zdawał zasługiwać na zupełne zaufanie rządu, a postąpił wbrew przeciwnie danej mu instrukcji; zamiast katolików przywiózł z sobą prawie samych protestantów. Wkrótce nastąpiła zmiana ministerium, wszedł do niego, do spraw wewnętrznych, Don Antonio Varas, uznał za dobre, co uczynił ów Prusak, i w nagrodę posłał go na gubernatora do osady chilijskiej Punta Arenas[13], gdzie go Patagonie za-

---

[12] Tj. Bernhard Philippi (1811—1852). Zob. *Moje podróże*, t. III, rozdz. II, przyp. 36.

[13] Punta Arenas (Magallanes), dziś port nad Cieśniną Magellana.

bili, a ja w tej sprawie kolonizacyjnej miałem na nowo starcie z Don Antonio. Mając polecone sobie korespondencje niemieckie owego agenta, zdałem z nich sprawę w piśmie, które zostało ogłoszone pod tytułem *Memoria sobre la colonizacion en Chile*[14].

W tymże roku nowy mnie spotkał kłopot, wcale niespodziewany. Toczyła się od dawna sprawa graniczna w kopalniach srebra Chañarcillo między bogatymi właścicielami jednej z nich, zwanej Candelaria, a sąsiednią Manto de Mandiola, należącą [do] też równie bogatych, gdyż każda z nich wydała miliony z lat ostatnich. Ale dobrzy sąsiedzi nie przestawali na swoim, wdzierali się nawzajem do cudzej dzielnicy. Urósł stąd wielki proces, jedni drugim szkodzili, przerywali sobie nawzajem roboty podziemne, grabili wydobywaną rudę, dziesięć tysięcy funtów srebra leżało w depozycie do końca procesu, na który już wielkie sumy były wydane. Właściciele Candelarii byli przyjaciółmi generała Aldunate i Pinto, a adwokatem ich był mój przyjaciel Tocornal. Ci trzej nalegali na mnie, abym przyjął w tej sprawie urząd sędziego granicznego, ku czemu obie strony zarówno skłaniały się z zupełnym zaufaniem we mnie.

Długom się opierał przyjęciu tak niezgodnego z moim charakterem obowiązku. Przekładano mi, że dosyć będzie z mojej strony zmierzyć, zdjąć plan na zewnątrz i wewnętrznych istniejących, dotąd zakwestionowanych robót (sztolów, galerii etc.) dwóch wymienionych, graniczących ze sobą kopalni i pociągnąć, wskazać na rzeczonym planie linią graniczną (demarkacyjną) między nimi, aby tym sposobem proces został ukończony i przywrócona zgoda między obywatelami wielce szanowanymi w kraju. Im bardziej się wymawiałem od tego zaszczytu, tym silniej nastawano na mnie, abym nie odmawiał krajowi usługi, która mogła mieć nawet jakąś doniosłość polityczną.

Po długim oporze i ociąganiu się z decyzją pomyśliłem sobie: zdjąć plan kopalni to rzecz prosta, a linia na nim pograniczna sama osądzi. Wszak ojciec mój był tylokrotnie sędzią polubownym granicznym w nowogródzkim powiecie i nigdy tej obywatelskiej posługi nie odmawiał, więc bądźmy usłużni. Zgodziłem się więc na wspólne żądania obu stron prawujących się i przyrzekłem im podczas zbliżających się wakacji (stycznia i lutego) zająć się ich procesem.

Tymczasem kończyłem spokojnie kursy moje chemii, fizyki i mineralogii; wrócił do mnie, ukończywszy robotę, do której się był obowiązał, Jełowicki i przepędziłem przyjemnie z nim Boże Narodzenie, namyślając się wszakże w każdej lepszej godzinie, jak i kiedy wracać do

[14] „Rozprawa o kolonizacji w Chile".

swoich. Gdy jednego dnia wpada do nas zadyszany Francuz z nowiną: „Rewolucja w Paryżu! Rzeczpospolita! Marseillaise! Vive la Pologne!” Wzięliśmy zrazu go za wariata, ale gdy wiadomość okazała się rzetelną, szał nas ogarnął: jechać, wnet jechać, już muszą formować się nasze legiony!

Młodszy ode mnie mój towarzysz ani na jeden tydzień nie chciał na mnie poczekać, ja nie mogłem natychmiast rzucić lekcji nie dokończonych bez pozwolenia rządu i winienem był dotrzymać danego słowa w sprawie granicznej, do rozsądzenia której już byłem mianowany jedynym arbitrem bez apelacji.

„Dobrze więc, jedź sobie, Jełowicki — rzekłem — ale za przyjazdem do Paryża napisz zaraz do mnie, jak tam znajdziesz wypadki tyczące się sprawy naszej. Ja tu poczekam, Polska nie ucieczе, niebawem popłynę za tobą”. On odjechał, a ja pod koniec stycznia byłem już w Copiapó, skąd wziąwszy sądowego pisarza do zachowania potrzebnych formalności ruszyłem do kopalni Chañarcillo, opatrzony pełnomocnictwem danym mi na sędziego przez Sąd Najwyższy (Suprema Corte) z Santiago.

W Chañarcillo stanąłem gospodą u zacnego obywatela Don Vincente Subercaseaux, zupełnie neutralnego między obiema stronami rzeczonego procesu, i począłem od wczytania się jak najpilniej w instrukcją daną mi przez Sąd Najwyższy. W niej każe mi Sąd trzymać się wyrazów oznaczających granice posiadłości każdej z dwóch prawujących się kopalni, stosownie do ich tytułów, czyli dokumentów, które przy koncesji pierwotnej, prawnej każdej z nich były nadane. Tytuły te były z lat już wielu ubiegłych, kiedy do pomiaru na gruncie i oznaczenia granic koncesji dla każdej kopalni nie było inżynierów ni komorników górniczych. Biorę do rąk tytuł posiadłości Manto Mandiola i czytam w jego dokumencie, że żyła (veta) metaliczna, według której kierunku, śladu, na powierzchni ziemi została wymierzona koncesja, ciągnie się od wschodu na zachód i od zachodu na wschód, od północy na południe i od południa na północ kręcąc się jak zwoje w ślimaku (formando un manto caracoleado). Proszęż zrozumieć, jaki kierunek miała ta żyła, jedna z najbogatszych w srebro. Otwieram tytuł drugiej posiadłości i znajduję w nim takąż ciemnotę, niepodobną do rozjaśnienia. Nie zrażam się. Wszak na gruncie muszą być kopce (linderos), o których mówią dokumenty, i żyła nie mogła zmienić kierunku, jaki miała za czasu koncesji.

Wołam mego escribano i mayordomo kopalni Manto Mandiola i wychodzę z nimi i moimi mierniczymi narzędziami na grunt. Każę majordomowi pokazać mi na miejscu kopce graniczne. „Nie masz żadnego, panie sędzio — odpowiedział — zaginęły, zatarły się”, tylko okazał mi otwór w żyle, cytowany w dokumencie tytułu posiadłości, sztol,

tak nazwany pozo de ordenza, który przy daniu koncesji służył do oznaczenia kierunku żyły i kąta, jaki tworzyła jej płaszczyzna z horyzontalną. Od tego otworu sztolu poczynano wymierzać posiadłość i pod srogą odpowiedzialnością i karą prawo zabraniało go zasypywać. Od tego więc otworu pociągnąłem sznurem po śladzie wychodzącej na powierzchnię ziemi żyły (to jest, co zowią hilo, afleurement) i poznałem jego kierunek; ale o niewiele metrów dalej nie wychodzi owa żyła na zewnątrz, a sumienny mayordomo wyznaje, że nie wie, w jakim kierunku przedłużona była dawna posiadłość.

Idę więc do posiadłości drugiej kopalni, Candelarii, ale i tu nie znajduję ani jednego kopca granicznego i żadnego pewniejszego znaku, jaki kształt i rozległość pierwotnie miała ta posiadłość. Widzę tylko przy domu majordoma tej kopalni, jako też przy domu poprzedniej, Manto de Mandiola, liczne gromady ludzi i koni. Ostrzegł mnie escribano, że byli to świadkowie czekający na moje zawołanie, a było ich może do sta czy więcej.

Wróciłem z tego pierwszego przeglądu wielce zafrasowany; tytuły posiadłości ciemne, zeznania majordomów ciemniejsze, żadnych znaków pewnych na gruncie, a do przesłuchania czeka sto świadków, z nich któryż mógł wiedzieć, co się działo o sto czy paręset sążni pod ziemią? O planie min ani pytać; dwóch celnych adwokatów przybyło z Copiapó do zawikłania sprawy. Nie licząc już czasu, jakiego wymagało zdjęcie planów, rachunki, tak nazwane komparendy, to jest zwoływanie stron, aby opowiedziały co każda na swoją obronę etc., etc., etc., było już pracy sędziowskiej i mierniczej na wiele miesięcy, a tymczasem — już Jełowicki[b].

Na szczęście byłem, od przyjazdu do Santiago, dosyć obeznany z prawem hiszpańsko-chilijskim (tak nazwaną *Ordenanza de Minas*) tyczącym się górnictwa i nawet miałem przygotowane notaty do projektu jego reformy, o którym później powiem. Wiedziałem więc, że w sprawach granicznych, w sporach o wkraczania się górników podziemnymi robotami do cudzej własności i tym podobnych zajściach, które praktycznie, na miejscu inżynier (perito) rozstrzygnąć może, sędzia polubowny może i ma prawo nie odnosić się do świadków, adwokatom przysięgłym głosu odmówić i tylko wprost z samymi właścicielami kopalni, ich majordomami i ludźmi miejscowymi mieć do czynienia, a w razie jakich zawikłań, braku formalności, w dobrej wierze — przeniknąwszy prawdę — osądzić, jak sumnienie każe. Wyraża to krótko hiszpańskie: „la verdad sabida, la buena fé guardada".

---

[b] W autogr. zdanie nie dokończone.

Wiadomy był tu nieszczęsny zwyczaj przekupywania świadków, ile każdy z nich zarabiał i ile się przyczyniali do gmatwania i przeciągania bez końca procesów górniczych. Powiedziałem więc majordomom obu kopalni, że mogę odesłać świadków, każdego skąd przyszedł, że ich na teraz nie potrzebuję, i wziąłem się jak najszczerzej i najpilniej do zdjęcia planów każdej z osobna min, mianowicie tej części ich podziemnych sztolni, galerii, wykopów, w której się obie posiadłości stykają, jako też zewnętrznej konfiguracji gruntu, który je obejmuje.

Praca ta zajęła mi dwa tygodnie czasu. Spostrzegłem, że płaszczyzna pochyła żyły, stanowiącej kopalnię Manto Mandiola, przecinając kulisto zaokrągloną w tym miejscu górę, musi koniecznie jej ślad (hilo, afleurement) na powierzchni ziemi zmieniać, zmieniać swój kierunek i w istocie ukazuje się przerwami na niej, okrąża ją z jednej strony i to zapewne dało powód urzędnikowi dającemu koncesją wyrazić [się] poetycznie w przytoczonym dokumencie, że ta żyła wije się po górze (caracoleando) jak zwój w ślimakowej skorupie.

Pomiar robót górniczych prowadzonych od początku przez każdą z pomienionych posiadłości i zebrane między górnikami daty wyjaśniły mi, jaka była linia demarkacyjna między nimi, jak się wdzierali ich właściciele nawzajem do nie swoich dzielnic i byli odpierani, ilekroć na pograniczu ukazała się bogata w srebro ruda.

Po dwakroć zbierałem na comparendo, czyli ustne porozumienia się, strony. Za długo już byłoby mówić o tym, jak się na owych zebraniach spierali ze sobą przeciwnicy, rządcy, plenipotenci i podrzędni majordo[mo]wie obu posiadłości. Escribano (pisarz) spisywał zeznania. Moim obowiązkiem w prowadzeniu i miarkowaniu sporów, a dawaniu zapytań, było przede wszystkim nie dać się wykryć z powziętą opinią i przedwczesnym sądem.

Skończywszy, co było do roboty, powiozłem ze sobą do Copiapó całe moje archiwum miernicze i sądowe i tam, w domu p. Subercaseaux, przez dziesięć dni pilnie zająłem się na ustroniu wykonaniem planu i rozstrzygnieniem kwestii spornej, gruntując się głównie na moich pomiarach podwójną metodą, to jest graficzną (wykreślną) na planie, dla pojęcia samychże właścicieli i asesorów Sądu Najwyższego, i analityczną, rachunkową, ściślejszą — dla własnego przeświadczenia.

Strudzony wróciłem do Santiago i choć już miałem sąd mój o całej sprawie dobrze ustalony, zostawała niepewność, czy mogłem dać wyrok w tak ważnym procesie, gdzie o miliony chodziło, nie stosując się ściśle do instrukcji danej mi przez la Corte Suprema (Sąd Najwyższy), w której wyraźnie powiedziano, że winienem stosować się do tytułów (dokumentów) koncesyjnych każdej z dwóch posiadłości i nie odstępować od literalnie w nich wyrażonych wskazówek.

Żeby więc rzecz wyjaśnić i uniknąć odpowiedzialności, posłałem do rzeczonego Sądu oświadczenie, że owe tytuły, których mnie Sąd obowiązuje trzymać się dokładnie, są ciemne, niezgodne z naturą rzeczy i byłoby niepodobieństwem matematycznym stosować się do ich literalnego znaczenia, którego nikt pojąć ni odgadnąć nie może, tym mniej zastosować do rozstrzygnięcia sprawy.

Sądziłem, że Sąd unieważni moje posłannictwo i strony nowego arbitra obiorą. Wolałem uważać całą moją pracę za straconą niż narażać którą ze stron na pokrzywdzenie, a siebie na wielką sromotę. Sąd, la Corte Suprema, na moje oświadczenie natychmiast odpowiedział, że mnie umacnia i obowiązuje, opinar, dać wyrok, jaki mi sumnienie własne i przeświadczenie się o prawdzie dyktuje (odstępując, ma się rozumieć, od literalnych wyrażeń tytułów posiadłości). Zostawał mi jeszcze jeden do powzięcia sposób. Zapraszam do siebie na comparendo samych właścicieli, najbardziej [za]interesowanych w procesie, i ich adwokatów, a powiedziałem już, że z nich Tocornal, były minister, był adwokatem Candelarii, drugim — kopalni Manto Mandiola — był doktor prawa, dziekan wydziału prawnego Akademii, najcelniejsi. Zwyczajem przyjętym w Chile starałem się skłonić powaśnione strony do jakiej dobrowolnej ugody. Na nic się żadne przełożenia nie zdały. Złożone przez adwokatów na piśmie długie alegaty (obrony) nie zmieniły mojej opinii; uważałem tylko ze zdziwieniem, że uczeni ci i pod każdym względem wykształceni rzecznicy odstępowali w swych wywodach i cytacjach prawa od głównej materii, a nawet każdy z nich, z przyczyny nieznajomości fachowych w górnictwie terminów i prawideł, jako też matematycznych zasad, zdawał się domagać przeciwnych interesom swego klienta rzeczy.

Po dokonaniu w końcu wszystkich formalności i zachowaniu do ostatka w tajemnicy mego zdania, zamknąwszy się na trzy dni w domu, długi ferowałem dekret i ten, zapieczętowany, wraz z planami i tablicami poczynionych rozmiarów odniosłem do Sądu.

Gruchnęła wnet o tym wieść po mieście. Ciekawa była publiczność wyniku i niejeden z zaciekawionych zdziwił się, gdy ogłoszono, że kopalnia Manto de Mandiola wygrała sprawę, choć z właścicielami Candelarii i ich adwokatem miałem bliskie stosunki przyjaźni, a stary Mandiola — jak mię zapewniano — przyszedł był do słuchania dekretu z gotową przeciw [nie]mu protestacją w zanadrzu, lękając się przegranej.

Wkrótce po tym odkryto w Candelarii wielką obfitość bogatej w srebro rudy w tej części, którą jej przysądziłem, kiedy ta, daleko obszerniejsza, która przypadła dla Manto, okazała się niepłodną. Pogodziły się strony, nie było apelacji.

Zaledwom ukończył tę sprawę, która mi wiele niesmaku i kłopotu była przyniosła, odbieram od Jełowickiego z Paryża list pełen smutku

i zawiedzionych nadziei. Donosi mi o zimnym przyjęciu Komitetu naszego przez Lamartine'a, o zupełnej obojętności dla nas w Rządzie Tymczasowym, o oglądaniu się rewolucji na Rosją, o niepomyślnych dla sprawy naszej wypadkach w Poznańskiem i Galicji, o towiańszczyźnie i poróżnieniach w Emigracji, pisze też, że ma zamiar wkrótce sam wracać do Chile. Powtarza mi to samo drugi jego list, pisany już na wyjezdnym z Paryża, potwierdzają jego sąd o kierunku, jaki brały sprawy Rzeczypospolitej Francuskiej, poburzeń w Niemczech i upadku nadziei dla nas, pisane w tymże czasie do mnie listy Chełchowskiego, Mickiewicza i europejskie dzienniki.

Był to moment wielkiego rozczarowania dla mnie, przesilenia w myślach i zamiarach. Choć w głębi duszy nie przestawało tlić światełko nadziei, że się stan rzeczy odmieni, że i z tej drugiej Rzeczypospolitej Francuskiej jak z pierwszej wyjdzie jaki Napoleon i powiedzie do Polski i jeszcze kiedyś — da Bóg — kraj obaczę, tak ziszczenie się tej nadziei wydało mi się dalekie, że uczułem potrzebę stalszą dla siebie urządzić posadę na miejscu, gdzie coraz widoczniejsze odbierałem od mieszkańców dowody przywiązania i szacunku i również wielkiego do nich nabierałem pociągu duszy i upodobania w gościnnej ziemi.

Z końcem roku 1849, na popisach publicznych, uczniowie moi pocieszyli mnie nadzwyczajnym okazaniem postępu i zamiłowania w nauce, w pracowni chemicznej przyszedłem do odkrycia niektórych rzadkich minerałów chilijskich. Projekt mój reformy uniwersytetu przyjęty — jakem powiedział przez Radę Oświecenia Publicznego — czekał tylko na to, kto by go ośmielił się do skutku doprowadzić.

Miałem już lat 47 wieku; przeszła była ochota szamotać [się] bez celu po świecie, niepewna była przyszłość, pewniejsze zdanie się na wolą Bożą. Tylko pamiętam, że już natenczas poczynało mnie nudzić towarzystwo światowe ludzi, traciły urok zabawy społeczne, suche, przez grzeczność odwiedziny, teatr. Nie była to hipochondria, melancholia czy proste dziwactwa, których znieść nie mogłem w drugich. Owszem, zachowałem w sobie dawny humor w obcowaniu z ludźmi, choć niekiedy z przymusu, nie stroniłem od nich, nie przypuszczałem, aby mi szkodzić czy jak nie bądź uprzykrzać się chcieli; nabierała siły chęć oddania się obowiązkom.

Najmilsza jednak dla mnie była godzinka cicha, samotna. Mieszkanie moje z galerią wychodziło na wielką, ludną ulicę i obszerną topolową aleję, na której codziennie, mianowicie w dni świąteczne, grała muzyka i gromady wszelkiego stanu ludzi przechadzało się. Nigdy nie byłem miłośnikiem miasta, a teraz więcej niż kiedykolwiek czułem potrzebę spokojniejszej ustroni, cichszego domu.

Nadchodziła najpiękniejsza pora roku, kwitły pomarańczowe gaje,

magnolie i palisandry, napełniały wonią powietrze datury, gardenie [c] białe i błękitne pod lazurowym niebem; poszedłem za miasto szukać jakiego na wpół wieśniaczego domku, aby w nim zamieszkać. Znalazłem — jakby z przeznaczenia dla mnie — od niedawna przez jednego Francuza założoną wilią z niemałym ogrodem, o sto kroków od parafialnego kościołka; w ogrodzie wysokie szpalery winogradowe, pięćdziesiąt drzew pomarańczowych i mnóstwo brzoskwiniowych, morelowych; dom wprawdzie niewielki, ale wygodny.

Zmuszony szukać lepszego losu właściciel wilii przedał mi ją za umiarkowaną cenę i przeniosłem się do niej na początku 1850 [roku] i spodziewając się rychłego przybycia Jełowickiego postanowiłem część domu wyporządzić dlą niego. Nakupiłem dla siebie i dla niego wiele historycznych i pobożnych książek i sprowadziłem już z portu Valparaiso moje kufry, skrzynie z minerałami, które do owego czasu czekały na mnie na wyjazd z Ameryki.

Zapoznałem się wnet z plebanem, który mieszkał tuż naprzeciw mego domu, był rodem Korsykanin, wesoły, gorliwy o dobro parafian. Nie brała też mię ochota w tym roku, jak było w moim zwyczaju, zrobić jaką daleką wycieczkę; zwiedziłem tylko w lutym dolinę rzeki Cachapual aż do jej źródeł i przyległe Kordyliery.

W marcu już mi nic nie zostawało do urządzenia mojej nieco pustelniczej, za obrębem miasta, wilii i osiadłem w niej jak na długie lata. Rozpocząłem nowe kursy chemii i fizyki w Instytucie i od dziesiątej rano do zachodu słońca dni całe przepędzałem w laboratorium, wieczory zaś u siebie. Raz tylko na tydzień miewałem z niewielu osobami świeckiego i duchownego stanu przyjemne wieczorne schadzki u czcigodnego arcybiskupa Valdivieso[15], pod którego przewodnictwem zawiązało się Towarzystwo Ka[to]lickie do wspierania misyj, propagandy między Araukanami. W działaniach tego Towarzystwa miałem udział i za jego staraniem ustalone dwie nowe misje, jedną we środku Araukanii w Imperial, drugą na jej pograniczu.

Jednej niedzieli, było to pod koniec marca, przyszedł do mnie mój łaskawy generał Aldunate i poszliśmy z nim na przechadzkę do botanicznego ogrodu zwanego Quinta Normal, położonego za miastem, niedaleko mojej wilii. Nader przyjemną miałem przechadzkę i wesołą rozmowę z generałem, który mi wiele ciekawych wypadków opowiadał z wojny o niepodległość kraju. Wracając przechodziliśmy koło jednej

---

[c] W autogr. wolne miejsce na jeden wyraz.

[15] Rafael Valentin Valdivieso y Zanartu (1804—1878), prałat chilijski, burmistrz miasta Santiago, założyciel pism katolickich, od r. 1842 dziekan Wydziału Teologicznego Uniwersytetu w Santiago, po śmierci arcybiskupa de Vicuña (1843) objął arcybiskupstwo.

obszernej wilii. Brama była otwarta, przez nią z upodobaniem spojrzałem na wspaniałą pomarańczową aleję, ciągnącą się prawie od samej bramy w głąb ogrodu. Widząc generał, że widok ten mnie się podobał, rzekł do mnie: „zajdźmy, jeżeli chcesz, do tego domu; mieszka w nim moja krewna, señora Sotomayor, zapoznasz się z nią, jest twoją sąsiadką". Nie mogłem odmówić; wchodzę niechętnie i w tym momencie wybiega ze szpaleru piękna, piętnastoletnia panienka, rosła, skromna, nieśmiała, czarnych dużych oczu i światlejszych nieco, w pukle pozawijanych włosów. Zarumieniła się, a ja może zbladłem; spojrzał jakoś w niezwyczajny sposób na mnie z ukosa generał, ona odbiegła prędzej, niż się była ukazała. Była to córka pani Guzman de Sotomayor, właścicielki domu, i zacnego obywatela Don Juan de la Cruz Sotomayor, inżyniera.

Tak się począł mój niedługi romans, w dniu, kiedym najmniej myślał o ożenieniu się i szukaniu żony w Ameryce. Nie byłem nigdy poetą ni beletrystą do opisywania cudzych miłostek, mało co i o swoich miałbym do powiedzenia. Nie uszło czterech miesięcy od owego spotkania się, a już 7 lipca 1850 [roku] byłem mężem pani Henrykiety z Sotomayorów i potem dwadzieście lat z nią szczęśliwie przeżyłem aż do jej śmierci.

W tydzień po ożenieniu się, z rana, kiedym w dzień słotny siedział z żoną i jej młodszą siostrą przy kominku nie myśląc o czym innym, jak o spokojnym, familijnym szczęściu, przynosi służący z poczty list z Krakowa, w którym uczony profesor Zejszner[16], sam i w imieniu profesorów sławnej Akademii Krakowskiej, powołuje mnie na [na]uczyciela — jak się wyraża — chemii, fizyki czy jakiej innej gałęzi nauk przyrodniczych.

Trzeba by wiedzieć, jak od dziecinnych lat namiętnie kochałem Kraków, jaką żądzą gorzałem obaczyć kiedy to stare miasto, jak wysoko ceniłem naszą Jagiellońską Wszechnicę, aby mieć niejakie pojęcie tego, co się w owym momencie wewnątrz mnie działo i jakie zamieszanie miałem w umyśle.

Spojrzałem na datę listu, widzę, że niemało o pół roku był spóźniony. Myślę — gdyby ten list przed sześciu miesiącami przyszedł był do rąk moich, z jakąż siłą i ochotą byłbym poleciał do ojczystej ziemi; piłbym teraz wiślaną wodę, oglądałbym groby królów moich na Wawelu; młodzież krakowska pilnie słuchałaby mojej ojczystej mowy. Lecz — gdyby ten list pośpieszył i przybiegł o trzy miesiące pierwej, niż go dziś odbieram? Jaka by to walka była w sercu i umyśle! Jakie zarze-

[16] Ludwik Zejszner (1807—1871), geolog, geograf i etnograf polski, w latach 1829—1833 i 1848—1857 profesor mineralogii Uniwersytetu Jagiellońskiego. W autogr.: Zeisner.

wie chęci i niechęci. Dreszcz mi przeszedł po duszy; patrzyła na mnie żona i nie śmiała zapytać o nowiny.

Na szczęście nigdy nie byłem na długo zamyślającym się, jak to czynią zazwyczaj ludzie z próżniactwa. Trzeba było w tym momencie iść tam, gdzie na mnie uczniowie czekali, a razem i myśl pocieszycielka błysnęła, że jeśli będzie wola Boża, to przyjdzie czas, że i weselej będzie kiedyś z żoną, a może i z dziećmi, jechać do kraju.

Gdy nadeszło lato roku 1851[d], nie czułem w sobie ochoty odjechać od żony, od własnej, obfitej w kwiaty i owoce wilii i zwiedzać Kordyliery, jak to było moim zwyczajem lat przeszłych. Już jak osadnik budowałem dom, zajmowałem się uprawą ogrodu, dbałem o spokój i wygodne życie. Z tąż samą jednak jak zawsze gorliwością rozpocząłem w marcu moje lekcje i — choć nieco wcześniej wracałem po dziennej pracy do domu — przyjemnie mi schodziły godziny z uczniami moimi w laboratorium. Pragnąłem tylko tak pozostać na długo.

Gdy [oto] nowa okoliczność nasuwa się i wyrywa mnie ze spokojnego życia. Szczęśliwe rozstrzygnienie przeszłorocznej sprawy w kopalniach Chañarcillo spowodowało, że najważniejszej z nich właściciel, niosącej nazwanie Descubridora, pan Causinio, zgodnie z właścicielami przyległych do jego posiadłości kopalni uradzili prosić mnie, abym się podjął uregulować ich granice stosownie do tytułów, jakie każdy posiadał. Położona prawie w środku całego okręgu kopalń Chañarcillo i najdawniejsza ze wszystkich Descubridora posiadała też największy obszar na powierzchni góry, kształt prostokąta nieco skrzywionego, sześćset łokci (varas) mającego długości i sto szerokości; dotykało do niej sześć pomniejszych min późniejszych koncesyj. Niepodobna było oprzeć się naleganiom tylu pokładających ufność we mnie obywateli bez narażenia się na gniew i większe może nieprzyjemności. Znowu o paręset mil od stolicy musiałem jechać do Chañarcillo.

Nie będę nudził siebie i czytelnika opisywaniem tego procesu, przytoczę tylko niektóre przygody. Za przybyciem na miejsce znalazłem tytuły koncesyjne zarówno Descubridory, jak i pogranicznych posiadłości jaśniejsze od owych poprzedniego procesu, ale ich kopce, znaki graniczne, narożniki prawie wszystkie albo poprzesadzane, albo zatarte czy poniszczone. Nietrudno było odnowić te, które były pozostały na swoich miejscach od czasu koncesji, odsunąć czy przysunąć te, które się nie znajdowały na liniach granicznych, i ustalić inne koniecznie potrzebne. Na wszystko zgodziły się strony. Kazałem duże, ostrokrężne, z cegły i wapna pomurować kopce z głęboko do skały wbitymi żelaznymi drągami, które to znaki graniczne dotąd noszą nazwanie kopców Domeyki.

---

[d] W autografie pomyłkowo: 1881.

Nie mniej łatwo zgodzono się na rozgraniczenia, jakie wykonałem wewnątrz kopalni, tylko zostawała do rozstrzygnięcia jedna kwestia między posiadłością należącą do tejże samej kopalni Manto de Mandiola, która tyle mi w roku przeszłym dała do roboty, i kopalnią Descubridora. Między tymi dwiema kopalniami linia rozgraniczająca (to jest płaszczyzna pionowa, na której się ta linia znajduje) przerzyna ukośnie o więcej niż sto sążni pod powierzchnią ziemi żyłę nieszeroką, ale bogatą w srebro, miejscami prawie czystego rodzimego srebra, tworząc z nią kąt bardzo wąski, tak że w tym miejscu błąd popełniony w rozgraniczeniu nawet na jeden decymetr mógłby wyjść na wielką korzyść dla jednej, a z wielką szkodą dla drugiej strony, zwłaszcza że wielkie bogactwo ukazało się prawie w punkcie samego przecięcia owej żyły przez linią graniczną, a droga wiodąca do tego punktu przechodziła przez liczne kręte, strome, wąskie sztoliny, na których trudno, niepodobna było dobrze ustawiać teodolit i bezpieczniej, z większą pewnością używać musiałem górniczej busoli (boussole a suspension), zawieszając ją na sznurze przywiązywanym do g[w]oździ wbijanych w skałę na wszystkich skrętach i zawrotach. Na szczęście był wtenczas rządcą i dyrektorem robót w minie Manto mój dawny uczeń Don Nicolas Naranjo, a w Descubridorze — też mój osobisty przyjaciel Verdugo[17]. Jeden i drugi byli świadomi mojego działania, Naranjo nawet pomocą.

Po dwukrotnym pomiarze tej części kopalni od góry do dołu i od dołu do góry spostrzegłszy, że wyniki operacji zgadzały się, wziąłem się do rysowania planu, a mianowicie do rachunkowego rozwiązania kwestii, gdyż metoda graficzna, choćby na szeroką skalę, nie była w tym razie, gdzie chodziło o jeden decymetr dokładności, dostateczną.

Żeby tę pracę w zaciszu wykonać, na ustroniu od obu będących w sporze kopalni, użyczył mi swego domu jeden bezstronny w tej sprawie obywatel, posiadający też niemałej wagi kopalnię w tymże samym okręgu min Chañarcillo. Dom był z grubych płyt kamiennych murowany, dachówką pokryty, zaledwo ukończony, nikt w nim przede mną nie zamieszkał. W tym domu, przy dużym stole siedziałem około trzeciej po południu; na stole był naklejony plan poczynionego rozmiaru i narzędzia rozmaite; przy mnie siedział Naranjo i po osobno sprawdzał wyniki moich rachunków, gdy w jednym momencie dał się posłyszeć straszny huk podziemny i jakąś siłą i przeczuciem, z których zdać sobie sprawy nie mogę, rzuciłem się za drzwi, a ledwom próg przeskoczył i w tył obejrzał się, już cały dom był w gruzach, cały dach zawalony, połowa tylko jednej ściany sterczała, tuman kurzawy podnosił się nad ruiną, tamował oddech i wdzierał się do oczu.

---

[17] José Agustin Verdugo, uczony chilijski, autor wielu prac przyrodniczych.

Stał przy mnie struchlały Don Nicolas i dziwił się, że ja, na którego nie zdawały się mieć wpływu trzęsienia ziemi i którego on po wielekroć widział nieporuszonego i bez żadnej obawy wśród częstych trzęsień w Coquimbo, ubiegłem go tą razą, najlękliwszego z ludzi, i stanąłem pierwej niż on za progiem.

Nie masz co i mówić o planie moim, papierach i narzędziach. Trzeba było powtórzyć robotę i przyjąć gospodę w domu Descubridory. Trzęsienia ponawiały się przez trzy dni co kilka godzin; jedno z nich zdybało mnie wewnątrz miny o kilkadziesiąt metrów pod ziemią i przekonałem się, że było daleko lżejsze (zaledwo poruszało płomienie świec, które trzymali w ręku górnicy) niż to samo trzęsienie na powierzchni góry, gdzie jednocześnie niemało szkód poczyniło.

W tydzień potem już była ukończona moja praca, a że wszyscy interesowani w tej sprawie zostali zadowoleni, nikt się przynajmniej nie przeciwił moim wyrokom, sam, przy asystencji sądowego pisarza ferowałem dekret, sam go przywiodłem do skutku i szczęśliwie odjechałem.

Rok nie uszedł, a odnowił się spór i do krwawej przyszło bitwy na samym przecięciu linii granicznej ze wspomnianą żyłą srebrną. Musiałem raz jeszcze jechać do Chañarcillo dla ustalenia znaków granicznych (sellos, pieczęci) na owej linii, gdzie była bójka. W tym celu trzeba było wybijać w skale głębokie dziury i zalewać je roztopionym ołowiem na całym szlaku, którędy szła granica.

Wracałem z tej mojej ostatniej sądowniczej posługi lądem, zatrzymałem się w Coquimbo. Tu odwiedziłem moich dawnych przyjaciół. Znalazłem laboratorium i gabinet nieco w nieporządku, miano je do nowego domu przenosić; mój brzoskwiniowy ogródek zniszczony, zostawieni na moim miejscu nauczyciele już byli usunęli się z posady.

W tymże roku 1851 była wojna domowa w Chile i zmiana prezesa. Stronnictwo liberalne podniosło rokosz na południu pod naczelnictwem generała Cruz; jego brat cioteczny, schodzący z prezydencji generał Bulnes, po dziesięcioletnim urzędowaniu na drugi dzień po złożeniu władzy najwyższej w ręce nowo wybranego prezesa[18] wsiadł na koń i dowodził wojskiem partii rządowej zachowawczej. Krótko trwała kampania. W jednej walnej bitwie, gdzie trzech do czterech tysięcy walczyło zbrojnego żołnierza, było do tysiąca ludzi rannych i zabitych. Potem przyszło do zgody, rokoszanie odeszli do domów, kraj się ucieszył. Obywatele niemało ucierpieli, nim przyszło do porządku, rząd zaś nie użył do uśmierzenia zaburzeń na prowincji żadnych środków gwałtownych, samo z siebie wszystko się uspokoiło.

---

[18] Manuela Montta (zob. t. II, cz. 3, rozdz. I, przyp. 34).

Lecz się zdarzyło — jak to często bywa — że przy zaburzeniu starszych zaszły w tymże czasie i niepokoje po szkołach. W internacie Instytutu Narodowego rzucili się starsi studenci na swych dozorców i na samegoż naczelnika. Nowy prezes Rzeczypospolitej i jego minister oświecenia Lascano, należący do stronnictwa zachowawczego, uznali potrzebę zaprowadzenia zmian w tym głównym zakładzie szkolnym, który — jakem powiedział — obejmował wszystkie gałęzie nauk elementarnych i niektóre z wyższych, a wszyscy zarówno uczniowie byli pod jednakowym rygorem ustaw starego systemu.

Jeszcze się nie rozpoczęły były lekcje szkolne, kiedy pod koniec lutego 1852 roku przychodzi do mnie z rana minister Lascano z moim przyjacielem Alamosem, wielkim też konserwatystą, i tonem na wpół przyjacielskim, na wpół urzędowym mówią do mnie: „Pan wiesz, że proponowana przez pana reforma szkolna i Uniwersytetu, przyjęta przez Radę i sankcjonowana przez prezesa, nie została dotąd wprowadzona przez to, że wykonania jej nie chce się podjąć chorowity rektor Uniwersytetu, s[eño]r Bello, i pan dotąd przez delikatność odmawiałeś nam swojej posługi. Teraz nie możesz się już opierać naleganiom naszym; kraj wymaga, abyś przyjął urząd delegata (Delegado Universitario) i zajął się reformą Instytutu, a urządzeniem Uniwersytetu".

Trudno było i nadaremno wymawiać się. Prezes Montt był jak najlepiej dla mnie usposobiony, ale w ministerium był też przeciwnik mój Don Antonio Varas, całą siłą obstający przy zachowaniu istniejącego ustroju Uniwersytetu i razem reglamentu Instytutu, przez niegoż samego w znacznej części ustalonego, kiedy przed laty był on jego rektorem.

Powołany niezwłocznie do gabinetu prezesa, stoczyć musiałem w jego obecności i przy ministrze Lascano ostatnią najzaciętszą dysputę z ministrem Varas i nie wychodząc z obrębu należnych względów dla władzy, oświadczyłem, że nie mogę przyjąć na siebie obowiązków delegata, chyba tylko pod warunkiem, że mi wolno będzie oddzielić z głównej szkoły, tak nazwanego Instytutu, wszystkie klasy wyższej instrukcji (to jest prawa, medycyny i matematyki, pomieszane dotąd z gimnazjalnymi), i z tych klas urządzić trzy fakultety, na wzór niemieckich uniwersytetów, pod moją tymczasowo bezpośrednią dyrekcją. Wymagałem nadto, aby mię zapewniono, że uczniowie tych fakultetów będą wolni od surowości szkolnej, że dla nich osobne ustawy odpowiednie przyjęte zostaną i że Instytut, przemieniony w gimnazjum sześc[io]klasowe, nie zachowa internatu, chyba tylko dla uczniów nie przechodzących piętnaście lat wieku, i będzie w nim ustalony lepszy niż [dotąd] wybór dozorców, znanych z pobożności i charakteru. Przełożyłem też, że dla zachowania zgody i harmonii między na nowo mającą się urządzić sekcją

gimnazjalną i uniwersytecką potrzeba, aby ich naczelnicy nie różnili się w zdaniach zasadniczych co do wychowania młodzieży.

Don Antonio, człowiek prawy, dbający o dobro młodzieży, może osobiście nieprzyjazny i niemiły dla mnie, ale światły i oceniający dobre moje chęci, został przy swoim i ja przy swoim. Rozeszliśmy [się] grzecznie, nie wiedząc, co prezes postanowi. I nie wiem, co się tam potem mówiło na Radzie Ministrów, do której wchodził i był za mną krewny żony mojej Sotomayor[19].

Nie uszedł tydzień, a prawie na wszystko, com za warunek położył, zgodzono się u steru rządu. Na dwie połowy podzielono obszerny gmach Instytutu; jedna połowa przeznaczona była na urządzenie trzech fakultetów, w drugiej pozostało sześć klas gimnazjalnych pod dawnym nazwaniem Instytutu, a na rektora tej połowy mianowano mego przyjaciela, księdza Orrego, który później został biskupem diecezji Coquimbo. Dodano mu też na dozorców ludzi poważnych, duchownych, dawnych uczniów Seminarium, którego sam Orrego był pierwej rejensem[20].

Owoż od początku roku 1852 poczynam być bezpośrednim kierownikiem wyższej uniwersyteckiej instrukcji w Chile, nie bez wpływu na szkolną. Zrazu miałem tylko trzech nauczycieli do nauk prawnych, trzech do lekarskich i czterech do wyższej matematyki i nauk przyrodniczych; sam musiałem też same co pierwej przedmioty wykładać, urządzać nowe gabinety, laboratoria, bibliotekę etc.

Czas schodził pożytecznie; co dzień od dziesiątej z rana aż do piątej po południu byłem zajęty w tak nazwanej Delegacji Uniwersyteckiej urządzeniem nowych kursów, własnymi lekcjami i naukowymi dociekaniami w pracowni chemicznej, gdzie obok mnie znajdowało się zawsze kilku uczniów zajętych działaniami probierczymi i analitycznymi. Ranki zaś i wieczory schodziły mi na czytaniu nowych książek i ogłoszeń, na towarzyskiej zabawie w kole rodzinnym; był czas i na robotę w ogrodzie, i na postrzeżenia meteorologiczne. W niedziele — jak od początku mego pobytu w Chile, tak i teraz — czytałem tylko polskie książki, pisałem listy do przyjaciół i co mi się nadarzyło napisać nie w innym, jak polskim języku.

W tym roku wielką mi przyniósł przyjemność i zachętę do naukowej pracy dyplom na członka Towarzystwa Literackiego Krakowskiego (mającego zastąpić Towarzystwo Przyjaciół Nauk zniesione w Warszawie), przysłany od nie znanych mi osobiście uczonych. Jacyś też niemieccy przyrodnicy zaszczycili mnie mianowaniem na członka ich Towarzystwa w Norymberdze.

---

[19] Zapewne Rafael Sotomayor, minister sprawiedliwości, kultury i oświaty w latach 1859—1862.

[20] rejens, regens (łac.) — przełożony naukowego zakładu duchownego.

II. Santiago 1852—1862

Upływało dziesięć lat mego urzędowania na delegacji uniwersyteckiej, a tytuł rektora Uniwersytetu był zawsze przy chorowitym, podeszłego wieku, pod każdym względem najgodniejszym człowieku Don Andres Bello. Był to uczony prawnik, poeta, filolog, obeznany z naukami przyrodniczymi, polityk niepospolity i prawego charakteru. Urodzony w Caracas (R[zeczypos]politej Venezueli), przyczynił się za młodu do wybicia się ojczyzny swej na niepodległość spod panowania Hiszpanów, był przyjacielem i sekretarzem Bolivara, potem należał do poselstwa w Anglii.

Nie mieszał się Don Andres Bello do moich urządzeń Uniwersytetu, który w tych dziesięciu latach już się przeistoczył z dawnego, wyłącznie będącego (na sposób francuskiego) władzą kierowniczą i administracyjną nad szkołami, na Uniwersytet Uczący, Universidad Docente. Mając tylko nazwę delegata Uniwersytetu, byłem członkiem najwyższej Rady Oświecenia Publicznego, złożonej z pięciu dziekanów i dwóch komisarzy rządowych, zostającej pod prezydencją rektora w nieobecności ministra. W tej Radzie znajdowałem pospolicie pomoc i zachętę, a kiedy mi ona krzyżować lub utrudniać zamierzała w moich urządzeniach i celach, szukałem i prawie zawsze znajdowałem poparcie w prezesie Montt i ministrze oświecenia.

Zmieniło się w tych dziesięciu latach po trzykroć całe ministerium, tworzące się z rozmaitych stronnictw, a częściej jeszcze zmieniali się ministrowie oświecenia. Ze wszystkimi starałem się być w zgodzie i najlepszych stosunkach. Zaliczano mnie powszechnie z zasad, jakie wyznawałem, do stronnictwa konserwatystów, ale w postępowaniu moim unikałem gorzej jak ognia polityki elekcyjnej, stroniłem od zwad i mieszania się do niezgód osobistych między obywatelami i starałem się nade wszystko zachować zupełną bezstronność w obejściu się z uczniami, nie uważając na to, do jakich stronnictw ich ojcowie należą.

W tych dziesięciu latach już miałem uorganizowane trzy fakultety jak trzy szkoły wyższe specjalne, to jest prawną, lekarską i politechniczną. Dla pierwszej był już przyjęty i do skutku przywiedziony osobny reglament nauk, w których się mieli kształcić adwokaci, sędziowie i urzędnicy wyżsi administracyjni. Dla drugiej podobnież obowiązkowy

reglament ustanowiono do nauk lekarskich. W trzecim zaś faktultecie były pomieszczone główne gałęzie umiejętności zasadniczych i aplikacyjnych, nieodbicie potrzebne dla inżynierów cywilnych i górniczych. Jednocześnie rząd, za zgodą Rady Uniwersyteckiej, uchwalił przepisy do wydawania dyplomów dla adwokatów, lekarzy i inżynierów. Co do samego systemu w wyborze, porządku i sposobie nauczania i egzaminów wymagalnych, o tym zamilczę, bo to zabrałoby wiele czasu.

Do wykonania nowej organizacji i wymienionych przepisów, jako też pomniejszych prawideł, które mi się zdało rzeczą konieczną zaprowadzić, miałem już na początku 1861 r. drugie tyle profesorów, co było na początku mego naczelnictwa jako delegata, i wiele adiunktów dodano. W zamiarze, aby nazwyczaić uczniów do pewnej metody i porządku w wyborze kursów, na które uczęszczać byli obowiązani, sam na początku i w ciągu każdego roku wpisywałem każdego ucznia i dawałem pozwolenia do klas odpowiednich, nie pozwalając na przeskoki i dorywczy pośpiech, w czym też niemało trudności doznałem i niemało opozycji od krzykaczy ujmujących się niby za wolnością uczenia się, a w istocie za prędkim, byle jak ukończeniem nauk. Ja też byłem za wolnością potrzebną dla młodzieży do pobierania nauk, ale też i za zniewoleniem jej do zachowania pewnej metody i porządku w uczeniu się. Dlatego musiałem z początku użyć przymusu, dopóki lepsi uczniowie, poddając się ochoczo przepisom, nie zaczęli na sobie okazywać, o ile ów porządek i metoda były słuszne i korzystne dla wszystkich. Więcej jeszcze trudności okazywało się w ustaleniu porządku w egzaminach i pewnej a niezbytecznej w nich surowości.

Ominę szczegóły trudu i działalności, które napełniły ów pamiętny dziesiątek lat mojej delegacji uniwersyteckiej. Nie zawsze człowiek był panem siebie i cierpliwości, ale wyznać winienem, że w ogólności tak od obywateli i od rządu, jako też od młodzieży uniwersyteckiej odbierałem powszechnie dowody szacunku, wyrozumienia i często nawet ich pobłażliwości. Kiedy co ubodło, zasmuciło i stało się na przekór temu, com do skutku usiłował doprowadzić, to na pocieszenie siebie i ulgę w przykrości uciekałem do moich analiz i dociekań chemicznych, które nigdy nie cierpiały przerwy. Dyrygujący robotami w kopalniach srebra i miedzi moi dawni uczniowie dosyłali dla mnie wielką ilość okazów, które przy pomocy nowych uczniów były dla mnie przedmiotem do nieustannych prób i rozbiorów i z każdym rokiem coraz więcej pomnażało się moich prac ogłaszanych w „Annales des Mines" paryskich, w „Comptes rendus" Akademii Paryskiej i w „Anales de la Universidad de Chile". W tychże latach już ogłosiłem drugie wydania mojej *Mineralogii* i *Traktatu probierczego* (*Tratado de ensaies*), które zostały w użyciu nie tylko w Chile, ale i w innych krajach Ameryki Hiszpańskiej, a trzecie potem

wydanie rzeczonego traktatu zostało przedrukowane w Paryżu dla Meksyku.

Ta jednak czynność i nieustanne zatrudnienia nie zdołały przełamać tego, co było w polskiej naturze. Wśród największego naprężenia umysłu oddanego nauczycielstwu, sprawom uniwersyteckim i naukowym pracom ocyka się we mnie po trzeci raz, silniej niż kiedykolwiek, chęć obaczenia choć na krótko przed śmiercią mego kochanego kraju. Niemałą pobudkę do tego był list brata mego Kazimierza[1] do mnie pisany i zachęcający mnie do powrotu. Zdarzyło się w tymże czasie, że poseł pruski Levenhagen[2], który mię zwykł odwiedzać i od czasu do czasu obiadował u mnie, wyjeżdżał za urlopem do Berlina i na pożegnanie rzekł do mojej żony: „Czemu pani nie namówi męża swego, aby choć na parę lat pojechał do Polski i odpoczął po nieustannych trudach i pracy? Ja u rosyjskiego ambasadora w Berlinie z łatwością otrzymam pozwolenie i paszport". Żona moja pragnęła widzieć kraj mój ojczysty, dwoje naszych dzieci już było w stanie bez wielkiego ambarasu odbyć podróż. Piszę więc do Oubrila[3], posła naówczas rosyjskiego w Berlinie, prośbę o pozwolenie dla mnie, dla żony i dwojga dzieci na przyjazd i dwuletni pobyt w zachodnich guberniach cesarstwa.

Powiózł tę prośbę Levenhagen, my poczęliśmy się gotować serio do podróży; parowce w owym czasie już stale utrzymywały komunikację z Europą. Czekamy z niecierpliwością rok cały. Nie doznał Levenhagen najmniejszej trudności ni ociągania się w otrzymaniu dla mnie pozwolenia do powrotu na dwa lata do kraju. Lecz cóż po tym? Ambasador rosyjski Oubril wysyła to pozwolenie w formalnej nocie nie do konsula rosyjskiego mającego rezydencją w Valparaiso w Chile, ale do posła rosyjskiego rezydenta w Washingtonie. Ten, aby nie uchybić formalności, komunikuje postanowienie Oubrila konsulowi rosyjskiemu w Valparaiso. Konsul ten, jakiś Anglik czy północny Amerykanin, kupiec, zajęty swymi handlowymi interesami, a niepłatny od rządu rosyjskiego, nie umiejący nawet po rosyjsku, wyjechał był z Valparaiso nie wiedzieć dokąd za jakąś kupiecką spekulacją, która mu wiele czasu zabrała. Za powrotem do Valparaiso znajduje pod kopertą do siebie zaadresowaną pismo Oubrila, pozwalające mi jechać na dwa lata do Rosji. Przywozi i wręcza mi z wielką grzecznością sam to pozwolenie do San-

---

[1] Kazimierz Domeyko (1803—1875), zamieszkały w Niedźwiadce, ożeniony z Idalią Markiewiczówną.

[2] C. F. Levenhagen, chargé d'affaires i konsul generalny w Santiago w latach 1859—1877, akredytowany w r. 1871.

[3] Paweł Oubril (zm. 1895), dyplomata rosyjski, od roku 1848 sekretarz poselstwa w Wiedniu, później radca legacyjny w Paryżu, od r. 1863 poseł rosyjski w Berlinie, od 1879 poseł rosyjski w Wiedniu, odwołany z tego stanowiska w 1882 r. W autogr. stale: Ubril.

tiago, w półtora roku po zaszłej decyzji w Berlinie. Żona moja natenczas była przy nadziei; na nic się nie przydała usłużność pana Levenhagen i grzeczność po czasie cesarskiego konsula z Valparaiso.

Kiedy tym sposobem już po czwarty raz zmarnowaną dla mnie została zręczność do powrotu z Ameryki i zawiedzioną nadzieja widzieć kraj ojczysty, poddałem się woli Bożej, uspokoiłem żonę i z większą jeszcze gorliwością niż dotąd oddałem się pełnieniu obowiązków moich i pracy. Gdyby z Berlina dane mi przez Oubrila pozwolenie w czas przyszło, znalazłbym się z żoną i dziećmi wśród nieszczęsnego powstania 1863 roku na Litwie, pod panowaniem Murawjewa, który by może obrócił mój powrót do Chile drogą na Kamczatkę, a cóż by się z żoną i dziećmi stało?

W 1861 [roku] przypadały nowe wybory na prezesa; przyjaciele moi namawiali mię, abym przyjął kandydaturę do izby poselskiej czy senatorskiej. Wymówiłem się od tego zaszczytu.

Budowano tymczasem nowy wspaniały pałac dla Uniwersytetu, liczba nauczycieli i uczniów z każdym rokiem pomnażała się. Nowo obrany prezes, Don Joaquin Perez[4], bardzo poważny, sumienny i umiarkowany, należał do stronnictwa zachowawczego. Sam — i jego rodzina — pobożny, nie szukał (jak to czynili ministrowie jego poprzednika, których przywódcą był Don Antonio Varas) niepotrzebnych zwad z duchowieństwem. Tak nazwane stronnictwo mott-varystów poprzedniej prezydentury przeszło już do opozycji.

[4] José Joaquin Pérez (1800—1889), chilijski mąż stanu, sekretarz poselstwa w Waszyngtonie, później chargé d'affaires we Francji, w 1836 r. w Republice Argentyńskiej, w latach 1845—1849 był kolejno ministrem skarbu, spraw wewnętrznych i zewnetrznych, w latach 1861—1871 prezydentem Chile.

III. Santiago 1862—1870

Od [roku] 1862 bez przerwy sprawowałem urząd delegata w sposób tym niezależniejszy, że zdrowie rektora Bello chyliło się do upadku, a sprawy bieżące polityczne i spory między stronnictwami odciągały uwagę publiczną od tego, co się działo w Uniwersytecie.

W połowie roku 1865 umiera ośmdziesiątsześćletni starzec Don Andres Bello; wybór rektora spada na byłego ministra oświecenia, również zacnego, wykształconego jak jego poprzednik, Don Manuela Antonio Tocornala, wielce przyjaznego dla mnie, należącego do przychylnej istniejącemu rządowi partii konserwatystów.

Wielce był żałowany od Chilijczyków i od całej Ameryki Hiszpańskiej Don Andres Bello. Z polecenia Rady Uniwersytetu przemówiłem na jego grobie w imieniu młodzieży. We dwa potem miesiące Wydział Literacki ofiarował mi w swoim gronie opróżnione po zmarłym Bello, najuczeńszym tej Ameryki pisarzu, krzesło, a ten wielki zaszczyt wielce mię zakłopotał, udręczył że tak powiem, bo trzeba było na solenne przyjęcie mnie do Fakultetu powiedzieć, stosując się do zwyczajów akademickich, pochwałę swego poprzednika. Nader też trudna była dla mnie do wykonania praca, bo ani [nie] miałem do niej literackich zasobów, ani dostatecznej znajomości języka. [a]Trzeba się było koniecznie dostosować do wymagań przyjaciół[a], chociażby tylko licząc na ich pobłażliwość.

Bello, chociaż głównie był poetą, literatem, prawnikiem, filologiem, posiadał dość gruntowne znajomości w dziedzinie umiejętności przyrodniczych, odznaczał się znajomością i ulubieniem sztuk pięknych. Ta okoliczność dała mi powód do napisania krótkiego zarysu o stosunku umiejętności do literatury i sztuk pięknych pod tytułem *Ciencias, literatura y bellas artes*[1], rozprawę czytaną 8 stycz[nia] 1866 roku na Wydziale Literatury i Filozofii. W niej przy pochwale mego poprzednika starałem się wykazać, o ile z dzisiejszym postępem umiejętności i piśmiennictwa potrzebną jest dla literatów, filozofów i beletrystów znajomość zasadniczych nauk przyrodniczych, dla poświęcających się uprawie tych

---

a—a W autogr.: „Trzeba się było koniecznie odpowiedzień wymaganiom przyjaciół".

1 „Nauka, literatura i sztuki piękne".

ostatnich badaczy objawów sił w przyrodzie — dar pisania, ożywiająca imaginacja i uczucie piękna, znajomość literatury klasycznej i nowożytnej, jak nauki, literatura i sztuki piękne dążą wspólnie do uszlachetnienia rodu ludzkiego i rozwoju ludzkości, gdy nie schodząc z toru, który im Wiara wskazuje, jedne zgłębiają Mądrość Stwórcy w Jego dziełach wszechświata, drugie się obracają ku czci i chwale Wszechstwórcy.

Nie na długo sprawował urząd rektora Tocornal. Słabego zdrowia, nie dociągnąwszy do roku w urzędowaniu, umiera. Wtenczas nagle wzburza się wrzawa na politycznym polu o przyszły wybór rektora. Nieprzychylna rządowi partia montt-varystów całymi siłami prowadzi na tę dostojność Antoniego Varas, do czego w istocie ten prawy mąż, po wielekroć sprawujący urząd ministra, prokurator Trybunału Wyższego i — według powszechnego mniemania — mający być przyszłym prezesem, miał prawo. Ale stronnictwo rządowe, duchowieństwo i w ogóle konserwatyści postanowili nie dopuścić Varasa do rektorstwa przez to, że to by jemu i jego stronnictwu nadało wiele siły (a może i przewagi w przyszłych wyborach na prezesa). Członkowie nawet uniwersyteccy, młodzież i nauczyciele nie lubili Varasa przez to, że pomimo swej prawości był w obejściu się opryskliwy, częstokroć grubiański, surowy i zakrawał jakby na samowładcę. Nie był on nim rzeczywiście, tylko się trzymał zawsze po adwokacku prawa i urzędniczej (biurokrackiej) rutyny, a będąc sam z nieznanego pochodzenia, nie lubił księży, wojskowych i dawnej, hiszpańskiego kroju i imienia szlachty.

Owoż jednego wieczora zaproszony przez ministra oświecenia, Don Federico Errazuris[2] (przyszłego prezesa), znajduję w jego pokojach do sta osób, po większej części członków Uniwersytetu dawnej z r. 1843 kreacji, naradzających się nad wyborem przyszłego rektora, i pomimo moich najszczerszych wymówek i oświadczeń nieudolności okrzyczano mnie kandydatem na rektora i czynionych przeze mnie nie przyjęto wymówek.

Rozeszli się wszyscy, każdy w swoją stronę, ja późno wróciłem do domu, zakłopotany tym, że niespodzianie i mimo woli znalazłem się wplątany w polityczne zatargi i kombinacje. Żona też moja była niespokojna.

Przez parę tygodni wychodziłem tylko na lekcje i do mego laboratorium; z nikim nie chciałem się widzieć i nikogo prawie nie przyjmowałem u siebie. Całe miasto i dzienniki niczym się prawie nie zaj-

[2] Federico Errazuris Zañartu (1825—1877), polityk chilijski, prawnik. Wszedł do rządu w roku 1861 jako minister sprawiedliwości, wyznań i nauczania publicznego, później był ministrem wojny i marynarki, w latach 1871—1876 prezydentem Chile.

mowały jak sporem o rektorstwo; zarzucano mnie, żem cudzoziemiec, żem pobożny, klerykalny. Z najdalszych nawet prowincji zjechali się członkowie uniwersyteccy, mający prawo do głosowania.

W dzień naznaczony zebrało się quorum, to jest liczba prawem przepisana elektorów, Cuerpo Universitario. Tu się na nowo znalazłem z przeciwnikiem moim, tymże samym Don Antonio Varas, w walce wyborczej, choć życzyłem sobie w duszy na ten raz jego przewagi. Przewodniczył zebraniu minister ośw[ieceni]a Don Federico Errazuriz. Po krótkim przemówieniu jednej z poważnych osób za panem Varas cichość nastąpiła i przystąpiono do sekretnego głosowania (przez kartki). Dom cały był osaczony przez ciekawą publiczność. O trzy głosy tylko uzyskałem większość nad przeciwnikiem, panem Varas. To mi przyniosło może niejedną nieprzyjaźń, lecz nie na długo, bo wiedziano, żem się nie starał ani ubiegał o rektorstwo.

Ta w istocie nowa i niespodziewana dla mnie dostojność dodała mi wiele pracy i odpowiedzialności. Spadały na mnie tytuł i władza, które przez dwadzieście pięć lat z górą piastował Bello, najuczeńszy i wielce szanowany w całej Hiszpańskiej Ameryce patriota. Trzeba się było wziąć do roboty z całą siłą i gorliwością. Musiałem odtąd jako rektor prawie zawsze przewodniczyć Radzie Uniwersyteckiej, złożonej — jakem nadmienił — z pięciu dziekanów i dwóch komisarzy rządowych, gdyż rzadko kiedy przychodził na jej posiedzenia minister, a była to rzecz nie lada utrzymać porządek i kierunek, niekiedy w bardzo zapalonych rozprawach, do czego nie miałem wprawy i zdolności, zajęty głównie moją chemią mineralogiczną, nauczycielstwem i dopełnieniem urządzeń trzech fakultetów.

Usiłowałem natychmiast do nich czwarty, to jest literacki fakultet dodać, ale tego zamiaru dopiąć nie mogłem z przyczyny, że nauczyciele wyższych klas historii, literatury i filozofii woleli dla rozmaitych przyczyn pozostać na dawnym miejscu w Instytucie, przemienionym na gimnazjum, niż tworzyć osobny fakultet nauczycielski w Uniwersytecie.

Łatwiej mi było uzyskać od ministra skasowanie delegacji, którą dotąd byłem sprawował, i odtąd byłem już jako rektor bezpośrednim dozorcą wyższej instrukcji i wespół z Radą Oświecenia naczelnikiem władzy obejmującej tak edukacyjne, jak i administracyjne szkolne sprawy uniwersyteckie.

Ukazały się natenczas zdania wielu rządowych, cywilnych i duchownych osób, że należy zaprowadzić do Uniwersytetu katedry teologiczne i duchownych nauk, aby z nich urządzić fakultet teologiczny na wzór prawnego i nauk przyrodniczych. Oparłem się temu, bo wiedziałem, że bezpieczniej było w ówczesnym stanie rzeczy zostawić te katedry, jak były natenczas, w Seminarium, pod okiem arcybiskupa i mianowanych

przez niego nauczycieli niż przenosić je czy ustanawiać nowe w Uniwersytecie zależnym od Rady Uniwersyteckiej wybieralnej od rządu, mogącego mianować dowolnie profesorów nie zawsze uległych Kościołowi. Pozostały więc dwa fakultety, literacki i teologiczny, tak jak były ustanowione w pierwotnej organizacji Uniwersytetu, to jest zajmujące się tylko egzaminami uczniów ubiegających się o stopnie uniwersyteckie, ocenianiem wartości tekstów i książek elementarnych, wyborami rektora, dziekanów, członków i innymi formalnościami mało przynoszącymi pożytku.

Zresztą pomimo powiększenia dla mnie zatrudnień łatwiejsze odtąd było kierownictwo uczącej się młodzieży i profesorów w Uniwersytecie. Co rok, za staraniem moim a pomocą ministra, pomnażała się liczba nowych katedr i nauczycieli, nowe zaprowadzano polepszenia w reglamentach dla adwokatów, lekarzy i inżynierów, zbogacały się źbiory, laboratoria i biblioteka, powiększało się i nabierało pewnej literackiej i naukowej wartości wydawnictwo „Roczników Uniwersyteckich" („Anales de la Universidad"), które wespół z wielu innymi chilijskimi dziełami i rządowymi ogłoszeniami rozsyłałem do rozmaitych uniwersytetów, akademii i towarzystw naukowych zagranicznych, utrzymując z nimi stosunki za pośrednictwem istniejącego w Wászyngtonie Smithsoniańskiego Instytutu[3]. W zamian odbierałem od więcej niż 30 owych uczonych instytucji, nawet od Petersburskiej Akademii Umiejętności, liczne i kosztowne dzieła, roczniki, mapy, podróże, a oprócz tego Uniwersytet prenumerował rocznie czternaście rozmaitych naukowych i poważnych literackich przeglądów do użytku w czytelni uniwersyteckiej.

[3] Smithsonian Institution, instytucja naukowa, mająca na celu popularyzowanie nauki, głównie fizyki, astronomii i etnologii, założona w Waszyngtonie w roku 1846 z fundacji Jamesa Smithsona (1765—1829), chemika i mineraloga angielskiego.

IV. Santiago 1870—1877

Upływał już trzeci rok mego urzędowania na rektorstwie. Dochodziły z kraju coraz smutniejsze wiadomości o wypadkach będących skutkiem powstania 1863 [r.], wśród których — jakem powiedział — byłbym się znalazł, gdyby nie interesy handlowe, które natenczas były oddaliły konsula rosyjskiego z Valparaiso.

Upadała nadzieja, a z nią i chęć powrotu do uciśniętych stron rodzinnych. Gromadka moja domowa pomnożyła się; drzewa ogrodowe podrosły; winobrania co jesień obfitsze były i weselsze; rodzina żony mojej otaczała mnie miłością; życie domowe przy pracy schodziło spokojnie. Zatrważała mię tylko już od roku choroba żony mojej i nie szczędziłem starań ni zabiegów, przy pomocy najlepszych lekarzy, aby ją uratować, 26 grudnia 1870 [roku] o północy rozstała się ona z tym światem pobożnie, po dwudziestoletnim szczęśliwym ze mną pożyciu. Wielki był smutek, w którym jej śmierć mnie pogrążyła, i nie mniejsze obowiązki zostawały przy trojgu dzieciach. Piętnastoletnia córka, wychowana na pensji zakonnic Serca Jezusowego i Marii (de S. S. C. C. J. M.), była mi odtąd gospodynią domu; dwóch synów, młodszych od niej, umieściłem w Kolegium Duchownych Serca Jezusowego, przybyłych z Francji, sam zaś z większą jeszcze usilnością starałem się poświęcić moim w Uniwersytecie zatrudnieniom, nie zaniedbując domu i troskliwości o wychowanie dzieci.

Krótsze wprawdzie i rzadsze były odtąd moje geologiczne podróże, ale dużo czasu zabierały mi lekcje i prace w laboratorium, mające na celu rozbiór minerałów przesyłanych mi z rozmaitych gór i kopalni chilijskich. Nie przestawały ukazywać się w „Annales des Mines" paryskich i w „Rocznikach Uniwersyteckich Chilijskich" wyciągi z moich dociekań i postrzeżeń we względzie mineralogii Chile i sąsiednich rzeczypospolitych.

Przy tym osłodą były dla mnie i zachętą przychylność uczniów i zaufanie, jakiego mi dawali dowody ojcowie familii. Nie mniej przychylni dla mnie byli rząd i moi towarzysze nauczyciele. Toteż kiedy po pięciu latach mego rektorstwa przyszło do powtórnych na tę godność wyborów, już mię nie pytano, czy chcę, czy nie chcę być rektorem, i prawie jednomyślnie, bez żadnego oporu oddano mi na drugie lat pięć zarząd

Uniwersytetu. Sam nawet Don Antonio Varas przyszedł głosować na mnie.

W tym drugim pięcioleciu za mego rektorstwa rządził Rzecząpospolitą Don Joaquin Perez, wyniesiony przeważnie na prezesa przez stronnictwo zachowawcze połączone z częścią umiarkowańszą liberalnego. Był on już podeszłego wieku, poważny, pobożny, umiarkowany w pożyciu, w rządzeniu sumienny; zarzucano mu tylko, że za ciężki do rządu w młodej, burzliwej rzeczypospolitej, ukazywał się być nieco leniwym i lubiącym spokój.

Przybrał on do Rady Ministrów z partii konserwatystów ludzi prawych i uczciwych jak on, ale nie mogących liczyć na ustalenie parlamentarnej większości, za prędko cofających się w tym, co poprzednie ministeria były zaprowadziły na wzmocnienie władzy i ukrócenie skrajnej opozycji, obstających silnie za wolnością Kościoła i nieograniczoną wolnością edukacji publicznej. W Chile bowiem, tak jak po wielu dziś konstytucyjnych państwach, stronnictwa zachowawcze były i są bardziej przychylne prawdziwej wolności ochraniającej wiarę, rodzinę i własność od samowoli niż rzekome partie liberalistów.

Toczyły się około tego czasu w izbach i dziennikarstwie francuskim namiętne spory o wolność uczenia; czytano w Santiago z upodobaniem „l'Univer" Veuillota[1]. Mianowany ministrem oświecenia szczery katolik, uczony adwokat, patriota i najlepszych chęci dla publicznego dobra, Don Abdon Cifuentes[2], postanowił od razu zaprowadzić nieograniczoną wolność uczenia bez żadnej prawie rządowej kontroli, a nadto i wolność powołań tak do stanu lekarskiego, jak i adwokatów, nauczycieli, inżynierów etc. Zostawiał tylko Uniwersytetowi prawo dawania stopni, które przy owej wolności na mało by się już przydały.

Był to zacny minister, wielce dla mnie przyjazny i od dawna miałem z nim bliskie stosunki. Przewidując następstwa jego dobrych, ale nieoględnych, niepraktycznych dekretów, które zaufany w nim prezes potwierdzał, ostrzegałem, prosiłem, aby je przynajmniej tymczasowo do niezbędnych środków ograniczał i stopniowo w wykonanie wprowadzał. Upór ministra niemało mi kłopotu nabawił. Potworzyły się bowiem nie-

---

[1] Mowa o francuskim dzienniku „l'Univers religieux", którego naczelnym redaktorem był Louis François Veuillot (1813—1883), pisarz i dziennikarz francuski, bojownik o prawa Kościoła; od czasu jego redaktorstwa (1848) dziennik „l'Univers" stał się organem ultramontanizmu.

[2] Abdon Cifuentes (ur. 1836), polityk, prawnik i dziennikarz chilijski, jeden z wybitnych ludzi partii konserwatystów, od roku 1862 profesor w Instituto Nacional, w latach 1867—1871 podsekretarz Stanu, później minister wyznań i oświecenia. Ruchliwy działacz społeczny, fundator wielu instytucji charytatywnych, założyciel i redaktor dwóch dzienników, autor wielu dzieł literackich i licznych artykułów.

bawem liczne szkółki przez spekulatorów utrzymywane, w których za lada co dawano, przedawano świadectwa egzaminalne i z nimi przychodziły nieuki do Uniwersytetu, a i tu egzaminy stawały się czystą formalnością. Zakładano i do wyższych, specjalnych gałęzi nauk lekcje i szkoły prywatne, niektóre w zamiarze rozpowszechniania niegodziwych zasad lub tylko na zysk i widoki polityczne. Ukazał się pod pozorem niby szkoły istny kantor na przedawanie świadectw, z którego w jednym roku wyszło do pięciuset certyfikatów z odbytych kursów i zdanych egzaminów, tam gdzie i nauczycieli nie było.

Zło tego rodzaju nie byłoby bez uleczenia i niedługo by potrwało w kraju zamożnym w dobrych a licznych adwokatów, lekarzy, inżynierów i gdzie by ojcowie usilnie dbali o wykształcenie synów swoich. Chile potrzebowało jeszcze czasu do tego. Nowe rozporządzenia liberalne ministra stały się przyczyną nieporządku w gimnazjach rządowych, wyszły niebawem na osłabienie kursów uniwersyteckich, a bynajmniej nie przyczyniły się do rozwinięcia lepszych szkół prywatnych, świeckich i duchownych.

Ukazały się z tejże przyczyny skargi ojców familii i deputowanych na sejmie, jako też członków Rady Uniwersyteckiej nieprzychylnych ministrowi. Pogorszyło się też moje położenie; trzeba było utrzymać porządek w Uniwersytecie, uspakajać umysły, wiedzieć o wszystkim, uwiadamiać ministra, a nie chciałem i nie wypadało krzyżować absolutnie jego zamiary, bo w istocie to, do czego dążył, było słuszne w zasadzie, zgubne w praktycznym zastosowaniu.

Przemogła wkrótce opozycja w izbach, zachowawcze ministerium ustąpić musiało, wpadając w przeciwną ostateczność. Większość w Radzie Uniwersyteckiej, w Izbie Poselskiej chciała od razu znieść ustawy zaprowadzone przez m[inis]tra Abdona Cifuentes i zachować dla Uniwersytetu wyłączną władzę i przywilej do mianowania egzaminatorów na wszystkie szkoły prywatne i rządowe w stolicy i na prowincji, do narzucania tekstów, metody uczenia i samowolnego wdzierania się do wszystkich gałęzi wychowania.

Po długich naradach i sporach w Radzie Oświecenia zgodzono się za moją inicjatywą na środek łagodzący zbyt sprzeczne ze sobą opinie w sposób następujący: każdemu wolno będzie uczyć i kolegia zakładać, kto się ku temu zdolnym poczuwa, ale egzaminy uczniów, o ile te mają posłużyć do otrzymania stopni i dyplomów uniwersyteckich, mogą być zdawane i ich certyfikaty uważane za dostateczne w tych tylko zakładach, które okażą, że posiadają potrzebny komplet lekcji, nauczycieli i środków niezbędnych, odpowiednich tym, które posiada każde gimnazjum rządowe; w szkołach prywatnych mogą profesorowie trzymać się tekstów i metody, jakie uznają za lepsze, tyl-

ko co do egzaminów muszą stosować się do programu przepisanego jednakowo dla wszystkich zakładów gimnazjalnych, tak rządowych, jak prywatnych*.

Wskutek tej uchwały uznane zostały za dostatecznie opatrzone i utrzymane na stopie gimnazjalnej kolegia ojców Serca Jezusowego, jezuitów, jeden z lepszych zakładów cywilnych i seminarium w Santiago. Niebawem nadeszła nowa reforma szkół, uchwalona przez izby, mocą której egzaminy szkolne w prywatnych zakładach powinny być zdawane przed komisarzami wyznaczonymi przez Radę Uniwersytecką, a płatnymi od rządu. Mianowanie tych egzaminatorów, ich zachowanie się nie zawsze umiarkowane i wiele innych niedogodności wynikających z zaprowadzenia tych nowych przepisów spodowowało spory i zażalenia po rozmaitych prywatnych zakładach, a dodało pracy Radzie Uniwersyteckiej i rektorowi.

Te jednak spory, ustawiczne zmiany w ustroju szkół, częste posiedzenia Rady i rozmaitych komisji nie dotykały jeszcze wewnętrzego urządzenia wyższej instrukcji trzech fakultetów. Ich nadzorem zajmować się już poczynali bezpośrednio ich dziekani; liczba uczniów w Uniwersytecie dochodziła do 800 i liczba nauczycieli z każdym rokiem wzrastała.

Ominę wiele innych szczegółów i wypadków, które z każdym rokiem coraz bardziej pomnażały dla mnie natłok zatrudnień odciągających mnie od ulubionych zawsze moich lekcji chemii, fizyki, mineralogii i moich chemicznych prac w laboratorium. W tych pracach i lekcjach codziennych w południe, improwizowanych pospolicie, a które przy urozmaicaniu doświadczeniami przeciągałem często do dwóch godzin, miałem dostateczną pociechę i osłodę. Ilekroć spór jaki, niemiły wypadek, zawiła jaka sprawa zakłopotały mię nader i szedłem w niedobrym humorze do auli uniwersyteckich, wychodziłem z nich po każdej lekcji weselszy, spokojny, pomagałem uczniom pracującym (manipulującym) w laboratorium i brałem się ochoczo do moich analiz lub zamykałem się w gabinecie mineral[og]icznym, gdzie prawie zawsze czekały na mnie nowe jakie okazy przesyłane od dawnych moich uczniów z rozmaitych kopalni.

Co dzień o piątej godzinie mniej więcej strudzony wracałem do domu. Tu moja młoda gosposia Anna miała przygotowany obiad; był czas i do ogrodu pójść, pomówić z ogrodnikiem, niejedno drzewko i winnicę

* Zasadą tej uchwały było to, że gdzie nie ma zupełnej wolności powołań, to jest gdzie nie wolno być lekarzem, adwokatem, inżynierem bez dyplomu, bez poświadczenia Uniwersytetu o zdolności tych, co chcą spełniać te powołania, Uniwersytet musi mieć przekonanie o ich zdolności za pomocą egzaminów i mianowanych przez siebie egzaminatorów.

opatrzyć, roślinę jaką okopać, przesadzić, a potem i do książek zajrzeć, aby na drugi dzień być gotowym do lekcji. Ranki też nie były nudne: był czas i na mszę codzienną u kapucynów, i do nauczenia się lub do napisania czego przy zdrowiu. W niedziele i święta, jak gdybym nie był rektorem ni profesorem, zapominałem o wszystkim, co się tyczyło Uniwersytetu, i dawnym zwyczajem, w godziny wolne od kościoła i przechadzki z dziećmi, czytałem tylko to, co polskie, i pisałem tylko po polsku.

Tak dni schodziły od śmierci żony mojej i powtórnego przyjęcia obowiązków rektorskich. Pośrednikami z krajem i donosicielami coraz smutniejszych wiadomości z ziemi ojczystej byli: gość zawsze uprzejmy w czytelni mojej, „Czas" krakowski, i listy Bohdana Zaleskiego, Edwarda Odyńca, Laskowicza i mniej częste — rodzinne. Ósmy dziesiątek lat wieku już się rachował; śmieli się ludzie, kiedym westchnął do kraju; nie śmiałem już i w sobie długo pomyśleć, czy kiedy Bóg da ujrzeć ziemię, na której leżały groby rodziców.

Dnia jednego (w 1875) letnią porą odbieram list z czarną pieczątką; ścisnął jej widok mnie za serce. Dowiaduję się o śmierci mego jedynego brata Kazimierza; uczułem, jakby w tym momencie pękła z żałośnym dźwiękiem jaka struna w sercu moim; była to ostatnia struna wiążąca mnie z rodziną, którą był zostawił żyjącą w domu.

W rok potem jeden z moich synowców, po powrocie z Syberii, gdzie był od 1863 roku w Permie na wygnaniu, pisze do mnie, że zamierza w imieniu całej mojej rodziny osobiście mnie pozdrowić w Ameryce. Nie wierzyłem temu z początku, lecz wkrótce drugi list z kraju zapowiada mi stanowczo bliskie przybycie do Chile synowca Leona[3]. Upływało już lat 46 od mego rozstania się z rodziną, kiedy ojciec Leona był jeszcze bezżenny.

Jeszczem wierzyć sobie nie mógł, że tu u stóp Kordylierów obaczę kogo z domu mego rodzinnego, kiedy w miesiącu marcu przypłynął do Valparaiso, na angielskim parowcu, Leon. Pojechałem na jego spotkanie. Wielkie było rozczulenie i radość, kiedym go obaczył. Od czegoż zacząć o co go pytać? kiedy on w piętnaście lat po opuszczeniu przeze mnie Litwy urodził się i połowy tego, com zostawił, nie widział.

Tegoż samego dnia, w którym wylądował, przywiozłem go o północy do domu i przyjęła go z nieśmiałością Anna, kiedy ją uścisnął jak siostrę i przemówił do niej „ma cousine"[4].

Zostawiwszy on w kraju majątek i interesa domowe, przyjechał tylko na jeden miesiąc w odwiedziny. Nie mogłem go dla własnej przyjemności na jego szkodę zatrzymywać. Cały miesiąc jego tu pobytu był

[3] Leon Domeyko ur. w 1844 roku w Niedźwiadce, syn Kazimierza.

[4] „Moja kuzynko".

dla mnie historią żywą, gadaną wypadków domowych i publicznych od czasu wojny 1830 [roku], dla niego zaś historią mego życia na wygnaniu. Zapoznałem go z przedniejszymi obywatelami stolicy i z prezesem. Nie mogłem się nacieszyć, lecz nie pozwoliłem sobie ani na jeden dzień przerwać moich obowiązków, zatrudnień w Uniwersytecie. Godziny nieobecności mojej w domu przepędzał Leon w towarzystwie córki mojej i rodziny jej matki.

Przeszedł zbyt prędko ten miesiąc i zaledwo na piętnaście dni jeszcze dłużej dał się uprosić Leon do pozostania z nami, tak mu pilno było wracać do kraju. Zbliżył się dzień, w którym miał z Valparaiso wypłynąć parowiec utrzymujący miesięczną komunikację z Europą i na nim był już zamówiony powrót dla mego synowca.

Smutny był wyjazd Leona z mego domu. Przeprowadziłem go z córką moją do Valparaiso i tam stanęliśmy gościną u siostry mojej nieboszczki żony, pani Leighton. Dzień jeszcze jeden przebyliśmy u niej przed rozstaniem się. Myśl, że może na zawsze i że więcej nikogo w życiu z rodziny odtąd nie obaczę, weszła i zaszła tego dnia dla mnie ze słońcem; rozmowa nasza była przerywana, ni to, ni owo; Leon mało był mówiący, Anna też niewesoła siedziała przy swojej ciotce.

Nazajutrz, ledwo rozedniało, wystrzał działowy na parowcu ostrzegał podróżnych, aby się mieli na pogotowiu. Jeszczem był nie ubrany, kiedy Leon, blady i wzruszony, przystąpił do mnie i w krótkich słowach oświadczył, że chce mieć Annę za żonę; zawołana w tym momencie przeze mnie córka moja wyznaje, że pokochała Leona. „Dobrze więc, dzieci — rzekłem — niech wam Bóg błogosławi; ty Leonie musisz jechać do domu, jeżeli za rok ta sama skłonność was ożywiać będzie, to powrócisz i jeśli taka będzie wola Wszechmocnego, ożenisz się".

Pokłonili się, ucałowali mnie; o dziesiątej tegoż ranka byliśmy już na parowcu. Tam jeszcze z godzinę pomówili ze sobą narzeczeni, póki nie zahuczały po pokładzie łańcuchy kotwicy.

Krótkie, a zaręczam, niechłodne było pożegnanie. Odwiozłem córkę do domu jej ciotki, a sam poszedłem rozerwać się poza brzegiem morza, do dalekiej zatoki Playa Ancha. Zachmurzone było niebo, pochmurno w duszy. Córka jedynaczka, jedyna pociecha moja; cóż będzie ze mną — pomyśliłem — kiedy i ona odjedzie? — i dokąd? — wychowana w Chile, słowa po polsku nie umie, słabego zdrowia, z gorącego kraju do śnieżnej zimy i nie znanych dla niej ludzi. Te i coraz smutniejsze myśli i obawy kołatały jakby do znękanego już wiekiem umysłu, a wtórowały im na zewnątrz rozbijające się o nadbrzeżną skałę poburzone fale morskie; szedłem coraz prędzej, jak gdybym uciekał od widma przyszłości, która za mną pędziła.

Niedługo to jednak trwało; uspakajać mi się i rozjaśniać poczynało na sercu, kiedym wspomniał na potrzebę zdania się na wolę Bożą. Zatrzymałem się na chwilę; widny był jeszcze w dali ubijający się z silnym południowym wiatrem parowiec; znikał na horyzoncie, kiedy mi jakby kto szepnął do głowy te słowa: „za rok powróci Leon, a z nim, z córką i z dwoma synami popłyniesz jak on teraz w strony ojczyste". Zerwałem się rześko, jak gdybym w tym momencie o pięćdziesiąt lat odmłodniał. Po czwarty raz od czasu przybycia do Ameryki, w tych czterdziestu latach, odżyła we mnie silna chęć i nadzieja obaczenia kraju, tylko teraz pewniejsza i żadnej ku temu przeszkody nie przewidująca. Wróciłem tegoż dnia z córką do Santiago, bo nie mogłem sam sobie dać pozwolenia na dłuższą nad dwa dni przerwę w obowiązkach moich. Zachowawszy w tajemnicy to, co się stało, to jest przyszłe zamęście córki i postanowienie moje wracać z nimi do kraju, wziąłem się z większą niż kiedykolwiek gorliwością do moich zatrudnień, mając szczególnie na myśli przywieść do skutku niektóre ulepszenia, jakich wymagała organizacja szkół i Uniwersytetu, tudzież dokończyć prace rozpoczęte w laboratorium chemicznym i urządzić gabinet mineralogiczny.

Rządził natenczas Rzecząpospolitą Pinto, nowo obrany prezes, syn generała, w którego rodzinie byłem — rzec można — domowym przyjacielem. Mogłem więc liczyć na pewno, że po upływie terminu mego rektorstwa, któremu jeszcze niespełna półtora roku nie dostawało, otrzymam dymisją z nauczycielstwa i emeryturę.

Rok nie uszedł, a Leon, mój synowiec, był już na powrót w Chile. Nie było potrzeby śpieszyć ze ślubem; powoli czyniliśmy przygotowania i do wesela, i do zamorskiej podróży.

Tymczasem nadchodził tegoż roku (1877), w miesiącu wrześniu, dzień św. Michała, przeznaczony do nowych wyborów rektora Uniwersytetu. Wcześnie uprzedziłem bliższych moich przyjaciół, o których wiedziałem, że mię po trzeci raz na ten urząd usiłowali prowadzić, że już postanowiłem usunąć się ze służby nie tylko z przyczyny lat moich podeszłych, lecz i dlatego, że potrzebuję odpoczynku i chcę odwiedzić kraj mój ojczysty. Wiedząc o tym, stronnicy Varasa znowu myślili o swoim kandydacie, a radykaliści o swoim.

Nie wiedząc, jak rzeczy stoją, szedłem nieśmiało z Leonem, o południu 27 września, na elekcje, pocieszając go i siebie, że już po ostatni raz im towarzyszyć będę. Znalazłem zgromadzenie liczniejsze niż lat przeszłych: dwóch biskupów, Wydziały Prawny i Teologiczny w komplecie, wielu członków Uniwersytetu przybyłych z prowincji, niezliczoną liczbę uczniów szkolnych i uniwersyteckich. Przywitano mnie okrzykami; sądziłem, że to było na pożegnanie i podziękowanie za moje rektorstwo.

Gdy przyszło do wotowania i policzono tajemne na biletach głosy, ukazała się przeważna większość za mną. Nie byłem przygotowany na podziękowanie i nie podziękowałbym szczerze, bo w tym momencie pomyśliłem, że jeszcze raz odłożyć przychodzi, nie wiedzieć jak na długo, mój do kraju powrót. Ten jednak nowy dowód zaufania i szacunku ukazany mi od Chilijczyków, z którymi od czterdziestu lat byłem sercem i duszą związany, tak mię ujął i zachwycił, że byłem gotów już nie tylko te niewiele lat, które zostawało mi do życia, ale i to życie dla nich poświęcić. Okazało się, że stronnicy pana Varas, i liberalniejsi od nich stronnicy pana Barros Arana[5] nie ubiegali się tą razą upornie za swymi kandydatami, ukazując dla mnie szlachetną przychylność. Wszyscy mi zarówno winszowali, wszystkim dziękowałem z wewnętrznym uczuciem wdzięczności i poważania.

Wróciwszy do domu, uścisnąłem córkę moją, przyszłego zięcia i synów. Nie było się nad czym długo namyślać, rzecz była jasna, że jeżeli będzie wola Boża, to i za pięć lat nie będzie za późno obaczyć nieszczęśliwą moją Ojczyznę, pogościć tam w zaciszy u córki mojej, już polskiej gospodyni, i wrócić do kochanych moich Chilijczyków, aby się im odwdzięczyć za tyle dobroci; tymczasem syn mój starszy, uczeń w seminarium, usposobi się na kapłana, a młodszy okaże, do czego ma ochotę.

W miesiąc potem, 5 listopada, sprawiłem huczne wesele dla córki mojej. W samo południe, przy licznym zebraniu gości zaproszonych i liczniejszych przez ciekawość, biskup diecezji Ancud[6], mój dawny osobisty przyjaciel, miał mszę uroczystą, przy niej przystąpili do komunii państwo młodzi, biskup dał im ślub i przemówił do nich pobożnie. Słońce świeciło jak nasze majowe, ogród się już był cały zazielenił, kwiatów obfitość. Goście nie mieścili się w pokojach, obiad i wiwaty przeszły polskim zwyczajem, po obiedzie zabawa, z zapadłą nocą — wieczerza.

Nie uszło trzech miesięcy, a już nowożeńcy byli na morzu, w podróży do kraju, a ja wróciłem do moich czynności i obowiązków, którym się z równą jak przedtem gorliwością poświęcać zacząłem.

---

[5] Diego Barros Arana (1830—1908), prawnik, dziennikarz i historyk chilijski, profesor historii literatury i dziekan wydziału humanistycznego Uniwersytetu w Santiago (od r. 1867), autor wielu dzieł, wśród których *La historia general de Chile* (Santiago 1884—1886) stanowi najpoważniejszą pozycję.

[6] Francisco de Paulo Solar, biskup w Ancud (San Carlos de Chiloé) w latach 1857—1882.

V. Trzecie i ostatnie pięciolecie mego urzędowania na rektorstwie 1877—1884

Trudniejsze były dla mnie warunki do wykonania w tym trzecim pięcioleciu mego urzędowania niż lat przeszłych. Najbardziej dolegał mi początek głuchoty, która z wiekiem dawała mi się czuć dotkliwie. Rada, której w nieobecności ministra przewodniczyć musiałem, składała się, według nowo przez sejm uchwalonej reformy, z dziesięciu dostojnych, najpoważniejszych osób, ale różniących [się] w zdaniu i pojęciach. Częstokroć nie dosłyszałem mówiących i brać czynnego udziału w obradach nie mogłem.

Nowo zaprowadzone przez izby prawo dawało rektorowi władzę obszerną nad wszystkimi szkołami rządowymi w stolicy i na prowincjach; do niego należało przedstawić prezesowi Rzeczypospolitej kandydatów na nauczycieli, uchybiających zaś w pełnieniu swych obowiązków, niezdolnych lub złego prowadzenia się profesorów zawieszać lub przedstawiać ich ministrowi do usunięcia z posad. Nie miałem sposobu ni środków do rozpoznania prawdy i słuszności w tym, co się działo po zakładach oddalonych od stolicy. Częstokroć boleśnie byłem narażony na popełnienie jakiej niesprawiedliwości, ze szkodą niewinnych, przez nie[ś]wiadomość i fałszywe doniesienia od ludzi powodowanych częstokroć politycznymi widokami.

Wciągnięta była w tym czasie do wojny z Peruwią Rzeczpospolita Chilijska. Ucierpiały nauki, rzuciła się niemała ilość uczniów uniwersyteckich do wojska. Pochwalałem ich gotowość do poświęcenia się na usługi Ojczyźnie, ich ochotę i odwagę, a może i zachęciłem niejednego ze starszych do broni, ale wojna na długo się przeciągnęła, zwrócona zaś uwaga młodzieży ku niej stawała [się] przyczyną niejakiego rozstroju w klasach uniwersyteckich.

Po zajęciu przez Chilijczyków Limy, stolicy peruwiańskiej, gdzie się znajdowały zakłady naukowe dobrze uposażone w narzędzia fizyczne, laboratoria i biblioteki, nader mi było smutno widzieć, że za przykładem naszych europejskich wojen i rabunków upojony żołnierz zwycięstwem posunął się do niszczenia owych zakładów, a co gorsza, rząd chilijski rozkazał przenieść z Limy, stolicy peruwiańskiej, do Santiago Bibliotekę Narodową, znacznie uszkodzoną, i nie mniej w rabunkach uszkodzone gabinety, obserwatorium, narzędzia chirurgiczne i pracow-

nie chemiczne. Więcej niż sto ogromnych pak obładowanych tym nieszczęsnym zaborem przywieziono prosto do Uniwersytetu, a minister oświecenia powołał dekretem mnie i profesora fizyki do ich przyjęcia. Było to dla mnie najniemilsze i pełne odrazy polecenie, przypominające, co z naszymi bibliotekami i zbiorami Uniwersytetu Wileńskiego uczynili Rosjanie. Spostrzegłszy, że wszystkie narzędzia i celniejsze przyrządy były potłuczone, popsute, prawie do niczego niezdatne i brakowało w ogóle przedmiotów, które mogły mieć większą wartość i które potem u kupców ukazały się do przedania, że też i z Biblioteki zaledwo połowę książek przywieziono, które według pewnych wiadomości posiadało miasto Lima, kazałem zrobić dokładny inwentarz przywiezionych rzeczy z wykazaniem stanu, w jakim się znajdowały, i ogłosiłem ich listę w dziennikach rządowych dla przekonania, jak mało dla kraju przyniósł korzyści ten rabunek i o ile się przyczyni do rozdrażnienia umysłu między dwoma pobratymczymi narodami.

Inna też okoliczność w tym trzecim pięcioleciu mego rektorstwa wiele mi nieprzyjemności sprawiła. Po Anibalu Pinto, którego prawy charakter, działalność i umiarkowanie dotąd jeszcze dosyć nie są ocenione, wstąpił na prezydencją Don Federico Errazuris, którego rodzina należała do partii zachowawczej i on sam za młodu do niej należał. Ale gdy został prezesem, dał przystęp do rządu, do izb i do sądownictwa wielu wolnomyślnym i stał się nieprzyjaznym duchowieństwu. Dało się to uczuć w szkołach, w Uniwersytecie i w Radzie Uniwersyteckiej. Pierwej już wniesiono do Rady projekt zgubny, tyczący się nauki religii po szkołach, dążący do tego, aby wymazać z listy klas obowiązkowych tę naukę, nawet dla dzieci, i nie wymagać od uczniów ubiegających się o stopnie uniwersyteckie świadectwa, że się uczyli religii i z niej zdawali egzamin w szkołach gimnazjalnych.

Przeciwiłem się i — o ile mogłem — usiłowałem w Radzie zapobiec temu projektowi, który był z całą siłą podtrzymywany przez trzech dziekanów, sekretarza Rady i samego ministra. Długo toczyły się rozprawy, niekiedy już na moją stronę zdawały się przeważać. Wyznać nie waham się, że od samego wejścia do Rady Uniwersyteckiej obstawałem zawsze za każdą uchwałą mającą na celu naukę i wychowanie religijne tak w szkołach ludowych, stanowiących początkową instrukcję (I. primaire), jako też gimnazjalnych (secondaire). Jeszcze przed trzydziestu laty — jakem powiedział — za ministerstwa mego przyjaciela Tocornala zwiodłem w Radzie bój nie lada o to, aby w mianowaniu bakałarzy do szkół parafialnych radzono się i uwzględniano opinią proboszczów miejscowych i aby arcybiskupowi diecezji w Santiago dozwolony był nadzór nad szkołą n o r m a l n ą dla nauczycieli ludowych. W całym ciągu mego urzędowania starałem się ochraniać seminaria

i prywatne kolegia, odznaczające się lepszym moralno-religijnym wychowaniem młodzieży, od intrygi i szkodzenia im wolnomyślnych bezwyznaniowców, masonów i oportunistów. Nie zrażało mnie to, że nie zawsze byłem wysłuchany. Teraz, gdy szło o radykalną zmianę, o usunięcie religii z liczby wszystkich innych obowiązkowych klas, nie miałem w Radzie więcej nad dwa głosy tegoż co ja zdania, większość przemogła.

Jedno jeszcze niepowodzenie czekało mnie w Radzie przy ostatku mojego w niej przewodnictwa. Od dawna, jeszcze za urzędowania uczonego filologa, rektora Don Andres Bello, niektórzy z członków Uniwersytetu, liberalni beletryści, proponowali usunąć z gimnazjów rządowych naukę łacińskiego języka i literatury jako rzecz przestarzałą, klerykalną, męczącą młode umysły, nie przynoszącą materialnych korzyści (zarobku). Po dwakroć później, chociaż bezskutecznie, ponawiały się też same usiłowania nawet w nauczycielach wyższych klas gimnazjalnych. Korzystając teraz z usposobienia, w jakim zostawał liberalny rząd, licząc na poparcie ministra, jako też sekretarza Rady i dziekana fakultetu, nieprzychylnych łacinie, wniesiono do Rady tenże sam projekt, oparty na wymienionych przyczynach, mający przy tym na widoku dążność nieprzyjazną duchowieństwu, antyklerykalną, antyzachowawczą. Daremne były usiłowania biskupa Larrain[1], dziekana f[akultetu] teologii, daremna decyzja fakultetu filozofii i literatury i moje zabiegi; sam Don Antonio Varas, natenczas radcą mianowany od rządu, stawał po mojej stronie. Więcej niż pół roku ciągnęły się w tym przedmiocie dyskusje bezużytecznie. Większością głosów w Radzie obalono instrukcją klasyczną we wszystkich rządowych gimnazjach, uchwalając na jej miejsce obowiązkowe uczenie się języków nowoczesnych. Łatwo było przewidzieć skutki tego postanowienia w kraju, w którym znajomość gruntowna ojczystego języka polega na nauce klasycznej nauki łaciny. Zostawiono wprawdzie po jednym nauczycielu łacińskiej gramatyki w dwóch czy trzech pierwszego rzędu gimnazjach, ale mało kto chciał się jej uczyć; francuski tylko język był lepiej nauczany, o tyle przynajmniej, o ile go potrzeba do rozumienia książek.

Pomimo tych i tym podobnych niepowodzeń, które w tych pięciu latach na rektorstwie mnie spotkały, a z których najnieprzyjemniejszą i najdolegliwszą dla mnie była głuchota, nie dozwalająca mi brać rze-

---

[1] Ganderillas Joaquin Larrain (ur. 1822), kapłan chilijski, rektor Seminarium, od roku 1851 wchodził w skład Wydziału Teologicznego Uniwersytetu w Santiago, później (1862) Wydziału Humanistycznego, w 1860 r. był dziekanem Wydz. Teologicznego. W wielu kadencjach był posłem na Kongres Narodowy, zwiedził Amerykę i Europę, wprowadzając później w swym kraju niejedną pożyteczną reformę.

telnego udziału w rozprawach Rady Uniwersyteckiej, nie zmniejszała się we mnie miłość i przywiązanie ku Chilijczykom. Z nimi tak byłem spojony sercem i duszą, że już od wielu lat nie byłem ich gościem, przychodniem, ale rodakiem; dbałem o ich dobro, sławę i przyszłość jak swojej rodzinnej Ojczyzny. Mocno mię obchodziła tocząca się wojna z Peruwią. Ubolewałem nad tym, że był to bój morderczy między pobratymczym ludem, cieszyły mię jednak męstwo, waleczność i gotowość do ofiar Chilijczyków, ich szlachetne wyrzeczenie się miłości własnej i zgoda między naczelnikami, należącymi nawet do przeciwnych politycznych partii. Zmieniano, usuwano przywódców armii, a żaden z nich nie unosił się urazą, szkalowaniem tych, co po nich obejmowali dowództwo; stronnictwa nawet polityczne, tak zawsze niepohamowane w obopólnej zawiści między sobą w izbach i na elekcjach, zawieszały między sobą na czas wojny walkę i wzajemne nieporozumienia, szły z sobą o lepsze, które z nich bardziej przysłuży się i dopomoże sprawie. Dopomagali w działalności rządowi jemu nawet nieprzyjaźni i przeciwnicy, mając na względzie to głównie, że pomimo błędów, jakie ich rząd w prowadzeniu wojny popełniał, i niepowodzeń, jakich częstokroć doznawał, głównym dla niego było zadaniem triunf i zwycięstwo. Toteż o mało więcej nad dwa miliony licząca Rzeczpospolita w miesiąc po wydaniu wojny 30 tysięcy miała pod bronią żołnierza i silną na morzu eskadrę, a całą kampanią długą, trudną i kosztowną o dwadzieście stopni szerokości od swojej stolicy na północ prowadzić musiała i pogromiła nieprzyjaciela.

Nie z obojętnienia więc i ochłody w przywiązaniu do Chile, gdzie już czterdziesty czwarty rok mego pobytu upływał, postanowiłem usunąć się ze służby publicznej. Lekcje moje chemii i mineralogii codziennie dawane w aulach uniwersyteckich i nieustanne prace w laboratorium stały się dla mnie niezbędnym, posilnym żywiołem; nie trudziły mię zbytecznie, lubiłem je zawsze jednostajnie i nie porzuciłbym ich, gdyby nie dręczyła mię ta sama myśl, która od przybycia do Ameryki po tylekroć coraz silniej uderzała w duszę, a nigdy nie ostygała zupełnie, myśl połączona z tęsknotą za krajem, myśl, która nie przeszkadzała mi kochać gościnnego kraju i być jemu wiernym, gorliwym o jego dobro obywatelem.

Teraz już lub nigdy. Liczyłem lat ośmdziesiąt życia, nie był to czas do dłuższego namyślania się. Nadchodziły we wrześniu 1882 roku nowe na urząd rektora wybory. Na miesiąc pierwej podałem prośbę do ministra o uwolnienie od obowiązków rektora i nauczyciela w Uniwersytecie, jako też o emeryturę, do której miałem spełnionych czterdzieście lat służby. Od dawna o tym uprzedzony rząd nowo obranego preze-

sa R[zeczypos]politej, Dominika Santa Maria[2], wczesne robił przygotowania i zabiegi za przyjacielem i zwolennikiem swoim, Don Antonio Varas, aby go wynieść na rektora, przeciw kandydaturze nienawistnemu dla niego Don Diego Barros Arana, prowadzonego na ten urząd przez partię radykalnych, wolnomyślnych.

Przede wszystkim należy wiedzieć, że w moc istniejącego prawa prezes mógł mianować rektorem tylko jednego z trzech kandydatów, których przedstawi mu Uniwersytet jako wybranych większością absolutną głosów na zgromadzeniu profesorów i członków czynnych Uniwersytetu, pospolicie zaś był mianowany rektorem ten z kandydatów, który na liście podanej prezesowi pierwsze z rzędu zajmował miejsce. Wotowano na każdego z trzech po osobno: najprzód na mającego zająć pierwsze miejsce, potem w porządku na drugiego kandydata, a w końcu na trzeciego. Nie mógł też prezes Rzeczypospolitej pod żadnym pretekstem ani niweczyć raz dokonanej elekcji, ani nakazać powtórnej.

Choć byłem pewien, że mi rząd nie odmówi dymisji i emerytury, niespokoiło mię to, że upływał tydzień i drugi, a żadnej na moją prośbę nie dawano odpowiedzi. Idę do ministerium i tam się dowiaduję, że prośba moja nie doszła do rąk ministra i że rząd, w interesie swego kandydata, nie bez podziwienia czeka na nią. Domyśliłem się, że była przejęta przez kogoś z zachowawczej partii, która może jeszcze chciała zatrzymać mnie przy rektorstwie. Ponowiłem więc natychmiast moją prośbę i sam ją wręczyłem ministrowi, a tylko dziesięć dni pozostawało do dnia naznaczonego na elekcją.

W pięć dni po dokonaniu prawem przepisanych formalności i obliczeniu lat mojej służby, dekretem z dnia 6 październ[ika] 1882, uwalnia mię rząd od obowiązków rektora i nauczyciela z przyznaniem mi w moc prawa emerytury wynoszącej 2966 piast[rów] 66 cent. rocznie.

We dwa dni potem, 8 października, zbiera się więcej niż sto członków Uniwersytętu w komplecie, Cuerpo Universitario (Korpus Uniwersyteckí), do wyboru rektora. Jako emeryt (jubilat)* idę z pewnością, że już tą razą nie będzie miał we mnie przeciwnika Don Antonio Varas. Jakoż przy pierwszym wotowaniu na pierwsze miejsce w kandydaturze otrzymuje Varas przeważną liczbę wotów, ale niedostateczną, bo nie wynosiła większości obecnych wotujących członków; mniej od niego

* Prawo nawet nie pozwalało wybierać emeryta na urząd, którego on sam z przyczyny choroby czy wieku zrzekł się dobrowolnie.

[2] Domingo Santa Maria (1825—1889), prawnik, polityk i pisarz chilijski. W roku 1845 profesor geografii i arytmetyki, w 1846 powołany na ministra sprawiedliwości, w 1847 r. na podsekretarza Stanu, w r. 1860 zwiedził Europę, w 1863 wezwany został do współpracy w Ministerstwie Skarbu, od 1876 r. piastował szereg godności na Uniwersytecie, w latach 1881—1886 prezydent w Chile.

miał za sobą Barros Arana i — okazało się na kartkach wiele wotów z moim imieniem. Musiano powtórzyć wotowanie na toż samo pierwsze miejsce kandydatury. Byłem jeszcze spokojny, bo się już była okazała widoczna większość za Varasem. Tymczasem stronnicy radykalni Barrosa spostrzegłszy, że się ich kandydat nie utrzyma, rzucają wszyscy wota swoje za mną i z wielkim zadziwieniem moim, a większym prezydującego ministra, przy okrzyku młodzieży, wychodzi z urny większość absolutna kartek za mną, o wiele przewyższająca ilość tych, które otrzymał Varas. W tym momencie powstałem z krzesła i uprosiwszy o głos oświadczyłem wdzięczność moją najżywszą za nowy dla mnie dowód ufności ze strony Uniwersytetu, lecz razem niemożność moją i nieudolność do sprawowania urzędu i godności, które młodszemu i godniejszemu ode mnie obywatelowi powinny być zostawione. Pierwej nim przystąpiono do wotowania na drugie miejsce kandydatury, wyszli z sali prawie wszyscy członkowie wydziału teologicznego, a za nimi wielu z prawnego i innych trzech fakultetów. Zmniejszona tym sposobem liczba wotujących wybrała większością głosów, w dwóch ostatnich, jedno po drugim następujących wotowaniach, Varasa na drugie miejsce listy kandydatów, mającej się przedstawić prezesowi Rzeczypospolitej, a Barrosa na trzecie.

Taki był wynik elekcji, który po piąty raz stawił mię na pierwszym rzędzie do ważniejszego teraz i trudniejszego do sprawowania niż kiedykolwiek urzędu rektora.

Z tej przyczyny Don Domingo Santa Maria i jego minister, od trzydziestu lat mój przyjaciel, Don Eugenio Vergara, w większym ode mnie znaleźli się kłopocie. Ja byłem już od nich z powodu podeszłych lat moich emerytowany, wiedzieli, że gotuję się do opuszczenia Chile i rektorstwa nie przyjmę; Varas, słusznie obrażony za to, że go — po tylekroć od czterdziestu lat pierwsze dostojeństwa w państwie piastującego — na drugim rzędzie (i w małej liczbie przyjaznych głosów) w liście umieszczono, oświadczył prezesowi i ministrom, że uważałby to sobie za ujmę honoru i szacunku, gdyby go rząd (przeciwko przyjętemu zwyczajowi, jako drugiego z rzędu) mianował rektorem; Barrosa zaś, jako osobistego nieprzyjaciela rządu i ultrawolnomyślnego, mogącego zaprowadzić politykę i waśnie tak między profesorami, jak i młodzieżą, za nic prezes Santa Maria nie chciał wynieść na rektora. Nie miał też prawa rząd nakazać Uniwersytetowi nowe wybory i unieważnić dokonane. Na próżno szukało ministerium sposobu do wyjścia legalnie z tej przykrej sytuacji; nie śmiano obrażać Varasa, daremne były narady; czas upływał, Uniwersytet był bez rektora.

Na trzeci tydzień po elekcji pisze do mnie, 23 paździer[nika], minister, że ma do pomówienia ze mną, i przy widzeniu się, na osobności,

przedstawia mi stan rzeczy. Skrajna opozycja naglila rząd do mianowania rektorem Barrosa jako jedynego, który by nie odmówił przyjęcia tej godności, a z tego mianowania wyniknąłby nieporządek w szkołach i Uniwersytecie; w izbach gotowano się do interpelacji. Varas był obrażony. „Jeden więc tylko pozostaje środek — rzecze minister — i jest ten: przyjm pan na rok, na dwa lata, na czas, jaki ci się podoba, nominacją na rektora, a potem podasz się do dymisji, rząd ją przyjmie i nowe nakaże wybory".

Zrazu nie chciałem na to się zgodzić, potrzebowałem czasu do namysłu. Naradziłem się nad tym z przedniejszymi obywatelami z partii zachowawczej, gorliwymi o wychowanie moralne młodzieży. Między nimi znajdował się też przybyły w tym czasie mądry i cnotliwy biskup diecezji Concepcion, Solar[3]. Za ich zgodą wróciłem nazajutrz do ministra i już tylko targ toczyłem o to, na jak długo mam się obowiązać do pełnienia na nowo obowiązków rektora, abym zapewniony mógł być od rządu, że bez żadnej potem przewłoki przyjmie moją dymisją. Minister dał mi słowo, że jeśli przyjmę nominacją na rektora, rząd pod koniec roku szkolnego i po rozpoczęciu nowych kursów szkolnych (w 1883 [r.]) przyjmie moją dymisją. Zawarowałem sobie, że chociaż uwolniony ze służby nauczycielskiej, zostanę przy moich kursach i laboratorium do końca roku i przez cały rok 1883 bezpłatnie, przestając na emerytalnej pensji, aż póki nie przybędzie na moje miejsce profesor, którego się spodziewano w roku następnym z Freibergu. Przewidywałem bowiem, że bez lekcji i moich zatrudnień w pracowni chemicznej i mineralogicznym zbiorze, do których od czterdziestu czterech lat byłem nawykły, trudno byłoby mi wytrzymać do końca roku, mając na myśli konieczny powrót do kraju.

Octobra 31, r. 1882 wyszedł dekret mianujący mnie rektorem na lat cztery, licząc ten czas od dnia 8 październ[nika], to jest od dnia ostatniej elekcji (uchwalone bowiem było przed trzema laty prawo skracające termin urzędowania rektora od pięciu lat do czterech). Wróciłem tedy raz jeszcze, choć z niewielką ochotą, do pełnienia obowiązków rektora.

Nastąpiły we dwa miesiące potem wakacje, wśród których wykonałem ostatnią moją podróż po Chile aż do granic Araukanii, lecz już nie konno jak w 1844 [roku], ale po żelaznej kolei, po wspaniałym moście na Biobio i z dwoma dorosłymi synami. Jakież było moje zdziwienie, gdym na tych polach, które przed czterdziestu laty były puste, po których dziki człowiek uganiał za dzikim lub się zakradał na mniej dzikszego, dziś obaczył obszerne łany zboża, winnice miejscami, koleje, sta-

---

[3] Oczywista pomyłka. Biskupem diecezji w Concepción był wówczas (od roku 1854) J. H. Salas, a Francisco de Paulo Solar biskupem w Ancud (od roku 1857).

cje murowane i przy nich wory z pszenicą, paki towarowe z nadpisami angielskimi, druty telegraficzne i nowe osady.

Na początku marca 1883 [r.] po ostatni raz zająłem się wpisem przybywających do Uniwersytetu uczniów; do tysiąca dochodziła ich liczba. Otworzone zostały kursy na trzech fakultetach, poprzedzone egzaminami, i ja rozpocząłem lekcje moje chemii i mineralogii. Miałem w tym roku więcej sta uczniów chemii i dwudziestu mineralogii, a lekcje były codzienne o południu; nie trudziły mnie, miały zawsze dla mnie jednakowy urok.

Nudziły mię tylko i frasowały sesje tygodniowe Rady Uniwersyteckiej, na których dosłyszeć nie byłem w stanie siedzących opodal ode mnie rodziców i dziekanów, a sprawiał ból oczu zawieszony przede mną ogromny żyrandol od migających świateł gazu węglowego. Rozprawy ciągnęły się do północy.

W połowie maja posłałem do rządu prośbę o zupełne uwolnienie mnie od urzędu rektora i niezwłocznie, 30 maja 1883 [r.], uwiadomił mię minister o jej przyjęciu. Odtąd oddałem się już z większą przyjemnością wyłącznie lekcjom moim i pracowni chemicznej.

Czerwca 5 [roku] 1883 Rada Oświecenia Publicznego, do której od roku 1846 nie przestawałem należeć, uchwaliła mi podziękowanie za tyloletnie usługi. W lipcu tegoż roku Izba Deputowanych prawie jednomyślnie przeznacza dla mnie pensji rocznej dożywotniej 6000 piastrów, wypłacalnej w kraju czy za krajem, gdzie bym się znajdował, uchwala tę pensją jako dowód wdzięczności, pension de gratitud. Senat i prezes potwierdżili wnet tę uchwałę i doniósł mi o niej listem nader uprzejmym minister oświecenia.

Ta niespodziewana dla mnie hojność parlamentu, w którym większa część posłów i senatorów składała się z dawnych uczniów Uniwersytetu, tym droższa i cenniejsza była dla mnie, żem o nią najmniejszych nie czynił zabiegów i nie wiedziałem, że się tym przedmiotem zajmować będą izby. Żaden z wyższych urzędników, generałów dywizji, prezesów trybunalskich tak wysokiej emerytury nie posiada w Chile. Nader sumienna i skrzętna była zawsze i jest administracja skarbu w tym kraju. Nikt się tu na urzędzie nie spanoszył. Każdy prezes i jego ministrowie schodzą pospolicie z urzędowania z takim, jaki mieli, lub uszczerbionym funduszem. Anibal Pinto, za którego rządów prowadzona była czynnie i z wielkim wysileniem wojna, ku czemu miał do rozporządzenia miliony, tegoż dnia, w którym złożył insygnia prezesowskie, najął dla siebie i swojej familii na przedmieściu, blisko mnie, dom mniejszy od mojego, a kiedym tegoż dnia poszedł mu powinszować jego zejścia z tak wysokiej godności i zapukałem do bramy, sam mi ją otworzył, nie miał odźwiernego.

Ukończyłem tego roku moje kursy chemii i mineralogii, jako też geologii, na początku grudnia. Tegoż miesiąca zdali moi uczniowie egzaminy. Dwa miesiące wakacyjne, styczeń i luty, przepędziłem w gabinecie mineralogicznym, klasyfikując w nim kilka tysięcy minerałów nagromadzonych w ciągu lat wielu mego pobytu w Santiago. Spisałem inwentarz tych okazów, układając je stosownie do systemu, jaki zachowałem w trzecim wydaniu mojej *Mineralogii,* do której z prac moich tegorocznych t r z e c i d o d a t e k (apendice) ogłosiłem drukiem i ostatnią małą rozprawę (notice) posłałem do „Annales des Mines" do Paryża.

W marcu odwiedziłem mego więcej niż od czterdziestu lat najwierniejszego przyjaciela i powiernika, Don José Hermojenes Alamos, i w jego obszernej majętności San Lorenzo chodziłem ostatni raz po porosłych kaktusami górach.

Wróciwszy do Santiago, już od początku maja zajmowałem się wyłącznie przygotowaniami do podróży i pożegnalnymi odwiedzinami, których do sta potrzeba było odbyć, aby się z całą publicznością rozstać przyjacielsko. Uprzejme było pożegnanie ze mną prezesa, rzewne i serdeczne z krewnymi śp. żony mojej, szczere i otwarte ze wszystkimi, ze wszystkimi jakby do widzenia.

O zachodzie słońca 21 maja (1884) poszedłem z synami na cmentarz, tam uklękłszy na grobie żony mojej i pomodliwszy się, z uszczkniętą gałązką cyprysu wróciłem do domu. Nazajutrz, zaledwo rozwidniało, jeszcze w gronie krewnych i przyjaciół zjedliśmy śniadanie, a zostawiwszy stół, łóżka i pokoje, jak gdybyśmy mieli nazajutrz wrócić do domu, ruszyłem z synami, z liczną gromadą przyjaciół do stacji kolejowej, gdzie na nas czekało liczniejsze jeszcze zebranie byłych uczniów i obywateli.

Zostało spokojne moje od trzydziestu czterech lat mieszkanie, dom i ogród na opiece Bożej, przy dozorze jednej poważnej przyjaciółki domu i wiernego od wielu lat, zasłużonego ogrodnika.

TOM PIĄTY

POWRÓT Z CHILE DO EUROPY W 1884 ROKU

Przedostatni rozdział moich dalekich podróży. — Powrót z Ameryki

CZĘŚĆ PIERWSZA

I. Wyjazd z Chile. — Żegluga. — Paryż

24 maja 1884 — jesień. Jakże przybycie moje do Chile, gdzie czterdzieście sześć lat przeżyłem, niepodobne było do dzisiejszego stąd wyjazdu. Przypomnijmy sobie, porównajmy.

17 maja w 1838 roku o świcie śnieg gęsty padał, wiatr mroźny, zamiecie; trzechsetmilową konną po stepach podróżą zmęczony, szarym emigranckim owinięty płaszczem, zziębły, skurczony, na chudej szkapie, bez grosza, dosięgałem wysokiego, o 500 m n. [p.] m. podniesionego grzbietu Kordylierów. Oczu trudno było otworzyć, oddech ciężki, droga szła stromo, zawiana. Leniwa, twardego karku mulica czuła, żem nią kierować nie umiał, już gdzieś na bok ku przepaści ciągnęła; podbiegł arriero*, schwycił za uzdę, mnie i ją uratował. Z trudem, Opatrznością Bożą wiedzeni, ledwo o południu do pierwszej dobiliśmy kasuczy**, pustej chałupy, jednej z tych, które za rządów hiszpańskich pomurowane były przy drodze na ratunek podróżnych, burzą zachwyconych. Tam na gołej ziemi, z niemiłym orszakiem, w dymie od tytoniu i kurzącego się krzewu, którego brzemię przywiózł na ogrzanie przezorny arriero, reszta dnia i noc cała przeszły leniwie, a burza nie ustawała, wysokie nasypy śniegu nas dokoła osaczyły. Ciężko dziś pomyśleć, z jaką biedą odkopywać się z nich przyszło, kiedy pędzone wichrami obłoki rozsuwać się poczęły i choć przymglone ukazało się słońce. Mgły jakby straszną powodzią zeszły na dolinę i napełniały wąwóz, po którym spuściliśmy się na zachodni skłoń olbrzymich Andów. Pogodniejsze niebo przywodzi mię nad Ocean; jego pustym nadbrzeżem jeszcze sto mil drogi na północ; szum morski, skały i skały, i rozbijające się po nich fale nie rozweselają umysłu; kraj obcy, język obcy, ni jednej duszy znajomej.

Takie było moje przybycie do Chile.

23 maja 1884 [r.] W pięknej, wspaniałej stolicy, o sto pięćdziesiąt tysięcznej ludności, niezliczony orszak przyjaciół i przedniejszych oby-

---

* Arriero — przewodnik i właściciel mułów.

** Casucha — chałupa.

wateli, posłów i senatorów Rzeczypospolitej, dwaj dorodni synowie i liczni krewni śp. żony mojej, młodzież szkolna i uniwersytecka towarzyszą mi do stacji drogi żelaznej. Huczne okrzyki „Viva! Viva!” Gra muzyka hymn narodowy chilijski; wiodą mnie do przygotowanego wagonu, w którym tylko sam prezes, ministrowie i uprzywilejowane osoby jeżdżą. Tu jeden uczeń Instytutu przemawia do mnie winszując, że obaczę kraj mój rodzinny, i powołuje, abym powracał szczęśliwie do tej drugiej Ojczyzny sercem zdobytej. Wzruszony, sił mi zaledwie wystarcza na wykrzyknienie: „Viva Chile!” Znowu muzyka, okrzyki, trzykroć ryknęła lokomotywa; jedziemy. Trzech dawnych moich uczniów, z nich jeden dziś senator, a dwaj posłowie do sejmu, i grono profesorów przeprowadza mnie do portu Valparaiso, gdzie nowe owacje, proszone obiady dwa dni jeszcze trwają. Trzeciego w końcu [dnia] żegnają mię na pokładzie potężnego parowca „Brytania” ojciec Augustyn, przełożony misyj na Oceanie Południowym, prezes senatu Don Rafael Larrain, wielu obywateli przybyłych z Santiago i ze łzami kochane siostry żony mojej, Doña Lucrecia, Doña Matilda, córki ich, w towarzystwie wielu dam spowinowaconych z nami.

Taki był mój wyjazd z Chile.

Słońce już dotykało morza, zagruchotały łańcuchy od kotwicy po pokładzie okrętowym; krótkie, gwarliwe — jak zazwyczaj — wszczęło się [zamieszanie] przy ostatnim pożegnaniu; czółna portowe odpływać zaczęły, a na nich w oddaleniu widać jeszcze było białe chustki w górę wywijane.

Ze zroszoną źrenicą, a niepokojem w sercu zszedłem do kamaroty; płyniemy.

Bądź zdrowe, Chile!

Dzięki Tobie za moje 46 lat w Tobie pracowitego życia, za Twoją gościnność, za dane mi od Ciebie obywatelstwo, za rodzinę, za szacunek, jaki znalazłem u Twego narodu, za hojne opatrzenie na ostatek życia, za duchowe osłody i pociechy, którymi Bóg mnie w Twoich kościołach obdarzył i starość moją zasilił.

28 maja. Noc w ciężkich snach i marzeniach przeszła; sen przerywały powikłane myśli, noc długa, nadzieję traciłem, czy się skończy. Dzień też był przewlekły, na wpół niesmakiem choroby morskiej zaprawiony.

29 maja. O południu zatrzymuje się parowiec dla opatrzenia się w węgiel, w zatoce Coronel, o jakie sto mil naszych na południe od Valparaiso. Pokłady kopalnego węgla podchodzą tu nie wiedzieć jak

daleko pod morze, a okręt nasz przez dwanaście godzin kołysał się na fali o paręset metrów nad pracującymi pod nim górnikami.

Z nudy przybliżyłem się do siedzącego opodal znudzonego jegomościa, szlachetnego wejrzenia. Prędko przyszło do znajomości; dziwna rzecz, zawsze coś emigranckiego lgnie do emigranta. Był to świeżo zrzucony z tronu prezes Rzeczypospolitej Peruwiańskiej, Garcia Calderon. Należał tam do partii tak nazwanych cywilistów, kiedy wybuchła nieszczęsna wojna między dwoma bratnimi narodami, Chile i Peruwią. Zwyciężona ta ostatnia, zajęta jej stolica przez Chilijczyków; trzeba im było wejść z kim w układy, a nie było prezesa, ni izb, ni ministrów w Limie. Dwaj ostatni prezesowie peruwiańscy byli na wygnaniu, a nowy pretendent do prezesostwa uwijał się jeszcze z resztą nie pobitego wojska w Kordylierach. Prawnik, adwokat z powołania, Garcia Calderon był przez zebranych obywateli obwołany prezesem, przyjął ten obowiązek niechętnie. Trzeba mu było wejść w jakie układy z Chilijczykami, ażeby się pozbyć nieproszonych gości, a wymagania zwycięzcy nie zawsze — jak wiadomo — są łagodne. Układy szły jak z kamienia, a do tego trzeba było nowemu prezesowi uspokoić na razie bezrząd w kraju i swoich, i cudzych rabusiów. Posyła na ich uśmierzenie Calderon pierwszy lepszy zebrany naprędce oddział żołnierzy, a i ten przyłącza się do montonerów (gierylasów, przeciwników rządu). Utrudnia się tym jeszcze bardziej bieg układów z Chilijczykami, którym chodziło o ich przyśpieszenie, aby odesłać część swego żołnierza do domu. Reszta historii jak zawsze, jak wszędzie; trudno prawemu człowiekowi bojować długo jednocześnie i ze swoimi, i z nieprzyjacielem kraju, i ze sobą. Garcia Calderon był na zawadzie; silniejsi, to jest Chilijczycy, porwali go, uwieźli i jeńcem osadzili go w małym miasteczku San Bernardo. Teraz mu pozwalają odjechać, ale nie do swojej ojczyzny, bo i on sam może nie żądał zaraz wracać, aby się nie spotkać z partią mu przeciwną.

Płynie więc teraz do Buenos Aires, smutny, zażalony tak na Chilijczyków za to, że go o nieszczerość, o zmowy z patriotami Peruwii posądzano, jak i na swoich, którzy nie tylko że mu kraj do porządku przywrócić nie dopomogli, ale o przychylność dla nieprzyjaciela oskarżali. On jednak o nikim źle nie mówił, nikogo nie oskarżał, ani swoich o zdradę, ani nieprzyjaciela o złą wiarę. Spokojnie o swojej niewoli mówił dostojny wygnaniec: „Niepotrzebnie — rzekł — rząd chilijski podczas mojej niewoli obawiał się, żebym nie umknął do Peruwii lub się potajemnie nie znosił z tymi, co dziś rządzą w Limie; nie wiedział, że tam rządzą moi nieprzyjaciele i gdybym się tam pokazał, kazaliby mnie rozstrzelać".

Choć wiedział Garcia Calderon, że byłem obywatelem chilijskim i stronnikiem rządu, szczerze i przyjacielsko ze mną rozmawiał o ostat-

niej wojnie i swoich przygodach. Była jedyną pociechą i osłodą dla niego młoda, nadobna żona, która z nim niedolę podzielała, i małe dzieciątko. Przyjemne wiodłem z nimi rozmowy, przypominając sobie, jak też niejeden z naszych dostojnych wychodźców po świecie jedyną miał pociechę w żonie i małym dziecku, które Bóg mu zachował na osłodę.

A dziś między wychodźcami zdarzy się wszakże napotkać i jakiego mocarza pozbawionego tronu, który własnym swoim rokoszanom czy obcemu pogromcy mógłby powiedzieć: „Jeżeli mi nie pozwalacie panować, to dajcie przynajmniej chleb spokojnie na mojej ziemi pożywać".

1 czerwca. Niedziela i uroczystość Zesłania Ducha Św. O świcie, za pozwoleniem komendanta parowca, odprawił mszę płynący z nami ojciec łazarzysta, przy posłudze jednego z naszych towarzyszy, o. jezuity, a byli na mszy Garcia Calderon z żoną, dwie mniszki, jeden Hiszpan i ja z dwoma synami.

O południu dnia tego czytałem listy Zana, umieszczone w „Kronice Rodzinnej", którą przyniesiono mi z poczty prawie na wsiadaniu na okręt. Przeniosły mię te listy duszą o siedmdziesiąt lat życia, w młodsze laty, kiedy się to świat zwodziciel piękniej uśmiechał, a kiełkowała już ochota do dalekich podróży w niedojrzałej głowie. Dziś już mi nikt nie powie, żem się zanadto zasiedział w domu. Promienisty mój pan Tomasz [nie przypuszczał], że w pięćdziesiąt lat po ich napisaniu czytać je będę o pięć tysięcy mil od Orenburga, na Oceanie Spokojnym.

Pod wieczór, nie mając nic do roboty, poszedłem oglądać kotły, piece i machiny okrętowe. Patrząc, jak Anglik rzucał węgiel do zarzewia i jak to — rzekłbyś — piekielne pieczywo gnało nas chyżo po morzu przeciw wiatru i fali, przypominałem sobie, co o tym nowa nauka mówi.

Miłe człowiekowi ciepło słoneczne i światło żywi całą roślinność, począwszy od najlichszej trawy aż do olbrzymich drzew leśnych, nagromadza w nich węgiel połączony z wod[or]em i tlenem i jakoś nic z tego ciepła nie ginie; bo kiedy teraz drzewo to, pozbywszy się wody, węgiel swój, w rozpalonym piecu, połączy z tlenem powietrznym, ciepło owo słoneczne, może od wieków w nim utajone, wychodzi na wolność, wiedzione do kotła przerabia w nim wodę na parę, a para wodna wparta do cylindrów ciśnieniem swoim porusza tłoki (stemple), od nich ruch udziela się szrubie okrętowej, rozcina fale i pędzi nas, dokąd chcemy. Ciepło przeistacza się w materialną odpowiednią mu siłę, a nieświadomy tego sternik, nie spuszczając oka z igły, kieruje naszą „Brytanią" pewniej może i zręczniej niż Wielką Brytanią jej ministrowie.

3 czerwca. Cieśnina Magellańska. Przez trzy dni i trzy noce płynęliśmy na południe. Jak nami miotały fale, ile się nacierpieliśmy z nudy

i choroby morskiej, o tym warto zamilczeć. Kapitan zaręczał, że nigdy szczęśliwszej nie doświadczył żeglugi, trzeba było wierzyć.

Trzeciego czerwca znaleźliśmy się u wejścia do Cieśniny Magellańskiej, w miejscu, gdzie pospolicie gwałtowne burze panują, gdzie dno i brzegi oceanowe najeżone skałami, niebo pospolicie pochmurne, mgły, prądy straszliwe wielkiej wymagają ostrożności, wiele okrętów co rok się rozbija. Dla nas niebo było łaskawsze.

O świcie, głowę wychyliwszy z kamaroty, ujrzałem trzy ostrokręższne skały, jedna za drugą wynurzające się z morza; był to Cap Pilar, od wieków świadek tysięcznych klęsk i rozpaczy. Cieśnina u wejścia do niej od zachodu tak jest szeroka, że z południowego jej brzegu, poza którym płynął nasz okręt, ledwo widny był brzeg jej północny, lecz skorośmy się zawrócili na wschód, przyjemnie było patrzeć, jak się oba brzegi przybliżały do siebie. Ranek chłodny i nadęte obłoki na niebie były jak nasze listopadowe, ale na szczęście nie było mgły ani siln[ego] wiatru. Widać było, jak łańcuch Kordyliery Andów, najdłuższy z gór na świecie, istna kość pacierzowa amerykańska, przychodzi z północy, wyszczerbia go tu Cieśnina, ale nie niweczy; ciągnie [się] ten łańcuch, nie zmieniając kierunku, na południe, przez całą Ziemię Ognistą, Terra de Fuego, otula od zachodniej strony i kończy się na przylądku Horn, na ostrym końcu amerykańskiego lądu.

Około południa wchodzimy w tę ogromną szczerbę Andów, Cieśnina już i pół mili nie ma szerokości.

Ileż to razy, mój Boże, z młotem i barometrem na plecach, szczeblując po tych Kordylierach, śledząc wiek i układ ich warstw, miejscami jakby świeżo morskimi konchami napełnionych, miejscami jaką wulkaniczną skałą lub metalicznymi żyłami poprzerzynanych, a wszędzie ogromem rozmaitego składu porfirowych i granitowych mas pokruszonych, powyginanych, czułem gorącą żądzę i ciekawość widzieć, co się też we wnętrznościach tych gór dzieje. Prości górnicy twierdzą, że tam, we środku, żyły srebrne, złote i miedziane rosną jak drzewa na ziemi, a niedobre duchy je polewają.

Otóż masz; patrzę dziś w tę szczerbę; od obu stron, od południa, od północy stromo, na dwa tysiące metrów wysokości, od góry do dołu przecięte Andy odsłaniają pierś swoją i tajemnice wnętrza. Patrzę, wzrok wytężam, ledwo mi na łeb oczy nie wyłażą; chciałbym okręt zatrzymać; nic nie widzę, nic, czego bym po tylu latach podróży moich nie widział.

Na z lekka przyprószonych świeżym śniegiem stokach gór wyraźniejsze były przedziały i zetknięcia się rozmaitych warstw, ich kierunki, nachylenia i położenie, jakie zachowały względem niewarstwowanych skał, które jądro tych Andów tworzą i podwalinę. Na tych bowiem prze-

działach i szczelinach, jakie pospolicie tworzą się między skałami niejednakowego składu i utworu, lepiej lgnie i trzyma się śnieg niż na gładszych spadzistościach i jednolitych pokładach.

Patrząc na północne przecięcia Andów, to jest obrócone ku południowi, widać na nich wyraźnie warstwy pokładowe pochylone na wschód, a zapadające w przeciwną stronę, ku zachodowi, do morza. Ten sam system, czyli układ warstwowanego pokładu, widać i na południowych przecięciach (obróconych ku północy), tylko z tej strony daje się lepiej spostrzegać, jak ten pokład opiera się na masach innej natury, nie porysowanych w pręgi równoległe, takiego na zewnątrz wejrzenia, jak się pospolicie ukazują granitowe i porfirowe skały; z tej strony góry wydają się też być bardziej zaokrąglone. Podziały i warstwowania skał na północnym przecięciu Andów nie odpowiadają tym, jakie się rysują na południowym, tak że ta szczerba w łańcuchu gór, dzisiejsza cieśnina morska, musiała powstać z gwałtownego oderwania się południowej części Andów ze zmianą poziomu i potem może ze zmiękczenia, rozkładu i rozmycia przez prądy morskie tej części skał, które się tu wśród owej katastrofy były podniosły czy później usadowiły. Młot tylko i wycieczka w góry mogłyby co wyjaśnić z tego, gdyby tu — jak się często przydarzyło niegeologom — okręt osiadł na mieliźnie.

Mając uwagę zwróconą na góry, nie spostrzegłem, jak wypłynęliśmy na tak nazwane przez żeglarzy kanały, gdzie cieśnina zwęża się do mniej niż na pół mili szerokości od brzegu do brzegu. Nie czuło się zimna, parowiec bez chwiania się płynął jakby po cichym jeziorze; ogromne pelikany, kaczory i inne nieznajome ptaki pływały spokojnie opodal; po nizinach ukazywała się ciemnozielonawa roślinność, śniegiem miejscami przybielona, ale nad nią — jak okiem zajrzeć — nagie skały, urwiska, kamienne straszydła i na szczytach — lodowiec tam sam zabłyśnie, nigdy może nie topniejący.

Już poczynało szarzeć na niebie, kiedyśmy z tych kanałów na otwartsze zatoki wchodzili, na których poczynają ukazywać się wyspy, ląd Terra de Fuego odsuwa się na południe, jesteśmy już po drugiej stronie głównego pasma Kordylierów. Tu jeszcze, tak od północy, jak od południa, widać wschodnie ich ogniwa jakby podpory od Atlantyku. Z nich wabiły mię do siebie mianowicie jakieś trzy potężne góry ostrokrężne, z kształtu i położenia podobne do wulkanicznych gór Osorno i Calbuco, u stóp Andów nad jeziorem Llanquihue leżących.

Tu się poczynała najpiękniejsza część Cieśniny Magellańskiej, o której podróżnicy, między nimi rozkochany w niej Anglik Cunningham[1],

[1] Prawdopodobnie Richard Cunningham (1793—1835), botanik, autor dzieła *Two Yers in the New South Wales* (1827), który w wyprawie dla zbadania rzeki Darling został zabity przez krajowców.

dziwne rzeczy powiadają. Według nich są tu wyspy bogate w wielką rozmaitość ptastwa i tegoż rodzaju co południowe chilijskie drzewa, krzewy i kwieciste zioła; tu dochodzą jeszcze na południe palma chilijska, fuksje, bromelie[2], a z ptaków ma być jakiś gatunek kolibrów i szarozielona papuga. Na tych między wyspami zatokach ukazywać się zwykli nadzy na czółenkach dzicy Fueginy, żyjący tylko morskimi mięczakami i tłuszczem od fok, mieszkańce owej ziemi Terra de Fuego, która dotąd w takim stanie została, jak była przed odkryciem Ameryki.

Nic z tego, ni owych wysp, ni dzikich ludzi nie widziałem. Noc zapadła, przy bladym świetle księżyca okrążyliśmy południowy brzeg Brunszwickiego Półwyspu i ów szkaradnej dla Anglików pamięci Port Famin (Port Głodu). Wiadomo, że przez pierwsze sto lat po odkryciu Ameryki, kiedy Hiszpanie byli nieustannie i z wielkim mozołem zajęci zakładaniem miast, upatrywaniem miejsc najdogodniejszych na osady, mianowicie portowe lub niedaleko położone od morza, Anglicy wysyłali tylko korsarzy swoich na łupiestwo osad nadmorskich hiszpańskich. Jeden ze znamienitych wędrowców i osadników hiszpańskich, Sarmiento[3], zostawił tu licznych swoich towarzyszy, a sam popłynął po żywność dla nich do Hiszpanii. Wzięty od korsarzy angielskich na morzu, zawieziony był jeńcem do Anglii, a cała osada hiszpańska z głodu wymarła. Dlatego przezwano to miejsce Portem Głodu, a odtąd nie odważyli się Hiszpanie ani żaden inny naród tworzyć osad na całej Cieśninie Magellańskiej aż do roku 1840—1844, w których to latach Rzeczpospolita Chilijska poczęła zakładać osadę we wschodniej części tej Cieśniny, na brzegu Patagonii, w Punta Arenas, i posyła tam osądzonych przez trybunały.

4 czerwca. Ostrożny kapitan w obawie podwodnych skał zatrzymał się około północy daleko od brzegu, wkrótce mgła nadeszła. Wśród ciemnej nocy przypłynęło do nas na czółnie, z niedalekiej osady chilijskiej z Punta Arena, dwóch Chilijczyków z futrami na przedaż. Były to futra ze źwierząt, które w wielkiej ilości znajdują się w całej Patagonii, a między nimi najcenniejszy jest dla dzikich Patagonów guanaco. Piękne to, lekkie, wyniosłej szyi, łagodnych oczu, całe żółtawego koloru z białym podbrzuszem, wyższe nieco od sarny źwierze, jakby mały wielbłądek na stepie, jest jedynym dobrodziejstwem dla tego kraju. Tak jak

[2] Rośliny z rodziny *Bromeliaceae*, występujące w bardzo licznych gatunkach, właściwe lasom zwrotnikowym Ameryki; najbardziej znanym ich rodzajem jest ananas.

[3] Pierre Sarmiento de Gamboa (zm. ok. 1580), żeglarz hiszpański, w swych podróżach dotarł do Cieśniny Magellana i za zgodą Filipa II przedsięwziął budowę fortu dla regularnej żeglugi, zmarł w niewoli angielskiej, szczątki mieszkańców Port-Famine powróciły do ojczyzny w roku 1587.

to źwierze swobodny jeszcze Patagon, kształtny, urodziwy, choć nie tak wysoki, jak go malują, zdaje się należeć do jednego z najszlachetniejszych pokoleń amerykańskich. Jak Araukanina góry pokryte lasami, Fuegina burze morskie i brzegi skaliste, tak Patagona step suchy bronił dotąd od napadów i natrętnych cywilizatorów. Patagon, nie tak jak jego pobratymcy Pampasy, nie był nigdy napastcą, pasterzem czy rolnikiem; jest to łowiec; ze skór guanaków, które upoluje, wyrzyna kawałki miększe i piękniejsze, zszywa je dobrze i z nich robi duże kwadratowe jakby kobierce, żółte z białymi szmatami; służą mu one za jedyny ubiór i odzienie. Okręca tą zszywaną skórą na wywrót swoje ciało, a grubą, gęstą czuprynę jakąś taśmą podtrzymuje.

Tymi też skórami prowadzą handel z osadą chilijską i od niej otrzymują za zapłatę chleb i paciorki, rozmaite błyskotki dla swoich kobiet. Oprócz guanakowych podobnymż sposobem zszywają też skóry strusiowe, z szarych stepowych strusiów, które w wielkiej obfitości znajdują się na równinach, i piękniejsze jeszcze wyrabiają futra czarne z białymi podłużnymi centkami z mniejszych czworonożnych źwierzątek, jeżeli się nie mylę, zwanych chinge (czinge). Ze skór przyniesionych na pokład kupiłem jedno wielkie guanakowe futro za trzy livry[4] sterlingi, drugie mniejsze za dwa i pół.

Kiedy rozwidniało i mgła opadła, pędem biegła „Brytania", zupełnie zmieniony odkrył się przed nami widok przyrody. Góry zostały daleko za nami, nie było już wysp, cieśnina w szeroką przetworzyła się zatokę. Brzegi jej południowe zaledwo może na kilka metrów podnosiły się nad poziom wody, za nimi nieprzejrzane okiem ciągnęły się równiny Ziemi Fueginów, od północy brzegi też Patagonii płaskie, suche, nic miłego nie okazywały dla oka. Pustynia na prawo i na lewo, stepy, tylko daleko w północnej stronie widać jeszcze było jakiś odłamek od dalekich Kordylierów, pasmo górzyste skierowane ku wschodnio-południowi. O te puste, niegościnne brzegi i daleko za nimi ciągnące się na północ i na południe nieużyteczne płaszczyzny długie też ciągnęły się spory Chile z Rzecząpospolitą Argentyńską, do kogo z nich należeć miały. Chodziło mianowicie o to, kto miał być panem wejścia od wschodu do Cieśniny Magellańskiej, jak gdyby wejścia do Suezu, Sundu czy Gibraltaru, choć od odkrycia Cieśniny wchodzą i wychodzą przez te wrota i przechadzają się po niej okręty wszystkich narodów, nie pytając się, do kogo należy. Na szczęście nie wdały się w tę sprawę wielkie potencje. Dobrzy sąsiedzi zgodzili się przyjąć za granicę między dwiema rzeczypospolitymi linię demarkacyjną, która dziś oznaczona na mapie Chile i Buenos Aires odrywa się od południowych Andów Chilijskich w kie-

[4] livre (fr.) — dawna francuska nazwa funta.

runku południowo-wschodnim, dotyka prawie wejścia do Cieśniny od strony Atlantyku, i od punktu, w którym ta linia przecina brzeg północny Cieśniny, pociągnięta druga linia na południe, równolegle do południka, przez całą Ziemię Fueginów. Tak się nią ładnie (nie pytając się ich) podzielono, że dziś ta jej część, która leży na wschód za linią, ma należeć do Buenos Aires, a ta, która na zachód — do Chile. Nie wiedzą tylko o tym Patagonie i Fuegini.

Przez cały ranek płyniemy po spokojnej, coraz bardziej rozszerzającej się cieśninie; nic się nie zmienia w widokach po obu stronach; niskie,. suche równiny na północ, takież same na południe; płyniemy jakby po rozległym jeziorze. Niewielki wiatr od zachodu przyszedł nam w czas na pomoc, kapitan kazał rozpiąć żagle, by oszczędzić węgla. Znikają już brzegi fuegińskie, kierujemy się ku kolumnie stojącej na przylądku Virgine i koło południa wychodzim już na Ocean.

5 czerwca. Wiatr północny, silny; trudno utrzymać się na nogach; ani pomyśleć o czym rozumnym.

6, 7 [czerwca]. Dni jałowe, nie warto i pisać o nich; tylko siódmego czerwca nad wieczór ukazała się daleko wysepka, na której stolica rzeczypospolitej orientalnej Montevideo ma faro, [tj.] latarnię morską i kwarantannę. O zachodzie słońca zatrzymał się nasz parowiec o parę mil od Montevideo, rzucono kotwicę, ale wietrzno, deszcz pada, nikt nie odważa się płynąć czółnem do miasta.

8 czerwca. Wiatr nie ustaje, niebo pochmurne, woda mętna, płowa; jesteśmy na ujściu rzeki La Plata; poburzone fale nie zachęcają zbyt do zwiedzenia miasta, które przed czterdziestu laty widziałem, a z opowiadania synów moich, którzy ten dzień przebyli w Montevideo, ma to być miasto dziś bogate, pomimo częstych w nim rewolucji, dobrze zabudowane, w większej części przez Włochów zaludnione i mianowicie piękne mają być naokoło miasta wilie i przechadzki. W siedmnaście dni żeglugi przychodzą tu prosto z Genui parowce, przywożą osadników i ożywiają handel. Tu pożegnałem się z panem Garcia Calderon i jego żoną, udającymi się do Buenos Aires.

11, 12 czerwca. Silny pampero, to jest wiatr od step[ów] argentyńskich, tak nazwanych pampa, nie opuszcza nas, nie pozwala wypocząć na pokładzie ani się przechadzać.

13 [czerwca]. Zanosi się na burzę. Już i Anglicy, którzy dotąd gruchotali na pokładzie jak gołębie na dachu, schodzą jeden za drugim do sali jadalnej, pocieszając się grogiem.

14 [czerwca]. Uspakaja się morze; chłodny, umiarkowany powiew zwrotnikowych ciągów nie daje nam czuć gorąca, choć już jesteśmy na ognistym pasie ziemi.

16 [czerwca]. Rio de Janeiro. Po ciemnej nocy widnieć poczynało, kiedy „Brytania" nasza weszła na zatokę Rio de Janeiro. Niebo było pochmurne, deszczyk prószył, ciepło umiarkowane. W smutniejszych barwach i przyćmionym świetle ukazały mi się teraz ta najpiękniejsza na świecie zatoka, miasto i cała przyroda, których widok zachwycił był mnie prawie do szaleństwa, kiedym 46 lat temu zawinął tu płynąc do Chile. Wiek i pora zimowa były tego przyczyną, że podróże urok traciły, nie miały już powabu nowości wyniosłe palmy kokosowe, sążniste bananowe liście, potężne bambusy i góry malownicze.

Nie tracąc czasu wsiadłem z synami do pierwszego czółna, które do parowca dobiło, i popłynęliśmy do miasta. Nie poznałem go wcale, tak od mego tu pobytu wyładniało i powiększyło się; nowe pałace, szerokie ulice, tramwaje, nowe place i ogrody, nie widać na pół nagich Murzynów. Dzwoniono na msze, spotkaliśmy wiele ludzi z książkami idących do kościołów, była to bowiem niedziela.

Nie pytając nikogo, poszliśmy do pierwszego kościoła, do którego nas łaska Boża zaprowadziła. Był to, jeżeli się nie mylę, ten sam, w którym przed czterdziestu laty, w dzień Palmowej Niedzieli, pierwszą mszę w Ameryce wysłuchałem.

Z przyczyny jakichś reparacji kościoła drzwi jego wielkie środkowe były zamknięte, bocznymi weszliśmy do długiej, nieco ciemnej, wąskiej kaplicy, gdzie było wiele ołtarzy i wiele świec zapalonych, a nikogo jeszcze nie było prócz jednej kobiety w żałobie klęczącej przed ołtarzem N. Panny.

Tu uklękłszy, czekając na mszę, przypomniałem sobie, jak tu, jeszcze za młodu, pierwszy raz stąpiwszy na ziemię Nowego Świata, modliłem się gorąco, polecając się Opiece Wszechmocnego, i dziś widzę, jak za Jego zrządzeniem i nieograniczoną dobrocią, po półwiekowej wędrówce i niezliczonych przygodach, zdrów i o własnej sile wracając do rodzinnej ziemi, wdzięczen być winienem za tę Opiekę, uznać w niej Opatrzność Najwyższą i ze czcią najgłębszą w duszy podziękować mam obowiązek Bogu. Bo któż — rozpamiętywam — ochronił mię od kalectwa, od śmierci na górach, na morzu i po głębokich kopalniach, gdzie tysiące młodszych i silniejszych ode mnie ludzi ginie bez ratunku? Któż, jeżeli nie Bóg, ochronił mię litościwie od zaraźliwch chorób, od skutku złych skłonności moich, od złego człowieka? Któż dozwolił, że pokochali mnie obcy ludzie, a pochwałami, pobłażaniem nie podnieśli w dumę? Któż mi dał nową rodzinę, nowych krewnych i przyjaciół na miejsce tych, co

poumierali w kraju? Komuż winienem to posłuszne Tobie serce, w którym się pomieściły i miłość rodzinnej, i miłość przybranej Ojczyzny, a obie wzajemnie siebie ogrzewają? Któż w końcu w nauczycielskim powołaniu tak mną pokierował, że się i obowiązku dopełniło, i przysporzyło się przy pracy mienia dla dzieci i dla mnie starego, jeżeli nie Ty, Boże?

Tak sobie w duszy rozbierając i modląc się na przemian, przychodziło, jak gdyby kto szeptał do ucha: „czy pamiętasz?"

Czy pamiętasz, jak temu z górą lat pięćdziesiąt, po narodowej klęsce, rzucony na prusaczy odłóg, znalazłeś się ty, nawykły do wygód i paniczowskiego życia, ni do sochy, ni do młota, stroskany, zmęczony, zdawało się, że nie przeżyjesz. A jak w lat siedm potem żegnałeś się na paryskim bruku z Adamem, Bohdanem[5], Witwickim, Jańskim — na zawsze? A gdyś zaledwo wypłynął na nieszczęstne morze, jaka tam burza spotkała cię na Biskajskiej odnodze i wiele okrętów rozbiła, a owym „Pająkiem"* jak piłką rzucała w przepaść i do góry, dzień cały i noc całą? I nie lepiej było przy brzegu Brazylii, kiedy w noc burzliwą statek nasz począł dnem uderzać o dno morskie, trzęsły się i warczały maszty i liny, skrzypiały belki okrętowe, wynoszono na pokład skrzynie i ładunek do zrzucenia w morze, odwiązywano czółna i szalupy, kapitan bladł — Bóg ocalił. Straszne było potem starcie z burzliwym pampero i nie lżejsze do przebycia było trzysta mil na koniu po argentyńskich stepach, kiedy przyszło uchodzić od napadu dzikich Indian, znanych z okrucieństwa Pampasów. Stawała też na myśli i ówczesna przeprawa przez Kordyliery, wichry i śnieżne zamiecie na ich szczycie, owa przepaść, z której mnie tam Bóg uratował — kiedy po drugi raz na mszę zadzwoniono. Lud jeszcze nie wchodził do kościoła, czekał na trzecie dzwonienie.

Po krótkiej przerwie w moim rozpamiętywaniu znowu się obudzać poczynały jedne po drugich wspomnienia liczniejszych przygód, z których widocznie ręka Boża mnie zdrowego wyniosła. Przypomniałem [sobie], jak w jednej z ciemnych kopalni srebra pośliznąwszy się już spadałem do głębokiego na sto łokci szybu, a silny górnik podchwycił mię za nogę i wyniósł na barkach. Jak w parę lat potem, kiedym przy stole siedział nad planem rozmiaru tych kopalni, dom cały runął od trzęsienia ziemi, a mnie w tym momencie rzuciła za próg siła niewidoma. Stanęła mi przelotem w myśli owa z wulkanicznej głębi świeżo podniesiona solfatara, na której, gdym niesiony ciekawością, wśród wybuchów palącej się siarki i pary wodnej szczeblując dzień cały po popękanych

---

* Spey znaczy Pająk, imię okrętu, na którym płynąłem z Anglii do Ameryki.
[5] Zaleskim.

i powywracanych bryłach, opuszczony od przewodników, przyduszony, odchodził od siebie, noc orzeźwiła, Opatrzność Boża przywiodła na brzeg strumienia. I jakże zapomnieć tego bukowego lasu, przez który kiedym z jednej z moich wycieczek w Kordyliery powracał, czyhający na mnie na zasadzce rozbójnicy zasnęli, a jam szczęśliwie koło nich z przyjacielem moim konno przeleciał. Jeszcze mi się mięszały w pamięci podróż moja do krainy dzikich, pustynia bezwodna Atacama, lasy dziewicze południowe i szczyty andyjskie, kiedy po trzeci raz dzwon kościelny zawołał pobożnych na mszę. Napełniła się kaplica ludem i ksiądz wyszedł z zakrystii.

Któż się nie domyśli, z jaką gorliwością i pokorą tej mszy wysłuchałem, na podziękowanie Bogu za Jego świętą opiekę, z wiarą i przekonaniem, [że] z daleko większych i liczniejszych przygód dobroć Jego i miłosierdzie mnie uratowało, o których i nie wiem, i w światowym roztargnieniu nie spostrzegłem, a o których tylko mój Anioł Stróż mógłby mi powiedzieć, gdyby mu pozwolono.

Po mszy i krótkim śniadaniu na Boto-Fogo, że byliśmy na drodze do Botanicznego Ogrodu, pojechałem doń z synami tramwajem. Droga idzie poza przepyszne wilie przystrojone w najpiękniejszą w świecie roślinność, palmy kokosowe, banany i mnóstwo innych drzew i krzewów, które nazwać nie umiem. Już o tym dawniej pisałem, jak ta przyroda zachwycała mię jadącego do Ameryki. Tylko od owego czasu po całej tej drodze do Ogrodu nowe pobudowano domy letnie, różnokolorowymi tafelkami okładane, a wszędzie kwiatów co niemiara, chociaż to była pora zimowa i ciepło było umiarkowane jak u nas pod koniec maja.

Cóż powiem o tym rozkosznym ogrodzie, którego piękności podróżnicy wydziwić się ani jej wychwalić dostatecznie nie mogą. Choć drobny, ciepły deszczyk prószyć poczynał, spostrzegłem w nim ulepszenia od czasu, kiedym go pierwszy raz w podróży do Chile zwiedzał, i wydał mi się wspanialszym. Od samego wejścia trzy — jak okiem zajrzeć — długie palmowe aleje, jedna na wprost, a dwie w kąt prosty z nią na prawo i na lewo rozchodzą się. Jakże te palmy od mego tu przed czterdziestu sześciu laty pobytu podrosły! Każda z nich, do trzydziestu czy więcej metrów dochodząca, ma pień gładki, od połowy zielony, od połowy do góry szarawy, z lekka poprzecznie kręgami porysowany, a tylko z samego wierzchołka — jak wiadomo — wypuszcza i we wszystkie kierunki rozwija swoje nastrzępione liście, spod których widać zwieszone kokosy. Czy te wysmukłe, symetryczne jak maszty z ogromnymi wiechami, bladej zieloności drzewa piękniejsze są i ozdobniejsze od naszych stuletnich dębów, lip, nadwiślańskich topoli, to na to pewno kto nie bądź przecząco odpowie, komu by przyszło znad Niemna w krainie palm na długo zamieszkać.

To tylko pewne, że te trzy olbrzymie palmowe szpalery zachwycają widza na pierwsze wejrzenie, nadają ogrodowi charakter wcale odrębny. Z nimi w dali krzyżują się rzędy młodszych, niższych palm i kolosalnych bambusów, i rozmaitego gatunku drzew iglastych, przypominających nam bory i lasy.

Aniśmy się spostrzegli, jak dwie godziny spędziliśmy na tej przechadzce. Spiesznym tramwajem wracaliśmy do miasta, przypatrując się pięknym letnim mieszkaniom możnych właścicieli. Przesiadłszy [się] potem na powóz, którego fiak[ie]r obowiązał się być naszym cicerone, przejechaliśmy wzdłuż całe miasto, zatrzymując się, gdzie się nam podobało.

Wielkie wszędzie znalazłem zmiany i nowe upiększenia miasta od czasu, jak tu byłem. Na owym placu de Aclamaçon, gdzie przed czterdziestu laty pusto było, bieliznę suszyły praczki, dziś ogród przepyszny, potężne drzewa i dobrze utrzymane trawniki, a co tam palm rozmaitego gatunku!

Trzy kwadranse jechaliśmy tramwajem od tego ogrodu do wilii Tijuno położonej na drugim końcu miasta, prawie u stóp gór Organon, a liczę jakoby dwie mile nasze drogi wzdłuż miasta od tej wilii do Botanicznego Ogrodu. Cała ta droga, nawet na przedmieściach, brukowana ciosanym kamieniem. Był to dzień niedzielny i dlatego wszystkie tramwaje idące do Tijuno były przepełnione mieszaniną czarnych, brunatnych i białych mężczyzn, a prawie ani jednej nie było widać przy nich kobiety. W Tijuno były zabawy, muzyka, tańce. Murzynów mniej [niż] przed czterdziestu laty. Po wszystkich ulicach w wieczornej porze było wiele ruchu i krzykliwości, po wielu miejscach śpiewaczki, skrzypaki, bębenki na ulicy i po kawiarniach, daleko więcej życia niż po chilijskich i argentyńskich miastach. Nie było widać pijanych, kłócących się ni policji, lud ugrzeczniony i dobrego charakteru.

Ciekawość nas pociągnęła, [aby] widzieć publiczność tej pięknej stolicy, do jednego z przedniejszych teatrów, do teatru Św. Anny. Zawiodłem się w oczekiwaniu. Grano jakąś farsę, śmiano się do rozpuku; na parterze palono cygara, w lożach niewiele dam i te skromnie ubrane. W przysionku do teatru sprzedaż trunków, owoców, nacisk ludzi etc. W połowie sztuki wyszliśmy, aby rzucić okiem jeszcze na nocną postać i życie miasta. Było co widzieć, bo wszędzie wiele dobrego humoru, gadatliwość, a nigdzie kłótni ani pijatyk.

Charakter dzisiejszego cesarza[6] jest dobry, nienaganny. Widziałem go, kiedy nie miał więcej nad jednaście lat wieku; dziś osiwiały, wielki miłośnik nauk, członek Akademii Umiejętności Paryskiej, protektor

---

[6] Pedro II de Alcantara (1825—1891), cesarz od roku 1831; panował najpierw pod opieką, później (od r. 1840) samoistnie.

sztuk i rzemiosł, szkoły politechnicznej, górniczej, wojskowej; w polityce umiarkowany, może nie dość silnego charakteru. Cesarzowa, Włoszka[7], wielce lubiona.

Po dość wygodnym noclegu w hotelu z rana mieliśmy jeszcze czas zwiedzić rynek owocowy i warzywny, obfitujący w pomarańcze, ananasy, cytryny, małe czyrymoje, banany rozmaitego gatunku i wiele nie znanej mi ogrodowiny w koszach, na których siedziały też papugi i ptaki cudownych kolorów, raki, małpy.

16 maja. Nakupiwszy nieco kolibryków, motyli i kwiatów misternie urobionych z piór, wróciliśmy o dziesiątej do okrętu. Około trzeciej po południu mijaliśmy Cabo Frio[8], a choć już byliśmy na strefie międzyzwrotnikowej, nie było gorąco. Wiatr wschodnio-południowy, chłodny, wiał silnie i natrętnie kołysał naszą fregatą.

17, 18 [maja]. Żegluga monotonna, wiatr ciągły, nieustanny, raczej chłodno niż gorąco, a co bardziej mię dziwiło, to że nie było widać ryb latających, które na tej strefie tak mię bawiły w pierwszej podróży, ni rekinów, ni wielorybów, ni fosforencji na piani okrętowej.

19 [maja]. O szóstej z rana zatrzymaliśmy się w zatoce Bahia de Todos Santos. Miasto, które w przeszłej podróży tak mi się ubogie i smutne wydało, teraz okazało mi się jakby szło o lepsze z chilijskim Valparaiso, które pod tym względem podobne jest do Bahia, że i tu, jak w Valparaiso, mamy na widoku dwa jakby sznurami wyciągnięte miasta: jedno u dołu, ponad samym brzegiem morza, a drugie — o 150 do 200 stóp wyżej, na wzgórzach.

Z samej zatoki już mamy widok okazały. U spodu, zaraz przy brzegu, trzypiętrowe domy, dwa kościoły, gmachy rządowe i prywatne na składy handlowe, achary. Na górze — wspanialsze pałace, wiele kościołów, gmachy municypalne, mnóstwo palm wyniosłych, górujących nad domami.

„Brytania", ostrożniejsza od owego okrętu „Spey", na którym płynąłem z Europy w 1838 [r.] i który o mało nie rozbił się na mieliźnie blisko wylądowania, ostrożniejsza też od wielkiego parowca, który w tych dniach osiadł na skalistym brzegu, prawie na zachodnim rogu tego miasta, zatrzymała się dalej niż o milę od miejsca, skąd wychodzą czółna i szalupy.

Wsiedliśmy na pierwszą szalupę, która dopłynęła do nas, i w pół godziny wysiadłem z synami na ląd. Przebiegłszy pierwej część wąs-

---

[7] Teresa Krystyna Maria, córka króla Obojga Sycylii, Franciszka I.

[8] Cabo Frio, skalisty przylądek przy wybrzeżu brazylijskim.

kiego dolnego miasta, gdzie nie było wiele do widzenia prócz nieźmiernej obfitości przewybornych owoców, pięknych papug, małp, żółwi, raków morskich na przedaż, zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie na dobrze urządzonej windzie ciągną pionowo w górę, bezpiecznie i wygodnie, każdego, kto chce przejść do górnego miasta. Z ochotą poddaliśmy się tej operacji.

Wciągnięci na górę, znaleźliśmy się na obszernym placu, na którym stoi katedra, dawny kościoł pojezuicki, z ciosowego kamienia o dwóch wieżach, pięknej architektury, w stylu renesansowym[a]. Na tymże placu widać mniejszy nowszy [kościoł] Św. Dominika i drugi Św. Franciszka, oba też z ciosowego kamienia. Tuż i szkoła medyczna, którą zwiedziliśmy nie zatrzymując się długo, bo chodziło mi o to, aby przebyć całe to miasto z jego przedmieściami od końca do końca.

W tym celu wsiedliśmy naprzód do tramwaju, który szedł ku wschodniej stronie, i w godzinę, idąc powoli, dowiózł nas do tak nazwanej Quinta Soledad, gdzie jest klasztor mniszek, niedaleko cmentarz i rozmaite wilie. Cała ta droga i domy, osadzone palmami i takąż samą roślinnością co wilie w Rio de Janeiro, mają tu szczególniejszy urok, bo tu drzew i krzewów jak w lesie, a niewiele domów i domy nie tak strojne, nie tak wymuskane jak w Rio de Janeiro, a przerwami ukazuje się przyroda tropikalna w wybujałej gęstwini palm i bananów, jakby dzika, nie ludzką ręką opatrywana.

Wróciwszy tymże tramwajem na miejsce, skąd wyjechaliśmy, puściliśmy się drugim tramwajem, który szedł na zachód, aż do miejsca, gdzie jest publiczna przechadzka, na drugim końcu miasta, i wielka latarnia morska — faro.

Tym sposobem przejechaliśmy przez całe miasto i jego przedmieścia wzdłuż i mało czasu nam zostało do zwiedzenia wszerz niektórych jego części. Wszędzie lud okazał mi się łagodnego charakteru, spokojny. Więcej tu jest jeszcze Murzynów niż w Rio de Janeiro, ale liczna w nim klasa ludzi pośredniego koloru między światlejszej twarzy, choć w rysach widać typ Negra i włos wełniasty, kędzierzawy.

Najciekawszy dla Europejczyka jest rynek, gdzie większą jeszcze obfitość i rozmaitość spostrzega się owoców i warzywa niż w Rio de Janeiro. Pociesznie wyglądają spod sałaty, marchwi i kartofli wielkie, poważne papugi zielone z podgardlem żółtym, inne mało uczubione około dziobu, i żółwie, a obok kartofli naszych ananasy, palta (avocat)[9], ogromne pomarańcze i biegające po nich małe małpeczki.

O piątej wróciliśmy na okręt i tegoż wieczora już płynęliśmy parą

---

[a] W autogr.: „renonsansu".

[9] Owoc podzwrotnikowy, podobny do gruszki, o miazdze zielonej w stanie dojrzałym; bardzo ceniony w Ameryce Płd., jadany tam w postaci sałatek do mięs.

i rozpiętymi żaglami, a całe niższe miasto w dali jeszcze świeciło jak sznur świateł na milę rozciągnięty.

20, 21, 22 [czerwca]. Płyniemy w kierunku wschodnio-południowym (raczej SSE), wiatr stały SE popycha nas ukośnie, przerzynamy Atlantyk. 22 czerwca przechodzimy przez równik, a tenże sam wiatr towarzyszy nam, chociaż się już wdraża w półsferę północną. Nie czujemy gorąca, raczej chłód naszych wiosennych wieczorów; morze pięknego błękitu, ale puste, ani ryb latających, ani fosforencji na falach, napotykamy tylko okręty.

24 [czerwca]. Z rana calma[10], tegoż dnia po południu już wiatr zmieniał kierunek, zarywał na północno-wschodni (alisio[11] północnej półkuli). Już jesteśmy pod 9° szer. płn.; pociesza otucha, że się przybliżamy do kresu podróży; dni wydają się jakby tygodnie. Na morzu dwa wieloryby tryskały niedaleko okrętu i jakby chciały biec z nami na zawód.

25 [czerwca]. W południe szer. 15°26', dł. 26°, jeszcze daleko.

26 [czerwca]. O wschodzie słońca wyspy de Cabo Verde; wchodzimy na zatokę wyspy San Vicente — nowy piękny krajobraz. Zatoka obszerna, dokoła otoczona skałami, u wejścia do niej wysoki monolit, na którym stoi faro, tak dziwaczny, wysmukły, wysoki, że jego kształtu opisać niepodobna, tylko rysunek zachowałem. Naprzeciw tego wejścia do zatoki stoi też druga wyspa, która ją otula od południa.

Wyspa San Vicente jest zupełnie pusta, niepłodna, wulkaniczna. Pomimo to z przyczyny, że jej port jest bezpieczny i on stoi na drodze okrętów płynących z Europy do Południowej Ameryki, tu jest przystań wygodna dla parowców, tu skład ogromny węgla przychodzącego z Anglii i tu zatrzymują się okręty, jak się też zatrzymał nasz dla zaopatrzenia się w węgiel.

Na jednej nieszerokiej dolinie, zachodzącej od samego brzegu morza między góry, widać niewielkie miasteczko, kilkadziesiąt domów murowanych dwupiętrowych, pałac, zapewne rządowy, kaplicę i mnóstwo małych domków. Nie mogliśmy wylądować dlatego, że była kwarantanna dla okrętów przybywających z brzegów brazylijskch; tu dowiedzieliśmy się, że ukazała się żółta gorączka w Fernambuco.

Oprócz wspomnianej skały u wejścia do portu zwróciły moją uwagę na siebie utwory gór położonych na dwóch końcach wyspy San Vicente. Na jednym z nich widać pokład warstwowany, jakiejś zapewne wodnej

---

[10] calma (hiszp.) — spokój, cisza.

[11] alisio (hiszp.) — wiatr wiejący między zwrotnikami, pasat.

formacji, podniesiony przez masę skał niewarstwowanych, pochylonych ku środkowej części wyspy; na drugim końcu toż samo, tylko w przeciwnym kierunku, też do środka, a ze środkowej części wyspy podnosi się za miasteczkiem górujący ponad całą wyspą ostrokrąg, zapewne trachitowy. Co by to była za miła wycieczka dla mnie dzisiaj, gdybym miał 30 lat wieku mniej i nie było tej nieszczęsnej kwarantanny!

Wyśpiarze z okolicznych wysp pośpieszyli na czółnach do nas z bananami, ananasami, papugami etc.

27, 28 [czerwca]. Płyniemy szybko, choć przeciw zwrotnikowemu NE, nie czujemy gorąca, owszem, chłód nam niekiedy dokucza. Na morzu ani jednej rybki podlatującej, ani owych iskier i świateł na pianie morskiej, które mnie tak bawiły w podróży z Europy.

29 [czerwca]. Płyniemy o parę mil od Teneryfy, która się kryje za mgłą i tylko szczyt swój ostrokrężny, z mniejszym, czarniawym na wierzchołku, ukazuje. Bliżej brzegu, poza samym miastem Santa Cruz, przechodzi jakiś wielki parowiec, my idziemy na północ. Przypomniałem sobie moją z panem Lambertem wycieczkę do Santa Cruz.

1 lipca o szóstej nad wieczór dopłynęliśmy do ujścia Taju — Lizbona!

Rozradowało się serce — już za parę dni obaczę córkę moją i Leona i kończy się żmudna żegluga.

Tego wieczora i nazajutrz aż do południa (2 lipca) zachwycony byłem widokiem Lizbony, ale do miasta nie wolno było dostać się ani na moment z przyczyny kwarantanny.

Zatrzymał się nasz parowiec na środku rzeki, naprzeciw sławnej Wieży Mauretańskiej, o której żaden podróżnik, co zwiedził Lizbonę, nie zapomniał kilka słów dorzucić. Rozciąga się miasto z przedmieściami po prawym brzegu rzeki, więcej niż na milę naszą rozrzucone po wzgórzach jak okiem zajrzeć. Na lewym brzegu kwarantanna. Uderza naprzód widza prawie na samym brzegu rzeki wysoka kwadratowa wieża arabskiej architektury i dalej obszerny gmach (Casa Pia) złożony z dwóch trzypiętrowych, długich budowli, połączonych z sobą w środku szczątkiem starożytnej wieży mauretańskiej de Belém[12], którą trzęsienie ziemi zburzyło, a teraz ją w części odnowiono, na końcu zaś każdej ze wspomnianych dwóch budowli — dwie białe, wąskie, wysokie wieżyce. Dalej od brzegu, na wzgórzu, zwraca też ku sobie uwagę starożytny pałac królów portugalskich. Na lewym brzegu — trzy wielkie

[12] Belém, przedmieście Lizbony, niegdyś osobne miasto przy ujściu rzeki Tajo.

trzypiętrowe domy otoczone ogrodem i murem przeznaczone są na kwarantannę.

Nie będę opisywał miasta, którego nie widziałem, a o którym łatwo z książek dowiedzieć się. Wspomniałem tylko o tym, co mi bardziej wpadło w oko, choć już myśl była zajęta bliskim przybyciem do Bordeaux i zniecierpliwiona.

2 lip[ca]. Z rana wiele szalup przybyło do naszego okrętu z owocami, koszykami plecionymi i drobnostkami rozmaitego rodzaju na przedaż. Z jakąż radością znaleźliśmy tu truskawki, trześnie, gruszki nasze czerwcowe; było to już jakby powitanie wysłanników ku nam od naszych sadów i ogrodów; już ani patrzyliśmy na banany i ananasy przywiezione z Bahia.

O drugiej po południu podjęto kotwicę. „Brytania" zawróciła się na miejscu przodem do ujścia [rzeki] Tajo i w pół godziny potem byliśmy na morzu. Płyniemy na północ poza brzegami Portugalii, o dwie czy trzy mile od nich, przy pięknej pogodzie. Brzegi te są płaskie, niskie, uprawne, urozmaicone wzgórzami i tylko w dali ukazuje się pasmo gór.

3 lipca. Ale zaledwo minęliśmy brzegi Portugalii, już zmiana w kształcie i przyrodzie brzegów ostrzegała, że należały do innego państwa, do Hiszpanii. Brzegi jej, pracowitych Gallegos, są górzyste, wysokie skały schodzą prosto do morza. Po nadbrzeżu podnosił się na wielu miejscach dym, krążyły niedaleko szalupy i małe statki. Mijamy ów sławny port de los Palos, skąd — jak wiadomo — wypłynęła pierwsza wyprawa Kolumba do Nowego Świata.

4 lipca. O południu rzucamy na prawo narożny cypel Hiszpanii, Capo Finisterre, wpływamy na Golf Gaskonii, na którym często burze panują. My szczęśliwie po nim jak po spokojnym jeziorze płyniemy; powierzchnia wody gładziutka, ryby pląsają, całe towarzystwo na pokładzie wesołe. Już i płaskie brzegi gościnnej Francji ukazują się — ujście Garonny.

5 lipca. Pogoda, niebo czyste, morze spokojne. Jakież to piękne widoki żyznej krainy po obu brzegach Girondy! Zielenieją zboża, winnice i gaiki, bieleją między nimi wsi i nadobne z wieżyczkami zameczki. Oczom moim, nawykłym od tylu lat do Kordylierów, skalistej przyrody, nader piękne wydały się te pobrzeża żyznej Girondy. Przypatrując się im dopływaliśmy powoli do Pauillac[b], gdzie jest komora i gdzie na dru-

[b] W autogr.: Pollaku, poniżej — Pollacu.

gi mały parowiec trzeba się przenieść z przyczyny, że większe okręty z trudnością lub wcale nie dochodzą do Bordeaux.

W Pauillac nadzwyczaj grzeczni byli dla mnie komorni urzędnicy; nie wymagali nawet otwarcia pak szrubami zatwierdzonych, w których wiozłem minerały na podarunek dla Krakowa. Około południa pokazują się w dali wieże kościelne; a cała żegluga w górę po rzece była nieźmiernie przyjemna, wesoła; kraj żyzny, malowniczy.

O pierwszej po południu dobija nasz mały statek do Bordeaux. Spostrzegam na brzegu córkę moją i zięcia i rześko wskoczyłem na ląd, którego od czterdziestu sześciu lat nie deptałem. — Witam ciebie, Europo, po długim niewidzeniu i ciebie, Francjo, do której od dziecinnych lat miałem upodobanie i do której po naszym r o z b i c i u schroniłem się i od niej miałem wsparcie emigranckie. Niech jej za to Bóg ponagrodzi.

Dwa dni przebyłem w mieście z córką i zięciem najprzyjemniej. Pora roku była po temu. W pięknych ogrodach, starannie utrzymanych, kwitły rzęsiście pyszne magnolie białe, tak prawie wyniosłe i rozłożyste, jak nasze chilijskie, wielka rozmaitość w nich drzew iglastych i liściowych, rozległe trawniki, starannie kwieciem opasane. Przy ogrodach cieplarnie i muzea przedhistoryczne. Wszystko mię zajmowało, ale najbardziej gotyckiej budowy wspaniała katedra, a obok niej potężna, wiarą katolicką do nieba strzelająca wieża; z trudnością cielesnym okiem dojrzeć [można] wysoko na jej szczycie krzyż. A jakież piękne sklepienia tegoż kościoła, kolumny, z których u góry rozchodzą się łuki, jedne z drugimi ostro powiązane, a przy kolumnach poczerniałe od starości biskupów i mnichów posągi, a wszystko kamiennymi jakby koronami ozdobione. Wyznaję, że nigdy przed pięćdziesięciu laty, przed moją do Ameryki podróżą, nie byłem tak wzruszony, uniesiony pięknością gotyckich kościołów jak teraz.

Przed wieczorem, na wyjezdnym, poszliśmy jeszcze oglądać najstarszą część miasta, gdzie między krętymi, ciasnymi uliczkami ujrzeliśmy mały gotycki kościołek (z XI czy XII wieku — jak mi powiadano), wąski, czterykroć wyższy od swojej szerokości. Z jego podrabianych ozdób i po części obnażonych ścian znać, że wiele ucierpiał, przebolał i był odnawiany. Koło niego uprzątnięto i oczyszczono niewielki placyk i nowszą wybudowano wieżę na gruncie, gdzie był cmentarz. Z tego cmentarza przy budowaniu wieży wyjęto kilkadziesiąt dobrze zachowanych mumii, które uporządkowano i poustawiano przy ścianach w podziemnym pod wieżą sklepie. Weszliśmy do niego ze świecami, oprowadzani przez jakąś wymowną, pobożną kobietę, strażniczkę tego przed wiekami zakopanych trupów zgromadzenia. Jest tam ich ze czterdzieście; każdy oparty o ścianę stoi, jak gdyby dziś wychodził z trumny. Na

wielu z nich część nawet sukni została jeszcze, choć poczerniała. Na ich skościałych twarzach, zeschłą skórą pociągniętych, znać jeszcze wyraz ostatniej godziny; na większej z nich liczbie — spokojność, na niektórych, wpatrując się, widać było rezygnację, innych powykręcane głowy i członki przedstawiają jakoby ludzi żywcem pogrzebanych. Obeszliśmy ich wszystkich; była między nimi i kobieta z dzieckiem malutkim, jakby nowo narodzonym. Wahające się światło od płomieni świec migało po twarzach i na przemian ojaśniało jedne, rzucało cień na drugie; zdawało się, że powstają z grobów na głos trąby Anioła.

8 lipca. Jedziemy do Paryża. Po drodze ta sama przyjemność dla mnie z widoku dobrze uprawnych pól, rozmaitego gatunku zbożami okrytych, poprzedzielanych tylko gajami; kraj płaski, równiny, już zdaje się widzę Litwę, kraj rodzinny. Tylko na całej przestrzeni aż do Paryża nie widzę obszernych łanów żytem, pszenicą pokrytych, które by okazywały, że należą do naszych szlacheckich dworów mniej więcej zamożnych. Tutejsze pola mają wejrzenie naszych sznurów włościańskich, podzielone na małe, miejscami na bardzo nawet małe odcinki, nawet w okolicach, gdzie z dala ukazują się zameczki dawnej noblesy[13]. Za to wsi piękniejsze od naszych, białe, z czerwonymi dachami chaty; wiele miasteczek zamożnych i fabryczne zabudowania.

W przejeździe przez Orlean krótkie wspomnienie Joanny d'Arc i niedawno umarłego biskupa Dupanloup[14].

Około siódmej przyjeżdżamy do Paryża. Na peronie (Gare d'Orléans) spostrzegam starca z białą, nieco żółtawą brodą do pasa, ociemniałego. Młody człowiek, który go wiódł, a znał moją córkę i zięcia, wysiadających ze mną z wagonu, zgadłszy, że to ja być muszę, przywiódł go do mnie, a on mi się rzucił w ramiona i zapłakał. Był to Bohdan Zaleski. Jakże go silnie uścisnąłem, ucałowałem po czterdziestu sześciu latach niewidzenia się; łzy mi zdrojem popłynęły; było długie nasze powitanie. nieme, po wielekroć razy rzucaliśmy się sobie w objęcia i nas rozrywano. On mnie nie widział, ja go nie poznałem, były tedy to uściśnienia dusz, a serca biły jednako dwóch ośmdziesiąt dwuletnich rówieśników. Przy nim stał trudny też mi do poznania, osiwiały, choć o dziesięć lat młodszy, czerstwy, prezes Instytucji Czci i Chleba, mój krewny i od czterdziestu sześciu lat nieustanny korespondent — Władysław Laskowicz, a przy nim Władysław, syn Adama Mickiewicza, którego w pielu-

[13] noblesa — szlachta.

[14] Felix Antoine Philibert Dupanloup (1802—1878), biskup Orleanu, od roku 1841, przez krótki okres, profesor Sorbony, członek Akademii Francuskiej, w 1871 r. członek Zgromadzenia Narodowego, później (1876) Senatu, autor dzieł z dziedziny wychowania. W autogr.: Depanloux.

chach zostawiłem, a dziś już z żoną i dwiema dorosłymi córkami wyszedł na spotkanie; Adam ostatni mnie był pożegnał, kiedym wsiadał do omnibusu na wyjezdnym do Ameryki (1 lutego 1838).

Nazajutrz, w niedzielę, na mszy w kościele polskim Assomption, gdzie od czterdziestu lat co rok to w mniejszej liczbie zbierali się emigranci na każde święto kościelne i na każde narodowe, obaczyłem z pięćdziesiąt starców łysych, osiwiałych, skurczonych, kilkanaście Polek rozmaitego wieku. Były to ostatki naszego pobożniejszego wychodźstwa, choć emigracja od 1832 [r.] jeszcze po dwakroć była się odnowiła z późniejszych powstań.

Ksiądz Witkowski[15], przełożony misji oo. zmartwychwstańców, zgromadzenia założonego przez kilku emigrantów w 1831 [r.] (Kajsiewicza, Semenenkę etc.), miał mszę, ks. Siemieński kazanie; śpiewano po polsku w kościele.

Nie będę tracił czasu na pisanie o Paryżu; nie do niego jechałem. Znałem już go takim, jakim był.

Poszedłem tylko odwiedzić Szkołę Górniczą, gdziem się był poduczył na górnika. Nie znalazłem już moich nauczycieli, wielce życzliwych dla mnie, Eliasza de Beaumont i Dufrenoy'a, poumierali też koledzy, z którymi na ławie szkolnej siedziałem: Ebelmen, S[aint]e Deville, Regnault[16], Delaunaye, Sauvage[17] i inni, tylko wierny mój przyjaciel, z którym ciągle utrzymywałem był stosunki, uczony Daubrée, przyjął mię z taką serdecznością, jak gdyby był Polakiem. Zaraz mię odwiedził w hotelu, gdzie mieszkałem, i z usilnością zaprosił mię na poniedziałkowe posiedzenie Akademii Umiejętności. Tego poniedziałku nie było posiedzenia z przyczyny uroczystości, którą Paryż obchodził 14 lipca, jako rocznicy zdobycia Bastylii, i odłożono posiedzenie na wtorek. Przyrzekłem panu Daubrée stawić się na naznaczoną godzinę.

15 lipca. Tego dnia, kiedym nieśmiało, z wielkim uszanowaniem dla tego najwyższego areopagu uczonych wszedł do sali, spostrzegłszy mnie Daubrée, wziął za rękę i przymusem posadził mnie przy stuletnim

---

15 Władysław Witkowski (zm. 1893), ksiądz, zmartwychwstaniec, drugi rektor Misji Polskiej, piastujący tę godność przez 18 lat, b. kapelan wojskowy w armii francuskiej, za usługi oddane Francji w latach 1870 i 1871 odznaczony orderem Legii Honorowej.

16 Henri Victor Regnault (1810—1878), fizyk i chemik francuski, od r. 1840 profesor chemii w Szkole Politechnicznej, członek l'Académie des Sciences, autor licznych prac naukowych. W autogr.: Rignaule.

17 François Clément Sauvage (1814—1872), francuski inżynier górnik, autor wielu prac z dziedziny geologii.

Chevreulu[18]. Obok też siedzieli Lesseps[19], Pasteur[20] i inni. Była to więcej niż grzeczność, którą bardzo skąpo szafują akademicy, dać siedzenie wewnątrz poważnego koła patriarchów wyższej umiejętności. Przyznam się, że siedziałem jak na szpilkach, bo choć mnie po kilkakroć Beaumont, Dufrenoy, Gay, S. Devillowie[21] podawali na kandydata do tej Akademii i razu jednego ośmnaście głosów na ten zaszczyt odebrałem, nigdy nie prosiłem ani podawałem się na kandydata, a podawanie mnie przez moich protektorów przyjmowałem (jak za to z podziękowaniem pisywałem zawsze do Beaumonta) „à titre d'encouragement"[22], teraz mianowicie, siedząc przy Chevreulu i tuż blisko krzesła świeżo opuszczonego przez śp. Dumasa, taką w sobie uczułem niskość, jeżeli nie nicość, że oczu podnieść nie mogłem, a przemawiającym do mnie akademikom jak powolny student odpowiadałem.

Tymczasem schodzili się leniwo akademicy, więcej niż połowa krzeseł była do zajęcia. Usiadł prezes, przy nim dwaj sekretarze; z nich jeden zdaje sprawę z czynności; tępy mój słuch nie daje dosłyszeć tego, co mówi i czyta, tylko zdało mi się, że w końcu wymówił moje nażwisko z przyciskiem ostatniej sylaby Domeykó i przerwano na moment sesję, jak gdyby czekając na nieobecnych członków. Potem przyniesiono urnę i każdy z obecnych przyniósł i wrzucił do niej kartkę. Brakło większości absolutnej wotujących. Nie wiedziałem jeszcze i nie domyśliłem się, o co chodzi. Pan Daubrée przechadzał się od jednego do drugiego akademika, jakby niespokojny. Wchodzi któryś z nieznajomych do sali (zapisuje — jak prawo każe — nażwisko swoje w księdze) i kładzie do urny kartkę, toż samo czyni drugi za nim wchodzący, aż w końcu, po dłuższym czekaniu, za wejściem trzeciego i wrzuceniem jego

---

18 Michel Eugène Chevreul (1786—1889), chemik francuski, dyrektor farbiarni w wytwórni gobelinów, od roku 1830 profesor w Collège de France, w latach 1864—1879 dyrektor Muzeum w Paryżu, członek l'Académie des Sciences (od r. 1826). Wielkie zasługi położył jako badacz w dziedzinie chemii tłuszczów i barwników, pozostawił ogromną ilość rozpraw naukowych.

19 Ferdinand Marie de Lesseps (1805—1894), dyplomata i inżynier francuski. W roku 1849 poseł w Rzymie, w latach 1856—1869 kierownik prac przy budowie Kanału Sueskiego, później Kanału Panamskiego, od r. 1885 członek l'Académie des Sciences, autor pięciotomowego dzieła dotyczącego historii Kanału Sueskiego (1875) oraz innych prac. W autogr.: Leseps.

20 Louis Pasteur (1822—1895), francuski chemik i bakteriolog odkrywca, profesor wielu szkół, od roku 1862 członek l'Académie des Sciences i stały jej sekretarz, członek różnych towarzystw naukowych krajowych i zagranicznych.

21 Henri Etienne Sainte-Claire Deville (1818—1881), chemik (zob. t. I, cz. 2, rozdz. IV, przyp. 32), Charles Sainte-Claire Deville (1814—1876), geolog francuski, twórca teorii pochodzenia wulkanów, członek l'Académie des Sciences (od r. 1857), profesor Collège de France (od 1875), autor licznych dzieł z zakresu swej specjalności.

22 „Dla zachęty, dla dodania odwagi".

kartki do wazonu widać było, że się dokompletowała liczba. Wyrzucił kartki prezes z tego wazonu, przeliczył i wtenczas poznałem, że chodziło o głosowanie na członka korespondenta między znanym uczonym Hall[23] i mną. On dostał 23 głosy, ja — 6. Pan Chevreul ścisnął mnie za rękę mówiąc: „Nous serons plusieurs pour l'autre fois"[24].

Choć uważałem, że samo podanie mnie na członka Akademii i uczczenie krzesłem między akademikami było dla mnie bardzo zaszczytne, wyszedłem nieco zakłopotany obawą, żeby mnie nie wzięto za intryganta, gdyż przypomniałem [sobie] w tym momencie, jak o intrygę sam posądzałem, temu blisko lat pięćdziesiąt, pana Payena[25], kiedy widziałem go na jednej sesji Akademii — jak była dzisiejsza — upędzającego się od krzesła do krzesła, od członka do członka tego poważnego zgromadzenia, z wielkim na pozór uniżeniem się, aby go też na członka wybrano, choć to w istocie był dobry chemik, fabrykant. Zdaje mi się, że pana Daubrée nieco oszukano i że wielu z akademików, którzy mu przyrzekli głosować za mną, nie przyszło.

Otóż jedyne zdarzenie w Paryżu, które zdało mi się nie od rzeczy zapisać tą razą, choć nieco za rozwlekle, w dzienniku, aby mię moi własni nie posądzali o próżność i niepotrzebne aspiracje.

Mało by co było do powiedzenia o uroczystości 14 lipca na rzecz wzięcia Bastylii, chociaż rząd Ferry'ego[26] starał się dać jej wielką wagę i wspaniałość. Urzędowe wprawdzie gmachy rzęsiście w białe okrągłe lampy gazowe sznurami nanizane były oświetlone i podobnie cały plac de la Concordie i Pola Elizejskie aż do Arku Triumfalnego[27], jako też całe prawe pobrzeże Sekwany aż do Trocadéro, gdzie spalono pyszne ognie sztuczne; tańcował lud na ulicy, bito z dział; obwieszono wieńcami posąg miasta Strasburga, czy też miejsce, gdzie był ten posąg, przy Ogrodzie Tuileryjskim, i śpiewano *Marseillaise,* odgrażając się niby Niemcom. Biednemu hotelowi przy ulicy Rivoli, który przez nieuwagę między chorągiewkami wywiesił jakąś z koloru niby podobną do niemieckich kolorów, potłuczono okna.

Przypomniałem sobie, przechodząc tego wieczoru przez Ogród, to, co było jakby wczora, kiedy w 1833 [r.] trafiłem był do Paryża na uroczy-

---

[23] James Hall (1811—1898), geolog i paleontolog angielski, dyrektor Museum of Natural History, członek korespondent l'Académie des Sciences od roku 1884. W autogr.: Hal.

[24] „Będziemy w większej liczbie innym razem".

[25] Anselme Payen (1795—1871), chemik francuski, syn przemysłowca, profesor Szkoły Sztuk i Rzemiosł, członek l'Académie des Sciences od r. 1842, autor licznych prac w dziedzinie chemii przemysłowej i spożywczej.

[26] Jules Ferry (1832—1893), francuski mąż stanu, w latach 1880—1881 i 1883—1885 prezes ministrów.

[27] Tj. Łuku Triumfalnego.

stość rocznicy lipcowej rewolucji. Z tysiąca śpiewaków, bębnów i muzycznych instrumentów składała się przed pałacem królewskim orkiestra, urządzona przez sławnego Habenecka[28]; król, królowa, książęta w towarzystwie sta lśniących się od złota gwiazd i krzyżów gości i ministrów wyszli na galerią; taki był nacisk patrzą[cego] na nich ludu, że się zaledwo pomieścić mógł w Ogrodzie na paręset kroków przed oknami. Cisza była; w całej swej wspaniałości jaśniały Tuilery przed zachodzącym słońcem, uderzono w bębny i odegrano wielką uwerturę z [[c]], potem znowu ucichło, jakby na kazanie oczekiwano, i na rozkaz Ludwika Filipa na całą orkiestrę zabrzmiała *Marseillaise*, oklaski, „Vive le roi!"[29] Teraz na tym miejscu ruina, szałasy z descek do czasu pobudowane; ni króla, ni pałacu; przejeżdżają po ulicy zapłacone fiakry, dzieci bawią się na przybocznych trawnikach.

21 [lipca]. O zmroku wyjeżdżam z córką, zięciem, Celiną i synami[30], wyjeżdżamy z Paryża. Około północy — szańce forteczne; wieża Strasburga — już za Renem. Przez cały dzień przesuwają się po obu stronach drogi, jakby w panoramie, malownicze widoki; już i skały, góry i lasy. Cóż, kiedy zatrzymać się nie można ani się napatrzyć; wiozą człowieka jak towar.

Około trzeciej po południu Monachium. W nocy — granica austriacka; rewizja tłumoków; zmiana marków na guldeny, dobre piwo, jednaka służba.

23 lipca. Rano w Wiedniu, „Hotel de France"; przed oknami piękny plac i kościół gotyckiej budowy (Votiv Kirche)[d].

Im bardziej przybliżałem się do granicy Polski, tym bardziej rosła we mnie niecierpliwość jej widzenia. Toteż z wielką obojętnością patrzyłem na całą świetność habsburskiej stolicy. Tylko kościół Św. Stefana i jego wieże mnie zajęły i wpatrywałem się w nie z wielkim zachwyceniem.

---

[c] W autogr. wolne miejsce.

[d] W autogr.: Wotivische Kirche.

[28] François Antoine Habeneck (1781—1849), muzyk francuski pochodzenia niemieckiego, dyrektor Opery paryskiej w latach 1821—1824, profesor konserwatorium (1825), później dyrygent orkiestry do r. 1848.

[29] „Niech żyje król".

[30] Córka — Anna, zięć — Leon Domeyko, Celina — siostra Leona Domeyki, synowie — starszy Hernan, późniejszy ksiądz, młodszy Kazimierz, późniejszy następca ojca na katedrze mineralogii w Santiago.

II. Kraków

24 lipca. Wyjeżdżamy z Wiednia, córka moja, zięć, dwaj synowie, synowica. Odsłaniają się wzgórza piękne, zielone, na których Sobieski miał swoje namioty i ową kaplicę[1]; dobrze się nam potem odwdzięczyła Austria; dziś pierwsza z trzech zaborców przywraca narodowość, szanuje wiarę i choć skrzętną stwarza autonomię. Dalej widzę już jakby coś podobnego do naszych chat, w wieśniakach jakby coś zakrawało na naszych; miejscami obszerniejsze łany dworskie pokryte dojrzewającym zbożem.

Rośnie coraz bardziej niecierpliwość; wyglądam przez okno na prawo, na lewo; już i o Sobieskim przestałem myśleć; słońce zdawało się powolniej ciągnąć po niebie dnia tego, liczne wagony węgla ziemnego napotykane po drodze jakby się naigrawały z mojej niecierpliwości. Już się chmurzy, deszcz, zmrok zapada.

Ach! to już granica; w pierwszy napis po polsku na domu przystani wbiłem jak dwa ćwieki do muru oczy moje, a rozwarły się szeroko uszy na akcent dwóch rozmawiających ze sobą opodal w białych sukmanach Krakusów.

Och, witam ciebie serdecznie, ziemio moja, po pięćdziesiąt trzyletnim ciebie opuszczeniu; ty jesteś dla mnie jak zdrowie poranionym w boju, kiedy po długim kalectwie i ciężkiej chorobie stanie na nogach rześki wojak i na nowo zabrzęczy mu u boku szabla lub kiedy po długim stękaniu w czarnych pieczarach kazamaty wypuszczą na wolność czystej duszy patriotę, spojrzy w niebo i zdrowym odetchnie powietrzem.

Noc już była, kiedyśmy spiesznym biegiem przejechali koło Krzeszowic, a cóż dopiero, kiedy świecić poczęły pierwsze dalekie światła jagiellońskiej stolicy!

Któż sobie wyobrazi, jak lekko skoczyliśmy z wagonu, jak mile zagruchotał mi powóz po krakowskim bruku i jak wesoło zajechaliśmy do „Drezdeńskiego Hotelu"[2]. Dano nam pokoje na pierwszym piętrze od placu. Wieczór przeszedł na ugoszczeniu się i rozmowie z dziećmi; na dworze deszcz padał i choć oko wykol nic nie było widać. Noc przeszła

---

[1] Mowa o kaplicy na wzgórzu Kahlenberg w Lesie Wiedeńskim, pamiętnej z czasów odsieczy wiedeńskiej Sobieskiego.

[2] W Rynku Głównym, linia A—B.

w przerywanych snach i marzeniach; mocniej zasnąłem przed świtem. Obudzam się i słyszę trąbienie tak łagodne i takich pieśni, że z początku nie wierzyłem, żeby to było na jawie. Wtem — jakby kto szepnął do ucha — ożywia mi się [w] pamięci cudowna zwrotka z krakowiaka, którego będąc dzie[cię]ciem nauczyła mię niania:

Tam biją zegary
I trąbią na wieży,
A gdzie zamek stary,
Polskie króle leżą.

Wstałem, poszedłem do okna; niebo rozjaśniało; tuż przed sobą widzę Mariacką Wieżę i przy niej starożytny kościół, plac obszerny, długi gmach, Sukiennice, w dali kościół Św. Ducha[3], a na rynku gromady ludu; jedni szli lub wychodzili z kościoła, drudzy zatrzymywali się przy przykupkach, a ubiór i mowa to swoje, to znajome.

Rzecz jasna i prosta, że naprzód wysłuchałem mszę w kościele Panny Marii, na podziękowanie Bogu, a potem pierwszą nie wybierając ulicą (była to Karmelitańska)[4] poszedłem prosto, nie zatrzymując się, i wyszedłem na Plantacje, i część ich znaczną obiegłem, wracając tą samą drogą, żeby nie zabłądzić.

Takie było moje pierwsze powitanie Krakowa, do którego od dziecinnych lat tęskniłem, krakowiaki śpiewałem, a jak wiadomo, rząd rosyjski nie pozwalał Litwinom jechać do Krakowa i kiedy komu dawał w owym czasie paszport za granicę, to wymagał zaręczenia, że nie pojedzie do Krakowa — toć i diabeł wymagał od Twardowskiego, że nie pojedzie do Rzymu[5].

Po południu tego dnia zaprowadził mię przewodnik naprzód do zacnego pana Majera[6], prezesa Akademii, a nie znalazłszy go, bo był w Szczawnicy, do hr. Tarnowskiego[7], do jego pięknej rezydencji w ogrodzie. Żona hrabiego, z domu Branicka, córka hr. Konstantego, była chora i w żałobie, pomimo to Tarnowski przyjął mię najuprzejmiej i po chwili przedstawił mnie żonie swojej, której uprzejmość była bardzo obowiązującą. Wyszły z nią i dwie piękne córeczki. Salon duży, ubrany w gobeliny, zbroje i rozmaite rzadkie, kosztowne przedmioty.

---

[3] Zapewne mowa o kościółku Św. Wojciecha.

[4] Zapewne mowa o ulicy Floriańskiej.

[5] Motyw z ballady A. Mickiewicza *Pani Twardowska*, ale tutaj odwrotnie użyty. Zob. *Pani Twardowska*, wiersz 42—48 (Adam Mickiewicz, *Dzieła*, t. I, Warszawa 1955, s. 144).

[6] Józef Majer (1808—1899), prof. med. UJ, prezes Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, później pierwszy prezes Akademii Umiejętności.

[7] Stanisław Tarnowski (1837—1917), prof. historii literatury polskiej UJ, od r. 1891 prezes Akademii Umiejętności, współzałożyciel „Przeglądu Polskiego" w 1866 r.

Hr. Tarnowski, profesor Akademii, człowiek zamożny z siebie i po żonie, zajmuje się — jak wiadomo — literaturą ojczystą i jest jednym z najznamienitszych z pisarzów tegoczesnych, a profesor gorliwy, poseł na sejmie etc. Dziś jest też sekretarzem Akademii po nieodżałowanej pamięci Szujskim[8]. Bardzo pracowity, skromny i naturalny w obejściu się, może być przykładem i nauką dla wielu naszych liberalnych demokratów, którzy go nie lubią. Tegoż samego dnia oddał mi wizytę i nic nie mówiąc objechał wielu członków Akademii Umiejętności, znajdujących się w Krakowie (wielu z nich używało wakacji na prowincji) z doniesieniem o moim przybyciu.

Przed wieczorem przysłał do mnie uwiadomienie, że członkowie Akademii chcą mnie powitać, i zapytuje, o której godzinie mogę ich przyjąć. Nigdym w życiu nie otrzymał ani spodziewałem się otrzymać zaszczytu tak wysokiego, żebym wyznaczył godzinę na przyjęcie, i kogóż? ludzi wyższych nauką i dostojnością ode mnie, członków Akademii Krakowskiej, której wprawdzie byłem też — prawie od jej założenia — członkiem, ale się do jej prac nie przyłożyłem. Zapłoniłem się i przyznam się, że się uczułem w ambarasie, jak się zdobyć na słowa odpowiednie wysokości takiego zaszczytu.

25 lipca. Owoż nazajutrz, między jedynastą i dwunastą z rana, szanowni spadkobiercy w nauce starożytnej kopernikowskiej, a dziś odnowionej cesarsko-królewskiej Akademii. Na ich czele, pod niebytność pana Majera, stanął z krótką, serdeczną do powitania mnie przemową uczony Kuczyński[9], były rektor Uniwer[sytetu] Jagielloński[ego] i profesor fizyki, sekretarz filozoficznego wydziału. Króciej jeszcze odpowiedziałem, przypominając, że byłem już w podeszłym wieku, kiedym w Ameryce odebrał łaskawy wybór mnie na członka Akademii i potwierdzenie cesarza[10] i jak ten niezasłużony zaszczyt pobudził mnie do nieustawania w pracy i odmłodził.

Nie wiem, jak to tam było ze słowami, kiedy serce biło jakby młotem po kowadle; pamiętam tylko, że kiedy jeden z obecnych, zdziwiony tym, że po pięćdziesięciu trzech latach na drugim końcu świata nie zapomniałem mówić po polsku, pochwalił mię, że mówię poprawnie, odpowiedziałem naprędce: „jakże chcecie, Panowie, żebym był zapomniał,

---

[8] Józef Szujski (1835—1883), prof. hist. literatury polskiej UJ, poeta, publicysta, współzałożyciel „Przeglądu Polskiego", od roku 1873 sekretarz generalny Akademii Umiejętności.

[9] Stefan Kuczyński (1811—1877), prof. matematyki i fizyki Uniwersytetu we Lwowie, Innsbrucku, a od 1839 r. UJ, członek Akademii Umiejętności.

[10] Franciszka Józefa (1830—1916), cesarza Austrii od r. 1848.

kiedy zawsze myśliłem po polsku, modliłem się po polsku i kochałem po polsku".

Te słowa powtórzyły nazajutrz dzienniki krakowskie, a potem i warszawskie, a nawet petersburskie. „Kraj" w korespondencji krakowskiej umieścił długi o tym artykuł[11]; „wielceśmy się zdziwili (mówi korespondent), spodziewaliśmy się spotkać starca 82-letniego, tymczasem w każdym jego słowie i poruszeniu widzieliśmy siłę i energię, które miał za innych czasów, które mu dopomogły do zniesienia 53 lat wygnania i zdobycia dla siebie imienia w dalekich krajach na drugiej półkuli".

Po półgodzinnej poufałej rozmowie odeszli dostojni uczeni (a było ich kilkunastu), został tylko zacny Kuczyński, który odtąd, przez cały czas pobytu mego w Krakowie, łaskawie towarzyszył mi i oprowadzał po mieście, ukazując w nim najdroższe z historii naszej i Kościoła zabytki i osobliwości.

Poszliśmy tedy naprzód odwiedzić wielebnego biskupa krakowskiego ks. Dunajewskiego[12], dziwnej słodyczy i pobożności pasterza (brata dzisiejszego ministra finansów austriackiego), który mnie najuprzejmiej, po ojcowsku przyjął, a potem w towarzystwie czcigodnego kustosza historycznych zabytków publicznych, pana Łepkowskiego[13], i poważanego powszechnie z cnót i nauki — do Wawelu.

Więcej godziny zabrało nam obejrzenie kosztowności, jakie posiada zakrystia wawelska starego kościoła, w którym spoczywa ciało św. Stanisława, biskupa męczennika. Jedno po drugim dostawał z szaf przedmioty ks. Polkowski[14], tłumaczył i zadziwiał nas głęboką znajomością starożytnych czasów historii, do których te przedmioty należały: kielichy, mitry, ornaty, monstrancje sadzone brylantami, szafirami, szmaragdami, niektóre z trzynastego wieku i z późniejszych do Stanisława Augusta; roboty własnoręczne Anny Jagiellonki i dary królewskie; każde z nich wyjmował i potem kładł na miejsce z takim poważaniem i świętością, jak gdyby na niego patrzały duchy biskupów i kardynałów, których imiona wymawiał.

Potem weszliśmy do kościoła i wszyscyśmy uklękli przed trumną św. Stanisława. Niedługa była modlitwa i trudno było nie wspomnieć o królu potężnym, który poznawszy winę, nie potrzebował — jakby to

---

11 Artykuł pióra A. H. Kirkora, „Kraj", R. III, Petersburg 1884, nr 32.

12 Albin Dunajewski (1817—1894), brat Juliana, biskup krakowski i kardynał, działacz polityczny i katolicki.

13 Józef Łepkowski (1826—1894), prof. archeologii i historii sztuki UJ, inicjator „Grobu zasłużonych na Skałce". W autogr.: Leptowskiego.

14 Ignacy Polkowski (1833—1888), historyk, wówczas bibliotekarz Kapituły Krakowskiej, autor prac o Koperniku, o pamiątkach polskich w Rzymie. W autogr.: Połkowski.

w dzisiejszym wieku było — żeby go jaka rewolucja wygnała, wziął kij żebraczy i wyszedł, sam wiedziony skruchą, na obczyznę.

Wnet i groby królów poczęliśmy oglądać. Najdłużej zatrzymaliśmy się przy Kazimierzu Wielkim, Jagielle, Zygmuncie Starym i Sobieskim, a potem i Kościuszki, i Poniatowskiego uczciliśmy popioły. Jest tam w tych kryptach i ozdobnych kaplicach żyjąca nasza historia.

Kto uwiedziony światem czy próżną nauką oziębnie w miłości do kraju, niech tu wejdzie, westchnie, pomodli się — odejdzie Polakiem. Kto zmęczony widokiem tego, co cierpią nasze niegdyś butne, bogate dzielnice i co stanowi siłę nieprzyjaciela, upada na duchu, stygnie, niech tu wejdzie, popatrzy na krzyże na tych grobowcach — nabierze ducha i nadziei.

Komu się już zamarzy być Niemcem czy Moskalem, czy Francuzem dla grosza lub w braku wiary i rozumu, to też choć przez ciekawość zajdzie pod te sklepienia i choć na moment ukorzy się, to wyszedłszy — sam siebie zaprze się i zawstydzi.

Nazajutrz poznałem zacnego podróżnika po Peruwii, skromnego przyrodnika, Litwina, pana Jelskiego[15], i jego żonę z rodziny Korsaków, tak uprzejmą i prostą w obejściu się, jak nasze Litewki. Z nią najpierwsze rozmowy miałem o moich rodzinnych stronach, bo jej rodzice i dziadostwo sąsiadowali z moim stryjem. Z Jelskim i Kuczyńskim obejrzeliśmy Bibliotekę i gabinety Akademii Umiejętności i uniwersyteckie, do których przywiozłem i oddałem w darze dwa wielkie meteoryty z pustyni Atacama, każdy więcej 50 funtów ważący, kilka ciężkich okazów srebra, bizmutu, jeden płyt lapis-lazuli i kilkadziesiąt innych drogich minerałów[16].

Po południu z p. Kuczyńskim i jego córką pojechaliśmy na mogiłę Kościuszki. Ukląkłszy na chwilę w kościele w kościołku Świętej [Bronisławy[a]], weszliśmy na szczyt góry usypanej — jak wiadomo — ręką ludzką wszelkiego stanu i powołania Krakowiaków. Co za wyborna myśl: nieprzyjaciele nasi ileż zabytków naszych zebrali czy poniszczyli! Niechże się teraz połaszą, jeżeli chcą, na tę ziemię, z której wyniesion pomnik dla naszego bohatera; ileż to kibitek im byłoby potrzeba do wywiezienia tej góry do Petersburga czy Moskwy.

A jakiż to piękny widok z tej góry na miasto, na rozkoszne błonia, tylekroć zroszone krwią polską od Tatarów, od Szwedów, od Niemców.

---

[a] W autogr. wolne miejsce.

[15] Konstanty Jelski (1833—1896), podróżnik po Krymie, Ameryce, Gujanie i Peru, od roku 1878 kustosz zbiorów przyrodniczych Akademii Umiejętności.

[16] Do dzisiaj przetrwało zaledwie kilka okazów w Pracowni Geologiczno-Stratygraficznej PAN w Krakowie.

Z niej i Bielany, i Łobzów, i kopiec Krakusa widne, a i zamek krakowski. Opasano teraz tę górę silną forteczką z cegły czerwonej i wałami, które z daleka wydają się, jak gdyby służyły za podwalinę do szacownego pomnika, a w istocie stanowią jedną z redut należących do fortyfikacji miasta.

Trzeciego dnia zwiedziliśmy, zawsze z Jelskim i Kuczyńskim, Sukiennice, galerią obrazów naszych artystów, gdzie podziwiałem obraz *Latarni Nerona*[17], malowany i darowany przez Siemiradzkiego, i wiele innych; i pojechaliśmy na wieś do Modlnicy[18], zaproszeni przez jej właścicieli Konopków. Tu wyszli na ganek w kuntuszu i żupanie stary Konopka i przy nim brat jego[19], dawny mój kolega ze Szkoły Górniczej, na ganku też powitały mnie dwie poważne matrony i młodsze panny z tej samej rodziny. Grzeczność, ujęcie, wesołość — rzekłbyś — te same co za zygmuntowskich czasów; wewnątrz kanapy, stoliki, biurka takie same jak u nas na Litwie. Pierwszy to był dom wiejski, który obaczyłem po 53 latach. Poszliśmy na przechadzkę do sadu, do dębowego gaju, dalej koło zboża, aż do dwóch lip ogromnych, rozłożystych, które wśrzód zasiewów polnych stoją i pod którymi — wieść niesie — św. Wojciech[b] kazał i mszę odprawiał, i pożegnał Krakowiaków, idąc na nawrócenie Litwinów; od tego ten folwark zowią Modlnicą.

Za powrotem do pokoju siedliśmy do porządnej uczty i tam piliśmy miód stary i uściskaliśmy się po wielekroć wszyscy, wstając od stołu i całując się po polsku, a tuż i chłopi Krakowiacy ze wsi weszli, winszowali mnie pięknym swoim akcentem i pytali o krajach, z których przybyłem. Odpowiedziałem im: „Dzieci, wszędzie dobrze, gdzie Bóg, a z Bogiem tu najlepiej" — i uściskałem ich i oni radzi odeszli.

30 lipca byłem zaproszony przez obywateli krakowskich do Sali Strzeleckiej na ucztę sporządzoną dla mnie; — o tej uczcie tak pisze „Czas", dziennik krakowski w nr 176, 1 sierp[nia].

Kraków 31 lipca.

Uczta na cześć Domeyki

Wczoraj wieczorem odbyła się w wielkiej sali na Strzelnicy uczta na cześć Domeyki, która pomimo wyjazdu wielu osób bawiących u wód i willagaturach[20]

---

[b] W autogr. pomyłkowo: św. Wacław. Legenda związana z Modlnicą mówi nie o św. Wacławie, ale o św. Wojciechu udającym się do Prus, którego lud krakowski odprowadzał.

[17] Mowa o *Pochodniach Nerona*.

[18] Modlnica, wieś w pow. krakowskim. W autogr.: Moglnicy.

[19] Mowa o Julianie i Romanie Konopkach, właścicielach Modlnicy i Tomaszowic.

[20] wilegiatura (z węg.) — letnisko.

zgromadziła kilkadziesiąt uczestników. Ks. biskup krakowski zaszczycił ucztę swą obecnością, niemniej tudzież delegat namiestnictwa hr. Badeni[21], prezydent miasta dr Weigiel[22], J. E. Paweł Popiel[23] itd.; głównego kontyngensu dostarczyli profesorowie Uniwersytetu i członkowie Akademii Umiejętności, którzy jeszcze nie porozjeżdżali się na wakacje, oraz lekarze i przyrodnicy krakowscy. Toast na cześć Domeyki wniósł pan Paweł Popiel, podnosząc zalety umysłu i charakteru solenizanta. „Czy jako żołnierz, czy jako mąż stanu, czy wieszcz, czy uczony, zasługuje się wysoce Ojczyźnie każdy, kto pracą i zdolnością swą okrywa czcią imię polskie wobec zagranicy i świata. Tak Ty, tysiąc mil od Polski, dla Polski przecie pracowałeś. Okryty sławą, otoczony rodziną, przyjaciółmi, wielbicielami i dostatkiem; nie brakowało Ci niczego, prócz... powietrza polskiego i ziemi ojczystej, którą wracasz ucałować przed śmiercią".

Dłuższe to i głęboko pomyślane przemówienie, w którym znalazł też miejsce piękny zwrot do religijnych przekonań Domeyki, wywołało silne wrażenie na wszystkich słuchaczach, a Domeyko, zaledwie mogąc opanować wzruszenie, odpowiedział na nie ze znaną swoją skromnością, wymawiając się pochwał za pracę, którą uważa za spełnienie prostego obowiązku, i kładąc nacisk na to, że przyjechał oglądać groby przodków i królów, płakać nad dawną Ojczyzny świetnością, a zastał ruch, życie, zastępy młodych pracowników i młode serca wokoło niego gorąco bijące. Dziękując za przyjęcie, które mu „sprawiło rozkosz, jakiej w życiu nigdy nie doznał", wniósł toast na cześć ducha polskiego.

Przemówienie Domeyki odznaczało się ogniem i energią młodzieńczą obok głębokiej myśli, którą tylko doświadczeniem długiego i pełnego zasług życia się nabywa, nadto zaś uderzało wykwintną a widocznie improwizowaną formą polszczyzny, której nam uczyć się od przybysza z drugiej półkuli po 50 latach emigracji.

Wśród wesołej rozmowy i ożywionych opowiadań o przeszłości i teraźniejszości zeszło prędko parę godzin i zaledwo przed jedynastą rozeszli się biesiadnicy, wynosząc w sercu podniosły nastrój i piękne wspomnienie.

(W tym samym numerze „Czasu" był zapowiedziany przyjazd Czechów, przygotowania na ich przyjęcie — ważny wypadek w historii słowiańszczyzny[24].)

Nie mam nic do dodania do tego opisu uczty, który może wyszedł spod pióra pana hr. Twardowskiego[25]. Przyznaję się, żem się znalazł pierwszy raz w życiu, na starość, w tak wysokiego zaszczytu kłopocie. Mowa pana Popiela była długa, patriotyczna i praktycznego rozumu.

---

[21] Kazimierz Badeni (1846—1909), od roku 1888 namiestnik Galicji, w r. 1895 austr. prezes ministrów.

[22] Ferdynand Weigiel (1814—1902), dr praw, poseł na Sejm Krajowy, b. sekretarz i szef Biura Izby Deput. Rady Państwa, prezes Towarzystwa Oświaty Ludowej w Krakowie, w latach 1881—1885 prezydent miasta Krakowa.

[23] Paweł Popiel (1807—1892), publicysta polski i polityk, autor licznych prac literackich, jeden z założycieli „Czasu" i jego redaktor, członek Akademii Umiejętności.

[24] Dotyczy przyjazdu Sokołów czeskich z Kolina i Pragi.

[25] Zapewne mowa o Tarnowskim.

Nie wydrukowano jej zapewne dla nienarobienia mi trudności, a może czego gorszego od Moskali w powrocie do Litwy i dlatego też wstrzymano się od innych mów. Tak byłem wzruszony tą mową, żem naraz oniemiał, zapomniałem, com miał powiedzieć, tylko dobywszy całej siły nad sobą mogłem wyrazić w części, co w głębi duszy czułem. Pomogło mi przecież do tego wysilenia może i to, że wolen od dumy i zarozumiałości, nie przypisywałem sobie czy jakim moim zasługom tego, co mi ze zbytecznych pochwał powiedziano, i byłem przeświadczony, że ta prz[ep]yszna uczta i honory nie dla jakich osobistych zalet były mi poświęcone, bom nic wielkiego na świecie nie zrobił, tylko pamiątce świetnych czasów Uniwersytetu Wileńskiego i filaretów, do których należałem, i wychodzstwie, z którego wracałem, jako też Mickiewicza, Zana, Malewskiego[26] i tylu innych, których byłem przyjacielem. Byłem żyjącym przedstawicielem owych czasów i przeżyłem te czasy cierpiąc, pracując, podróżując po dalekich krajach i wracając z tą samą miłością Ojczyzny, z jaką byłem odjechał; jeżeli zaś co było w tej manifestacji dla mnie, to łasce Bożej przyznawałem i na Jego chwałę.

Wiele jeszcze miałbym do powiedzenia o wrażeniach przyjemnych i radośnych, jakie wyniosłem z tygodniowego pobytu w Krakowie; jakie na przykład sprawiło na mnie zwiedzenie ogromnego Muzeum Technicznego[27], uzbieranego staraniem poczciwego Baranieckiego[28], który poświęcił życie i majątek na ten zakład i ma już do 40 000 przedmiotów wszelkiego rodzaju, wiele bardzo cennych i rzadkich; jak też przyjemnie było mi zwiedzić biuro pomocy dla naszych weteranów, utrzymane przez barona Konopkę[29]; jak Towarzystwo Sztuk Pięknych dla naszych malarzy i snycerzów w Sukiennicach; jak wreszcie mile przypomniał mi Litwę wieczór u państwa Jelskich, na którym poznałem wiele dostojnych osób i uraczono [mnie] litewskimi ogórkami z miodem i innymi łakociami, na którym poznałem szanowną p. hr. Stanisławową Potocką[30] i wiele innych dostojnych osób.

W wigilią wyjazdu mego z Krakowa zaszczycił mnie pan Paweł Popiel zaproszeniem na swój literacko-przyjacielski wieczorek, gdzie znalazłem licznie zebraną młodzież, wielu literatów i dziennikarzy krakowskich. Gospodarz był nader wesoły, uprzejmy; ukazały się małe opleśnia-

---

[26] Franciszek Hieronim Malewski (1800—1870), syn rektora Uniw. Wileńskiego Szymona, filomata, prawnik, przyjaciel A. Mickiewicza, z nim razem zesłany do Rosji, założyciel „Tygodnika Petersburskiego". W autogr. pomyłkowo: Zaleskiego.

[27] Obecnie: Muzeum Przemysłowe im. A. Baranieckiego.

[28] Adrian Baraniecki (1828—1891), lekarz i pedagog, założyciel Muzeum Techniczno-Przemysłowego w Krakowie, organizator wyższych kursów naukowych dla kobiet.

[29] Ksawery Konopka (1828—1898), ziemianin.

[30] Prawdopodobnie mowa o Annie z Działyńskich Potockiej.

łe butelki starego węgrzyna; rozmowa ciągle ożywiona miała charakter poufały, prosty, towarzyski. O tym wieczorze takie wspomnienie umieścił w „Czasie" (178, 3 sierp[nia]) pan L. Dębicki[31]:

Zdawało się, że ten gość przybył w poselstwie od generacji wileńskiej z czasów mickiewiczowskich do tej, która pod koniec stulecia garnie się pod skrzydła Almae Matris Krakowskiej. Nic w pamięci się nie zatarło[c], nic nie uroniło z tego, co z ławy szkolnej, z celi pobazyliańskiej, z obozu i z pierwszych lat tułactwa wyniósł ten mąż poza oceany.

Otoczyło go grono słuchaczy, chwytając każde słowo, a niekiedy natarczywie pobudzając do dalszych wspomnień:

I przyjaciele wtenczas po[mo]gli rozmowie,
I do pieśni rzucali mi słowo po słowie.
Jak bajeczne żurawie na dzikim ostrowie
Nad zaklętym pałacem przelatując wiosną,
Każdy ptak starcowi jedno pióro rzucił,
On zrobił skrzydła i do swoich wrócił.

Konwencjonalna dyskrecja byłaby tu egoizmem niegodnym prawdziwego dziennikarza. Bądźmy więc niedyskretni — i kilka ustępów urwijmy z tej długiej nocnej pogadanki, która miała wyjątkowy urok.

Domeyko miał rok szesnasty, kiedy wstąpił na Uniwersytet Wileński, był on o rok niżej od Mickiewicza, wstąpił wraz z nim do kółka Filomatów, gdzie już zastali Czeczota, Zana. Rektorem Uniwersytetu był naówczas Malewski, po nim, na rok, Twardowski[32], a następnie nie wybrany, lecz nominowany Pelikan[33]. Na zapytanie, czy w gronie filomatów, którzy — jak wiadomo — dali początek stowarzyszeniu [d]Filaretów[d], nie było jakiej afiliacji z rozgałęzionymi naówczas na Litwie związkami masonerii i karbonaryzmu lub grasującego w Rosji illuminatyzmu[34] — Domeyko w swej pracy o filomatach[35] stwierdza stanowczo, że promieniści budząc tylko miłość nauki, rzeczy ojczystych, ożywieni wiarą i idealnym porywem, dążyli do obalenia tamtych związków importowanych

---

[c] W autogr. pomyłkowo: zostało.

[d—d] Uzupełniono na podstawie tekstu „Czasu".

[31] Ludwik Zygmunt Dębicki (1843—1908), pisarz, dziennikarz i publicysta, od roku 1871 redaktor „Czasu".

[32] Józef Twardowski (1786—1840), uczeń Uniwersytetu Wileńskiego i jego profesor matematyki w latach 1823—1824, jako marszałek piński zasłużył się w pracy społecznej.

[33] Wacław Pelikan (1790—1873), lekarz, pierwotnie profesor Akademii Petersburskiej, od roku 1817 profesor chirurgii na Uniwersytecie Wileńskim, w latach 1826—1830 rektor tegoż Uniwersytetu, w roku 1831 przeniósł się na stałe do Petersburga.

[34] Nazwa wolnomyślnego kierunku niemieckiego z końca XVIII wieku, który stawiał sobie za cel szerzenie oświaty w duchu swych pojęć o wolnej woli i religii natury.

[35] *Filareci i filomaci*, „Rocznik Tow. Hist.-Liter. w Paryżu", Poznań 1872.

i zarażonych antyreligijnością*. W tym celu nawet [dwóch[36]] spośród filomatów zapisało się do jednego z tajnych kółek, aby owładnąwszy nim, rozwiązać je. Daleką była też myśl politycznego spisku.

Majówkowe wycieczki filareckie pobudzały do nauki i poezji. Największym ekscesem studentów była przygoda jakiegoś Niemca wożącego ze sobą panorama. W chwili gdy odsłaniał obraz przedstawiający księcia Józefa, przez pomyłkę czy z obawy dał inny tytuł obrazowi. Studenci wzięli to za zniewagę pamięci bohatera, rzucili się na Niemca i pomścili się na jego aparatach.

Wiadome są okoliczności, które wywołały dochodzenie i uwięzienie studentów. Grał tu przeważną rolę antagonizm Nowosilcowa[37] przeciw k[sięc]iu Czartoryskiemu jako kuratorowi Uniwersytetu i szkół.

W klasztorze bazyliańskim obok celi Mickiewicza była cela Ignacego Domeyki, w trzeciej części *Dziadów* Żegotą przezwanego. Mickiewicz wkłada w usta przyjaciela mądrą chrześcijańską przypowieść o posiewie Bożym i posiewie szatana:

Gdy Bóg wygnał grzesznika z rajskiego ogrodu,
Nie chciał przecie, ażeby człowiek umarł z głodu,
I rozkazał etc., etc., etc.[38]

Domeyko na parę tygodni przed 29 listopada opuścił po raz ostatni Warszawę, a zupełnie nie znane mu były poprzedzające roboty.

We wspomnieniach przesuwają się postacie Emilii Plater, jej towarzyszki Raszanowiczówny, dzielnego Janusza Czetwertyńskiego, najzacniejszego ks. Logi, trzech braci Mielżyńskich[39] i — zgon najmłodszego z nich.

A dalej wśród towarzyszów broni dyskusja o błędach Giełguda, który zwlekał wzięcie Wilna, bo pragnął przez próżność** przeprowadzić wojska przez Niemen we własnym majątku Giełgudyszki. Był on chorym na różę w nodze i nie dosiadał konia, kiedy się połączył z j[enera]ł[em] Chłapowskim, który jako niższy w randze poddał się rozkazom Giełguda. Tu ważny szczegół: Domeyko należał do deputacji tych oficerów, którzy w Kownie poszli nalegać na Chłapowskiego, aby objął dowództwo w miejsce nieudolnego Giełguda.

— Zanim dopuściłbym tę myśl — odrzekł ze szlachetnym oburzeniem

---

* Jeżeli nie do obalenia, bo do tego nie mieli środków, to do niedopuszczenia do nich młodzieży akademickiej.

** Za to z pewnością ręczyć nie mogę.

[36] Domeyko przepisując artykuł z „Czasu" opuścił wyraz „dwóch", a tymi byli Teodor Łoziński i Ignacy Domeyko. Według relacji Domeyki (zob. *Filareci i filomaci*, „Rocznik Tow. Hist.-Liter.", Poznań 1872, s. 18) chodziło tu o pewien klub, „który już zakrawał na karbonarstwo", a na tropie jego była policja, więc filomaci, pragnąc zaradzić złu, delegowali Łozińskiego i Domeykę, by weszli do tegoż klubu. Łoziński obrany został tam nawet prezesem i tak pokierował sprawą, że klub w krótkim czasie rozwiązał się.

[37] Nikołaj Nowosilcow (1761—1836), senator rosyjski, doradca cara Aleksandra I, systematycznie działający na zgubę Królestwa Polskiego. Wysłany na Litwę zorganizował tajną policję, cenzurę, prowadził sławny proces przeciw filaretom. Mickiewicz w III części *Dziadów* daje jego charakterystykę.

[38] *Dziady*, cz. III, akt I (por. A. Mickiewicz, *Dzieła*, t. III, Warszawa 1955, s. 149).

[39] Mielżyńscy: Maciej (1800—1870), Seweryn (1805—1873), Ignacy (1802—1831).

Chłapowski — aby żołnierze strącali[e] jednych, a wybierali drugich wodzów, wpierw w łeb bym sobie samemu wypalił.

Tak więc o cnotę wojskowej karności i o bezosobistość j[enerał]a Chłapowskiego rozbił się ten zamiar mający przedłużyć walkę.

W chwili przejścia granicy pruskiej żołnierz już był znużony i upadły na duchu. Giełgud po chorobie pierwszy raz wsiadł na konia w chwili przejścia granicy pruskiej, a gdy żołnierze składali broń w kozły, aby jej już nie odzyskać, Skulski, tuż przy Domeyce, strzałem z pistoletu powalił Giełguda na miejscu.

... Snuły się dalej wspomnienia przejścia przez Niemcy, zapału, z jakim tam witano wychodźców, pobytu w Dreźnie, gdzie w kole Mickiewicza gromadzą się: Odyniec, Domeyko, przybywa Wincenty Pol, Garczyński i inni. Tu powstają *Dziady* i *Improwizacja*.

W Paryżu nasz wygnaniec zapisał się do Szkoły Min[40] jako mineralog z powołania, a znakomicie przygotowany na uniwersytecie w umiejętnościach przyrodniczych przez mistrzów, jak Śniadeccy i Jundziłł. Zjednał sobie też wnet sympątię profesorów paryskich, a słynny Elie de Beaumont* czyni mu propozycję na posadę profesora mineralogii do Chile. Domeyko miał pociąg do narodu hiszpańskiego, o ile nie lubił Anglików. Posadę przyjmuje pod warunkiem, że po pięciu latach[41] będzie mógł ją opuścić. Żegnając księcia Adama Czartoryskiego rzekł, że na każde stawi się wezwanie — „ale zanim do ciebie dojdzie wiadomość — odrzekł książę — my już będziemy na pół drogi do Warszawy".

Przed wyjazdem do Chile Domeyko był świadkiem pierwszych burz klubowych, jakie zawichrzyły emigracją, ale trzymał się od nich z dala, osłoniony podwójnym puklerzem: wiary, która nigdy w jego sercu nie osłabła, i miłości nauki; dwie te gwiazdy przewodnie nie dały mu się ani na chwilę zbłąkać z dróg prawdy. Przed podróżą za Atlantyk był on świadkiem i powiernikiem Adama, gdy wykuwał postacie do *Pana Tadeusza*. Mickiewicz nie tworzył doraźnie; pisał, przekreślał, darł i odpisywał ponownie. Gdy ktoś z przyjaciół zaszedł w chwili pisania, zwykł był drzeć rękopism. Zdarzyło się, że Domeyko wszedł tak nagle, iż kilka kart spadło ze stołu; Domeyko je zebrał i do dziś dnia zachował. Był to pierwszy rzut myśli, brulion pierwszej pieśni z powieści litewskiej; miała ona mieć inny tytuł, podobno *Soplicowie*, imiona także były odmienne, a głównym bohaterem nie był Tadeusz, lecz Żegota**.

„Jeśli mi kiedyś wzniosą pomnik w Nowogródku — pisał*** później Mickiewicz do Domeyki — to będzie za *Pana Tadeusza*".

W nowym świecie czekały bardzo wielkie zadania uczonego polskiego. Na koniu przejechał przestrzeń trzystomilową**** i przebył góry Kordyliery. Mniemano tu powszechnie, że profesor mineralogii będzie od razu sposobił górników w kraju tak bogatym w kruszce. Powołany po kilku latach ze szkoły jednego z mniejszych miast na katedrę uniwersytecką w stolicy Santiago, zastał tu Do-

---

* Uczynił mi tę propozycję dyrektor szkoły prof. słynny minologii Dufrenoy, dawny kolega pana Lambert, upoważniony przez rząd chilijski do zamówienia i sprowadzenia jakiego profesora do Chile.

** Tytuł przynajmniej na brulionie poematu jest Żegota.

*** Mówił.

**** Z Buenos Aires do Coquimbo.

[e] W autogr. pomyłkowo: strącili.

[40] Szkoły Górniczej (Ecolé des Mines).

[41] Nieściśle. Umowa Domeyki opiewała na lat sześć.

meyko najwadliwszą organizację, opartą na wzorach uniwersytetu paryskiego według planów Napoleona I.

Pod szumną nazwą Instytutu Narodowego było to pomieszanie kierownictwa początkowych i średnich szkół z wyższymi wykładami, bez systematycznego podziału i porządku. Domeyko przedstawił rządowi Rzeczypospolitej zaraz w pierwszych latach swego w Santiago pobytu plan reformy uniwersytetu na wzór niemieckich, z trzema wydziałami: prawa, filozofii i umiejętności przyrodniczych*, z rektorem, którego na pięć lat mianuje** prezydent Rzeczypospolitej spośród trzech kandydatów wybranych przez gremium profesorów.

Reforma została przyjęta, ale pod warunkiem, że ten, co jej program zakreślił, podejmie się ją zaprowadzić. Po trzykroć wybierany przez kolegów i mianowany rektorem przez rząd, Domeyko, po piętnastoletnich żmudnych rządach połączonych z twórczą pracą naukową, czwartego nie chciał przyjąć wyboru. Uległ jednak, gdy walka stronnictw okazała niemożność innego rektora, a namiętności polityczne ustępowały jedynie wobec Domeyki.

Gdy stanowczo podał się do dymisji, Uniwersytet postanowił wydać wszystkie dzieła znakomitego badacza i ofiarować autorowi w dowód uznania tyloletnich zasług.

Mijały czasem długie lata, a nasz ziomek nie miał sposobności usłyszenia mowy polskiej. „Myślałem po polsku, kochałem po polsku, modliłem się po polsku — jakże miałem zapomnieć”. Nie dość tego jednak; postanowił on jeden dzień w tygodniu oderwać od licznych zajęć dla czytania wyłącznie książek polskich, a dziennikowi naszemu przypadł ten zaszczyt, że od początku swego istnienia aż do powrotu do kraju przynosił on tułaczowi wieści z Ojczyzny.

„O skały Kordylierów uderzałem młotem, by ich echem zagłuszyć tęsknotę” — rzekł czcigodny mąż, gdy odpowiadał na toast powitalny. I wydobył z tych skał echo, co odgłosem cnoty, nauki i zasługi spoza oceanów odbijało się o serca polskie. A gdy nadeszła wreszcie chwila odpoczynku i powrotu — ten, co przez długi żywot badał martwe głazy, najpierw staje tu, gdzie każdy kamień pamiątką, gdzie saxa loquntur[42], a do tych marmurów na grobowcach i pomników przeszłości dorzuca kilka brył drogich kruszców w krakowskich zbiorach i muzeach jakby darem habdankowskim. I te bryły złota i srebra mówić będą o życiu tułacza słowami Gustawa z *Dziadów:*

Gdybyś wziął martwy kamień, z którym igra dziecię,
I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,
A potem, do Ojczyzny wróciwszy z daleka,
[. . . . .]
Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła,
Księże, kamień bez sądu rzuć prosto do piekła![43]

(podpisano) L. Dębicki

* Prawa, medycyny i umiejętności matematyczno-fizycznych.

** Z trzech kandydatów wybranych przez członków Uniwersytetu.

[42] saxa loquuntur (łac.) — kamienie mówią.

[43] *Dziady,* cz. IV (por. A. Mickiewicz, *Dzieła,* t. III, Warszawa 1955, s. 77, w. 854—856, 860—861).

III. Warszawa

2 sierp[nia]. Do późnej nocy, aż do pierwszej z rana, przeciągnęła się rozmowa na ostatnim wieczorze w „sklepionej komnacie" u szanownego pana Popiela i na domiar łaski tego zacnego obywatela zaproponował on sam i wszyscy obecni go usłuchali, aby odprowadzić mnie do hotelu. Na próżno wymawiałem się; rozmowa jeszcze trwała na ulicy i przed hotelem. Szczere i serdeczne było pożegnanie się, a nazajutrz pożegnali mnie jeszcze przy wejściu do wagonu na kolei warszawsko-krakowskiej pp. Kuczyński, Jelski i wiele innych znakomitych osób.

Jakież drogie przypomnienia zostały mi z krótkiego pobytu w Krakowie!

Wagon za prędko pędził, a prędzej jeszcze biegałem oczami po krakowskich polach, nie mogąc się nimi do woli nacieszyć, a serce coraz silniej biło dojeżdżając do granicy Królestwa.

Zatrzymał się pociąg i zaledwom wysiadł, rzucają mi się w objęcia jeden staruszek ze łzami i piękna, młodziutka z nim panienka; wpatruję się — serce, nie oczy, odgadło, że to był mój Edward Odyniec z wnuczką[1]. Nie widziałem go od roku 1832; był wtenczas zakochany, spodziewał się narzeczonej; teraz wdowiec i dziadunio. Od pięćdziesięciu lat żyliśmy z sobą przez lądy i morza listownie, już traciliśmy byli nadzieję obaczenia się z sobą. Jakże to czas poorał nas na twarzy i pochylił, a jednak tak silnie uścisnęliśmy się, jak gdyby każdy był ledwo szkoły ukończył, gorące łzy uroniliśmy, nie przemówiwszy słowa do siebie, i patrzyli na nas ludzie, nawet celnicy i służba komorna, ze zdziwieniem.

Naczelnik komory przemówił do mnie po polsku i tak był grzeczny, że tylko dla pozoru pozwolił strażnikom otworzyć jeden z moich kuferków i ani moich, ani syna mego rzeczy nie rewidował.

Już zmierzchać poczynało, kiedyśmy na powrót wsiedli do wagonu z Odyńcem i jego wnuczką Chomętowską i powoli — rzec można — przychodziliśmy do siebie, nie wiedząc, od czego w rozmowie począć; nawał myśli, słów, pięćdziesiąt lat — cisnęło się do języka. Co który zapytał, drugi nie odpowiedział, o co innego pytał; dodać do tego [trzeba],

[1] Marią Chomętowską, córką Teresy i Stanisława.

że oba[j] byliśmy tępego słuchu; przyznam się, że i nie wiem, o czym się mówiło, bo o wszystkim.

Tymczasem zmrok zapadł, nieco pochmurno, kraj wydał mi się ciągłą płaszczyzną, równiną otwartą. Skierniewice były oświecone, potem znowu ciemniej, niecierpliwość przemaga, Odyniec już tylko gadał, ja oczy wlepiwszy w noc czarną siliłem się obaczyć pierwsze światełka, jakie zabłysną z Warszawy.

Było już koło dziesiątej, kiedy je ujrzałem, i wnet wjechaliśmy do ogromnego gmachu dobrze oświetlonego, gdzie się tren[2] ze zwyczajnym świstem i hukiem zatrzymał. Dwóch czy trzech kolejowych urzędników było na peronie, we drzwiach zaś do salonu jakiś ścisk osób dobrze ubranych, czekających jakoby na jaki tren pośpieszny.

Zaledwośmy się zbliżyli z Odyńcem i jego wnuczką do tych drzwi, wycisnęły się z salonu trzy czy cztery poważne osoby i wprowadziły nas do wnętrza tego salonu, który był tak napełniony wykształconą klasą ludzi rozmaitego wieku i wielu dam, że się trudno było przecisnąć. Odyniec mi tylko wskazał córkę swoją, panią Chomętowską[3], krewną ich panią Borkowską[4], panią Łuszczewską (Deotymę)[5] i wiele innych dam, które już dostąpić do mnie nie mogły, a z dala podawały piękne bukiety kwiatów.

Gdyśmy dotarli do środka, jeden siwy, poważny mąż, najstarszy może z obecnych, doktor Szokalski[6], powitał mię krótką przemową w imieniu przyrodników, literatów, dziennikarzy i młodzieży uniwersyteckiej, na co zaledwo mogłem w kilku słowach odpowiedzieć, żem nie zasłużył na tyle zaszczytu i dobroci, a miło mi powitać Warszawę po pięćdziesięciu latach niewidzenia.

Tu poczęły się powinszowania, serdeczne słowa, ale nie głośno, na wpół z cicha, jak gdyby był kto, co by chciał podsłuchać. Przybliżyły się do mnie z trudnością dwie moje synowice[7] Wierzbowskie, z których

---

[2] tren (hiszp.) — pociąg.

[3] Teresa Chomętowska, córka A. E. Odyńca, wdowa po Stanisławie Chomętowskim (1838—1881), lekarzu chorób nerwowych i umysłowych, założycielu pierwszego w Warszawie prywatnego zakładu psychiatrycznego.

[4] Aleksandra z Chomętowskich Borkowska (1828—1898), literatka, od roku 1868 redaktorka „Kroniki Rodzinnej", od 1889 współredaktorka „Wieczorów Rodzinnych".

[5] Jadwiga Łuszczewska, pseud. Deotyma (1834—1908), autorka poezji, poematów i powieści, w swoim czasie bardzo poczytnych.

[6] Wiktor Feliks Szokalski (1811—1891), lekarz okulista, stopień doktora medycyny otrzymał w Paryżu (1839), od roku 1853 przebywał w Warszawie, autor licznych prac naukowych, w roku 1887 otrzymał dyplom honoris causa doktora medycyny Uniwersytetu Jagiellońskiego.

[7] Ściśle: siostrzenice, córki Marii z Domeyków Wierzbowskiej.

jedna była umyślnie na poznanie mnie przybyła z Petersburga, cisnęli się jedni po drugich, ściskając mi dłonie, zupełnie mi nieznajome osoby.

Trwało to powitanie, tak niespodziewane dla mnie, ze 20 minut; coraz więcej przybywało osób, parno było, czułem się rozrzewniony, zmęczony, oniemiały, nie wiedziałem, co począć. Wziął mię Odyniec pod ramię i choć z niejaką trudnością, wyszliśmy z salonu na ulicę, gdzie na nas czekał powóz córki Odyńca, pani Chomętowskiej, i ruszyliśmy do jej domu niedaleko od kolejowej stacji położonego. Tu za otwarciem bramy wjechaliśmy do świetnie iluminowanego ogrodu i ogni bengalskich. Za nami zawarto bramę, aby uniknąć ciekawości tłumu.

W pięknym salonie pani Chomętowskiej przywitał mnie jw. biskup sufragan warszawski ks. Ruszkiewicz[8] w gronie zebranych gości i licznej Odyńca rodziny. Ucałowałem najpokorniej ręce wielebnego pasterza; nastąpiła suta wieczerza, a po wieczerzy długo jeszcze ciągnęła się wesoła, serdeczna rozmowa. Po północy zaprowadzono mnie i syna mego Hernana do przygotowanych dla mnie pokojów.

Nazajutrz, była to niedziela, w tymże samym domu pani Chomętowskiej, w jej kaplicy miał mszę ks. biskup Ruszkiewicz. Po mszy, około południa, oddałem z Odyńcem wizytę arcybiskupowi ks. Popielowi[9], bratu pana Pawła. Najuprzejmiej mnie przyjął i najłaskawiej rozmawiał ze mną świątobliwy pasterz, wypytując się o Ameryce i moim w niej pobycie; wysoki, polskiej, senatorskiej powagi i ujęcia, ognistych oczu, oczarował mię dźwięcznym polskim wysłowieniem, w którym łączył słodycz z siłą i pobożnością. Pierwszy to raz w życiu miałem szczęście i wysoki zaszczyt rozmawiać z arcybiskupem polskim.

Potem też oddałem moje dziękczynne uszanowanie ks. biskupowi Ruszkiewiczowi[a] w jego domu i pojechaliśmy odwiedzić panią Borkowską, redaktorkę „Kroniki [Rodzinnej]", p. Łuszczewską-Deotymę, panią Gorecką[10], córkę Adama Mickiewicza, której niedawno była umarła je-

---

[a] W autogr. pomyłkowo: Ruczkowskiemu.

[8] Kazimierz Ruszkiewicz (1836—1925), ksiądz, doktor teologii, po probostwach prowincjonalnych w r. 1884 mianowany biskupem sufraganem warszawskim, współpracownik „Przeglądu Katolickiego" i „Encyklopedii Kościelnej".

[9] Teofil Wincenty Popiel (1825—1913), ksiądz; po studiach w kraju i za granicą profesor seminarium kieleckiego, w latach 1862—1863 rektor Akademii Duchownej w Warszawie, następnie biskup płocki, biskup kujawsko-kaliski, od r. 1883 arcybiskup metropolita warszawski, autor *Pamiętników* z lat 1862—1875.

[10] Maria z Mickiewiczów Gorecka (1835—1923), literatka, wdowa po artyście malarzu Tadeuszu Goreckim (1825—1868), autorka *Wspomnień o Adamie Mickiewiczu*, tłumaczka na język francuski Sienkiewicza *Bartek zwycięzca*, *Pamiętniki nauczyciela poznańskiego* i in.

dynaczka córka[11], panią Lewem[?] i wielu innych przędniejszych obywateli warszawskich, znajomych Odyńca.

Poniedziałek spędziłem na zwiedzaniu Warszawy, której od 1830 roku nie widziałem. W Łazienkach robiono przygotowania na zapowiedziane przybycie cara; a serce mi zabolało patrząc na ów piękny pałacyk, lubieżne posągi nagich nimf przed nim i teatrzyk, i owe cyniczne fauny marmurowe wyzierające spod rozłożystych drzew nad stawem, jakby śmiejące się z naszego upadku, i duży park, świadek rozkosznych zabaw i nocnych przechadzek z czasu, kiedy było potrzeba myśleć o ratunku kraju — smutne pamiątki zalotnego Stanisława Augusta. Za tym pałacykiem, którego budowę naśladowali nasze pany, murując w swoich dobrach obszerne pałace, dziś ruiną stojące. Cichą łzę uroniłem przy posągu Jana III i nie bez wzruszenia przeszedłem koło Belwederu, dawnej rezydencji w. ks. Konstantego, patrząc na okno, po którym spuścił się po sznurze[12].

Nie pocieszył też mię widok pałacu i Ogrodu Saskiego, i pałac Brühlowski, i niedaleko nich ów czarny jak węgiel monument po zmarłych jakoby za cara, i ciemny posąg Paskiewicza[13].

Jakże to wszystko odmienne od tego, co od wczora zwiedzałem w Krakowie, gdzie co krok to widzisz pamiątki, zabytki naszej potęgi i wielkości i stąpasz nieśmiało, ze czcią, żeby [nie] stąpać po popiołach ojców Ojczyzny naszej zgubionej.

We wtorek odwiedziłem Uniwersytet i przyjęty przyjacielsko przez naszego sławnego przyrodnika Taczanowskiego[14], powoli i uważnie obejrzałem zebrane i po mistrzowsku urządzone przez niego gabinety historii naturalnej, mianowicie przepyszną, nieźmiernie liczną w okazy salę ornitologiczną. Tu — jak w Krakowie — duch ofiarności polskiej czuwa nad tymi zbiorami, gdyż nie rząd, ale partykularni[15] przykładają się do ich

---

[11] Helena z Goreckich Modlińska (zm. 1884). Oprócz niej miała Maria z Mickiewiczów Gorecka dwóch synów: Ludwika (1863—1936) lekarza i Adama, który kształcił się na technika w Rydze. Najstarsza córka Celina zmarła w dzieciństwie (1858—1860).

[12] Wersja raczej nieautentyczna, szczegóły nocy listopadowej w Belwederze zob. E. P. Karnowicz, *Wielki książę Konstanty*, Warszawa 1900, s. 92—100, J. S. Harbut, *Noc listopadowa*, Warszawa 1926, s. 141—150.

[13] Iwan Paskiewicz (1782—1856), feldmarszałek rosyjski, namiestnik Królestwa Polskiego w latach 1831—1856, rusyfikator. W autogr.: Paszkiewicza.

[14] Władysław Taczanowski (1819—1890), wybitny ornitolog, opracował systematykę i biologię ptaków na ziemiach Polski w dziele *Ptaki krajowe*.

[15] Tj. osoby prywatne.

powiększenia. Wiele szczególnie okazów winniśmy hr. Konstantemu Branickiemu, podróżnikom takim, jak Sztolcman[16], Dybowski[17], Jelski etc.

Tegoż dnia byłem zaproszony na wieczór przez panią Borkowską do redakcji „Kroniki", gdzie od wielu lat były przyjęte i umieszczone artykuły moje z Santiago. Tu poznałem wielu celniejszych pisarzy warszawskich i obaj biskupi zaszczycili ten wieczór swoją obecnością.

We środę cały ranek spędziłem w gabinecie mineralogicznym i tam, pod nieobecność profesora mineralogii przysłanego niedawno z Petersburga, Moskala[18], złożyłem i uporządkowałem w darze kilkadziesiąt rzadkich, a dosyć cennych okazów przywiezionych przeze mnie z Ameryki.

Wieczór tego dnia był dany dla mnie w domu p. Chomętowskiej. Byli na nim ks. arcybiskup i biskup sufragan, p. Ostrowski[19] — prezes Zakładu Kredytowego Polskiego, hr. Skarbek[20], Przeździecki[21], dziennikarze, literaci warszawscy, wiele dam, między którymi odbierała dowody wysokiego szacunku i czci pani Łuszczewska-Deotyma.

Tu, wpośród ożywionej na całej sali rozmowy, powstają wszyscy i w otoczeniu mężów zasłużonych na różnych widowniach pracy społecznej, a w imieniu literatów i dziennikarzy warszawskich zacna Deotyma

---

[16] Jan Sztolcman (1854—1928), przyrodnik (ornitolog) i podróżnik polski, wicedyrektor Państwowego Muzeum Przyrodniczego w Warszawie, autor wielu rozpraw naukowych i książek podróżniczych. W autogr.: Stolzman.

[17] Benedykt Dybowski (1835—1930), przyrodnik polski; po studiach w Dorpacie i Berlinie, gdzie otrzymał stopień doktora medycyny, został profesorem zoologii w Szkole Głównej w Warszawie (1862), zesłany w 1864 r. na Sybir, prowadził tam badania naukowe, w licznych wyprawach zbierał materiały antropologiczne, zoologiczne i lingwistyczne i bogate te zbiory przywiózł do kraju (w r. 1882 urządzono wystawę tych zbiorów), w roku 1883 objął katedrę na Uniwersytecie Lwowskim; był autorem licznych prac naukowych, w r. 1891 został członkiem Akademii Umiejętności. W autogr.: Dyboski.

[18] Aleksander Evgenevič Lagorio (1852 — ok. 1917), petrograf i mineralog rosyjski, od roku 1880 profesor nadzwyczajny, od r. 1885 zwyczajny profesor mineralogii Carskiego Uniwersytetu Warszawskiego, członek korespondent Petersburskiej Akademii Nauk od r. 1896.

[19] Aleksander Ostrowski (1811—1896), ziemianin, działacz polityczny i społeczny, założyciel szkół i kas pożyczkowych dla włościan, gubernator radomski (1862), główny dyrektor Komisji Spraw Wewnętrznych (1863—1864), członek Rady Stanu (do roku 1867), w latach 1874—1890 prezes Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

[20] Zapewne Henryk Stanisław Leon Skarbek (1839—1904), syn Fryderyka (1792—1866), właściciel dóbr w gub. warszawskiej, kurator dziedz. fundacji Skarbkowskiej w Galicji (1885), wiceprezes Tow. Sztuk Pięknych we Lwowie w latach 1886—1889 i innych towarzystw.

[21] Konstanty hr. Przeździecki (1846—1896), syn Aleksandra (1814—1871) i Marii z hr. Tyzenhauzów, kawaler maltański, dziedzic dóbr na Litwie, badacz dziejów ojczystych, ukończył rozpoczęte przez ojca wydawnictwo dzieł Długosza i Jagiellonek, założyciel Pogotowia Ratunkowego w Warszawie.

wręcza mi wieniec wawrzynowy z piękną wstęgą białą ze złotym napisem: „Dla piastuna cnoty i czci narodowej wśród obcych ludów". Oddając ten wieniec improwizowała Deotyma, a po niej Adam Pług (Pietkiewicz[22], brat mego na emigracji przyjaciela[23]) odczytał swój wiersz, który mu w całości nie przepuściła cenzura. Oto z niego wyjątki ogłoszone w „Kronice Rodzinnej" (nr 16, 1884)[24]:

Choć pod chmurnym i chłodnym niebem tej krainy
Niełatwo jest hodować[b] krzewy południowe,
Umiemy jednak pod nim wynaleźć wawrzyny,
Gdy nam wieńca potrzeba na czcigodną głowę.

A czyjaż czcigodniejszą może być zaiste
Nad Twoją, Gościu drogi, z dalekiego świata,
Gdzie śród obcych cześć naszą i cnoty ojczyste
Piastowałeś z godnością przez tak długie lata?

Nad Twoją, druhu wierny Tomasza i Jana,
Adama i Edwarda[25], i Plejady całej
Promienistej, co była od Boga zesłana,
By ojczyźnie przydała pożytku i chwały,
Aby na jej ołtarzu Znicz zażegła święty
Miłości i ofiary, z którego płomienia
Skry cudowne z pokoleń poszły w pokolenia?
. . . .
Tyś młodzieńczych swych piersi tchnieniem czystym silnie
Znicza tego podniecał, czy to, gdyś żarliwie
Skarby wiedzy zdobywał u jej źródła[c] w Wilnie,
Czy gdyś chodził za pługiem na swych ojców niwie,
Czy to w klasztornej celi Błękitnemu Gronu
Ducha krzepił proroczo, prawiąc mu o ziarnie,
Co nigdy nie zmarnieje dla człeka bez plonu,
Choćby je szatan w ziemi chciał zadeptać marnie;
Czy gdyś, na nic niepomny zapaleniec młody,
Ochoczo w świat szeroki pobiegł na przygody,
I na drugiej półkuli zasługami swemi
Cześć i miłość zjednywał[d] dla rodzinnej ziemi.

---

[b] W autogr. pomyłkowo: budować.

[c] W autogr.: źródeł.

[d] W autogr. pomyłkowo: znajdował.

[22] Antoni Pietkiewicz, pseud. Adam Pług (1824—1903), pisarz, poeta, publicysta, tłumacz, redaktor „Kłosów" (1875—1890), *Wielkiej encyklopedii ilustrowanej* (1891—1903), „Wędrowca" (1894—1899), współpracownik czasopism wileńskich, autor poematów i powieści, tłumaczył Wiktora Hugo i Szekspira.

[23] Waleriana Pietkiewicza, zob. t. I, cz. 2, rozdz. IV, przyp. 21.

[24] W artykule Wincentego Korotyńskiego pt. *Ignacy Domeyko w Warszawie*.

[25] Tomasza Zana i Jana Czeczota, Adama Mickiewicza i Edwarda Odyńca.

Dziś więc, gdy po rozłące smutnej, półwiekowej
„Panna Święta, co z Jasnej świeci Częstochowy
I Ostrej strzeże Bramy", z duszą roztęsknioną
„Powraca Cię swym cudem na ojczyzny łono,
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych,
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem" —
Przyjm należny ci słusznie wieniec od spółbraci!
A choć on Twoich zasług i cnót nie opłaci,
Zechciej jednak na niego pojrzeć miłym okiem,
A znajdziesz w nim świadectwo, żeś dobrym prorokiem
Był, mówiąc przyjaciołom, iż głód nas nie znęka,
Bo ziarno, które wasza zasiewała ręka,
Nie zmarniało, choć nieraz orkany burzliwe
Gradem nam lub powodzią pustoszyły niwę;
Bo pieśni filareckie dla nas nie przebrzmiały.

. . . .

Niechże to zapewnienie, które tu w tej chwili
Stwierdzają wszystkie serca, w takt bijące z moim,
Powrót Twój do ojczyzny tym bardziej umili
I przeniknie Cię pełnym otuchy spokojem,
Iż choć u nas ubogo i chmurno, i chłodno,
Nigdy jednak w Twej duszy żal się nie obudzi,
Żeś dla nas rzucił ziemię słoneczną, pogodną,
A z nią wolnych, bogatych i szczęśliwych ludzi,
Skoro tu oglądają stare Twoje oczy
Promienistej młodości Twej odblask uroczy.

Był to dziwnie przyjemny i rozczulający dla mnie wieczór; nie nawykłem do odbierania takich honorów i dlatego — niespokojny, upokorzony czułem się. Długa, zajmująca rozmowa, jaką prowadziłem z wielce szanownym i łaskawym dla mnie ks. arcybiskupem, dodała mi ducha. Widziałem, że w tym przyjęciu i ugoszczeniu mnie był głównie obchód pamiątki czasów filareckich, wojny [18]31 roku i moich przyjaciół — Adama, Bohdana[26], Zana, Czeczota i innych.

Nazajutrz — jak niesie „Kronika Rodzinna" — na cześć Domeyki zgromadził licznych gości wieczór u Deotymy, na którym Odyniec powtórzył znaną czytelnikom „Kroniki" swą *Odę do starości*[27], a gospodyni domu odczytała wyrazistą charakterystykę gwarnych dzisiejszych prądów burzących oraz spokojnych budujących, z którymi płynęli filareci pod swoją błękitną chorągwią.

Na wszystkich tych trzech wieczorach — dodaje „Kronika" — raczył się znajdować Jego Eks. arcybiskup Popiel. Długo, wielu nawrotami, rozmawiali z sobą dwaj wyobraziciele wiary i nauki, wzajem siostrzane podających sobie dłonie na wyżynach.

---

[26] Adama Mickiewicza, Bohdana Zaleskiego.

[27] „Kronika Rodzinna" 1884, nr 16, s. 484.

Na tym trzecim wieczorze, który się do północy przeciągnął, widziałem świat wyższego towarzystwa warszawskiego, wiele hrabiów, damy pięknie postrojone, dostojnych literatów i przedstawicieli prasy; a kiedy wśród ożywionej i poufałej rozmowy wstąpiła na nieco podniesioną estradę Deotyma i poczęła swój wiersz deklamować, tak była imponująco piękną, genialną, wspaniałą, że się jej dotąd wydziwić ni dosyć uwielbić nie mogę, a całe towarzystwo było ciche, oczy wszystkich ku niej zwrócone.

W piątek już miałem odjechać z Warszawy, ale był to dzień imienin starszej wnuczki Odyńca — jakże go nie obchodzić w jego domu? Tylko po południu zacny profesor Załęski[28], który łaskawie towarzyszem był moim do oprowadzania po mieście, zaprowadził mnie do „Powszechnego Zakładu pana Lewickiego"[29]. Poszedłem z ochotą dla widzenia ulepszeń w tym naszym narodowym, piastowym przemyśle, o którym już mi było mówiono. Jest to ogród już prawie za miastem położony; wszedłem do niego spodziewając się obaczyć nasze litewskie ule jak kłody, nie ociosane.

Aż tu, zaledwo byłem o kilka kroków od wejścia, wybiegło na murawę do trzydziestu pięknych dziewcząt, młodych, strojnych panienek, które z kwiatami i dużym wawrzynowym wieńcem mnie spotkały, a jedna z nich, co niosła ten wieniec, pąsową szeroką wstążką ozdobiony, odczytała, a w części wydeklamowała długą, pięknie dla mnie napisaną mowę. Były to uczennice Zakładu. Wprowadziły mię do obszernego, pięknego salonu, gdzie były przy każdym oknie szklanne ule, dające widzieć mozolną pracę pszczółek i wewnętrzne urządzenie plastrów miodowych, a w całym salonie ani jednej latającej pszczoły, bo wejście do uli miały od ogrodu.

Jedna z nadobnych uczennic oprowadzała mnie po całym salonie; pięknym, wyraźnym wysłowieniem tłumaczyła całą naukę pszczelniczą, jak starannie hodować i w razach choroby leczyć należy i rozmnażać ten pożyteczny owad, jak potem oddziela się miód od wosku w osobnym na to przyrządzie, wirowym ruchem (bez ciepła i wytapiania), nie psując woskowej sieci, tak że ten sam plastr wosku wypróżniony wkładają

---

[28] Witold Załęski (1836—1908), ekonomista, pedagog; po studiach w Dorpacie nauczyciel historii i geografii szkół warszawskich, od r. 1873 profesor statystyki w Szkole Handlowej w Warszawie, autor wielu prac z dziedziny ekonomii i statystyki.

[29] Kazimierz Lewicki (1847—1902), pszczelarz, konstruktor ula (rozpowszechnionego w drugiej połowie XIX wieku w b. zaborze rosyjskim i w samej Rosji), gorliwy popularyzator pszczelarstwa, autor licznych artykułów z tej dziedziny i podręcznika pt. *Pszczelnictwo*. W roku 1882 założył w Warszawie Muzeum Pszczelarskie połączone z wzorową pasieką. W autogr. nazwisko brzmi różnie: Lesicki, Lewicki.

znowu do ula, oszczędzając roboczym pszczołom pracy na robienie nowego wosku etc.

Zaiste trudno opisać, jak mi to było przyjemnie słyszeć piękną ośmnastoletnią panienkę mówiącą o pszczołach. Dodawały też niekiedy i inne młodsze jej towarzyszki po słowie swoje uwagi, kiedy co przez prędkość najwymowniejsza z nich opuściła. A potem wszystkie razem poprowadziły mnie do ogrodu, gdzie się znajduje kompletny zbiór rozmaitej budowy uli używanych na świecie. Przy każdym prawie z przedniejszych zatrzymywały się rezolutne uczennice i tłumaczyły, jakie wady i jakie korzyści przedstawia każda w swoim rodzaju budowa.

Potem zaprosiły mnie do pokoju na skosztowanie miodu; i tam im podziękowałem, pochwaliłem je, jak mogłem najczulej, i poczęstowały mnie napojem miodowym, robionym w tymże zakładzie. Naczelnik Zakładu, p. Lewicki, jego założyciel, profesor i cały oddany temu przemysłowi, był chory; wypiłem za jego zdrowie i wszystkie jego uczennice piły do mnie; i kiedym rozmawiając z nimi zapytał, czy była która z nich Litwinka, poczęły żwawo i radośnie chwalić się: ja jestem, ja z Grodzieńskiego, ja z Augustowskiego, a inne, ja z Podola, ja z Białegostoku, niektóre — znać było z akcentu — że z Mazowsza czy Warszawianki.

Jednym słowem, była z nich młoda, piękna, ożywiona Polska, z której miód zdrojem popłynie po wszystkich niwach naszego kraju.

Kiedym wychodził, spotkałem schorzałego szanownego pana Lewickiego, który o kiju wstał z łóżka, żeby mię powitać, i zaraz potem przysłał mi w podarunku parę butelek starego miodu, plaster świeżego i swój traktat wyborny o pszczelnictwie.

Tegoż wieczoru fabrykant papieru p. [e] podarował mi duży pakiet wybornego papieru z prośbą, abym na jego tylko papierze pisywał listy. Fotografowie Leonard, Konrad i dwaj inni przynieśli do mnie w upominku moje fotografowane podarunki, redaktorowie zaś „Wszechświata" i „Komisji Fizjograficznej" kompletne zbiory tych cennych bardzo dzieł periodycznych.

Wiele bym jeszcze i bardzo wiele zaszczytnych i pochlebnych rzeczy miał do powiedzenia z tego mojego tygodniowego pobytu w Warszawie i z niezasłużonych honorów, wcale nie spodziewanych, jakie mnie spotkały. Wszystkie dzienniki i przeglądy warszawskie, ba, nawet petersburskie, szeroko o tym pisały. Że zaś żmudną i nieprzyzwoitą rzeczą jest samemu pisać wiele o sobie, lepiej będzie przytoczyć z niektórych pism periodycznych wyjątki o tym dzisiejszym moim pobycie w stolicy Królestwa.

---

e W autogr. wolne miejsce.

IV. Dodatek. Wyjątki z gazet i dzienników[1]

1. Obszerny artykuł w „Kłosach" z 26 lipca[a]/7 sierpnia 1884, z piękną ryciną mojego portretu, winienem najprzód Pługowi (Pietkiewiczowi, bratu mego z najbliższych moich przyjaciół na emigracji, zmarłemu we Francji). Z tego artykułu wyjątki:

Długo oczekiwany gość dostojny zza Oceanu, jeden z nielicznego już grona filaretów, druh najserdeczniejszy Adama, reformator, ledwo nie twórca Uniwersytetu w Santiago, Ignacy Domeyko, po 53 latach oddalenia od kraju rodzinnego, a 46 od Europy, dnia 6 lipca wylądowawszy w Bordeaux i czas jakiś pogościwszy w Paryżu i Krakowie, przeszłej soboty przybył do Warszawy nareszcie.

Sędziwy przyjaciel i towarzysz jego młodości A. E. Odyniec... uwiadomiony przez telegraf o godzinie przyjazdu jego do Granicy[2], z córką swą i wnuczką najstarszą pospieszył tam na spotkanie gościa upragnionego.

Uprzejmy zawiadowca stacji, dowiedziawszy się, w jakim celu troje tych podróżnych przybyło, pozwolił im wyjść na peron i tam oczekiwać na pociąg. Nietrudno sobie wyobrazić, jakie to musiało być oczekiwanie....

A wtem z okna wagonu, w którym się znajdował Domeyko, ktoś, co go odprowadzał z Krakowa, krzyknął: Odyniec! — i w oka mgnieniu dwaj druhowie sędziwi z uczuciem młodzieńczym padli sobie w objęcia, zalewając się łzami niewymownej radości. A wszyscy świadkowie tej wzniosłej sceny, mimowolnie zdjęci uszanowaniem i wzruszeni do głębi serca, ze czcią odkryli głowy, schylając je przed dostojeństwem wieku i świętością uczucia.

... z Granicy tedy w towarzystwie ⟨Odyńca⟩, jego córki pani Chomętowskiej i wnuczki Domeyko ze swoim starszym synem Hernanem[b] wyruszył do

---

[a] W autogr. pomyłkowo: 23 lipca.

[b] W artykule mylnie: Hernanim.

[1] Domeyko przepisując fragmenty artykułów z gazet nie zawsze trzymał się — jak wynika ze sprawdzenia — wiernie tekstu drukowanego, czasem własnymi słowami, zapewne odruchowo, zastępował poszczególne wyrazy, np. „potem" zamiast „później", „obaczymy" zamiast „ujrzymy", „pszczelnicy" zamiast „pasiecznicy" „pierwsze" zamiast „pierwotne" itp. Tego rodzaju odstąpień od tekstu, jak również drobnych opuszczeń nie ujawniamy, pozostawiając brzmienie autografu, wszelkie natomiast istotne odchylenia zaznaczamy każdorazowo w przypisie, a wprowadzone na podstawie artykułu uzupełnienie tekstu ujmujemy w nawias ostrokątny, luki większe sygnalizujemy trzema kropkami w nawiasie prostokątnym, bez przypisu, w odróżnieniu od trzech kropek, którymi oznaczał opuszczenia Domeyko.

[2] Granica, osada na terenie wsi Mączki w pow. będzińskim, woj. kieleckie, do roku 1914 była stacją pograniczną z komorą celną między Rosją a Austrią (Królestwem Polski a Galicją).

Warszawy, gdzie stanął o godzinie dziesiątej w wieczór. Tu na dworcu już go oczekiwało osób kilkadziesiąt ze świata naukowego, dziennikarskiego i literatury, jako też grono krewnych z Litwy przybyłych oraz spora gromadka ludzi pociągniętych urokiem chwały i zasługi gościa spodziewanego.

Z prasy naszej miały tu swoich przedstawicieli: „Biblioteka Warszawska" (prof. Plebański)[3], „Niwa" (Godlewski[4] i Gnatowski[5]), „Tygodnik Ilustrowany" (Jenike[6]), „Kronika Rodzinna" (pani Borkowska), „Słowo" (Olendzki[7] i ks. Chełmicki[8]), „Gazeta Polska" (Henkiel[9]), „Gazeta Warszawska" (Korotyński[10]), wreszcie i nasze czasopismo, a prawdopodobnie i kilka innych, których reprezentantów bądź nie znamy, bądź też nie dostrzegliśmy w wielkim natłoku. Nauki przyrodnicze przedstawiali, z sędziwym jubilatem doktorem Szokalskim na czele, pp. Aleksandrowicz[11], Dziewulski[12], Ślósarski[13], Taczanowski, Wałecki[14],

---

[3] Józef Kazimierz Plebański (1831—1897), historyk, profesor Szkoły Głównej w Warszawie w latach 1862—1869, redaktor „Biblioteki Warszawskiej", autor monografii postaci historycznych.

[4] Mścisław Godlewski (1846—1908), prawnik i publicysta, w latach 1872—1877 redaktor „Biblioteki Umiejętności Prawnych", później „Niwy" i „Słowa". Napisał kilka prac z zakresu prawa cywilnego.

[5] Jan Gnatowski, pseud. Jan Łada (ur. 1855), ksiądz, publicysta, współpracownik różnych czasopism, w latach 1882—1884 prowadził w „Niwie" dział krytyki literackiej, autor powieści, nowel i opracowań literackich.

[6] Ludwik Jenike (1818—1903), publicysta, pisarz i tłumacz, od roku 1838 współpracownik wielu pism warszawskich, w latach 1859—1886 pierwszy redaktor „Tygodnika Ilustrowanego". Oddzielnie wydał swą pracę o rytmie w poezji oraz przekłady niektórych dzieł Goethego.

[7] Władysław Olendzki, pseud. Jacek Soplica (1841—1894), publicysta, od roku 1882 redaktor „Słowa", później (1887) „Kuriera Codziennego", autor *Historii nauk politycznych od XVI w. do najnowszych czasów*. W autogr.: Olędzki.

[8] Zygmunt Chełmicki (1851—1922), ksiądz, działacz społeczny, publicysta, od r. 1877 rektor kościoła popaulińskiego w Warszawie, współpracował przy zakładaniu kas rzemieślniczych, założył wydawnictwo „Biblioteka Dzieł Chrześcijańskich".

[9] Dionizy Henkiel (1842—1920), literat, publicysta, uczestnik powstania styczniowego, zesłaniec na Sybir, po powrocie współpracownik różnych czasopism, redaktor „Gazety Polskiej" do r. 1897, później „Biblioteki Warszawskiej". W autogr.: Henkel.

[10] Wincenty Korotyński (1831—1891), publicysta, poeta, współpracownik czasopism wileńskich i warszawskich, autor studiów historyczno-literackich, zbiorku poezji i poematów.

[11] Jerzy Aleksandrowicz (1819—1894), przyrodnik, w latach 1862—1869 profesor botaniki w Szkole Głównej w Warszawie, w latach 1869—1878 prof. Uniw. Warszawskiego, założyciel i kierownik (1879—1886) pierwszej w Polsce szkoły ogrodniczej, członek wielu towarzystw naukowych.

[12] Klemens Eugeniusz Dziewulski (1842—1889), przyrodnik i fizjograf, autor cennych prac naukowych, inicjator i redaktor „Pamiętnika Fizjograficznego" i „Wszechświata", gorliwy popularyzator wiedzy przyrodniczej i ofiarny pracownik na niwie społecznej. W autogr.: Dziwulski.

[13] Antoni Ślósarski (1843—1897), zoolog i fizjograf, współredaktor „Wszechświata", autor wielu prac naukowych. W autogr.: Ślusarski.

[14] Antoni Wałecki (1815—1897), zoolog i fizjograf, uczeń Akademii Med.-Chi-

Załęski i Znatowicz[15]. Cały ten orszak zgromadzony był w sali pierwszej klasy, na peronie zaś jedną z najpierwszych w powitaniu gościa znakomitego, którego wiódł pod ramię Odyniec, była Deotyma; a widzieliśmy, z jakim uradowaniem i zdumieniem [za]razem mąż dostojny, pełen skromności i prostoty, przyjął ten hołd, złożony sobie przez poetkę, której pieśni natchnione nieraz przez szerokie morskie odmęty „lotem gołębicy przynosiły mu oliwną gałązkę pociechy".

W sali, do której wśród natłoku ledwo zdołano gościa wprowadzić, powitał go słowem serdecznym doktor Szokalski. Domeyko rozrzewniony, poruszony do głębi duszy, ze łzami w oczach powtarzał tylko drżącym głosem: mój Boże, czymże ja na to zasłużyłem? spełniłem tylko obowiązek, nic więcej. — Kiedy usiadł nareszcie, Odyniec po kolei przedstawiał mu obecnych, a choć trwało to z górą pół godziny, nie wszyscy dostąpili tego zaszczytu, słusznie uznawszy, że po czternastogodzinnej podróży nie godziło się dłużej go nudzić. Parę jednak osób z rodziny oraz kilka będących w bliższej zażyłości z Odyńcem towarzyszyło podróżnym do domu pani Chomętowskiej, gdzie Domeyko u boku przyjaciela swego zagościł, a gdzie go spotkał ks. sufragan Ruszkiewicz. Tu jeszcze do północy przeciągnęło się miło posiedzenie...

Po polsku mówi Domeyko, rzec by można, językiem literackim, czystym, bez żadnej przymieszki prowincjonalizmów, a co dziwniejsze, bez skażenia obcym akcentem...

Tu przytacza redaktor, co powiedziałem, kiedy mię pytano, jakim sposobem mogłem po tylu latach niemówienia rodzinnym językiem nie zapomnieć go, że za przyjazdem moim z Europy do Santiago, kiedy tam spotkawszy jednego krawca Polaka, co po 30 latach oddalenia z kraju i pobytu w Chile mógł się jeszcze rozmówić ze mną po polsku, zapytałem go, jak mógł w pamięci zachować mowę ojczystą, odpowiedział: „Jak? Bo ja zawsze modlę się po polsku".

W dalszym ciągu artykułu podaje redaktor wiele szczegółów z obszernego życiorysu skreślonego wdzięcznym i wytrawnym piórem Korotyńskiego przed ośmiu laty w „Kłosach"[16].

2. „Biesiada", 8 sierpnia[17].

... Gość w dom, Bóg w dom! a jeszcze kiedy taki gość, jak Domeyko! W sobotę wieczorem zawitał w mury Warszawy ⟨zacny a uczony⟩ rektor Uniwersytetu w Santiago, który przez 46 lat uczył Chilijczyków po hiszpańsku, latami całymi nie mówił po polsku, a jednak dzisiaj tak gładko i czysto wyraża się rodzinnym językiem, jak gdyby wczora kraj opuścił. Taka to niespożyta siła rodzima tkwiła w generacji, której jednym z ostatnich reprezentantów jest

---

rurg. w Wilnie, w latach 1839—1857 na zesłaniu na Syberii, później kustosz gabinetu mineralogicznego Szkoły Głównej Warsz., następnie Uniwersytetu Warszawskiego. Prace naukowe ogłaszał w „Pamiętniku Fizjograficznym". W autogr.: Waleski.

[15] Bronisław Znatowicz (1851—1917), chemik, inspektor oświetlenia gazowego w Warszawie, od r. 1881 redaktor „Wszechświata", później (1900) „Chemika Polskiego", autor podręcznika *Chemia mineralna*.

[16] W artykule pt. *Ignacy Domeyko*, „Kłosy", t. XXV, 1877, nr 644—646, 648—650.

[17] „Biesiada Literacka", t. XVIII, Warszawa 1884, s. 81—82.

nasz gość dzisiejszy. Dzięki Bogu Domeyko, acz szczupły i drobny, zdrów jest i czerstwy ciałem i duchem...

Jednolatek z Bohdanem Zaleskim, o dwa lata młodszy od Mickiewicza[18], a o dwa starszy od Odyńca, Domeyko w roku 1822 ukończył wydział matematyczny jako jeden z uczniów ⟨najdzielniejszych⟩ Jędrzeja Śniadeckiego...

Niezwykły jakiś urok, coś dziwnie rzewnego ma w sobie ten powrót starca z dalekich lądów, na które go losy młodzieńcze rzuciły, powrót jakby nie z nowego, ale z tamtego świata ⟨do swoich⟩. Nie można przynajmniej powiedzieć, że do swoich przybył, a swoi go nie przyjęli. Nie już młodzież, ale ludzie poważni, posiwiali w pracy na ojczystym zagonie, garną się do niego niby dzieci do ojca, czcząc w nim i prawość, i wartość osobistą, i relikwią podnioślejszej nad teraźniejszość przeszłości. A on ze skromnością prawdziwej zasługi, a zarazem z ojcowskim uczuciem patriarchy przyjmuje te hołdy z serca płynącego uznania i błogosławieństwem dziękuje za te oznaki czci tym cenniejszej, że nie wymaganej.

Tak było w sobotę na dworcu kolei żelaznej warszawsko-wiedeńskiej...

Łącząc głos nasz z głosem ogólnym, na powitanie zasłużonego męża nie możemy lepszych dobrać wyrazów nad słowa owej pieśni, którą ongi lud nasz radował się powrotowi króla tułacza wołając: „A witajże nam, witaj, miły gospodynie!"[19]

3. Tygodnik Romansów i Powieści, 28 lip[ca]/9 sierp[nia] [18]84.

Najświeższą nowością dni z ubiegłego tygodnia i najważniejszym bezspornie faktem, który na siebie zwrócił uwagę wszystkich prawie warszawiaków i wszystkie warszawianki, jest przyjazd ze stron dalekich, bo aż zza Oceanu, ze złotodajnej krainy Chile, jednego z filaretów, przyjaciela Adama Mickiewicza, Ignacego Domeyki.

Domeyko poszedł na tułaczkę długą, pracował na kawałek chleba przez pół wieku dla innych, wysoko niósł sztandar tej pracy, a gdy mu ona już owoc przyniosła, to przecież nie mógł się obejść bez litewskiego powietrza, bez ziemi własnej, a z dostatków zdobytych używać nigdzie indziej nie umiał, jak tylko na swoim gruncie...

Naźwisko jego zna każdy, kto zna *Pana Tadeusza*, kto zna trzecią część *Dziadów*, gdzie jako Żegota, w celi klasztornej, swoim spółtowarzyszom opowiada bajkę o ziarnie, które szatan, zazdroszcząc człowiekowi jego użytku, zaślinił i kopytem wbił do ziemi.

Ziarno strzeliło kłosem, a szatańska złośliwość zamiast go zniszczyć, dopomogła mu do wydźwignięcia się i wydania obfitego plonu.

Bajka ta, skreślona ręką Adama Mickiewicza, oto symbol całego życia Domeyki. Wszędzie on nosi z sobą to ziarno święte, wszędzie pielęgnuje je jako skarb najdroższy i ani na chwilę nie zapomina, z jakiej je zebrał niwy.

Myśli o nim wtedy, gdy pracuje w Coquimbo nad rozwojem kopalnianego przemysłu, myśli wtedy, gdy na Kordylierach, z barometrem w ręku śledzi geologiczne pokłady nowej swej ojczyzny, myśli wtedy, gdy zostaje rektorem Uniwersytetu i urządza szkolnictwo chilijskie na podobieństwo tego, jakie było w jego Alma Matris.

---

[18] Mylnie. Domeyko był młodszy od Mickiewicza o cztery lata.

[19] Powitanie Kazimierza Odnowiciela powracającego do Polski w 1038 r.

Wszędzie myśli o swoich, nic więc dziwnego, że i swoi o nim nie zapomnieli.

Domeykę witano w Warszawie serdecznie, gorąco, z uznaniem...

4. „Kurier Warszawski". Z okazji przyjazdu, 2 sierp[nia], długi artykuł[20], z którego ustęp:

Gdybyśmy mieli odwagę nakłaniać czytelnika do rzeczy tak oschłych, jak geografia, poradzilibyśmy, ażeby się przypatrzył na mapie kawałkowi przestrzeni lewego brzegu Niemna pomiędzy Nieświeżem a Nowogródkiem. Środkiem prawie tej przestrzeni płynie na ukos do Niemna rzeka Usza, ta sama przez którą wojski Hreczecha w *Panu Tadeuszu* rozciągał skórę niedźwiedzia, pociętą na paski, dla oddalenia pojedynkowiczów Domejki i Dowejki... W bliższej i dalszej odległości od Uszy rozsypało się mnóstwo zaścianków, znanych z epopei Mickiewicza, a nie opodal od nich, jak chrząszcz między muchami na denku tabakierki bernardyna Robaka, siedzi karczma „Niedźwiadek" ⟨z poematu⟩, rzeczywiście zaś dwór „Niedźwiadka" w dokumentach i w ustach ludu. Jest to gniazdo rodzinne Ignacego Domeyki.

W białym domku, opasanym dokoła szeroką wstęgą gęstej zieleni ogrodu, p. Hipolit Domeyko, sędzia nowogródzki[c], i żona jego Karolina z Ancutów, powinowata Wereszczaków, wśród których miała jednocześnie zakwitnąć bohaterka ballad i czwartej części *Dziadów* Mickiewicza, Maryla, doczekali się potomka, któremu na chrzcie świętym dano imię Ignacy. W kalendarzu łacińskim imię Ignacy przypada na ten sam dzień, co słowiańskie Żegota. Stąd też Ignacy i Żegota stały się synonimami, gdy potem była mowa o Domeyce z Niedźwiadki.

Rodzice ukształceni, ale zarazem chrześcijańscy, kształcili go ⟨najpierw⟩ w domu, i to był grunt na całe życie. Następnie pacholę, przyjęte wprost do trzeciej klasy wzorowej szkoły pijarskiej w Szczuczynie Litewskim, szło tymże samym torem co w domu, tym bardziej że nauczycielem ⟨jego⟩ był między innymi ów ks. Piotr Lwowicz[21], który u Mickiewicza wśród gwaru młodzieży „mówi pacierz za umarłych"[22]. Z takimi skrzydłami wiary i miłości można się było puścić w nie wiedzieć jak niebezpieczną drogę i stanąć u kresu.

W Uniwersytecie Wileńskim, do którego Domeyko wszedł w ⟨r.⟩ 1816 na Wydział Przyrodniczy, nauka chrześcijańska miała do pokonania dwóch naraz wrogów: płytką bezczelność wolterianizmu oraz otoczoną mgłami tajemnicy, niby to przyrodniczą naukę mesmeryzmu...

W dalszym ciągu tegoż artykułu przywodzi autor (W. K.) szczegóły niektóre z pobytu w Paryżu i wyjazdu Domeyki do Chile.

Czegoż tam nie robił przez te prawie pół wieku pracy! Rozbijał skały,

---

[c] W artykule: prezes sądów nowogródzkich.

[20] Artykuł pióra W. Korotyńskiego pt. *Ignacy Domeyko*, „Kurier Warszawski", 1884, nr 212b.

[21] Kalasanty Lwowicz (1794—1858), ksiądz, od roku 1814 pijar, nauczyciel matematyki w Połocku, potem w kolegium szczuczyńskim, w latach 1819—1822 student Uniwersytetu Wileńskiego, więzień bazyliański w procesie filaretów, potem duchowny w Ostrożanach, następnie proboszcz w Dołhinowie, gdzie życia dokonał.

[22] Ściśle: „pacierz po umarłych mówi" (A. Mickiewicz, *Dziady*, cz. III, akt. I, scena I, w. 56).

schodził do podziemi dla godzenia sporów o własność ⟨kopalni⟩, badał w laboratorium chemicznym własności ⟨wszystkich⟩ skarbów...

Wiązały go z Rzecząpospolitą Chilijską wszelkie możliwe ogniwa. Znalazł na dnie stosunków społecznych sprawiedliwość, od której go oduczano w Europie. Znalazł serce kochające i wierne...

Przed sześciu laty[d] wysłał on z Santiago na Litwę ⟨swoją córkę⟩, aby się uczyła już nie myśleć, ale mówić po polsku, nieżyjąca bowiem jej matka mówiła tylko po hiszpańsku. Dziś i sam on ciągnie do gniazda, które — jak w znanym poemacie — „jego klątwą wyzwane z głębokości ziemi, duchy ⟨go⟩ mu opromienią i zostanie z nimi"[23]. A duchy te mówić będą nie o czym innym, tylko o *Odzie do młodości* wyrosłej na nowogródzkiej glebie...

Bohdan Zaleski w wierszu do ⟨Ignacego⟩ Domeyki wyrzekł niegdyś proroczo: „Zaiste nigdy my nie będziem starzy"[24]...

Zobaczymy w Warszawie ośmdziesięcioletniego[e] młodzieńca...

5. „Tygodnik Ilustrowany". W nim piękny jest drzeworyt zdjęty z profilu z jednej z moich fotografii wykonanych w Santiago, w Chile, i w długim artykule umieszczonym w numerach 84 i 85 jakby sercem, a nie piórem skreślony mój życiorys przez szanownego Korotyńskiego. Trudno byłoby z tego artykułu zrobić wyciągi bez uszkodzenia całości.

„Długo się ciągnie (mówi) na Oceanie Spokojnym i Atlantyckim linia podróży Domeyki z Litwy przez ląd Europy, do Chile i z Chile do Warszawy, długo się ciągnie na mile i lata". Z tej linii przytaczane wypadki są dosyć dokładne, wyjąwszy rok urodzenia 1801, który zamienić by trzeba na prawdziwszy, i imię majątku w Lidzkiem — Zalesie na Zapole.

6. „Tygodnik Powszechny" podaje w dwóch numerach, 30 i 31[25], dosyć też obszerne i nader zaszczytne wspomnienia o mnie i wiele szczegółów dosyć dokładnych z mego curriculum vitae, a w nr 31 najlepszy może ze wszystkich tegoczesnych mój wizerunek. Wspomina w tym numerze mianowicie o moich stosunkach z Mickiewiczem:

Mickiewicz zaprzyjaźniwszy się z Domeyką, a tkliwsze uczucie powziąwszy do jego powinowatej Maryli, miał w nim powiernika szlachetnej tęsknicy, wcale zresztą nie tak rozpacznej jak w *Dziadach*, a nawet pośrednika w przesyłaniu pamiątek z zagranicy, kiedy Marylę już „żywcem pogrzebiono", to jest pobłogosławiono ⟨z kim innym na kobiercu⟩. Ten związek młodzieńczy, wzmocniony delikatną niteczką serdecznego powiernictwa, zadzierżgnięty wspólnym przymusowym pobytem w jednym z klasztorów wileńskich, a następnie przy-

---

[d] W artykule nieściśle: „Przed rokiem czy niespełna dwoma laty".

[e] W artykule: osiemdziesięciotrzechletniego, właściwie — osiemdziesięciodwuletniego.

[23] Źródła cytatu nie ustalono.

[24] Józef Bohdan Zaleski: „Do Żegoty Domeyki rektora Akademii Chilijskiej", zob. J. B. Zaleski, *Pisma*, Lwów 1877, t. 1, s. 275—276.

[25] Nieściśle. Tylko w jednym numerze (nr 31, s. 492—493) jest artykuł o Domeyce, mianowicie Borzywoja pt. *Ignacy Domeyko*.

pieczętowany wspólną biedą na niespokojnym bruku paryskim, przechował się ⟨aż⟩ do zgonu i po zgonie poety nienaruszony...

[...] Łączyło ich [...] głębokie poczucie poetyczne, wiara wyssana z piersi matczynej, miłość czerpana z wielkich przykładów, gotowość do poświęcenia, młodość z *Ody* nie wątlejąca z laty. Poeta i historyk literatury słowiańskiej godził się tu znamienicie z chemikiem i górnikiem, z uczniem Jędrzeja Śniadeckiego i Szkoły Górniczej w Paryżu. Raz się tylko porozumieć nie mogli: w rzeczy zbawienia świata przez towiańszczyznę. Nadaremnie Mickiewicz przywoływał Domeykę...

W tym też artykule (nr 31, str. 492) cytuje Borzywoj to, co za godło przyjąłem w mojej podróży z 1838 r. do Chile, pisanej do Adama, a ogłoszonej po śmierci Mickiewicza w felietonach „Czasu": „Heu mihi, quia incolatus meus prolongatus est! (biada mi, że się mieszkanie moje u obcych przedłuża)".

7. Nie mniej też przyjazne wspomnienia czynią o moim pobycie w Krakowie i Warszawie dzienniki: „Gazeta Polska" (176, 4 sierp.), „Słowo" (4, 8, 11 sierp.), „Kurier Warszawski" (4, 7[f] sierp.), „Kurier Codzienny" (3 i 5 sierp. 214 i 216).

8. Jeszcze może nie będzie od rzeczy przytoczyć, co „Biesiada"[26] mówi o moim zwiedzeniu pszczelnictwa.

Najuroczystszym i najrzewniejszym było przyjęcie, jakiego ⟨czcigodny⟩ rektor doznał w Muzeum Pszczelniczym, które odwiedzał we czwartek. Założyciel Muzeum, dzielny Lewicki, złożony chorobą, nie mógł powitać dostojnego gościa, wstępującego w progi jedynej w swoim rodzaju pożytecznej, staraniem jego założonej instytucji. Więc otoczyły starca uczennice kursu pszczelniczego, ofiarując mu wieniec laurowy i kwiaty, a jedna z nich, panna Ostaszewska powitała go jędrną, treściwą przemową. „Przed sześćdziesięciu laty — taka była mniej więcej treść tej przemowy — kiedy kraj opuszczałeś. w puszczach litewskich jeszcze człowiek z niedźwiedziem toczył bój o barcie pszczelne, a po futorach ukraińskich legendowi pszczelnicy gospodarzyli po staremu. Dzisiaj postęp zmienił warunki gospodarstwa pszczelnego, dla pszczoły zbudował schludne i sztuczne domki, ułatwił jej pracę i pszczelnictwo na regularny zamienił przemysł. Wszystko w tej gałęzi gospodarstwa krajowego uległo radykalnej przemianie, jedno tylko pozostało i pozostanie takie samo, niezmienne — pszczoła!

9. A teraz dodajmy, co mówiono i pisano o moim pobycie w Warszawie i Krakowie między Rosjanami w Petersburgu. „Wiek" w korespondencji z Petersburga pod datą 15 sierp.[27] podaje:

Powrót Ignacego Domeyki do ojczyzny znalazł oddźwięk i nad brzegami Newy. Oddźwięk ten był rozmaity. Mówiono o sędziwym Polaku, który tak

---

[f] W autogr. mylnie: 10 sierpnia.

[26] „Biesiada Literacka", Warszawa 1884, nr 33/450, z dnia 15 sierpnia, w rubryce: »Z Warszawy«.

[27] „Wiek". Gazeta polityczna, literacka i społeczna, R. XII, Warszawa 1884, nr 187, dnia 6 (18) sierpnia, w rubryce »Ostatnie wiadomości z Cesarstwa«, „Od specjalnego naszego sprawozdawcy", Petersburg 15 sierpnia.

znacznego doszedł stanowiska na obczyźnie, w tutejszych poważniejszych kołach z prawdziwym uszanowaniem. Piszący te słowa słyszał z ust inteligentnych Rosjan w rozmowie następujące z powodu Domeyki wynurzenie, a raczej następującą uwagę, której niepodobna odmówić słuszności: „Wy, Polacy, jedyni w całej Słowiańszczyźnie macie tę wspólną cechę z Niemcami i Francuzami, że w każdym kraju, w każdym mieście, nieledwie w każdej instytucji, zakładzie technicznym, fabryce, wszędzie na waszych się ⟨natrafia i wszędzie zazwyczaj umiecie dobić się stanowiska i zachowania⟩...

Słowa te, w znacznej części słuszne, podnoszą wszak jedną tylko stronę kwestii, tłumaczą tylko, jak rzecz stoi, nie wnikając w przyczynę. Tymczasem przyczyna jest prawie wszystkim w tym wypadku. Narodowi naszemu obca była owa skłonność do wędrowania na obczyznę; dawnymi czasy Polak rzadko kiedy szukał obcych bogów, przekładając nad wszystko rodzinną strzechę. I dziś jest tak ⟨samo, tylko na⟩ całym obszarze ziemi naszej iluż jest dziś takich, co się pod rodzinną strzechą porodzili, żyją pod nią i żywota dokonają? Iluż jest takich, którzy jej zaznali? Z biegiem wypadków zjawia się [z] coraz większym natężeniem od trzech stron siła odśrodkowa, moralna i fizyczna, starająca się rozciągnąć wszelkie wewnętrzne spojenia i rozrzucająca nas na wsze strony od San Domingo do Syberii. Kogo ta siła chwyci w swój wir, tego ⟨już⟩ nie zostawi w spokoju. Domeyko jest jednym z tych właśnie. Więcej aniżeli komukolwiek Opatrzność przeżyć pozwoliła — i wrócił; wrócił podobno takim, jakim był, to jest — rozumie się — takim samym myślą i sercem; wrócił takim, jakimi wróciłoby prawdopodobnie wielu, wszyscy może, gdyby jego wieku dożyli i wrócić mogli.

Przez pół wieku żył za morzami, pół wieku za krajem tęsknił i wrócił takim samym. Nam się zdaje, że tu jest różnica[g] między Niemcem i Francuzem z jednej strony, a Polakiem z drugiej: pierwsi dwaj nigdy tak za krajem nie tęsknią albo tęsknią inaczej, bez owego bólu, który wewnętrznie pożera; i ta jedna właściwość ⟨już⟩ świadczyć może, że owa indywidualna — że się tak wyrazimy — kolonizacja, która rozrzuca osobniki narodowości naszej po całej kuli ziemskiej, jest objawem sztucznym, narzuconym przez bieg wydarzeń, nie zaś naturalnym, wrodzonym...

Ale wróćmy do Domeyki. Jak widzieliśmy, ludzie rozsądni mówili o nim rozsądnie. Niektóre dzienniki poświęciły także kilka słów życzliwych szanownemu weteranowi idei, dla którego nic okrom głębokiego uszanowania żaden człowiek, bez względu na narodowość, do jakiej należy, uczuwać nie może i nie powinien. Jednakowoż dzienniki nie trzymające miary rozumnego patriotyzmu i w tym wypadku umiały stanąć na uboczu. Niektóre przemilczały o tym fakcie, korespondenci ich warszawscy zagadali go zwykłymi nowinkami brukowymi lub echem powodzi, inni, poświęcili mu słów kilka, ale z przekąsem. Do tych ostatnich, rozumie się, należą „Mosk. Wied."[28] i „Nowoje Wriemia"[29],

---

g W artykule: „że tutaj tkwi zasadnicza różnica".

[28] „Moskowskije Wiedomosti", gazeta rosyjska założona w 1756 r. przez Uniwersytet w Moskwie, wychodziła do końca 1917 roku, początkowo dwa, trzy razy w tygodniu, od 1859 r. jako dziennik. Przez cały czas, z wyjątkiem okresu 1779—1789, kiedy wychodziła pod redakcją N. I. Nowikowa, był to organ rządowy, wyrażający wsteczną ideologię caryzmu.

[29] „Nowoje Wriemia", dziennik wychodzący w Petersburgu w latach 1868—1917. Początkowo był wyrazicielem umiarkowanego liberalizmu, od 1876 (pod red. A. S.

które opisuje pokrótce parę momentów z pobytu Domeyki w Warszawie. Gazeta dostrzega tylko stronę zewnętrzną faktu i w powrocie Domeyki widzi tylko objaw „względności rządu rosyjskiego dla polskich agitatorów". W dalszym ciągu informuje „Wriemia" swoich czytelników, że był to „przyjaciel Mickiewicza, Zaleskiego, Odincowa(!) i innych", że był ongiś w Uniwersytecie Wileńskim i „po tak zwanej filareckiej historii" uciekł do Niemiec, do Paryża, do Ameryki, gdzie został rektorem w Santiago. Następuje krótki opis wieczoru urządzonego w Warszawie dla Domeyki i rzecz kończy się następującym frazesem: „Obfite przemówienia, które zazwyczaj Polacy i tak przesładzają pochlebstwami, tym razem były jeszcze pochlebniejsze"...

— Znalazł się nazajutrz (opis powyższy) w „Petersburger Zeitung"*. Jaka szkoda jednak, że do przekładu[...] „wkradły się" małe omyłki (słowa „Wieku") i tak w wyrazach „przyjaciel Mickiewicza, Zaleskiego, Odincowa i innych" przez omyłkę owo „innych" tłumaczy „Zeitung" aż przez „anderer polnischen Koryphäen"[30], wówczas kiedy ci ⟨trzej⟩ mężowie byli pod wielu względami czymś więcej, bo Mickiewicz był geniuszem, pozostali dwaj — poetami, wszyscy zaś apostołowali może duchowo współbraciom, ale żadnymi „polnischen Koryphäen" nie byli... „wkradła się" ⟨jeszcze⟩ inna pomyłka. „Nowoje Wriemia" wspomniała, że w Warszawie witano w Domeyce 83-letniego młodzieńca i druha światła (swieta), jak filaretów ongi nazywano. Zdanie to „Zeitung" przełożył następującymi słowy: „zu Ehren des 83-jährigen Kindes, des Weltfreundes, wie man hier Domeyko nennt"[31].

Czyby nie można prosić „Zeitunga", żeby choć raz jeden nie „wkradły się" „omyłki" do tego, co o nas pisze?... Powie nam „Zeitung", że od tego jest. Ani słowa...

Reszta artykuliku przełożona jest już dobrze. Zaczyna się on tak samo jak w „Nowom Wriemieni" od słów: „Die russische Regierung hat in ihrer grossartigen Duldsamkeit und der edlen Nachsicht, die sie in letzter Zeit polnischen Agitatoren gegenüber zeigt..."[32] Tutaj też przez „Zeitung" wyrazy „grossartigen" i „edlen Nachsicht" wstawione...

Taka to jest korespondencja z Petersburga, [którą] w swoim 187 numerze „Wiek" umieścił. A dodać winienem, że we wskazanej złej wierze i nienawiści ku nam niemieckiego „Zeitunga", tylko jakoby w miesiąc potem, przedajna francuska „Indépendance Belge"[33] prześcignęła.

10. Ale któż by się spodziewał? — najobszerniejsze i nie mniej dla mnie zaszczytne od poprzednich artykuły pojawiły się w tym czasie

---

Suworina) stał się skrajnie reakcyjnym organem propagującym wielkomocarstwowy szowinizm i antysemityzm.

* Gazeta niemiecka wydawana w Petersburgu.

[30] „innych polskich koryfeuszów".

[31] „ku czci 83-letniego dziecka, przyjaciela świata, jak się tu nazywa Domeykę".

[32] „Rosyjski rząd w swojej wspaniałomyślnej cierpliwości i szlachetnej pobłażliwości, którą on w ostatnim czasie wykazuje wobec polskich agitatorów".

[33] „Indépendance Belge" (1884, nr 247, w kol. »Nouvelles des Russie«), dziennik belgijski założony w roku 1831 pt. „Indépendant" (Niezależny), organ liberałów mający wielki wpływ na politykę zagraniczną. W latach 1884—1897 redaktorem jego był Gaston Bérardi.

w petersburskiej gazecie „Kraj[34], pierwszy, 10 sierp[nia], o pobycie moim w Krakowie, drugi, 17 sierpnia, o przybyciu do Warszawy.

Drugi z nich (nr 32) jest A. H. Kirkora, „4 sierpnia z Krakowa":

Od dawna już spodziewany powrót do kraju po 53-letniej nieobecności Ignacego Domeyki, rektora uniwersytetu chilijskiego ... przyszedł do skutku. Dnia 24 lipca[h] n. s. ujrzeliśmy go w Krakowie. Członkowie Akademii Umiejętności z czcigodnym przewodniczącym Komisji Fizjograficznej, dr L. Kuczyńskim na czele (w nieobecności prezesa Majera), oraz profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego z rektorem dr Heyzmanem[35] zaraz pośpieszyli powitać swojego najstarszego wiekiem członka, tak chlubnie znanego ze swoich prac naukowych. Dr Kuczyński pięknie i serdecznie przemówił do drogiego gościa, na co ze wzruszeniem odpowiedział sędziwy Domeyko. Sądziliśmy, że obaczymy przed sobą zgrzybiałego 82-letniego starca. Nie, Domeyko wygląda czerstwo, a w każdym jego słowie, w każdym niemal ruchu przebija się ta siła, ta energia, które go cechowały w 53-letniej walce z życiem na obczyźnie, które mu torowały drogę w olbrzymiej pracy badań krain przed nim prawie nie znanych, które mu zjednały tak szacowne imię w świecie naukowym.

Samo nazwisko Domeyki ileż to budzi wspomnień z czasów minionych, z epoki najświetniejszej Uniwersytetu Wileńskiego, z czasów Franka[36], Śniadeckich, Słowackiego (ojca)[37], Borowskiego[38], Lelewela, Jundziłła, Grodka, Bojanusa i tylu innych znamienitych profesorów. Przyjaciel i kolega Mickiewicza, Odyńca, Chodźki, Korsaka[39], Czeczota[40], Zana Kowalewskiego[41], Malewskiego,

---

[h] W artykule słusznie: „25 lipca ujrzeliśmy", ale Domeyko pisze „24 lipca", bo w ten dzień, późnym wieczorem, przybył do Krakowa.

[34] „Kraj". Tygodnik polityczno-społeczny, Petersburg 1884, nr 31, 32.

[35] Udalryk Heyzman (1835—1918), prawnik, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego od r. 1863, rektor w 1883/84, członek czynny Akademii Umiejętności, w roku 1886 przeszedł na emeryturę. W autogr.: Heizman.

[36] Józef Frank (1771—1842), lekarz, profesor patologii, potem medycyny praktycznej na Uniwersytecie Wileńskim w latach 1804—1823, założyciel wielu instytucji, m. in. Towarzystwa Lekarskiego Wileńskiego, autor licznych prac oraz cennych *Pamiętników* (Wilno 1913).

[37] Euzebiusz Słowacki (1773—1814), krytyk i poeta pseudoklasyczny, od roku 1807 profesor wymowy i poezji w Liceum w Krzemieńcu, od r. 1811 profesor Uniwersytetu Wileńskiego. Ojciec Juliusza Słowackiego.

[38] Leon Borowski (1784—1846), historyk literatury, w roku 1814 objął katedrę wymowy i poezji na Uniwersytecie Wileńskim i piastował ją do chwili zamknięcia Uniwersytetu.

[39] Julian Korsak (1807—1855), poeta i tłumacz, przyjaciel Mickiewicza i Domeyki. Przyswoił literaturze naszej niektóre dzieła Horacego, Pindara, Goethego, Schillera, Byrona, Szekspira, Dantego.

[40] Jan Czeczot (1797—1847), filomata, zesłany po procesie filomatów do Ufy, przebywał tam do roku 1831, w r. 1841 powrócił w strony rodzinne. Wydał *Pieśni ziemianina* (1846), zbierał i tłumaczył ludowe pieśni białoruskie, wiele piosenek filareckich jest jego autorstwa.

[41] Józef Kowalewski (1800—1878), filolog orientalista, filomata, zesłaniec do Kazania, od r. 1833 profesor języków mongolskich Uniwersytetu Kazańskiego, od r. 1862 profesor historii powszechnej w Szkole Głównej w Warszawie, autor trzy-

Malinowskiego[42] i tylu innych zasłużonych pracowników, których imiona znane są w dziedzinie nauk i literatury, mimo woli przenosi nas w ten świat dla wielu niejasny, mroczny — Promienistych, Filaretów, Filomatów... Domeyko z Odyńcem, o dwa lata od niego młodszymi[i], to są ostatni z żyjących członków tych towarzystw, których cele i znaczenie dla ogółu dziś tak zagadkowe.

Przywodzi potem artykulista niektóre szczegóły z życia Domeyki, wiadomości o Promienistych: „moralność (mówi) obyczajność i nauka były głównym celem tego związku... Towarzystwo Filomatów był to tylko wyższy stopień Filaretów".

Przechodzi potem do śledztwa i uwięzienia wszystkich filaretów i rozproszenia ich — „Kazimierza Piaseckiego[43] i Ignacego Domeykę, filomatów, którzy się jednak nie poświęcili stanowi nauczycielskiemu... zostawiono na miejscu urodzenia pod ścisłym dozorem policji miejscowej, z tym jednak zastrzeżeniem, aby nie przyjmować ich do żadnej służby bez postanowienia Jego Cesarskiej Wysokości Cesarzewicza" [...]

Po przytoczeniu cesarskiego wyroku na filomatów i filaretów dodaje:

Tak brzmiał wyrok dowodnie świadczący, że pomimo ścisłości i surowości badań nie wykryto ważnych przestępstw ze strony filaretów i filomatów; nie mieli oni na celu żadnego zamachu stanu, ani też zamiarów jakiego bądź przewrotu politycznego[...]

Wyjechał Domeyko na wieś i gorliwie oddał się rolnictwu. Tak upłynęło lat pięć. Wtem burza krajowa porwała i uniosła go za sobą... Powołano go do Chile* ... Językiem panującym był hiszpański, którym on nie władał, lecz silna wola ... zdziałała, że we trzy miesiące już mógł rozpocząć wykłady po hiszpańsku. Najpierw założoną została szkoła chemii i mineralogii w Coquimbo, następnie całą energię i pracę poświęcił uorganizowaniu uniwersytetu w Santiago. W braku ludzi, a w gorącej chęci nadania tej nowej chilijskiej wszechnicy najszerszego zakresu, Domeyko musiał wykładać geognozję, mineralogię, geologię, chemię i fizykę. Domeyce, jako profesorowi [...] zawdzięcza uniwersytet chilijski pierwsze swoje ukształcenie, swój rozwój stopniowy i w końcu — obecny stan kwitnący...

... jako podróżnik, jako badacz znakomity, ogłosił niemało dzieł poważnej treści, wysoko cenionych przez świat naukowy. Mnóstwo rozpraw jego w przed-

---

tomowego Słownika mongolsko-rosyjsko-francuskiego (1844—1849) i wielu rozpraw ogłaszanych w czasopismach.

* Niesłusznie pisarz dodaje „na wpół dzikiego", ponieważ tam już była cywilizacja na dosyć wysokim stopniu ustalona przez Hiszpanów.

[i] W autogr. pomyłkowo: starszym.

[42] Mikołaj Malinowski (1799—1865), historyk, filareta osiadły w Wilnie, wydawca wielu prac źródłowych, autor licznych artykułów i rozpraw z zakresu historii i archeologii.

[43] Kazimierz Piasecki (1798—1882), prawnik, filomata, adwokat sądów wileńskich, więzień carski, w latach 1829—1838 mecenas w Komisji radziwiłłowskiej, od r. 1839 agronom we własnym majątku Szyrwinty (pow. Wilno), dbały o dolę ludu, spełniał różne posługi obywatelskie. Pozostawił po sobie pamiętniki i inne prace.

miotach mineralogii i geologii wyszło w paryskich „Annales de Mines", a także w „Anales de la Universidad de Chile". Z większych prac jego ⟨pisanych⟩ po francusku lub hiszpańsku niektóre miały po dwa i trzy wydania. Jego *Mineralogię* wydano w Serena w 1845, a następnie w Santiago w 1860 r. z wielu dodatkami [...] *Traktat probierczy* (*Tratado de ensayes*...) miał aż trzy wydania, jego *Fizyka* ⟨*Elementos de fisica*⟩ (przekład z Pouilleta[44] zastosowany do użytku szkół miejscowych) [...] wysoko ceniona; jego *Araucania y sus habitantes* wyszła także po polsku, w Wilnie, ⟨w r.⟩ 1860. Dla Akademii Umiejętności ⟨w Krakowie⟩, której jest czynnym członkiem od samego jej założenia, napisał po polsku rozprawę pod tytułem *Rzut oka na Kordyliery Chilijskie i zawarte w ich łonie pokłady metaliczne*, ogłoszoną w piątym tomie „Rozpraw Akademii" (1878). A w końcu, któż nie czytał jego tak ujmujących listów w „Kronice Rodzinnej"?

Lecz wróćmy jeszcze do Krakowa. Domeyko zwiedził to wszystko, co było godniejszym widzenia. Konserwator Łepkowski oprowadzał go po grobach królów na Wawelu, ks. kanonik Polkowski pokazywał skarbiec katedralny, wzorowo przez niego urządzony; z Łepkowskim też zwiedził kryptę na Skałce z grobami zasłużonych poetów i pisarzy polskich. W Akademii Umiejętności miałem zaszczyt pokazywać mu i tłumaczyć zabytki z czasów przedhistorycznych. Dr zaś Kuczyński z kustoszem Jelskim pokazywali zbiory przyrodnicze, w liczbie których są dary Domeyki z Chile jeszcze nadesłane w nader rzadkich okazach mineralogicznych, tak dalece rzadkich, że niektóre z nich w całej Europie tylko Paryż i Kraków posiadają. Przez kilka godzin trwał ten przegląd skarbów nagromadzonych w Akademii; przez cały ten czas nie usiadł ani na chwilę, a mimo to nie znać było po nim najmniejszego zmęczenia. Lecz nie dosyć na tym. Po krótkim wytchnieniu, wraz z drem Kuczyńskim, prof. dr L. Malinowskim[45] oraz w towarzystwie dam udaliśmy się na kopiec Kościuszki, gdzie modlił się w kaplicy Św. Bronisławy, u stóp kopca położonej, a następnie z radością podziwialiśmy, jak rześko wbiegł na sam szczyt kopca, z jakim młodzieńczym zapałem zachwycał się wspaniałą i bogatą panoramą, jaka się tu roztacza, przecudnie malując Tatry, Babią Górę, Bielany i inne okolice Krakowa. Następnych dni zwiedził wystawę sztuk pięknych, Muzeum Narodowe, Bibliotekę i Gabinet Archeologiczny Uniwersytetu Jagielońskiego itd. Zwiedził też pracownię chemiczną p. Olszewskiego[46] i serdecznie ucałował młodego badacza.

... Podziwialiśmy tę ruchliwość 82-letniego weterana z duszą młodzieńczą. Przez wszystkie dni jego pobytu w Krakowie nie miał prawie chwili wytchnienia. Cały dzień poświęcał oglądaniu zabytków i zbiorów, w domu zaś salon je-

---

[44] Claude Sevais Mathias Pouillet (1790—1868), fizyk francuski, profesor dzieci Ludwika Filipa (1827), później dyrektor Szkoły Sztuk i Rzemiosł (1832), profesor fizyki w Sorbonie (1838), członek l'Académie des Sciences od r. 1837. *Traité de physique expérimentale et de météorologie* opublikował w roku 1827.

[45] Lucjan Malinowski (1839—1898), filolog polski, zasłużony badacz języka polskiego i gwar, zwłaszcza śląskiej, od roku 1877 profesor filologii porównawczej słowiańskiej Uniw. Jagiellońskiego, członek Akademii Umiejętności, współredaktor „Prac Filologicznych" warszawskich.

[46] Karol Olszewski (1846—1915), chemik, profesor i dyrektor Zakładu Chemicznego Uniw. Jagiellońskiego, członek Akademii Umiejętności. Główne jego prace dotyczyły otrzymywania niskich temperatur i skraplania gazów.

go zawsze był przepełniony życzliwymi; wieczory spędzał u znajomych, gdzie go z sercem otwartym, z gościnnością staropolską podejmowano.

W sobotę, d. 2 sierpnia, Domeyko wyjeżdża do Warszawy, gdzie zabawi krótko, śpiesząc na Litwę, do swej rodziny. Ujrzy więc po pół wieku przeszło swą Litwę kochaną! Wiele się zmieniło na Litwie, ale serca litewskie, ale cześć dla prawdziwej zasługi — zawsze tam niezmienne.

(podpisano) A. H. Kirkor

W pierwszym artykule, z d. 10 sierpnia, nr 31, przywodzi ten sam dziennik petersburski „Kraj" to, co o moim przybyciu do Warszawy ogłosił „Kurier Warszawski" (wyżej przytoczony).

V. Na Litwie

9 sierp[nia]. Już mi gorzało serce co dzień coraz większą żądzą i niecierpliwością obaczenia czym prędzej domu mego rodzinnego i mojej rodziny na Litwie. Na najhuczniejszych i najchlubniejszych dla mnie powitaniach, ucztach i wieczorach bywały momenty jakby uderzenia krwi do mózgu, ostrzegające, że jeszcze nie jestem u celu podróży; obudzałem się w nocy wyzierając, czy dnieje, licząc godziny.

Przychodzi sobota, już dzień wyjazdu. Z rana jeszcze msza odprawiona przez wielebnego biskupa sufragana w domu pani Chomętowskiej, potem krótkie przybory, kilka wizyt pożegnalnych; w wielkim roztargnieniu pozieram na zegarek, Odyniec wybiera się towarzyszyć mi na Litwę, a że gaduła i wiele miał przyjaciółek do pożegnania, zaledwo koło trzeciej powrócił z miasta; pociąg miał wychodzić o czwartej, stacja kolejowa daleko za Pragą — nigdy mi się tak długą nie wydała godzina podróży, jak ta z Marszałkowskiej ulicy na końcu miasta przez most, przez Pragę; już zdawało mi się, że słyszę świst odchodzącej lokomotywy.

Na kolei, przy wagonie, wiele znaleźliśmy osób czekających na mnie z pożegnaniem, wiele dam z kwiatami. Między nimi była kanoniczka Załęska z siostrą[1], wnuczka mojej rodzonej wujenki Załęskiej, a córka miłego mi od serca brata Karola. (Do tych kanoniczek — zapomniałem był powiedzieć — zaproszony byłem w piątek na mszę solenną, odprawioną na podziękowanie Bogu za mój powrót do kraju, i mieliśmy tam sute śniadanie, na którym taż ksieni okazała mi księgę herbową szlachectwa każdej kanoniczki. W tej księdze znalazłem, że mój wuj Załęski, którego majątek był w sąsiedztwie niedalekim od rodzinnego domu [a] Tadeusza Kościuszki, rodził się z Kościuszkówny.)

Nie wiem już, jak tam było na pożegnaniu z licznym gronem znajomych i nieznajomych mi osób na peronie, dosyć że z wielkim bukietem w ręku siadłem przy Odyńcu, naprzeciw nas synowiec mój Jezierski, jego siostry Dmuchowskie i mój syn, a dano nam wagon osobny, najlepszy — bezpłatnie.

---

a W autogr. wolne miejsce. Mowa o Mereczowszczyźnie w pow. słonimskim, wsi rodzinnej **T. Kościuszki.**

1 Załęskie, córki Karola i Eleonory z Buczyńskich.

Jeszcze za widna rzucić mogłem wzrok na błonia w stronę, gdzie był plac bitwy grochowskiej i owa Olszynka. Mijamy Mińsk —.Sie[d]lce — a tuż i Bug — noc zapadła — Brześć — jestem na Litwie! — uradowałem się, że już nie było komory oddzielającej nas jak dawniej od Królestwa.

Zaledwo pociąg ruszył dalej, zasnęli moi towarzysze, ja oka zmrużyć nie mogłem, wyglądałem dnia jak zbawienia.

Już świtać poczyna — Horodziej.

Temu lat siedmdziesiąt z górą, jak byłem z matką moją w Horodzieju, u państwa Brochockich, właścicieli tego majątku. Teraz opodal dworu kolej żelazna; o drogach żelaznych najśmielszym nawet mechanikom ani się śniło natenczas w Londynie, nawet w Paryżu. Teraz buchająca kłębami para ciągnąc za sobą długi szereg ogromnych wagonów zatrzymuje się przed pięknym malowanym pałacykiem; na ganku — choć to była trzecia godzina z rana — mnóstwo osób, a tuż i czterokonne kocze i liberia.

Poznaję najprzód córkę i zięcia mojego*; ledwom wyszedł z wagonu, rzuca mi się w objęcia sędziwy mój szwagier, prezes Antoni Wierzbowski, o sześć lat starszy ode mnie. Za nim ściskają, całują mię synowie jego, krewni synowcowie i synowice moje, tak że ledwo dostąpić do mnie mogła córka moja Anna i Leon.

Któż sobie nie wystawi, jakie tu było spotkanie, rozczulenie. Świsnął, wrzasnął pociąg jak zły duch, a my wsiedliśmy do powozów i ruszyliśmy do o półtorej mili stąd położonej Niedźwiadki. Jechałem naprzód ze szwagrem w jego otwartym koczu, za nami córka moja z Odyńcem.

Co toż to za prześliczny był ranek! Słońce nawet, letnie, zdawało się cieszyć z mojego szczęścia. Obszerne łany żyta i pszenicy, jedne pożęte i w kopy zboże złożone, na drugie nadchodziły do pracy żniwiarki; sznury włościańskie rozmaitej zieloności, biało kwitnącą gryką przeplatane; świeżo pokoszone sianożęcie; a w dali sosnowe i dębowe gaje jakby od umysłu na upiększenie zasadzone; na to wszystko patrzył w duszy swojej Mickiewicz, kiedy pisał *Pana Tadeusza.*

Koło dwóch folwarków i przez jedną wieś przejechaliśmy, te same, nikt ich nie przeniósł na inne miejsce; a cóż dopiero, kiedy pierwsze chaty i za nimi dwór nasz niedźwiadkowski spostrzegłem! Droga do niego już nie szła przez wieś; nieboszczyk brat mój obrócił ją przez przyległą do dworu łąkę. Nie poznałem dziedzińca ni ganku. Prawie szlochając wysiedliśmy wszyscy z pojazdów.

Obiegłem prędko wszystkie pokoje; zostały poprzemieniane, tylko pierwszy pokój po lewej ręce od wejścia został, jak był, i w nim zatrzy-

* Wyprzedzili mnie byli do domu z Krakowa, aby przyjąć mię w swoim domu.

mał mnie duch mój na tym miejscu, na którym przed 74 laty[2] leżały zwłoki umarłego ojca mego, a nam, dzieciom, kazano uklęknąwszy ucałować nogi jego i ręce. Reszta budynku już była przebudowana, po części powiększona. Nieboszczyk mój synowiec Hipolit i jego żona, z domu Śliźniówna, byli amatorami i znawcami sztuk pięknych, jeździli po Włoszech; gustownie urządzili pokoje, ona je sama ozdobiła, pomalowała, ozdobiła rzeźbą, przemieniła obicia, piękne pozawieszała firanki i kotary. Niektóre izby większe poprzedzielano, inne powiększono obalając ściany, słowem, dom już dziś obszerny, nowej okrasy, wygodny, ale nie ten, co był. Hipolitowie od paru lat poumierali nie zostawiwszy dzieci; dziś tylko ich brat Aleksander rządzi majątkiem.

Poszedłem do ogrodu — kwiatów i roślin, nawet egzotycznych, co niemiara pod obszernym portykiem u wyjścia, ale na miejscu dawnych kwater osadzonych agrestem i porzeczkami, starych grusz, jabłoni znalazłem park nowożytny z lip, klonów, brzoz i kasztanów usadzony, klomby, trawniki i kręte, żwirem umocnione ścieżki; nowy zaś ogród z niedorosłych owocowych drzew w innej stronie, z tyłu, za dawnym spichrzem i gołębnikiem założony, nie był tym co dawny.

Po dobrym śniadaniu, na którym prędko całe towarzystwo, wyszedłszy z rozczulenia, po polsku się rozweseliło i pierwsze kielichy wychyliliśmy, poszliśmy odwiedzić groby dwóch braci moich, Kazimierza i Adama, i Hipolitów.

Kościołek, w którym — mając lat dziewięć — do pierwszej komunii byłem przygotowany i gdzie od lat najrańszych — jak mogę zapamiętać — co niedziela była msza, śpiewano suplikacje, godzinki, kantyczki, a każde kościelne święto tak było piękne, urocze i wesołe, był już od 20 lat, od narzucenia prawosławia na unickich włościan Niedźwiadki, zamknięty. W tym kościołku został w roku 1836 (czy 37) pochowany [Adam]. Brat mój Kazimierz, objąwszy po nim majątek, miał jeszcze księdza, już to rzymskiego, już unickiego, przy kościołku, a po owej burzy [18]63 [roku] w obawie, aby mu nie zaprowadzono schizmy, pod pozorem, że kościołek już stary, nadpsuty, zachował go zamkniętym, ale pop z Mira, w którego parafii ten kościołek znajduje się, zabrał klucz i rości do niego prawo.

Przy drzwiach tylko kościołka ucałowawszy ziemię, pacierz zmówiłem i obszedłem naokoło po sosnowym gaju, który go otacza, gdzie dotychczas włościanie grzebią swoich umarłych, a po którym — pamiętam — chodziliśmy w uroczyste święta z procesją, mój ojciec prowadził pod ramię księdza z Panem Bogiem, ekonom intonował, a my za nim śpiewaliśmy »Bóg naszą ucieczką« i inne pieśni.

---

[2] Ściśle: przed 75 laty, ojciec Domeyki zmarł w 1809 roku, o czym mowa poniżej.

Po śmierci mego brata Kazimierza synowce moi, nie mogąc już pochować ojca swego w kościołku, uradzili sporządzić dla niego grób w pobliskim od dworu sosnowym gaiku i tam go pochowano, a potem dla niego i dla brata swego Hipolita sprowadzili z Warszawy piękny, kamienny, naturalnej wielkości posąg anioła z krzyżem i urządzili tu cmentarzyk żelazną kratą obwarowany. Po odmówionej modlitwie na tych świeżo zbudowanych grobach poszedłem, uprosiwszy, aby mi [nikt] nie towarzyszył, do lasu drogą, którą jeździliśmy z matką w gościnę lub w jakie święta na mszę do Ostrówek[3], do pana koniuszego Protasewicza i do naszej dobrej sąsiadki, do pani Bułhakowej[4], na kawę. Do tego lasu chodziliśmy, będąc jeszcze pięciorgiem dzieci, po grzyby, orzechy, zbieraliśmy konwalie.

Ileż to teraz w tym lesie obudziło mi się dziecinnych wspomnień o rodzicach, o braciach i siostrach już od dawna umarłych. Ogromne pnie świadczyły o niedawno poucinanych starych drzewach, część lasu na pasiekę zrąbano, już i stara droga zwęziła się, zarosła, bo i kościołek w Ostrówkach oddano popowi; drogą szerszą wyszedłem na drugą stronę lasu do młyna, gdzie rzeka Usza zakręca się ku Iszkołdzi[5], a za nią przepyszne pola i wzgórza, o których byłem już zapomniał. Chmurzyć się poczynało, zanosiło się na deszcz; wracałem powoli, żeby przydłużyć tę uciechę, wpatrując się w drzewa, jak gdyby mi chciały co powiedzieć, a były już wszystkie młodsze ode mnie; ich starsze pokolenie dawno już było wycięte i przedane.

Kiedym po długiej przechadzce wracał do domu, zjeżdżali się na powitanie mię sąsiedzi, wnukowie tych, którzy tu żyli za moich lat dziecinnych. Przy obiedzie wesołość, gadatliwość polska jak za dawnych czasów, taka sama otwartość, jak gdybyśmy o tysiąc mil byli od nieprzyjaciół. Przy końcu obiadu kielichy, Odyniec deklamował wiersze, potem zabawa do późnej nocy.

10 sierp[nia]. Nazajutrz rano pojechałem z Leonem do Mira, do grobu ojca mojego. Umarł na początku wiosny w r. 1809 i był pochowany przy kościele unickim parafialnym, po lewej stronie od wejścia. Choć zaledwo siedem lat miałem, kiedy mię ojciec obumarł, przypomniałem [sobie] natychmiast miejsce jego grobu, dziś trawą pokryte, i ten moment, kiedy stojąc, przy spuszczeniu trumny, nad dołem stryjowie moi

[3] Ostrówki, dwie w pobliżu siebie leżące wsie i dwa folwarki nad rzeką Uszą, pow. nowogródzki. W autogr.: Ostruwek.

[4] Teresa z Wierzbickich Bułhakowa (1816—1891), żona Tomasza (1801—1895), uczestnika spisku Konarskiego, zesłańca do Tomska (powrócił w 1857 r.), uczestnika powstania styczniowego i ponownego zesłańca do Tomska, skąd powrócił w roku 1874.

[5] Iszkołdź, miasteczko i dobra w pow. nowogródzkim.

i ja z bratem Adamem płakaliśmy. Dziś to miejsce na nowo łzą i modlitwą uczciwszy, chciał[em] kościoł obejrzeć, kościoł fundacji niegdyś Radziwiłłów był już na schizmę oddany, pop przez grzeczność posłał dziadka z kluczem, aby nam otworzył. Ścisnęło mi [się] serce, kiedym spojrzał do środka; już tam śladu nie było naszych ołtarzy i świętych, wiele kamiennych tablic z napisami z wewnętrznych i zewnętrznych ścian powyrzucano.

Tego dnia, po powrocie, nad wieczór poszedłem do wioski i przez całą wieś przeszedłem do mostu na Uszy i przypomniałem sobie, jak na ten most pale bito i na rzece kąpano nas małych. Powracając powoli zatrzymywałem się przy chatach, gdzie były dzieci i kobiety. Z jedną staruszką dłużej rozmawiałem, pokłoniła się i rzekła: „ja pana malonkohu pomnu", nie zrozumiałem jej dobrze, co potem mówiła, i ona mnie nie lepiej, bo przez roztargnienie zagadałem był do niej po hiszpańsku. Pytałem jej, czy wie, co się stało z Łukaszem, moim młodym furmanem, który był z tej wsi, a towarzyszył mi w wojnie (1831), na wyprawie pod Chłapowskim. „Pomarł" — odpowiedziała, „a Wincuś? mój z tejże wsi służący?" „Był tu — rzekła — ale nie wiem, co się z nim stało".

Dzieci garnęły się do mnie, kobiety dawnym zwyczajem kłaniały się, z mężczyzn jeden stary do mnie się przybliżył; młodsi pozapuszczali sobie brody, pozmieniali nieco krój czapek i siermięgi, jednakże to jeszcze litewska krew. Cała ta wieś gwałtem zagarnięta do prawosławia, kościołek zamknięty, pop o milę stąd w Mirze, lud nie chodzi do cerkwi ni do kościoła.

Dworna tylko służba trzyma się dawnego zwyczaju. Z niej jeden, mojego wieku, a może o parę lat starszy, dotąd zatrzymał imię Jasia, mówił zawsze, że mnie pamięta i był rad bardzo z mego przybycia, i chwalił mi się, że teraz ananasarnia jest pod jego zarządem. W istocie miał ze dwieście ananasów w cieplarni, która była pod jego zarządem.

11 sierp[nia]. Trzeciego dnia w Niedźwiadce, choć mi jeszcze zostawało wiele do obejrzenia, trzeba było jechać do mego szwagra Wierzbowskiego, do Dołmatowszczyzny.

Z rana, przed wyjazdem, uczułem jeszcze wielką chęć pomodlić się w kościołku naszym na grobie brata mego starszego Adama, z którym od dzieciństwa nie tylko szkoły, ale i pierwszy rok na uniwersytecie przebyłem. Prosiłem usilnie młodego Aleksandra, synowca mojego, dziś pana na Niedźwiadce, aby mi się o klucz wystarał. Pop mirski zabrał był klucz i oddał go chłopu, głowie, czyli wójtowi, do strzeżenia. Chłop nie dał klucza, lękając się popa.

Wyobrazić sobie proszę, jaki to był gorzki orzech do zgryzienia: chłop nie dał klucza panu do kościoła! lękając się popa, a jeszcze nie

ubiegło lat 50 od czasu, jak ten chłop modlił się z panem w tym samym kościołku, miał w nim więcej niż cesarza, kłaniał mu się i lękał się. Grzechy to nasze, mój Boże, grzechy; naród musi odpokutować i my z nim.

Tego dnia po południu wyjechaliśmy do Dołmatowszczyzny, majątku mego szwagra A. Wierzbowskiego. Przejechałem przez Połoneczkę koło kościołka, którego proboszcz ochrzcił mnie na świat przychodzącego, a w ostatnich nieszczęśliwych latach obronił ten kościołek, przy pomocy właściciela tego majątku, Radziwiłła, od prawosławia.

Nie mniej czułe jak w Niedźwiadce znalazłem przyjęcie w Dołmatowszczyźnie, w domu nieboszczki siostry mojej Marii. Na wieczerzy było wiele gości, sąsiadów, a cała zabawa, rozmowa, solenne spełnianie kielichów tak samo serdeczne, wesołe, jak były przed laty. Odyniec był w uniesieniu poetycznym, improwizował; poszliśmy spać o północy.

12 sierp[nia]. Z rana, zaledwo słońce weszło, poszedłem z sędziwym moim szwagrem (miał już 88 lat wieku) Wierzbowskim do ogrodu, gdzie pod drzewami na ustroniu ma wymurowane groby pierwszej żony swojej, mojej siostry Marii z Domeyków, i córki swojej z drugiej żony, ze Śliźniów Domeykowej. Zmówiwszy za ich dusze pacierze, usiedliśmy tam na ławce i więcej niż przez dwie godziny opowiadał mi historią wypadków familijnych i cierpień, jakie kraj nasz od pięćdziesięciu lat doświadczał.

„Tu — powiadał mi pan Antoni — był mój stary kościołek katolicki unicki, nieco osłabiony. Kiedy go zabrał pop na prawosławie, ofiarowałem mu, żeby się pozbyć nieproszonego sąsiada, wybudować cerkiew daleko od dworu, na wzgórzu, większą i lepszą od starej, byleby mu pozwolono obalić tę przy ogrodzie. Nie uwierzysz, bracie, ile to mię czasu, pieniędzy i kłopotów kosztowało, pop był przeciwny temu. Ofiarowałem popu drzewo ze starego kościołka, które on na swój użytek przyjął, i tym sposobem odczepiłem się od niego i siedzę spokojnie. Co dzień przychodzę tu z rana modlić się, a i z wieczora odwiedzam kochane umarłe”.

Poszliśmy potem do domku, dziś pustego, opuszczonego, położonego niedaleko od dworu, w starym od dawnych kiedyś właścicieli tego majątku zasadzonym ogrodzie, którego ostatki starych drzew i mały staw dzisiejszy właściciel zachował. Do tego domku przywiązana jest wielka pamiątka.

W nim zamieszkali powracający z głębi Rosji, z wygnania, przyjęci i podejmowani sercem i gościnnie od p. Antoniego Wierzbowskiego Zan i Czeczot. O pół mili mieszkał też brat Tomasza Zana, Ignacy, lekarz.

Tomasz Zan przyjechał zdrów, wesoły, serdeczny, żywej wyobraźni i zdawał się, jak gdyby był zachował całą swoją młodocianą siłę i żywość. Lubił go p. Antoni i długie z nim rozmowy prowadził.

Jednego dnia, w kilka miesięcy od przybycia, spotyka go Wierzbowski na drodze wiodącej od owego domku do dworu i spostrzega na nim jakąś niezwyczajną zmianę na twarzy i w oczach. „Co ci jest?" — zapytał. Zan począł mówić — jak zazwyczaj — o cnocie, uczciwości, między ludźmi dobrymi i o występkach i złości niegodziwych i potem wywodził, że jak między pierwszymi są stopnie od słabszych do coraz cnotliwszych aż do samego Boga, tak między ludźmi coraz gorsi i przewrotniejsi zamieniają się ostatni w szatanów. Słuchał go z zadziwieniem pan Antoni, a widząc, że coraz niewyrozumialej bredzi i bredzi, nic mu nie odpowiedziawszy odszedł i posłał po jego brata, Ignacego Zana, lekarza.

Ten był początek obłąkania Tomasza Zana, które trwało czas niejaki, pomimo środków lekarskich użytych przez nieodstępnego przy nim brata. Jednym razem przychodzi do siebie i tak wesoły, rad z siebie i towarzyski, jak był pierwej, rzucił się znowu w objęcia gospodarza, który się też był bardzo ucieszył z jego wyzdrowienia. Po roku pobycia swego w Dołmatowszczyźnie odjechał Tomasz Zan do Wilna, poznał tam pannę Swiętorzecką i poczęła się nowa historia w jego życiu i ożenieniu.

Jan Czeczot przeżył trzy lata w tym samym domku. Od przyjazdu swego do końca był zawsze ten sam: spokojny, niewiele mówiący, surowy dla siebie i dla drugich, ale też miły, tulący do siebie dzieci i pracowity; uczył dzieci gospodarza i jego krewnych gramatyki, historii etc., nieco mizantrop, gderał niekiedy na Zana i gości, a nawet i samych gospodarzy, zbierał pieśni ludowe i sam pisał, modlił się wiele i na wszystko patrzył sercem i miłością; takim też został dotąd w pamięci u obywateli tej okolicy; gniewał się, kiedy mu o zabawach mówiono i do nich ciągnięto.

Na trzeci rok swego pobytu w Dołmatowszczyźnie począł już bardzo zapadać na zdrowiu. Z trudnością go namówiono do tego, żeby spróbował użycia wód mineralnych, bo już lekarstwa nie pomagały. Dał się wywieźć do Druskienik i tam bolesnego żywota dokończył. Świeć mu Boże. On był duszą filomatów, filaretów, nawoływał do pobożnego a pracowitego życia, do cnoty, karcił wszelką przesadę, gdziekolwiek i w kimkolwiek ją obaczył.

Tego dnia był wielki obiad; zjechało się niemało szlachty dobrze się mającej, między innymi dzierżawca Mira, p. Puciata, z dwiema pięknymi córkami; muzyka, śpiew i powtórzyły się kielichy wczorajsze. Odyniec był wyborny, poetyzujący i o tej podróży naszej z Warszawy

przez Horodziej obszerną wiadomość w „Kronice Rodzinnej" umieścił (18 sierp[nia])[6].

Za „Kroniką [Rodzinną]" nazajutrz tak o tej podróży powiada „Wiek" (nr 188) [1884 r.]:

Domeyko w domu

Z powiatu nowogródzkiego otrzymaliśmy list następujący:

Po wielu a wielu latach powiat nasz powitał ⟨czcigodnego⟩ gościa Ignacego Domeykę, wracającego po półwiekowej wędrówce do rodzinnego zakątka. Domeyko pomimo lat swoich i przebytej podróży wygląda czerstwo i zdrowo i odznacza się tą miłą pogodą umysłu, która dowodzi, że szedł w życiu w imię pracy, z miłością Boga i ludzi.

Z towarzyszów lat dawnych niewielu już Domeyko tu zastał, zaledwo dwóch tylko w powiecie: Ottona Ślizienia i szwagra swego Antoniego Wierzbowskiego, który aczkolwiek od lat kilku nie opuszcza domu, pośpieszył jednak na spotkanie drogiego gościa na stacją kolei żelaznej i tam staruszkowie po pięćdziesięciu kilku latach rozłąki rzucili się sobie ze łzami w objęcia i w niemym uścisku zdawali się wypowiadać dzieje lat ubiegłych, a może też pobiegli myślą w daleką przeszłość.

Ze stacji kolei żelaznej, wraz z licznym gronem przyjaciół i z Edwardem Odyńcem, Domeyko udał się do Niedźwiadki, położonej nad brzegiem Uszy, pamiętnej z Mickiewiczowskiego pojedynku Domejki z Dowejką.

Przybywszy do domowej zagrody, z dziecinną radością Domeyko obiegał wszystkie zakątki, przypominając sobie dzieje lat ubiegłych.

W Niędźwiadce, otoczony liczną rodziną, Domeyko parę dni odpoczął, następnie całe towarzystwo, mające na czele dwóch filaretów, przejechało do Dołmatowszczyzny pp. Wierzbowskich, gdzie obchodzono imieniny ⟨czcigodnego⟩ rektora, które według starego stylu tego dnia przypadały.

W czasie obiadu, między innymi życzeniami, A. E. Odyniec zwracając się do solenizanta zaimprowizował toast następujący:

Toć od pół wieku znów w ziemi rodzinnej
    Święcisz dzień Twego imienia,
Niechże cię wszystkie tej doby dziecinnej
    Słodkie otoczą wspomnienia.
Nieraz, być może, w twej nowej Ojczyźnie
    Dzień jaśniej świecił ci w Chile,
Lecz pewnie nigdzie jak w Dołmatowszczyźnie
    Nie świecił słodziej i milej.
Nie ma tu wprawdzie tych palm, cedrów, kwiatów,
    Kaktusów i magnolii,
Lecz jest ideał naszych antenatów
    Litewski pan podstoli.

---

[6] Nieściśle. Ta obszerna wiadomość zamieszczona jest nie w „Kronice Rodzinnej", ale w „Kłosach", t. XXXIX, 1884, nr 999 z dnia 9 (21) sierpnia, w artykule *Domeyko w domu rodzinnym*. W „Kronice Rodzinnej" natomiast (1884 nr 17 z dnia 1 września), w rubryce „Silva rerum" jest notatka pt. *Powrót Domeyki w strony rodzinne*, w której podano m. in. tylko urywki z relacji Odyńca drukowanej w „Kłosach".

A cóż powiedzieć o gronie Litwinek
W pączku, w rozkwicie, w rozwiciu,
A wśród nich córka i tyle kuzynek,
Węzły najświętsze w Twym życiu!
Wspomnę te, których Tyś dziadkiem i stryjem,
Celinę, Idzię, Manię i Jadwisię,
Wśród nich więc z księdzem Czeczotem wypijem
Stary toast: „kochajmy się"!

Dołmatowszczyzna po raz już drugi ma zaszczyt przyjmować u siebie filaretów. W r. 1843 obchodzono tam imieniny Tomasza Zana, obok którego znajdował się Jan Czeczot, obecnie przy Domeyce Odyniec, a tych przyjaciół młodości Opatrzność — zda się — umyślnie sprowadziła w nowogródzkie strony dla oddania czci cieniom Mickiewicza...

Obszerniejszy artykuł z tej okazji umieściła „Gazeta Polska" w swoim numerze 188, następujący:

Nowogródek, 13 sierpnia

(ws) W podanej przeze mnie wczoraj wiadomości o powrocie Ignacego Domeyki na ziemię litewską są pewne niedokładności. Domeyko wprost z kolei, ze stacji Horodziej, gdzie go powitał druh i zarazem bliski krewny ⟨jego⟩, Antoni Wierzbowski, b. prezes b. sądu grodzkiego w Nowogródku, udał się najprzód do Niedźwiadki, miejsca swego urodzenia, gdzie też spoczywają [b]zwłoki jego braci[b] — osób najbliższych sercu...

W miejscu swym rodzinnym Domeyko zabawił dzień jeden (cały) zaledwie i w licznym otoczeniu rodziny ruszył do Dołmatowszczyzny, majątku p. Ant[oniego] Wierzbowskiego, zwiedziwszy (dniem pierwej) zamek w pobliżu Mira, do Radziwiłłów niegdyś należący.

W dniu wczorajszym, właśnie w dniu św. patrona gościa (31 lipca st. st.), obchodzono uroczyście przybycie druha Mickiewiczowskiego.

Do Dołmatowszczyzny zjechała najbliższa rodzina Domeyki i Wierzbowskiego: Jezierscy, Puciatowie, ks. ⟨Witold⟩ Czeczot[7], Ancuta, Mikulski i inni. Przy stole wspólnej biesiady na pierwszym miejscu zasiedli Domeyko z Odyńcem. Pierwszy przemówił do rektora z Santiago A. E. Odyniec, improwizując: „Toć od pół wieku..." (tu przytacza „Gazeta [Polska]" wiersz powyższy). Przemówienie Domeyki nacechowane było prostotą i ciepłym uczuciem... Przemawiali następnie gospodarz ⟨domu⟩, syn jego ⟨Jan⟩ i inni.

Zwrócili też na siebie uwagę obecnych synowie solenizanta — Don Hernan[c]

[b—b] W artykule: „zwłoki jego rodziców, braci". Wyraz „rodziców" Domeyko opuścił jako informację mylną, ojciec bowiem pochowany został w Mirze, a matka w Saczywkach.

[c] W artykule podano: Ernani.

[7] Witold Tadeusz Czeczot (1846—1929), ksiądz, urodzony w Boracinie koło Nowogródka, profesor seminarium duchownego w Petersburgu, później proboszcz w Mińsku Litewskim, pozbawiony prawa zajmowania stanowisk na Litwie, kilkakrotnie zmienia miejsce swej działalności.

i Don Casimiro. Urodzeni z matki Hiszpanki[8], językiem ojca nie władają, tutaj rozmawiali po francusku.

Ku wieczorowi wracające z roboty żniwiarki zaśpiewały przed gankiem, Domeyko rozpłakał się, tak samo śpiewały na Litwie kobiety wiejskie przed laty pięćdziesięciu...

Wieczór cały przeszedł bardzo przyjemnie dla wszystkich obecnych, a gra na fortepianie ks. Czeczota i panny Anny Puciatówny mile czas urozmaiciła [...] rolę gospodyni domu pełniła synowa p. Antoniego, pani Janowowa z Magnuszewskich ⟨Wierzbowska⟩.

Dziś też w kółku ściślejszym jeszcze zięć solenizanta, p. Leon Domeyko, porównał przyjazd Ignacego do Chile z jego wyjazdem stamtąd. „Na mule, konno, w płaszczu emigranckim[d] ciągnął się... do ... Rzeczypospolitej Chilijskiej. Przybył samotny, nie znany nikomu na obczyźnie. Jakżeż różny był wyjazd: wszyscy profesorowie Uniwersytetu, przedstawiciele władz, tłumy ludu żegnały na peronie kolei odjeżdżającego starca, który tak pożytecznie służył obcym".

Stosunek, jaki wiązał Domeykę z Antonim Wierzbowskim, był nadzwyczaj serdecznym i korespondowali z sobą. Oto jest urywek jednego z listów Ignacego do prezesa (kiedy posyłał mu w darze okaz miedzi rodzimej w kształcie jakoby jakiej gałęzi roślinnej): „Posyłam ci na pamiątkę rózeczkę z mojego kamiennego lasu; ja tu nie mam zielonych gajów naszych, wszystko kamienieje, tylko miłość moja ku wam zawsze — zielona, gorąca; nigdy ona nie uschnie ani się oziębi nawet w ostatniej godzinie. O niej tobie opowie Leon"...

13 sierp[nia]. Tego dnia z rana, odwiedziwszy jeszcze z Antonim groby siostry mojej Marii i synowicy, wyjechaliśmy do Saczywek, domu mojej śp. matki, a dziś siostrzeńca mego Jezierskiego Edwarda i jego rodziny. Po drodze wstąpiliśmy do Bartnik, majątku należącego do Śliźniów, z którymi rodzina moja po wielekroć spokrewnioną była i jest dotychczas. Tu przypomniałem sobie jeden z najprzyjemniejszych dni, jakie miałem w życiu, dzień wesela brata mego Adama z Józią Śliźniówną. Żyli natenczas jej rodzice, państwo chorążowie, dom zamożny, gościnny, przeważny na sejmikach nowogródzkich, skoligacony z przedniejszymi domami tego powiatu. Och! dnie ślubów i wesel nie zapominają się.

Ale już oboje chorążostwo od dawna umarło, dom staroświecki też upadł, na jego miejscu jakaś niby altana, dokoła nowy park, trawniki, klomby kwieciste, drożki kręte jak po francuskich ogrodach. W nowym domu przyjął mnie serdecznie gospodarz, najmłodszy z synów pana chorążego, którego dzieckiem byłem zostawił, teraz wysłużony oficer z marynarki rosyjskiej, podstarzały, schorzały. Przy nim też wyszli

---

[d] W artykule błędnie: literackim.

[8] Według własnych relacji Ignacego Domeyki (*Moje podróże*, t. IV, cz. 2) żona jego była córką obywatela chilijskiego i Chilijki, krewnej chilijskiego generała Aldunate.

na ganek Otto Ślizień[9], mój towarzysz wileński, filareta, osiwiały, smutny, i trzy damy polskie z tej samej rodziny, dwie podeszłego wieku, jedna młodsza, serdecznie ożywiona, przypominająca mi z twarzy i ujęcia matkę swoją, siostrę starszą Józi, ze Śliźniów Korbutową.

Wszystko się tu zmieniło, a chociaż i Otto był już od dawna wysłużonym oficerem od artylerii rosyjskiej i oba[j] bracia całą swoją młodość spędzili na służbie, przecież dom cały, młodzi synowie ich, oni sami i uprzejme gospodynie, tak to było wszystko polskie, nie zmienione, rozmowa szczera, otwarta, ni akcentu, ni jednego słowa z moskiewszczyzny. Przy obiedzie miód stary piliśmy i dobrego węgrzyna, uściskaliśmy się dawne przypominając czasy.

Po obiedzie poszedłem z najmłodszą z pań do bliskiego gaiku na wzgórze, gdzie mi kochana Polka opowiadała, jak tam miłośnie przyjmowano kiedyś w tym gaiku Tomasza Zana, przyjaciela domu, a niegdyś w Wilnie guwernera młodych Śliźniów, jak się tam bawiono, był i teatrzyk, filareckie pieśni śpiewano, Czeczot i Zan deklamowali wiersze swoje i Mickiewicza.

Nad wieczór przyjeżdżamy z panem Antonim do Saczywek. Tu, kiedy byłem dziecięciem, babka moja z Wołodkowiczów Ancutowa żyła i pamiętam, bo miałem lat siedem, dwór bogaty, gości co niemiara, mianowicie na św. Annę i na jarmark stołowicki. Na jednych imieninach hucznie obchodzonych — jakbym dziś to widział — trzy małe Marylki siostry cioteczne: Wereszczakówna (później Maryla), Załęska (jej ojciec rodził się z Kościuszkówny) i Domeykówna (siostra moja), trzymając długą girlandę z róż i jaźminy, śpiewały przed rozczuloną babką. Potem, gdy po jej śmierci mieszkał tu mój wuj Stanisław Ancuta (brat przybocznego sekretarza Stanisława Poniatowskiego, brata[10] królewskiego), przyjeżdżaliśmy tu z matką na odpust do N. Panny Stołowickiej i zabawy nasze były pod starymi lipami, które — już z daleka widziałem — wabiły do siebie. Potem, od śmierci wuja, żyła tu moja matka, obchodziliśmy wesele dwóch moich sióstr i brata mego Adama i tu pożegnałem matkę, ucałowałem jej ręce po raz ostatni (w kwietniu 1831 [r.]), a w rok potem umarła.

Nawał myśli i tych przypomnień owładał mi głowę, strzelałem oczami na wszystkie strony. Już były widne duże białe wieże stołowickiego kościoła, już ponad leniwą rzeką Szczarą pasące się trzody na szerokiej

[9] Otto Ślizień (1806—1887), filareta, uczestnik powstania listopadowego, później gospodarz w Druckowszczyźnie, wicemarszałek powiatowy. Pozostawił po sobie pamiętniki, pisane na kilka lat przed śmiercią.

[10] Oczywista pomyłka, Stanisław Poniatowski (1755—1833), syn Kazimierza, starosta podolski, podskarbi wielki litewski i generał gwardii honorowej, był bratankiem króla Stanisława Augusta, a nie bratem.

dolinie i wieś kroszyńska z dala, i młyn wietrzny na wzgórzu, i wnet zza ciemnej olszyny odsłonił się dwór saczywski, upiększony,. ale niezmieniony.

Stało na ganku wiele gości i liczne po braciach i siostrach moich młode pokolenie; po prawej stronie przed gankiem — domowi, służący i służące, po lewej gromada włościan. Gospodarz Jezierski i żona jego, z domu Jagminówna, podali mi na tacy chleb, sól i miód, a najstarszy z włościan pokłoniwszy się, powiedział: „Niech będzie pochwalony Pan Jezus". Odpowiedziałem „Na wieki" i wzięliśmy się do uściśnień i pocałunków. Jakaż to była radość! Przed wejściem do sieni każdy z obecnych kieliszek miodu za zdrowie moje wychylił, a jam to samo uczynił za zdrowie gospodarzy.

Zaraz po tym z dziecinną ciekawością obiegłem dom cały. Pierwszy pokój od wejścia pozostał tąk, jak był, ten sam, gdzie śpiewały przed siedmdziesięciu laty trzy Marylki i gdzie się odbywały śluby i wesela sióstr moich. Z tego pokoju drugi od strony rzeki ten sam, tylko z niego starą alkowę wyjęto i stał się weselszym; inne, jak pokój sypialny matki, jadalny, bawialnia, nieco poprzerabiane; tylko poznałem dobrze sień, w której za życia babki była nad drzwiami duża drabiniasta klatka, a w niej potężny buńczuczny kogut śpiewający godziny. Cały dom ozdobiono z zachowaniem dawnej formy i rozporządzenia.

Wieczerza tego dnia była familijna, a byliśmy jeszcze u stołu, kiedy posłyszałem śpiew żniwiarek przychodzących z pola. Wyszliśmy na dziedziniec, obchodzono dożynki. Staraniem gospodarza długi stół, grubym obrusem przykryty, był zastawiony bochenami razowego chleba, serem i flaszkami gorzałki.

Piękna, duża dziewoja z wieńcem urobionym z kłosów żytnich i z dwiema poważnymi kobietami po bokach podeszła do mnie, pokłoniła się; zdjąłem — jak się należało — z jej głowy wieniec i oddałem gospodyni domu, ucałowawszy żniwiarki. Potem wójt z wioski z przedniejszymi gminy ofiarowali mi chleb i winszowali powrotu, a jeden z nich powiedział, że jeszcze mnie pamięta, jak byłem mały.

Cały tymczasem chór żniwiarek śpiewał na przemian podzielony na dwie gromady. Przepiłem czarkę wódki do wójta, wójt do swego dawnego pana i poczęło się częstowanie; krajano chleb, syr, piły i kobiety, i mężczyźni. Małe tylko nieszczęście stało się — zachorował skrzypek, nie przyszedł i nie było tańców.

Żeby nie przerywać zabawy i zostawić ją w całej swobodzie, zaprosił gości swoich gospodarz na drugą stronę domu, gdzie się poczyna park i ogród. Tam, na rozkosznym trawniku, gdzie dawniej była błotna gęstwinia, znalazłem klomby kwiatów i szeroko — od moich dni — porozrastałe drzewa, za którymi wije się po staremu na łące domowa rze-

ka — Szczara. Pod tymi drzewami na murawie z bliskiego miasteczka sprowadzony sztukmistrz przyrządził ognie sztuczne, puścił w powietrzu pękające szmergle, słoneczne młynki zapalił i do późna, w noc ciemną, oświecały ogród czerwone ognie bengalskie.

Nastąpiły w salonie muzyka, śpiewy, dobrze po północy udaliśmy się na spoczynek z panem Antonim, a jeszcze słychać było śpiew odchodzących z dożynek żniwiarek. Nie było snu dla mnie tej nocy, było tylko przerywane drzemanie; przypominałem [sobie] dziecinne zabawy, pieszczoty babki mojej, huczne zebrania w tym domu, zjazdy szlachty sejmikowej, przede dniem zdawało mi się jeszcze słyszeć śpiew żniwiarek i jakby zaśpiewał kogut babuni, budzący do wstawania liczną jej służbę w długie zimowe noce.

Zaledwo pierwszy promień słońca wtargnął przez okiennice, zerwałem się i poszedłem do grobu matki mojej. Pobiegła za mną siostrzenica moja Jadzia, bo i dla niej snu nie było.

Droga idzie koło wzgórza, na którym od niepamiętnych czasów stała maleńka kapliczka, w której za życia babki, pani Ancutowej, mszę w niedzielę odprawiano, schodziło się wieczorem [na] modlitwy domostwo. Nie doczekała ta kapliczka rodzinna dnia, w którym by ją na prawosławie pierwszy pop zagarnął, zawaliła się, spróchniała i dziś jej śladu nie widać. Dalej zakręca się droga ku rzece, przechodzimy most, przy którym szumiał za dawnych czasów ogromny — jak sobie przypominam — młyn wodny; dziś tylko kilka po nim pozostałych palów sterczy spod wody.

Za mostem na lewo wabi ku sobie oko otwarte, świeżo do zasiewu poorane pole i na wyżynie mały cmentarzyk, kilka krzyżów, niewielka biała kapliczka, dwa drzewa przy niej.

„Tam — rzekła zapłakana Jadzia — spoczywa babka moja, a już tam więcej nie grzebią umarłych, bo dla włościan prawosławnego wyznania gdzieś tam bliżej wsi obrał pop miejsce na wieczny spoczynek, ścieżka nawet wiodąca do starego cmentarza została zaorana".

Poszliśmy po pooranej roli i uklęknęliśmy przy grobie. Ach! komuż to Bóg pozwoli po półwiekowym wygnaniu, zza morza, z drugiej półkuli świata wrócić i uklęknąć na grobie matki, od której błogosławieństwo strzegło w podróży. Matko moja! niech te łzy pobożne będą Bogu na ofiarę za te obfite, które od porodzenia mnie wylałaś, kiedym był jeszcze schorzałym niemowlęciem, potem krnąbrnym, nieposłusznym dzieckiem, potem zarozumiałym śmiałkiem w szkolnej nauce, potem dumniejszym jeszcze, zapominającym rad i przestróg Twoich; i przy rozstaniu się, kiedy serce Twoje ostrzegało Ciebie, że już mnie nie obaczysz i nie przyciśniesz nigdy do Twojego łona.

Matko moja! któż mi, jeżeli nie Ty, złożył pierwszy raz ręce do Bo-

ga, kto do ołtarza zaprowadził i nauczył »Ojcze nasz«? Tyś mnie — pamiętam — jadąc ze mną w święto N. Panny do tego dziś owdowionego kościoła poleciła Jej opiece.

O Boże! Kiedy już za zrządzeniem i miłosierdziem Twoim nie wolno dziś matce mojej widzieć to udręczenie, jakie cierpimy, i ten cmentarzyk dziś opuszczony, oznajm jej przez swego anioła, że się modlę i modlić się aż do śmierci będę za jej zbawienie i na chwałę Twoją.

Odchodząc od grobowca matki mojej widziałem, że już podobny do niego murowany grobowiec wuja mego Michała rozpadał się na szmaty, z krzyżów, które lud nasz z przyległej wioski stawił na grobowcach ojców swoich, jedne pogniłe na ziemi leżą, inne pochylone mocują się jeszcze do czasu, mogiły murawą i chwastem pozarastały, na przyległym zagonie chłop worywał się do poświęconego od niepamiętnych lat cmentarza.

(Pół Saczywek, należących niegdyś do mojego wuja, już do obcej rodziny należy, druga połowa jeszcze w posiadłości mego siostrzeńca. On się będzie zajmował staraniem o zachowanie tego cmentarza i na nim mogiły matki mojej a jego babki. Jego matka już nie tu, ale w bezpieczniejszym miejscu, przy katolickim kościołku została pochowana[11].)

Wróciwszy z zapłakaną siostrzenicą z tej świętej pielgrzymki, obiegłem z nią naokoło dworu park, staraniem jej ojca zasadzony, i skwapliwie szukałem tej części lipowego szpaleru, która jeszcze pozostała od czasów dziada mego i pradziada. Objąłem z wielkim uszanowaniem jedną z tych lip, już prawie do połowy od mnogich lat i burzy rozdartą, ale jeszcze dziarsko, prosto na niebo patrzącą, a konarami swoimi orędującą młodsze, słabsze pokolenie. Miała ta lipa pień u spodu [e] łokci obwodu. Od dnia, jak ona wyrosła z ziemi, sad owocowy już dwa i trzy razy był na nowo zasadzony, a i dzisiejszy zestarzał. Te jabłonie, z których spadające jabłka dzieckiem będąc zbierałem, teraz pogarbaciałe, pochylone, już ledwo gdzieniegdzie jakie czerwone jabłuszko na nich świeciło; czekały tylko, aż podrosną młode szczepy dzisiejszego gospodarza, aby im ustąpić z pola.

Na dziedzińcu, trawnikiem ozdobionym, stoi od niepamiętnych czasów dąb na miejscu, gdzie przy nim był jeszcze za moich lat dziecinnych stary ancutowski pałac; teraźniejszy dom był tylko jakby oficyną. W tym pałacu żył za życia babki mojej pan wojski Ancuta, rezydent, brat mego dziada, a potem najstarszy z moich wujów — ułomny Dominik. Za

[e] W autogr. wolne miejsce.

[11] Antonina Jezierska (siostra Domeyki) pochowana została w Kroszynie.

pałacem poczynał się ogród na kwatery podzielony. Dziś i tego ogrodu, i śladu domu nie ma; dąb tylko stoi jakby na straży, pień jego na łokieć od ziemi ma [f] obwodu. I z rówieśniczką jego, którą wiek ten zachował, z daleka tylko nań wyglądają.

Zaraz po południu zaczęli się zjeżdżać goście z bliskich i dalekich stron: Rodułtowscy, Wereszczakowie, Ancutowie, sędziwy Tomasz Bułhak z żoną, która po trzykroć za wygnanym w głąb Rosji mężem jeździła i po trzykroć go wyratowała, dalej — Kobylińscy, Śliźniowie, Zawadzki[12] z Kroszyna, wnuk Radziwiłłówny Połoneckiej, Abłamowiczowie z Nieświeża i wielu innych szanownych obywateli i dam, a ich wszystkich imiona przypominały dawny sejmik nowogródzki z 1819 [r.] i późniejsze potem, i ostatni z 1827 [r.]; byli to już synowie i wnuki tych, którzy natenczas w powiecie rej wodzili.

Stół był w podkowę ustawiony, na nim z kwiatków i cukrowych przysmaków cyfry moje; przy mnie posadzono Odyńca. Humor był wesoły, wylanie się i szczerość w rozmowie od pierwszej do ostatniej potrawy i do końcowych wiwatów, a kiedy przyszło do polskiego „kochajmy się”, wszyscy wstawali, biegli jedni do drugich, ściskali się i znowu siadali. Odyniec deklamował *Odę do starości*, a hrabia Czapski[13], nie mogąc z przyczyny choroby pośpieszyć na ucztę, przysłał piękne na piśmie przemówienie do mnie, które w głos odczytano.

Przeciągnęła się ta wesoła uczta do późna, a po niej zabawa, śpiew, muzyka, choć nie było tańców, prawie do rana. Już było rozwidniało [się], kiedy się rozjeżdżać poczynali goście, a ileż tam było uściśnień, [po]całunków, pożegnań, klaskania z biczów na odjezdnym!

O dziesiątej z rana czekał nas w Kroszynie w kościele, przy którym pochowana siostra moja Jezierska, ksiądz ze mszą. Msza była żałobna, po mszy poszliśmy naprzód uklęknąć na grobie matki Jezierskich, siostry mojej, potem do grobów murowanych rodziny Zawadzkiego, gdzie leżą babka jego z Radziwiłłów Jurahowa i matka jego rodząca się z Radziwiłłówny, i żona jego Radziwiłłówna, z której ma dwóch pięknych chłopców.

---

[f] W autogr. wolne miejsce.

[12] Piotr Stanisław Wacław Świętopełek Zawadzki (ur. 1847), właściciel Kroszyna i Mszonowa, syn Teofili z Radziwiłłów (1822—1851), wnuk Antoniny z Radziwiłłów Giedrojć Jurahowej, córki Macieja (1749—1808), kasztelana wileńskiego, i Elżbiety z Chodkiewiczów, zamieszkałych w Połoneczce, dobrach w pow. nowogródzkim.

[13] Zapewne Adam Józef Erazm hr. Hutten Czapski (ur. 1819), syn Karola, pułkownika wojsk polskich, marszałka szlachty pow. mińskiego i Fabianny z Obuchowiczów, właściciel dóbr w guberni wileńskiej i mińskiej.

Uprzejmy gospodarz zaprosił mnie i Odyńca, abyśmy na pamiątkę, każdy niedaleko domu, jeden dąb posadzili. Z ochotą przyjęliśmy ten zaszczyt. Już jamy na to były przygotowane i dwie latorośle dębowe. Posadziliśmy je najstaranniej, a ksiądz to miejsce poświęcił. Potem zaprosił nas pan Zawadzki do swoich pokojów, obejrzeliśmy portrety jego antenatów, i k[się]cia Karola Panie Kochanku, i k[się]cia Konstantego, i wielu senatorów, wojewodów, kasztelanów. W końcu, uraczeni dobrym śniadaniem i starym węgrzynem, wróciłem do Saczywek i tegoż dnia po południu z Odyńcem, z córką moją, zięciem, dwoma synami i siostrzenicą w dalszą puściliśmy [się] drogę, do ostatniego już punktu mojej z Santiago podróży — do Zyburtowszczyzny, do majątku zięcia i córki mojej, spadłego na nich po moim stryju Ignacym, pod którego opieką od dziesiątego roku mego życia, to jest 1812 [r.] i wyjazdu mego do szkół, zostawałem.

5 sierpnia. O pół mili od Saczywek smutne wspomnienie nas spotyka na stołowickich błoniach, na których — jak wiadomo — pobici zostali nasi barscy konfederaci pod Ogińskim[14]; w milczeniu, ze ściśniętym sercem przejechaliśmy koło kościoła, dawnej radziwiłłowskiej fundacji. Gromadnie do niego lud schodził się na święto Najświętszej Rodzicy, której wizerunek, przez Radziwiłła Sierotkę[15] przyniesiony z pielgrzymki, pozostał w tylnej kaplicy za wielkim ołtarzem. Świeżo pomalowane, powyzłacane wieżyczki z nowymi krzyżami ostrzegają, że już tu rozerwana została wiara, lud katolicki nie ma przystępu, bracia jego unici pod obcym zostają pasterzem, w cudzej owczarni; ucichły pieśni dawne nabożne.

Dalej, przejechaliśmy niedaleko opuszczonej dziś siedziby Doboszyńskich, Drohobylu, skąd — jak wiedzą sąsiedzi — w 1863 [r.] stary dziedzic poszedł z synami swymi do powstania, wzięty w niewolę, męczony w Słonimie, gdy usłyszał strzał, którym mu było zapowiedziane rozstrzelanie jednego z synów, porwał za kratę więzienną tak silnie, że skruszył żelazo, a sam ducha wyzionął.

Dalej, znowu jeden piękny biały kościołek, staraniem pobożnych właścicieli zbudowany, stoi dla nich i dla ich katolickich włościan zamknięty, upstrzony nową wysmukłą wieżyczką.

---

[14] Michał Kazimierz Ogiński (1731—1800), wielki hetman litewski, po klęsce pod Stołowiczami zadanej przez Suworowa dnia 23 września 1771 uszedł za granicę, uzyskawszy amnestię wrócił do kraju i osiadł na wsi. Twórca Kanału Ogińskiego, budowniczy wielu gmachów w powiecie słonimskim, m. in. drukarni, buławę hetmańską złożył w 1792 roku.

[15] Mikołaj Krzysztof Radziwiłł Sierotka (1549—1616), syn Mikołaja Czarnego, w latach 1582—1584 zwiedził Palestynę i Egipt, napisał później *Listy o Ziemi Świętej*, które przetłumaczone na j. łaciński wyszły w Brunsberdze.

Dojeżdżamy do Mołodecznej, i tu wspaniały kościoł parafialny i drugi mniejszy, pobielone na zewnątrz, z poprzerabianymi na bizantycką formę wieżyczkami, świadczą o gwałcie wyrządzonym sumnieniu.

Z dala spostrzegam las ozierański mego nieboszczyka stryja Józefa, a pierwej nim wjechaliśmy do niego, zadziwił mię niemało świst lokomotywy. Boże mój! Kiedym ostatni raz z kochanym stryjem jeździł po tym lesie, o drogach kolejowych i słychać nie było w Londynie czy Paryżu, a po tym lesie zaledwo wąska kałamaszka mogła się przecisnąć. Dziś drogę żelazną budują, machiny, stacje ozdobne; grosza nie było na poprawę błotnistej drożki i mostu, dziś — sto tysięcy rubli mila drogi kosztuje.

Przenocowaliśmy w Ozieranach, należących do mego synowca Ignacego. Dwór zbudowany na górze; kiedym z kraju odjeżdżał, była to jeszcze prawie pustynia, budynek nie ukończony, małe drzewa i szczepy nie widne były z daleka, dziś to piękna wilia czy quinta[16], ogromne kasztany i lipy, sad już dojrzały, trawniki, chodniki i klomby w guście angielskim. Z rana poszedłem do bliskiego lasu, gdzie przed śmiercią zbudował dla siebie i dla żony stryj mój małą kapliczkę i w niej zostali pochowani. Stryj mój Józef, wychowany za wolterowskich czasów, wojażował za młodu, był uczniem Wernera we Freibergu i nauczył się był mineralogii i górnictwa. Zwykł był mówić mi o tym, a jego opowiadania może się i przyczyniły do tego, że w trzydzieście lat potem poświęciłem się temuż zawodowi. Wyszedł potem stryj mój na dobrego gospodarza, ożenił się w podeszłym wieku, umarł pobożnie, opatrzony sakramentami.

Około kapliczki grzebią dziś włościanie swoich umarłych; utworzył się.cmentarzyk, na którym już, między innymi świeżo usypanymi, były dwie mogiły z rosyjskimi napisami na kamieniach wyrytymi. Krzyże jeszcze wszystkie katolickie, niektóre pochylone, na niektórych spostrzegłem tasiemki i wstążeczki zawieszone, zapewne ze stroju kobiet umarłych zdjęte przy ich pochowaniu. Ale tym z wieśniaków, którzy przy katolickiej wierze zostali, trzeba iść o cztery mile na mszę w braku księży i kościołów.

Tegoż dnia ruszyliśmy już i do Zyburtowszczyzny, ostatniego — jakem powiedział — terminu mojej pięćdziesiąttrzyletniej podróży. Spotkaliśmy przeciągającą po nowej kolei lokomotywę, potem przejechaliśmy przez dworzec. Też parafialny kościół na prawosławie zabrano, a włościanie katolicy tej parafii muszą iść na mszę o cztery i o pięć mil dalej, do Nowogródka.

Z wielkim wzruszeniem serca i umysłu przejechałem przez Zdzię-

[16] quinta (hiszp.) — dworek.

cioł koło pięknego kościoła, uratowanego dotąd dla katolików przez mego zięcia i sąsiadów. Tu wspaniały pałac, majętność i rezydencja Sołtana, ostatniego marszałka nadwornego litewskiego, i jego syna, pułkownika Adama, już dziś przez rząd zabrany, został przemieniony na szpital wojskowy i na kwaterunek, a ogród spustoszony.

A jakże mi to serce gorąco biło, kiedym ze wzgórza, wyjechawszy ze Zdzięcioła, obaczył po pięćdziesięciu trzech latach olszynę moją znajomą, dwie lipy na polu, a dalej dwór, sad szczepiony ręką stryja, gęstą, rozłożystą gromadę lip, które w 1812 [r.] zasadził mój opiekun, a za nimi bielejący dom murowany.

Mój zięć i córka, wyprzedziwszy mnie z rana do Zyburtowszczyzny, przyjęli mię na ganku z chlebem, solą i miodem, otoczeni całym domostwem. Między służbą domową znalazł się jeszcze stary Jan, mojego wieku, który więc przypomniał mi się serdecznie. On jeden tylko został żywy z owego czasu. Ściskałem każdego, pokojowe i służące, kucharzy i pastuchów, i kobiety z folwarku, parobków, ogrodnika i małe dzieci. Obiegłem dom cały, ogród, stodołę, stajnie i obory. Wszystko tak jak było, tylko zięć mój upiększył pokoje, do domu przybudował na przedzie piękny ganek i galerią, a córka moja, Amerykanka, dała mi natychmiast dowód dobrej, rządnej gospodyni, gościnnej i czynnej, choć tego wieczora niewiele jeszcze było gości. Wieczerzał z nami tylko proboszcz ze Zdzięcioła z wikariuszem swoim.

Nazajutrz obiegłem też wszystkie poletki, nowe zasiewy, łąki niedawno skoszone, łany owsa i grochu jeszcze na pniu, zatrzymywałem się przy trzodzie, w stajni, a córka moja pokazywała drób, kuchnię, śpiżarnie. Wszędzie zdawał mi się być obecnym duch stryja śp. i jakby się cieszył z tego, co mnie cieszyło.

Obiad był suty, wesoły, zjechali się sąsiedzi. W parę dni potem przyjechał mój stary przyjaciel ośmdziesiątletni, dawny filareta, Turski[17]. Z nim i z Odyńcem parę dni jeszcze przebankietowałem, przypominając wileńskie lata. Potem odjechał Odyniec do Warszawy, a Turski do krewnych swoich.

Po ich wyjeździe pojechaliśmy — jak należało — do grobu stryja, ostatniego właściciela tego majątku, mego opiekuna, i jego żony. Obrał on na grób dla siebie mały sosnowy lasek na wzgórzu, tuż przy ulubionej swojej wiosce Norcewicze, całej zamieszkałej dotąd przez lud katolicki, pracowity, mówiący po litewsku. W tym lasku założył ich dobry pan i cmentarzyk dla włościan, jakby przewidując nieszczęście i prze-

---

[17] Ksawery Turski z powiatu lidzkiego, filareta, członek grona różowego (fizycznego).

śladowanie, którego się miały od prawosławia spodziewać cmentarze i kościoły nasze. „Tu mi będzie lepiej — pomyślał — bezpieczniej przy uczciwych chłopkach moich; oni strzegąc ciała swoich umarłych i mnie będą na straży, a w kapliczce nic prócz mego i mojej żony ciała nie zagrzebią, nic nie zostanie, co by ciekawość i chciwość nieprzyjaciela ściągnąć tu kiedy mogło".

Pojechaliśmy tedy do położonej jakoby o pół mili od dworu wsi Norcewicze i tu na wjeździe do niej znalazłem gromadę najstarszych z wieku i powagi gospodarzy z chlebem, syrem i solą, tuż i flasza gorzałki stała na białym, płótnem przykrytym stoliku. Za starszyzną stała nieco na uboczu młodzież, dzieciaki i schludnie ubrane kobiety. Wójt gminy w białawej sukmanie, siwiak, ale rumiany, pokłonił się, powiedziawszy: „Pan Jezus pochwalony". „Na wieki wieków" — odpowiedziałem i uścisnąłem go z wielką przyjemnością. Przy nim stojący dodał: „my pamiętamy jeszcze pana mołodoho i wiele kobiet jeszcze pamiętają". Jakoż podeszła do mnie jedna staruszka i drugie dwie, które toż samo powiedziały. Przepiłem do nich czarkę gorzałki i oni do mnie, zakąsiliśmy radzowym chlebem, jeszcze raz to samo powtórzyliśmy a potem wsiedliśmy do powozów, tak jak byliśmy przyjechali.

Przez całą wieś z wolna przejechaliśmy, powoli, dzieci małe patrzyły na nas, nie uciekały, psy nie szczekały, łasiły się, i miło mi nader było widzieć, że już nad wielu chatami sterczały kominy, przyzby i dziedzińczyki pozamiatane.

Tuż za wioską i lasek, a w nim mały domek drewniany na kapliczkę, a dokoła pod sosnami świeże mogiły, na każdej krzyżyk z drzewa. Klucz od domku był u jednego z gospodarzy, który nadbiegł natychmiast i otworzył. Wewnątrz tylko cztery ściany, z drzewa ociosany krzyż w[t]knięty do ziemi i żwir z piaskiem wyrównany, tak jak gdyby od wczora były zasypane dwa groby, jeden obok drugiego. Weszło za nami wiele kobiet i dzieci, poklękaliśmy i zmówiliśmy »Anioł Pański« i wieczne odpoczywanie.

Potem, w niedzielę, obchodzono w parafialnym kościele zdzięcielskim święto Najświętszej Panny Zielnej, Wniebowzięcie — święto najmilsze ze wspomnień moich dziecinnych, kiedy obchodziliśmy tę uroczystość w domowym kościołku naszym, w Niedźwiadce, lat już temu siedmdziesiąt.

Ochoczo i wesoło, jak gdybym był jeszcze młody, zerwałem się rano z łóżka i dawnym zwyczajem piechotą poszedłem do Zdzięcioła. Po drodze widziałem schodzący się z rozmaitych wsi lud, jedni piechotą, drudzy na małych wózkach, a kiedym wszedł do kościoła, zapach ziół

i kwiatów i śpiew ludu napełnił mię jakąś rozkoszą niepodobną do opisania, przeniósł mię w dziecinne lata, jak gdybym nigdy był nie opuścił rodzicielskiego domu.

Kościoł, świeżo po pożarze odnowiony, pobielony, jasny, prawie już cały był napełniony pobożnym ludem, kończono śpiewać godzinki. Po prawej stronie od wejścia byli włościanie, mężczyźni, po większej części w białych sukmanach, ze starszyzny wszyscy ogoleni, młodzi dobrze oczesani, ostrzyżeni, każdy prawie z woreczkiem, w którym miał ziarna żyta czy pszenicy nowej, jabłka, a wielu miało książki do nabożeństwa polskie, z których śpiewali. Po lewej stronie kobiety, starsze w czepkach, młodsze kwiatami, wstążkami i kraśnymi chustkami na głowach ustrojone, każda z dużą wiązanką ziół rozmaitych i ogrodowin pod pachą. W ławkach siedziała średnia klasa, mieszczanie, mieszczanki, w nowego kroju sukniach, i sąsiedzi z pobliskich folwarków. Intonowało godzinki grubym basem dwóch czy trzech osiwiałych wąsalów, a cieńkie głosy kobiet mieszały się chórami do śpiewu mężczyzn dość zgodnie i uroczo.

Po godzinkach wszedł proboszcz na ambonę i czytał z książki naukę moralną i pobożną. Z pamięci nie wolno kazać, bo się łatwo przyczepić może do proboszcza asesor za jakie śmielsze słowo, które by się mu nie podobało. Skoro zeszedł ksiądz z ambony, nastąpił ruch w całym kościelnym zebraniu. Nastąpiła procesja. Ośm dziewcząt, jakoby dwudziestoletnich, urodziwych, pięknie przystrojonych, pocisnęło się do niesienia dwóch ołtarzyków, cztery z nich podniosło obraz Anioła Stróża, a cztery obraz N. Panny. Mężczyzni zaś wzięli się do chorągwi, mieszczanie do baldachimu.

Nie było tam mistrza ceremonii, a jednak kiedy przybrany w kapę zaśpiewał proboszcz pieśń »Boże, w dobroci« i buchnął dym z kadzielnicy, to tak się pomimo nacisku dobrze uszykowała procesja i wyszła w takim porządku z kościoła, jak gdyby to było w jakiej katedrze Notre Dame czy w St. Sulpice w Paryżu. Śpiewając po polsku mężczyźni i kobiety, obeszła procesja naokoło kościołka i potem na nowo uszykował się lud na swoim miejscu i wyszła msza, suma, zagrał dobry mój znajomy organ i śpiewała wybornie jedna mieszczanka. Po mszy cały lud ukląkł i proboszcz, zeszedłszy od ołtarza i uklęknąwszy, zaintonował suplikacją:

(ksiądz) Święty Boże! Święty Mocny!
(lud) Święty a Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami.

Tu mi już zdrojem łzy się polały, tego śpiewu od lat pięćdziesięciu dwóch nie słyszałem, od czasu, jak go w obozie na ziemi pruskiej, pod gołym niebem, śpiewaliśmy.

Cały lud śpiewał za proboszczem i ja — ze łkaniem. Potem jeszcze śpiewano »Bóg nasz[ą] ucieczką« i »Pod tym świętym Sakramentem«.

W końcu ksiądz pobłogosławił. Nunc dimitte servum Tuum — Teraz, Panie, puszczasz sługę Twego w pokoju.

DODATKI

1. Opis podróży z Domałtowszczyzny do Zyburtowszczyzny (od domu szwagra mego Antoniego do domu córki i zięcia) przez Odyńca[18]. Ten opis był przeznaczony do „Kłosów", ale nie przeszedł przez cenzurę (a w tym czasie był zjazd w Skierniewicach cesarzy)[19].
2. Toast, który kurierem przysłał do Saczywek hrabia Czapski na obiad, nie mogąc sam przyjechać.

Czci najgodniejszy Rektorze!

Piastów i Zygmuntów obie nasze stolice uczciły już wspaniałymi przyjęciami powrót Twój, Panie, do kraju. Wymowne głosy oddały tam hołdy całej społeczności polskiej „krzewicielowi cnoty i światła". A my, którzy Twoimi, Rektorze, powietnikami być mamy zaszczyt, mieliżbyśmy sami jedni tylko wyłączyć się z tego chóru hołdów i dziękczynień; i miłości braterskiej, i czci prawie synowskiej? Nam chyba najpierwszym przystało gorąco dziękować Tobie, Rektorze, że po pięćdziesięcioletnim, bogatym w sławę i zasługi życiu za Oceanem, między obcymi, wracasz teraz na ziemię ojców, że pracą wytrwałą i nieskazitelną cnotą zajaśniałeś tam daleko, za morzami, że zasług wielorakich wyższego nauczycielstwa i naukowego autorstwa Twojego sława blaskiem swoim rozjaśnia ten cichy naszej ziemi zakątek... Więc to nieprawda, co Macaulay[20] o wszystkich emigracjach powiedział, że wyrwane z przyrodzonych warunków bytu i swojskiego otoczenia tracić muszą na obczyźnie energię do czynów i pracy, a zachwiać się w zasadach jako nie kierowane i nie podtrzymywane przez opinię krajowców. Tyś, Panie, snadź triplex aes circum pectus habens[21], wybrał się w daleką wędrówkę z gorącą wiarą, pałającą miłością Ojczyzny, z nieskazitelnym ojców obyczajem, kiedy otoczenie, to medium psychologiczne, któremu dziś przeważny wpływ na losy ludzkie chcą przypisywać, o silną wolę Twoją rozbić się musiało. Bo oto wracasz dziś swój między swoich, z pełną więzią czynów, zasług i sławy, a naród, któremu pięćdziesiąt lat pracy poświęciłeś, błogosławi Tobie z daleka, a Twojemu krajowi długa Twoja nieobecność nową przynosi chlubę.

---

[18] W rękopisie brak tego opisu.

[19] W Skierniewicach, w pałacu arcybiskupów gnieźnieńskich, spotkali się we wrześniu 1884 r. trzej cesarze: Rosji, Niemiec i Austrii, dla omówienia spraw polityki wschodniej.

[20] Thomas Babington Macaulay (1800—1859), historyk i polityk angielski, w latach 1830—1848 członek parlamentu, autor słynnego pięciotomowego dzieła *History of England* (1849—1861), trzytomowego *Critical and Historical Essays* (1846) i in. W autogr.: Makolaj.

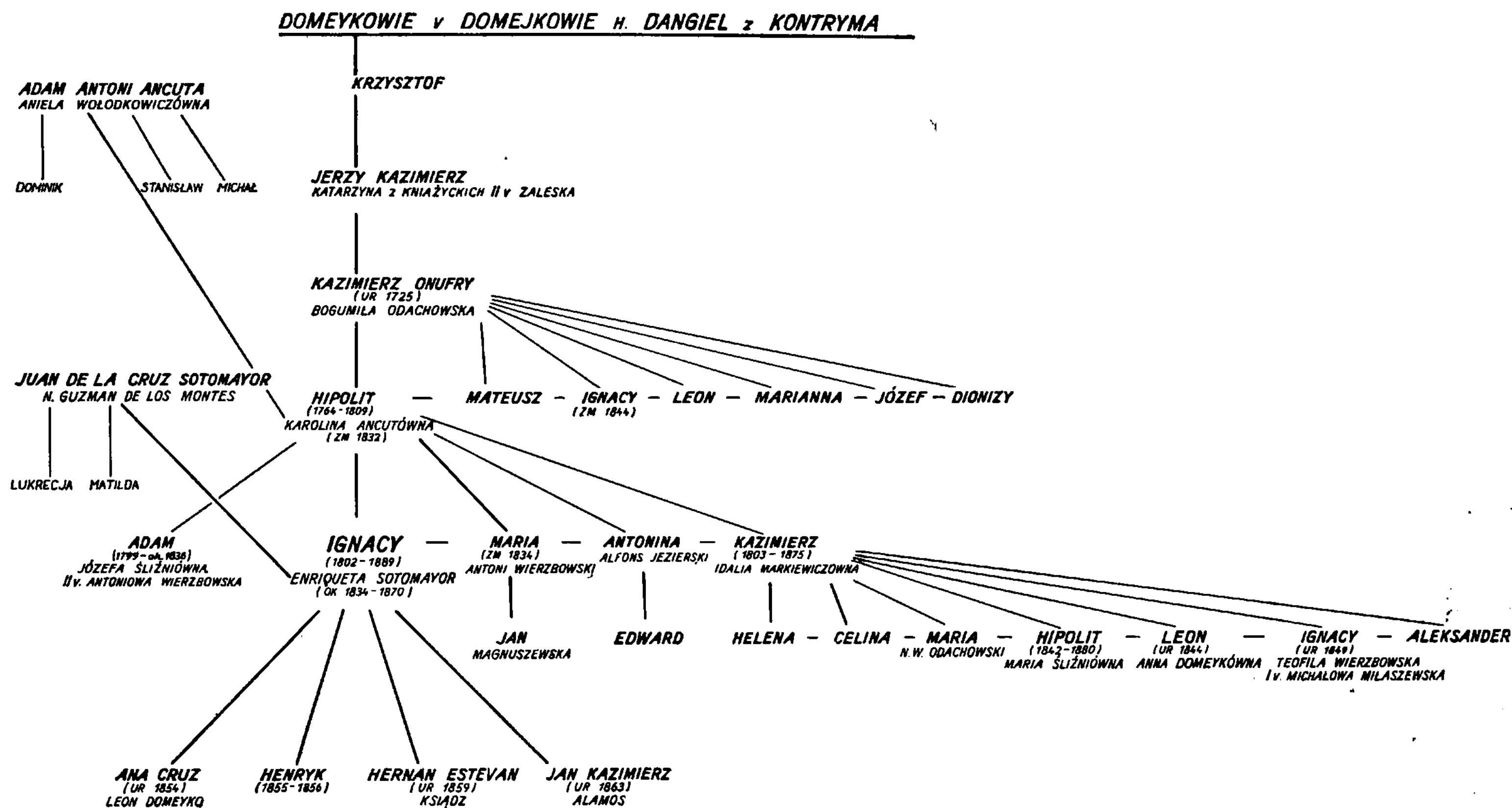
[21] „mając pierś otoczoną potrójnym pancerzem ze spiżu".

Zaprawdę! Niezwyczajnie twarde koleje naszego społeczeństwa zdają się niekiedy wywoływać pociechę i naprawę w cudownych już prawie hazardach i wysileniach swoich wybrańców — takich jak Ty, Rektorze, mężów! Ty nam dziś, Panie, do tego wiejskiego ustronia dobrze zasłużoną sławę swoją przynosisz. My ubodzy, w zamian za Twoją sławę nic Tobie oddać nie możemy, jedno tylko wdzięczne, otwarte dla Ciebie serca i najżywsze nasze życzenia zdrowia i szczęścia.

Niech nam żyje rektor Domeyko!!![g]

---

[g] Na końcu listu notatka ręką Domeyki skreślona: „przesłany przez hr. Czapskiego do Saczywek".



Tablica genealogiczna Ignacego Domeyki (wykonanie wydawcy)

VI. Jeszcze nie koniec

Paryż 19 września 1884 [r.] Podobało się Panu Bogu przeciągnąć jeszcze moje stare lata; widać, że jeszcze nie doszedłem celu po moim powrocie z Nowego Świata. Cóż pozostało? O! jeszcze rzecz wielka, chęć wielka! Trzeba obaczyć Rzym, u stóp Ojca Świętego prosić o błogosławieństwo, a potem iść do Jerozolimy, ucałować grób Chrystusa.

12 września, po uroczystości Narodzenia N. Panny i zwycięstwa pod Wiedniem, opuściłem dom córki i zięcia mojego. Przeprowadzili mnie do Saczywek, a stamtąd do Baranowicz, gdzie wsiadłszy do pociągu przyjechaliśmy późno wieczorem do Warszawy.

Było to nazajutrz po wielkim balu danym przez cesarstwo w Zamku Królewskim. Domy rządowe były oświetlone z przyczyny przypadającej rocznicy urodzin cara czy kogoś z jego rodziny. Żaden z domów prywatnych nie zapalił jednej świecy w oknie na tę uroczystość, korzystając z pozwolenia, ogłoszonego przez policją, danego obywatelom, właścicielom domów, że mogą je iluminować lub nie, według woli. Za to ratusz był rzęsiście ustrojony w niezliczone ognie gazowe.

Cesarz tego dnia był wyjechał do Modlina z rychłym powrotem do Skierniewic, gdzie miał być zjazd trzech cesarzy na biedę naszą.

Damy nasze polskie nie zostały zadowolnione z balu, mniej jeszcze obywatele. Choć zaproszenie było na dziesiątą cesarstwo ukazało się o pół do jedynastej i żadna pani z zaproszonych nie mogła się ruszyć z miejsca. Przedstawiała je carowej nie ochmistrzyni domu hr. Koczubej, ale Hurkowa[1], nienawistna wszystkim. Cesarz, przetańczywszy pierwszego kadryla z księżną Radziwiłłową (nieświeską), siadł do kart, do nikogo słowa nie przemówił. A były to pierwsze jego odwiedziny od czasu koronacji. Bezpiecznie jednak jeździł po Warszawie, bez eskorty, zatrzymał się nawet przy nowym kościele Św. Mikołaja, a z anegdot biegających po mieście zostało, że kiedy przez nieuwagę woźnicy przy zejściu się (jeżeli się nie mylę) u[licy] Nowego Świata z poprzeczną i nadjechaniem omnibusu zatoczył się do dołu pojazd cesarza, to podbiegł jakiś silny mieszczanin i zawoławszy ze szczerą prostotą do cara: „nie bój się, Jaśnie

[1] Hurkowa, żona generała rosyjskiego Osipa Hurko (1828—1901), gubernatora warszawskiego w latach 1883—1894, bezwzględnego rusyfikatora.

Wielmożny Cesarzu", podniósł z drugim jakimś barczystym chłopem pojazd, bez żadnego szwanku ni straty czasu. Cesarz posłał tego dnia sto rubli nagrody dla tych, co mu tę usługę oddali, ale poczciwego mieszczanina za jego „nie bój się" wsadzono do kozy.

Miasto było spokojne, ani policja [nie] okazywała się czynniejszą i uprzykrzoną. Dany był, na trzeci dzień po balu, wielki wieczór u hr. Kossakowskich dla hrabini Koczubej, ukazującej się przychylnie dla Polek i nieco jakoby zagniewanej na panią Hurkową. Czyniono już wielkie przygotowania rządowe do przyjęcia cesarzy w Skierniewicach.

Nie zabawiłem dłużej jak dwa dni w Warszawie i pożegnawszy mego kochanego Odyńca i jego rodzinę opuściłem miasto o trzeciej po południu (15 wrześ[nia]) w towarzystwie moich dwóch synów. Przy pociągu pożegnali mnie życzliwie hr. A. Zamoyski[2] z dwoma synami, kanoniczki Załęskie, Pług, pani Rębalińska i po ostatni raz uścisnąłem Odyńca.

Tymże samym pociągiem jechał oddział liczny piechotników pułku cesarza niemieckiego, prowadzony umyślnie z Moskwy na oddanie czci Wilhelmowi na granicy pruskiej. W Skierniewicach już był ruch, przygotowania do iluminacji, a po całej drodze ze Skierniewic ku Toruniowi co paręset (a może więcej) kroków stał żołnierz z karabinem na warcie, tyłem obrócony do drogi, jakby czatując, czy co nie zagraża z pola. Strach ma wielkie oczy.

Do Berlina wjeżdża na przepyszny peron czy gare[3], jakiemu podobnego nie masz na całym świecie, z rana nasz pociąg. Cóż o Berlinie? Ulica Pod Lipami, nosorożce i hipopotamy w Zoologicznym Ogrodzie, węże i ropuchy w akwarium; Königschloss, Muzeum, *Fidelio*[4] na teatrze, przepyszny posąg Fryderyka IV przez Raucha[5]; wszystko to w dwóch dniach obejrzeliśmy. Byliśmy na mszy w kościele naprzeciw cesarskiego pałacu, niepięknej architektury, ale pełnym pobożnego ludu, z wielką czcią i w cichości słuchającego mszy i kazania.

Na ostatniej stacji, dojeżdżając do Kolonii, mnóstwo znajdujemy żołnierzy i przygotowań do iluminacji; spodziewano się Kronprinza[6], re-

---

[2] Zapewne hr. August Zamoyski (1811—1889), oficer z roku 1831, kawaler Krzyża Virtuti Militari, z synami Augustem (ur. 1856) i Tomaszem (ur. 1861).

[3] gare (fr.) — dworzec.

[4] *Fidelio oder die eheliche Liebe*, opera L. Beethovena (1770—1827), libretto J. N. Bouilly, wystawiona po raz pierwszy (1805) pt. *Leonore*, następnie przerobiona i wystawiona w 1814 r. pt. *Fidelio*.

[5] Christian Rauch (1777—1857), rzeźbiarz niemiecki, promotor odrodzenia rzeźbiarstwa niemieckiego, twórca szeregu posągów różnych osobistości, posąg Fryderyka wykonał w 1851 r.

[6] Tj. następcy tronu, późniejszego (1888 r.) cesarza Fryderyka III (1831—1888), który zmarł po 99 dniach panowania.

wii i jakiejś fety. Już zmrok zapadał, kiedyśmy przybyli do Kolonii. Co też to za ogrom, wspaniałość i piękność katedry! Takie gmachy tylko wiara, pobożność, siła ducha mogą wystawić.

Owoż i w Paryżu (19 września). Coż mię tu przywiodło? Trzeba było ułatwić młodszemu synowi wejście do Szkoły Min, urządzić dla niego kursy prywatne, rozmówić się z posłem chilijskim, a przy tym chęć mię wzięła przepędzić zimę przy Sorbonie, przy Collège de France, gdzie pierwsze lata na emigracji ucząc się przeżyłem, zbliżyć się do uczonych, połasić się jeszcze na uczoność, nie zapomnieć od razu tego, czym się od czterdziestu sześciu lat zajmowało.

Przyznam się, lepiej było przesiedzieć ten czas na wsi spokojnie u córki. Osłodą jednak dla mnie i życiem były jedynie przechadzki moje do Ville Preuz, gdzie mieszkał druh mój, ociemniały, siwobrody, ognisty, serdeczny Bohdan[7] i społeczeństwo z ostatkami wychodźstwa naszego z 1831 roku. Żyją jeszcze dziewięćdziesiątletni Błotnicki, nie młodszy od niego Waga[8], młodsi ode mnie, choć starzy, Laskowicz, Rettel, kilkunastu brodaczów weteranów w Zakładzie św. Kazimierza i nowsze pokolenie, też nieliczne: dzieci i wnuki Adama Mickiewicza, Władysław żonaty z Malewską, córką b. rektora Malewskiego, i ich dwie córki, i Maria Gorecka, nieźmiernie smutna po stracie swojej jedynaczki córki[9], książę Władysław Czartoryski[10] i jego siostra hr. Działyńska[11], których zostawiłem był, wyjeżdżając do Ameryki, dziećmi, pani Kamińska z Potockich[12], wdowa po pułkowniku; z młodszych emigracji — czynni jeszcze i ruchliwi — dr Szwejkowski[13], dr Michałow-

---

[7] Zaleski.

[8] Antoni Stanisław Florian Waga (1799—1890), entomolog i pedagog, wielki popularyzator wiedzy przyrodniczej. Po studiach w Berlinie (1820—1823) nauczyciel szkół warszawskich, w 1864—1866 odbywał podróże naukowe do Egiptu, Nubii, Europy płd.-zach., skąd przywiózł cenne okazy przyrodnicze. Lata następne spędził w Paryżu, gdzie też życie zakończył.

[9] Heleny Modlińskiej. Zob. przyp. 11 na s. 120.

[10] Władysław Czartoryski (1828—1894), polityk, syn Adama Jerzego i Anny z ks. Sapiehów, założyciel (1878) Muzeum Czartoryskich w Krakowie.

[11] Izabela z Czartoryskich Działyńska (1830—1899), żona Jana (zm. 1880), na emigracji ruchliwa działaczka, nauczycielka języka angielskiego w Instytucie Panien Polskich, później (po śmierci matki) jego kierowniczka.

[12] Właśc.: Adamina z Potockich Kamieńska (zm. 1893), wdowa po pułkowniku Mikołaju Kamieńskim (1799—1873), prezeska Tow. Kobiet Polskich im. Klaudii Potockiej od roku 1887 do śmierci.

[13] Dr Szwejkowski, lekarz, działacz społeczny na emigracji, m. in. złożył pokaźną kwotę na kapitał Zakładu im. Klaudii Potockiej.

ski[14], Żmujdzini nasi Gadon[15], Rusteyko[16]; zresztą synowie niektórych emigrantów porodzeni we Francji już prawie Francuzi; między innymi młody Gasztowtt[17], dobry Polak, uczony i wielkich zasobów.

1 listopada odwiedziliśmy z Bohdanem groby naszych na Montmartre, a drugiego [listopada] — pochowanych na Montmorency groby Mickiewicza, Kniaziewicza, Niemcewicza, Różyckiego i tylu innych, niezliczone pomniki dziś tak ciche naszej niegdyś gwarliwej, burzliwej emigracji, która z boleści nie miała gdzie podzieć się z zadrażnionym sercem. Modliliśmy się z Bohdanem, polewając łzami mogiły naszych przyjaciół, towarzyszy, naczelników. On miał na cmentarzu Montmartre grób brata, żony, córki[18]. Z owych dwóch cmentarzy można by dziś napisać część znaczną historii nowożytnej rozszarpanego od najzawziętszych nieprzyjaciół swoich kraju.

W niedzielę i dni świąteczne mieliśmy, choć w szczupłej liczbie zebrani Polacy, msze w kościele Assomption i potem śniadanie przy tym kościele u szanownego, powszechnie kochanego misjonarza, ojca zmartwychwstańca Witkowskiego. Po mszy śpiewaliśmy »Niech[aj] będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament«. Na śniadanie — polska gawędka, zrazy, kołduny i pieczeń husarska.

---

[14] Feliks Michałowski (1813—1892), uczestnik powstania listopadowego, na emigracji lekarz przy kopalniach węgla w Saint-Etienne, prezes Tow. Lekarskiego depart. Loary i wiceprezes Tow. Rolniczego. Po czterdziestu latach pracy na prowincji przeniósł się do Paryża. Z jego porady lekarskiej korzystał Ignacy Domeyko w czasie swego ostatniego pobytu w Paryżu.

[15] Lubomir Gadon (1831—1908), publicysta, dziennikarz, uczestnik powstania na Litwie, w roku 1863 pracował pod pseud. Poraj w Agencji Rządu Narodowego w Londynie, w latach 1867—1894 był sekretarzem księcia Władysława Czartoryskiego i członkiem Rady Tow. Hist.-Liter., od 1883 także dyrektorem Biblioteki Polskiej w Paryżu. Na łamach dzienników francuskich, angielskich, niemieckich i polskich poruszał ciągle sprawy polskie. Owocem jego skrzętnych notat, wywiadów i obserwacji jest jego trzytomowe dzieło *Emigracja polska* (Kraków 1901/2) i inne szkice historyczne. Od roku 1894 przebywał w Krakowie i tu zmarł.

[16] Józef Rusteyko (1828—1907), wybitny działacz społeczny na emigracji, prezes Instytucji Czci i Chleba, współpracownik Zarządu Tow. Dobroczynności Dam Polskich, nauczyciel języka polskiego i angielskiego w Szkole Polskiej w Batignolles.

[17] Wacław Gasztowtt (1844—1920), literat, pedagog i działacz polityczny, od r. 1865 nauczyciel w Szkole Batignolles, później profesor retoryki i filozofii w szkołach francuskich w Paryżu, współzałożyciel i redaktor (od 1789) miesięcznika „Bulletin Polonais", zasłużony jako popularyzator wiadomości o Polsce, tłumacz na j. francuski arcydzieł literatury polskiej.

[18] Brata — nie brata, ale imiennika swego, Józefa Zaleskiego (zm. 1864). Zob. „Moje podróże", t. I, cz. 2, rozdz. IV, przyp. 54.; żony — Zofii z Rosengardtów (zm. 1868); córki — Józefy z Zaleskich Okińczycowej (zm. 1873).

5 listopada[a] było solenne przyjęcie mnie w Towarzystwie Literackim Polskim, w Hotelu Lambert. Było to Towarzystwo założone przez księcia Adama Czartoryskiego w 1832 [r.] i należałem do niego od pierwszych lat jego bytu. Już wszyscy członkowie z owego czasu wymarli, wyjąwszy mnie i Błotnickiego. Dzisiejszym prezesem jest książę Władysław, syn księcia Adama, wiceprezesem dr Michałowski, sekretarzem Gadon. Książę Władysław przyjął mnie najuprzejmiej krótką przemową, uścisnął mnie i wręczył mi dyplom na członka honorowego. Na to odpowiedziałem też krótko, z pamięci, w tych słowach:

Zanadto ubogi jestem w słowa, żebym mógł dostatecznie wyrazić wdzięczność moją za łaskawe przyjęcie, jakim zaszczycić mnie raczycie, Szanowni Panowie. Bóg mi pozwolił po półwiekowej wędrówce na drugiej półkuli wrócić do swoich i stanąć tu jako najdawniejszy członek Towarzystwa, a o ile cenię tę godność, o tyle mi smutno przypomnieć w duszy to ostatnie liczne zgromadzenie, na którym się znalazłem przed dniem mego wyjazdu do Ameryki.

Pamiętam, Panowie, i jakbym dziś na to patrzał: przy dostojnym księciu prezesie, dla którego całe Towarzystwo miało wysoką cześć i uwielbienie, siedział sędziwy obywatel dwu światów, towarzysz Waszyngtona i Kościuszki, autor pieśni narodowych, patriarcha naszego wychodźstwa[19]; obok niego legionista, chwała narodowa, dzielny Kniaziewicz, tuż i kasztelan Plater, cały oddany dobru Towarzystwa, pierwszy jego sekretarz, i następca po nim, Sienkiewicz[20]. Po drugiej stronie wielce pracowity nasz dziejopis Morawski[21]; jego dzieło będzie zawsze jednym z najcenniejszych pomników naszej emigracji, przy nim czynny, energiczny, światowy jeszcze natenczas, potem wymowny kaznodzieja, Skarga naszego tułactwa, A. Jełowicki, a tuż i Kunatt[22], Hoffman, Bronikowski, Wrotnowski i tylu innych, których mój smutek nie ma siły do wyliczenia. Azaż zapomnę siedzącego przy mnie zadumanego, od najmłodszych lat moich przyjaciela, współwięźnia, który już natenczas był dał narodowi *Pana Tadeusza*? Towarzyszyli tu obecnością swoją Odilon-Barrot, Montalembert, Walewski. Jakiż to był duch w owym zgromadzeniu! Jaka siła, nadzieja, w cierpieniu wytrwałość!

---

[a] W autogr. pomyłkowo: października.

[19] Julian Ursyn Niemcewicz (1758—1841).

[20] Karol Sienkiewicz (1792—1860), publicysta, literat (pseud. Karol z Kalinówki), bibliotekarz i sekretarz ks. Adama Czartoryskiego w Puławach, po roku 1831 na emigracji w Paryżu organizator Biblioteki Polskiej, red. „Kroniki Emigracji Polskiej", wydawca „Skarbca Historii Polskiej" i in.

[21] Teodor Morawski (1797—1879), mąż stanu i historyk, członek Rządu Narodowego w r. 1831, później działacz emigracyjny w Paryżu, autor sześciotomowego dzieła *Dzieje narodu polskiego* (1871—1872).

[22] Stanisław Kunatt (1799—1866), ekonomista, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, w powstaniu listopadowym podpułkownik gwardii honorowej, na emigracji w Paryżu członek Tow. Literackiego, współwydawca czasop. „Feniks" (1832), od r. 1840 redaktor „Kroniki Emigracji Polskiej", nauczyciel języka, historii i literatury polskiej Instytutu Panien Polskich.

Dziś całe to zgromadzenie poszło odpoczywać w Bogu. Zawczora, z moim rówieśnikiem, brodatym Bohdanem, odwiedzilliśmy ich groby, niosąc im — co mieliśmy — łzy i modlitwę.

Darujcie, Panowie, że za Wasze serdeczne dla mnie, wesołe przyjęcie tak się źle wypłacam — żałobnym wspomnieniem. Niech to będzie dowodem, jak ceniłem i cenię zaszczyt być członkiem tego Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Rad bym jeszcze mu służyć i podzielać z nim pracę. Ale, Panowie, mnogie lata, które już nanizałem do mojego życia, nawołują mnie raczej do owego zgromadzenia na wzgórzach Montmartre i Montmorency niż do Waszego, na którym spoczywa przyszłość Towarzystwa i jego dalszy wzrost i zamiary.

Przyjmijcie — proszę — szanowny Prezesie i Wy, Panowie, te kilka wyrazów w hołd szczerej czci i wdzięczności; protestuję, żem zasłużył na tyle pochwał, jakimi mnie zaszczyciliście. Sterałem wiek pracując na cudzej ziemi; prace moje błahe są i mało znaczące; starałem się tylko dopełnić obowiązków moich, pamiętając tylko na godło naszych przodków: służmy poczciwie sławie, a jako kto może, niech ku dobru publicznemu prace swoje i siły obróci[23].

Po przemówieniu moim doktor Michałowski czytał dość długie pismo o moich młodych latach i o pobycie w Ameryce, a sekretarz Gadon zdał sprawę z bieżących czynności Towarzystwa.

Nie bez przyczyny wydała mi się potrzeba zanotować te kilka słów, które powiedziałem na tym posiedzeniu Towarzystwa. Zaraz ktoś był z tych, co się nie znajdowali na nim, a tylko z domysłów czy nieprzyjaźni ku księciu domyślali się, co mogło zajść w tym przyjęciu mnie w Towarzystwie, donieśli do Petersburga, że ja wciągnięty już jestem do politycznych działań i zamiarów Czartoryskiego i otaczających go emigrantów. Jakiś Muraszko wypalił długi artykuł do „Moskiewskich Wiadomości" — i powtórzyły go inne pisma petersburskie — oskarżający mnie o widoki polityczne i ostrzegający, aby mnie nie puszczano do kraju i miano się na ostrożności. Do tego było domieszane niemało obelg osobistych ku mnie; a pierwej jeszcze — usłużna zawsze na takie zdarzenia — „Indépendance Belge" pisała, jakobym prosił, a cesarz mi przebaczył, i ostrzegała cesarza, aby nie był tak pobłażliwym[24]. Te i tym podobne kłamstwa i podszczuwania prasy francuskiej, która jak zazwyczaj prześciga w złości, kiedy jej zapłacą, to, czego by się powstydziła dopuścić prasa petersburska i moskiewska, miały na

---

[23] Reminiscencja z Kochanowskiego (*Pieśni*, ks. I, pieśń XIX „Sława jedna zostaje po człowieku"):

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże!

[24] Muraszko-Litwin, *Torżestwiennaja wstriecza Polakami bywszago „filareta" Ignatija Domeyki*, „Moskowskije Wiedomosti", Moskwa 1884, nr 310, 8 nojabria; *Nouvelles des Russie*, „Indépendance Belge", 1884, nr 247, 5 sept.

celu z jednej strony pokłócić mnie z emigracją, a z drugiej strony, nastawić na mnie i zaostrzyć policją, gdy się pokażę w kraju.

Nadchodziła potem rocznica śmierci Adama Mickiewicza, 26 listopada[b]. Towarzystwo dawnych uczniów Szkoły Polskiej Batignolskiej, złożone z synów pierwszej starej emigracji (1831 r.) porodzonych we Francji, postanowiło obchodzić tę rocznicę najsolenniej. Cel główny tego Towarzystwa jak i Literackiego nie jest już polityczny, bo cóż by miały w tym celu robić one w dzisiejszym stanie polityki europejskiej? Cel jest narodowy i braterski, to jest historia, literatura polska, widzenie się od czasu do czasu, pociecha za krajem. Synowie emigrantów pobierali nauki w dawnej Szkole Polskiej w Batignoles, pod opieką Zamoyskiego[25], Gałęzowskiego, Czartoryskich; wspierana przez Bonapartych, była na równej stopie z najwyższymi kolegiami rządowymi w Paryżu, ale wyjąwszy naukę języka i literatury polskiej uczono po francusku. Wyszło z tej szkoły wielu dobrze przysposobionych do pobierania wyższych nauk w szkołach technicznych. Dziś już liczymy wielu między nimi dobrych inżynierów, matematyków, profesorów w najpierwszych liceach francuskich. Mało z nich jednak kto mówi po polsku, niektórzy prawie zapomnieli ojczystego języka, gdyż i matki ich były Francuzki. Są to już poniekąd Francuzi, ale z sercem polskim i nie zapominają o wychodźstwie ojców swoich.

Prezesem towarzystw tych byłych uczniów Szkoły Batignolskiej, która dziś podupadła, zubożała i tylko za przygotowawczą uważa się, jest Gasztowtt, profesor w jednym z przedniejszych liceów literatury starożytnej, człowiek wielkich zdolności, władający tak dobrze polskim, jak i francuskim językiem, dobry pisarz, dobry Polak, jak gdyby dziś przybyły z Polski, choć urodzony i wychowany w Paryżu. Ojciec jego[26] był niepospolitych zalet i nauki, dobry Żmujdzin, dobry Polak, Bóg go pobłogosławił w synie.

Zacny ten rodak Gasztowtt w imieniu Towarzystwa nalega na mnie, abym na tym obchodzie rocznicy śmierci Mickiewicza przewodniczył i przemówił jako przyjaciel od najmłodszych lat poety i ostatni z filomatów na Uniwersytecie Wileńskim. Inni też Polacy wymagali po mnie tej samej usługi, sądząc, że to może zachęcić naszą Polonią paryską do

---

[b] W autogr. pomyłkowo: 23 listopada.

[25] Zapewne Władysław Zamoyski (1803—1868), generał i polityk, w powstaniu listopadowym pułkownik, na emigracji czynny działacz obozu monarchistycznego.

[26] Gasztowtt Maurycy (1809—1878), lekarz, uczeń prawa Uniwersytetu Wileńskiego, uczestnik powstania 1830/31 na Żmudzi, na emigracji we Francji zdobył stopień doktora medycyny i, od roku 1840 poświęcił się praktyce lekarskiej, zmieniając kilkakrotnie miejsce pobytu.

zebrania się w większej liczbie na rzeczony obchód i przynieść jaki dochód na pomnik Mickiewicza.

Roztropność radziła mi odmówić. Mając bowiem postanowienie wracać na Litwę, wiedziałem, że jeżeli obecność moja w nielicznym gronie członków Towarzystwa Literackiego zwróciła na siebie uwagę szpiegów rosyjskich, przewodnictwo na zebraniu patriotycznym byłych uczniów batignolskich, do którego wolne było za płatnymi biletami wejście dla publiczności, dałoby powód do gorszych podejrzeń i oskarżeń ze strony rządu, utrudniłoby powrót mój do domu zięcia, naraziłoby go i mnie na niedobre skutki.

Ale jakże odmówić? Naleganie ziomków zwyciężyło. Byłem serdecznie przyjęty, sala była świetnie przyrządzona, ukazało się liczne towarzystwo Polek i Polaków, co tylko zostawało z późniejszych emigracji i niejeden brodaty siwiec z pierwszej. Silnie wzruszyło mię, po upływie pięćdziesiątletnim, obaczyć pierwszy raz nasze wychodźcze zgromadzenie; przypomniało to mi wiek młody, kiedym na Taranie towarzyszył i raz przewodniczył wzburzonym, gwarliwym, namiętnym zebraniem kłótliwej, świeżo po wojnie przybyłej do Paryża Polonii. Dziś tak ciche, rozsądne, grzeczne to nowe pokolenie wydało mi się smutniejsze, lepiej ubrane.

Tłumiąc — o ile mogłem — wzruszenie, miarkując słowa, tak przemówiłem:

Smutny to dzień dla nas — rocznica śmierci Mickiewicza, ale Rodacy, on żyje i żyć będzie na wieki w życiu naszego narodu; żyje w sercach naszych i dlatego tak ochotnie zeszliście się, aby wychodźczym datkiem przyczynić się do wzniesienia pomnika mającego uwiecznić imię naszego poety w starej Jagiellońskiej Stolicy, tak jak on uwiecznił naszą narodową poezję.

On to, w pierwszym polocie natchnienia, *Odą do młodości* zagrzał serca i umysły na rodzinnej ziemi, a w końcu, na obcej, wieszczym duchem odgadłszy, co nam jest potrzebne, w *Panu Tadeuszu* jak w najczystszym źwierciedle dał odbity obraz przyrody kraju naszego i społecznego życia na to — na to, Rodacy — abyśmy kochali kraj nasz, jak on go kochał, i miłe, droższe nad wszystko były żyzne pola nasze, piękne doliny Wisły i Niemnowe, lasy i zielone gaje, sioła nasze robocze i stare siedziby dziadów, prapradziadów naszych, a w nich życie proste, gościnne, bogobojne, rządne i pracowite, stokroć rozkoszniejsze od jakiego nie bądź nawału stołecznych powabów w najbogatszych krajach, od jałowego na wojażach życia.

Ależ, Panowie, umiemż to oceniać w duchu i formie piękne, wzniosłe pomysły wielkiego poety, a mego od najmłodszych lat towarzysza i przyjaciela? Wiadomo Wam, że nie uczyć się krasomówstwa opuściłem rolę i spokojne Zapole, i gdzieś tam na śnieżnych grzbietach Kordylierów był, kto by mię nauczył pięknej wymowy na uwielbienie dziś Mickiewicza! Ni wiek, ni uczoność po temu.

Wam to i młodemu pokoleniu zostawiam uczyć się kochać go, uwielbiać należycie, nie zapominając ojczystej mowy, kształcąc ją i strzegąc od obcych

naleciałości, uprawiając starannie, w Wierze i Miłości, tę bogatą niwę, na której wieszcz nasz zdobył wiekopomną sławę i wdzięczność narodu, a przekładając — w opłakanym stanie dziś stan naszego kraju — wszelką sumienną zasługę dla narodu nad wziętość i znaczenie, i dobry byt u obcych.

Resztę, resztę zachowajmy na dzień i godzinę łaskawszego Nieba.

Po moim przemówieniu młodzi członkowie tego Towarzystwa dawnych uczniów szkoły, w ubiorach historycznych, przedstawili ucztę z *Wallenroda*, w której ten, co grał rolę Wajdeloty, odznaczał się wyborną deklamacją; potem młoda córka jednego naszego emigranta z niepospolitym talentem odegrała na fortepianie jedną z cennych kompozycji Chopina, po niej odczytano wiersz nieobecnej pani Duchińskiej[27], przy końcu zaś młody Jełowicki wybornie deklamował ustęp o Domeyce i Dowejce z *Pana Tadeusza*.

Obchodzono jeszcze w tymże miesiącu listopadzie (29) rocznicę powstania naszego z 1831 [roku]; ale jakże ten obchód był niepodobny do owych namiętnych, hałaśliwych, zapalczywych obchodów z pierwszych lat emigracji, w których i ja czynny udział brałem, a kiedy niezgody, waśnie, oszczerstwa brały górę.

Teraz, w kościele Assomption, o. Witkowski, misjonarz z zawiązanego w owych czasach zakonu zmartwychwstańców, miał mszę, kościół był napełniony, śpiewano »Boże coś Polskę« i suplikacje. Między młodszym, spokojnym pokoleniem przeświecało ze dwadzieście osiwiałych głów, białego włosu, były i staruszki, starce do ziemi nisko pochyleni, przyszło grono małych chłopców z Batignolskiej Szkoły; brodaty Bohdan i doktor Szwejkowski, i niektóre z Polek przystąpili do Komunii. Po mszy uściskali się wszyscy, nie rozdzielając się na partie, i rozeszli się cicho, spokojnie. Wieczorem, za staraniem też dawnych uczniów Szkoły Batignolskiej*, było zebranie, na którym stary wiarus** w dorzecznej mowie przypomniał, bez żółci, choć z bólem serca i nieco z przekąsem, na Skrzyneckiego wypadki wojenne z 1831 roku, a Gasztowtt miał dłuższe przemówienie o narodowym ruchu, bez obelg, bez liberalnych uniesień.

Niewiele mam do powiedzenia o stosunkach moich z Francuzami. W ogólności znalazłem ich tak obojętnymi na stan dzisiejszy naszego kraju, tak mało obeznanymi z jego położeniem, że nie nader przyjemne

---

* Czy też Rady Czytelni Polskiej.

** P. Kanut Gorkowski, kapitan artylerii w armii polskiej. [Urodzony w 1810 r., zmarł w 1898 roku.]

[27] Seweryna z Żochowskich Duchińska, 1° voto Pruszakowa (1825—1905), poetka i powieściopisarka, także autorka rozpraw literackich. Zmarła w Paryżu.

było dla mnie ich towarzystwo. Kiedym jednemu z uczonych przekładał, o ile naród nasz cierpi, jak usiłują państwa ościenne przytłumić w nas miłość Ojczyzny, prześladują religią, język, szkołę, przerwał rozmowę w tych słowach: „Je suis, je suis que vous etier toujours mal avec les Hongrois"[28].

W Szkole Górniczej, gdzie pobierałem nauki przed moim wyjazdem do Ameryki, wielkie zmiany znalazłem. Dom na większą skalę rozporządzony, laboratoria przepyszne, gabinet mineralogiczny, do którego przez 40 lat posyłałem w darze wielkiej wartości okazy, bardzo obszerny i bogaty, dodano kursy przygotowawcze; ale dawni profesorowie moi poumierali, jeden tylko z dawnych czasów, bardzo znakomity uczony geolog Daubrée, dawny mój kolega i wielce dla mnie przyjazny, pozostał był przy dyrekcji szkoły, a i ten się usunął.

Ten zacny pan Daubrée, ułatwił memu synowi wejście do Szkoły Min, a i mnie usiłował raz jeszcze zrobić członkiem Akademii Nauk. Nie szczędził ku temu zabiegów. Pomagali mu stuletni Chevreul, Des Cloizeaux[29] i inni członkowie mianowicie z sekcji mineralogicznej. Daubrée wyliczał długi szereg rozpraw moich i komunikatów umieszczanych przez 40 z górą lat w „Annales des Mines" i nowo przeze mnie odkrytych minerałów, był pewien przyrzeczonych za mną głosów. Postawiono przeciw mnie Anglika, za którym były sekcje geograficzna, medyczna i wiele ubocznych wstawień się z politycznego świata. Ja tylko odwiedziłem sędziwego Chevreula, aby podziękować mu za jego życzliwość dla mnie. Gdy przyszło do wotowania, osiemnaście wotów ukazało się za mną, większość otrzymał Anglik.

Zafrasowany tym Daubrée, który — rzecz nadzwyczajna w Akademii — po drugi raz t e g o ż s a m e g o r o k u obstawał za moją kandydaturą, mówił mi, jakby uniewinniając stronników mego przeciwnika, że wotowali za nim szczególnie dlatego, iż Akademia tą razą nie posiadała ani jednego korespondenta Anglika. Na to mu, najszczerzej dziękując za jego starania i życzliwość, zrobiłem uwagę, że dotąd od założenia Akademii nie było w niej jeszcze Polaka.

Nie mogę zapomnieć przyjęcia mego u pana Chevreula. Był to dzień mroźny. Ogród Botaniczny, w którym ten uczony prawie od początku tego wieku, blisko Gobelinów[30] mieszkał, był cały śniegiem pokryty.

---

[28] „Wiem, wiem, że pan zawsze był niechętny Węgrom".

[29] Alfred Louis Oliver Des Cloizeaux (1817—1897), mineralog francuski, profesor w Muzeum Historii Naturalnej, członek l'Académie des Sciences od roku 1869. Ogłosił ogromną liczbę rozpraw z dziedziny mineralogii. W autogr.: Decloiseau.

[30] Mowa o fabryce gobelinów (Manufacture Nationale des Gobelins), istniejącej, od XV wieku pierwotnie jako własność słynnego francuskiego farbiarza wełny Gillesa Gobelin (stąd nazwa), później (od 1667 r.) własność rządowa.

U wejścia służąca staruszka, może jedyna, chciała mnie zaraz uprzejmie zaprowadzić do gabinetu swego pana, mówiąc, że nikomu nie odmawia przyjęcia. Uprzedziłem go jednak kartką wizytową.

Przeszedłszy przez niewielki, skromnie umeblowany przedpokój, wszedłem do małego pokoiku, gdzie przy stoliku, na którym miał coś do pisania, siedział starzec starannie ubrany jak do przyjęcia gości, tuż przy nim na kominku paliły się drewka, które zapewne sam układał; duża, dobrze sformowana głowa, twarz nieco szeroka, rumiana, oczy błękitne, wargi niezbyt wąskie, wyraziste, włosów niemało, całe wejrzenie niepospolite, szlachetne, uprzejme; grzeczność dawna francuska; tak mi się odmalował na pierwsze wejrzenie Chevreul.

Podniósł się powoli z krzesła i uścisnął mi po przyjacielsku rękę. Po krótkim przywitaniu kiedym mu powiedział, że będąc jeszcze bardzo młodym na Uniwersytecie Wileńskim już znałem jego odkrycia i pisma i jego imię jest bardzo poważane w obu Amerykach, „Och! je sais — przerywając mi powiedział — je sais que vous y avait introduit la chemie français"[31], co się odnosi do tego, że Chevreul jest przeciwnikiem nowej atomicznej teorii, którą nazywa chemią niemiecką, a wiedział może od Daubréego, że i ja nie jestem jej zwolennikiem. Potem, kiedym się zadziwiał, że można być jak Chevreul przez 60 lat z górą profesorem, rzekł: „et cependant, j'ai eu et j'ai des malveuillants — je recoit encore les mêmes appointements qu'on m'accorda en 1824"[32] (kiedym był jeszcze zaledwo opuścił Uniwersytet Wileński). Opowiadał mi potem o owym czasie, kiedy już był zastępcą Guyton de Morveau[33], tworzyciela nomenklatury chemicznej, jak mu był nieprzyjazny rząd Napoleona, o którym wspomniał niędobrze i nie był też jego wielbicielem ni stronnikiem, a potem Restauracja oddała mu słuszność i potwierdziła na członka Instytutu. Należał on zawsze do partii zachowawczej. Mówił mi potem o dwóch synach swoich i o wnuku, który się ożenił z bardzo szacowną damą z familii znanej z pobożności i świętego życia pani de Chantal. Wtem przerwała rozmowę poważna dama, żona wybranego w tych dniach na członka Sekcji Rolniczej Instytutu, p. Reiset. Wstał z krzesła i przyjął ją Chevreul z dworską grzecznością francuską. Ona mu dziękowała za protekcją u członków Akademii, którzy po wie-

---

[31] „Och! tak, wiem, wiem, że pan wprowadził tu chemię francuską".

[32] „a tymczasem miałem i mam niechętnych, otrzymuję jeszcze to samo wynagrodzenie, które mi przyznano w 1824".

[33] Louis Bernard Guyton de Morveau (1737—1816), prawnik i chemik francuski, autor słownika chemicznego (tom pierwszy 1786); uczestnik rewolucji, członek Komitetu Ocalenia Publicznego, później dyrektor Szkoły Politechnicznej, autor wielu prac ogłaszanych w „Annales de Chimie" i osobno.

lekroć razy byli odrzucili jej męża[34], znanego z odkryć agronomicznych, najniesłuszniej. Tu znowu wszczęła się krótka rozmowa o intrygach; zwrócił ją zręcznie Chevreul ku rodzinie pani Reiset, pytając o zdrowie podeszłego już w wieku jej męża. Dziwnie pięknie, z okrasą dawnej francuskiej delikatności, powiadała, jak była szczęśliwą, jak uczony jej mąż prowadzi życie pracowite i skromne, wstaje zimową nawet porą o szóstej rano na różaniec i zaraz odchodzi do swojej pracowni. Jeszcze nie dokończyła była swego, w pięknym bardzo wysłowieniu, opowiadania pani Reiset, kiedy weszła druga jakaś pani z dwiema urodziwymi, pięknymi córkami. Należały zapewne — jak z ujęcia i układu wnoszę — do wyższego arystokratycznego towarzystwa w Paryżu. Przyjął je z ujmującą powagą i delikatnością Chevreul, jak gdyby był o sześćdziesiąt lat młodszy. Pani Reiset żegnała go, on ją chciał koniecznie odprowadzić na schody, a mróz był do sześciu stopni. Niełatwo go było zatrzymać, a że za długa już była moja wizyta, chciałem natychmiast odejść, on jednak pierwej przedstawił [mnie] owym damom, wyrażając [się]: „Voilà mes dames mr Domeyko qui a enseigner pendant 40 ans la chimie française en Amérique"[35].

Panu Chevreul — jak wiadomo — nie dostawało jeszcze mniej niż jednego roku do ukończenia stu lat życia; byłem o siedmnaście lat młodszy, toć i przecie człowieka znalazłem starszego ode mnie.

Ta jedyna tylko może, godniejsza do zachowania z uczonego świata, pamiątka została mi z teraźniejszego w Paryżu pobytu. Co do Sorbony i Collège de France, niewielem z nich korzystał, choć dla przypomnienia sobie młodszych czasów chodziłem na ich publiczne lekcje. Wielką jednak znalazłem odmianę: W tej sali, gdzie z zajęciem i upodobaniem słuchałem Thenarda i Dumasa, a sala była napełniona młodzieżą, suchy Schützenberger[36] całą godzinę wykładał chemią — jak Chevreul nazywał — niemiecką, na tablicy zapisanej formułkami, kilka małych próbek w rurkach okazał, a nie miał i dwudziestu uczniów, między którymi trzech tylko notowało; były tam i damy, i dwóch księży. Uczony Berthelot[37], twórca termochemii, najznamienitszy dziś z uczonych we

---

[34] Jules de Reisét (1818—1896), uczony francuski, poseł do parlamentu, członek l'Académie des Sciences (1884), odznaczył się swoimi pracami z zakresu chemii rolniczej.

[35] „Oto, moje panie, pan Domeyko, który wykładał przez 40 lat chemię francuską w Ameryce".

[36] Paul Schützenberger (1829—1903), chemik francuski, doktor medycyny, profesor chemii w Mulhouse, potem w Sorbonie, od 1876 r. w Collège de France, członek l'Académie des Sciences (1888), autor wielu prac z zakresu chemii stosowanej. W autogr.: Schitzenberger.

[37] Pierre Eugène Marcelin Berthelot (1827—1907), chemik francuski, odkrywca, profesor Collège de France (od 1865), członek l'Académie des Sciences (od 1873), mi-

Francji, ale bez najmniejszego daru na profesora, cicho, prędko mówiący, schylony, z przymrużonymi oczami, mało i niechętnie okraszający doświadczeniami, nie miał więcej jak szesnastu słuchaczów, z których niektórzy przychodzili i wychodzili podczas lekcji, a były między nimi dwie damy. Wielki ten uczony, cały zapewne zajęty dociekaniami i odkryciami, które co miesiąc nowy plon przynoszą, nie ma czasu ni upodobania w nauczycielstwie, ni przyrodzonego usposobienia ku temu. Któż dziś nie zna zasłużonego w nauce Mascarta[38]? Owoż tęn wielki fizyk i matematyk w sali fizycznej tegoż Collège de France nie miał na początku kursu więcej nad czternastu uczniów, a potem ich liczba do dziesięciu zmniejszyła się, a jednak w sali było wiele cennych przyrządów optycznych i Mascart i jego pomocnik byli wprawieni do najdelikatniejszych doświadczeń. Profesor lubił większą część godziny trawić na formułach i wyższej analizie niedostępnej słuchaczom; jeden z nich tylko notował.

Cóż powiem o starej Sorbonie? W ogromnej sali, tej samej, gdzie Pouillet czarował liczną publiczność wymownym, ozdobnym wykładem i prawie teatralną wystawą świetnych doświadczeń, a trzeba było przyjść wcześnie, żeby znaleźć miejsce, teraz — choć Desains[39], profesor fizyki znany ze swoich odkryć i prac naukowych, ma widać wprawę do nauczycielstwa i nowe przyrządy elektromagnetyczne posługiwały mu do uprzyjemnienia tłumaczeń — zaledwo część sali była zajętą. Jedyny z profesorów nauk ścisłych i doświadczalnych na Sorbonie, zadosyćczyniący powołaniu swemu, był Troost[40]; miał do sta uczniów, a wykładał kurs chemii nie w samej Sorbonie, ale daleko za Ogrodem Luksemburskim.

Czemu ten upadek przypisać? Niejeden z profesorów jest senatorem Rzeczypospolitej; nie można powiedzieć, że nie masz zachęty ze strony liberalnego rządu; profesor[owie] młodzi. Wielu z nich udało się do ministra oświecenia z protestacją i prośbą, aby starszych profesorów emerytował i usunął z miejsc, które zajmują. Młodzież tymcza-

---

nister spraw zagranicznych w latach 1895—1896. Napisał ogromną ilość prac z dziedziny chemii organicznej i termochemii. W autogr.: Berholot.

[38] Eleuthère Elie Nicolas Mascart (1837—1908), fizyk francuski, doktor nauk, od 1871 r. dyrektor Biura Centralnego Meteorologicznego, członek l'Académie des Sciences od 1884 roku i sekretarz jej dożywotni. Jest autorem licznych prac z dziedziny elektryczności w atmosferze i magnetyzmu ziemi.

[39] Quentin Paul Desains (1817—1885), fizyk francuski, profesor Uniwersytetu w Paryżu, członek l'Académie des Sciences od 1873 r. Wybitne jego prace dotyczą teorii cieplnej. W autogr.: Dessain.

[40] Louis Joseph Troost (1825—1911), chemik francuski, doktor nauk (1857), pracował najpierw na prowincji, później otrzymał katedrę chemii w uczelniach paryskich, członek l'Académie des Sciences od r. 1884. W autogr.: Trost.

sem w większej liczbie niż dawniej wchodzi do szkół specjalnych, żywi się w nich owym brotstudium[41], by się przysposobić do owej walki o byt.

Na dobro dla kraju naszego znacznie się dziś umniejszyło towarzystwo zamożniejszych rodzin naszych w Paryżu. Z tych, gdzie miłe przyjęcie znalazłem, winienem wymienić: hr. Działyńską, całą zajętą dobroczynną opieką nad szkołą dziewcząt, córek emigrantów naszych, i opieką nad ubogimi; hr. Pusłowską[42], bardzo pobożną i dobroczynną; znałem ją malutką, kiedy do Szczuczyna, gdzie byłem w szkołach pijarskich, przywoziła ją pani Scipionowa[43], jej babka; panią Kamińską z Potockich, wdowę po pułkowniku, wielkim patriocie i przyjacielu Adama; panią z Wołowskich Chasen[?][44], wdowę po ministrze interesów zewnętrznych za Ludwika Filipa, i państwa Władysławów Mickiewiczów, dzieci Adama, których dom był zawsze otwarty dla wszystkich Polaków.

Najboleśniejszy wypadek spotkał mię zaraz po Nowym Roku; trzeciego stycznia odbieram od Odyńca list, w którym skarży się, [że] z przyczyny jakiegoś tam wesela, któremu towarzyszył, przeziębił się i każą mu lekarze pilnować łóżka, ósmego odpisałem nieco żartując z jego choroby, piętnastego odbieram telegraf od jego córki, że umarł. Chciałem natychmiast jechać do Warszawy. Niepewien, czy mię przepuszczą przez granicę, wysłałem natychmiast syna, aby mię tam zastąpił, a zaraz nazajutrz w imieniu moim i Bohdana Zaleskiego rozesłałem do wszystkich Polaków, o których wiedziałem, że byli w Paryżu, [pisma] wzywając[e] na obchód żałobny, który tego dnia co i w Warszawie pogrzeb odbył się w Assomption przy udziale dosyć licznie zebranych rodaków.

Był to dla mnie cios okropny. W kilka dni odbieram wiadomość o śmierci Turskiego, z którym i z Odyńcem przepędziliśmy kilka dni wesoło w sierpniu w Zyburtowszczyźnie u moich dzieci. Otoż z trzech najbliższych mi i tegoż prawie co ja wieku jedynych towarzyszy młodości, których znalazłem po przyjeździe z Ameryki, dwóch już prawie jedno-

---

[41] Brotstudium (niem.) — nauka dla chleba.

[42] Julia z Druckich Lubeckich Pusłowska, córka księcia Franciszka Ksawerego (1778—1846), ministra skarbu Królestwa Polskiego, i Marii ze Scipionów de Campo, zmarłej w Paryżu w 1876 r.

[43] Teresa z Druckich Lubeckich Scipionowa, żona Józefa Scipiona de Campo, starosty lidzkiego.

[44] Mowa o Aleksandrynie z Wołowskich Faucher (1812—1905), córce Franciszka (1786—1844), wdowie po Leonie Faucher (1804—1854), francuskim dziennikarzu, ekonomiście i polityku, ministrze prac publicznych (1848), ministrze spraw wewnętrznych (1851).

cześnie umarło — został mi tylko Bohdan rówieśnik, a i ten ociemniały, muszą go prowadzić pod ręce.

Smutek mię wielki ogarnął, tak wielkiego już od dawna nie doznałem był od wielu lat upłynionych. Nim jednak i na mnie przyjdzie kolej lub ociemnieję, trzeba ziścić to, co było zawsze moją ulubioną myślą — pojechać do Rzymu.

Syn mój Hernan był jeszcze na Litwie, dokąd po pogrzebie Odyńca był pojechał. Czekając na jego powrót i na pogodniejszy czas, bo zimno i słoty nie przestawały dokuczać, zatrzymałem się przez cały luty w Paryżu. Wyjechałem z synem 9 marca na Turyn i Genuę, nocnym pociągiem.

T O M P I Ą T Y

RZYM - JEROZOLIMA - POWRÓT

C Z Ę Ś Ć D R U G A

I. Rzym

Z PARYŻA DO RZYMU. — POSŁUCHANIE U PAPIEŻA I DWÓCH KARDYNAŁÓW. — OBEJRZENIE POMNIKÓW CESARSTWA. — KATAKUMBY I BAZYLIKI. — TRZY EPOKI. — NEAPOL

1885, w marcu. Przez cały mój długi pobyt w Ameryce, co mi zawsze silniej na powrót do Starego Lądu ciągnęło, to Rzym i z Rzymu do — Ziemi Świętej. Dziś Bóg mi pozwala ziścić i zaspokoić tę moją żądzę i postanowienie.

W dobrych marzeniach przeszła mi nocna podróż z Paryża do podnóża Alp, o samym wschodzie słońca powitała mnie sabaudzka wiosna i nader ożywiła. Nie uszło godziny, kiedy wpędzony do wnętrza olbrzymiej Mont Cenis przerzynałem tę górę wielkim na [[a]] kilo[metró]w tunelem. Rok ledwo upływa, jak nie w tej ciemności, lecz szeroką szparą pod otwartym niebem, po Magellańskiej Cieśninie, przerzynałem Andy. W epoce wysilenia nauk i wynalazków żadne dziś pasmo, choćby najpotężniejszych gór, nie zastąpi drogi człowiekowi.

Z czarnej pieczary tunelu wbiega nasz pociąg między pokryte śniegami wyżyny i wnet omija prześliczne widoki na południowe skłonie alpejskie, schodzi na usłane winnicami doliny i zatrzymuje się o zachodzie słońca w Genui. Tu nas przez jeden dzień zatrzymuje zawalenie się skały na kolei pod Spezią.

Godne uszanowania są ślady i zabytki upokorzonej twojej potęgi, stolico groźnej niegdyś na morzu rzeczypospolitej, kolebko Kolumba! Obejrzałem tego dnia twój pałac dukalny[1] i zachowaną w nim dotąd senatorską salę z opróżnionym tronem, zwiedziłem przepyszne kościoły twoje, przepełnione rzeźbą z najdroższych marmurów, pozłotą i wielkiej wartości obrazami, świadczące o wierze i zamożności, i dawnej swobodzie twojego ludu; obszedłem i pałace twych patrycjuszów, i z nich najlepiej zachowany — tak jak był przed laty — pałac Dory[2], z którego wspaniały widok rozchodzi się na port i na morze. Przeszłość przyświeca jeszcze dzisiejszemu miastu, po utracie udzielności swojej najbogat-

---

[a] W autogr. wolne miejsce.

[1] dukalny — książęcy.

[2] Andrea Doria (1468—1560), bohater morski z dawnego rodu szlacheckiego w Genui, walczył z Hiszpanami, Francuzami, Turkami, w 1528 r. ustanowił republikę genueńską.

szemu, najruchliwszemu i celującemu z handlu w całym królestwie włoskim.

Z przyczyny wspomnianego oberwania się skały na kolei wiodącej do Rzymu przez Spezią musieliśmy obrócić drogą na Bolonią i Florencją i, nie zatrzymując się w żadnym z miast, nazajutrz po południu dojeżdżamy do Wiecznego Miasta. Podróżowały z nami trzy Irlandki z ojcem swoim. Nagle, około drugiej po południu, rzuciły się do okna z wielkim uniesieniem, gdy się w dali okazała kopuła Św. Piotra. Widok jej przejął mnie też i mojego syna wzruszeniem tak głębokim, żeśmy się od łez wstrzymać nie mogli.

Już w Rzymie jesteśmy. Stanęliśmy w holetu „Minerwa", na placu tuż przy Panteonie i kościele Minerwy. Hotel był pełen pielgrzymów bogatszej klasy, przybyłych na Wielki Tydzień i dni wielkanocne. Począłem nazajutrz od zwiedzenia kościoła Św. Piotra i wysłuchania mszy przy grobie pierwszego z apostołów, któremu Zbawiciel powiedział: „paś owieczki moje". Od samego wejścia olśniony byłem ogromem i świętym urokiem gmachu, którego wnętrze przechodziło w rozmiarach i ozdobie to, com sobie był wyobrażał z opisów i opowiadania.

Klęcząc przy kracie, koło której kilkadziesiąt lamp dniem i nocą płonie czerwonym światłem, nad grobem ubogiego rybaka, nie dosięgałem wzrokiem sklepienia zawieszonej nad nim kopuły środkowej kościoła. I kiedy odszedłszy od owych czterech błyszczących od złota, błękitnych, relikwiami świętych męczenników napełnionych kolumn, ten grób otaczających, począłem oglądać budowę każdej po osobna części kościoła w kształt krzyża ułożonych tudzież poboczne kaplice, z których każda jest wielkim kościołem, niezliczone posągi i malowidła, nie było miary ni końca memu podziwieniu. Oddałem cześć należną Bogu za to ludzkie dzieło wiarą poczęte i dokonane i odszedłem upojony rozkoszą na umyśle i w sercu.

Tegoż dnia nad wieczór pierwszy raz przeszedłem po Forum Romanum i widziałem Coliseo[3]. Silnych doznałem wrażeń, z których tą razą nie mogłem zdać sobie sprawy. Postanowiłem tylko odtąd codziennie zwiedzać powoli pomniki i zabytki historyczne przy pomocy którego z lepszych opisów Rzymu i z odświeżaniem w pamięci historii upadku państwa Cezarów.

Jedna z najpierwszych moich wycieczek była do katakumb Św. Sebastiana, bo kogoż przybyłego do Rzymu nie weźmie przede wszystkim pobożna myśl i ochota odwiedzić te lochy podziemne, święty spoczynek

[3] Coliseo (włos.), Colosseum, Koloseum, amfiteatr wzniesiony przez Tytusa, mieszczący 82 tysiące widzów.

pierwszych męczenników Kościoła, jego kolebkę. Mieliśmy z moim synem za przewodnika młodego księdza, rodaka, wielce pobożnego, w kościele zaś Św. Sebastiana znaleźliśmy, przybyłych w tymże co i my celu, dwóch polskich pielgrzymów, jedną obywatelkę z mężem swoim z Krakowski[ego] i dwie mniszki z Galicji[4]. Zeszliśmy wszyscy naprzód do podziemnej kaplicy, w której zbudowany jest ołtarz na miejscu, skąd wydobyto ciało św. Piotra; widać jeszcze pod ołtarzem dół, w którym to ciało znaleziono. Przy tym ołtarzu odmówił mszę nasz rodak, mniszki przyjęły Przenajświętszy Sakrament i weszliśmy do katakumb. Są to ciasne, niskie, kręte, w gliniasto-wapiennej skale wydrążone kurytarze, które się rozgałęziają i nie wiadomo, jak daleko w głąb zachodzą. Po obu stronach pozostały na ścianach litery i znaki męczeństwa, miejscami wydrążenia, z których wyjęte zostały relikwie. Gdzieniegdzie pozostały małe gliniane lampeczki, w których zapewne palono olej. Widać tam i wydrążenia niewielkich objętości, w których były złożone ciała umęczonych dzieci i nie dorosłych do młodocianego wieku pierwszych chrześcijan.

Niepodobna opisać bojaźni, czci i pobożnego rozrzewnienia, jakiego się doświadcza chodząc po tym podziemnym świecie, przy słabym oświetleniu i ciągłym modleniu się mnichów, którzy ze świecami nas oprowadzali, nie dozwalając nam oderwać i unieść na pamiątkę cząsteczki ziemi z tych świętych grobowców, tak ubogich, ukrytych, że patrząc na nie któremuż by z możnych panów i książąt dzisiejszego wieku powstała chęć do wspaniałych pomników po śmierci. Gdy się pomyśli, że z tych ciemnych, ubożuchnych lochów wyszedł tryumf Kościoła i nowy porządek z upadkiem Cezarów potęgi, to się zdaje patrzeć na ów żłobek betlejemski, z którego wyszło światło i zbawienie dla rodu ludzkiego.

Nadchodził Tydzień Wielki i święto Zmartwychwstania; gromady pielgrzymów cisnęły się do Rzymu. W Kwietną Niedzielę byłem na nabożeństwie w kościele Św. Klaudiusza u naszych ojców zmartwychwstańców i na kazaniu generała tego zakonu, ojca Semenenki, mego z lat emigranckich (1832—1838) kolegi i od serca przyjaciela. Nie miał on lat dwudziestu, kiedyśmy się poznali; był to piękny, urodziwy młodzieniec, wojak, zapaleniec, rumianej twarzy i ognistych oczu. Dziś ciężki, otyły, schorzały, uczony, poważny teolog; młodość mu tylko w oczach i na kazalnicy, w pełnym zapału wyrazie twarzy, została. Znalazłem jeszcze przy życiu w tym klasztorze mego rówieśnika o. Hubego, już z ciężkością suwającego nogami. Dwóch tylko ich żyło z grona tych

[4] Według listu Domeyki do J. B. Zaleskiego (z Rzymu 1 IV 1885) były to „panny Skrzyńska i Białecka".

pierwszych do duchownego życia nawróconych w naszej emigracji, których jeszcze nie wyświęconych byłem pożegnał wyjeżdżając do Ameryki a którzy potem byli założycielami nowego zakonu zmartwychwstańców.

Rzecz naturalna, że będąc w Rzymie obrałem dla siebie kościół Św. Piotra do odbycia nabożeństwa, które świat katolicki poświęca na uczczenie męki i śmierci Zbawiciela w ostatnie dni Wielkiego Tygodnia. Ceremonie nie miały dawnego blasku i wspaniałości, Kościół albowiem był w żałobie od czasu, w którym odebrano papieżowi Rzym. Jego Świątobliwość odprawia nabożeństwo prywatnie w swojej kaplicy, w świątyni zaś Piotra wszystkie ceremonie kościelne mają tylko miejsce w pobocznej wielkiej kaplicy pod przewodnictwem jednego z kardynałów, w tym samym porządku co na całym świecie katolickim.

Któż kiedy nie słyszał od przyjeżdżających z Rzymu o wieczornym nabożeństwie w Wielki Czwartek u Św. Piotra. Cała kaplica napełniona ludem ze wszystkich narodów, a liczniejszy zbiór pobożnych stał przy drzwiach kaplicy w kościele. Wiele kardynałów i cała kapituła watykańska bierze udział w psalmach i proroczych żalach, dobrana muzyka chóralna na galerii. Kiedy śpiewano lamentacje i owe »Jeruzalem, convertere ad Dominum Deum tuum«[5], cichość była zupełna i żal zdawał się być powszechny, jak gdyby to było nawoływanie proroka do niewdzięcznego Rzymu i niewdzięcznych państw katolickich, aby się nawróciły. A dopieroż kiedy pogaszono światła i w ciemnej kaplicy chór śpiewaków, bez wtórowania muzyki instrumentalnej, począł śpiewać »Miserere«, byłby bez duszy, kto by w tym momencie nie uczuł głębokiego żalu, skruchy i wiary w miłosierdzie Boże.

Po odśpiewaniu »Miserere« nastąpiła procesja i było już po dziewiątej w nocy, kiedy zahuczał jakby grzmot [w] kopule ponad wielkim ołtarzem, cały lud zgromadzony naokoło grobu św. Piotra upadł na kolana, a na jednej z czterech galerii najbliższych ołtarza ukazał się kapłan ze świętą relikwią korony, którą ukoronowany był nasz Zbawiciel, i przeżegnawszy nią wiernych ukazał z tejże galerii, przy powtórnym huku takim jak poprzedni, chustkę św. Weroniki z wizerunkiem twarzy Syna Bożego, a na koniec, po trzeci raz to samo uczynił z relikwią Świętego Krzyża Jezusowego. Lud klęczał, korzył się do ziemi, modlił się, a około dziesiątej w nocy począł się rozchodzić.

Wracając tej godziny do „Minerwy", zatrzymałem się przy monumentach w pięciu kościołach po drodze i we wszystkich znalazłem wielki ruch i pobożność wszelkiego stanu i powołanie mężczyzn i kobiet obchodzących groby rzęsiście oświecone.

---

[5] „Jerozolimo, zwróć się do Pana Boga swojego".

W Wielki Piątek byłem na wieczornym nabożeństwie w bazylice Św. Jana Laterańskiego, a na godzinę pierwej w bliskim od tej bazyliki kościołku brałem udział w obrzędzie, jaki tego dnia pobożni rzymianie wykonywają wchodząc na klęczkach po kamiennych schodach (scala), które według wiernego podania były przyniesione z Jeruzalem i pochodzą z domu Piłata.

Na pierwszy dzień świąt Zmartwychwstania Pańskiego po rannej mszy w Kościele Św. Klaudiusza poszedłem z ojcem Semenenko i synem oddać cześć winną i złożyć życzenia kardynałowi Ledóchowskiemu[6]. Przyjął nas najuprzejmiej w swoim gabinecie. Ujmująca to i wspaniała postać, średniej urody, nieco blady i chudy, ale zdrowego wejrzenia, wygląda jakby na mającego zaledwo lat pięćdziesiąt, mówi powoli, z cicha, znać, że wiele ucierpiał w swoim świątobliwym życiu. Z ożywionym wzrokiem wspomniał o swym pobycie w Południowej Ameryce, kiedy sprawował urząd nuncjusza przy Rządzie Rzeczypospolitej Kolumbijskiej w Santa Fe de Bogota, i czysto, bez cudzoziemczego akcentu przemówił po hiszpańsku do mojego syna. Zasmucił się i zamilkł, gdyśmy o Polsce i prześladowaniu w niej Kościoła wspomnieli. Przerwał rozmowę sekretarz kardynała, monsenieur[7] Monczyński, uwiadamiając, że w salonie czeka wiele rodzin polskich na posłuchanie. Wstał natychmiast kardynał i weszliśmy za nim do obszernej sali, gdzieśmy znaleźli księcia Macieja Radziwiłła[8], jego brata księcia Dominika z młodą żoną Amerykanką[9], hr. Platera z córką i zięciem hr. Malatesta[10], hr. And[rzeja] Zamoyskiego[11] i panią Ki[e]niewiczową[12]. Z wesołą uprzejmością przyjmo-

---

[6] Mieczysław Ledóchowski (1882—1902), ksiądz, kardynał; więziony w latach 1874—1876 przez rząd pruski i skazany na wygnanie z arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego, które piastował od roku 1866, przybył do Rzymu i stąd zarządzał archidiecezją gnieźnieńską, pełniąc przy tym inne obowiązki, wkrótce mianowany kardynałem.

[7] monsignore (monsenier) — tytuł prałatów.

[8] Maciej Józef Radziwiłł (1842—1907), syn Konstantego Mikołaja, właściciel dóbr Połoneczka, szambelan cesarski rosyjski (1884), ożeniony (Rzym 1867) z Marią Jadwigą hr. Krasińską.

[9] Dominik Ignacy Radziwiłł (ur. 1852), właściciel dóbr Balice, pow. krakowski, jego żona, zaślubiona w Paryżu 1881, Dolores Maria d'Agramonte, primo voto Fernandès, Hiszpanka, urodzona w Barcelonie (nie Amerykanka, jak pisze Domeyko).

[10] Stanisław Kostka hr. Plater (1823—1890), major, inżynier, kurator gimnazjum dynaburskiego, ożeniony (1852) z Marią Teresą hr. Borchówną (1837—1875), córka — Ema (ur. 1863), zaślubiona w 1884 r. w Warszawie Zygmuntowi hr. Malatesta (w autogr. mylnie: Maladetta).

[11] Hr. Andrzej Przemysław Zamoyski (ur. 1852), syn Stanisława (1820—1885), dziedzic Lubowli na Spiżu, zaślubił w Paryżu księżniczkę neapolitańską Marię Karolinę de Bourbon.

[12] Wdowa po koledze Domeyki z Uniwersytetu Wileńskiego.

wał powinszowania kardynał, przemawiał do każdego osobno po polsku, po włosku, po hiszpańsku, a wiadomo, że dokładnie włada francuskim i niemieckim językiem.

Po półgodzinnej rozmowie pożegnaliśmy kard[ynała] Ledóchowskiego i udaliśmy się wszyscy do pałacu kard. Czackiego[13], ale już była minęła godzina przeznaczona do przyjęcia i zostawiliśmy karty wizytowe.

O pierwszej po południu, zaproszony przez ojca Semenenkę, wróciłem do klasztoru oo. zmartwychwstańców na święcone. Było to pierwsze święcone, które spożywałem po pięćdziesięciu sześciu latach ubiegłych od mego wydalenia się z kraju. Tu, przy powszechnym wylaniu się i rzewnym uściśnieniu, przyszła mi do głowy zbawienna myśl prosić ojca Semenenkę, aby mi towarzyszył w pielgrzymce świętej do Jerozolimy. Pomimo wieku i chorobliwego stanu zdrowia, które się widocznie pogarszało, przyjął łaskawie ojciec generał moją prośbę z zastrzeżeniem, że pierwej będzie musiał w miesiącu lipcu — jak już obiecał — powiedzieć pewną liczbę kazań w Krakowie i odłożymy podróż naszą do sierpnia.

Stanęła zgoda i postanowiliśmy wyjednać posłuchanie u Ojca Świętego[14], aby nam pobłogosławił i pozwolił o. Semenence odmówić msze gdzie nie bądź, na lądzie czy na morzu, w ciągu całej pielgrzymki naszej do Jerozolimy i w powrocie.

Wielka to była radość i uszczęśliwienie dla mnie, kiedym otrzymał od ojca Semenenki bilet z oznajmieniem, że w Przewodnią Niedzielę Ojciec Święty udzieli mu i mnie z synem posłuchania o godzinie dwunastej rano. Na pół godziny pierwej już byliśmy u wejścia do Watykanu pod kolumnadą, gdzie stoją na straży żołnierze papiescy.

Niezliczone ustępy schodów marmurowych prowadzą do pokojów Leona XIII. Już na pierwszym piętrze znajdujemy drugą straż żołnierzy przybranych w starożytne ubiory barw pąsowych i żółtych z halabardami. Podobnaż tym i trzecia, z młodych — jak powiadano — Szwajcarów i Rzymian złożona, na wyższym jeszcze piętrze, zapytała nas o bilety do wejścia, po ukazaniu których weszliśmy do ogromnej sali malowidłami na ścianach i na sufitach ozdobionej.

Cały przejęty tą jedyną myślą, że za chwilę upadnę do nóg Namiestnikowi Chrystusa, ani się mogłem wpatrywać dobrze w to, co mnie otaczało, ani dziś tego opisać zdołam. Pamiętam tylko, że weszliśmy potem

---

[13] Włodzimierz Czacki (1835—1888), watykański mąż stanu, kardynał od roku 1882, przedtem nuncjusz papieski we Francji. Pochowany w grobach rodzinnych w Porycku na Wołyniu.

[14] Leon XIII, hr. Gioachino Pecci (1810—1903), papież od roku 1878, wydawca encykliki o kwestii socjalnej *Rerum novarum* (1891).

do obszernego salonu, gdzie nas powitał uprzejmie jakiś dostojnik dworu papieskiego i przy nim była liczna służba w pąsowych, bławatnych sukniach. Otwarły się na koniec podwoje do zielonej sali, przeznaczonej na ogólne przyjęcia, i z niej wprowadzono nas do mniejszej nieco sali, zwanej tronową, w której Ojciec Święty przyjmuje mocarzy, posłów zagranicznych i osoby z rodzin panujących. Ściany tej sali pokryte są czerwonym [a]damaszkiem, nieco podstarzałym, obwiedzione złotymi galonami. W głębi salonu, naprzeciw okien, na małym podniesieniu pod karmazynowym baldachimem stoi tegoż koloru krzesło tronowe. Żadnych tam kosztownych mebli ni ozdób nie widać prócz wielkiego zegara na ścianie i dwóch rzędów krzeseł, z których pierwszego rzędu [krzesła] są tegoż koloru co ściany podstarzałym już [a]damaszkiem ociągnięte, w drugim zaś rzędzie przy ścianie staroświeckiej roboty, drewniane, żółtawo pomalowane.

Tu znaleźliśmy czekające na posłuchanie też same rodziny Radziwiłłów, Platera i Zamoyskich, któreśmy byli spotkali u kardynała Ledóchowskiego, i prócz nich jakąś poważną anglo-amerykańską rodzinę, przynoszącą bogate dary dla papieża, i jednego barona niemieckiego.

Przyjmowali w tej sali gości i z nimi rozmawiali wielcy z książęcych włoskich rodzin szambelani dworu w czarnych frakach, ozdobieni orderami i znakami swego dostojeństwa, u drzwi zaś do pokoju, który wiedzie do prywatnej sali papieskiej, stał na straży, w oficerskim bogatym mundurze, w lśniącym szyszaku, ze szpadą, młody, wysoki, pięknej postawy Rzymianin.

Z gości kobiety miały czarne ubranie i czarne koronkowe, na kształt hiszpańskich, koronki na głowach, mężczyźni we frakach, białych krawatach, książę Maciej miał na szyi insygnia komandorskie św. Jana Jerozolimskiego.

O samej dwunastej wszedł wielki camerero[15] w szkarłatnej sukni, monsignore Macchi, i ukłoniwszy się poprowadził do prywatnej sali Ojca Świętego najprzód rodzinę Radziwiłłów. Posłuchanie trwało ośm minut. Potem, w tymże samym porządku, jak byli przyjechali do Watykanu goście, wprowadzał jednych po drugich do tejże sali Leona XIII camerero i odprowadzał ich do sali tronowej.

Serce już mi gwałtownie biło i z bojaźnią polecałem się Bogu jako niegodny szczodrej łaski, którą na mnie zsyłał. Był moment, który mi się wydał długim, kiedyśmy tylko sami z ojcem generałem zostali. Wchodzi nareszcie po ostatni raz monsignore Macchi, wita serdecznie znajomego mu ojca Semenenkę i prowadzi nas za sobą.

Wchodzimy do małego pokoju, przy którym stał pomieniony oficer, i nie zatrzymując się do salonu, w którym żadnych nie było mebli i ni-

---

[15] cameriere (włos.) — szambelan.

kogo nie było prócz Jego Świątobliwości. Siedział Leon XIII na krześle, mając stopy oparte na małym węzgłowiu. Uklękliśmy najprzód przy wejściu, a powtórnie u stóp Ojca Świętego, ucałowaliśmy prawą jego nogę i pierścień na ręku.

Spojrzał na nas z niebieską słodyczą. W bieli ubrany, jak go malują, blady, z rysów twarzy podobny do tego, jak go na fotografiach i lepszych wizerunkach widzimy, ale któryż artysta, a mniej fotografia, może oddać, wyrazić świętość, miłość, cierpienie za Kościoł, za ludzkość, które się na tej energicznej twarzy malują.

Klęczeliśmy, ja po lewej ręce Ojca Świętego, ojciec Piotr po prawej, a syn mój Hernan między nami pośrodku. Pierwszy z nas przemówił ojciec Piotr po włosku; zdawał sprawę ze stanu, w jakim się znajdował zakon zmartwychwstańców, którego był naczelnikiem (obrany generałem). Leon XIII w krótkich słowach wyraził, ile się cieszy z ich powodzenia, i znowu dał głos ojcu Semenence, który wskazując na mnie przedstawił, że przybywam z Ameryki, z Chile, skąd po czterdziestu sześciu latach nauczycielstwa i rektorstwa w tamecznym uniwersytecie, dochowawszy wiary i pobożności swoich przodków, wracam do rodzinnego kraju i mam postanowienie odbyć pielgrzymkę do Ziemi Świętej.

Spojrzał anielsko na mnie Ojciec Święty i po francusku zapytał mnie, ile mam lat wieku; kiedym mu powiedział, że kończę ośmdziesiąty trzeci rok życia i Bóg mię obdarzył zdrowiem, położył świętą dłoń prawej ręki swojej na moim czole, a lewą swoją ująwszy dłoń moją prawą, trzymał ją może więcej niż przez minutę, wypytując się o gałęzie nauk, którym się poświęcałem, o podróżach moich, o wychowaniu religijnym młodzieży chilijskiej.

Popłynęły obficie łzy z oczu moich. Papież podniósł do góry prawą rękę, ucałowaliśmy powtórnie jego nogę, On nam błogosławił i poświęcił różańce i krzyżyki, które mój syn ukazał Ojcu Świętemu jako przeznaczone dla osób rodziny naszej dwóch światów. W tym momencie raz jeszcze ośmieliłem się przemówić: „Ojcze Święty, racz dać błogosławieństwo nieobecnym tu — córce mojej, zięciowi i synowi młodszemu". „Chętnie" — odpowiedział i po błogosławieniu zapytał: „Dlaczegoż prosisz o błogosławieństwo dla młodszego, combien avez vous d'enfants?"[16] Wtenczas ojciec Piotr spostrzegłszy, że nie przedstawił był Leonowi XIII klęczącego między nami dwoma mego syna, wskazał na niego, mówiąc: „Voila le fils ainé de mr D[omeyko] — i dodał — il a voulu se consacrer a l'etat eclésiastique, mais a cause de maladie qu'il eut il se trouva obligé de sortir du séminaire"[17]. Na te słowa spojrzał z politowaniem na mojego

---

[16] „Ile masz dzieci?"

[17] „Oto starszy syn p. Domeyki — i dodał — chciał poświęcić się stanowi duchownemu, ale z powodu choroby musiał opuścić seminarium".

syna upokorzonego, objął obu rękami jego skronie i modlił się. Był to cudowny moment, który zdecydował o losie mojego syna. Przy odejściu prosił ojciec Piotr o pozwolenie odprawiania mszy w podróży, którą ma zamiar wykonać ze mną i synem moim do Jerozolimy, i to pozwolenie otrzymał.

Piętnaście do dwudziestu minut trwało nasze przyjęcie u Leona XIII, na zawsze zbawienne, pokrzepiające wiek mój podeszły. Na synu też moim zrobiło silniejsze wrażenie, niż sobie wyobrażałem. Przejęci najwyższą czcią i wdzięcznością dla Ojca Świętego, z dziękczynieniem Bogu, przeszliśmy przez salę tronową, w następującej się za nią obszernej sali zielonej znaleźliśmy około dwieście osób czekających na ogólne przyjęcie i błogosławieństwo papieskie.

W drugą po Wielkiej Nocy niedzielę odwiedziłem z synem kardynała Czackiego. Łaskawie przez niego przyjęty, podziwiałem żywość jego i urok, jaki ma dla wszystkich, którzy się do niego zbliżą. Młody, nadobnej twarzy, średniej urody, nie wygląda na tak schorzałego, jak o nim piszą i jak o sobie powiada, że latem i zimą żyje z termometrem, który ma w każdym pokoju, a mieszkanie jego istna cieplarnia, którą opalać latem nawet muszą, gdy się niebo zaniepogodzi. O pewnej tylko po południu godzinie wyjeżdża na powietrze, w rozmowie ma głos dźwięczny, dobitny, mówi płynnie, z łatwością. Podziwiałem jego sąd jasny i trafny o rzeczach politycznych, z których prędko schodził do społecznych, nie trudząc słuchaczy. Widać w nim polor światowy i kardynalską powagę; przebija się wyższość poglądów, a może i siła, i dar rządzenia, których dał dowód czasu swojej nuncjatury w Paryżu, kiedy to — jak sam powiadał — skarżącemu się Grevy'emu[18] na Francuzów, „que c'est un peuple ingouvernable"[19], odpowiedział: „pardonne Exc[ellen]ce, il est gouvernable, mais il faut qu'il soit gouverné"[20]. Odwołany Czacki z nuncjatury, nie zdaje się dziś mieć odpowiedniego wpływu w Radzie Watykanu; zrodzony bardziej na prymasa niż na kardynała, miał umysł stworzony do rządzenia, do czynu, a na nieszczęście ciało — do szpitala.

Kiedy w rozmowie przyszło wspomnieć o Chile, o mojej rodzinie i o chorobie obecnego syna, któremu stan zdrowia nie pozwala wejść, pomimo jego od dziecinnych lat skłonności, do stanu duchownego, począł kardynał szczegółowo opowiadać o sobie, jak pierwszych lat mło-

---

[18] Jules Grevy (1807—1891), adwokat i polityk francuski, w latach 1879—1887 prezydent Francji. W autogr. Grewemu.

[19] „że to jest naród trudny do prowadzenia".

[20] „przepraszam, Ekscelencjo, można go prowadzić, ale trzeba, żeby był prowadzony".

dości wychowany światowo, na wygodach i zabawach, tak potem zachorował, osłabł, że ruszyć się nie mógł, noszono go skurczonego, zbolałego i żadne rady lekarskie skutku nie miały, jak potem powoli przychodził do siebie, uzbrojony cierpliwością i nadzieją w Bogu, i z jaką teraz ostrożnością i sposobem najsurowszym dla siebie utrzymuje życie. Wpatrując się w Hernana dawał mu przepisy, o jakich godzinach spoczywać, o jakich przechadzać się, jakie pokarmy przekładać nad inne, jak się strzec od zimna i wielkiego gorąca. Do tego wzrokiem swoim bystrym i serdecznym zwróconym do mojego syna okazywał, że chce go ożywić, wlać w jego duszę cierpliwość i nadzieję. Wyszliśmy oczarowani dobrocią i uprzejmością kardynała.

Z przyczyny, że mój towarzysz do Ziemi Świętej zmuszony był na kazaniach i posłudze misjonarskiej pozostać przez lipiec i część sierpnia w Krakowie, więcej niż dwa miesiące mogłem jeszcze przepędzić w Rzymie i ten czas postanowiłem obrócić jedynie na zwiedzanie kościołów, pomników starożytnych i muzeów. Bez zamiaru opisywania ich wspomnę tylko o niektórych silniejszych wrażeniach, jakie na mnie one wywarły.

Najmilsza dla mnie część starożytnego Rzymu była ta, która od Kapitolu przez Forum wiedzie do Coliseo. Zwiedzałem ją po wielokrotnie o rozmaitej dnia godzinie, niekiedy i nocą w pełni księżyca. Jakież to przepyszne wejście z dzisiejszego Rzymu po wspaniałych schodach na kapitolińską, jedną z siedmiu, górę, na której stoi posąg wielkiego cesarza ze spiżu „do spokojnego wracającego Kapitolu".

Piękne, szlachetne, łagodne ma czoło,
Na czole błyszczy myśl o szczęściu państwa;
Rękę poważnie wzniósł, jak gdyby wkoło
Miał błogosławić tłum swego poddaństwa,
A drugą rękę opuścił na wodze,
Rumaka swego zapędy ukraca.
Zgadniesz, że mnogi lud tam stał na drodze
. . . .
Koń równym krokiem, równą stąpa drogą,
Zgadniesz, że dojdzie do nieśmiertelności!

(Mickiewicz)[21]

Od tego posągu przewodnik na lewo ukazuje ostatki nie zgruchotanych jeszcze wiekami szczątków muru Kapitolu, po prawej ręce niedaleko Tarpejską Skałę.

Idąc dalej naprzód, któż ze świadomych dziejów rzeczypospolitej nie zatrzyma się ze zdumieniem przy potężnej ścianie owego Tabularium, gdzie był skład pisanych na tablicach praw i postanowień senatorskich.

[21] Adam Mickiewicz, *Pomnik Piotra Wielkiego*, w. 40—46, 55—56 (por. *Dzieła*, t. III, Warszawa 1955, s. 284).

Z tarasu, po którym się schodzi z tej góry na Forum, odkrywa się widok na najliczniejsze i najcelniejsze zabytki starożytnego Rzymu. Tu zaraz wpadają w oko trzy korynckie kolumny najdoskonalszych rozmiarów, jakoby powstałe po świątyni Zgody, i Łuk Tryumfalny Septima Severa, a naprzeciw nich, na wysokim podniesieniu, kolosalne kolumny ze szczątkiem architrawu[22] i gzymsu należące do świątyni, po której została dobrze zachowana podłoga, lecz nie wiadomo dobrze, jakiego bożyszcza. Za tą świątynią na dole obszerny plac bazyliki Julii, miejsce trybunałów, na którym tylko podstawy kolumn zostały nietknięte, a od tej bazyliki oddzielony jest tylko nieszeroką ulicą plac dawnego Forum rzymskiego, plac pusty, nic na nim nie przypomina jego znaczenia. Ulica ta ciągnie się daleko na prost, z lekka podnosi się i dochodzi do Łuku Tytusa, na którego znacznie uszkodzonym bas-reliefie[23], wyrażającym tryumf zdobywcy, widać niewolników Żydów, niosących świecznik ze świątyni Salomona. Tu, po prawej stronie, podnosi się góra. Palatyńskie i olbrzymie rozwaliny pałaców Cezarów, po lewej zaś rozwarte ściany i sklepienia bazyliki Konstantego W.

Na najdalszym końcu tego krajobrazu podnosi się Coliseum i nieco ku stronie przy górze palatyńskiej najwspanialszy z łuków rzymskich, dobrze zachowany Łuk Augusta cesarza.

Ileż tu, na przestrzeni nie przechodzącej wzdłuż dwóch kilometrów, a jednego kilometra na szerokość, widać przedmiotów obudzających żywe przypomnienie dawnej wielkości i potęgi Rzymian. Ileż czasu potrzeba do obejrzenia na palatyńskiej górze świetnych pałaców cezaryzmu, w obrębie których widzimy świetne ruiny świątyń, bazylik, teatrów i wytworne sale, na niektórych freski jakby dziś malowane! Jakież smutne i niemiłe wrażenie sprawują potężne mury od strony Kapitolu, gdzie miał być pałac Caracalla, z którego ten władca ohydły budował wysoko podniesione jakby galerie do Kapitolu.

Znużony wzrok widokiem dziś jeszcze zadziwiających wielkością swoją tych czerepów swobodniej buja, patrząc na zewnątrz i wewnątrz, na Coliseo, największego z monumentów samowoli, okrucieństwa i upadku cesarstwa. Czas zachował na naukę ludzkości i miejsce, na którym lwy i tygrysy z ludźmi, i ludzie z ludźmi na śmierć walczyli na zabawę ludzi, i niezliczone dokoła loże i galerie, z których czterdzieście tysięcy patrzyło na to igrzysko krwawe i okropne.

Naczytawszy się dnia jednego z rana historii cezarów, kiedym według zwyczaju siedział na ulubionym tarasie i wodziłem wzrokiem po tych ruinach od Kapitolu do palatyńskich pałaców i poza łukami Augu-

---

[22] architraw — belka leżąca bezpośrednio na głowicach kolumn.
[23] bas-relief — płaskorzeźba. W autogr.: bareliewie.

sta i Tytusa do Coliseum i bazyliki Konstantyna, wydało mi się, że w istocie — jak to już niejeden z podróżników doświadczył — miałem rozwartą przed sobą księgę upadłego narodu. Zachowaną została w znacznej części, kamiennymi wyłożona płytami, droga, która od pałacu Juliusza Cezara, gdzie jego kolosalne mury schodzą do podnóża Palatynu, wiedzie poza bazylikę Julii do Kapitolu, i druga, która z tegoż pałacu zawraca i łączy się ze wspomnianą wyżej ulicą poza Forum, a dochodzi z drugiej strony, poza więzieniem mamertyńskim, do tegoż Kapitolu; tamtą drogą po ostatni raz w tryumfie niesiony był Cezar wśród okrzyków ludu do Kapitolu i wracał upojony sławą i potęgą do swego pałacu, wkrótce potem w przeciwnym kierunku szedł z tegoż pałacu tenże Cezar drugą ulicą, przez Forum, poza świątynią Zgody, do tegoż Kapitolu i już nie wrócił[24].

Z tegoż tarasu widzi się tuż blisko sterczące kolumny owej świątyni Zgody, gdzie Cycero deklamował swoje filipiki przeciw Antoniuszowi i o mało nie słychać gwaru tysięcy ludu poburzonego, żądającego tylko od swych ciemiężycieli zabaw i chleba.

Drugiego rodzaju nie mniej uczące były moje przechadzki po owym okręgu starożytnego Rzymu, gdzie się znajdują szczątki wspaniałych teatrów Marcellego, Pompeja i mniejsze świątynie poza brzegami Tybru, aż do owej niewielkiej, okrągłej, kolumnami dokoła otoczonej świątyni Wenery, lepiej daleko wyglądającej na rysunkach i opisach malowniczych, niż jest w istocie. Co krok w tej zaniedbanej, o krętych ulicach części miasta napotyka się na reszty i zabytki sztuki. Pobudowane dla przypodobania się i pochlebiania gminowi teatra najgorszego losu doznały. Teatr Pompejusza został dokoła wysokimi domami późniejszych czasów objęty, zduszony, wewnątrz zostało dziś jeszcze miejsce na ujeżdżalnie i sztuki konne. Teatr Marcellego z jednej tylko strony na zewnątrz okazuje, czym był, jaki był styl jego architektury i jego wspaniałość. Dziś na nim u góry powybijane okienka mieszkań rzemieślniczych, u dołu przy ziemi kuźnie i kramki.

Trzecim z porządku przedmiotem mojej ciekawości były sławne termy (kąpiele) rzymskie. Z nich, jedne podziemne, jak wydrążone w górze Celio termy Tytusa, które uważnie zwiedziłem, leżące naprzeciw góry palatyńskiej, od których miały się rozciągać pałacowe zabudowania cesarskie, są dotąd podziwem zwiedzających je, opłacających za wejście podróżników. Daleko w nich rozciągające się galerie, sale i rozmaitej wielkości izby z zachowanymi na ścianach po wielu miejscach malowidłami świadczą o zbytkach, rozpuście, obżarstwie ucztujących tam patrycjuszów, jakby stroniących od dziennego światła.

[24] Został zamordowany w senacie przez spiskowców 15 marca 44 r.

Wspanialsze, okazalsze musiały być termy z późniejszych czasów cesarstwa, jak termy Dioklecjana i Caracalla, których mury swoim ogromem i silną budową opierają się jeszcze niszczeniu od wieków. Najobszerniejszy z placów dzisiejszego miasta otwiera się na miejscu term Dioklecjanowych; młot królewskich budowniczych nie przestaje rozbijać okrążające ten plac szczątki starożytnej budowy, w głównych gmachach, które do tych term należały, a silniej oparły się spustoszeniu, mieszczą się dziś w brudnych, poczerniałych jakoby pieczarach warsztaty kowalskie, stajnie i powozy; ocalały tylko ściany i granitowe kolumny środkowej świątyni przetworzonej dziś na wspaniały i ozdobny kościół SS. Apostołów.

Zbudowane jakby na ustroniu, dalej od środka dzisiejszego miasta niż Dioklecjanowe, termy Caracalla przechowały prawie w całości swoją dawną budowę, kształt i rozmiary. Widać, jakie rozporządzenia miały w układzie ogólnym ogromne sale, marmurami wykładane sadzawki, czytelnie, świątynie etc. Wyjęte z posadzek obszerne mozaiki zdobią dziś muzeum przy Św. Janie Laterańskim, wyobrażają naturalne postacie gladiatorów. Niezmierną ilość dzieł sztuki w posągach i płaskorzeźbach dobyto z tych term i teraz jeszcze po kątach i przy ścianach widać stosy pogruchotanych ułamków marmurowej rzeźby z kapitelów, architrawów i marmurowych tafel, którymi pookładane były nieporuszone ściany. Nie miałyby czym wielce się wynosić dzisiejsze zamki i pałace cesarskie znad Sprewy, Newy czy Tamizy nad te dla Rzymian zbudowane kąpiele przez ich nie lada tyrana. Osobne godziny miałem do obejrzenia tryumfalnych łuków, kolumn, obelisków, tych olbrzymich pomników siły zaborczej upadłego państwa. Na każdy z nich zawsze długo patrzyłem, podziwiając dzieło sztuki i znikomość potęgi, która je stawiła.

Przez trzy miesiące z okna mojego w hotelu „Minerwy" miałem widok na Panteon, tuż blisko stojący. Żaden monument, żadna budowa starożytna Rzymian nie została tak całkowicie do naszych dni zachowana, jak ta świątynia. Okrągła, z półkolistym sklepieniem, który jej za dach służy, wydaje się jak gdyby z jednej bryły, z jakiej skalistej góry była wykuta i wydrążona. Wszystko ku jej budowie było trafnie pomyślane, tak iżby żaden napad barbarzyńców nie mógł jej uszkodzić. Wspaniały nawet, o licznych granitowych kolumnach jej portyk frontowy zdaje się jak gdyby tylko przysunięty był do niej, tak że gdyby losem podobnych mu wszystkich portyków starożytnego Rzymu był i ten zburzony, ocalałyby ściany nieporuszone, jak dziś stojące szare, żadnymi wykwintnymi rzeźbami nie ozdobione, odarte tylko na zewnątrz z tafel marmurowych, których niewiele już tylko na miejscu zostało. Do tej świątyni, jak do obronnej warowni, światło wchodzi tylko z otwartego u góry otworu okrągłego na trzy do czterech metrów średnicy, ni-

czym nie przykrytego, przez który pada i deszcz w czasie niepogody, i wchodzą bez przeszkody promienie słoneczne. Wewnątrz Panteonu zostały framugi te same, w których były pomieszczone bożyszcza, dziś w każdej z nich jest ołtarz, obrazy męczenników i świętych i odprawia się ofiara niekrwawa. Nie było tam i nie masz choru, czyli galerii na organ, który postawiono jakby z nieładu na boku, przy wielkim ołtarzu. Dziwnie piękny i uroczy widok miał dla mnie Panteon wewnątrz, w noc późną, rzęsiście oświecony czasu nabożeństwa w Wielką Sobotę.

Jakże na koniec nie wspomnieć jeszcze o Zamku Anioła, który też zwiedzić potrzeba było, by przypomnieć, czym był ten potężny grobowiec Adriana, który potem służył i za warownie dla rokoszanów, i za schronienie w dni zaburzeń dla papieży, a dziś tam mieści się garnizon królewski, szkołka jakaś dla żołnierzy, więzienie dla aresztantów i zostaje jeszcze nadmiar pustych izb i kurytarzy, a co niemiara schodów, tajnych izb, przedsieni, wszystko w jednym grobowcu, jednego cezara, tak silnie obwarowanym, że jego ściany na zewnątrz mają trzy do czterech metrów grubości.

Zamek Anioła był jednym z ostatnich pomników i zabytków starożytnego Rzymu, które zwiedziłem i starannie obejrzałem. Wielce — bez wątpienia — podnosi myśl i uczucie ich widok, lecz byłyby one jeszcze poważną tylko, niemą, pustą dla zagorzalszego nawet badacza starożytności ruiną, gdyby czas i opieka ludzka, a miłość sztuki nie zachowały i nie nagromadziły w zbiorach i muzeach niezliczonej ilości posągów i płaskorzeźb, które przedstawiają świat żyjący z epoki owych monumentalnych zabytków.

Tam, przechodząc przez długie, okiem nieprzejrzane sale kapitolińskich i watykańskich zbiorów, Torliniego, Borghezów pałace, spotykamy Juliusza Cezara, Augusta, Tytusa, Marka Aureliusza, licznych prokonsulów, mówców i trybunów, w zbrojach i postaciach, jak kiedy panowali, i cały Olimp ze śpiżu i marmuru wykuty. Napatrzywszy się do woli na te nieporównanej piękności dzieła sztuki z żywszym wrażeniem wraca się potem do tychże samych pałaców, term, bazylik i świątyń, z których były wyjęte, i lepiej się je ocenia i pojmuje.

Dwa miesiące ubiegły mi niespostrzeżenie na zwiedzaniu i obejrzeniu tego przedchrześcijańskiego pomnikowego świata, tak pożywnego dla imaginacji, ciekawości i doczesnej nauki. Nie czułem się jeszcze zaspokojony, pytając częstokroć siebie, jaka z tej przyjemnej, porywającej całą umysłową czynność wypływa korzyść moralna dla duszy? Co dzień w rannych godzinach, przed rozpoczęciem owych archeologicznych i muzealnych wycieczek, które pospolicie popołudniowy czas zabierały, zwiedzałem z synem i najczęściej w towarzystwie jakiego mnicha czy

świeckiego kapłana główniejsze kościoły, mianowicie najdawniejsze bazyliki, klasztory, katakumby i zabytki z pierwszych wieków katolicyzmu.

Jużem nadmienił o pielgrzymce, od której począłem, do katakumb Św. Sebastiana, przy których stoi jedna z najdawniejszych i najwyżej poważanych siedmiu bazylik, po wielekroć pustoszona i odnawiana, temu świętemu męczennikowi poświęcona co i katakumby. Tuż niedaleko, na tej skibie nasyconej krwią pierwszych wyznawców wiary, stoi stary kościołek pod godłem „Domine, quo vadis"[25], na miejscu, gdzie według podania św. Piotr uchodząc od męczeństwa spotkał Jezusa niosącego krzyż i gdy Go zapytał: „dokąd idziesz?" — odpowiedział Zbawiciel: „idę do Rzymu, aby powtórnie dać się ukrzyżować" — i wrócił Piotr do miasta.

Stąd aż na drugi koniec Rzymu zachodzi świat podziemny pierwszego pokolenia umarłych za Chrystusowe słowo. Zatrzymuje nas, a czcią i uwielbieniem najwyższym Stwórcy przejmuje bazylika Św. Agnieszki przy katakumbach tegoż nazwania, w których ciało tej męczenniczki, Rzymianki, było znalezione i dziś w bogatym grobowcu, najpiękniejszą mozaiką z alabastru i lapis lazuli ozdobionym, pod wielkim ołtarzem spoczywa. Schodzi się do tego kościoła, jakby ze starości do ziemi zapadłego, z boku, po schodach, i to nie wprost do jego wnętrza, ale do długiej, szerokiej przedsieni (absidu) podłużnie całą szerokość kościoła zajmującej, od której po prawej stronie otwarte są drzwi do środka. Na ścianach tej przedsieni widać mnóstwo płyt kamiennych dobytych z katakumb, a opatrzonych imionami męczenników i ich męczeństwa. Wejście do katakumb jest wewnątrz kościołka, styl jego pierwotnej budowy nieco zmieniony.

Lepiej zachowana, wspaniała, ta, która na mnie większe od innych wrażenie sprawiła, jest bazylika za Tybrem, Św. Cecylii, wielkiej patrycjuszki rzymskiej. Z jej własnego pałacu przerobiona, ma nawę środkową szeroką, poboczne wąskie, niewysokimi i niezbyt szerokimi kolumnami od środkowej oddzielone; okna ponad nimi dają wiele światła. Po bocznych schodach wchodzi się do wysoko podniesionego na grobie świętej ołtarza, w którego framudze, od strony wejscia do bazyliki, jest biały, marmurowy posąg św. Cecylii, leżącej tak samo, jak znaleziono ją w katakumbie. Msze odprawia się z drugiej strony ołtarza, jak na wielkim ołtarzu Św. Piotra w Watykanie, twarzą kapłana obróconą do ludu. Po prawej stronie od wejścia do kościoła jest przy zakrystii mała kapliczka z tej samej izby utworzona, która służyła św. Cecylii do kąpieli i w której była umęczona. Prócz małego ołtarza wszystko w tej kapliczce zachowano, jak było za życia świętej; widać szeroki otwór

[25] „Panie, dokąd idziesz?"

w podłodze, gdzie musiało być ognisko i miejsce na kocioł, widać rury przy ścianach i otwory, przez które wychodziła para. Pod wielkim ołtarzem jest krypta, w której leżą ciała dwóch świętych męczenników, krewnych św. Cecylii, przez nią nawróconych. W zakrystii widać obraz św. Cecylii malowany przez dominikanina. Pobożny braciszek, od wielu lat sprawujący służbę w tej bazylice, otworzył mi kratę od kapliczki kąpieli św. Cecylii[b] i tam na miejscu, z głęboką wiarą i prostotą opowiadał — rzekłbyś, naoczny świadek męczeństwa — jak na tym miejscu oprawcy usiłowali parą rozgrzaną zadusić młodą, ośmnastoletnią Rzymiankę, jak potem, nie mogąc tego dokazać, jeden z nich uderzył ją w szyję po dwakroć i żyła jeszcze trzy dni, czekając na papieża Urbana[26], który przyszedł zamknąć jej oczy.

Również droga, nieoszacowana dla zwiedzających pomniki owego wieku jest bazylika Św. Wawrzyńca, San Lorenzo fuori le mura[c], zbudowana przez Konstantyna W. na katakumbie, gdzie był grób świętego męczennika. Znamienita z kształtu, kolumn swoich marmurowych, mozaik i malowideł przedstawiających męczeństwo, jako też z jej portyku, na którym freski z XIII wieku przypominają też okrucieństwa popełnione na świętych Stefanie i Wawrzyńcu. Ten kościoł obrał sobie za grób papież Pius IX[27].

Mogęż nie wspomnieć o małym kościołku Św. Konstancji, opuszczonym dziś, obrosłym naokoło drzewami, w pobliżu katakumb Św. Agnieszki. Kościołek ten kazał zbudować Konstanty W. na ochrzczenie dwóch Konstancji, siostry i córki swojej, a w XIII wieku papież Aleksander IV[28] poświęcił tenże kościoł na cześć św. Konstancji. Jest on okrągły, nakryty kopułą półkolistą, spoczywającą na dwunastu parach kolumn marmurowych we dwa rzędy ustawionych, za nimi zaś okrąża węższa nawa, której sklepienie pokr[yw]ają dotąd dobrze zachowane mozaiki, a na ścian[ach] zostały jeszcze szczątki niezupełnie zatarte malowideł dobrego jakiegoś malarza. Pod ołtarzem, na środku, ma być grób św. Saturnina i świętej Konstancji, której zwłoki były pierwej złożone w ogromnym kamiennym sarkofagu przeniesionym za Piusa VI[29] do Wa-

---

[b] W autogr. pomyłkowo: św. Teresy. Św. Cecylia zmarła ok. 230 roku, jest patronką muzyki kościelnej.

[c] W autogr.: San Lorenzo fuero di muro (św. Wawrzyńca za murami).

[26] Urban I, papież w latach 222—230.

[27] Pius IX, Giovanni M. Mastai Ferretti (1792—1878), papież od roku 1846, za jego panowania nastąpiło włączenie Rzymu do Włoch.

[28] Aleksander IV, Rinaldi hr. Ségni, papież w latach 1254—1261, zmarł w mieście Viterbo, dokąd uciekł z Rzymu.

[29] Pius VI, hr. Braschi (1717—1799), papież od roku 1775, wzięty do niewoli przez Francuzów zmarł w Walencji.

tykanu i znajdującym się teraz u wejścia do muzeum, naprzeciw podobnego sarkofagu św. Heleny.

Nie będę tu mówił o wielkich i najwspanialszych bazylikach i nowszych kościołach, Sta Maria Magiori, Św. Jana Laterańskiego, Św. Pawła za Rzymem i samego Watykanu, do których w większe święta na nabożeństwa chodziłem i o których tyle już pisano, tak wszystkim wiadomo, [a] tyle potrzeba siły i nauki, i czasu, aby o nich pisać, że już i nie wspomnę o nich. W moich zwyczajnych rannych wycieczkach więcej mi może duchowego chleba i zarówno silnych wrażeń dawały mniejsze, mniej znajome, piętno pierwszych chrześcijaństwa wieków mające uboższe świątynie i złupione klasztory.

Nigdy nie zapomnę miłej godziny ubiegłej w małym kościołku Św. Klemensa na drodze z Coliseum do Św. Jana Laterańskiego. Starożytna ta bazylika (Sn. Clementi) na starszej jeszcze od siebie, na wpół do ziemi zapadłej zbudowana, ma pod sobą trzecią jeszcze, głębszą, teraz wodą zalaną, o której zaginęła już tradycja, czym była, zapewne jakąś pogańską świątynią. Znacznie przyćmione wiekami pobladłe mozaiki i freski po całym kościele, przypominające epokę męczeństwa, nadają mu charakter wybitny. Osiwiały dominikanin Anglik z zakonu, któremu powierzona jest dziś służba w tym kościele i którego staraniem oczyszczona została część jego podziemna, wyjąwszy zatopionej wodą, okazał nam miejsce, gdzie według podania i niezaprzeczonych wskazówek jest grób św. Cyryla, brata i towarzysza w apostolstwie Słowian. Na próżno schizma moskiewska usiłuje przywłaszczyć swojemu kościołowi tych dwóch świętych jakoby odszczepieńców od Rzymu. Wiadomo, że św. Cyryl umarł w Rzymie, św. Metody na Morawach[d]. Włodzimierz, książę kijowski, wracając z zaboru Chersonia[e], wziął z sobą Anastazego i kapłanów chersońskich z relikwiami św. Klemensa i Teba, jego ucznia, zabrał naczynia i obrazy i w 988 r. e. Ch. odbył chrzest Rusi w Kijowie (Karamzin[30]), kiedy jeszcze Kościół grecki, przez którego kapłanów zaprowadzona była wiara chrześcijańska na Rusi, był zjednoczony z Rzymem i nie nastąpił rozdział Kościoła na wschodni i zachodni, jak dopiero w r. 1054.

Kiedym nad wieczór dnia jednego, po trzymiesięcznej pielgrzymce po Rzymie, dłużej, niż było moim zwyczajem, patrzył z owego tarasu przy murze poczerniałego wiekiem Fabularium na Forum Romanum, na rozciągnięte u dołu od Kapitolu do Coliseo rozwaliny upadłego państwa i nad nimi u góry dokoła kościoły i klasztory, schronienia surowego ży-

---

d W autogr.: na Murawie.

e W autogr.: Chersonu.

30 Nikołaj Karamzin (1765—1826), historyk i poeta rosyjski, autor historii Rosji od XVI wieku.

cia mnichów, a tuż wyżej nade mną na pałac dzisiejszego Kapitolu i nowsze budowy, koszary i muzea, obudziły mi się w umyśle, nie wiem, przypadkiem czy lo[g]icznie, jako staremu geologowi, obrazy rewolucji ziemskich wyryte na marszczkach pooranej wiekami wieków powierzchni naszej planety. Jak na jej skorupie pokłady ziem z przemijających jednych po drugich epok wraz ze szczątkami istot, które za owych epok żyły, leżą rozciągnięte jedne na drugich, miejscami jak były na odpowiednich im poziomach, miejscami podjęte lub pod dna morskie zapadłe, lub większymi wstrząś[nie]niami od sił niewidomych wyparte częściami, ukazują się stare między młodszymi, paleozoiczne między popoto[po]wymi, nowego utworu, tak w tym Rzymie, na jego zrębach, dołach i wyżynach i widać i odróżnić łatwo trzy czy cztery pokłady historyczne pomników, dzieł sztuki, gmachów całkowitych i rozwalin, odnoszących się do tyluż wybitnych epok rozwoju ludzkości, udowadniających owe „Dieu n'efface que pour écrire"[31].

Na wulkanicznych posadach, na trawertynach[32] i późniejszych ziemiach napływowych leży najstarszy z pokładów obejmujący szczątki i spuściznę wykopalisk po upadłym państwie rzymskim. Największy ich ogrom czas poniszczył, Opatrzność to tylko zostawiła, co było i jest potrzebne dla nauki ludzkiej, dla pokazania, w jaki sposób i jakie były przyczyny tego upadku.

Tu najprzód widzimy dumę i wystawne życie Cezarów w tak rozległych ruinach ich pałaców, że w obrębie stu Louwrów, stu Carskich Sieł[33] pomieścić by się mogło, a które dziś na upamiętanie słabszych mocarzy świata, na urągowisko sterczą, poczerniałe jak czerepy po zjedzonej uczcie. Nic nie zostało z mieszkań uprawiającego rolę Rzymianina, nic prawie z pierwotnego Rzymu Cincin[n]ata, z surowego życia dbałych o dobro publiczne pierwszych zakładaczy rzeczypospolitej, wyjąwszy może ów loch na oczyszczenie miasta*, niosący brud do Tybru, ślady najdawniejszych wodociągów i może jaki kawał muru ze starego Kapitolu; pozostały opróżnione siedliska przepychu, okazałości, zepsucia i cielesnego życia władców samowolnych narodu. W tychże pałacowych ruinach i na wielu punktach cesarskiej stolicy pozostały szczątki — cyrki, teatra, kolizea, w których lud ujarzmiony bawił się i wznosił okrzyki na cześć swych ujarzmicieli. O! musiano go żywić, sam siebie wyżywić nie zdołał.

---

* Tak nazwana Cloaca.

[31] „U Boga nic nie przepada", źródła cytatu nię odszukano.

[32] trawertyn (tuf) — skała drobnoziarnista, powstała przez scementowanie pyłu wulkanicznego, istnieje kilka jej gatunków.

[33] Carskie Sioło, obecnie miasto Puszkin pod Leningradem, słynne z rokokowego pałacu, letniej rezydencji cara.

A czymże są owe łuki, kolumny i inne monumenta pochlebstwa, którym wykwintna, podziwnie wykształcona sztuka poświęciła usługi? Czym są owe posągi i płaskorzeźby, na których widzimy wiedzionych powiązanych jeńców, niesionych w tryumfie prokonsulów i cały szereg scen wyrytych na wielkiej kolumnie Adriana, jeżeli nie piętnem ducha zaborczego i chęci panowania nad światem, wiodących koniecznie do despotyzmu i upadku najpotężniejszego państwa.

Pozostało Forum, pozostały obszerne posady, jakby od wczora wypróżnione, trybunałów, bazylik i świątyń, na których ćwiczyli się w krasomówstwie mówcy i rzecznicy, dbając bardziej o oratorski tryumf, literę prawa i sofistyczne wybiegi niż o słuszność i obronę ukrzywdzonego.

Pozostały lochy więzień, koszary żołnierskie i Campo Pretoriano — dowody siły materialnej, która nie ocaliła państwa, a do tego i wyniosłe, jońskie i korynckie, od pogruchotanych świątyń kolumny i ten olbrzymi Panteon, na którego dumnym czole nie imię Stwórcy, lecz Agryppy leży — zabytki kłamanych bożyszcz i fałszywej wiary.

A na koniec, ów ogrom najcenniejszych wykopalisk tej historycznej epoki, podziwiające dzieła sztuki plastycznej, które tylko geniusz i duch artysty mógł od zniszczenia zachować, dziś w muzeach strzeżone, ze śpiżu i marmuru rzeźby bogów i uboższczonych ludzi, przedstawiające bałwochwalstwo siły brutalnej, chytrości, podstępu i dokonanych czynów.

Wszystkie tu wyliczone i inne im podobne ziemne i kamienne szczątki i fosylia pierwszej i przechodowej epoki Rzymu obejmuje niższy jego p o k ł a d, na którego warstwach spoczywa d r u g i, wyższy, późniejszy, pierwszych wieków wojującego Kościoła.

Z tegoż samego tarasu, schodząc od Kapitolu przez Łuk [Septima[f]] Sewera na Forum i bazylikę Julii, powiedźmy tylko okiem dokoła i od góry do dołu po skłoniach tej starej kotliny, uderzy każdego geologa, a cóż dopiero historyka, jak na ruinach, gruzach i podwalinach dawnej budowy Rzymian cezarowych podnoszą się dokoła krzyże i kościoły. Tu widzisz na zrębie powalonej świątyni Jowisza kapitolińskiego starożytny kościół Świętej Marii in Ara Coeli, którego kolumny nierównej grubości, jedne kolosalne z granitu, inne z porfirów i rozmaitego gatunku marmurów, zebrane któż wie z ilu świątyń i gmachów cesarskich, ozdabiają jedną z największych dziś świątyń na cześć Marii Dziewicy. Ubogi mnich modli się dziś dniem i nocą, modli się pod nimi u grobu św. Heleny.

---

[f] W autogr. wolne miejsce.

Tuż niedaleko, na miejscu, gdzie historyk ukazuje mury więzień mamertyńskich, wznosi się na nich kościoł Św. Józefa (di Talegnemi) i pod nim schodzi się do ciemnej podziemnej kapliczki, gdzie według podania był św. Piotr więziony i lud pobożny całuje jego łańcuchy, czerpie wodę z małej krynicy, która się tam sączy i służyła za napój świętemu.

Dalej, naprzeciw kolumn świątyni Zgody i Łuku Septima Sewera, stoi na wyżynie kościołek Św. Martyny, zbudowany na drugim starszym, już zapadłym do ziemi kościele, a ten ostatni na niższym jeszcze, który był pogańską świątynią. Dalej jeszcze, ponad Forum, widzimy kościoł wspaniały San Lorenzo di Miranda, na cześć tego męczennika przerobiony z pogańskiej świątyni Antoniusza i Faustyny; dziesięć koryncckich kolumn na czternaście metrów wysokich stanowią jego przysionek. Na tej zaś samej linii co poprzednie świątynie, nie dochodząc do bazyliki Konstantyna, zadziwia nas swoją, różniącą się od innych, architekturą okrągła, stara świątynia Romulusa i Remusa, poza którą szła Via Sacra. Mały ten dziś kościołek SS. Kosmy i Damiana patrzy spokojnie na walące się naprzeciw Cezarów pałace, a opodal od niego naprzeciw Kolizeum, frontem obrócony do Forum jest kościoł poświęcony Św. Franciszce Rzymiance, na gruzach świątyni Wenery i Rzymu stojący.

Obszedłszy na koniec cały ten szereg kościołów, przy których pozostały z owychże czasów mury klasztorne, szpitale i ustronia dla biednych, wszystko na rozwalinach starego Rzymu spoczywające, gdy przejdziemy na drugą stronę doliny, poza górę palatyńską, zwróci jeszcze na siebie uwagę mały kościołek Św. Marii Wybawicielki (Sta Maria Liberatrice) u stóp cezarowych pałaców, z ich może cegieł wymurowany.

Ta sama warstwa pierwotna chrześcijańskiego Rzymu, na pogańsko-cezarowym pokładzie leżąca, rozciąga się po całym, o siedmiu wzgórzach Wiecznym Mieście, popiołami świętych męczenników oznaczona. Obejmuje ona zestarzałe bazyliki i ich — dniem i nocą szkarłatnym płomieniem gorejących lamp oświecone — krypty i zapada do ciemnych katakumb, gdzie jej żadna moc ludzka ni szatańska już nie zniszczy i nie będzie zapomniana.

Ponad tą warstwą i na niej podnosi się i usadawia cały utwór wielkiego Rzymu z epoki tryumfu Kościoła i potęgi papieskiej. Cokolwiek w nim z budowli i nowszych pomników wspanialszego, poważniejszego widzimy, świadczy o tej potędze i jej na cały świat chrześcijańskiej sile duchowej. Watykan, Kwirynał, ogromne gmachy szpitalne i dobroczynne, szkoły i akademie, ochrona starożytnych monumentów i muzea, odrodzenie sztuki, malarstwo, nowych kościołów bez liku, domy zakonne i pałace możnych, gmachy gorliwej na wszystkie części świata propagandy, uweselające miasta zdroje i fontanny, wszystko to — rzekłby

jaki geolog — stanowi pokład najbogatszego utworu dla ludzkości, najobfitszy w dzieła sztuki i wiedzy.

Czy tegoczesnej epoki, tworzące się na tym pokładzie, nowe napływy i mętnych wód osady przyczynią się do dania Wiecznemu Miastu nowego życia, siły i ozdoby, tego prosty geolog, nawykły do śledzenia rewolucji ziemi, przewidzieć nie może. Widzimy wprawdzie nowo uprzątnione place, szerokie, rzekłbyś paryskie, jakby Hausmanowe[34], ulice, szeregami pięcio- i sześciopiętrowych monotonnych, koszarowego stylu domów osadzone, nowe ogrody i pyszne hotele, do tego i nowe budują się pomniki, posągi dla nowych bożyszcz wolności. Lud jednak rzymski nie nawyka jeszcze do nowego miasta, woli iść na Corso[35], gromadzić się na ciasnych, krętych uliczkach i placykach Borgia, Minerwy, Citoria, Trevy; tysiące pielgrzymów dąży za Tyber, do grobu Piotra; rządy i narody oddają cześć Głowie Kościoła.

Dwa miesiące zostawało do terminu, w którym miałem połączyć się w Krakowie z o. Piotrem Semenenką i z nim jechać do Palestyny. Syn mój, od posłuchania, jakie mieliśmy u Ojca Świętego i dwóch naszych kardynałów, był spoważniały, zamyślający się, smutny, odwiedzał księży, kościoły. Dla rozerwania go i polepszenia zdrowia umyśliłem zrobić z nim podróż do Neapolu.

23 maja, w rok po wyjeździe z Santiago, byłem o godzinie pierwszej po południu z synem moim na szczycie Wezuwiusza, przy jego kraterze. Mało kto ze śmiertelnych mojego podeszłego wieku zajrzał do tej paszczy buchającej ogniem i siarczanym, duszącym oddech powietrzem. Wulkan od niejakiego czasu okazywał niezwyczajne poruszenie, wiatr dął od południa, krater pokrywał się gęstą parą jakoby dymem i chwilami tylko silniejszy wicher odpędzał ją i odsłaniał straszne zarzewie. Przystęp po żużlach i osuwających się pod nogami okruchach nie był łatwy; opierałem się na dwóch barczystych Włochach. Zwiedziłem też i sławną solfatarę Puzuoli, z wygasłego wulkanu utworzoną, i miałem czas do rozpoznania, w czym się ona różni od znanych mi solfatar bocznych chilijskich Chillanu, San Fernando i Cerro Azul.

Dzień jeden zeszedł mi z synem na zwiedzaniu Pompei i Herkulanum i dwa dni na obejrzeniu Muzeum, gdzie są nagromadzone niezli-

---

34 Georges Eugéne Haussmann (1809—1891), administrator i polityk francuski. Jako prefekt departamentu Sekwany wykonywał gorliwie plany Napoleona III upiększania Paryża, burząc całe dzielnice i w ich miejsce zaprowadzając wspaniałe bulwary.

35 Via Corso, jedna z głównych ulic Rzymu.

czone wielkiej wartości dzieła sztuki, posągi rozmaitej wielkości, płaskorzeźby, malowidła, zwęglone zwoje manuskryptów, sprzęty i przedmioty rozmaitego rodzaju wyjęte z tych miast zapadłych, odgrzebywanych teraz jak przyrodnik odgrzebuje fosylia i szkielety zagubionych zwierząt. Przez trzy godziny chodziliśmy po ulicach Pompei, wiedzeni od dobrze wyuczonego do tej posługi cicerone, który nas zatrzymywał na placach, teatrach, w świątyniach i domach prywatnych i publicznych, zwracając naszą uwagę na przedmioty godne widzenia.

Zbytecznie byłoby o tym pisać, co już po tysiąc razy było opisane. Jeżeli chodząc po cmentarzu jakiej wsi czy miasta, patrząc na groby pojedynczo w obiegu lat i wieków naturalną śmiercią umarłych, czujemy żałobny smutek i obecność wyższej kary i nagrody, jakież uczucie sprawiać musi na człowieku widok tak wielkiego, jak Rzym, o stu tysiącach mieszkańców miasta, jednym rzutem od Wezuwiusza gorącym popiołem zarzuconego i dziś w takim stanie, jak był przed niemało dwoma tysiącami lat, dobywającego się z ziemi? Straszna to być musiała noc i przerażenie, i wołanie o ratunek do Boga. To tylko dziś tu, co i na ruinach bałwochwalczego Rzymu widzimy, że jeśli to zburzenie Pompei było karą Bożą, to ani czas, ni ogień, ni ziemia nie zdołały poniszczyć śladów zepsucia i upadku moralnego, w jakim zostawała ludność tego miasta. Dowodzą tego pozostałe na ścianach znaki i malowidła bezecne, lupanary, vomitoria obok izb jadalnych, liczne cyrki i teatra, koszary żołnierskie i pałace możnych, dzieła sztuki ubóstwiającej materialne piękno, siłę brutalną i zwierzęce instynkty, świątynie na cześć bożyszcz dumy, zemsty i rozpusty.

Zburzenie Pompei, Herkulanum przypadło na początku ery chrześcijańskiej i męczeństwa pierwszych apostołów i wyznawców wiary.

Na skale ze stwardniałego wulkanicznego błota powstałej, pożerającej w sobie i napełniającej olbrzymi cyrk Herkulanum, z którego wnętrza kolosalne ze spiżu posągi Balbusa prokonsula i cesarza Klaudiusza wydobyto, stoją dziś bezpiecznie nowe miasta pobudowane.

Zaraz za powrotem z naszej podróży z Neapolu do Rymu syn mój ciężko zachorował. Użyłem porady słynnego natenczas lekarza dra Postępskiego[36], syna emigranta. Choroba niedługo trwała, a że nadchodził termin do podróży naszej do Palestyny, powiedziałem synowi, aby do niej robił przygotowania. Lecz on nic nie mówiąc spuścił oczy, zamyślił się i po chwili oświadczył, że chce zostać na miejscu, w Rzymie, spo-

---

[36] Paweł Postępski, v. Postempski (1851—1926), chirurg, prymariusz szpitala w Rzymie, syn Romana, artysty malarza polskiego, emigranta z roku 1831, osiadłego w Rzymie, pułkownik Włoskiego Czerwonego Krzyża, autor prac naukowych wydawanych w Rzymie w języku włoskim oraz rozprawy w języku polskim drukowanej w „Gazecie Lekarskiej" (Warszawa 1871, t. X).

sobić się tu na kapłana i przyjąć sotannę. Zrozumiałem, że to było jego jedynym życzeniem od czasu posłuchania naszego u papieża i otrzymania od niego błogosławieństwa, jako też od naszego widzenia się z dwoma polskimi kardynałami. Wiedziałem, że od dziecinnych lat syn mój miał widoczny pociąg i upodobanie do duchownego stanu i tylko z przyczyny słabości zdrowia musiał przed trzema laty opuścić seminarium duchowne w Santiago.

„Dobrze więc — rzekłem — zgadzam się, młody jesteś, jeśli Bóg tobie da wyświęcić się na kapłana, odbędziesz potem pielgrzymkę swoją do Jeruzalem, ja mojej na długo odkładać nie mogę". Tydzień jeszcze zatrzymałem się przy synie i upatrzyłem dla niego do nauki łaciny i duchownych nauk dobrego nauczyciela, zaszczytnie położonego u kardynała, wikariusza Rzymu, J. E. Parocchi[37].

Ostatnie moje pielgrzymki po Rzymie były: jedna do Św. Piotra in Montorio, kościołka zbudowanego na górze Janiculi za Tybrem przez Konstantyna W., na miejscu, gdzie św. Piotr był ścięty, druga do Św. Piotra in Vinculi (w łańcuchach), pięknego o dwudziestu greckich marmurowych kolumnach (z roku 442 e. Ch.) kościoła, w którym zachowane są, przesłane przez matkę św. Eudoksji, żonę Teodozjusza Młodego z Jerozolimy[38], łańcuchy Piotra św. W tymże kościele jest sławny posąg Mojżesza, dzieło Michała Anioła, i tegoż artysty obraz wyzwolenia Piotra św., nieco poczerniały.

Na początku lipca wyjechałem z Rzymu na Kraków do Ziemi Świętej.

---

[37] Lucido Maria Parocchi (1833—1903), kardynał, doktor teologii, w latach 1884—1899 kardynał wikariusz Rzymu, przewidziany na następcę Leona XIII, w 1899 r. zrezygnował z godności kardynała wikariusza.

[38] Athenais (zm. 460), córka sofisty Leoncjusza z Aten, została chrześcijanką i pod imieniem Eudoksji żoną Teodozjusza II, cesarza wschodniorzymskiego w latach 408—450.

II. Z Rzymu do Jafy

4 lipca. O godzinie ósmej z rana wyjeżdżam z Rzymu. W podróży do Ziemi Świętej drogę obracam na Paryż, Kraków i Lwów, gdzie mam się połączyć z ojcem Semenenko. Zostawiam syna starszego w Rzymie z przyczyny jego słabego zdrowia. On też zgodził się na to, aby tu zostać w zamiarze sposobienia się do kapłaństwa, bo już od dzieciństwa miał do tego ochotę, tylko słabowite zdrowie nie pozwalało mu usilnie poświęcać się naukom. Smutno mi rozstać się z nim, a powierzam go staraniom zacnego Chilijczyka, księdza Jufante, z którym i z którego rodziną w Santiago miał mój syn od dawna przyjazne stosunki.

Prześliczne widoki Toskanii nagradzają mi rozstanie się z Rzymem. Na parę dni zatrzymuję się we Florencji dla zwiedzenia tam osobliwości i poznania mieszkających tam Lenartowicza[1] i rodziny litewskiej Zaleskich. Katedra — gmach ogromny [z] ośmiokątnymi kaplicami, z których każda mogłaby być osobnym wielkim kościołem — cała na zewnątrz z czarnego i białego marmuru, jest to wspaniała budowa, niepodobna z kształtu do żadnych może innych katolickich, zadziwiająca, prawie zatrważająca z pierwszego wejrzenia, ni gotycka, ni z renesansu, a zdaje się, jak gdyby zadaniem architekta było największą masą muru najmniejszą przestrzeń zawrzeć i najmniejszy efekt wewnątrz zrobić, tak cała ta wielkość i obszar kryje się w pobocznych kaplicach. Gmach jednak ogromny i modlić się w nim tak miło! Obejrzałem i galerie sztuk pięknych florenckie, o których już tyle pisano. Tu poznałem i czule uścisnąłem Lenartowicza i familię Zaleskich od dawna osiadłą.

7 lipca. W nocy po drugi raz przekraczam Alpy wielkim tunelem w Mont Cenis i wieczorem przyjeżdżam do Paryża, wkrótce po szalonej apoteozie Victora Hugo[2]. Ten Panteon, który tak świetnie przybrany by-

---

[1] Teofil Lenartowicz (1822—1893), poeta i rzeźbiarz, w roku 1848 zagrożony aresztowaniem opuścił Warszawę i po pobycie w Poznaniu, Krakowie, Brukseli, Paryżu, Rzymie (1856—1860) osiadł w roku 1860 na stałe we Florencji.

[2] Victor Marie Hugo (1802—1885), słynny poeta, dramaturg, powieściopisarz i publicysta francuski, przywódca demokratów (1848), w latach 1851—1870 przebywał na wygnaniu. Tu mowa o uroczystym pogrzebie W. Hugo i umieszczeniu jego zwłok w Panteonie.

łem niedawno zostawił na święto patronki Paryża, św. Genowefy, dziś zbezczeszczony, pusty, bałwochwalczy. Teraz Francuzi zdarli krzyż i zajęli świątynię dla wielkich ludzi, teraz właśnie, kiedy ich nie mają i może na długo ich mieć nie będą.

14 lipca był obchód roczny ustalenia Rzeczypospolitej. Wszystkie gmachy rządowe rzęsiście oświetlone, w trójkolorowe chorągiewki przystrojone, ognie sztuczne na wielu końcach miasta, teatra, widowiska za darmo. Paryżanie po ulicach skakali, ale żadnych narodowych pieśni ni jednego światełka przy pomnikach Carlo Magne[3], Henryka IV, Ludwików, Napoleona, nic co by przypominało przeszłość lub co by zdołało podnieść ducha, rzekłbyś, że naród zerwał z przeszłością. Nie było też uroczystości kościelnych, »Te Deum« solennych, które dawniej uświetniały każde święto narodowe. Zerwano z Kościołem.

19 — 20 [lipca] w Kolonii. Katedra cudnej piękności, kiedy się stanie przed nią i rzuci się okiem od dołu do góry, staje naprzód na myśli, jaka to być musiała praca wyrobić z kamienia takie korony, rzekłbyś, pajęczynę, i z nich budować taką wysoką wieżę, zawieszać je na potężnych łukach, stroić nimi cały ogrom budowy, jakaż to długa była modlitwa to budowanie na chwałę Bożą, aż doczekano się wieku, który my mamy za niewierny i bankierczy. Niedawno tu sam cesarz, pogromca Galów, inaugurował ten wspaniały dom Boży[4], słyszał »Te Deum«, grał w galomana[5], a więził biskupów, do tej owczarni nie wpuścił własnego jej pasterza[6].

Była godzina nieszporu; po nauce, po modlitwach przeszło zebranie pobożnych do pobocznej nawy, gdzie był wystawiony Przenajświętszy Sakrament; wdzięczny głos dobrych śpiewaków, mianowicie jeden, silne soprano, rozchodził się po całej przestrzeni, odbijać się zdawał od najwynioślejszych sklepień. Nader pobożny być to musi, wierny Kościołowi ten lud nadreński, mocne przedmurze katolicyzmu od strony niemieckiego odszczepieństwa.

21 — 22 lipca, nocą w Magdeburgu. Tu naszego Kraszewskiego więziono w fortecy[7]. Nie mogłem go widzieć. Z rana, czekając na pociąg, zwiedziłem starą gotycką katedrę, zabraną, dziś tak nazwany dom lu-

---

[3] Karola Wielkiego.

[4] Dnia 15 października 1880 r. z rozkazu cesarza Wilhelma I odbyła się uroczysta inauguracja katedry, której budowa ciągnęła się 632 lata.

[5] Tzn. udawał człowieka zamiłowanego we wszystkim, co francuskie.

[6] Arcybiskupa kolońskiego Pawła Melchersa (1813—1895), którego aresztowano w roku 1874 i skazano na wygnanie.

[7] Józef Ignacy Kraszewski (1812—1887), aresztowany w 1883 r. w Berlinie pod zarzutem zdrady stanu, po procesie w Lipsku (1884) skazany został na trzy i pół

terski. Grzeczny kustosz otworzył nam ją (za małą nagrodą), tak jak zazwyczaj otwierają i pokazują turystom cicerony osobliwości w muzeach. Świątynia zachowała w budowie, choć podreperowana, charakter gotyzmu i zachowano w niej z czasów katolickich prześliczne rzeźby marmurowe, jedne przypominające malarstwo niemieckie Holbeina, Dürera etc., pełne prostoty i pobożnego ducha, inne, zdaje się późniejsze, włoskie, mniej cenne, choć poprawniejsze w rysunku. Smutno one wyglądają w kościele ogołoconym z naszych ołtarzy i konfesjonałów. Pozostał nietknięty grób Ottona Wielkiego i jednego z biskupów tej katedry, grubą opasany kratą, posągi naturalnej wielkości. Dobrze, że choć to zachowała Reforma.

23 lipca. Drezno. Tu już świeże pamiątki z ostatnich czasów Polskiej Rzeczypospolitej, orły i pogonie nasze, posąg Augusta II na Nowym Mieście (Neustadt), bogate stroje i ry[n]sztunki ostatnich królów naszych, katedra, w której co dzień wiele pobożnych katolików, mężczyzn i kobiet, na mszy, bo choć to Sasi prędko od Kościoła odłączyli się, rodzina królewska i wiele rodzin przedniejszych i z mieszczaństwa dotąd wiernie przy nim zostało i zdaje się, że ich liczba pomnaża się i nowe pobudowano kościoły.

Do tegoż samego, Berlińskiego, zajechałem Hotelu, gdzie przed pięćdziesięciu laty (w 1832 [r.]) jadałem w gronie licznych emigrantów naszych, którzy po wojnie do Francji ciągnęli, a mianowicie z Mickiewiczem, Garczyńskim, Odyńcem, Wrotnowskim i Weyssenhoffem, moimi jeszcze z czasów uniwersyteckich towarzyszami. Ten sam stół znalazłem w kąt ustawiony, taż sala, widok na plac, obiad o tejże godzinie. Trafnym zdarzeniem dano mi nawet toż samo miejsce u stołu, na którym zwykłem był siadywać. Tylko już ani jednego Polaka nie było; wszyscy z owego czasu wymarli. Po prawej ręce, na miejscu Garczyńskiego, usiadł mój syn Kazimierz, opodal jakiś oficer pruski harkawo rozmawiał z Sasem, dalej dwie Niemki i otyły jegomość. Biegali lokaje w czarnych frakach i białych krawatach, czego dawniej nie znano, a obiad był tańszy i smaczniejszy.

Nie mogę jednak powiedzieć, żeby pobyt mój w Dreźnie był mi nieprzyjemny[a]. Te same pamiątki z pierwszego roku emigracji stawały mi ciągle na myśli. Co ranek w katedrze przypominałem sobie Garczyńskiego, z którym tu na mszę chodziliśmy. Daleko za Neustadt poszedłem szukać sosnowego lasku, do którego z Mickiewiczem na przechadzki

lata twierdzy w Magdeburgu. Przebywał w tym więzieniu od 26 maja 1884 do 7 listopada 1885, po czym otrzymał urlop za kaucją i udał się do Szwajcarii, tu (w Genewie) zmarł 19 marca 1887 roku.

[a] W autogr.: nie był mi nieprzyjemne.

chodziliśmy, gdzież tam, o milę może rozciągnięto w owym kierunku miasto aż poza stacją drogi żelaznej, o której się wtenczas nikomu nie śniło; zamiast małej włoskiej opery, na której stary król[8] drzemał, a nasza infantka[9], co miała księcia Józefa poślubić, lornetowała jeszcze, dziś wagnerowska muzyka, teatr wspaniały, światło elektryczne; pozbył się swoich ogrodzeń Grossgarten, już Königlicher Grossgarten o milę może rozciągnął się do Stradelu, a z niego wychodzi ryk lwa, tygrysa i w ciepłej sadzawce kąpie się hipopotam. Galeria tylko obrazów ani o jeden może obraz nie powiększyła się od tamtego czasu, choć jej dano lepsze mieszkanie, a osobny pokój dla rafaelskiej Madonny.

Nie znalazłem tu nikogo ze znajomych, ale taka była cisza, spokój, tak mi przyjemnie było widzieć ten lud roboczy, oszczędny, wieczorami na tak nazwanych koncertach po ogrodach za tanio bawiący się, a dobry Sas zawsze ze swoją rodziną i dziećmi na tych zabawach, że bez znudzenia się przebyłem tu dziesiątek dni, zwiedziwszy w tym czasie Freiberg i jego wzorowe metalurgiczne zakłady.

4 sierp[nia]. Przyjeżdżam późno do Wrocławia, a po drodze zatrzymałem się w Gorlicy[10] (Görlitz) dla poznania chemika Schuchharta, z którym od wielu lat utrzymywałem listową znajomość, i dla zwiedzenia fabryki wyrobów chemicznych, której dyrektorem jest ten uczony. We Wrocławiu, dawnej z XIII wieku dzielnicy polskiej, cóż mi zostawało milszego do zwiedzenia, jeżeli nie katedra? Tam wysłuchałem mszy i z przyjemnością widziałem kościół napełniony pobożną ludnością, [która] wydała mi się do naszej podobna. Wszystkie inne kościoły, na Reformę zabrane, były zamknięte, jako w dzień powszedni.

Pociąg odchodził po południu, a chociaż to miał być prędki, tak często się zatrzymywał i kręcił po owej sieci kolei między Koselem[11], Oświęcimiem i Mysłowicami, przerzynając lasy — że tak nazwę — fabrycznych kominów bogatej i najbardziej przemysłowej, zamożnej w węgiel kopalnej części pruskiego Śląska, że późno, zaledwo około dziesiątej wieczór dobiliśmy się do Krakowa.

6 — 22 sierp[nia]. Kraków („Hotel Saski"). Najmilszy to dla mnie przystanek w podróży do Palestyny. Tu znajduję ojca Semenenkę, mego towarzysza do podróży, zajętego wydaniem swoich kazań. Rozko-

[8] Antoni Klemens Teodor (1755—1836), król saski, syn elektora Fryderyka Krystiana i Marii Antoniny bawarskiej, objął tron w r. 1827 jako 72-letni starzec.

[9] Maria Augusta Nepomucena, córka Fryderyka Augusta. Zob. t. I, cz. 1, rozdz. V, przyp. 8.

[10] Chodzi o Zgorzelec.

[11] Koźle, miasto nad Odrą.

szuję się tedy widokiem naszej starożytnej Polski. Powtarzam moją przeszłoroczną pielgrzymkę do grobu św. Stanisława na Wawelu, do grobów św. Jacka, św. Salomei, św. Jana Kantego i do grobów królów naszych.

Obszedłem tą razą pomniki w katedrze powoli, zastanawiając się przy każdym i rad byłem widzieć, jak lud nasz wieśniaczy w niedziele obchodzi z uszanowaniem te pomniki, jak przypatruje się posągom królów naszych i modli się lub przechodzi tak powoli, po cichu koło nich, jak gdyby się lękał je obudzić, jak te posągi, wielkości naturalnej, leżące z koronami na głowach i w strojach królewskich, lepiej odpowiadają żywotom królów naszych niż owe dumne, pompatyczne, stojące z laurami i godłami apoteozy żywotom wielkich ludzi w Westmi[n]sterze.

Mało mam co do zanotowania z dzisiejszego pobytu w Krakowie. Byłem uprzejmie przyjęty w Krzeszowicach od pani Adamowej Potockiej[12] i wielu dostojnych osób z jej rodziny. Żyje tam dusza polska i wielkość, i serce i panuje rozum. Z ganku na chwilę obaczyłem zamek tenczyński.

Zwiedziłem starą lipę w Modlnicy, gdzie według podania ludu św. Wojciech modlił się i ostatni raz żegnał się z ludem krakowskim, idąc z Krakowa do Prus, a droga, którą szedł, dotąd w dokumentach miejscowych zachowała imię drogi św. Wojciecha. Szanowni dziedzice Modlnicy, Konopkowie, starym miodem mnie uraczyli.

Byłem 18 sierp[nia], w dzień imienin cesarskich, w Wieliczce. Po drodze powitałem Kopiec Krakusa, a w kopalniach, o sto kilkadziesiąt metrów pod ziemią, widziałem tego dnia ognie sztuczne, rzęsistą iluminację; kaplice i potężne sale, jakim z wielkości, z oświetlenia, z ogromnych pająków lśniących od soli, której kryształki zastępują miejsce szklannych, nie dorównają najzbytkowniejsze z królewskich zamków. W tych salach pierwszy raz po pięćdziesięciu czterech latach mojego wyjścia z kraju ujrzałem mazurek tańczony przez krakowską młodzież, tęgą i rubaszną, a między tancerkami były i z Podola, i z Poznania, i Litwinki, wszystkie hoże i nadobne. Na tym podziemnym balu śpiewano i grano pieśni narodowe, pan nadradca okazywał dla mnie bardzo zaszczytną wziętość i pierwszeństwo, a kiedy przy końcu, w wielkiej sali balowej, zagrano »Boże, coś [Polskę]« i poczęto nosić mnie i krzyczeć: „Niech żyje", to im też powiedziałem głośno: „Gdzie Bóg, tam wolność, gdzie Kraków, tam Polska — i zawołałem — niech żyje cesarz, który nam pozwala mówić i śpiewać, i weselić się po polsku".

---

[12] Katarzyna z Branickich Potocka (1825—1907), córka Władysława i Róży z Potockich, od 1847 r. żona Adama Potockiego (1812—1872), posła do parlamentu austriackiego.

Ponowiłem też moje odwiedziny i do kościołów tutejszych, i do Jagiellońskiej Wszechnicy, i do nowej Akademii, i na Skałkę. Poznałem biskupa naszego wileńskiego, czcigodnego Krasińskiego[13], co przez 20 lat wycierpiał wygnanie pierwej gdzieś pod Archangielskiem, potem w Wiatce[14] i nie oddano mu biskupstwa. Przyjęty serdecznie od niego, udarowany nowo wydanym przez niego nieocenionej wartości dziełem o synonimach[15], kilka miłych wieczorów u niego przebyłem, słuchając opowiadania rozmaitych zdarzeń z czasów wileńskich, kiedy już byłem za krajem. Cudny ma sposób opowiadania biskup i bardzo zajmujące byłyby jego pamiętniki.

Miałem wyjechać stąd najdalej 20 sierpnia, ale od dnia do dnia czekać musiałem na ojca Semenenkę, aż ukończy wydawnictwo swoich kazań, a tymczasem nieustanne deszcze, wiatry i chłód uniemożebniły mię do wycieczek za miasto i nabawiły wielkiego kataru.

26 [sierpnia]. Z Krakowa [wyjechałem] o godzinie ósmej rano. Kraj żyzny, płaszczyzna w dali, od zachodu jakby mgła, przy poziomie jakieś ogniwa karpackie. Pędzi pociąg szybko koło Bochni, przerzyna Dunajec, widzę Tarnów, Rzeszów; od Jarosławia odgałęzia się kolej wschodnia na Sokal, nasza zawraca na południe, poza krętym brzegiem lewym Sanu widzę Przemyśl, granicę Rusi Czerwonej. Tu jeszcze lud prosty mówi czysto, zdaniem Śniadeckiego czyściej niż w innych stronach Galicji, ale dalej ku wschodowi już tylko Rusini. Około piątej dojeżdżamy do Lwowa.

Lwów. Miasto ma wejrzenie miasta nowego, choć starożytne, albowiem po tylu wojnach, napadach tatarskich i pożarach całe prawie odnowione. Jedna jego część na górze, druga schodzi na nizinę. Ulice szerokie, po wielkiej części proste i dobrze zabudowane. Góruje kościół Św. Jura o wyniosłych wieżach, wspaniały, inne kościoły, jak katedra, bernardyński i dominikański, gotyckiej budowy, tak poodnawiane, że zaledwo w części zachowały swój pierwotny charakter, w nich wiele ołtarzy z pozłotą, dobrze utrzymanych, ale pomników, historycznych zabytków nie widać, w jednym zwracają uwagę groby Jabłonowskich. Przed nowym, wspaniałym sejmowym pałacem piękny, otwarty ogród, a środkiem miasta ciągnie się też szeroka przechadzka ogrodowa otwarta, rozłożystymi kasztanami, akacjami i innych gatunków drzewami ocie-

---

[13] Adam Stanisław Krasiński (1810—1891), biskup, uczeń Akademii Duchownej w Wilnie, początkowo pijar, później (od 1835) ksiądz świecki, kaznodzieja katedry w Wilnie (1839), asesor kolegium rzymskokatolickiego w Petersburgu (1853), od 1859 biskup wileński. W latach 1864—1883 więzień carski, po powrocie z Rosji osiadł w Krakowie. Jest autorem wielu dzieł i artykułów.

[14] Wiatka, obecnie Kirow, miasto obw. w RFSRR, nad rzeką Wiatką.

[15] *Słownik synonimów polskich*, 2 tomy, Kraków 1885.

niona. Ale najobszerniejsza, prześliczna przechadzka okrąża Górę Zamkową i po stoku tej góry wspina się wysoko. Z jednego na niej przystanku rozszerza się daleki widok ku Żółkwi i na błonia, na których Jan III zgromił 40 tysięcy Tatarów, odbił jeńce i kraj uspokoił.

Nie myślę opisywać miasta, ale jakże nie wspomnieć o Zakładzie Ossolińskich, który jest chlubą i bogactwem naszego narodu, uratowany po tylu klęskach, kiedy już inne nasze muzea i biblioteki od nieprzyjaciół zabrane zostały. Rozkoszowałem się, zwiedzając bibliotekę 300 tysięcy woluminów liczącą, starannie i systematycznie urządzoną, jako też muzeum osobliwości i choć niewiele malowideł — wszystko, jak i sam pałac, i ogród, dar obywatelski, nie rządowy.

Również cenne i pod wielu względami godne uwielbienia jest dzieło hr. Dzieduszyckiego[16], jego Muzeum Przyrodnicze i Przemysłowe Krajowe. Hrabia ograniczył ten zbiór do przedmiotów wyłącznie krajowych i na to cały swój piękny pałac poświęcił, co mówię, siebie i życie poświęcił, a jest sam znawcą i uczonym przyrodnikiem, wielce pracowitym. Nie dziw zatem, że cała ornitologia nieźmiernie liczna, zwierzęta czworonogie, ryby, owady, minerały nasze znajdują tu systematyczne i w dobrym świetle, gustowne pomieszczenie. Cudownej piękności ogromny okaz soli naszej — w dużych, na 15 do 20 cm śred[nicy] kryształach — zadziwi każdego mineraloga; bursztyn w skale, rudy cynkowe, wykopalisko mamutów i niedźwiedzi zagubionych etc., etc. Byłem zachwycony doborem, układem i liczbą, rozmaitością przedmiotów. Wyborna tu szkoła dla naszych przyrodników i w ogólności dla zamiłowanych w bogactwie krajowym.

O. Semenenko z przyczyny spraw duchownych, które miał do załatwienia, musiał odłożyć wyjazd nasz ze Lwowa do pierwszego września. Dniem zaś pierwej (31 sierpnia[b]) spotkał mię nadzwyczajny, jakiegom się nie spodziewał, zaszczyt. Marszałek sejmowy Zyblikiewicz[17] zaprosił mnie, o. Semenenkę i o. Kalinkę[18] na obiad. Poszliśmy z ochotą, jak się idzie na polski gościnny obiad. Wchodzimy, aż tu w sali marszałkowskiej, ogromnej, ozdobionej sławnym malowidłem unii brzeskiej Matejki,

---

[b] W autogr. pomyłkowo: stycznia.

[16] Włodzimierz Dzieduszycki (1825—1899), ornitolog i etnograf, mecenas nauki, marszałek krajowy Galicji (1876—1877), w roku 1880 założył Muzeum Przyrodnicze.

[17] Mikołaj Zyblikiewicz (1825—1886), działacz polityczny, poseł na sejmy lwowskie, w latach 1872—1880 prezydent miasta Krakowa, galicyjski marszałek krajowy.

[18] Walerian Kalinka (1826—1886), historyk i publicysta (pseud.: Pęcławski, Włościanin znad Wisły, Bronisław Kamiński), pracownik Biblioteki Jagiellońskiej i „Czasu" w latach 1848—1851, sekretarz ks. Adama Czartoryskiego w Paryżu (1851), w r. 1868 wstąpił do zakonu zmartwychwstańców w Rzymie i przyjął święcenia kapłańskie (1870), w 1880 osiadł we Lwowie. Autor licznych artykułów, rozpraw i dzieł historycznych, członkiem Akademii Umiejętności był od r. 1873.

znajduję samego gospodarza w aksamitnym wiśniowym kuntuszu, białym żupanie, przy karabeli, tuż przy nim, w takimże, tylko innych kolorów stroju, prezesa Rady Stanu J. Eks. Smolkę[19], tuż i prezesa miasta[20] i wielu innych obywateli w kuntuszach i żupanach, przy złotych pasach i karabelach, i dwóch arcybiskupów, rzymskokatolickiego i unickiego, w paradnych sukniach. Po serdecznym a wesołym nas przywitaniu wraz [ze] starą wódeczką siadamy do stołu; marszałek miał arcybiskupów przy sobie, mnie po prawej ręce Smolka, po lewej o. Semenenkę. Wnet się tak głośna, wesoła, powszechna rozmowa zaprowadza, takie wylanie się, o jakim może mieć pojęcie ten, co na sejmikach, rokowniach, weselach i polowaniach polskiej szlachty bywał, a gdzie indziej darmo już temu co podobnego szukać na świecie.

Zarumienił mnie zacny marszałek swoim nader chlubnym dla mnie przy końcu obiadu przemówieniem. Nigdy może nie czułem się godnym jakiej pochwały, a cóż dopiero tak zaszczytnego przyjęcia, jak w tym momencie, i choć niegładko, bo nie miałem nigdy pretensji do wymowy, odpowiedziałem, że jeżelim na co dobrego zasłużył, to łaska Boża, a nie moja to zaleta, biorę zaś to nader chlubne i miłe dla mnie przyjęcie[c] za okaz miłości, jaka łączy tę część dawnych ziem polskich ku Litwie i północnej Rusi, z których pochodzę.

Zaraz po obiedzie i ostatnim kieliszku „kochajmy się" poprowadził mię pan marszałek do swoich pokojów, oznajmując mi, że przyszły delegacje od miasta, uniwersytetu i różnych towarzystw do powitania mnie. Jakoż znalazłem salę pełną obywatelstwa. Najprzód przemówił do mnie jeden z radnych w imieniu miasta, za nim rektor (czy zastępca)[21] Uniwer-

---

[c] W autogr.: zajęcie.

[19] Franciszek Smolka (1810—1899), adwokat, polityk, za udział w tajnych spiskach więziony w latach 1841—1845 i skazany na śmierć, potem ułaskawiony, w r. 1848 poseł, w latach 1881—1893 przewodniczący Izby Posłów Rady Państwa w Wiedniu, czyli parlamentu austriackiego, a nie Rady Stanu, jak pisze Domeyko. W autogr.: Smołka.

[20] Wacław Dąbrowski (1823—1887), rzemieślnik. Pochodził z rodziny szlacheckiej z Sandomierskiego. Ukończywszy niższe gimnazjum w Rzeszowie, wybrał zawód lakierniczy i w nim kształcił się w Wiedniu. W 1849 r. osiedlił się we Lwowie, założył warsztat lakierniczy, zyskując swymi przymiotami ogólne poważanie społeczeństwa lwowskiego. Wybrany w roku 1883 prezydentem miasta Lwowa piastował ten urząd do śmierci.

[21] Zapewne prorektor Uniwersytetu Lwowskiego w roku 1885 Edward Rittner (1845—1899), dr profesor prawa kanonicznego na Uniw. Lwowskim, czynny członek Ak. Um. od 1881 r., radca ministerium oświaty od 1886 r., minister oświaty od 1895 r. Rektorem był wówczas Ludwik Kloss (1845—1902), ksiądz dr teologii, profesor zwyczajny teologii na Uniw. Lwow. od r. 1880. Kanonik kapituły lwowskiej, odznaczony honorowym krzyżem papieskim (1883) i innymi orderami watykańskimi. Byłby go Domeyko zapamiętał.

sytetu, w dalszym ciągu przełożony Zakładu Technicznego, prezes Towarzystwa Pedagogicznego (wręczając mi raport z czynności tego Towarzystwa), potem jeden z członków Towarzystwa Literackiego i Sztuk Pięknych (wręczając mi dyplom na członka honorowego tego Towarzystwa) i jeden z zacnych mówców, od któregoś — jeżeli się nie mylę — zakładu. Rad bym był w tym momencie posiadać wymowę wszystkich najwytworniejszych mówców na świecie, ale ta sama żądza, żeby się nie zmylić w wysłowieniu, to naturalne wzruszenie i zupełna niewprawa w improwizacje nie dały mi, jestem pewien, wynurzyć [to], co miałem w duszy. Powtórzyłem tylko, że nie mniemam się być godnym tak wysokiego zaszczytu, jaki mnie spotyka, starałem się tylko zachować przywiązanie do ziemi ojczystej i pełnić obowiązek stanu u obcych, a to powitanie tak wielce zaszczytne i dobrotliwe biorę za objaw miłości, którą ciąży ta część naszego narodu ku dalekim ziemiom Litwy i północnej Rusi, a która przyświecać nie przestanie przyszłości naszej, jaki bądź będzie los i długi rozdział w przeznaczeniu od Boga. W tych mniej więcej słowach odpowiedziałem, uściskając wszystkich po osobno, a tuż huczna muzyka na dole przy publicznym ogrodzie poczęła grać pieśni narodowe i liczna publiczność przechadzała się koło pałacu.

Zmrok począł zapadać, kiedy pojazdem marszałka, z woźnicą w bogatym krakowskim stroju ubranym, wróciłem do klasztoru ojców naszych zmartwychwstańców, u których mieszkałem, cały nie posiadający się z radości i bezwładny przyjść do siebie po tak szczytnej owacji.

1 września. O szóstej rano wyjeżdżam ze Lwowa pożegnawszy szanownego księdza Kalinkę S. J., gospodarza domu. O $5^1/_2$ msza.

Pięknie mi się okazuje ta Galicja zachodnia[22], ziemia dobra; w chatach, w folwarkach zawsze upatrzę coś litewskiego i winszuję sobie, że choć na starość doczekałem się przelecieć przez najdalszą część na zachód[23] naszej Polski. Już jestem nad Prutem, już i Bukowina, Czerniowce[24], piękne ich położenie na wzgórzu. Tu dziś nasz arcybiskup Feliński[25] obrał sobie miejsce na wygnaniu, tu założono uniwersytet dla Rusinów. Ziemia dobra, kraj zielony, lud junacki, azaż to nie dawna dzielnica nasza?

O zmroku dojeżdżamy do granicy Rumunii, dawnych naszych sąsiadów, z którymi byliśmy dobrze i niedobrze, a dziś im lepiej, mają króla

---

[22] Oczywista pomyłka, mowa o ziemiach wschodnich Polski.

[23] Jw.

[24] Czerniowce, miasto stołeczne Bukowiny, obecnie miasto obw. w USRR. W autogr.: Czernowice.

[25] Zygmunt Szczęsny Feliński (1822—1895), metropolita warszawski od r. 1862, z powodu listu do cara w sprawie Polski (1863) zesłany został do Jarosławia, gdzie przeżył lat dwadzieścia, później wyjechał do Rzymu, od 1885 r. przebywał na Podolu, zmarł w Krakowie.

udzielnego. Rewidowano nas na komorze jak niepysznych panów. O północy przybywamy do Bukaresztu. Zmiana pociągu, bierzemy tu bilety na Ruszczuk[26], Warnę do Konstantynopola, kosztują na osobę l[ei] 30. Już widnieć poczynało, kiedyśmy przyjechali do Giurdżewa[27] nad Dunaj. Przeprawa przez rzekę do Ruszczuku więcej godziny nam zabrała, dosyć wygodnie na małym parowcu, tylko na wysiadanie złe urządzenie.

2 września. Z Ruszczuku przejeżdżamy koło Sylistrii[28] i część wschodnią Bułgarii, pustą, nieuprawną, choć zdaje się dobrej roli. Kraj nie takich równin, jak Mołdawia i Wołoszczyzna, odnogi bałkańskie zdają się tu dochodzić, ale lud ma być leniwy, niedbały, przynajmniej w tym naddunajskim paśmie; chaty tak ubogie, że nie do pojęcia, jak w nich wieśniak może przetrwać zimę, miejscami gdzieniegdzie trochę kukuruzy, po bagniskach niemało trzcinniku, bawoły, osły po wygonach.

Około południa jesteśmy w Warnie, na polu, gdzie nasz król Władysław był ostatnim obrońcą wschodniego cesarstwa i głowę swoją położył. Miasteczko niewielkie na brzegu morza i na skłoniu nadbrzeżnym wzgórz zbudowane, port niedobry, ale dziś ważny, najważniejszy może dziś na Czarnym Morzu.

3 września. Żeglugę z Warny do Bosforu mieliśmy szczęśliwą, ale wlażąc na parowiec w Warnie tak sobie zraniłem nogę w miejscu, gdzie przed trzydziestu laty spadł mi w Chañarcillo kamień na tę samą nogę, że nie tylko polało się z niej wiele krwi, ale i puchnąć poczęła. Nie mogłem długo chodzić po pokładzie, żeby się przypatrzyć Czarnemu Morzu, niebo też było niepogodne, deszcz padał, wiatr pod wieczór wzmagał się od wschodu. Wcześnie tedy położyłem się w kajucie, którą mi dano i ojcu Semenence.

Z rana brzęk łańcucha od rzuconej kotwicy obudził mię. Okręt już był na Bosforze; zatrzymał się, a raczej zatrzymano go na cztery dni dla wypełnienia kwarantanny z powodu, że cholera w tych dniach była się okazała we Włoszech i południowej Francji, a przybyło z nami wielu Włochów i Francuzów.

Posłuszny rozkazom sułtana, stał okręt niedaleko Kawaku, zwanego Rumili Kawak, a nieco dalej od Anadolskiego Kawaku, między brzegiem Europy i brzegiem Azji.

Nigdy się nie spodziewałem, że kiedyś będę stał przez cztery dni na Bosforze jakby na straży od okrętów przychodzących ze Wschodu na

[26] Ruszczuk, miasto w Bułgarii.
[27] Giurgewo, Giurgiu, miasto i port w Rumunii.
[28] Sylistria, miasto i twierdza nad Dunajem.

zabór Konstantynopola. Mając na myśli, że tu jest dziś punkt główniejszy w polityce zaborczej, zetknięcie się Wschodu z Zachodem wyobrażałem sobie, patrząc z pokładu w stronę, skąd przybyliśmy, że już nadchodzi nawał pancerników buchających stofuntowymi kulami, a z obu Kawaków krzyżowym ogniem je witają, i nasz okręt austriacki na środku rozjemcą. Cztery dni przeszły na urojonych kombinacjach, które chwilami obudzało w myśli to miejsce, niezbyt malownicze, gdyż po obu stronach tak europejskie, jak i azjatyckie brzegi są górzyste, suche, miejscami skaliste, pionowo ocięte. Tylko Rumili Kawak przedstawia nieco piękniejszy widok godzien fotografowania. Tu bowiem widać przy samym brzegu wiele szalup i kilkadziesiąt domków białych, i dwa minarety białe, wysmukłe. Za nimi lasek i zarośle, dalej góra porosła miejscami krzewiną, a na górze zameczek jakby dla ozdoby, niedaleko od niego widać jeszcze drzewa. Od tego Kawaku zachodzi cypel w poprzek Bosforu i zakrywa wejście na golf Konstantynopolitanii.

7 września o szóstej z rana już wchodził nasz okręt na ten golf sławny z piękności, do którego turyści przyrównywają tylko Rio de Janeiro. W istocie, na pierwszy rzut oka zachwycony byłem wspaniałością widoku. Za wejściem do Golfu, zaraz naprzeciw Bosforu, zachwyca widok starego pałacu sułtanów Gran Serail[29], osłonięty niezupełnie wysokimi cyprysami, przez których czarne wierzchołki przebija się ogromna masa białych murów i kopuł. Ponad tym pałacem góruje kopuła Św. Sofii z czterema wysokimi minaretami, a dalej podnoszą się liczne meczety najeżone minaretami coraz wyżej i wyżej, osadzone w ogromnej masie domów rozmaitej formy i wielkości, tak skupionych i powikłanych ze sobą, że trudno je z dala oddzielić ani rozeznać ulic, kędy przechodzą. Od tej głównej części stolicy, zwanej Stambułem, po prawej stronie wieża genueńska i mniej szeroka część miasta stanowią Galatę, ponad którą podnosi się też do góry nowsze przedmieście Pera. Stambuł od Galaty oddziela piękna odnoga golfu, zwana Rogiem Złotym, na niej dwa mosty i mnóstwo okrętów. Poza brzegiem zaś północnym ciągnie się szereg pięknych pałaców, mieszkania letnie baszów i ambasadorów, Terapia, Bajukdery, prawie do samego Rumili Kawaku. Po lewej zaś stronie od południa, na azjatyckim brzegu widać szereg prawie nieprzeliczonych domów, koszar i szpitali, stanowiący część miasta zwaną Skutari i które zachodzą poza Stambuł.

Owoż ten rozległy golf Konstantynopolu dokoła opasany jest miastem, że zaś całe miasto zbudowane jest na brzegach i na spadzistościach gór od strony tegoż golfu, wynika stąd, że ze środka golfu jednym rzu-

[29] Wielki Seraj.

tem oka dokoła widać całe miasto, któremu wielość meczetów, starych i nowych pałaców i nowszych koszar, szpitali i minaretów nadaje pozorną wspaniałość. Braknie jednak tu zwrotnikowego nieba i zwrotnikowej roślinności, którą się pyszni Rio de Janeiro, a której nie są w stanie zastąpić smutne cyprysy. Daleko im, sucho tu rosnącym na cmentarzyskach wśród miast, do owych palm i bananów, które z taką obfitością zdobią stolicę Brazylii, gdzie całe góry pokryte są zielonością, a na ów Pan de Azucar pnie się aż do szczytu las potężny.

Przyznam się jednak, że na pierwszy widok Konstantynopola, u wejścia na jego ogromną zatokę ze wszystkich stron otoczoną miastem tak byłem zachwycony, że wsiadłem na czółno, zapomniawszy na okręcie zegarka z mojego ojca pierścieniem, co nigdy przedtem mnie się nie zdarzyło. Jakie zaś było moje odczarowanie, kiedy wysiadłszy na Galacie weszliśmy do miasta i obaczyłem wąskie, kręte, brudne, błotne uliczki i domki niechlujne, ludność oszarpaną, tego opisać niemiło i nie warto. Co gorsza, przy wylądowaniu wielce niewygodnym i na bruku z nabitych kamieni złożonym pogorszyła się rana na nodze i wielki ból uczułem.

Przypomniałem sobie, jak długo musiałem się leczyć temu 35 lat w Santiago, kiedy na tej samej nodze było podobneż zadraśnięcie. Cóż począć? Przypadkiem mój dawny z listowych stosunków znajomy chemik Schuchhart w Görlitz napomknął był w rozmowie, że w Konstantynopolu jest syn Polaka, Bąkowski[30], aptekarz-chemik nadworny sułtana. Wołam drogmana[31] i każę wywiedzieć się, gdzie mieszka ten dygnitarz. W godzinę jedziemy do niego jako do rodaka. Znajduję go w czerwonej czapce tureckiej, ale bardzo uprzejmego. Przyjmuje mnie też najgrzeczniej żona jego i rodzina. Po niedługiej odwiedzinie poznaję, że pan Bąkowski, syn od 1817 roku osiadłego Polaka, choć nie mówi po polsku i nie ma kraju, jest duszą Polakiem, a do tego [jest to] człowiek dobrze wychowany, katolik, a z godności bej (pułkownik). Proszę go tedy, aby mi do hotelu „Bisance" przysłał jakiego dobrego lekarza.

Zaledwo wróciłem do rzeczonego hotelu, przyjeżdża Bąkowski z lekarzem wysokiej rangi, bejem, który był lekarzem en chef[32] czasu ostatniej wojny w Adrianopolu. Natychmiast obejrzał mi nogę, zalał arniką[33] i octanem ołowiu, obandażował i kazał spokojnie siedzieć z podniesioną na kanapie nogą. Proszę tedy sobie wyobrazić, jakie musiało być moje

[30] O Bąkowskim jako sturczonym Polaku wspomina J. Polak, *Z wycieczki na Wschód*, „Tyg. Ilustr.", 1891, nr 84, s. 86. W autogr. pisownia różna: Bąkowski, Bonkowski, Bońkowski.

[31] dragoman (ang.), drogoman (ar.), drogman (fr.) — przewodnik.

[32] Tzn. naczelnym.

[33] arnika (gr.) — roślina pomornik, sok z niej używano jako lek przy stłuczeniach.

zmartwienie. Siedzę tak dzień i drugi — coraz gorzej. Na trzeci dzień już na dobre puchnąć poczęła, a szanowny bej-lekarz nie żartem bandażował ją i okręcał pęcherzem. Widząc, że się to na długo zanosi, a ja nie leżeć na kanapie do Stambułu przyjechałem, poszedłszy za łaską Bożą po rozum do głowy, odrzucam bandaże i wszystkie przyrządy i w godzinę potem widzę, że odeszła puchlina i ból ustał. Przypomniałem sobie mego kuma Don Pepe, który na wszelkie zranienia radził arnikę.

Już na czwarty dzień było lepiej, mogłem chodzić i pojechałem z moim bejem Bąkowskim i drogmanem na Skutari, do meczetu tańcujących derwiszów. Noga sama zagoiła się i miałem czas do zwiedzenia stolicy ottomańskiej.

Z mostu na Rogu Złotym mały parowiec we dwanaście minut przerzyna zatokę aż do brzegu Azji, do Skutari, okrążając Wielki Seraj Stambułu, jakby dla okazania jego dawnej wspaniałości. Najuboższą część stolicy stanowi Skutari. Domy liche, czarne cyprysy, a wzgórza, które się zaraz od brzegu podnoszą, są suche, nieuprawne. Miejscami widać na nich domki porządniejsze, jakby letnie mieszkania, wszystkie prawie opatrzone gankami na zewnątrz i kratami na oknach.

Drogman zawiózł nas daleko w góry, aby z wierzchołka jednej z nich pokazać Konstantynopol. W istocie, z punktu, którego żaden z dobrych turystów nie ominie, jednym rzutem oka objąłem całe miasto. Na środku podnosi się najstarsza jego część — Stambuł, tuż przy nim meczet Agio Sofia, dalej Soliman W., ogromna masa murów najeżonych cyprysami i minaretami; od północy Galata i Pera oddzielone od starego miasta zatoką Rogu Złotego, od wschodu Bosfor i pobrzeżne pałace Terapii, Bujukdery, od zachodu [morze] Marmara[d] i Wyspy Książęce, od południa górzysty ląd Anatolii.

Napatrzywszy się na ten prześliczny obraz spuściliśmy się koło trzeciej po południu do meczetu derwiszów, właśnie kiedy poczynali odprawiać modły swoje. Było ich tam dziesiątek siedzących rzędem na ziemi, kiwających się i w głos odmawiających swoje pacierze, nieco monotonnie, jakby żydzi w synagodze. Meczet jak zwyczajna izba drewniana, kwadratowa na 9 do 10 m średnicy. Na ścianach zawieszone okrągłe bębenki, a od wschodu w ścianie framuga, taka jak we wszystkich meczetach, zwana mihrab, wskazująca stronę, w której leży Mekka. W tej framudze pobielanej dostrzegłem pałasz i drugi miecz z kształtu do puginału podobny i wiele mniejszych pozawieszanych przedmiotów, nie mogących się rozpoznać. Nad owym mihrabem, na ścianie po prawej stronie, anagramat[34] Boga, po lewej Proroka, z boku zaś na dywanie

---

[d] W autogr. stale: Marmora.

[34] anagramat — inicjały lub inne litery czy sylaby przestawione z właściwego imienia.

siedział stary Turek biało ubrany z białym turbanem, przy nim siedział drugi, czarnych dużych oczu, z czarną brodą, półwieczny, czarno ubrany, z czarnym zawojem. Ten ostatni przewodniczył modłom, choć pokłony i oznaki poważania odbierał biały. Cała izba, okna i podłoga brudne były, niska drewniana krata oddzielała modlących się od widzów. Nikt na nas nie uważał, kiedyśmy weszli, usiedliśmy na ławeczce.

Godzinę trwały prawie jednostajnym głosem odmawiane modły, choć nieco bardziej krzykliwe, gardlane. Tymczasem schodzili się pobożni, jedni w ustroniu przy ścianach siadali, drudzy przyłączali się do modlących się derwiszów. Jeden tylko, szaro ubrany, stał ciągle i posługiwał niekiedy w jakichś ceremoniach, pełniąc niby obowiązek podrzędnej godności. Około czwartej widać było jakąś zmianę w obrządku. Czterech poważniejszych siadło na środku izby na dywanach, a ów czarny przystąpił do dziesięciu od początku głośno modlących się, z każdego zdjął zawój, a włożył na głowę białą, lekką płócienną czapeczkę. Toż samo uczynił z przybyłym ogromnej wysokości barczystym Murzynem, o którym dowiedzieliśmy się, że był z dworu samego sułtana, i który zajął miejsce między tak przystrojonymi w białe czapeczki derwiszami.

Tu się już rozpoczęły modły na wyższy ton i krzykliwsze, nawet zarywające na śpiew bez żadnej melodii. I w tymże czasie wychodzi na środek młody, wysoki, bladej przyjemnej twarzy, prosty, kształtnej figury (może dwudziestoletni) w szarym kołpaku, szarej rozpiętej kurtce i białej, wąskiej u bioder, a szerokiej u spodu spodnicy Turek i poczyna kręcić się* przed mihrabem. Miał prawe ramię od łokcia podniesione do góry, a lewe ramię wyciągnięte poziomo i w tej posturze lekko i dość nadobnie kręcił się tak szybko i jednostajnym ruchem, że ja z zegarkiem w ręku liczyłem 60 skrętów jego na minutę.

Trwało to więcej kwadransa, kiedy z podwórza przyszedł kręcić się drugi derwisz, starszy i poważniejszy od pierwszego, mo[że] czterdziestoletni, w białym zawoju, biało ubrany i kręcił się z obu podniesionymi ramionami do góry, z podniesioną też do góry głową i nieco przymrużonymi do góry oczami, jakby natchniony ofiarnik. Ale kręcił się powoli, tak że na każdy jego skręt dwa czy trzy razy wkoło obracał się ów młody szarak w spodnicy, każdy z nich na jednym miejscu jak wrzeciono.

Wtenczas już ów chor dziesięciu derwiszów wrzeszczał na pełne gardło, podskakiwał, kręcił głowami; starsi, też siedzący na ziemi, jakby do dania im i kręcącym się otuchy podnosili od czasu do czasu wrzask, kiedy się wolnieć zdawał. Między wszystkimi celował ów olbrzymi Murzyn, z którego pot lał się strumieniem po szerokich bakach**. Młody

* Od prawej strony na lewo.

** Z początku derwisze modlili się siedząc na ziemi i kiwając głowami jak Żydzi, potem już stojąc uchylali się, dygali, podskakiwali, trzęśli się.

derwisz nie ustawał w ruchu, choć już od pół godziny kręcił się na jednym punkcie, tylko już nie 60, ale mniej cokolwiek, 51, 56 skrętów robił na minutę, starszy zaś dotrzymał jednostajnie do końca.

Jednym razem cały chor krzykliwych derwiszów ucichł, jakby go nie było, młody ów po półgodzinnym kręceniu się zatrzymał się i odszedł spokojnie, nie okazawszy na sobie najmniejszego znaku znużenia czy zawrotu głowy, i toż samo uczynił jego starszy kolega.

Niektórzy obecni tym obrządkom cudzoziemcy śmieli się z nich i dowcipkowali. Dla mnie były wyrazem i oznaką tak szczerej i silnej — choć błędnej — wiary, że nic w nich śmiesznego ani zabawnego nie widziałem. Cieszyłem się, patrząc na tych ludzi, że tak mozolnie chwalą Boga i myśliłem, o ile są wyżsi od dzisiejszego wieku cywilizowańszych bezbożników i do jakiej ofiarności z siebie pochopnym był[by] ten lud na cześć i chwałę Bożą, gdyby go oświeciła prawda Chrystusa.

11 września. Dziś piątek, jakby niedziela islanizmu. Sam sułtan jedzie do meczetu modlić się — i cóż z tego? Nie jest że on wyznawcą Mahometa? Cóż w tym dziwnego, że jedzie sułtan modlić się?

Mój bej powiedział, że to wielka uroczystość jeden raz na tydzień, Jedziemy, mój drogman na kozłach, ja z ks. Gaje[w]skim i bejem w karecie. Mnóstwo konnych, pieszych i powozów. Cztery bataliony piechoty tureckiej, dwa szwadrony konnicy, sapery, artyleria. Cudzoziemcy przez konsulów swoich otrzymują bilety, żeby gdzie umieścić się dla widzenia, jak sułtan idzie modlić się.

Więcej pół godziny drogi było do meczetu nad brzegiem Bosforu, dokąd zapowiedziane było przybycie sułtana. O pół do jedynastej już były zajęte miejsca naprzeciw meczetu w niewielkiej galerii, w której znaleźliśmy oprócz angielskich turystów i wystrojonych dam wielu baszów i dekorowanych wojskowych. Między nimi pokazano mi młodego od kawalerii dowódcę, w czarnym kołpaku, raźniejszego wejrzenia baszę, syna niecnej pamięci Czajkowskiego.

Przybyli też w karecie dwaj młodzi synowie Osman baszy[35] i jeden młodzik udekorowany ze swoim guwernerem, jakoby syn sułtana, dla których wszyscy byli z uszanowaniem.

Uszykowało się wojsko i cała publiczność. Mały trójkątny plac oddzielał nas od meczetu, którego drzwi były otwarte, a przy drzwiach stał niepoczesny parokonny wózek płótnem przykryty, na którym były przyrządy do ablucji sułtana przy modlitwie, a który bynajmniej nie odpowiadał świetności przyborów.

---

[35] Nuri Basza Chadżi Osman (1837—1900), generał turecki, w latach 1878—1885 i w 1891 minister wojny.

Muzyka grała na zabój, już uliczki i wszystkie przyległości meczetu napełniał lud, a niezliczone powozy stały daleko. Czekamy godzinę, jedną i drugą. Już jedzie — wielkie zamieszanie — Sułtan! — gdzie tam! — bieży lud wszystek ku Pera jakby uciekał; na przedzie chłopcy z miotłami i wozy z baryłkami wody do polewania, za nimi ów parokonny wózek spod meczetu do ablucji ruszył, przeciskając się przez tłumy. Basza czy nie basza, turyści i goście, każdy do swego konia czy pojazdu; muzyka grać przestała, szwadrony i bataliony trąbią do marszu.

Cóż za przyczyna? Niełatwo było dopytać się. Oto sułtan dał wiedzieć, że teraz nie pojedzie do meczetu, przy którym go czekano, ale do drugiego, za arsenałem na górze, o pół godziny niedobrej drogi. Trzeba było widzieć, jaka to była zawierucha, mieszanina ludzi śpieszących się z ciekawością do drugiego meczetu, ile potem kosztowało komenderujących uszykowanie żołnierzy, piechoty, kawalerii i artylerii, a sułtan jeszcze nie przyjeżdżał modlić się. Słońce dogrzewało, policja odpychała lud, nikt się nie skarżył.

Ten drugi meczet stoi na otwartym wzgórzu, niedaleko od arsenału, w stronę, skąd cesarz przyjeżdżał ze swego letniego pałacu. Około drugiej ukazała się piękna kareta z zasłoniętymi oknami, w niej jechały żony sułtana. W kwadrans potem — muzyka, podwójny okrzyk żołnierzy, dziesięciu baszów stanęło w linii na ulicy przy wejściu do otoczonego murem meczetu. Przejechał koło nich w na wpół odkrytym pojeździe sułtan; dwóch tylko adiutantów na przedzie siedzących zoczyliśmy.

Jeżeli do pomodlenia się raz na tydzień w meczecie tyle panującemu wystawy, namysłu i zachodu trzeba, ileż do załatwienia spraw w zagrożonym dziś wewnątrz i na zewnątrz państwie? A jednak jakaż uległość, cześć i uszanowanie dla osoby.

Tegoż dnia zdarzyła mi się sposobność poznania jednego z najcelniejszych ludzi stanu dzisiejszego ottomańskiego rządu. Lat temu pięćdziesiąt lubił siadywać przy mnie na ławce Szkoły Górniczej w Paryżu dwudziestoletni piękny, rumiany, czarnych oczu, szlachetnego ujęcia Turek, z którym często o nauce i publicznych sprawach rozmawialiśmy. Po moim wyjeździe do Ameryki ten mój szkolny towarzysz wyszedł prędko na baszę, sprawował poselstwa przy dworach i wyższe urzędy w Stambule, był wezyrem[36], a dziś jest ministrem spraw zewnętrznych. Jest to ten Edhem basza, którego dziś uważają za jednego z główniejszych poradników cesarza.

Przez mojego, już przyjaciela, beja i kogoś tam przy dworze dowiedział się Edhem o moim przybyciu i oświadczył, że rad by był mnie widzieć. Prosto więc spod meczetu pojechałem z bejem i ks. Gaje[w]skim odwiedzić baszę w jego letniej rezydencji.

[36] wezyr — minister.

Droga idzie poza brzegiem Bosforu w stronę ku Terapii. Przejeżdżamy koło wielkiego nowo zbudowanego pałacu, gdzie się mieści muzyka sułtana, około niewielkich dwóch czy trzech meczetów i koło ogromnego cesarskiego pałacu z przepyszną żelazną balustradą, wystawną, arabskiego nieco stylu bramą i wysokim murem otoczonego pałacu, gdzie ostatniego sułtana zamordowano i odtąd był zamknięty, choć nie bez straży. W pięknym pałacyku z ogrodem, na samym brzegu Bosforu, mieszkał basza Edhem. Przystęp łatwy, choć niemało było sług świetnie przystrojonych. Za okazaniem mu karty mojej wizytowej — zaprosił. Z dużego, jakby jadalnego pokoju weszliśmy do ozdobnie w europejskie meble przystrojonego salonu, którego okna wychodzą na Bosfor. Uprzejmie przyjął mię basza minister, bez żadnych dekoracji, w paryskiego kroju tużurku i tylko zwyczajnym muzułmańskim fezie. Usiadł na dywanie, nam krzesła podano.

Choć włos pobielał dawnemu uczniowi Szkoły Górniczej, twarz jego zachowała szlachetne rysy młodości. Grzeczność jego naturalna, pełna godności, przypominająca ujęcie dawnej, wysokiego tonu szlachty. Z otwartą przyjemnością przypominał nasze szkolne lata, rozpytywał się o dawnych uczniach i nauczycielach. „Ainsi mr Domeyko, de vivants nous ne restons que vous, moi et notre illustre Daubrée de ce temps là"[37].

Przedstawił mi uprzejmie młodszego syna, który ledwie co powrócił z górniczej szkoły berlińskiej, mówi dobrze po niemiecku i zajmuje się geologią. Wbiegły potem do salonu dwie małe cztero- czy pięcioletnie dziewczynki, bardzo piękne, po parysku wystrojone, i rzuciły mi się w objęcie. Widać było w tym momencie rozweselenie baszy. „Ce sont me petittes-filles, mr Domeyko"[38] — ściskał i całował je.

Podano potem kawę, zwyczajem tureckim, w malutkich filiżankach. Rozmowa ciągnęła się więcej godziny, toczyła się urywkowo w przedmiotach naukowych, społecznych i przemysłowych, nie dotykając prawie polityki. Widać było, że basza obeznany był z postępem umiejętności, nauk i nowych ulepszeń administracyjnych europejskich i że w mniemaniu przychylał się raczej ku Niemcom niż ku Francji. Widać było z jego twarzy, jak mu przyjemnie było słyszeć rozmawiającego płynnie niemieckim językiem syna swojego z ks. Gajewskim. Cenił jednak wysoko uczonych Akademii paryskiej, posłał w tych dniach telegrafem powinszowanie stuletniemu panu Chevreul. Zdawał się unikać wspomnienia o dzisiejszych rządzących Francją republikanach. Mianowany wkrótce

---

[37] „I tak, p. Domeyko, pośród żyjących zostajesz tylko pan, ja i nasz sławny Daubrée z tych czasów".

[38] „To są moje wnuczki, p. Domeyko".

ambasadorem w Paryżu, nie przyjął tej dostojności, a może mu było potrzeba jej nie przyjąć.

Kiedym mu powiedział, że udaję się do Jerozolimy, przyjął to moje oświadczenie z poważaniem i ofiarował mi dać list zalotny do baszy wielkorządcy jerozolimskiego. Pożegnał mię uprzejmie z życzeniem, że rad by mnie jeszcze obaczyć, i przeprowadził do przedsalonu. Tegoż dnia przysłał do mnie, do Hotelu Bizanckiego, z wizytą syna swojego, dr Halil Edhema[39] bej, który nie znalazłszy mnie, zostawił bilet i fotografią ojca swojego.

11 września. Przeznaczyłem ten dzień na zwiedzenie Stambułu i jego meczetów w towarzystwie zacnego beja Bąkowskiego, z którym się już byłem zaprzyjaźnił, i mego drogmana Athanase Tsakiriadi. Nie myślę opisywać miasta, które już po tylekroć przez dobrych podróżników było opisane, ograniczę się do moich pobieżnych notatek i wrażenia, jakiego doznałem.

Z Pera, na zejściu do Galaty, zadziwia mię naprzód przy wielkiej ulicy obszerny cmentarz turecki nie ogrodzony, niezliczone płyty kamienne pionowo sterczące z turbanami i fezami kamiennymi na wierzchu, niektóre pochylone lub powywracane, a między nimi czarne ogromne cyprysy, jakby tu już był koniec miasta. Na tym cmentarzu może już od stu lat przestano grzebać i miejsca na to nie zostało, ale groby leżą nietykalne. Ulice ciągną się dalej, kręte, nieporządne, dochodzą do wielkiego mostu na Złotym Rogu, skąd na prawo i lewo wspaniały odsłania się widok na okręty, a przed nami — Stambuł.

Na tym moście szerokim, wysoko nad wody Złotego Rogu podniesionym, widzę już obraz jakby z tysiąca i jednej nocy — ruch wielki, czerwone fezy, białe, czarne i rozmaitej barwy turbany, długie aż do nóg, pąsowe, błękitne i rozmaitej pstrociny suknie, poważne, choć nie jednakich, czarnych, śniadawych, nawet i białych twarzy postacie, między nimi w lżejszych ubraniach ruchawsze czeredy Kurdów, Argonautów, biało od głów do nóg osłonięte, z zakrytymi twarzami snujące się kobiety, tuż i wielbłądy, muły, a zaledwo się ten most przekroczy, ukazuje się islamizm i jego rządy w całym ustroju tej części starego miasta, która już od tylu wieków została stolicą państwa. Jest to ten sam, co i dolnej Galaty, labirynt ciasnych, stromych, krętych, brudnych, gęsto zaludnionych uliczek, domy z wystyrkłymi gankami bardziej jeszcze uciemniają, ścieśniają przejścia, a okna przykryte kratami dają im wejrzenie i charakter niewoli. Mrowisko ludzi i źwierząt tym bardziej tłumne, ruchliwsze wydaje się, im brzydszy, ciaśniejszy zaułek. Domy rozmaitego kształtu i wielkości; przy murowanych drewniane,

[39] Zapewne Edhem pasza (1851—1909), genereł turecki, uczestnik wojny rosyjsko-tureckiej (1877), późniejszy gubernator Krety.

stare, nadpsute, przy progach kupy śmieci, kramki, a częstokroć i bogatsze składy towarów lub kosze z owocami i ogrodowizną, lub tuż u drzwi warsztaty szewskie, stolarskie. Wszystko pomieszane, bez ładu, porządku; co krok to jakaś zawada, to wielbłądzią głowę masz nad karkiem kiwającą się, mruczącą, to psy pod nogami, to ujuczone oślęta przeciskają się zastępując drogę żebrakom, dzieciom domagającym się jałmużny.

Jedna nieco szersza i prostsza ulica prowadzi nas do Starego Seraju, leżącego na kończynie miasta objętego z jednej strony poczynającym się tu morzem Marmara, a z drugiej odnogą Starego Rogu.

Mój towarzysz bej chciał mi zacząć od pokazania tej głównej, najstarszej i najogromniejszej dzielnicy Stambułu, którą zowią Wielkim czy Starym Serajem, otoczonej wysokim od strony lądu, u góry ząbkowato nacinanym murem, a powoli spuszczającej się klinem do Bosforu. Tam — mówił mi bej — jest pałac, dawna rezydencja sułtanów, tam i harem dziś opuszczony, i świetne ogrody, szkoły, łaźnie, nawet kościół dawny Św. Ireneusza, zamieniony dziś na arsenał, i biblioteka.

Wjechaliśmy tedy przez wielką bramę, u której straż była, do owego Seraju. Wysiedliśmy, ale tak mi się okazało to miejsce smutne, opuszczone, budowle pozamykane, miejscami gruzy, grunt nierówny, odwieczne cyprysy bez porządku z epoki świetniejszej ottomańskiej pozostałe, miejscami rozłożyste jawory — wszystko tak w nieładzie, że odłożywszy na inny czas powolniejsze zwiedzenie tej części Stambułu i obejrzawszy ją na zewnątrz, wolałem prędzej pośpieszyć do przyległego meczetu Sofii, który od przybycia do Konstantynopola był głównym przedmiotem i celem mojej ciekawości. Dodam tylko, że obraz, w jakim mi się ukazał na wewnątrz ten Wielki Stary Seraj, który od strony Bosforu wydawał mi się jakby najwspanialszym ze wszystkich i królewskich rezydencji europejskich, zostawił mi po sobie wrażenie jakby opuszczonego od dzisiejszych rządców państwa lub rychłego upadku.

Tą myślą opanowanego przywiódł nas drogman do drzwi wielkiego meczetu Sofia. Zdziwiłem się, że na zewnątrz nie okazał mi się tak wielkim i wspaniałym ten, po tysiącu latach służby Chrystusowej od czterech wieków na islamizm zabrany, pierwszych cesarzy greckich kościół, jakem sobie wyobrażał. Spostrzegłem, że przybudowane do niego ze wszystkich stron rozmaite budowle, szkoły, szpitale, kuchnie, grobowce, mieszkania rozmaitego gatunku zakryły jego zewnętrzny ustrój, tylko wierch potężnej kopuły góruje, ukazuje się spod owych zabudowań.

Wiadomo, że Konstanty W. w 330 r. po Chrystusie zbudował na tym miejscu kościół poświęcony nie Św. Zofii — jak się pospolicie mniema — ale Mądrości Bożej: A g i a S o p h i a, i że pod tymże samym

wezwaniem, gdy ten kościoł w czasie zaburzenia w 532 [r.] zgorzał, wystawił na tymże samym miejscu cesarz Justynian obszerniejszą świątynię, która dotąd została, a w której budowaniu chciał Salomona przewyższyć. Z owej pierwszej budowli drzwi tylko kościelne brązowe zostały i na nich krzyż grecki, a kościoł, dzisiejszy meczet, zowią dziś Turcy i chrześcijanie Sofia lub Aggio Sofia[e].

Cztery minarety, niemiłego dla nas wejrzenia, wznieśli na czterech rogach tego meczetu Turcy, a u drzwi niemało ich stoi na straży. Wchodzi się do niego nie prosto z ulicy, ale — jak w najdawniejszych bazylikach rzymskich — do obszernej, na całą szerokość kościoła przedsieni (perystylu), gdzie nam kazano zdjąć obuwie, a włożono duże, brudne papucie. Wyznaję, z takim wewnętrznym wzruszeniem czci i uszanowania wszedłem, żem nie uczuł w tym przepisie ogólnym tureckim dla chrześcijan poniżenia, i z ochotą zdjąłem obuwie, pomnąc na cześć, z jaką przez tyle wieków w tymże przybytku niesiona była Bogu ofiara Ciała i Krwi naszego Zbawiciela.

Cóż dopiero, kiedym stanął we środkowych drzwiach, z których jednym rzutem oka ogarnąć mogłem wnętrze wspaniałej budowy, która w ogóle (co w niej jest murem i kamieniem) nietkniętą została. Obszar w niej z przyczyny, że nic na środku jej oku nie zawadza, większym się mi wydał niż wnętrze kościoła watykańskiego, wyjąwszy tak nazwane absydy[40]. Ta część, nad którą kopuła wznosi się, jest kwadratowa jak w innych wielkich meczetach, a wspaniałością jej jest ta kopuła, mająca 115 stóp średnicy, a do 180 stóp wysokości sięgająca.

Ta kopuła u góry zamknięta, przeto ciemnawa, przymglona, podnosi ku sobie myśl i pobożne uczucie przychodnia; trudno się od niej oderwać, choć starych mozaikowych ozdób na niej oko rozeznać nie może. Okazała mi się [ona] — że użyję słabego, jakie mi się nadarza, wyrażenia — jakby nieźmierną czaszą potężnej głowy, w której zawarta Mądrość Odwieczna patrzy cierpliwie do czasu na obrządek czci fałszywego proroka, przyjmując pomimo to ojcowskie wołania do siebie obłąkanego ludu.

Więcej sta olbrzymich kolumn marmurowych i porfirowych z Efezu[41], z Palmiry[42], z licznych pogańskich świątyń przyniesionych podpiera dokoła tę środkową część i poboczne skrzydła, i galerie tak szerokie, że

---

[e] W autogr.: Adzio Sofia.

[40] absyda (gr.-łac.) — sklepienie w bazylikach.

[41] Efez, w starożytności jedno z dwunastu miast jońskich na zach. wybrzeżu Azji Mn. ze słynną świątynią Artemidy, obecnie — wioska Ajasoluk; wykopaliska od roku 1868.

[42] Palmira, starożytne miasto w Syrii, zburzone w 744 roku n. e., obecnie wieś Tedmur.

same przez siebie stanowić mogły wiele bocznych kościołów i mieścić w nich tysiące ludu.

Wpatrując się w ustrój dzisiejszy meczetu Sofia widać w głębi, gdzie dawniej był wielki ołtarz, dziś tylko okno niewielkie i opróżnione miejsce, a o parę metrów na lewo od niego niepoczesną framugę w ścianie, pobielaną, niczym nie przyozdobioną, ku której modliło się kilkuset rzędami na ziemi siedzących, twarzą ku niej obróconych Turków. Ta mała framuga — objaśnił mi to bej — jest takaż sama co i po wszystkich choćby najuboższych, mihrab, służy na znak wierzącym, w której stronie ku wschodowi leży Mekka, grób Mahometa. Lecz co mię bardziej zastanowiło, to że w kierunku ku temu mihrabu, na ukos ułożone na ziemi były maty czy słomiane cieńkie rohoże[43], którymi cały meczet był pokryty; w tymże kierunku na wskróś (nierównolegle do ścian kościoła) była urządzona duża złocona galeria dla sułtana i jego żon i po drugiej stronie kazalnica i wszystkie przyrządy tak ukośnie ułożone, jak gdyby trzęsieniem czy inną jaką straszną katastrofą. Skrzywił się był na swych podwalinach ku wschodowi dawny kościół i odwrócił się, by nie patrzeć na swe owdowienie.

Toteż jakby w żałobie odarte z obrazów i posągów, z krzyżów i ozdób kościelnych ściany mają tylko na sobie porysowane na górze, po prawej stronie mihrabu, anagram Boga (Allach), po lewej Mahometa, po bocznych ścianach podobneż pierwszych kalifów, a poniżej okrągłe tarcze ze złoconymi napisami wyjętymi z Koranu.

Z pobocznej lewej nawy weszliśmy na boczne skrzydła meczetu nie po schodach, ale krytym korytarzem w górę idącym tak powoli podnoszącą się drogą z ziemi ubitą, że po niej — jak powiadał drogman — wielki sułtan może na koniu wjechać do swojej trybuny.

Na tych bocznych skrzydłach były zapewne boczne kaplice, dziś zupełnie obnażone są ich ściany pobielane, podłoga ceglana, zapylona. Przyprowadzają tu niekiedy tureccy bakałarze swoje szkółki, a wszystkie znaki czci Chrystusowej jak najstaranniej zostały poniszczone. Pomimo tej staranności dostrzegliśmy na jednym filarze u góry nie dosyć zatarty i wapnem zabielony krzyż, co przypomniało mi dzisiejsze świętokradzkie niszczenie krzyżów po paryskich szkółkach.

Była to godzina (druga — trzecia) modlitwy, na którą mahometanie trzy, a nawet pięć razy na dzień do swoich meczetów przychodzą. Nie mogę powiedzieć, aby był przykry czy nieprzyjemny szmer, gruchotanie i momentami niejaka śpiewność modłów, od których echo rozchodziło się po rozległej świątyni. Chodziliśmy po niej swobodnie, posuwając się ku samemu mihrabu, a to bynajmniej nie turbowało modlić

[43] rohoże — rogoże, plecionki.

[się] siedzącym — jakem powiedział — rzędami na ziemi i kiwającym nieustannie głowami muzułmanom. Było i kilka kobiet na uboczu modlących.

Odchodząc, rzuciłem wzrokiem na wnętrze meczetu Zofii i zwróciłem uwagę na sposób jej oświetlenia. Zdaje się, że nie używają do tego świec, ozdobnych lamp ani gazu; tysiące małych lampeczek widać pozatykanych na wszystkich stronach, pająki składają się z okrągłych (żelaznych?) obręczy, na których też niezliczona jest liczba lampeczek, a na tychże sznurach, na których wiszą, widać — jakby co szacownego — mnóstwo jaj strusich. W końcu, podniósłszy raz jeszcze pożegnalnie oczy, spostrzegłem na narożnych sklepieniach dwa jakieś malowane skrzydlate prawie straszydła. Wytłumaczył mi mój zacny przewodnik, że były to dawne mozaiki, których nie chciano zniszczyć ani zamazać, bo były wielkiej wartości, dodano więc tylko, przymalowano skrzydła, mając może na uwadze, że takowe anioły czy geniusze nie będą miały nic takiego, co by się nie zgadzało z wiarą i nauką Mahometa.

Niewiele kosztował bakczysz dla odźwiernych malabów, niższego rzędu księży tureckich, a wolność, [z] jaką bez żadnych przeszkód mogłem zwiedzić Agia Sophia, najcenniejszy przedmiot dla mu[zułmanów] w Stambule, już jest dowodem tolerancji ottomańskiej dla chrześcijan. Niedawno jeszcze tylko za pozwoleniem wysokich dostojników Porty wolny był przystęp i bardzo ograniczony do tego meczetu.

Pierwej nim do innych meczetów obróciliśmy drogę, zaprowadził mnie bej do niedaleko stąd [położonego] Narodowego Muzeum, przy którym też znajduje się szkoła turecka sztuk i rzemiosł dla ubogich czy osieroconych chłopców. Widać było w tej szkole warsztaty stolarskie i inne, uczniowie nie tak brudni jak wielka ilość ulicznych. Co zaś do Muzeum, to się nic w nim innego nie widzi, jak tylko zbiór dawnych i niektórych teraźniejszych ubiorów muzułmańskich, używanych na dworze sułtańskim, w wojsku i między wyższymi urzędnikami. Nieprzyjemne wrażenie na zwiedzających to Muzeum robi, a tylko ciekawość zaspakajają szeregami tam ustawione, naturalnej wielkości, z pomalowanymi twarzami, jakby żywe drewniane figury rozmaitej postaci sułtanów, wezyrów, baszów, janczarów, nawet stróżów haremowych, tak postrojonych, jak byli za życia. Pomimo wielkiego bogactwa i orientalnej wytworności ich szat, wielkiej rozmaitości w zbrojach, orężach i w postawie, jakie im nieszczególni zapewne artyści trzymający się historycznej prawdy nadać usiłowali, brzydki to obraz ottomańskiej przeszłości to Muzeum przedstawia. Najbrzydsze z figur, odrazę jakąś sprawujące, są owych zbezczeszczonych posługaczy haremu ślicznie wystrojonych, a bardziej od innych przedmiotów zwracają ku sobie uwagę postacie,

uzbrojenia i ubiory janczarów, którzy tylekroć ustrzyśli dążące już do upadku państwo, byli jego siłą i postrachem ościennych. To jednak pewne, że obok owych stalowych zbroi i hełmów, i ciężkiej broni, którymi się pysznią europejskie muzea średniowiecznych i późniejszych naszych rycerzy, nie dają pojęcia, nie są obrazem siły i odwagi owe bławatne, różnokolorowe, wykwintne, dziwacznego kroju, fałdziste, długie suknie czy krótsze kaftany, pasy i zawoje tak owych janczarów, jak i reszty żołnierzy, dowodzących nimi baszów i wezyrów tureckich hord, które tak prędko zawojowały tyle państw i nas niepokoiły.

Pod niemiłym wrażeniem, jaki sprawiła na mnie ta jedyna może na świecie tego rodzaju wystawa, zwiedziliśmy po drodze podziemną o tysiącu i jednej kolumnie cysternę. Taką przynajmniej nazwę ma ta przedottomańska budowa, która choć nie liczy tysiąca kolumn, musiała być dziełem bardzo kosztownym i pożytecznym dla ubogiej w dobrą wodę stolicy. Była przeznaczona na zebranie deszczowej i może z jakich małych żyłek w pewne pory roku pod ziemią sączącej się wody. Na tych kolumnach znaki są, do jakiej wysokości (o parę metrów) dochodziła woda, a ich budowa dość silna, kamienna, dotąd oparła się zniszczeniu pomimo wilgoci, którą przesiąkło całe tam powietrze, choć już i kropli wody nie zostało. Kilku Turków tam znalazłem zajętych przędzą jedwabiu.

Przejechawszy potem koło ruin i zgliszcz, które od wielu lat po tysiącu domach w ostatnim pożarze zniszczonych zostały, a dotąd o ich odbudowaniu może nikt nie myśli, zatrzymaliśmy się krótko na placu, gdzie był sławny hypodrom[44] greckich cesarzy przy niedalekim od niego meczecie Ahmeta (At-Mejdan). Najozdobniejszy, choć nie dorównujący w wielkości Sofii, meczet ten celuje nad drugimi, że ma dokoła sześć minaretów, kiedy żaden inny w całym państwie ottomańskim więcej niż cztery mieć nie może. Otaczają go marmurem wyłożony dziedziniec i przy nim wspaniałe groby (türby) sułtańskie, szkoła i innych wiele przybudowań.

Dłużej nas zajął meczet Solimana W., najpiękniejszy może z zewnętrznej i wewnętrznej okazałości po meczecie Sofii. Za opłatą niewysokiego bakczyszu dla odźwiernego weszliśmy do niego, zdjąwszy u progu obuwie. Niepodobna było w krótkim czasie naszego tam pobytu ocenić i zapisać, co tam było godniejsze uwagi. Czystość w utrzymaniu i dokładność w wykonaniu ozdób odpowiadają piękności form i ogólnego ustroju; galerie, może większe niż w innych meczetach, są bogate w ozdoby a jeszcze bardziej upiększają duże malowane okna. Zresztą meczet jest kwadratowy, framuga mihrab takaż, co w innych meczetach. Türbo

---

[44] hypodrom — pokryte miejsce do spacerów.

(czy tiurbo) — grobowiec Roksolany[45] sułtanki, córki gr[ecko]kat[olickiego] kapłana Lissowskiego, rodem z Rohotny[46], leży przy tym meczecie — według Manna — „jednym z najpiękniejszych z czystości architektury"[47].

Jużem był zaspokoił moją ciekawość co do meczetów, z których jeszcze zatrzymał mię był na moment Bajazeta[48], kiedy drogman mój, Grek rodem i wyznaniem, zachęcił nas do widzenia niewielkiego meczetu, gdzie jeszcze pozostały malowidła i mozaiki kościelne. Była to ostatnia z cerkwi greckich dyzunitów, zabrana przez Turków, położona niedaleko muru otaczającego miasto od zachodu. Meczet ten, zwany od Turków i Greków Naôs Agia Eipúon, pozostał na zewnątrz tak, jak była cerkiew, wyjąwszy krzyża i dzwonnicy zniesionych przez zaborców. Wchodzi się przez perystyl, przedsień, mającą na obu końcach małe, okrągłe z kopułami kapliczki, teraz puste, ale na ich ścianach i sklepieniach widać malowidła i piękną mozaiką wyrabiane obrazy świętych i N. Panny. W samym też przysionku, tuż przy drzwiach do meczetu, widać wizerunek Chrystusa, Najświętszej Panny i rozmaite ewangeliczne wspomnienia. Musiała to być cerkiew zamożna, przy niej był też klasztor mnichów. Wewnątrz została budowa jak przed czasy: meczecik kwadratowy, ściany pobielane, podłoga matą pokryta, mihrab (framuga) w stronę ku Mekce, od wschodu; wszystkie znaki cerkiewne z przeszłości najstaranniej poniszczone zostały.

Wyjechaliśmy ze Stambułu przez Adrianopolską Bramę, tę samą, którą zwycięzca Mahmet II[49] wjechał był do miasta. Jego grób tegoż dnia oglądaliśmy — monument wielce ceniony i poważany od Turków, kosztowny, pięknej architektury, za mały bakczysz otwarty dla wszystkich. Jest to okrągły, piękną kopułą nakryty meczecik, na środku stoi ogromna trumna, białą materią pokryta, srebrną balustradą otoczona;

---

[45] Anastazja Lisowska (zm. 1558), porwana za młodu w jasyr, dostała się do seraju sułtana tureckiego Solimana II Wspaniałego (1495—1566), gdzie wzrastała pod opiekę matki sułtana; później sułtan uczynił ją pierwszą swą małżonką pod imieniem Roksolany. Słynna z piękności i rozumu miała Roksolana ogromny wpływ na tok polityki całego państwa.

[46] Mylnie. Lisowski był proboszczem w Rohatynie (miasto nad rzeką Gniła Lipa, dopływ Dniestru).

[47] M. Mann, *Podróż na Wschód*, t. III, Kraków 1855, s. 403. M. Mann (1814—1876), publicysta i polityk, współtwórca programu politycznego grupy konserwatywno-stańczykowskiej, wieloletni redaktor „Czasu", dyrektor Tow. Sztuk Pięknych, członek Akademii Umiejętności, autor licznych rozpraw polityczno-społecznych.

[48] Bajazet (1347—1403), sułtan turecki w l. 1389—1402, zdobył znaczną część Półwyspu Bałkańskiego i Azji Mn., zmarł w niewoli mongolskiej.

[49] Mahomet II (Mehmed II Fatih) (1430—1881), sułtan od r. 1451, zdobył Konstantynopol 29 maja 1453 r., kładąc kres cesarstwu bizantyńskiemu.

po rogach jej wysokie lichtarze, nad nią ogromny, starannej roboty pająk; ściany dokoła drogimi dywanami w festony tak ozdobione, z takim gustem, jak się częstokroć widzi po pysznych salonach paryskich, zdają się być ustrojone przez europejskich artystów i całe wnętrze tego monumentu nie ma wejrzenia meczetów tureckich; nie masz w nim miejsca na mihrab i tylko na straży siedzi osiwiały, porządnie ubrany Turek, mówiący, choć niewiele, po francusku. Nie ma charakteru zdobywcy Carogrodu ten w nowym guście ozdobiony monument.

Zaledwośmy przez bramę za mury miasta przejechali, już ani śladu Stambułu nie było widać, ni przedmieść, ni wilii, ni uprawnych pól, ni ogrodów, same tylko skaliste wąwozy, kupy gruzów, kamienie, śmieci miejskie, cmentarze dawne opuszczone i miejscami stare cyprysy. Droga idzie poza murami na kilka metrów wysokimi, z czasów cesarstwa, i poza wieżami, z których jedne kwadratowe, drugie okrągłe, były silną obroną Carogrodu, nie były siłą zdobyte, dają miastu wejrzenie ogromnej fortecy. Droga zaś poza nimi też zła, nierówna, miejscami z dużych okrągławych kamieni brukiem obłożona, że w najdalszej od stolicy, najuboższej okolicy nie może być gorsza.

Z trudnością i wielką szkodą dla pojazdu powoli spuściliśmy się ku brzegom Złotego Rogu. Minąwszy dzielnicę żydowską, która w tej stronie ma synagogę i obszerną ludność, nie zalecającą się zbyt — jak wszędzie — z czystości i ochędóstwa, zatrzymaliśmy się przy patriarchacie greckim około czwartej [godziny] w czasie nadwieczornego nabożeństwa, któremu przewodniczył sam patriarcha. Drzwi carskie i cały ustrój wewnętrzny dyzunickiego kościoła znalazłem taki, choć nie tak wystawny, jaki pospolicie widzimy w rosyjskich cerkwiach. Patriarcha ze srebrną długą laską siedział na ciasnym nieco i nieozdobnym tronie, mnichy za carskimi drzwiami, przychodzili tylko kłaniać się patriarsze i robić przed nim pokłony, śpiewali zaś, odmawiali modły pod dyrekcją jednego z duchownych żaki i słudzy cerkiewni, pomagał i chor nieliczny na ustroniu. Uważałem, że w głosach i modulacjach często zarywali na te same tony i krzyczenie, które przedwczora słyszałem był u derwiszów, zwłaszcza kiedy przy podwyższonym od czasu do czasu gardłowo-krzykliwym śpiewie dwóch czy trzech drudzy wtórowali tylko hucząc monotonnie: hu, hu, hu.

Po tych greckich nieszporach za poradą beja odwiedziłem patriarchę i przyjęty od niego grzecznie, uczęstowany orientalnym zwyczajem konfiturami, dłużej rozmawiałem z jego wyższej dostojności kapłanami. Sam patriarcha blady, z poważną brodą, chorowity, wykształconego ujęcia, ma być bardzo kochany i ceniony od swoich, jako też dobrze położony u dworu. Z jednym zaś z najbliższych przy nim, mówiącym dobrze po francusku, miałem dłuższą rozmowę.

Kiedym go zapytał, czy w rzeczach wiary i kościelnych odnoszą się niekiedy do metropolity moskiewskiego lub do synodu w Petersburgu, zrozumiał mnie od razu i poprowadził do wewnętrznych pokojów patriarchatu. Weszliśmy do obszernego, pięknie przybranego pokoju, w którym na środku stał suknem zielonym pokryty stół i przy nim ustawione krzesła. „Tu jest — rzekł — nasza Rada, w której się toczą pod przewodnictwem Jego Eminencji sprawy naszego Kościoła pobieżne, tyczące się archidiecezji. Kiedy zaś zdarzy się — dodał wprowadzając mnie do ogromnej sali — jaka trudność dogmatyczna, niezgoda, rzecz, która obchodzi całą Grecją, wtenczas zbieramy synod i tu bez odnoszenia się do żadnych państw rozstrzygamy sprawę, a ostateczny wyrok ogłasza patriarcha. Żadnych najmniejszych sporów nie mamy z synodem ni metropolitą rosyjskim, żadnej od niego zależności".

Późno, koło siódmej dnia tego wróciłem do hotelu.

13 września. Po mszy w kościele, o paręset kroków od hotelu „Bisance", u ks. ks. karmelitów przy ulicy Pera, postanowiłem obaczyć polną okolicę Konstantynopola, na drodze z Pera do Terapii. Towarzyszył mi ks. Gajewski. Mieliśmy pojazd kryty, a drogmana na kozłach.

Długa, na parę kilometrów w górę ciągnie się ulica Pera, tak niepodobna do stambulskich ulic, choć z niezbyt wielkiej czystości i jej mieszkańców, z ruchu i ubioru, jak Francuz do Turka. Skorom wyjechał z tego przedmieścia, smutek opanował [mnie] na widok obszernych pól dobrej ziemi tuż pod miastem odłogiem leżących. Kiedy się przyjeżdża do wielkich miast europejskich, jak Wiedeń, jak Paryż, to im bliżej miasta, tym staranniej uprawny grunt, z najmniejszego kawałka ziemi ludzie ciągną użytek. Tu przeciwnie, choć gleba żyzna, pola — jak okiem zawrzeć — puste, opuszczone, gdzieniegdzie ukaże się jaka niwa poorana lub mała trzodka pasących się owiec. Czy to skutek odwiecznych bojów i napadów barbarzyństwa, czy gnuśność dzisiejszych posiadaczy ziemi, czy wisząca nad krajem kara Boża? To tylko przypuścić można, że kraj ten ze swoją stolicą, kość niezgody dla państw europejskich, w przejściowym stanie być musi, na lepszą czeka przyszłość, skoro się wyzwoli od duszącej go fałszywej wiary.

Przez dwie godziny jechaliśmy na wschód górzystą pustynią, niebo było zachmurzone, aż wreszcie zawróciliśmy się ku Bosforowi. Zrazu piękny parów w piękniejszą przemienia się dolinę, wypełnioną ogrodami i doborem najrozmaitszych drzew owocowych, wnet i widok przepyszny na Bosfor i Stambuł otwiera się; u spodu piękne wilie i pałace, Terapia, a dalej ku wschodowi — Bujukdery.

Odwiedziłem w Terapii rodzinę posła francuskiego marg[rabiego] de

No[a]illes[50]. Znalazłem go w żałobie po ojcu, znanym nam powszechnie z przychylności ku Polsce i wielkiej nauki. Był też zasmucony poseł chorobą jedynaka syna, dla tej przyczyny nie mogłem widzieć pani No[a]illes, Polki rodem, wdowy po Szwejkowskim[51].

Tąż samą drogą wracając, lepiej jeszcze wraziłem sobie w pamięć smutny widok okolic Konstantynopola od strony Bułgarii, gdzie tego dnia już się była dokonała rewolucja połączenia się jej z Rumelią.

Tegoż dnia, za powrotem do miasta, poszedłem odwiedzić patriarchę armeńskiego katolickiego J. E. ks. Azarian*, następcę po Hassunie[52], który dokonał połączenia wielkiej części schizmatyckich Armeńczyków z Rzymem (miałem do niego list zalotny od barona d'Avril[53]). Kiedym zapukał do domu szanownego patriarchy, powiedziano mi, że jest w kościele. Dopytałem się na ulicy, choć nie bez trudności, gdzie był ten kościoł, i niemało zdziwiony zostałem z tego, że kiedym u wejścia do niego pytał u siedzących w przysionku odźwiernych Armeńczyków o patriarchę, zimno i niegrzecznie odpowiedzieli, że o nim nie wiedzą. Powtórzyłem nazajutrz tęż samą wizytę nieco wcześniej w domu patriarchy, zostawiwszy mu kartkę i list p. d'Avril, i w kościele, i takież same odpowiedzi odebrałem. Na trzeci dzień miałem szczęście przyjąć u siebie w hotelu wielebnego p. Azarian, który najłaskawiej mnie powitawszy wytłumaczył, że w obu przytoczonych razach trafiłem do kościoła armeńskoschizmatyckiego, nie zaś do bliżej położonego armeńsko-rzymskiego, w którym się patriarcha, w godzinach, kiedym się pytał o niego, znajdował.

Młody jeszcze, a przynajmniej w samej sile wieku ks. Azarian, szlachetnych rysów twarzy i poważnej postaci, z brodą jak całe duchowieństwo na Wschodzie, głębokie na mnie sprawił przekonanie, że na nim polega przyszłe zjednoczenie z Rzymem Armeńczyków, których już znaczną część zjednał i utrzymuje posłuszną Kościołowi.

---

* Etienne Pierre ks. Azarian. [Sekretarz biskupa Hassouna, w roku 1877 arcybiskup Nikozji, w r. 1881 patriarcha armeński.]

[50] Emmanuel Henri Victurien de Noailles (1830—1909), pisarz i dyplomata francuski, drugi syn Paula de Noailles (1802—1885), historyka, zajmował się badaniami dotyczącymi dziejów Polski, wydając w latach 1863—1867 kilka cennych dzieł, w roku 1872 został ministrem pełnomocnym w Waszyngtonie, następnie w Rzymie, w latach 1882—1886 ambasadorem w Konstantynopolu, później (od 1890) w Berlinie.

[51] Z domu Lachmanówna, była trzecią żoną Leona Szwejkowskiego, bogatego szlachcica z Podola.

[52] Pierre Hassoun (1809—1889), kardynał od roku 1880.

[53] L. M. Adolphe d'Avril (1822—1904), dyplomata i pisarz francuski, od roku 1876 był ministrem pełnomocnym w Chile.

15 września. Trzeba już było myśleć o wyjeździe, a najprzód o paszporcie tureckim, niezbędnym do podróży po należących do sułtana państwach. Paszportu zaś tu nie daje policja, tylko za świadectwem konsularnym państwa, do którego cudzoziemiec należy. Jakże się z tej potrzeby wywinąć, kiedy jestem obywatelem chilijskim, a Chile nie ma konsula w Konstantynopolu? Poszedłem do generalnego konsula Stanów Zjednoczonych prosząc o zaradzenie mi w takim ambarasie. „Jakże pan chcesz, abym mu wydał świadectwo, kiedy Chile jest udzielną rzecząpospolitą i nie wchodzi do związku ze Stanami Zjednoczonymi; to byłoby nielegalnie" — rzekł konsul. Na to mu powiedziałem: „Panie mój, toż w Europie, a tym bardziej tu, sądzą, że Ameryka należy do Stanów Zjednoczonych, mogę założyć się z panem, że nikt nie zarzuci [nie]legalności". Tak się to podobało zacnemu konsulowi, że kazał wnet napisać świadectwo w najgrzeczniejszy sposób i bez żadnego oporu otrzymałem paszport do Palestyny.

Pojechałem potem z bejem po drugi raz do Starego Seraju i do rządowego pałacu Porty Ottomańskiej, gdzie jest Ministerium Wewnętrznych Interesów, dla pożegnania się z baszą Edhemem i obejrzenia raz jeszcze owych potężnych gmachów. Basza najgrzeczniej mnie przyjął, wyszedł naprzeciw mnie ze swego biura i zaprosił do obszernego salonu. Dał natychmiast rozkaz swemu sekretarzowi, aby napisał list do baszy gubernatora jerozolimskiego i tymczasem toczyła się nieprzerwanie rozmowa. Uprzejmy minister wspominał czasy dawne ze swego pobytu we Francji i Niemczech; była też mowa o przemyśle górniczym, o ostatnich wynalazkach naukowych etc. Przyniesiony przez sekretarza list podpisał i wręczając mi go prosił, abym mu za powrotem do Francji doniósł, jak będę przyjęty w Jerozolimie. Potem odprowadził mię do przyległego pokoju i w obecności licznych tam urzędników przyjaźnie pożegnał.

Obszedłem potem obszerne izby i kurytarze, jako też część pałacu, z którego na krużganku — jak mi powiadał bej — ukazuje się niekiedy ludowi. Ale to wszystko, szczegóły pałacowe, tak już po wiele razy od wielkich podróżników i ludzi stanu jest opisane, że nie chcę na to tracić czasu ni atramentu.

Zwiedziłem tego dnia Obserwatorium Meteorologiczne i poznałem jego dyrektora, pana Coumbary Effendi. Jest to uczony Grek, dość wykształcony w swojej gałęzi nauk, pracowity, skromny. Widziałem u niego przyrządy meteorologiczne nowe, najnowszej budowy barometry i termometry automatyczne, psychrometry, instrumenty magnetyczne, jako też elektryczne do mierzenia stanu elektrycznego atmosfery etc., etc., wszystkie zaś postrzeżenia dokładnie i metodycznie w księgach zapisywane. Utrzymuje stosunki z przedniejszymi zakładami meteorolo-

gicznymi w Europie — w Paryżu, w Wiedniu etc. Wisiał przy jego stoliku portret o. Secchi[54].

Miejsce tego obserwatorium jest bez wątpienia bardzo ważne do postrzeżeń meteorologicznych jako położone na znacznej wysokości nad Bosforem, między dwoma morzami i dwoma lądami, na przejściu z Zachodu europejskiego na Wschód. Tylko zdaje mi się, że przyrządy, które tu służą do postrzeżeń, znajdując się w środkowej części Pera i Galaty, nie dość wysoko podniesione nad okoliczne domy nie mogą dać dokładnych ocenień temperatury, ciśnienia i higrometrycznego czy też elektycznego stanu obrębu, na którym Konstantynopol jest zbudowany, a mniej jeszcze jego dalszych okolic.

Zwiedziłem też i sławne bazary stambulskie, wielki targ, na którym Zachód ze Wschodem, Nowy Świat towarnego przemysłu i rękodzieł i odpowiedni mu przejrzały azjatycko-afrykański podają sobie ręce, wysadzają się na to, co tylko może się podobać ludziom najrozmaitszej, najskrajniejszej postaci. Nie przeszkadza to jednak temu, że targ ten, pomimo ogromnego obszaru, jaki zajmuje, i niezmiernych bogactw, które posiada, jest może najbrzydszy, a przynajmniej najniepozorniejszy od wszystkich, jakie po naszych europejskich, drugiego i trzeciego rzędu, miastach widzieć się dają, Jest to jakby labirynt wąskich, ciemnych, miejscami krytych, wilgotnych, nawet błotnych uliczek, mających po obu stronach kramy i kramki. W nich siedzą Turcy, Grecy, Żydzi, Ormianie, Araby, a trudno nie obeznanemu z tą ludnością odróżnić między nimi pochodzenie z rozmaitości ubiorów; pstre tylko i białe różnych form zawoje i czerwone fezy, osmagłe, żółtawe, po większej części blade, o czarnych oczach, brodziaste twarze z tych kram — jak u nas Żydzi z miasteczek — wyglądają, wabią, ciągną do siebie, a na uliczkach ścisk nieznośny. Najwięcej tam figur stanowią białymi jakby prześcieradłami od głów do stóp osłonięte, otyłe, z okrytymi twarzami kobiety, tak że tylko ich oczy świecą; między nimi i bogate panie w jaskrawych bławatnych strojach, u tych i oczu dojrzeć niepodobna, tak szczelnie obwinięte mają twarze w gazowe czy muślinowe welony, tuż i drogman w suto złotem haftowanym kaftanie, a motłoch niezliczony, brudny wije się, popycha i wielbłąd poważny kiwając wyciągniętą szyją idzie prosto, na nikogo nie uważając, jak i obładowane towarami osły tudzież pochyleni pod brzemionem ogromnych na grzbietach pak chudzi tragarze, środkiem uliczek sączy się miejscami woda, po bokach wilgoć i śmieci.

---

[54] Angelo Secchi (1818—1878), jezuita, astrofizyk włoski, od roku 1849 dyrektor obserwatorium astronomicznego w Collegio Romano w Rzymie, dostarczył wiele ważnych spostrzeżeń meteorologicznych i magnetycznych i stworzył pierwszą systematyczną klasyfikację gwiazd.

A jednak kiedy się wejdzie do której z kram, jakaż rozmaitość i bogactwo przedmiotów! Najwytworniejsze kobierce, kaszmiry, materie złote, srebrne, jedwabne, najdroższe sprzęty i ozdoby salonowe ze wszystkich stron świata, zbiory z rozmaitych wieków oręża i zbroi, wyroby metaliczne dziwacznych kształtów i gustu. Cóż, gdy się przejdzie do oddziału jubilerskiego: pereł, brylantów, szafirów! Tam przy wystawie drogich klejnotów, cudownie wyrobionych, widać tuż i pracujących, szlifujących drogie kamienie. Kiedym u jednego z jubilerów, widząc przepyszne roboty z aventurynu, okazał moje powątpiewanie, czy nie były sztuczne, wyniósł i pokazał mi sztukę parę kilogramów ważącą jakiegoś rodzaju chalcedonu czy jaspisu koloru kawy mlecznej, poprzerzynaną błyszczącym aventurinem, którą — jak powiadał — przysłano mu z Arabii, a z której wytwarzał piękne bardzo okazy, i dał mi widzieć warsztat, gdzie je szlifowano. Toż i u drugiego, jakiegoś Turka, Araba, zwróciły na siebie moją uwagę wielkie bardzo i drogie turkusy. Dla okazania, że były prawdziwe, wyniósł do mnie ich posiadacz duży worek nieco gliniastych kamuszków z Teheranu i widziałem, jak z nich zręcznie i ostrożnie turkusową materię oddzielał. Wielkiej też wartości widziałem, wysoko u Turków cenione, na wpół przezroczyste zielonawe jady[55] i orientalne szafiry.

Z Żydami łatwo mi było rozmówić się w hiszpańskim języku, który oni od czasu ich wygnania z Hiszpanii wszyscy na Wschodzie, w Afryce i Azji, zachowali, a którym dość wyraźnie, mniej go niż nasi Żydzi niemiecki kalecząc, z łatwością mówią. Ale, rzecz dziwna, w przedażach, w targowaniu się, w natrętności, z jaką napadają na kupujących, umieją ich odurzyć, przekonać, zachęcić, Żydzi z tego bazaru nieodrodni są od naszych.

Z Grekami i Turkami służył mi za tłumacza mój przyjaciel i nieodstępny towarzysz — bej. Zaprowadził on mnie do jednego, nieco większego, tureckiego magazynu osobliwości, gdzie było wiele pięknie oprawnej w drogie kamienie broni i puginałów. Turek był bardzo grzeczny, częstował nas zwyczajem wschodnim kawą w małych filiżaneczkach i w ciągu rozmowy, jaką prowadził z bejem, zdziwiłem się, że najwyraźniej wymawiał moje i ks. Gajewskiego naźwisko, jakby nas znał od dawna. Zapytany ode mnie bej wytłumaczył, że nazajutrz po mojej pierwszej audiencji u baszy Edhema ogłosiły tureckie gazety (z pochwałą dla ministra), że minister przyjmował swego dawnego ze Szkoły Górniczej w Paryżu kolegę, wielkiego — jak twierdziły — uczonego, mineraloga etc. i że ten uczony, naźwiskiem Gajewski, był u ministra ze swoim aumônier[56] Domeyko i w towarzystwie Beja, dragomana etc. W pa-

[55] jady, jadeit — minerał, ozdobny kamień do wyrobów artystycznych.
[56] aumônier — kapelan.

rę dni potem sprostowano omyłkę w tychże samych gazetach, zapewniając publiczność, że uczony kolega baszy Edhema zowie się Domeyko, a nie Gajewski, ten zaś jest księdzem i towarzyszy Domeyce do Jerozolimy. Tak więc niespodziewanie i nie z mojej winy byłem przez dwa dni przedmiotem wiadomości pobieżnych w prasie gazeciarskiej tureckiej.

Wyszedłszy z bazaru, przebiegłem jeszcze tego dnia znaczną część starego Stambułu, jego ciasne, kręte uliczki i pozostałe od pożarów miejsca próżne, z gruzów nie oczyszczone. Wszędzie wielka rozmaitość budowli co do kształtu i architektury, ale wszystkie domy i domki wystyrkłymi na zewnątrz gankami obciążone, nieforemne, ich okna kratami pozasłaniane dają miastu charakter smutny. Obok jakiego porządniejszego niby-pałacyku widać popodpierane, drewniane, od starości pochylone domy lub utrzymujące się zaledwie na słupach. Przy najwspanialszych nawet meczetach lub tuż niedaleko dają się spostrzegać szczątki rozwalonych starych gmachów, niskie, ubogie domki, siedlisko brudu i ubóstwa, miejscami ukaże się jaka kolumna śpiżowa czy z marmuru, niecała, brak jej wierzchu i ozdoby, nawet pewności w podaniu, czym była. Wśród jednak mającego to smutne wejrzenie miasta wznoszą się dwa nowe, jakby świeżo z Paryża przywiezione pałace, w których się mieszczą Ministerstwo Wojny i Finansów, czysto europejskie, na obszernych placach wystawione, na nowożytny sposób silną balustradą opasane, u wejścia straż, żołnierze; gdyby nie ich czerwone fezy, rzekłbyś, że jesteśmy w Berlinie. To dziwne oasis nowożytnej siły wśród zestarzałego, a jakby od wczora szturmem od nieprzyjaciela wziętego i zrabowanego miasta, bliską dla niego, lepszą, a przynajmniej odmienną od dzisiejszego stanu rokować by miało przyszłość. Widok tych nowych rządowych pałaców niemiło dla Turka musi odbijać od minaretów i od starych cyprysów Wielkiego Seraju.

ZE STAMBUŁU DO JAFY

16 września. Już od wczora był powrócił z Adrianopolu ojciec Piotr Semenenko, mój towarzysz do Ziemi Świętej, i z nim jego podwładny zmartwychwstaniec, o. Rafał, do pomocy w podróży, bo o. Piotr, przełożony generał zgromadzenia, jest nieco ociężały i słabego zdrowia.

Z rana wysłuchaliśmy mszy w kościele oo. franciszkanów przy u[licy] Pera. O południu odwiedził nas i pobłogosławił wielebny patriarcha ormiańskokatolicki Azarian i po godzinnej z nim rozmowie udaliśmy się na Galatę do portu. Przeprowadził nas zacny bej Bąkowski.

Pomimo kłopotu, na jaki narażają Turcy z wizowaniem paszportów, najprzód przy wsiadaniu do czółna, potem jeszcze dalej w jakiejś agencji, wsiedliśmy o czwartej po p[ołudniu] na statek parowy należący do

Comp. Lloyda[57], a około piątej podjęto kotwicę. Nieliczne, ale dobrze wychowane towarzystwo. Jedna rodzina belgijska jechała do Smyrny, druga do Aten, jakaś Greczynka wyższego tonu do Cypru, Anglik do Cypru, my zaś tylko trzej i ks. Gajewski do Jerozolimy.

Płyniemy poza brzegiem Galaty powoli, rzucając pożegnalne oko z tej strony to na górującą nad domami starą wieżę genueńską (z czasu kiedy Genua była panią tej części Galaty), to na pałace i dwa mniejsze piękne meczety pobrzeżne, to na wyższe nowe budowy rządowe, arsenał i wyżej jeszcze położony pałac dzisiejszy sułtana. Wkrótce zawracamy się na południe i okrążamy ową kończynę cyprysami porosłą, na której Stary Seraj, a ponad nim Agio Sophia swoją kopułę podnosi. Już i na morzu Marmara jesteśmy.

Płynąc między brzegiem Stambułu 'a brzegami Afryki mijamy prędko od południa stare koszary i poziomo nisko do morza schodzące miasto Skutari, gęsto zaludnione, ale niebogate w wielkie meczety i pałace, od północy zaś dobrze się maluje Stambuł. Widać najlepiej, jak całe to miasto piętrzy się po spadzistości ku Bosforowi zwróconej, jak po niej pięć wielkich meczetów minaretami najeżonych podnosi się jeden za drugim, a między nimi ów Wielkiego Solimana góruje, jak one wielkością swoją nadstawiają, buńczuczą — że tak powiem — to, co próchnieje mizerne w zestarzałym mieście, i jak cała ta okolica, mur ją otaczający, kończą się na wyniosłym grzbiecie góry.

Nie przesądzajmy wyroków Bożych, stojąca na przedzie tych kłamliwych świątyń fałszywego proroka Agio Sophia, gdy odzyszcze ołtarz i na jej kopule krzyż zaświeci — kiedy i jak, nie wiemy — runą lub przejdą na cześć i obrządek wiary Zbawiciela.

Jeszcze o zmroku przepłynęliśmy koło Wysp Książęcych, gdzie niedawno flota angielska ukazaniem się tylko, bez wystrzału, podtrzymała chwiejącą się potęgę Stambułu. Morze było spokojne, niebo gwiaździste.

17 [września]. Niecierpliwy widzieć Dardanele, o wschodzie słońca zerwałem się z mojej kajuty. Kiedym wyszedł na pokład, był już nasz okręt na Cieśninie. Rok zaledwo minął od czasu, jakem na drugiej półkuli ziemi przepływał Magellańską Cieśninę. Co za różnica w widokach. Tam było niebo chmurami pociągnięte, mroźne powietrze, strome po obu brzegach Andy, na parę tysięcy metrów wysokie, stromo ucięte, różnokolorowe, warstwowane, przyprószone śniegiem, u dołu lasami czerniejące, w dali odwieczne lody na szczytach, pustynia, od stworzenia świata stopa ludzka tamtędy brzegami nie przeszła, grób tysięcy rozbitych

[57] Lloyd (ang.), nazwa przedsiębiorstwa żeglugi od nazwiska E. Lloyda, właściciela kawiarni w Londynie w XVII wieku, w której schodzili się marynarze, eksporterzy itp.

okrętów. Tu — ciepłe, czyste, błękitne niebo, cieśnina węższa od owego wejścia do Magellańskiej, po prawej i lewej stronie wzgórza z jakichś przeciętych pokładów poziomo warstwowanych i ziemnych szarych nasypów, po brzegach miasteczka, baszty, mury, w których rzędy otworów dają przeliczyć liczbę dział ukrytych, zameczki, miejscami gaj z cyprysów. Tędy już nie stopa ludzka, ale od najstarszych wieków całe narody przeciągały.

O pół do dziewiątej msza o. Semenenki (jemu przy posłuchaniu naszym w Watykanie papież pozwolił mszę odprawiać na każdym miejscu przez całą naszą podróż do Jerozolimy).

Zatrzymujemy się na krótko przy Szulikale na afrykańskim brzegu, gdzie jest fabryka glinianych przedmiotów rozmaitego koloru i dziwacznych kształtów, które Turcy przywożą do sprzedania.

O południu wyspa Tenedos, zamek obronny, przy nim wiele okrętów u portu, młyny wietrzne, wyspa zaś takiego kształtu, jaki pospolicie mają wyspy granitowe, z jednego końca podnosi się stromo, potem się spłaszcza, znowu nabiera wysokości i dochodzi do szczytu górującego nad całą wyspą prawie na samym jej środku, następnie zniża się powolniej ku drugiemu końcowi i zachodzi do morza płaską, niską równiną. Na stokach miejscami słabo zielenią się miejsca roślinnością przykryte. To i wszystko, co z szybko płynącego parowca zoczyć można, a podróżny marzy, co mu się podoba, przypomina sobie co z historii ludów, jeżeli uczeńszy.

O piątej h.[58] okrążamy wyspę Mitilini[59], Anglik coś opowiada o ojczyźnie Safo, wskazuje z upodobaniem jej cypel, gdzie się ukazują gaje oliwne. Ale to wszystko przymglone, powierzchnia górzysta, sucha, niepiękna.

18 [września]. Z rana zwyczajna msza na pokładzie, pogoda, płyniemy jak po cichym jeziorze pomiędzy wyspami.

19 września. O wschodzie słońca mamy Smyrnę przed sobą, port bezpieczny, licznymi okrętami i handlowym ruchem ożywiony, wygodny do wysiadania. Poza pobrzeżem ciągnie się może na pół mili piękne miasto nowe, domy nowożytne, dwupiętrowe, rozmaitych barw i ustroju, napisy na domach greckie i francuskie, ludność mieszana, ulica dobrym ciosowym kamieniem brukowana, po niej tramwaje i powozy publiczne krążą jak gdyby w jakim pierwszego rzędu mieście stołecznym europejskim.

Wzięliśmy fiakra na zwiedzenie miasta. Aż tu ledwośmy przejechali

---

[58] hora (hiszp.) — godzina.

[59] Mitilini (Lesbos), wyspa na Morzu Egejskim. W autogr.: Mitilene.

za ów rząd pobrzeżnych domów i pierwsze ulicę, nieco szersze, porządniejsze, wjeżdżamy do wąskich, krętych tureckich uliczek i ukazuje się miasto brudne, zestarzałe jak najbrzydsza część Stambułu.

Jedziemy najprzód do misjonarskiego klasztoru oo. kapucynów i tam na niewielkim, szczupłym dziedzińcu widzimy piękny marmurowy pomnik grobowy generała Paca, który po nieszczęśliwej naszej wojnie i emigracji w 1834 czy 1835 roku[60] umarł tu w podróży na Wschód. Dobry to był żołnierz, dobry patriota, ostatni z rodziny; znałem go osobiście i pożegnałem przy rozstaniu się w Paryżu i dziś z o. Semenenko i o. Rafałem zmówiliśmy pacierz za jego duszę.

Uprzejmie nas przyjęli zakonnicy. W ich kościele mieli msze moi towarzysze podróży, potem zaproszono nas do refektarza, toczyła się rozmowa na wpół po włosku, na wpół po francusku; byli tam i Hiszpanie. Po kawie objechaliśmy znaczną część starego miasta i choć ulice i droga były tak złe, że miejscami trudno się było utrzymać w powozie, dotarliśmy daleko za miasto.

Trudno sobie wyobrazić, jak całe to stare miasto do dwakroć sta tysięcy mieszkańców liczące ma wejrzenie smutne, jest ubogie, domki jedno- i dwupiętrowe, ludność po większej części grecka i europejska, Turków niewiele, jeden tylko meczet widzieliśmy. Poza miastem ogrody pomarańczowe, figowe, cytryny, banany, na obszernych cmentarzach cyprysy, jawory.

Okrążając miasto stare od zachodu, liczne spotkaliśmy karawany wielbłądzie; w poprzek przejechaliśmy drogę żelazną idącą stąd do Damaszku i Balbeku i widzieliśmy most wielki kamienny na niewielkiej rzeczce, o którym podróżnicy zwykle wspominają. Droga ta żelazna, pierwsza i jedyna na całej Syrii i Palestynie, jest dziś główną drogą ułatwiającą handel i nigdy jej na podróżnych nie braknie. Przed południem wracać musieliśmy do okrętu, a z tak krótkiego pobytu w Smyrnie jakież wrażenia pozostać mogły o stanie tego starożytnego, zamożnego miasta? Na widok owych domów na zewnątrz mało obiecujących trudno było przypuścić, aby w ich wnętrzu mieściło się tyle bogactw, mianowicie z cennych kobierców, jedwabnych materii i innych orientalnych wyrobów, z których to miasto słynie, a które nam handel przynosi, nowa zaś na pobrzeżu ulica, cała europejskiego ustroju, każe zapominać, a przynajmniej nie nasuwa na myśl owych podań z przeszłości tego miasta, które przybywający do portu przynoszą o nim podróżnicy.

20 wrz[eśnia]. Z przyczyny ładunku towarów, które kapitan nasz musiał przyjąć do okrętu, już było ściemniało, kiedyśmy wypłynęli z Za-

[60] Ludwik Pac zmarł w roku 1835. Zob. t. I, cz. 1, rozdz. I, przyp. 17.

toki Smyrneńskiej. Nocą jeszcze minęliśmy wyspę Chio[s], domniemaną ojczyznę Homera. O siódmej rano pięć wysp mieliśmy na widoku. O dziewiątej, kiedyśmy po mszy ojca Semenenki wyszli na pokład, okręt płynął niedaleko Samos. Cisza w powietrzu, morze spokojne, błękitne u góry niebo, bardziej turkusową barwę przybierające u horyzontu. Widok dalekiej wyspy nie nader ożywiony, jakby to były skały tylko i ogołocona z roślin powierzchnia.

Cały dzień schodzi nam przyjemnie; mamy w towarzystwie naszym baszę smyrneńskiego, poważną osobę, dla której Turcy i Grecy byli z uszanowaniem, z rana i wieczorem rozesłano mu na pokładzie kobierzec i wybijał pokłony obracając się na Wschód, ku Mekce.

Około dziewiątej spostrzegamy dalekie światło, które na przemian ukazuje się i niknie; była to latarnia morska wirująca na wyspie Rodos. Zatrzymujemy się w porcie, ale zmrok nie dozwala nam widzieć starożytnego miasta, słynnego z czasów greckich i krzyżackich wojen, z zaciętości kawalerów zakonu Św. Jana Jerozolimskiego w obronie krzyża. Czerniły się tylko w cieniu potężne baszty i mury otaczające. Mnóstwo Rodejczyków na wąskich czółenkach dobija do okrętu i wbiega na pokład, przynosząc do przedania drewniane tabakierki pięknej roboty, niedrogie, jedyny może rękodzielniczy niższej klasy przemysł w tym mieście.

21 [września]. Z Rodos wypływamy na otwarte morze, nikną sprzed oczu wyspy, niekiedy we mgle, przy horyzoncie od wschodu szarzeje brzeg azjatycki.

22 [września]. O szóstej z rana dopływamy do Cypru, świeżo opanowanej przez Anglików wyspy[61], która jeżeli dotąd niewiele im dochodu przynosi, to przynajmniej ważną jest dla nich przystanią pod względem wojennym.

Zatrzymujemy [się] najprzód przy dawnej stolicy[62] tej wyspy. Dają się z daleka rozeznać jakby dwa łańcuchy gór, które podłużnie tworzą tę wyspę. Między nimi mają być piękne, obfite w roślinność doliny, na kończynach zaś jej daleko w morze zachodzą piaszczyste niskie płaszczyzny. Miasto przy brzegu; dwa minarety, kościół franciszkanów, dom gubernatora, koszary.

Po zabraniu w porcie nieco towaru parowiec nasz zamiast iść dalej, prosto ku południowi, zwrócił się jeszcze w stronę ku wschodowi i o południu zawinął do drugiego portu, gdzie — jak się zdaje — przebywa

[61] W roku 1878 Turcja przekazała Cypr pod administrację Anglii w zamian za pomoc udzieloną w wojnie turecko-rosyjskiej.

[62] Nikozja (grec. Leukosia), główne miasto Cypru.

główny zarząd wyspy, rezydencja gubernatora, garnizon i niemało domów, na pozór świeżo pomurowanych. Na to zboczenie z drogi pół dnia straciliśmy, ale — jak mi powiadano — rząd angielski drogo płaci kompanii Llo[y]da za przewiezienie poczty. Tu zostawiliśmy Anglika wicegubernatora wyspy i Greczynkę; pozostał z nami tylko basza, reszta podróżników w Smyrnie już była wysiadła na ląd.

23 [września]. O szóstej z rana jesteśmy w Bejrucie. Tu — jak i dni poprzednich — poczynamy od wysłuchania mszy, na którą uprzejmy kapitan parowca dawał nam każdego dnia izbę, w której chowano flagi i znaki okrętowe. Tu — jak i w Smyrnie — obok starego miasta, z ciasnych, brudnych uliczek i rozmaitego stroju tureckich domów złożonego, nowe buduje się miasto europejskie, handlowe, bogate, rezydencja konsulów, dyliżanse codzienne do Damaszku, skąd wiele cennych wyrobów jedwabnych i innych kosztownych dywanów przychodzi. W porcie wiele okrętów, ludność mieszana, wiele Greków i Europejczyków, a liczba jej dochodzi do sta tysięcy. Kilka jest kościołów katolickich i dobre szkoły. Jeden zasłużony drogman z legacji francuskiej, teraz zastępujący konsula francuskiego, odwiedził nas z trzema swoimi synami na okręcie; wszyscy trzej pobierali nauki w szkole utrzymywanej przez zakonników francuskich w Bejrucie, mówili dobrze po francusku i dobrze byli wychowani. Rezydencja ma być przyjemna w tym mieście; owoce w obfitości, najlepszego gatunku pomarańcze, banany, daktyle.

Pod wieczór, pierwszy raz od wyjazdu z Konstantynopola, zachmurzyło się niebo i spadł deszcz ulewny. Potem się rozpogodziło, ale słońce zaszło za chmurę; lękano się wiatru, burzy, a wiadomo było, że wylądowanie w Jafie niewygodne, nawet — w razie poburzenia morza — niebezpieczne. Inaczej się stało, płyniemy przez całą noc spokojnie.

III. Jafa — Jeruzalem — Jordan — Powrót

23 września. Po zachodzie słońca oczyściło się z chmur niebo, po wylaniu deszczu czuło się ożywienie w powietrzu i uspokoiło się morze. Nie było dla mnie snu tego wieczora, na modlitwie schodziły godziny ożywione tą jedyną myślą — rzekłbyś — bliskiego zbawienia, że ze dniem obaczę ojczyznę mego Zbawiciela, Ziemię Świętą, która Jego kolebką była i na której Grób Jego ucałuję. Parowiec zdawał się płynąć leniwo i noc była za długa.

Zaledwo świtać poczynało, wybiegłem na pokład; wynurzał się od wschodu z morza niski brzeg Palestyny w kształcie poziomo rozciągniętego wąskiego obłoczka perłowego koloru. Ponad nim już część nieba rozjaśniać się poczynała; a jaka tam była rozmaitość barw, jak różowozłotawe przechodziły powyżej w światło turkusowe, te zaś u góry w błękity, lazury, a wszystkie cudownie odbijały od niezupełnie jeszcze z pomroki rozbudzonego morza, tego by ni malarz, ni poeta oddać do pojęcia nie zdołał. Cisza była zupełna, powierzchnia wody gładka i czysta jak źwierciadło, nie czuć, nie dosłyszeć ocierania się o nią parowca, choć śpieszno mu biec do kresu. Na pokładzie żywej duszy jeszcze nie było, wyjąwszy jednego brodatego w białym zawoju z podkurczonymi nogami siedzącego Turka, nieruchomego, jak gdyby z kamienia był wykuty.

Stałem też długo nieporuszony, nie spuszczając oka z owej od wschodu na horyzoncie obwódki, na której coraz wyraźniej krój płaskiej lądowej niziny dawał się odznaczać, kiedy na południowym jej krańcu zoczyłem jeden punkt ciemniejszy, a ten niebawem przemienił się we wzgórze jedyne na całej linii tego pobrzeża. Zaledwo pierwsze promienie słoneczne zza gór Judei strzelać poczynały, już dobrze rozeznać było można, że była to góra cała pokryta miastem, a naokoło pustynia. Była to Jafa, port Jerozolimy.

O szóstej z rana, na pół mili od miasta, zatrzymał się nasz parowiec, ostrożny, choć nie było wiatru, bo — jak wiadomo — port Jafy jest otwarty, niebezpieczny dla najdoświadczeńszych nawet żeglarzy; żaden okręt przybliżyć się do brzegu nie może na kilkaset metrów od miejsca, gdzie się wyląduje, wynurzają się [bowiem] czarne skały spod wody pianą morską obielone, a zdarza się często, że nagle południowo-zacho-

dnim wiatrem poburzone morze zmusza okręt z przybyłymi pielgrzymami zmykać i szukać daleko miejsca mniej niebezpiecznego do wysadzenia ich na brzeg Palestyny.

Dla nas jednak łaskawsze było niebo. Ranek prześliczny, cisza, mieliśmy przed sobą miasto dziwnego wejrzenia, mające kształt góry ostrokrężnej, czy też górę z pobudowanych jednych nad drugimi domów ułożoną, tak ściśniętych, nieforemnych, bez dachów, że z daleka wydały się nam, jakby tworzyły jedną masę zwikłanej budowy bez żadnych przedziałów, ni wież kościelnych, ni minaretów; u podnóża mrowisko ludzi i wielbłądów, brzeg morza, czółna i szalupy.

Wszakże to ma być miasto najstarożytniejsze na świecie, żyje o nim między ludem podanie, że tu Noe budował arkę z rozkazu Boga, tu ów kres Obiecanej Ziemi, na którym Izrael bojował z Filistynami, tu była dzielnica pokolenia Dana[1], a w porcie lądowano drzewo, które posyłał król Hiram[2] Salomonowi na budowanie kościoła, tu dźwignęło lud uciśniony ramię Machabeuszów, Piotr miał widzenie, a po wielu wiekach widziało to miasto rycerzy krzyżowych, Godfredów, Boduinów, króla Ludwika św.

Jakże dziś nie podziękować Bogu jakim wyrazem, jakim uniesieniem duszy uwielbić Go za to, że mnie niegodnego, w wieku, do którego rzadko kto dożyje, a kto dożyje, ledwo o kiju, zgarbiony, schorzały, o parę kroków od domu i rodziny oddalić [się] zdoła, mnie tu w sile życia i zdrowia na umyśle postawił u portu, skąd Ewengelią na cały świat pierwsi apostołowie i męczennicy roznieśli, „et facta sunt omnia nova"[3]. Św. Paweł, Kor. 2, V, 17.

W momencie, kiedy nasz parowiec rzucał kotwicę, dopłynęła łódź, na której urzędnik sanitarny turecki pośpieszył zbadać, czy nie było między przybyłymi chorych, a była już naznaczona i tu czterodniowa kwarantanna dla przybywających statków z Włoch z przyczyny cholery w Brindisi[4]. Dla nas policzono na karb ową, którą wysiedzieliśmy na Bosforze. Zaraz za owym urzędnikiem przypłynęło mnóstwo Turków i Arabów na czółnach ubijających się o to, kto pierwszy dobieży do okrętu dla zabrania podróżnych. Dwaj silni, barczyści wioślarze, jeden Murzyn, a drugi szlachetnej twarzy Grek, prędko nas przeprawili między wystyrkłe nadbrzeżne skały, ale na brzeg musieli nas po wodzie, każdego z osobna, na swoich ramionach wysadzić.

Tu wąska uliczka oddziela zaledwie brzeg morza od poczynających się murów starego miasta, a była jak nabita ludem najrozmaitszego wej-

---

[1] Dan. protoplasta żydowskiego szczepu Dan, syn Jakuba i Racheli.

[2] Hiram, król Tyru, panujący około 1033—999 r. p.n.e.

[3] (Stare rzeczy przeminęły) „oto się wszystkie nowe stały" (Tłum. ks. J. Wujka).

[4] Brindisi, port wojenny nad Adriatykiem we Włoszech płd.

rzenia, końmi, wielbłądami, towarami i małą krzykliwą hołotą; tu i straż komorna, baszybuzuki[5] pytają o paszport, każą otwierać tłumoki, drogmani nastręczają się z posługą, wielki zgiełk, trudno się przecisnąć, a cóż dopiero ucałować Ziemię Świętą, którą stopy moje dotknęły. Niedługo to trwało. Tuż niedaleko na szarym murze odwiecznej budowy domu czytamy napis: „Hospitium Latinum"[6], nad nim wysoko okienko z kratą, pod nim furtka żelazna i dzwonek. Zadzwonił ojciec Semenenko i wnet otworzono drzwi. Wyszedł mnich, Hiszpan, reguły św. Franciszka z zakonu ojców Ziemi Świętej, i nie pytając skąd, z jakiego narodu idziemy, ofiarował uprzejmie gospodę.

Zostawiwszy więc przy rzeczach umiejącego po turecku ojca Rafała, poszliśmy z o. generałem za zakonnikiem naprzód długim, ciemnym korytarzem, potem krętymi schodami i znowu jakimś korytarzykiem na otwartszy dziedziniec, z którego jedne drzwi wiodą do kościoła Św. Piotra, drugie do gościnnego refektarza dla pielgrzymów, a osobne schody do cel przeznaczonych dla każdego idącego do Grobu Chrystusa, bez różnicy stanu i wieku, nawet kobiety i dzieci mają tu osobny przytułek, bez wymagania od kogo bądź nagrody.

Osiwiały zakonnik z brodą do pasa, czerstwy, rumiany, miał na sobie, zwyczajem przyjętym przez wszystkich oo. franciszkanów Ziemi Świętej, habit ciemnobrunatny bernardyński, przypomniał mi z postawy, pokory i prostoty naszych bernardynów kwestarzy, od dawna już srodze, bez winy z kraju wygnanych. Przyjął z oznaką wyższej czci o. Semenenkę, jako naczelnika osobnego zgromadzenia oo. zmartwychwstańców. i ucieszył się, kiedym do niego po hiszpańsku przemówił, zawołał braciszka i rozporządził dla każdego z nas osobne cele.

Zadzwoniono na mszę, wszedłem do kościoła i tu upadłszy na kolana po raz pierwszy ucałowałem Ziemię Świętą. Jakaż to słodycz w tym momencie weszła do duszy mojej! Zrazu modlić się nie mogłem, oniemiało serce przepełnione miłością i wdzięcznością dla Stwórcy, że mi dał doczekać wielkiego szczęścia i pociechy.

Kościoł ten ojców Ziemi Świętej niewielki, nieozdobny, ubogi, uszedłby może za jaki z naszych parafialnych kościołów, ołtarze, obrazy, lichtarze, lampy, konfesjonały takiego samego kroju co w naszych klasztornych kaplicach czy starych kościołkach po miasteczkach. U wielkiego ołtarza obraz św. Piotra w zachwyceniu — to objawienie spuszczających się z obłoku ku niemu źwierząt, stworzeń ohydnego wejrzenia, w których poznał świat niewierny, narody w upodleniu, do których był po-

---

[5] baszybuzuki (tur. szalone głowy) — nieregularne wojsko tureckie, niekarne, łupieżcze. Nazwa ta po raz pierwszy pojawia się w roku 1853 w czasie wojny Turcji z Rosją. W autogr. pisownia różna: baczybuzuki, baczubuzuki.

[6] „Schronisko Łacińskie".

wołany nieść słowo prawdy i zbawienia. O Boże! Ileż to razy widziałem to samo na obrazach, i lepszego pędzla, i nie robiły one na mnie tego wrażenia, co ten o niewiele kroków od miejsca, gdzie się stało to zdarzenie.

Po wysłuchaniu mszy ojców Piotra i Rafała, moich czcigodnych towarzyszy pielgrzymki, jeszcze przez niejaki czas zatrzymałem się był w kościele, kiedy wybiła godzina południa i zaprosił nas braciszek klasztorny na obiad. On też nam służył u stołu, a oprócz nas trzech zasiadło dwóch, od niedawna przybyłych, podróżnych i jeden inżynier turecki, użyty do robót przy nowej drodze z Jafy do Jerozolimy. Dobrze byliśmy ugoszczeni, mianowicie podobały się nam białe, złotawe winogrona z Hebronu[7], pomarańcze z ogrodów jafskich i świeże daktyle.

Wnet potem odszedł do swojej celi o. Semenenko, ja — nie tracąc czasu — poszedłem z ojcem Rafałem odwiedzić dom Szymona garbarza[a], o którym Ewangelia wspomina. Służył nam za przewodnika i drogmana piętnastoletni Grek czy Turek mówiący po francusku, wychowany w szkole ubogich chłopców, utrzymywanej w tym mieście przez francuskich braci doktryny chrz[eścijań]skiej. Miejsce, gdzie według podania był dom Szymona, znajduje się niedaleko, może nie więcej jak dwieście kroków od kościoła, wewnątrz starego miasta, aby zaś dać wyobrażenie, jakie tam ciasne, kręte uliczki, przytoczę, jak Liévin[8] w swej wybornej książce dla pielgrzymów drogę do tego domu [opisuje].

> Wyszedłszy z kościoła Św. Piotra — są słowa Liévina — wchodzi się tuż od samych drzwi na wschody, a o kilka kroków dalej trzeba się zawrócić na prawo i drugimi wschodami wejść w wąską uliczkę na północ, po której idąc pięć minut dochodzi się do miejsca, gdzie po kilku jeszcze do przebycia wschodach wchodzi się do ciemnej, sklepionej uliczki, a gdzie się ta ostatnia kończy, rozdziela się droga, tu rzucamy uliczkę, która się na dół spuszcza na prawo, a idziemy na drugą wiodącą do góry. O dwie minuty dalej wchodzimy na poprzeczną uliczkę na prawo, która spuściwszy się na dół doprowadza nas prosto, nie zmieniając kierunku, na miejsce, gdzie stoi mały meczecik[9] etc.

Dodać tylko winienem, że wszystkie uliczki i na nich schody, zaledwo trzy, cztery metry szerokości mające, kręte, brudne, po większej części w skale wyżłobione lub wielkimi kamieniami niby brukowane, są ciemne, wilgotne, mury po obu stronach wysokie, okienka kratami, wejścia do domów drzwiami żelaznymi opatrzone, wszystko w nieporządku, domu od domu odróżnić nie można.

---

[a] W autogr. mylnie tu i poniżej: grabarza.

[7] Hebron (El Chalil), miasto w Palestynie, na południe od Jerozolimy.

[8] Liévin de Hamme, franciszkanin mieszkający w Jerozolimie. Dzieło, o którym mowa, nosi tytuł *Guide indicateur des sanctuaires et lieux historiques de la Terre-Sainte* (wyd. 2 Louvain 1876). W autogr.: Lieven, Lieden.

[9] Tamże, t. I, s. 79.

Tak jak wiernie Liévin wskazuje, doszliśmy do wspomnianego meczetu, który ma stać na miejscu, na którym był dom Szymona[b] garbarza. Pierwsi chrześcijanie musieli tu zapewne mieć kościołek. Islamizm w zawziętości swojej na miejsca święte, by niszczyć je i zagładzić pamięć o nich, obalając świątynie i stawia[ją]c na ich gruzach meczety, przyłożył się częstokroć lepiej do zachowania podań o miejscach, gdzie się znajdowały, niż gdyby je zostawił powszechnemu zniszczeniu, jakiemu po tylekroć to miasto uległo. Bo już ci sami niszczyciele musieli mieć więcej względu na to, co sami stawili, a było przedmiotem ich czci, niż na domy i posiadłości pospolite, niczym nie uświęcone. Tym sposobem zachowała się tu zapewne pamięć o miejscu domu garbarza, przechowana złością nieprzyjacielską, tak że dziś lud wierny nie wątpi, że w istocie była na tym miejscu święta gospoda Piotrowa, i to miejsce od wieków przychodzą czcić i modlić się na nim tysiące, miliony pielgrzymów. Pozostały na tym miejscu meczecik, od samych islamów opuszczony, ma dziś wejrzenie pospolitego domu jakiego rzemieślnika, na zewnątrz niczym z ubóstwa i zaniedbania od otaczających go domów nie różni się; nie masz przy nim minaretu ni żadnego godła islamizmu, tak że patrząc nań, pierwej nim młody mój drogman, w pąsowym fezie i białym chałacie, zapukał do drzwi, w duszy stanęło mi na pamięci, jak tu „wszedł Piotr na górę modlić się o szóstej, kiedy posłańcy Korneliusza byli w drodze i przybliżali się do miasta, a na Piotra przyszło zachwycenie".

Modliliśmy się przez chwilę z ojcem Rafałem i przyszło na mnie, jak gdybym widział, jak „Mężowie, którzy od Korneliusza byli posłani, pytający się o domu Szymonowym, stanęli u wrót, a zawoławszy pytali, jeśliby sam Szymon, którego zowią Piotrem, gospodę miał" (Ac. Apost.).

Czekał na nas u drzwi drogman, weszliśmy i smutek nas ogarnął na widok wnętrza meczetu. Jest to izba kwadratowa na cztery do pięciu metrów długa i szeroka, sklepiona u góry, grubo wapnem pobielona, naprzeciw drzwi mała w ścianie framuga, pusta, do której muzułmanie w modłach swoich jakoby w stronę ku Mekce obracają się, zwana mihrab, żadnych ozdób, podłoga nadgniłą rohożą przykryta. W jednym kącie siedział stary brodaty Turek, jakoby stróż meczetu, wyciągający dłoń po bakczysz, w drugim leżała na ziemi jakaś chora, znędzniała kobieta. Nie schodzą się tu już muzułmanie na modły, mają tu inne lepsze meczety, ale mają dla tego miejsca jakąś cześć i poważanie. Ów zaś Turek sam nie wie, czego strzeże; gdyby nie on, może by jaki Grek spekulant przerobił już ten dom na kramę czy szynk.

Ze ściśniętym sercem wyszliśmy z tej siedziby nędzy i profanacji świętego miejsca. Zatrzymaliśmy się jeszcze na moment przy marmurowej studni, która tu przy meczecie do ablucji służyła, i poszliśmy dalej

[b] W autogr. pomyłkowo: Szczepana.

oglądać stare miasto. Całe to stare miasto jest takie, jak część jego, którą przeszedłem od kościoła Św. Piotra do miejsca domu Szymonowego; wszędzie te same kręte, ciasne uliczki, brudne, ciemne, strome jakby kurytarze, na których po wielu miejscach iść trzeba schodami wykutymi w skale, a po wielu innych sklepienia u góry. Po wszystkich kątach i zaułkach kramki i izdebki nieschludne, ciemne, wilgotne, w których całe domostwa widać w brudzie i nieporządku, gdzie zaś nieco szersza uliczka, tam nacisk mułów, wielbłądów, psów i motłochu w jaskrawej, choć odartej odzieży snuje się od rana do wieczora lub zatrzymuje się przy progach. Gdzieniegdzie studnia nadpsuta lub zdrój wody wychodzącej z jakiej kamiennej budowy, która znać, że kiedyś była ozdobna, a teraz w ruinie; ruczaje sączą się po niegodziwym z grubego kamienia bruku.

Przeszliśmy nie bez mozołu przez znaczną część miasta aż do szczątków muru, którym to miasto było opasane, a który od sześciu lat rozwalony, gruzami i piaskiem zasypany, miejscami tylko ukazuje się, jaki był i jakim pozostał po wielokrotnych klęskach i zniszczeniach, przez które przeszło to miasto, będące dziś obrazem panowania islamizmu, bezładu, gnuśnej bezradności wyznawców Mahometa. Pięćdziesiąt lat temu, jak to miasto strasznego doznało trzęsienia ziemi, a sto lat jeszcze nie ubiegło od ostatniej rzezi i rabunku, których na nim dopuścili się nie Turcy, nie muzułmanie, ale żołnierze Napoleona[10]. Nieszczęsny monument z owego czasu dotąd pozostał — sala morowej zarazy (la salle des pestifères).

Omijając ten pomnik barbarzyństwa najnowszej cywilizacji, która miała świat cały odnowić, oświecić, poszliśmy widzieć nowo, z prywatnych ofiar wybudowany kościół i klasztor sióstr św. Józefa, Francuzek (Soeures de St. Joseph de Aparition). Piękna to, w najnowszym stylu budowa, obszerna świątynia, taras, z którego widok na całą Jafę i jej okolice, dom porządny, w którym się mieszczą szpital dla chorych i szkołka, świadczą, że jeszcze Francja nie wyrzekła się opieki swojej nad Palestyną.

Z owego tarasu widać budującą się nową część miasta obok starożytnej; uderzający kontrast między nimi. Już około sta domów porządnych pobudowano, zamieszkałych po większej części przez Europejczyków, Niemców i Francuzów, ulice jeszcze piaskiem usypane, odznacza się ozdobna wilia z ogrodem jakiegoś barona Rosjanina. Za całą zaś tą nowożytną Jafą poczynają się sławne ogrody i za nimi, wspominana często w Starym Testamencie, równina Saron[c].

---

[c] W autogr. mylnie: Sarnon.

[10] W roku 1799 szturmem zdobywając miasto.

Mieliśmy czas odwiedzić jeszcze dnia tego owe ogrody Jafy, o których tyle piszą podróżnicy. Nie są to ogrody — jak sobie wyobrażamy — do przechadzki, ale gęste lasy z pomarańczowych i cytrynowych drzew, tworzące gęstwinię trudną do przebycia, z krętych gałęzi i ciemnozielonych szerokich liści złożoną. Nie dochodzi ta masa zieloności może więcej nad dziesięć metrów nad ziemię, nad nią podnoszą się, z rzadka jedne od drugich, wysokie palmy daktylowe, a po brzegach widać miejscami wystyrkłe banany. Ogrodzone są te lasy rozłożystymi, dziwacznych kształtów kaktusami, a wąskie tylko piaszczyste dróżki dają przystęp do wnętrza. Wielka obfitość zielonych pomarańcz kryła się w tej porze roku między liściem, zebrane już były banany, a na palmach dojrzewały daktyle. Żadnych kwiatów ni ogrodowych roślin i upiększeń tu nie widać, są to po prostu owocowe sady, które pod wiosnę cudnie muszą wyglądać, kiedy się pozłocą i zaczerwienieją miliony pomarańcz, a biały pachnący kwiat pokryje gęstwinię.

Poza tymi ogrodami, opodal wspaniałej marmurowej fontanny, sykomorami[11] i cyprysami ustrojonej Aïn-Abu-Nabbuta, pozostał stary cmentarzyk, na którym z podania od wieków był domek Tabithy, „pełnej dobrych uczynków i jałmużn, które czyniła, a którą, gdy zaniemógłszy umarła, uczniowie Piotra położyli w Wieczerniku i obstąpiły ją wdowy płaczące, ukazujące suknie i płaszcze, które im robiła; a wygnawszy wszystkie Piotr poklęknąwszy na kolana modlił się, a obróciwszy się do ciała rzekł: Tabitho, wstań, a ona otworzywszy oczy swoje i ujrzawszy Piotra — usiadła". Pozostał dotąd na onym miejscu sklep podziemny, do którego co rok, czwartej niedzieli po Wielkiej Nocy, ludność Jafy odbywa pielgrzymkę na cześć tej ś[wię]tej niewiasty, w mniemaniu, że tam jej ciało było złożone.

Późno już było, kiedy nie zatrzymując się, przeszedłszy przez rynek i bazar miejski, wąską, sklepioną u góry uliczką i pobrzeżem morskim wróciliśmy do klasztoru. Dzwoniono na »Anioł Pański«. Po różańcu odmówionym w kościele uprzejmi zakonnicy uprzyjemnili nam pobożną rozmową wieczór. Między nimi jeden młody Hiszpan, sewilczyk, jeśli się nie mylę, był dla mnie obrazem najgorliwszego zapaleńca Chrystusowej wiary, jakoby z wieku Ferdynanda i Izabeli[12], porywczy, tkliwy, na przemian to się rozczulał, to miotał piorunami na tegoczesnych bezbożników, a mówił pięknym, ognistym językiem fray[13] Ludwika Leona. Przełożony zaś, też Hiszpan, osiwiały, podeszłego wieku, poważny, przypominał mi swoim rozumowaniem i rozwagą pisma, nauki i spokojne

[11] sykomora (gr.) — morwa figowa, drzewo o owocach groniastych.

[12] Mowa o Ferdynandzie V Katolickim (1452—1516), królu hiszpańskim od r. 1479, i jego żonie Izabeli Kastylijskiej (1451—1504) panującej w Kastylii od r. 1474.

[13] fray (hiszp.) — brat zakonnik.

wysłowienie Granady[14]. Toczyła się długo rozmowa w hiszpańskim języku, przerywana niekiedy włoskim dla moich towarzyszy.

Po dobrej wieczerzy zaprowadzono mię z całą uprzejmością do wygodnej celi na czwarte piętro, mającej widok na morze.

25 września. Pogodne niebo, wspaniały widok na morze i myśl ta, że już się znajduję na Ziemi Świętej, były na porannej modlitwie mojej dnia tego. Msza o. Semenenki, a po niej wotywa klasztorna, na której cały środek kościołka był zajęty szkółką utrzymywaną przez oo. Ziemi Świętej, uzupełniły ranek prawie do południa.

Był już ugodzony mukr, najemnik koni i powozu, na podróż do Jerozolimy. Zaraz po obiedzie, na którym gościnność i uprzejmość ojców nową nas ku nim ujęły miłością, byliśmy gotowi do podróży, aby za widna przybyć do Ramlehu[15]. Spóźnił się do godziny trzeciej mukr, a potem z godzinę jeszcze zabrało przejście po wybrzeżu (quai), napełnionym ludźmi i wielbłądami, a dalej wąską sklepioną uliczką koło bazaru aż do rynku, gdzie czekał na nas powóz, bo do miasta z przyczyny ciasnoty uliczek nie wpuszczają powozów i niepodobna byłoby przejechać. Lichy to był powóz, rodzaj char-à-banu[16], trzęsący, wysoki; za ciężko było wleźć nań ojcu generałowi, zmęczonemu jeszcze bezsennością, której był doświadczył podczas żeglugi. Rynek był napełniony ludem muzułmańskim, przekupkami, wielką rozmaitością owoców i ogrodowiny.

Przejeżdżamy najprzód koło wilii, jako też świeżo zabudowanych i budujących się domów nowego miasta, piaszczystymi, na wpół jeszcze pustymi ulicami, a następnie mijamy wspomnianą białomarmurową fontannę Abu-Nabbuta i owe ogrody, których obszar łatwiej było dziś obejrzeć z pojazdu niż w wczorajszej przechadzce.

W pół godziny drogi do miasta odsłania się przed nami płaszczyzna Saronu, pamiętna z biblijnych podań, kraj Filistynów, sucha teraźniejszej pory roku, a sławna z kwiecistej wiosny swojej, z przepowiedni Izajasza zniszczonemu Izraelowi: „rozweseli się pustynia i zakwitnie jako lilia, i rodzić będzie, i ujrzą ozdobę Karmelu[17] i Saron"*. Ta dziś pustynia to właśnie ta sama żyzna ziemia, przed wiekami ludna, nieprzejrzane ła-

---

* Cytacja Hołowińskiego, *Pielgrz[ymka]*, p. 604. [Ignacy Hołowiński, ks. (1807—1855), arcybiskup, metropolita mohylewski, pisarz i tłumacz (Petrarki, Szekspira) używający pseudonimów: Kefaliński, Żegota z Krostowca. Był uczniem Akademii Duchownej w Wilnie, później profesorem religii w Uniw. Kijowskim, od r. 1842 profesorem Akademii w Petersburgu. Jego dzieło *Pielgrzymka do Ziemi Świętej* miało kilka wydań.]

[14] Louis de Grenade (1504—1588), dominikanin, sławny mówca, autor dzieł ascetycznych i mistycznych.

[15] Ramleh (Rama), miasto w Palestynie, na drodze z Jafy do Jerozolimy.

[16] char à bancs (fr.) — wóz z ławkami.

[17] Karmel, pasmo górskie w Palestynie, 552 m n.p.m.

ny zboża rodząca, o którą długo Izrael walczył z Filistynami, po której mściwy Samson puścił owe lisy na zapalenie dojrzewających plonów[18]. Dziś ledwo miejscami ukaże się na niej mały łan pooranej roli, ślad jaki pracy ludzkiej, szakal tylko przebiegł nam drogę, dalej liczną karawanę spotkaliśmy wielbłądów obładowanych i zbrojnych w strzelby i długie piki Beduinów.

Na całej przestrzeni, której chylące się ku zachodowi słońce przyświecało, samotną tylko jakąś wieżę widziałem, przy niej stojącego na straży od rozbójników baszybuzuka, dalej nieco, na lewo, takiegoż koloru co ziemia nieliczne ubogie chałupy wioseczki Jasur. Byłżeby to znak kary Bożej to wyludnienie, ten odpoczynek płodnej przed wiekami ziemi czy znak bezrządu depcących dziś tę ziemię plemion? Bóg miłosierny, przyjdzie czas, że rozweseli i na nowo ozdobi tę rozkoszną dolinę Saronu.

Zmrok zapadł, kiedyśmy dojeżdżali do Ramlehu, tej zapewne Ramy, na której się spełniło to straszne proroctwo mordu przez Heroda dzieci: „Głos był słyszan w Ramie, płacz i narzekanie wielkie, Rachel płacząca synów swoich i nie chciała się dać pocieszyć, iż ich nie masz".

Zatrzymał się nasz powóz przy klasztorze ojców Ziemi Świętej, pod piękną daktylową palmą. Za pierwszym pociągnięciem dzwonka u furty wyszedł braciszek w kapturze bernardyńskim i nie pytając nas, skąd i czego chcemy, zaprosił do parlatorium[19], sam zniósł nasze rzeczy; z jego akcentu i uprzejmości poznałem, że był to Hiszpan. Wnet do nas przyszli przełożony i drugi mnich, oba Hiszpanie, bo tu cały zakon złożony jest z Hiszpanów. Podobało się im, że mieli z kim rozmówić się ojczystym językiem, choć i po włosku, i po francusku nieźle [się] wyrażali. Nim przyrządzono dla nas posiłek, bo już w klasztorze było po wieczerzy, wypytywaliśmy się i nauczał nas poważny przeor, czym była Ramleh. Z najwierniejszych podań klasztor ten i kościół były zbudowane na tym samym miejscu, gdzie stały domy Józefa z Arymatei i św. Nikodema. A Józef był ten, który „zdjął ciało Chrystusowe, Nikodem, który był przedtem przyszedł w nocy do Jezusa niosąc maści z mirry i aloe[su] umieszanej jakoby sto funtów; wzięli Ciało Jezusowe i związali je prześcieradły z rzeczami wonnymi". Gdzie dziś kościół klasztorny, miał być warsztat, pracownia Nikodema, a Rama jest dawna Arymatea.

Wspominali też pobożni mnisi o wojnach krzyżowych, kiedy to dziś miasteczko było wtenczas, mianowicie za Ryszarda Lwie Serce, teatrem bohaterskich czynów, jak potem uległo zniszczeniu, że jeszcze w XVI

[18] Według podania hebrajskiego miał Samson związać 30 lisów ogonami i przywiązawszy do nich zapalone pochodnie puścić na pola Filistynów.

[19] parlatorium (łac.) — izba w klasztorze przeznaczona do rozmów z osobami świeckimi, rozmównica.

wieku opuszczony był klasztor i kościół, a tylko w czasach nowszych dźwignęli je z jałmużn ojcowie Ziemi Świętej dla przytułku pielgrzymów.

25 września. Zaledwo się na brzask zanosiło, kiedy zapukał do nas braciszek. O czwartej wysłuchaliśmy mszy ojca Piotra przy ołtarzu Św. Nikodema i pośpieszyliśmy w podróż, aby uniknąć skwaru słonecznego i dojechać wcześnie do Jerozolimy. Przejazdem tylko rzuciliśmy okiem na miasto noszące na sobie znaki dawnych klęsk i spustoszeń. Domy odległe jedne od drugich, ulice w nieporządku, dwa czy trzy meczety, z których jeden, z dawnego kościoła Św. Jana Chrzciciela przerobiony, zachował wewnątrz dawną o trzech nawach budowę, a z minaretów zwraca na siebie szczególną uwagę tak nazwana Wieża Czterdziestu Męczenników, do dziesięciu metrów w kwadrat wymurowana, górująca nad całą okolicą, przy niej stosy gruzów dawnego klasztoru templariuszów. Z wierzchołka tej wieży ma być rozległy widok, od zachodu na płaszczyznę Saronu, od wschodu na poczynające się tu góry Judei.

Jakoż zaledwo minęliśmy Ramleh, ukazała się nam zupełna zmiana w przyrodzie, w zewnętrznym ustroju Palestyny; góry skaliste warstwowane, niewysokie, poprzerzynane wąskimi dolinami, miejscami urwiste, puste i suche zupełnie w jesieni, gdzieniegdzie tylko ukażą się na nich karłowate drzewa, i to pospolicie oliwne, nigdzie prawie trawy zielonej, w parowach żwir tylko i piasek, koryta powysychałych zdrojów. Na stokach jednak mniej stromych i lżejszych pochyłościach gór widać tam i sam trzody niemałe owiec i kóz pasących się jak za czasów Abrahama. Służą im na pastwisko w tej porze roku ostatki poschłej słomiastej trawy.

Od samej Ramy poczyna się w tych górach droga szeroka, chaussée, niedawno zrobiona, na której dopiero [teraz] roboty dosyć czynnie prowadzi rząd turecki i ma doprowadzić do Jerozolimy. Na całej zaś drodze, po której napotykamy ludzi wschodniego stroju, poważne chałaty, zawoje, Beduina z długą lufą od strzelby na koniu, białą abba[20] osłoniętego Araba na wielbłądzie, niekiedy baszybuzuka z szablą, widać opodal co kilka kilometrów wieże pobudowane przez ostatnich baszów na straże bezpieczeństwa. W każdej z nich było trzech, a może więcej ludzi garnizonu do obrony od rabusiów, teraz są puste, a kraj zdaje się być oczyszczony od rozbójników. Cała też droga jest jakby kartą z Biblii wyjętą, takie przebiega pamiątki ze Starego i Nowego Testamentu.

I tak, zaledwo minęliśmy po drodze cmentarz muzułmański i część jeszcze pozostałej na drugiej stronie żyznej płaszczyzny Saronu, na której Dawid miał trzody swoje, wjeżdżamy w góry, na których z daleka

---

[20] Właśc.: abaje, abà (arab.) — nazwa odzieży, koszula z krótkimi rękawami.

ledwo dostrzec można zabytki wsi, przez to niełatwo wpadające w oko, że ich domy, z ziemi czy z kamienia, tak szare jak góry, bez dachów, wydają się jak złomy kamieni pospadane jedne na drugie, i drzewa oliwne, jeżeli się gdzie ukażą przy nich, nie zieleńsze z daleka. Z tych wsi zaledwo ujechaliśmy pół godziny drogi i została nam na lewo siódma wieża posterunku, zwrócił mukr naszą uwagę na — mogące się zaledwo dostrzec na wierzchołku góry — niewiele chałup, miejsce, gdzie za przyjściem Izraela do Ziemi Obiecanej stało miasto chananejskie Gezer, to samo, które następnie zostało miastem Lewitów[21] i schronienia, a choć w nim Dawid zwyciężył Filistynów, przeszło było na długi czas w ich posiadanie aż do przyjścia Faraona, który to Gezer zdobył, wyciął mieszkańców, a ziemię oddał córce swojej w posagu Salomonowi i było to potem miejsce wielkich zwycięstw Judy i Szymona Machabeuszów, dziś ubożuchna wioseczka zwana Abuchucheh. Dalej na lewo, u podnóża góry, kryje się wioseczka Beit-Nuba, starożytna Nube, miasto wielkiego kapłana Achimelech, który dał Dawidowi chleby pokładne i miecz Goliata, za co potem od Saula i Achimelech z 80 kapłanami zostali zabici, i mieszkańce wycięci, bydło i trzody pobite. O milę drogi dalej dziesiąta wieża straży. Zatrzymujemy się na moment niedaleko wsi zwanej Latrun, w której — według tradycji — miał swoje mieszkanie Dismas, Egipczyk, ów łotr żałujący, który jednym „memento mei"[22] otrzymał niebo na krzyżu obok Chrystusa. Bo kiedy „jeden z onych złoczyńców zawieszonych sromocił Jezusa mówiąc: »jeśliś Ty jest Chrystus, wybawże sam siebie i nas«, drugi fukał go mówiąc: »i Boga się ty nie boisz, będąc w tymże potępieniu. A myśl wżdy sprawiedliwie, bo godną zapłatę za nasze uczynki odnosimy, lecz ten nic złego nie uczynił«. I mówił do Jezusa: »pomnij na mię, gdy przyjdziesz do Królestwa Twego«. A Jezus odpowiedział: »zaprawdę mówię tobie, dziś ze mną będziesz w raju«.

Na wielkiej górze nad przepaścią wznoszą się tu znaczne rozwaliny, o których Hołowiński[d] mówi, że „budowa składa się z wielkich ciosów i tak szczelnie spojonych, że całe ściany są pochylone, a nie rozpadłe, nosi piętno czasów krzyżowych, jak sądzić z ogniw i arkad gotyckich; najpewniej tu był kościół i klasztor w sposobie zamku zbudowany"[23]. Liévin powiada, że zamek był zrujnowany przez Ibra[h]ima baszę przez to, że był przytułkiem złoczyńców. Dziś przy tych ruinach kilka ledwo rodzin rolniczych (fellah) i dwóch baszybuzuków mieszka.

---

[d] W autogr. mylnie: Chołoniewski.

[21] Lewici, ród izraelski, któremu powierzony był dozór i służba w świątyniach.

[22] „Pamiętaj o mnie".

[23] Cytowany tu fragment zob. I. Hołowiński, *Pielgrzymka do Ziemi Świętej*, Petersburg 1854, s. 600.

Tuż o siedm minut drogi dalej widzimy reszty drugiej małej osady Amons, starożytnego Emaus, sławnego ze zwycięstwa odniesionego przez Judę Machabeusza nad Georgiuszem Syryjczykiem. Pozostała tam jeszcze z rozwalin absyda kościoła poświęconego siedmiu braciom Machabeuszom i ich matce, a Liévin sądzi, że to Emaus stanowiło ze wsią Latrun jedną całość, dawne Nikopoli.

Droga wchodzi między góry. Po obu stronach warstwowanie skał tak regularne i na wielką rozległość, jak nigdzie może nie widziałem, góry pocięte na warstwy równoległe, mało różniące się z sobą co do grubości, mało pochylone, miejscami powykręcane, w nich buły i jądra krzemionkowe twardsze. Poschłe ostatki trawy ze spojeń warstw wyrastają, a cały kraj ma wejrzenie smutne. Mijamy dwunastą i trzynastą wieżę, przy drodzę Studnia Joba (Bir-Ayub) nieco mętnej wody, a dalej poczynają się ukazywać dość luźno, poosadzane na południowo-wschodnich skłoniach gór, oliwne drzewa, należące do pobliskich wsi Sarris, zapewne starego Sarim, gdzie uciekający Dawid chronił się przez niejaki czas z wojskiem swoim.

O pół godziny dalej dojeżdżamy do Kariath-el-Enab (znane dziś pod imieniem Abugosz) albo[e] Kariatiarum. Tu na górę (gabba) Kariatherim do domu Abinadaba Filistyni odwieźli i złożyli Arkę Alianza, którą za karę Bożą nad Izraelem zdobyli byli i chowali u siebie, a potem sami, doznawszy srogiego ukarania, oddali i skąd we 20 lat potem Dawid sprowadził ją z wielką okazałością do Jeruzalem. Jest to miasto jedno ze znaczniejszych teraz w Palestynie. Widać tu zieloność, wiele drzew oliwnych, porządniejsze domy i kościół stary Św. Jeremiasza. Należał on do ojców Ziemi Świętej i mieli klasztor, który w XVI wieku został złupiony i zakonnicy zabici przez sąsiednich mieszkańców Abugoszu. Dotąd ten kościół jest opuszczony, zachowane są jednak trzy jego nawy z odpowiednimi absydami, niezupełnie zatarte freski na ścianach, okna i wejście od frontu gotyckie.

Jadąc z Abugoszu spostrzega się na wysokiej górze wieś Soba (dawna Sotheba), dawną jakoby ojczyznę Machabeuszów, gdzie Szymon Machabeusz wystawił na grobie ojca, matki i braci swoich siedm piramid. Było to do ostatnich czasów miasto obronne, zbudowane na jednym z najwyższych szczytów Judei, miało wodociąg i mur dokoła, zostało przez Ibrahima baszę zburzone i mało dziś w nim ludności.

O pół godziny drogi od Abugoszu przy niewielkim źródle Aim-Dilby zatrzymujemy się dla dopiekającego skwaru w południe w małym nowym karawan-seraju (oberży), gdzie było liche poddasze i mały kwadratowy dziedzinczyk okrążony murem.

---

[e] W autogr.: o (hiszp.) — albo. Niejednokrotnie spotykamy w tekście.

Po dwugodzinnym odpoczynku naszym nadchodzi karawana, Beduini puszczają swoje wielbłądy na pobliskie pole, zabierają nasze miejsce, jedziemy dalej. Droga się zakręca na prawo i spuszcza się na piękną dolinę, jedyną, na której znajdujemy winograd, pomarańczowe, figowe i oliwne drzewa, a niedaleko z drogi obszerne jakieś rozwaliny Deir-el-Benate (klasztor dziewcząt), jakichś zabudowań z czasu wojen krzyżackich. Tu się znowu poczyna jechać w górę dosyć stromo i dochodzi droga do szczytu najwyższego w całej okolicy, z którego mukr nasz ukazuje na północ Ramathaim, ojczyznę Samuela, dalej jeszcze na prawo Karim, czyli Św. Jana na Górze (St. Jean dans la Montagne), i dalej jeszcze — ledwo okiem dojrzeć — Betlejem.

Miejsce to jest jedno z najsposobniejszych do przypatrzenia się utworowi zewnętrznemu i przyrodzie tej części Judei. Góry dokoła wapienne, na warstwy pocięte, od jesiennej suszy poczerniałe, gdzieniegdzie ruiny, szczątki dawnych wsi czy zameczków. Na drodze po wielu miejscach widzimy licznych robotników budujących szosę (chaussèe). Jedni ze skały młotami oddzielają części bardziej krzemieniste i tłuką je na grube kawały, drudzy — te kawały na drobniejsze, a kobiety i chłopcy, od dziesięciu do czternastu lat, w koszykach znoszą te drobniejsze i składają na kupy przy drodze, jak się zazwyczaj dzieje przy budowie dróg europejskich, tylko się dostrzega ociężałość, znużenie. Widać, jak niejeden ze starszych przy robocie odprawia pacierze lub rozesławszy chałat robi pokłony i znowu wraca do roboty. Dziwny to widok na rój tych robotników w zawojach rozmaitego koloru, na gorącym słońcu, starsi w długich różnokolorowych chałatach, młodzi ledwo nie nadzy, ich golenie i ramiona obnażone, czarniawe.

W miarę jak się zbliżamy do Miasta Świętego, zdaje się silniej bić serce, dusza ciśnie się naprzód, wybiega, nie posiada się z radości, że niezadługo stanie u Grobu Zbawiciela. Już mniej zajęte są oczy widzeniem tego, co je otacza, myśl tylko zajęta przypomnieniem, że po tej drodze chodził i cuda działał Nazarejczyk, rodzice Jego szli do Betlejem, aby się popisali według dekretu cesarza.

Więcej pół godziny szedł pojazd nasz z wolna po wyżynie, z której krętą, już na wpół ukończoną drogą spuścił się na śliczną dolinę strumienia Terebintu (Terpentynu), na którym most kamienny budowano, i tuż przy moście widać dość porządny dom zajezdny, mały karawan-seraj, piękne pomarańczowe drzewa, wiele oliwnych i ogródek kwiecisty. Niedaleko stąd są ruiny wsi i jakiejś starożytnej wieży, dolina zaś sama i strumień pamiętne są z walki Dawida z Goliatem. Z tego strumienia młody pasterz wyjął pięć kamyków do swojej procy i jednym cięciem obalił olbrzyma.

Wraz za tą doliną poczyna droga iść w górę po skłoniu stromej góry

i we czterdzieście minut dojeżdżamy do czternastej wieży posterunku, stojącej na pograniczu dzielnicy Judy z Beniaminem. O dziesięć minut dalej jesteśmy na szczycie góry, przy piętnastej wieży, skąd odkrywa się przed nami widok na Oliwną Górę Wniebowstąpienia, klasztor św. Eliasza, nieco dalej Betlejem, od wschodu zaś przymglony łańcuch Gór Moabskich. Pięć minut dalej — już od błękitnego nieba — odbija się kopuła kościoła Grobu Świętego i mur Jerozolimy.

„Letatus sum in his, qua dicta sunt mihi: in domum Domini ibimus"[24] (Ps. CXXI).

Ze skruchą w sercu, w pokorze i na modlitwie stanęliśmy u Bramy Jafy, zatrzymani przed murami miasta, nie wolno bowiem do niego wjeżdżać pojazdem. Wnet się ukazał pierwszy dobry drogman i służalce, którzy poprowadzili nas piechotą i rzeczy nasze nieśli do klasztoru ojców Ziemi Świętej.

Ciasną, nierówną, grubymi kamieniami wyłożoną uliczką, przecisnąwszy się przez gromadę ludzi i wielbłądów w bramie, wzięliśmy się poza murem na lewo. Parę takichże uliczek zostawiwszy na prawo, dochodzimy trzecią do furty, nad którą napis „Hospicium Franciscanum", i to jest tak nazwane Casa Nuova (Dere-Idideh), dom gościnny dla pielgrzymów. U drzwi przyjął nas pozdrowieniem „Laudetur Jezus"[25] mnich franciszkan[in], Włoch, zaprowadził na pierwsze piętro i wyznaczył dla każdego czysto uporządzoną celę. Uczęstowano nas, nie wypytując każdego, skąd i zacz jest, orzeźwiającą po całodziennym skwarze limonadą. Zeszliśmy potem na dół do długiego na sto osób refektarza na wieczerzę i tam uprzejmie przywitał nas franciszkan[in], poważny, osiwiały starzec, przełożony tego Casa Nuova. Noc zapadła i każdy wrócił do swojej celi.

Jakaż to była noc szczęśliwa! Jak słodko było modlić się i bić [się] w piersi tak blisko Grobu Chrystusa, w domu uświęconym tysiącami od tylu wieków pielgrzymów, w celi zakonnej, której ozdobą był tylko krzyż na ścianie, a cisza klasztorna przyniosła ciszę duszy znużonej, spracowanej ośmdziesiątletnią nędzotą trudów po obu półkulach ziemi.

28 września, niedziela. Zaledwo widnieć poczynało, słyszę dzwon kościelny, a po chwili dochodzi słabe wołanie islamu z pobliskiego minaretu. Pierwsza myśl była: jak uczcić tego dnia pierwszą odwiedzinę Grobu Chrystusa, jak się przygotować? Jak się ośmielę przystąpić z bojaźnią Bożą do tej Arki Żywota, do której Piotr święty i św. Jan, oblu-

---

[24] „Weseliłem się z tego, co mi powiedziano: pójdziemy do domu Pańskiego" (tłum. J. Wujka).

[25] „Niech będzie pochwalony Jezus".

bieniec Jezusowy, ledwo zajrzeć ośmielili się i odbiegli, a święte niewiasty ujrzały anioła.

Wiedziałem już, że przy Casa Nuova był klasztor tychże franciszkanów, ojców Ziemi Świętej, i w nim Polak, świątobliwy kapłan, ojciec Anaklety. Poszedłem tedy do klasztoru i pierwszy zakonnik, którego na kurytarzu spotkałem, był ów o. Anaklety. Zwierzyłem się mu, zaprowadził mię do kościoła, wyspowiadał i przy pierwszej mszy porannej przyjąłem Najświętszy Sakrament.

Był to kościoł Salwatora, niewielki, wewnątrz klasztoru, dawna kaplica zakonników, przy której już oo. franciszkanie z dobrowolnych składek, między innymi z daru cesarza austriackiego, wybudowali i jest na ukończeniu wielki kościoł nowożytnego stylu.

Wróciłem jeszcze tego rana do kaplicy oo. franciszkanów na wotywę, na której były obecne szkółki przez nich utrzymywane, chłopców i dziewcząt, a co mię zdziwiło — wszyscy prawie mężczyźni byli w chałatach i zawojach, po turecku ubrani, albo też w czerwonych fezach, po grecku ubrani, a wszystkie kobiety obszernymi białymi abbami jakby prześcieradłami po turecku osłonięte. Byli to jednak wszyscy chrześcijanie, katolicy, przez zakonników protegowani, a dla wielu z nich ten klasztor z funduszów swoich daje mieszkanie i dla niektórych jedzenie.

Około południa o. Semenenko złożył od nas uszanowanie przewielebnemu o. kustoszowi zakonu oo. franciszkanów i otrzymał od niego pozwolenie użycia do naszych odwiedzin miejsc świętych w Jerozolimie i jej okolicach braciszka Liévin de Hamme, autora wybornej książki *Guide indicateur des sanctuaires et lieux [historiques] de la Terre Sainte*[26], Louvain 1876 [r.], bardzo ukształconego i uczynnego zakonnika. Z nim tedy o drugiej po południu poszliśmy do bazyliki Grobu Chrystusa i odtąd on nam towarzyszył, służył za przyjaciela, dragomana i przewodnika. Grzeczny, wesoły, świątobliwy, znany jest brat Liévin od tysięcy, tysięcy pielgrzymów chlubnie na chrześcijańskim świecie.

Z przyczyny znużenia po wczorajszej podróży pozostał w celi ojciec generał, a tylko ojciec Rafał mi towarzyszył. Szedłem za ojcem Liévin na ślepo, ze skupioną myślą w duszy, że już idę do Grobu Świętego. Pamiętam tylko, że po dwukrotnym zawrocie na lewo szliśmy długą, ciemną ulicą i wyszliśmy na niewielki rynek, z którego [wprowadził] nas Liéwin do kościoła. O kilka kroków od wejścia zatrzymaliśmy się przy poziomo leżącej marmurowej płycie, nad którą wiele lamp czerwonego światła wisiało i klęczał jeden pielgrzym. Na tym kamieniu — rzekł Liévin — położyli Józef i Nikodem, po zdjęciu z krzyża, Ciało Chrystusa; „i wzięli tedy Ciało Jezusowe, i związali je prześcieradły

[26] „Przewodnik po miejscach świętych i historycznych Ziemi Świętej" (por. przyp. 8).

z rzeczami wonnymi, jako jest zwyczaj Żydów grzebać" (Św. Łuk[asz], XIX, 40). Uklękłszy tedy i zmówiwszy pacierz, poszliśmy dalej, na lewo.

Weszliśmy do obszernej okrągłej świątyni wysoką pokrytej kopułą, z której wierzchołka słabo dochodziło światło. Nie masz tam ołtarzy, tylko dokoła grube pilastry, na których się opiera kopuła. Na środku mała kapliczka, przed nią wiele wysokich lichtarzy i palące się lampy. Wskazał nam Liévin na nią, że tu jest Grób Święty; uklękliśmy i po chwili wszedł do niej [Liévin], za nim o. Rafał, a za nimi ja też niegodny. Tu, w pierwszej izbie, w której by zaledwo dziesięciu ludzi mogło się pomieścić, stoi na środku słup o mało co wyżej na łokieć wysoki i na nim zachowany kamień, na którym według podania ukazał się świętym niewiastom anioł i rzekł: „Nie lękajcie się, Jezusa szukacie Nazareńskiego Ukrzyżowanego, wstał u z martwych, nie masz Go tu, oto miejsce, gdzie Go było położono".

Miejsce to jest tuż w mniejszej jeszcze izdebce, do której się wchodzi przez niski, ciasny, ledwo na jedną schyloną do ziemi osobę otwór. Jest to otwór grobowy. Przezeń wszedł naprzód na klęczkach o. Liévin, za nim o. Rafał, a za nim, gdym pełzając jak dziecko zdążył do środka, padłem jak nieżywy, nie mając siły na moment ni modlić się, ni myśleć; zda[wa]łoby się, jak gdyby dusza w tej chwili odbiegła od ciała i zagłębiła się do wykutego w skale grobowca. Powstawszy obaczyłem po prawej ręce ołtarz i nad nim wiele zawieszonych lamp gorejących czerwonym ogniem, a między ołtarzem a ścianą było tylko miejsca na trzy osoby. Ukląkłem przy moich dwóch towarzyszach i modliłem się, powtarzając tylko wielokrotnie modlitwę, której sam Zbawiciel nauczył człowieka, i bijąc się [w] piersi.

Ciężko było oddalić się od tego najświętszego na świecie ołtarza, ale trzeba było dać miejsce czekającym jeszcze nań dwóm pielgrzymom. Czas tylko miałem przed odejściem zajrzeć z bojaźnią Bożą pod nakrytą obrusem deskę, na której był ołtarz, i ośmieliłem się dotknąć marmurowej płyty nakrywającej otwór grobowy w skale, gdyż na nim, chroniąc go od bezczeszczenia niewiernych, postawiono ten ołtarz. Ta więc mała izdebka jest kapliczką Grobu, a pierwsza do niej wiodąca, w której jeszcze przez niejaki czas na modlitwie zatrzymaliśmy się, ma nazwanie kaplicy Anioła.

Tu usłyszeliśmy dzwonienie w przyległym kościele Najświętszej Panny, należącym do oo. franciszkanów, zbudowanym na miejscu, gdzie po złożeniu w grobie Matka Jezusowa dni i noce przepędzała i gdzie [dla] pocieszenia Jej ukazał się Jej Chrystus. Dlatego zowie się ten kościół Ś[wię]tej Marii de Apparition (Ukazania się).

Zaprowadził nas do tego kościoła o. Liévin i tam trafiliśmy na proce-

sją. Cały zakon był już zebrany z zapalonymi świecami i nam dano świece i książki do śpiewania i odmawiania modlitw przy każdym z miejsc świętych, gdzie się zatrzymywała procesja. Początek jej był w tym samym kościele Ś[wię]tej Marii przy bocznym ołtarzu, na którym znajduje się słup, czyli Kolumna Biczowania. Odśpiewano hymn, antyfonę i po ucałowaniu ziemi weszła procesja śpiewając w ciemny okrągły kurytarz, w którym najprzód zatrzymała się u Groty Więzienia N. Zb. J. C. — tuśmy uklękli, odśpiewano modlitwę i dalej tymże kurytarzem, z zapalonymi świecami, szliśmy śpiewając odpowiedni hymn do drugiej kapliczki, Św. Longina, żołnierza, który przebodł włócznią święty bok Zbawiciela i na tym miejscu, skruszony, opłakiwał swoją zbrodnię, a wypełniło się pismo: „ujrzą, kogo przebodli" (Św. Jan XIX). Włócznia przechowuje się w Rzymie.

O tej kaplicy zaokrągla się kurytarz na prawo, a procesja śpiewając w tymże samym porządku postępuje dalej, dochodzi do kaplicy Rozdzielenia Szat, miejsca, gdzie według tradycji żołnierze dzielili się szatami: „podzielili sobie szaty moje, a o suknię moją rzucili los" (Św. Jan XIX). Ta suknia, tunika Chrystusa, jest w katedrze treviskiej (Treves[27]), darowana przez cesarzową Helenę[28].

O dwa metry od tej kaplicy, gdzie jak w poprzednich paliły się lampy, schodzi cała procesja po szerokich schodach do obszernej kwadratowej kaplicy Św. Heleny, oświeconej oknami u kopuły nad tą kaplicą na czterech kolumnach opartej. W tej kaplicy w skale wykutej po prawej ręce widać ołtarz Św. Heleny, po lewej — skruszonego łotra. Podczas kiedy cała procesja na klęczkach śpiewała i odmawiała modlitwy, przewodniczący jej z niewielu zakonnikami zeszli do dołu, gdzie był znaleziony Krzyż, na którym Chrystus był ukrzyżowany, a jest tam kapliczka mała, w prawym rogu górnej kaplicy Św. Heleny wydrążona, o trzynaście schodów od niej niższa, gorejącymi dniem i nocą lampami oświecona.

Z tej podziemnej kapliczki Świętego Krzyża i kaplicy Św. Heleny, jeszcze na tymże samym okrągłym kurytarzu, modląc się i śpiewając odpowiednie hymny, zatrzymujemy się przy kaplicy Koronacji i Urągania, tam gdzie pod mensą[29] ołtarza znajduje się kolumna, na której — według podania — żołnierze koronowali cierniem Chrystusa i naigrawali się, jak mówi ewangelista: „I zwlókłszy Go, włożyli nań

[27] Treviso (łac. Tarvisium), miasto we Włoszech, w pobliżu Wenecji, posiada liczne zabytki z epoki romańskiej, piękny kościół katedralny Św. Mikołaja.

[28] Helena, święta, matka Konstantyna W., krzewicielka religii chrześcijańskiej, zmarła jako mniszka licząc lat 80.

[29] mensa (łac.), stół kamienny, w którym są umieszczone relikwie świętych i na którym odprawia się mszę.

płaszcz szkarłatny, i uplótłszy koronę z ciernia włożyli na głowę i trzcinę w prawicę Jego, a kłaniając się przed nim naigrawali Go, mówiąc: bądź pozdrowiony, królu żydowski".

Ostatnia to stacja na tym idącym w półkole kurytarzu, stanowiącym absydę tylną kościoła, i o kilkanaście metrów dalej dochodzimy do schodów, po których na lewo idzie cała procesja w górę i wchodzi na Golgotę, czyli Kalwarią, gdzie nasz Zbawiciel był ukrzyżowany.

Wstępując na tę Najświętszą Górę, ze śpiewającym chórem ubogich synów św. Franciszka, zadrżało serce moje jakby od trzęsienia ziemi, zaćmiła się dusza, modlić się nie mogłem, tylko biłem się w piersi, wzywając miłosierdzia Bożego nade mną niegodnym stąpać po zroszonej Krwią Zbawiciela ziemi. Widziałem tylko trzy ołtarze, jeden na prawo, przed którym ukorzona procesja oddawała cześć miejscu, na którym Chrystus był przybity do krzyża. Potem przeszła na lewo, do drugiego, stojącego na otworze w skale, gdzie był wbity Krzyż naszego Zbawiciela, na którym się spełniła ofiara, na którym rzekł ostatnie słowo: „Wykonało się", a skłoniwszy głowę ducha oddał. Na koniec odmówiono modlitwy przed trzecim, w pośrodku między dwoma pierwszymi, ołtarzem Matki Boleśnej, na miejscu, gdzie podczas ukrzyżowania stała Najświętsza Panna i św. Jan, a Jezus „widząc Matkę i ucznia, którego miłował, stojącego rzekł Matce swojej: »Niewiasto, oto syn Twój — potem uczniowi — oto Matka Twoja«. I od onej godziny wziął Ją uczeń on do siebie" (Jan XIX, 27).

Chor nie ustających w śpiewie zakonników oddalał się już, schodził z Golgoty, zatrzymałem się na moment, ucałowałem otwór, gdzie było podnóże Krzyża, i poszedłem za procesją. Po schodach zeszliśmy na dół, gdzie tegoż rana byłem ukląkł przy Kamieniu Namaszczenia, na którym po zdjęciu Chrystusa z krzyża było Jego Najświętsze Ciało położone, i stąd, po odpowiedniej modlitwie, szła już prosto procesja do Grobu Świętego, jak Józef z Arymatei z Nikodemem tą drogą szli niosąc Ciało Jezusowe, bo jak wiadomo: „Na tym miejscu, gdzie był ukrzyżowany, był ogród, a w ogrodzie grób nowy, w którym jeszcze żaden nie był położony. Tam tedy, dla przygotowania żydowskiego, iż on grób był blisko, położyli Jezusa".

Weszła tedy procesja do kościoła Grobu, zatrzymała się i uklękła przed kapliczką, modliła się, śpiewała i wstawszy przyszła do ostatniej stacji, do ołtarza położonego między tym grobowym okrągłym kościołem (retonda) a kaplicą Panny Marii Ukazania się, skąd była na początku wyszła.

Ołtarz ten pod wezwaniem Św. Magdaleny znajduje się nie w osobnej, ścianami oddzielonej kaplicy, tylko na przejściu nieregularnym między retondą, kaplicą Ukazania się i owym w półkole kurytarzem,

który obeszliśmy od kaplicy Więzienia do Golgoty. Przed tym ołtarzem, od strony Grobu, uklękła przy śpiewie odpowiedniego hymnu cała procesja na miejscu, gdzie według podania ukazał się Magdalenie Chrystus, „kiedy z płaczem i bojaźnią szukała Go, a spotkawszy ucznia, którego umiłował Jezus, wołała: »Wzięto Pana, a nie wiemy, gdzie Go położono«, i gdy ujrzała potem Jezusa i nie wiedziała, że Jezus był, rzekł jej Jezus: »Czemu płaczesz, kogo szukasz?« Ona mniemając, że był ogrodnik, rzekła mu: »Panie, jeśliś Go ty wyniósł, powiedz mi, gdzieś Go położył, a ja Go wezmę«".

Na tym świętym miejscu Objawienia Najczystszej Miłości zakończyła się procesja, wróciła do kaplicy oo. franciszkanów, skąd była wyszła; odśpiewano litanią i otrzymaliśmy błogosławieństwo. Skończyło się nabożeństwo na modlitwie za umarłych i rozmyślaniu.

Co do mnie, modlić się tylko mogłem, pod wrażeniem, jakie tylko co zostawiło widzenie tylu miejsc cudownych, przy śpiewie i modlitwie całego zakonu ojców Ziemi Świętej, stróżów jej i czcicieli. Wieczorem tylko, kiedym po wieczerzy, na której towarzyszyli nam wielebny przeor i ojciec Anaklety, wrócił do mojej celi, miałem czas do rozmyślania nad nieźmierną łaską, jaką mnie Bóg tego dnia obdarzył, przy schyłku długiego życia, nie pomnąc na przewinienia moje i światowy żywot, który niegodnie sterałem. Jakże dziękować, jakąż miłością odwdzięczyć [się] Zbawicielowi rodu ludzkiego za to, że mi dozwolił zbliżyć się do grobu swojego, do miejsca, gdzie męczeńską śmierć poniósł, stąpać po ziemi, gdzie pierwszy raz po zmartwychwstaniu swoim ukazał się. Gorące były tej nocy i rozmyślania moje, i modlitwy za rodziców, za żonę, za całe pokolenie krewnych i przyjaciół, uczestników młodości mojej, którzy przede mną pośpieszyli do wieczności nie używszy szczęścia, jakiego dziś doznaję, a na koniec za Kościół, za nieszczęśliwy kraj mój cierpiący, zabrany, prześladowaną w nim wiarę, język i odjęte ziemie, jako też za pomyślność gościnnej ojczyzny z Nowego Świata, gdzie przychylność ludzi, rodzinę i czterdzieście pięć lat pracowitego, dobrego bytu za dobrodziejstwem Najwyższego Stwórcy znalazłem.

28 września. Dzień wczorajszy najpamiętniejszym będzie dla mnie aż do śmierci, lecz pomimo że przeszedłem tego dnia na modlitwie cały obszar kościoła jerozolimskiego Grobu Świętego, wyszedłem nie wyniósłszy najmniejszego wyobrażenia o składzie, wewnętrznej ni zewnętrznej budowie tego kościoła, ni rozporządzeniu rozmaitych kaplic i kurytarzy w skład jego wchodzących. Umyśliłem więc tego dnia wysłuchać mszy na Kalwarii, a potem obejrzeć kościół i przypatrzyć się mu powoli.

Mszę odprawił ojciec Piotr Semenenko przy ołtarzu Matki Bolesnej

na Golgocie, a następnie drugiej mszy wysłuchałem na tejże Kalwarii przy pobocznym ołtarzu, gdzie — jakem wspomniał — według podania był Chrystus przybity do krzyża. Upadłszy potem na kolana przy trzecim ołtarzu, gdzie jest otwór w skale oznaczający miejsce, na którym był wbity krzyż Zbawiciela, zszedłem po schodach z Golgoty do drzwi kościelnych i począwszy od nich parę godzin poświęciłem na obejrzenie kościoła, mając ku temu do pomocy o. Liévin.

Nie mam zamiaru pisać podróży ni opisywać szczegółowo tego, co od lepszych niż ja pisarzy i dłużej ode mnie przebywających w Jerozolimie, mianowicie przez Hołowińskiego[f] i Manna zostało bardzo szczegółowo i umiejętnie opisane. Zapiszę tylko na pamiątkę, że byłem tu i dla siebie, jak mi się skład, ustrój i budowa kościoła ukazały, a może krócej i jaśniej dam do zrozumienia onę budowę, ograniczając się do wskazania główniejszych jego części, poczynając od środkowej najistotniejszej.

Wyobraźmy sobie obszerny gmach mający [[g]] średnicy, od zachodu w półkole zaokrąglony, od wschodu mniej foremny, zwężający się. Szesnaście szerokich pilastrów otacza go dokoła, na nich spoczywa na [[h]] wysoka kopuła, między nimi a ścianą wolne przejścia niczym nie zajęte, kurytarz otwarty. Na środku tej budowy stoi niska kaplica, z dwóch — jak wskazałem — małych kapliczek złożona. Ta obszerna retonda z kapliczką na środku stanowią właściwie kościół Grobu Świętego. Do niego, od wschodu, naprzeciw owej grobowej kaplicy przytyka jakby przybudowany, takiej prawie długości co średnica retondy, ale wąski, mający ledwo [[i]] szerokości, kościół grecki, to jest należący do Greków dyzunitów, zakończony od wschodu absydą, to jest ścianą w półkole. Naokoło tej ściany idzie ciemny kurytarz, po którym wczora szła procesja, a za tą ścianą, bardziej na wschód z ukosa, przybudowana jest prawie kwadratowa kaplica Św. Heleny, z której schodzi się do dołu, gdzie był znaleziony Krzyż Święty. Tu koniec budowy, od wschodu złożonej — jak widzimy — z retondy, kaplicy greckiej i kaplicy niższej Św. Heleny. Przejdźmy do części położonych po obu stronach od północy i od południa.

Z jednej strony, od południa, obok greckiej kaplicy styka się, przedzielona tylko od niej kurytarzem, o [[k]] schodów podwyższona na skale wielka kwadratowa kaplica Kalwarii, filarami tylko na dwie połowy

---

[f] W autogr. jeszcze raz pomyłkowo: Chołoniewskiego; Stanisław Chołoniewski, ks. (1794—1846), pisarz, przyjaciel A. Mickiewicza, w Jerozolimie nigdy nie był.

[g] W autogr. wolne miejsce.

[h] W autogr. wolne miejsce.

[i] W autogr. wolne miejsce.

[k] W autogr. wolne miejsce.

przedzielona; jedna, gdzie był wbity Krzyż Święty, należy do Greków, jest złocistymi w guście bizantyńskim malowidłami i wielu, zwyczajem greckim, lampami ozdobiona, druga — bardziej na zewnątrz, prostsza, należy do katolików. Z drugiej strony od południa, bliżej Grobu Świętego, o 20 kroków od retondy mają kaplicę Ukazania się i klasztorne cele oo. franciszkanie, z której to kaplicy, prawie kwadratowej, wyszła wczorajsza procesja. Dodać tylko należy, że między Kalwarią, retondą i połową kaplicy greckiej jest przestrzeń nieregularna, jakoby przedsień od wejścia do całego gmachu, na którego środku leży Kamień Namaszczenia. Tu z przyległego placu są jedyne drzwi do wejścia; nie masz innych na zewnątrz ani do retondy, ani do żadnej z wyliczonych kaplic lub mieszkań stykających się z nimi.

U tych drzwi, z bólem serca trzeba powiedzieć, jest od wejścia na lewo obszerna izba, w niej na czerwonym dywanie siedzi z siwą brodą, poważny, surowego wejrzenia, w bogatym zawoju Turek, ma przy sobie u nóg fajkę i flaszę z wodą, przez którą pociąga do ust długą, giętką rurką dym tytuniowy, a obok niego jeden czy dwóch innych islaminów, w tejże co on postawie, siedzą nieporuszeni, spoglądając od czasu do czasu na wchodzących. Jest to straż Domu Bożego, straż jakby dotąd po owej rzymskich żołnierzy, celnicy pobierający podatek od chrześcijan za każde otwarcie drzwi kościelnych, co gorsza — rozjemcy w zajściach i poróżnieniach między chrześcijanami.

Prędko mi to wytłumaczył brat Liévin. Te rozmaite części składające kościoł Grobu Świętego są w posiadaniu trzech nie mogących się z sobą [pogodzić] wyznań i obrządków, to jest katolików, Greków — dyzunitów i odłączonych od Kościoła Ormian, są tu i Kopty[30]. Obeszliśmy na nowo gmach cały.

Retonda i w niej kaplica Grobu należy do wszystkich zarówno; z tych dwunastu na trzy do czterech metrów wysokich świec i świeczników ustawionych przed kaplicą Grobu cztery należą do Greków, cztery do katolików, cztery do Ormian, a ta wysoka nad nimi kopuła retondy, przez wiele lat niezgodą i zaniedbaniem zepsuta, w ruinie, niedawno zaledwo za wdaniem się i po długiej dyplomatycznej walce dworów petersburskiego i tuilerskiego odbudowaną została. Tu każdego dnia umawiać się z sobą muszą nasi oo. franciszkanie z klerem greckim i ormiańskim o godziny, w których u Grobu Świętego na drugi dzień nabożeństwo odbywać będą, tak aby jedni drugim nie przeszkadzali, a zarówno płacić muszą Turkom haracz za godziny odprawianych modłów i zań odpowiedzialni są.

Ta największa z kaplic, naprzeciw Grobu stojąca, tak długa jak średnica retondy, cała bogato bizanckimi malowidłami, pozłotą i mi-

---

[30] Koptowie, potomkowie starożytnych Egipcjan.

sterną rzeźbą ozdobiona, do patriarchatu greckiego należy. Tu dwa bogate trony, pozłacane drzwi carskie, mnóstwo lamp gorejących oznaczają obrządek wschodni grecki, a czarny dwugłowy orzeł, herb cesarstwa, pokazuje, pod kogo protekcją i siłą ten kościół zostaje.

Ta boczna od północy kaplica wraz z przybocznym ołtarzem św. Magdaleny jest własnością zakonu ojców franciszkanów Ziemi Świętej. Mniej bogata, o połowę mniejsza od poprzedniej, ale gustowniej, czysto utrzymana, z organem, z dobrze urządzonym chórem i pięknymi ołtarzami była od wieków — jak i przyległy klasztor, i cały zakon — od panów i mocarzy katolickich uposażona. Dziś mniej o nią dba rząd Grewich[31], Bertów[32], Ferry'ów, niewiele Wiedeń niewdzięczny. Ojciec tylko Święty i patriarcha jerozolimski czuwają nad nią.

Na Golgocie, tej górze naszego zbawienia, stojąca — jakem powiedział — od południowej strony kaplica, dawniej do katolików należąca, wdarciem się do niej Greków i obcą pomocą na dwie połowy dziś rozdzielona, nie mniej jest świadczynią chrześcijan niezgody. Połowa jej, pozłotą i wiszącymi u lamp strusimi jajami ozdobiona, ma pyszny ołtarz i krzyż na nim takiej — jak był — wielkości, pod ołtarzem duża srebrna gwiazda, w środku której otwór, gdzie był wbity Krzyż Chrystusowy, świece nawet srebrne na ołtarzu, ale na nim się nie odprawia ofiara krwi i ciała w braku carskich drzwi — jak mi powiadano. Druga połowa tej Kalwarii, jako też środkowy ołtarz Boleśnej N. Panny, do katolików należą, do oo. franciszkanów. Uboższe wprawdzie w pozłotę i ozdoby są tu dwa ołtarze, lecz przy nich codziennie wiele [osób] mszy słucha i do komunii przystępuje liczny poczet pielgrzymów i miejscowych katolików co rana, w godziny, na które im poprzednią umową przyzwoli kler grecki. Toż i małe kapliczki na owym w półkole zaokrąglonym kurytarzu, u których wczora z procesją zatrzymywaliśmy się na modlitwie, jedne do Greków, drugie do Ormian należą, katolicy tylko przez kaplicę św. Heleny mają przejście do małej podziemnej, gdzie były znalezione trzy krzyże, między nimi poznano Krzyż Jezusa, o czym wiadomo z historii. Ormianie, nawet Kopty, mają swoją osobną kaplicę w wielkiej retondzie z tyłu za kapliczką Grobu Świętego. Mają zatem i godziny sobie zamówione, wśród których inne wyznania muszą się wstrzymać ze swoim obrządkiem.

Zasmuciło mnie nader i kogoż z wiernych wyznawców Krzyża Miłości, Zgody i Przebaczenia nie zasmuci ta waśń, spadek po odszczepieniu

---

[31] Jules Grevy (1807—1891) — zob. powyżej, t. V, cz. 2, rozdz. I, przyp. 18.

[32] Paul Bert (1833—1886), polityk francuski i przyrodnik, minister oświaty (1881—1882), zwalczał wpływy Kościoła katolickiego w szkolnictwie, w 1884 r. wniósł projekt przyjętej następnie ustawy dopuszczającej tylko osoby świeckie do nauczania w szkole.

się wschodniego Kościoła, która choć dziś przycichła, tu przy Grobie Świętym, pod naciskiem najsłabszego z rządów, tylekroć już zakrwawiła chrześcijaństwo i dziś, i na długo dzieli na dwa obozy państwa europejskie wzmocnione potęgą wschodniego mocarstwa.

Z tą myślą zachmurzoną wróciłem o południu do Casa Nuova. Po obiedzie i godzinnym odpoczynku odbyliśmy tego dnia z ojcem Rafałem pod przewodnictwem braciszka Liévina najmilszą pielgrzymkę do Ogrójca Oliwnego i Getsemani. O. Piotr nie mógł dla słabości zdrowia nam towarzyszyć.

Szliśmy długą, ciasną uliczką koło kościoła Grobu Świętego i po kilkakrotnych skrętach zatrzymał nas Liévin na ulicy Tharik-el-Alam, przy domu Piłata. Dawna ta budowa, dziś na koszary przerobiona, nie zachowała na sobie kształtu ni znaków starego rządców pałacu. Wyglądali z niego niemiłej twarzy żołnierze, jakby na zmianę po rzymskich na straży miasta stojący. Tuż przy tym domu kupy gruzów ukazują, gdzie było pretorium. Z tych gruzów dobyta została kolumna [[1]], która się znajduje dziś w kaplicy Świętej Marii Ukazania się, schody marmurowe z dwudziestu ośmiu stopni, które wiodły do sali sądowej, posłał cesarz Konstanty do Rzymu, znajdują się dziś przy bazylice Św. Jana Laterańskiego w kaplicy Scala Sancta; a tuż niedaleko jest mały kościołek Biczowania, Flagel[l]ation, kosztem i z rozkazu zwiedzającego w 1838 [roku] Grób Święty Maksymiliana[33], króla bawarskiego, zrestaurowany.

Mając tu wrócić jeszcze na drugi dzień po Drodze Krzyżowej, poszliśmy dalej i w kilka minut wyszliśmy przez bramę Św. Szczepana za mury miasta. Zaraz przed nami odsłania się Jozafatowa Dolina, u spodu jej i na dnie koryto Cedronu, a za nim na drugiej stronie, po całym stoku góry bardzo wysokiej, widać porozsadzane nieliczne drzewa oliwne. Na tym stoku — wskazuje nam Liévin — w dali Ogrojec Oliwny, wyżej nieco miejsce Getsemani, a dalej jeszcze drogę wiodącą na Górę Oliwną Wniebowstąpienia.

Ktoż by mógł opisać wrażenie, jakie na pielgrzymie sprawuje widok tylu miejsc świętych, które wzrok jednym razem ogarnia! Niebo było błękitne, cicho w powietrzu, słońce majestatyczne. Zatrzymaliśmy się niedaleko od bramy, aby się napatrzyć z dala na tak cudowny krajobraz porywający dusze do chwały Bożej, a dusza jakby odbiegła od ciała, by uczcić Najwyższego. „Wtenczas wymowniej wysławiamy spra-

---

[1] W autogr. wolne miejsce.

[33] Maksymilian Józef (1808—1888), książę Bawarii, syn księcia Piusa bawarskiego, ożeniony (1828) z Ludwiką, córką króla Maksymiliana Józefa, odbywał podróż do Egiptu (a nie król Maksymilian Józef) i po powrocie napisał *Wanderung nach dem Orient* (2 wyd. Monachium 1840). Jest on też autorem nowel i dramatów (pod pseud. Phantasus) oraz wydawcą zbioru narodowych pieśni bawarskich (1846).

wy wszechmocności Bożej, kiedy zdumieni, maravillados, milczeć musimy, wtenczas człowiek, nie zdołając słowami wielbić godnie Boga, milczeniem tylko godnie uczcić Go może. I tak nam radzi św. Dionizy, abyśmy w milczeniu oddawali cześć tej soberana[34] istności Bożej, która przechodzi nasze pojęcie, wewnętrznym Jej poszanowaniem w duszy, niewymownym, najczystszym milczeniem"*.

Dolina Jozafatowa głęboka, długa, wąska u dna, bardzo się rozszerza u wierzchu, tak że miliardy śmiertelnych ludzi pomieścić się na niej może; sucha w tej porze roku, musi być pięknej zieloności i kwiatami na wiosnę i lato okrywa. Zeszliśmy powoli z góry, na której miasto stoi, do kamiennego mostu zbudowanego na Cedronie, który to strumień w tej porze jesiennej zupełnie suchy, piasek tylko żwirowaty zostawia po sobie, a wzbiera się, skoro nadchodzić poczynają zimowe i wiosenne deszcze.

Po przejściu przez ten most prowadzi nas po krętej kamienistej ścieżce brat Liévin do groty, gdzie nasz Zbawiciel w nocy, której był wydan, w krwawym pocie modlił się do Ojca Swego. Ta grota Getsemani pozostała, jak była; na kilkanaście kroków szeroka, ma u wejścia drzwi na klucz zamykające się, strzeżone jak i sama grota przez ojców franciszkanów, do których ta grota należy. Otworzył nam ją braciszek. Przez te drzwi i mały otwór u góry wchodzi światło. We wschodniej części jest ołtarz, na którym codziennie msza odprawuje się, a jest zbudowany — według podania — na miejscu, na którym Chrystus modlił się, i nie widać tu żadnych ozdób ni malowideł prócz obrazu Zbawiciela na ołtarzu. Skała stanowi ściany po wierzchu pobielone, a pięć lamp pali się nieustannie.

Tuśmy uklękli, modliliśmy się, mając przed oczyma duszy, co powiada Ewangelia, że tu: „Klęknąwszy na kolana modlił się, mówiąc: »Ojcze, jeśli chcesz, przenieś ode mnie ten kielich. A wszakże nie moja wola, ale Twoja niech się stanie«. I ukazał się Mu Anioł z nieba, posilając Go. A będąc w ciężkości, tym samym się modlił".

U wyjścia z groty odnowiła mi się w duchu pieśń domowa, którą dziećmi będąc, z bracią i siostrami, i domownikami w postne wieczory z matką naszą śpiewaliśmy:

Ogrodzie Oliwny,
Widok w tobie dziwny,
Widok Pana mego
Na twarz upadłego.

---

* Cytacja ze św. Geronima *Guia de los pecadores* Fr. Louis de Granada, Libr. 1, cap. 1.

[34] soberano (hiszp.) — posiadający najwyższą władzę.

Minęło już [od] tej pieśni dla mnie lat ośmdziesiąt i doczekałem się dzięki Najwyższemu tej godziny.

Z tej groty niedaleko przeszliśmy do Grobu Najświętszej Panny. Wiadomo, że po śmierci Jezusa Maria mieszkała w domu św. Jana, któremu Ją Chrystus polecił, a dom ich był na Syjonie. Podanie mówi, że przy nadchodzącej śmierci tej najlepszej matki rodu ludzkiego wszyscy apostołowie zebrani w Jerozolimie, gdy umarła, pogrzebli Ją tu, gdzie byli pogrzebani Jej rodzice, Józef i Anna, i że potem ukazała się w powietrzu istniejącą całym blaskiem chwały wiecznej, otoczoną chórami aniołów i wzniosła się do nieba jako orędowniczka i pośredniczka nasza u Syna swojego.

Grób N. Panny jest w kościele zbudowanym w ziemi, a tylko wejście do niego widać nad ziemią. Od samego wejścia 56 schodów marmurowych, szerokich, prowadzi do tego podziemnego kościoła. „Po prawej stronie od wschodu jest grób Marii, wycięty w żywej skale zupełnie w taki sposób, co grób Zbawiciela; przed ścianą groty jest ołtarz Greków, przez malutkie drzwiczki można tylko w pół się schylając wejść do groty, której połowę zajmuje łoże grobowe w tejże opoce wycięte i okryte białym marmurem w żyłki czarne, i tu leżały najczystsze zwłoki Dziewicy. Łoże grobu na trzy łokcie duże służy za ołtarz dla Greków i Ormian, a dawniej mogli w niej tylko odprawiać sami bernardyni. Dwanaście lamp ciągle się pali, a grota zewnątrz i wewnątrz jak w naturalnym stanie, tylko zasłonami jedwabnymi okryta"*. Za wyjściem z grobu, wprost przeciwko grobu Marii, ołtarz jakobitów[35], w innej stronie ołtarze Greków, Ormian i Abisynów. Muslamini[36] nawet mają framugę naprzeciwko groty na swoje modlitwy. W dzień [W]niebowstąpienia[37] wszystkie narody schodzą się tu modlić się o przyczynienie Matki Dziewicy u tronu Najwyższego.

Grota Getsemani, Grota Łez Krwawych, znajdowała się za Chrystusa w Ogrodzie Oliwnym i nie wiadomo, jaką w istocie przestrzeń ten ogród obejmował, na której po dziś dzień pozostały i rosną liczne rozmaitego wieku drzewa oliwne, a innych drzew tam wcale nie widać. Część tylko tej przestrzeni ojcowie Ziemi Świętej, franciszkanie, dla ochronienia od skazy i niszczenia najstarszych drzew przypominających rozmowy, jakie pod nimi miał [Chrystus] z apostołami, nie więcej może jak na morg obszaru murem ogrodzili i ta część szczególnie nosi dziś nazwanie Oliwnego Ogrojca.

Do niej zmierzaliśmy, kiedy braciszek Liévin, przypominając to, cze-

---

* Tak Hołowiński grób ten opisuje. *Pielgrzymka*, Kraków 1838, p. 393.

[35] jakobici — sekta chrześcijańska, uznająca w Chrystusie tylko naturę boską.

[36] Moslemin, moslem (arab.) — muzułmanin, wyznawca islamu.

[37] Zapewne chodzi o święto Wniebowzięcia.

gośmy jeszcze nie widzieli, poprowadził nas do miejsca, jakoby na rzut kamieniem od groty Getsemani oddalonego, gdzie podanie wskazuje płyt kamienny i reszty jakiegoś starego muru jako miejsce, na którym Chrystus rzekł Piotrowi, Janowi i Jakubowi: „»Zostańcie i czujcie«, a odszedłszy mało padł na ziemię i modlił się, a wróciwszy się znalazł je śpiące (bo oczy ich były śpiące) i nie wiedzieli, co odpowiedzieć. I przyszedł po trzeci raz, a rzekł im: »śpijcież już i odpoczywajcie«. Potem »wstańcie, pódźmy, oto który mię wyda, blisko jest«" (S. Mark, XIV.).

O Boże, daj nam do śmierci nie spuszczać na moment z myśli Twoje tu wyrzeczone słowa: „czujcie i módlcie się, byście nie przyszli w pokuszenie. Boć duch ochoczy, ale ciało mdłe".

Modląc się, zeszliśmy do starannie utrzymanego Ogrojca przez oo. franciszkanów. Ośm tu najstarszych drzew oliwnych ze czcią należną oglądaliśmy; dwa z nich szczególnie odznaczają się wiekiem, a z nich jedno, po lewej stronie od wejścia, zajmuje najwidoczniej miejsce to samo od czasu Chrystusa. Wnętrze jego, poczynając od ziemi, całkiem wypróżnione, tylko z trzech stron wychodzą od ziemi trzy pnie, które na łokieć czy półtora łokcia łączą się w jedno grube drzewo dźwigające na sobie dosyć jeszcze rozgałęzionych konarów, okrytych drobnym, bladozielonawym liściem; dostrzec nawet łatwo na nich, choć nieliczne, małe oliwki, gdyż drzewo to nie przestaje jeszcze dawać owocu. Drzewo to więc stoi jakby na trójnogu, a jego podporne trzy pnie też nie są całkowite, nie są jak młodszych zdrowe, ale po części wydrążone. Naokoło* ukazują się z ziemi wystyrkające poczerniałe korzenie i z nich kilka wyrasta młodych, giętkich, pięknym, długim liściem uzielenionych odrostków. Gdyby tedy to drzewo — jak pospolicie lud sądzi — nie było odwieczne, to samo, co rosło za czasu Chrystusa, to pewna, że musi być odrostkiem, wnukiem czy prawnukiem owego, z jego pnia zrodzonym. Toż i o siedmiu innych w tym ogrodzie i za ogrodem rosnących powiedzieć można, między którymi wiele jest jeżeli nie równego z tym, o którym mówię, wieku, to o mało co młodszych spotykamy.

Zgadnąć nietrudno, z jaką ochotą i pokuszeniem rad bym był na pamiątkę uszczknąć choć jeden listek z tego starca oliwnego. Ale wara — rzekł stróż miejsca, zakonny braciszek, który nas oprowadzał — pod klątwą nie wolno z żadnego z tych drzew zerwać liścia jednego ni oliwy. Na prośbę tylko Liévina zerwał dla mnie z odrostka, z młodej latorośli, może roczniaka, jedną gałązkę, którą od niego z wdzięcznością przyjąłem. W tym ogrodzie pod oliwnymi ośmiu starymi drzewami ponasadzano mnóstwo najozdobniejszych roślin, mnóstwo kwiatów rozmaitej barwy i woni i poczyniono ścieżki jak zwykle w królewskich ogro-

* Do obejścia trzeba 20 kroków.

dach, tak że się tu już weselej myśl rozjaśnia i weselej się patrzą na nas stare konary oliwne.

Weszliśmy na moment do izby, w której mieszka zakonnik pilnujący ogrodu; uczęstował nas winem i wspólnie odmówiwszy modlitwy przywiązane do odpustu przywiązanego do miejsca, udaliśmy się na powrót do miasta. W powrocie rzucaliśmy okiem na drogę, po której prawdopodobnie wiedziony był nasz Zbawiciel od rzeszy, a Piotr za nim szedł z daleka.

Już zmrok zapadał, kiedyśmy przez Bramę Św. Szczepana weszli do miasta i do Casa Nuova. Z wieczora, przy pomocy ojca Anaklety, przygotowałem się do komunii, którą nazajutrz miałem przyjąć przy mszy u Grobu Świętego.

29 września. O szóstej rano miał mszę przy Grobie Chrystusa ojciec Piotr Semenenko, mój przed pięćdziesięciu laty towarzysz broni i wygnania, młody natenczas, ośmnastoletni wojak, od owego czasu przyjaciel, dziś [w]spółpielgrzym. Z jego rąk przy tymże Grobie przyjąłem Przenajświętszy Sakrament. Bogu niech będzie chwała i cześć, i wszelkie poddanie się Jego woli.

Zaraz po tej mszy była przy Grobie msza śpiewana trzech kapłanów z klasztoru księży franciszkanów. Chor tychże zakonników miał miejsce przed kapliczką Grobu od strony greckiej kaplicy. Do śpiewania Lekcji i Ewangelii wychodzą celebranci z kaplicy do retondy. Zaledwo zakończyła się msza, zgaszono przed kaplicą dwie wysokie świece należące do katolików, zapalono dwie również wysokie należące do Greków, odemknięto na wciąż drzwi od kaplicy greckiej, poczęli się schodzić w swoich jaskrawych strojach Grecy i białymi jakby prześcieradłami od głów do nóg osłonięte kobiety i poczęły się modły, śpiewy, kadzenia według wschodniego obrządku.

30 września. Msza w kościele Zbawiciela. Tego dnia po południu umyśliliśmy za poradą szanownego Liévina zwiedzić drugi raz Jozafatową Dolinę. Wyszliśmy przez Damasceńską Bramę. Z niej droga na północ wiedzie do Galilei, my wzięliśmy się na prawo, poza murem miasta, i mijając Bramę Heroda drożką kamienistą przywiódł nas braciszek najprzód do Groty Jeremiasza, w której miał prorok pisać swoje *Lamentacje*, patrząc na ruiny Jerozolimy — smutek ogarnął, głos zdawał się z niej odbijać od duszy w dalekie strony męczeństwa, do dalekiego kraju dzisiejszej kary Bożej, na swój lud pokutujący za swój i swoich przodków przewinienia.

Tu, niedaleko od Groty Narzekań, leżą groby sędziów Izraela, a cały tu obszar ziemi od strony wschodnio-północnej miasta, z nieco przypła-

szczonych wzgórz złożony, żadnymi głębokimi dolinami nie przecinany, był zawsze dla nieprzyjaciela przystępniejszym. Tu — jak przywodzi Mann — „część obozu Godfryda była od północy na wzgórzu Besetha, obóz Tankreda był więcej od zachodniej strony, a hrabia Rajmund stał naprzeciw Syjonu"[38].

Ze wzgórz Besetha spuściliśmy się, idąc dalej, na Jozafatową Dolinę, w miejscu, gdzie podanie okazuje groby królów i gdzie ta dolina do największej szerokości dochodzi. Nie wiadomo, z jakiej epoki są te groby, gdyż królowie izraelscy nie w Jerozolimie, ale każdy w dzielnicach pokoleń, do których każdy należał, byli pochowani. Miejsce to jest też dla archeologów i architektów zagadką. Wchodzi się do tych tak nazwanych „Grobów królewskich" przez dwa kwadratowe, w skale wydrążone dziedzińce, mające może do dwudziestu metrów każdy z boków, nie pokryte. W pierwszym pozostały jeszcze podstawy od kolumn podpierających portyk, mała citerna[39], szczątki ozdób na gzymsach i architrawach nadpsutych, kawałki kolumn. Schodzi się do tych dziedzińców po szerokich schodach marmurowych albo gradusach, a do wnętrza grobów przez ciasne otwory i podziemne kurytarze podobne do katakumb rzymskich. Część ich znaczna podobno kamieniami zawalona i niedostępna została, a w tej części, którą zwiedziliśmy, nic szczególnego do zanotowania nie spostrzegłem.

Poszliśmy tedy dalej Jozafatową Doliną po pochyłości jej od strony miasta. Zwęża się ona i zakręca się na południe, okrąża narożną część północno-wschodnią murów Jerozolimy, otacza miasto od wschodu aż do góry Syjonu, u której podnóża przecina ją dolina Wady el Rabiabi i obie łączą się w jedną wąską, po której idzie droga do Morza Martwego.

Cała pochyłość doliny od strony miasta jest bardziej stroma niż na przeciwnym brzegu od strony Ogrodu Oliwnego. W niektórych nawet miejscach, jak poza murem góry Moria i na północno-wschodnim narożnym fortecy, tak się przesuwa do murów, że służyć mogła za fosę do obrony miasta. Na mapie [m] ma ta dolina od miejsca grobu królów aż do południowego końca 7000 stóp angielskich długości, a szerokość jej w północnej części do 1500 stóp dochodzi, w południowej zwęża się do 400 stóp, głębokość jej nie przechodzi [n] poniżej szczytu Kalwarii.

Od północno-wschodniego rogu, idąc poza murami miasta, które równolegle do Jozafatowej Doliny ciągnie [się] w linii prostej aż do rogu południowego [góry] Moria, zatrzymał nas Liévin na paręset kroków od

---

[m] W autogr. wolne miejsce.
[n] W autogr. wolne miejsce.
[38] M. Mann, *Podróż na Wschód,* t. II, Kraków 1855, s. 263.
[39] citerne (franc.) — cysterna, zbiornik.

Bramy Św. Szczepana, w miejscu, na którym — zgodnie z przyjętym podaniem — był ukamieniowany św. Szczepan. Tu pierwszy męczennik za Chrystusową wiarę rozpoczął bój o prawdę. „A patrząc nań pilnie oni wszyscy, którzy siedzieli w radzie, widzieli oblicze jego jako oblicze anielskie. I kamieniowali Szczepana modlącego się, a mówiącego: »Panie Jezu, przyjmij ducha mego«. A klęknąwszy na kolana zawołał głosem wielkim, mówiąc: »Panie, nie poczytaj im tego za złe«".

Z tego tu miejsca, stanąwszy na wyżynie, obejrzeć łatwiej smutny widok na całą Jozafatową Dolinę, począwszy od dna jej, na którym wyschłe dziś leży koryto Cedronu, aż do najwyższych szczytów gór od wschodu. Stąd na lewo widzimy panujący nad innymi wierzch Góry Oliwnej Wniebowstąpienia Bożego, przed nami wśród drzew oliwnych na niższej spadzistości doliny Grotę Łez Krwawych, Getsemani, niżej jeszcze, prawie u podnóża stoku, grób Marii, na prawo Ogrojec starych drzew, od którego ku południowi, za Cedronem, przy samej dolinie groby Jozafata, Absalona, św. Jakuba, Zachariasza. Na całej tej przestrzeni widać tylko skały, ruiny, zwaliska, gruzy, cmentarze, a po obu stronach na skłoniach posucha, jak gdyby trawa tu już róść przestała i świeżo przeszedł tą doliną miecz Boży. Na tej dolinie płaczu i zbawienia zapowiedział Chrystus przyszły koniec świata i ku niej, gdzie był sądzony niewinnie, powoła człowieka na sąd ostateczny.

Jakież to wrażenie sprawia widok tej doliny — pamięć zbawienia i kary, cudów i męki Pana naszego, groby świętych i proroków, pomniki świetności miasta na Syjonie i jego strasznego spustoszenia. Wysoki mur nad tą doliną od północy, na nim zamurowana Brama Złota, przez którą Chrystus wjechał wśród okrzyków „Hosanna", i podnoszący się zza murów góry Moria wierzch meczetu Omara, na miejscu, gdzie był kościoł Salomona. W którąkolwiek stronę spojrzysz, wielka, niepojęta mądrość Boża, bojaźń i nadzieja człowieka, jego nikczemność i ofiarność świętych. Nad wszystkim panuje prawda, słowo Boże — „niebo i ziemia przeminą, [ale] słowa moje nie przeminą".

Wyznaję, że smutek, jaki ta dolina sprawia, niepodobny jest do zwyczajnych smutków, ani posępność jej, o której mówią podróżnicy, podobną do tej, jaką się spotyka na dzikich pustyniach. Czuje się tu spokój, cześć i poddanie się Bogu, najsroższe klęski narodowe dzisiejszego wieku łagodnieją, pielgrzym już nie jest pielgrzymem, jest tu w domu swoim, nierad by wracać.

Długośmy tu odpoczywali w milczeniu na nagim kamieniu, gdzie było pierwsze zwycięstwo krwi męczeńskiej nad mieczem dumy i bożyszczem siły.

Szliśmy dalej za naszym świątobliwym przewodnikiem, słuchając jego opowiadania na każdym miejscu, gdzie było co ze Starego czy Nowe-

go Testamentu do wspomnienia, i doszliśmy — idąc doliną po jej północnej pochyłości ku południowi — prawie naprzeciw góry syjońskiej, do Źródła Marii Panny, jedynego źródła żywej wody w Jerozolimie. Jest mniemanie, że *Pismo święte* nazywa to samo źródło smoczym. Jest przedmiotem wielkiej czci to źródło, nie tylko od chrześcijan, ale i od muzułmanów, gdyż podanie niesie, że w nim N. Panna, której rodzice mieli swój dom opodal od Bramy Św. Szczepana, tu przychodziła czerpać wodę. Wejście do źródła jest wykute w skale na 30 stopni szerokich schodów, znaki są, że był tu portyk i ozdobna budowa, na zewnątrz jest mała sadzawka na zbiór wody, a dalej wchodzi się do krytej galerii, skąd źródło najczystszej wody wypływa.

Znaleźliśmy tu kilka kobiet czerpiących wodę. O kilka kroków od źródła, pod drzewem, jak się zdaje sykomorą, siedziała grupa nader malownicza arabskiej rodziny, mężczyzn i kobiet, jaskrawych strojów, czekająca zapewne na kąpiel, w pobliżu zaś widzieliśmy małe uprawne ogródki, zasadzoną kapustę i inne ogrodowiny uprawiane przez fellahów (rolników) Arabów z niedaleko stąd leżącej na górze wioseczki Siloe. Te jedyne na dolinie uprawne zagony są na miejscu, gdzie były Salomonowe ogrody.

O paręset kroków dalej od Źródła Marii ku południowi jest miejsce źródła (sadzawki) Siloe, słynnej z cudu, który wykonał Chrystus na człowieku ślepym od urodzenia. „Kiedy spytali Go uczniowie Jego mówiąc: »Rabbi, kto zgrzeszył? tenże czyli rodzice jego, iż się ślepym urodził?« Odpowiedział Jezus: »ani on zgrzeszył, ani rodzice jego, ale aby się sprawy Boże w nim okazały. Mnieć potrzeba sprawować sprawy Onego, który mię posłał, pokąd dzień jest, nadchodzą owe, gdy żaden nie będzie mógł sprawować. Pókim jest na świecie, jestem światłością świata«. Rzekłszy to, plunął na ziemię, a uczynił błoto ze śliny i pomazał błotem oczy jego. I rzekł mu: »idź, a omyj się w sadzawce Siloe (co się wykłada posłany)«. Poszedł tedy i umył się, i przyszedł widząc".

Sadzawka ta dziś zasypana, zniszczona i kościołek, który był przy niej, zrujnowany, gruzy tylko zostały, wody zaś ze źródła używają fellahy ze wsi na polewanie swoich, byłych Salomonowych ogrodów.

Między tą wsią a dawną sadzawką Siloe znane jest zwalisko onej wieży Siloe, która upadając 18 ludzi zabiła, a o której Zbawiciel wyrzekł: „jako ośmnaście onych, na które upadła wieża w Siloe i pobiła ich, mniemacie, żeby i oni winniejszymi byli nad wszystkie ludzie mieszkające w Jeruzalem? Bynajmniej, mówię wam: owszem, jak pokutować nie będziecie, wszyscy także zginiecie" (Łuk. XII).

Pokazują też blisko sadzawki Siloe miejsce grobu Izajasza proroka i wiele innych miejsc uświęconych tradycją. Ale któż je wszystkie dostatecznie zwiedzić, obejrzeć i w pamięci utrzymać może? Wracać już

czas było potrzeba i nie zmieniając drogi, aby niektóre widziane przedmioty drugi raz obaczyć, wróciliśmy przez Bramę Św. Szczepana. Stanęliśmy w Casa Nuova o zmroku.

1 październ[nika]. Msza w kościele Zbawiciela ks. franciszkanów. Robimy przygotowania do podróży o milę za miasto, do Betlejem. Zaraz po obiedzie w Casa Nuova puszczamy się w drogę — ja, o. Rafał i Liévin konno, o. Piotr w lektyce niesionej dwoma mułami, z których jeden na przedzie, drugi z tyłu był zaprzężony, towarzyszył też nam mukr, najemca koni i młody Turek do posługi.

Wyjeżdżamy z miasta przez Bramę Jafy i po dwudziestu minutach pokazuje nam Liévin opodal od drogi szczątki rozwalonego domu, gdzie mieszkał stary Simeon oczekujący pociechy izraelskiej, któremu Bóg dał doczekać narodzin Syna Bożego, „a gdy rodzice unosili Dzieciątko Jezus, aby za nie uczynili wedle zwyczaju zakonnego, on też wziął Je na ręce swoje i błogosławił Bogu, i mówił: »Teraz, Panie, puszczasz sługę Twego w pokoju, według słowa Twego, gdyż oczy moje oglądały Zbawienie Twoje«" etc.

O drugie dwadzieście minut drogi dojeżdżamy do miejsca uświęconego podaniem i wiarą, gdzie stał terebint*. Dalej widzimy przy drodze studnię, a raczej cysternę, zwaną Studnia Magów, przy której, zgodnie z podaniem, wierni sądzą, że tu Magowie byli się zatrzymali wiedzeni od gwiazdy i po rozmowie z Herodem znowu szli za tą gwiazdą do Betlejem. Stąd o kilkanaście minut drogi wjeżdżamy na górę i ukazuje się po lewej ręce klasztor i kościół Eliasza, po prawej zaś skała, gdzie ścigany od Jezabeli ten prorok miał spocząć, i ukazują tu wierni wycisk na kamieniu jego łoża. Stąd już jak na dłoni ukazują się: od południa Betlejem, od północy widne całe Jeruzalem i Góra Oliwna, miejsca święte urodzenia, śmierci krzyżowej i wstąpienia do nieba naszego Zbawiciela, a droga, po której idziemy, ta sama, po której szła niosąc w łonie swoim Najświętsza Dziewica.

Dojeżdżamy do Tantur, do miejsca, na którym Jakub patriarcha wracając z Mezopotamii rozpiął swoje namioty, a Rachel umarła wydając na świat Beniamina. Na tym miejscu stoi dziś Szpital Kawalerów Św. Jana, a nieco dalej, tuż przy drodze, jest grób Racheli, budynek z kształtu do meczetu podobny, o siedm do ośm metrów wszerz i wzdłuż, kopułą przykryty, około niego drzew niemało i cmentarz izraelicki. „U grobu Racheli, na drodze, która wiedzie do Efraty, to jest do Betlejem, postawił Jakub znak na grobie jej" (Gen. XXXV, 19). W siedmset lat później mówi Samuel do Saula: „Znajdziesz dwóch mężów u grobu Rachel na

* Drzewo, pod którego cieniem odpoczywała Święta Rodzina, kiedy N. Panna przyszła z Betlejem ofiarować Syna do świątyni dla spełnienia przepisów Zakonu.

granicy Bendamu w południe" (Ks. Kr. L, 10)*. Miejsce to jest w wielkim poważaniu tak od Turków, jako i od Żydów, a któryż i z pielgrzymów chrześcijan nie posili się tu głębokim westchnieniem i modlitwą do Najwyższego.

Około piątej nad wieczór zbliżamy się do Dawidowego miasta. Niebo było czyste, błękitne, słońce schylało się na pustynię skalistych gór Judei, od wschodu zaś rozciągnięte pasmo gór Moabu było z lekka szaroperłowym tłem pociągnięte. W stronie tylko północnej, u spodu ich, gdzie Morze Martwe, wisiała mgła takiego błękitnawego koloru, jakiej nigdy gdzie indziej nie widziałem. Byłożby to złudzenie wzroku, czy też rzeczywiste, słabe o tę mgłę odbicie niebieskiej barwy?

Zatrzymałem się na moment. Widok miasta był dziwny dla mnie, uroczy, niepodobny do żadnego z tych, które na świecie widziałem. Ponad stromą spadzistością, jakoby na 200 do 300 m wysokiej góry, pokrytej aż do dna przyległej doliny oliwnymi, figowymi drzewami i winnicą, ciągną się od zachodu na wschód powikłane szeregi domów jednych nad drugimi, szarych, bez dachów, istne kamienne graniastosłupy, małe w nich, wąskie nieliczne okienka, żadnych wież ni minaretów nie widać, ni drzew w mieście, oznaczających jaki ogród czy przechadzkę. Tylko na wschodnio-północnym końcu miasta podnosi się jakby warownia jaka, wysokie mury prawie bez okien i bez wejścia, budowa bez żadnego kształtu ni symetrii na pionowo prawie uciętej skale.

U tej warowni, przejechawszy przez długą, ciasną uliczkę, stanęliśmy przy małej, ciasnej furtce, której z daleka dostrzec nie było można, tuż był i cmentarz nie ogrodzony i nieco opodal rynek niewielki, na którym koczowały karawany Beduinów, mnóstwo ludzi i wielbłądów. Ta na pozór warownia, a raczej zamek ogromny jest [to] gościnny dom dla pielgrzymów. Obejmuje on w okręgu murów swoich klasztory franciszkanów ojców Ziemi Świętej, jako też klasztory zakonników grecko-unickich i ormiańskich, a co największa, kościół Narodzenia wspólny dla wszystkich i kaplice dla każdego z trzech różnych obrządków właściwe.

Za pociągnięciem dzwonka u furtki wyszedł zakonnik i zaprowadził nas do refektarza, gdzie nas uprzejmie przywitał przeor rodem Belgijczyk uczony, poważny, przełożony tu od dawna nad domem, a zakonnicy tejże samej reguły co franciszkanie klasztoru Zbawiciela i Casa Nuova w Jerozolimie.

Było niezwyczajne gorąco; dla ochłodzenia się ugoszczono nas limonadą. Kościół o tej godzinie już był zamknięty. Rozmowa ciągnęła się do późna o Ziemi Świętej, o mieszkańcach jej i stanie katolickiego Kościoła. Po wieczerzy zaś poprowadzono najprzód o. Piotra, jako prałata,

---

* Cytacja Manna, t. 2, [s.] 476.

generała zakonu, do przygotowanego dla niego pokoju, a dla mnie i o. Rafała dano też porządną celę na dole z ostrzeżeniem, że nazajutrz o czwartej rano będzie mógł mieć mszę u Żłobka o. Rafał, a o szóstej o. generał. Nie było w tym czasie nikogo więcej z pielgrzymujących.

W celi, po modlitwie, pierwsza myśl przyszła: jestemże w Betlejem, tuż gdzie się urodziło Dzieciątko Jezus, a Matka „uwinęła Go w pieluszki i położyła Go w żłobie, iż miejsca dla nich nie było w gospodzie. A byli pasterze w tej krainie czujący i strzegący nocne straże nad trzodą swoją. A oto Anioł Pański stanął podle nich, a jasność Boża zewsząd je oświeciła i ulękli się wielką bojaźnią. I rzekł im Anioł: »nie bójcie się, bo oto opowiadam wam wesele wielkie, które będzie wszystkiemu ludowi, iż się wam dziś narodził Zbawiciel, który jest Chrystus Pan w mieście Dawidowym. A ten wam daję znak: znajdziecie niemowlątko uwinione w pieluszki i położone w żłobie«. A natomiast z onym Aniołem przybyło wiele zastępów niebieskich chwalących Boga i mówiących: »Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli«. I stało się, gdy odeszli aniołowie od nich do nieba, pasterze oni mówili jeden do drugiego: »pódźmy aż do Betlejem, a oglądajmy to Słowo, które nam Pan oznajmił«, i przyszli kwapiąc się, i naleźli Marię i Józefa, i niemowlątko leżące w żłobie".

Nie jestże sen, marzenie, że w ośmdziesiąt lat ode dni, kiedy po pierwszy raz o tym mówiła mi matka, a na obrazkach św[iętych] widziałem i w kościele radośnie śpiewał lud »Anioł pasterzom mówił, Chrystus się nam narodził w Betlejem«, dziś, obiegłszy świat, tak jak jest szeroki, i nasyciwszy się żywotem, Bóg mi daje obaczyć to miejsce i pocieszyć się przy tym cudownym żłobku?

Jakież to miłe wspomnienie owych lat dziecinnych, kiedy wiara była prosta, wnioskami ludzkimi nie łamana, wiara wcielona w życie domowe, rodzinne, w ciało i krew, że tak powiem. Wszakżem to już był na drugiej stronie ziemi i tam wiek przetyrał między ludźmi obcej mowy i innego szczepu, a te rodzinne pieśni: »W żłobie leży, któż pobieży kolędować małemu«, »Przybieżeli pastuszkowie«, »Bóg się rodzi, moc truchleje«, »Anioł pasterzom mówił«, i te późniejsze szkolne, »Salve Jezu parvule«[40], nie przestawały nigdy obudzać się w uszach, jak gdyby Anioł Stróż śpiewał je mnie niegodnemu do zachowania wiary. Ale że i już tak było daleko i niemłodo, że i ani na myśli nie było, żebym kiedy to święte miejsce mógł za życia obaczyć. Jakież to dobrodziejstwo Wszechmocnego, jakże Mu odwdzięczyć [się]? Jak przyjemnie tu modlić się — młodość zdawa się po żyłach w serce przelewać, przypomina rodziców, braci, siostry, krewnych i tylu przyjaciół po rozmaitych krajach, a którzy już wszyscy

---

[40] »Witaj, Jezu malusieńki«.

poumierali, choć jeszcze miłuje; przypomina kraj mój nieszczęśliwy, przygnębiony, wołający o pomoc do Boga, pognębiony, sromocony od narodów, kościoły w nim poniszczone, pozamykane lub na obcy obrządek obrócone, zakonnicy i zakonnice powyganiane, ziemie wydarte. Jakże tu za tę ojczyznę świętych naszych, Stanisława, Kazimierza, Ludwika, Jozafata, Jana, Salomei, Kunegundy, Izabeli i tylu innych, nie modlić się i błagać ich, aby się za nas modlili do tego Dzieciątka, które ludzkość zbawiło! Już 50 lat minęło od ostatnich świąt Bożego Narodzenia przepędzonych w domu rodzinnym, mały nasz kościołek od dwudziestu lat zamknięty.

2 paździer[nika]. Na modlitwie i rozmyślaniu noc przechodziła; gwiazdy zza okna świeciły na niebie jak za onej szczęśliwej nocy. O trzeciej [godzinie] zapukał ojciec franciszkan[in] dając znać, że już odemknięto kościoł. Zerwaliśmy się natychmiast. O. Rafał poszedł natychmiast robić przygotowania do mszy w Grocie Narodzenia Pańskiego, ja za nim wszedłem naprzód do wielkiej kaplicy oo. franciszkanów, gdzie się już odprawiała wielka msza z asystencją trzech księży, świątynia rzęsiście oświecona i śpiew choralny. Z tej kaplicy ciemnym korytarzem poprowadził mnie braciszek zakrystian, przeszliśmy przez kościoł Narodzenia P[ańskie]go, gdzie się paliły lampy, i stamtąd przez małe drzwiczki miedziane zeszliśmy krętymi schodami o kilkunastu gradusach do długiej na dwanaście metrów, a na trzy do czterech m[etrów] szerokiej podziemnej kaplicy. Tu, [jak] mi powiedział zakonnik, jest grota, gdzie się narodził Chrystus, a tu, pod tym ołtarzem, srebrna gwiazda na miejscu, gdzie się urodził. Tuż przy tym ołtarzu wskazał mi wejście do mniejszej kapliczki, mniejszej nieco od owej Grobu Chrystusowego, i w niej po jednej stronie, na prawo od wejścia, wydrążenie w skale mające kształt żłobka, gdzie N. P[anna] położyła dziecię, bo dla niego miejsca nie było w gospodzie, po lewej zaś stoi ołtarz, na miejscu gdzie Magowie wszedłszy w dom znaleźli Dzieciątko z Marią, Matką Jego, i upadłszy pokłonili się Jemu, a otworzywszy skarby swe, ofiarowali Mu dary: złoto, kadzidło i mirrę.

Przy tym ołtarzu wysłuchałem mszę o. Rafała przy drzwiach, bo wewnątrz kapliczki Żłobu miejsca dla słuchających nie masz, tak jest mała. Po mszy wszedłem do niej, pomodliłem się upadłszy przy Żłobku (la crèche), potem przy onej srebrnej gwiazdce, na której napis: „Hic de virgine Maria Jezus Christus natus est"[41]. Potem obejrzałem ściany tej groty pokryte jakąś materią i malowidłami, z których na ołtarzu Magów jest dosyć oddanej przez nich czci Jezusowi, a że było jeszcze nie rozwidniało [się], chciałem wrócić do celi. Nie trafiłem do niej i błądząc

[41] „Tu dziewica Maria Jezusa Chrystusa urodziła".

wróciłem znowu do kaplicy Św. Katarzyny, gdzie msza po mszy odprawiały się prawie nieustannie.

Tu, z łaski Najwyższego, na modlitwie i rozmyślaniu trzy godziny ubiegły, aż mię drugi zakonnik ostrzegł, że o. Semenenko wyjdzie ze mszą do Groty. Przeszedłem tedy powtórnie przez kościół Narodzenia, na który niewiele jeszcze miałem czasu patrzeć, i powtórnie wysłuchałem mszy w Grocie, przy ołtarzu Magów.

Tą razą lepiej mogłem się przypatrzyć Grocie Narodzenia i malutkiej kapliczce Żłobu, w których dniem i nocą kilkanaście lamp pali się nieprzerwanie. Że zaś niebawem poczęli się schodzić Grecy, ich kler i kobiety osłonięte od stóp do głów i brano się do nabożeństwa obrządkiem greckim w kościele, przez który trzeba przechodzić, wróciłem do klasztoru, do refektarza, gdzie znalazłem obu moich towarzyszy pielgrzymki i dwóch zakonników, jako też naszego zacnego przewodnika braciszka Liévina.

Nie tracąc czasu, zaraz po rannym posiłku, którym nas uprzejmie ugościcili ojcowie Ziemi Świętej, poprowadził nas Liévin do obejrzenia kościoła i grot podziemnych. Takie o nich, nie wchodząc w szczegóły, bo nie piszę podróży, bo to już wybornie od wielu podróżników jest opisane, takie ogólne powziąłem wyobrażenie.

Kościoł Bożego Narodzenia, stara bazylika zbudowana przez św. Helenę i jej syna Konstantego (333 r.), odnowiona później przez cesarza Justyniana, po wielekroć zagrożona zniszczeniem przez muzułmanów, wyzwolona od nich przez Tankreda za czasu wojen krzyżowych, była zawsze we władaniu księży katolickich, w niej — jak wiadomo — koronował się Baudouin I, król jerozolimski. Kościoł ten, jeden z najwspanialszych na świecie, ma kształt krzyża, boczne ramiona i część nadgłówna w półkola absydami zakończone, od nich do perystylu[42] pięć naw, czterema rzędami kolumn z czerwonego marmuru monolitów przedzielone, z nich średnia, szersza, tyle ma szerokości, co cztery boczne razem wzięte, i o dwa razy wyższa od nich. W wyższej tylko części tej średniej nawy (a nie w bocznych) są okna, które dają wiele światła na całą świątynię. Jak prawie wszystkie bazyliki z owego czasu, tak i ta nie jest sklepiona, widać tramy poprzeczne, krokwie i całe wiązanie dachu z drzewa odkryte, a pokrycie na zewnątrz jest z blach ołowianych. Kapitele kolumn koryncki, architrawy ozdobne; ściany były mozaikami obłożone, perystyl ma tę samą szerokość, co kościoł, a wejście do niego na zewnątrz musiało być przepyszne.

Owoż ta bazylika, która od wieków była we władaniu katolików, utrzymywana, wspierana przez papieży, królów i panów katolickich,

[42] perystyl (gr.) — przedsionek wsparty na kolumnadzie, galeria otoczona kolumnami.

dziś — obojętnością królów zapominających o wierze — dostała się w ręce Greków i Ormian. Ci obrócili na swój obrządek chór i boczne ramiona kościoła, a resztę, to jest pięć naw z czterema szeregami kolumn, 33 metrów długości cienkim murem aż po wysokość bocznych naw oddzielili, zostawując tę wspaniałą część kościoła otwartą, zupełnie pustą, opuszczoną; w niej odbywają targi, koczują Turcy Beduini.

Na zewnątrz front kościoła (atrium) porujnowany, murem jakimś podparty, ma swoje drzwi wielkie zamurowane, tylko małe w nich drzwiczki zostały otwarte. Wszedłszy przez nie widzimy najprzód westybul, z którego trzy były obszerne wejścia do kościoła, teraz ciemny, poprzecznymi ścianami poprzedzielany. Z niego wąskimi, niskimi drzwiami gdy się wejdzie do kościoła, uderzają swoimi kształty, wielkością obszerne nawy i ich kolumny, a smutek bierze widzieć kościół pobielanym murem przecięty, na ścianach ślady malowideł pyłem pokryte, podrapane, na kolumnach barwa znikła, posadzka pogruchotana, wszystko jakby po świeżym rabunku; ni śladu ołtarzy i świętości, jedna tylko kamienna chrzcielnica została.

Kiedy zaś przejdziemy przez boczny korytarz za ów murowany przedział kościoła do chóru i krzyżowych ramion, transept[43], ukazuje się ta część urządzona jak zwyczajne cerkwie greckie, ołtarzyki, pozłoty, lampy ze strusimi jajkami na sznurach, na ścianach świecą miejscami też reszty i ostatki mozaik niełatwe do rozeznania, a w ogóle mało porządku i czystości.

Już tedy do tego kościoła nie mają prawa katolicy i tylko rząd Napoleona III wymógł na Porcie, że oddano ojcom franciszkanom Ziemi Swiętej klucze od wielkich drzwi kościoła i przejście przez chor do Groty. Grota bowiem Bożego Narodzenia i przyleżna Żłobka nigdy nie przestały być w zarządzie katolików, choć i do nich wdarli się intryganci Grecy, protegowani przez wielkie mocarstwa, tak że dziś dwie tylko msze przy ołtarzu Magów mogą mieć codziennie franciszkanie, z zabronieniem dawania tam komunii, a jedną mszę w Grocie Narodzenia Grecy.

Co zaś do Groty, to wiadomo, że podobnie jak dziś po wielu miejscach przy drogach i domach Beduinów w Ziemi Świętej widać wykute w skale lub naturalne groty, gdzie się mieszczą domy zajezdne, tak nazwane karawan-seraje, tudzież stajenki na konie i bydło, tak i ta, w której nasz Zbawiciel urodził się, była i do dziś dnia została wykuta w skale, a może i naturalna. Do niej wchodzi się z choru kościoła po stopniach, a tylko w miejscu, gdzie ołtarz Magów, miała otwór na zewnątrz. Ta Grota ma się znajdować pod środkiem choru, gdzie jest na parę stóp od

---

[43] transept (łac.) — poprzeczne skrzydło przecinające główną nawę kościoła.

podłogi kościelnej podwyższone miejsce. Od niej zaś musiała być komunikacja, dziś zamknięta, do innych grot w tejże samej skale, które się rozgałęziają pod kościołem.

Do nich zaprowadzili nas ze świecami zakonnicy inną drogą od klasztoru i z nimi obeszliśmy wiele kapliczek i miejsc uświęconych tradycją, mianowicie kapliczkę Św. Józefa, gdzie ten święty otrzymał od Anioła [polecenie], aby szedł z Dziecięciem do Egiptu, kapliczkę Niewiniątek, w której wiele matek z dziećmi swoimi chroniło się przed zbirami Heroda i były tam pomordowane ich dzieci, i wiele innych, też małych grot, a w końcu przyszliśmy do grobu i oratorium św. Hieronima (XV wiek) na miejsce, w którym według podania tłumaczył Wulgatę i umarł.

Kościół i kryjące się pod nim pieczary leżą opodal od miasteczka. Do kościoła z jednej strony przymurowane klasztor i kaplica Św. Katarzyny, z drugiej — klasztory grecki i ormiański tworzą ogromną masę zabudowań, a dokoła okrąża je mur wysoki.

Mieliśmy jeszcze czas przed południem obejrzeć położenie miasta i jego okolic od wschodu i od północy. Poprowadził nas najprzód uprzejmy franciszkan[in] do kaplicy zbudowanej na grocie, w której schroniła się N. Panna z Dzieciątkiem i św. Józefem pierwej, nim w dalszą udała się drogę do Egiptu. Jest to tak nazwana Grota Mleczna, w wielkim poważaniu nie tylko od chrześcijan, lecz i od muzułmanów.

Wyszedłszy potem na wierzch góry, która stromo spuszcza się od północy na głęboką dolinę, odsłonił się nam prześliczny widok na judzkie góry aż po zamykające od wschodu horyzont góry Moabu. Miejscami na stokach pobliższych gór przypłaszczonych widać rozległe pola uprawiane, rolnicze. Tuż za doliną, o pół godziny drogi, leży Wieś Pasterzy i widać pasące się na polu trzody i pilnujących je pasterzy jak za czasu, kiedy się tu ukazał Anioł Pański i za nim poczet aniołów śpiewających »Chwała na wysokości Bogu, a pokój ludziom dobrej woli«. Dalej ukazał nam Liévin obszerne pola, które dotąd noszą imię Pól Ruty, przypominające Bo[o]za [°]. Dalej zaś, jakby o parę godzin drogi ku wschodowi, sterczy ostrokrężna góra, pionowo ucięta, jak warownia ręką ludzką ukształcona. Jest to Góra Herodiana, na której Herod zamek wielki wystawił i w nim się obronił od Parsów, i tam gotował grób dla siebie. Góra ta teraz zowie się Górą Francow (Djebel-Foureidis).

Żal mi było rzucać tę krainę nie zwiedziwszy tyle miejsc ważnych i interesujących, ale czas naglił do powrotu. Po drodze do miasteczka i klasztoru zaszliśmy do kram i pracowni greckich, gdzie się wyrabia i przedaje jedyne przedmioty przemysłu betlejemskiego, rozmaitego

---

° W autogr. wolne miejsce. Oczywiste, że przywodzi tu autor na pamięć różne postacie i sceny, jakie z tym miejscem związała *Biblia*.

rodzaju różańce, krzyżyki z perłowej macicy i konchy pereł z wyrabianą na nich płaskorzeźbą, wyrażającą rozmaite dzieje z Ewangelii. Nakupiliśmy tego niemało, zwyczajem pielgrzymów. Na pożegnaniu ugościli nas wielebni ojcowie Ziemi Świętej wybornym winem betlejemskim, które mi lepiej smakowało od najlepszych win europejskich, wino z koloru i smaku podobne do jeresu[44], ale przyjemniejsze i wybornej woni; winogrona białe, żółtawe i granaty przedziwne, jabłka piękne, ale niedobre.

Jeszcze raz rzuciliśmy okiem na to miasto rodzinne Człowieka-Boga, na szczycie góry oliwnymi, figowymi, granatowymi drzewami i bujnym winogradem pokrytej, od trzech tysięcy lat, od urodzenia w nim Dawida to samo; nie widać koło niego śladu zwalisk, które by świadczyły, że było kiedy większe, niż jest teraz, a może i ludniejsze. Liczy dziś do trzech tysięcy mieszkańców, tyle prawie katolików, co Greków i Ormian dyzunitów, a kilkaset ledwo Beduinów — lud bitny, waleczny, mężczyźni w tureckich zawojach wschodniego stroju lub w czerwonych fezach, dobrej, lekkiej, kształtnej budowy ciała, kobiety [w] błękitne i w białe zasłony ubrane, pracowite.

Powoli im i ich mieszkaniom przypatrując się, przejechaliśmy wzdłuż przez miasteczko i tąż samą drogą, która nas przywiodła do Betlejem, wróciliśmy przed południem do Jeruzalem, do Casa Nuova. Tegoż dnia, o trzeciej po południu, poszliśmy z ojcem Rafałem i bratem Liévin obchodzić Drogę Krzyża. Był to bowiem piątek, a każdego piątku całe zgromadzenie z klasztoru Zbawiciela idzie o tej godzinie z procesją na Drogę Krzyżową, po której wiedziono naszego Chrystusa z krzyżem na plecach od Pretorium[45] na górę Golgoty.

Któż z pobożnych katolików nie towarzyszył wielokrotnie Drodze Krzyżowej, którą obchodzi w piątkowe wieczory każdy proboszcz po naszych kościołach, a duchowieństwo liczniejsze po miastach, przed obrazami wyrażającymi mękę Pańską? I na kimże ta o czternastu stacjach procesja, owe obrazy, modlitwy przy nich i wspomnienia nie wywierają duchowego wzruszenia, podniety do wiary i pobożności? — Cóż dopiero, kiedy tę samą procesję odprawiamy i czternaście razy zatrzymujemy się nie przed obrazami przedstawującymi, co się działo o sto, o tysiące mil daleko, lecz po tej samej górze, po której na krzyż wiedziono naszego Zbawiciela, i na każdym przystanku słyszymy w głos mówiącego kapłana: tu, na tym miejscu to a to się stało, i te same wspomnienia, też same modlitwy powtarzamy, które od dzieciństwa w naszych słyszeliśmy kościołach!

---

[44] jeres (hiszp.) — cheres (xeres), gatunek wina (nazwa od miasta).
[45] pretorium — ratusz (mieściła się w nim sala sądowa).

Cały zakon ojców franciszkanów i wiele pobożnych było już o trzeciej godzinie zebranych na ulicy, przy miejscu, gdzie było pretorium Piłata i gdzie na murze tuż stojących koszar znak został, skąd wyjęto wschody, scala sancta, które z rozkazu św. Heleny odesłano do Rzymu, [do] kościołka, który się znajduje przy bazylice Św. Jana Laterańskiego. Tu Piłat podał Chrystusa, żeby był ukrzyżowan [stacja 1.].

Szliśmy po parze, na przedzie żandarm turecki, Grek dobrze ubrany z dobytą szablą, za nim przewodniczący z książką franciszkan[in].

2. stacja. Zatrzymujemy się tuż jeszcze przy owym znaku, gdzie była scala sancta; u zejścia z niej żołnierze wywiedli Jezusa, aby Go ukrzyżowali.

3. [stacja]. O dwieście kilkadziesiąt kroków dalej, przy na wpół stłuczonej kolumnie, na rogu ulicy, pierwszy upadek Jezusa pod krzyżem. Wchodzimy na ulicę idącą od Damasceńskiej Bramy i zatrzymujemy się.

4. [stacja]. „Tu — rzecze przewodniczący — Jezus z gorzkim na sercu żalem spotyka swą Matkę, o jakaż Jej boleść! Do czegoż przyrównać? Wielka ta jak morze boleść" (Lamen. II, 13). Padają wszyscy jak i na poprzednich stacjach na kolana. O litościwy Jezu, naucz nas cierpieć.

5. [stacja]. O 23 m dalej zawracamy się ciasną uliczką na zachód i tu, gdzie jest małe wydrążenie w kamieniu, przy pierwszym domu na lewo, ukazuje zakonnik miejsce, na którym według tradycji, gdy wiedli Jezusa, pojmawszy Szymona, niektórego Cyrenejczyka ze wsi idącego, włożyli nań krzyż, aby niósł za Jezusa (Łuk. XXIII, 26).

6. [stacja]. Dochodzimy do domu św. Weroniki, przy którym ta święta, gdy ocierała twarz zmęczoną Chrystusa, wizerunek twarzy Jego został na jej chuście. (Po całej drodze przechodzi procesja koło kram i pracowni greckich i muzułmańskich, napotyka ludność rozmaitego szczepu i wyznania, a nikt jej nie zastępuje drogi ani naigrawa się, raczej obojętnie patrzy.)

7. [stacja]. 60 met[rów] dalej na końcu uliczki, przy której jest brama sądowa, jest miejsce, na którym Chrystus powtórnie z bólu upada.

8. [stacja]. Dalej zaś na lewo, przy klasztorze greckim St. Caralembosa (ósma stacja), miejsce, gdzieśmy też padli na kolana, słysząc te słowa: „Tu Jezus obróciwszy się do nich (do niewiast, które szły za nim) rzekł: «Córki jerozolimskie, nie płaczcie nade mną, ale same nad sobą, nad dziatkami waszymi płaczcie»".

9. [stacja]. Tu droga krzyżowa zamknięta, zawracamy się na południe i o kilkadziesiąt metrów dalej znowu na północ i krętymi ulicami dochodzimy do drzwi domu biskupiego Koptów. Tu oddajemy cześć trzeciemu upadnięciu Chrystusa, kiedy dochodząc do wierzchu Kalwarii traci do ostatka siły ze zmęczenia i boleści.

Od tego miejsca ostatnie pięć stacji są już w bazylice Grobu Świętego, ale żeby dojść do tej bazyliki, musimy się wrócić o sto metrów nazad tymiż ostatnimi ulicami, które tu nas przywiodły. Małą na koniec uliczką wziąwszy się na prawo, stanęła procesja u drzwi bazyliki i nie zatrzymując się weszła do niej.

10. [stacja]. Tu najprzód wstąpiliśmy po schodach na prawo na Kalwarię, do pierwszej kaplicy katolickiej, w której o jeden metr od schodów na podłodze osadzona marmurowa róża, na miejscu, gdzie był z sukni obnażony Chrystus.

11. [stacja]. Stąd, po zmówieniu modlitwy i odpowiedniej medytacji, przeszliśmy do kaplicy greckiej Ukrzyżowania i zatrzymał się przewodniczący u — będącej w posadzce — kwadratowej mozaiki, gdzie był [Chrystus] do krzyża przybity.

12. [stacja]. Następnie przystąpił do ołtarza w tejże kaplicy, pod którym leży gwiazda srebrna, a w jej środku otwór, do którego był wbity krzyż i na nim umarł Chrystus.

13. [stacja]. Od tego ołtarza o parę kroków na prawo jest niewielki ołtarz poświęcony Matce Boleśnej i tu również, jak w każdej ze wszystkich poprzednich stacji, odmówiona była modlitwa i stosowna do miejsca medytacja, które dla wszystkich kościołów na świecie są przepisane i słyszymy odmawiane.

14. [stacja]. Schodzi na koniec całe zgromadzenie w procesji w tym samym porządku, po parze, z Golgoty do Grobu Świętego i tu, po dłuższym rozmyślaniu, kończy się Droga Krzyżowa.

Siedemset do ośmiuset metrów Krzyżowej Drogi, podług pomiaru braciszka Liévin, przechodzi procesja od prętorium Piłata do Grobu Świętego i zabiera więcej dwóch godzin czasu, a w całym mieście, po ulicach, którędy modląc się i klękając z wolna postępuje, najmniejszej przeszkody, krzywdy i nieposzanowania dostrzec nie mogłem i nie było, chociaż o niemało kilometr jeden przeszliśmy między dobrze zaludnioną częścią miasta, a w jednej ciasnej uliczce trzeba było przechodzić ponad wypukłe sklepienie jakiejś podziemnej budowy, zabierające środek ulicy. Ani starce, [a]ni dzieci, kobiety ni mężczyźni, muzułmani, Grecy ni Żydzi [nie] okazali nieprzyjaźń szyderczą czy niechęć; żandarm, Grek czy Arab, na przedzie z szablą miał tylko do czynienia z jakimś ujuczonym osłem czy wielbłądem, które[go] odpędzał lub zawracał z drogi, a rząd turecki i policja były niepotrzebne. Co za przykład zawstydzający nasze cywilizowane, bardzo liberalne i k u l t u r n e rządy i motłochy!

3 paździer[nika]. Po mszy, o godzinie dziewiątej, poszliśmy z braciszkiem Liévin i o. Rafałem oglądać górę Moria, na której Jakub po-

słusznym okazał się poświęcić syna swego na ofiarę Bogu, a Salomon kościół zbudował, na którego miejscu dziś stoi meczet Omara.

Dniem pierwej ułożyliśmy się za pomocą drogmana ze stróżami urzędowymi meczetu, że za dość ograniczony bakczysz, nie przechodzący szesnastu franków, dadzą nam wolne wejście nie tylko do esplanady, na której meczet stoi, ale i do samego meczetu, na co przed dwudziestu jeszcze laty niepodobna było otrzymać pozwolenia, chyba tylko od samego sułtana. Przyłączyli się do nas jeden Szwajcar z żoną i córeczką, którzy po dziesięciu latach pobytu w osadach guber[ni] chersońskiej Rosji wskutek ostatnich tam ukazów postanowili udać się do Australii, a pierwej odbyć pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Oprócz nich poszli z nami jakiś Grek, Macedończyk w sukni kapłańskiej i jeden ubogi kapucyn, Irlandczyk.

Bez żadnej przeszkody weszliśmy na górę Moria przez piękne arkady położone blisko wspomnianych wyżej zwalisk pretorium Piłata. Tu się nam otwiera przestronny plac prostokątny, na 500 m długi, a 300 m szeroki, poziomo wyrównany, po części z samej skały, po części gruzami ubity, prawie już cały kamiennymi płytami wyłożony, w północno-wschodniej tylko stronie, gdzie wiele jeszcze pozostaje wystyrkłych miejsc i szczątków jakiegoś zwaliska do wyrównania, pracowało wiele robotników, zbrodniarzy, przy nich zaś drugie tyle było na straży baszybuzuków.

Na prześlicznej tej esplanadzie, otoczonej od wschodu ogromnym murem fortecznym, a od innych stron wysokimi domami i murami (a która ma być przypłaszczeniem góry wykonanym jeszcze za Salomona), wznosi się meczet Omara, na tym samym miejscu, na którym miał stać kościół Salomona, zburzony przez Nabuchodonozora[46], potem odbudowany za powrotem Izraelitów z niewoli, znowu zburzony od Tytusa i nieudolny odtąd, za zrządzeniem Bożym, powstać z gruzów. Ledwo gdzieniegdzie pozostało na tej esplanadzie jakie chorowite drzewo, żałobny cyprys, czy kamienna fontanna.

Powiódł nas ponury muzułmanin najprzód do położonej na kilkanaście kroków przed głównym wejściem do meczetu cysterny, nad którą stoi piękna jakby jaka kapliczka z kopułą, gdzie musieliśmy zdjąć obuwie i w pończochach tylko mogliśmy wejść do wspaniałego meczetu, prawie o tyle czczonego od islamimów, co wielkie meczety Mekki i Medyny.

O ileż większy dla nas ten żal i cześć, jakie obudzać musi to miejsce przypominające tyle cudów naszego Zbawiciela, począwszy od nauki, którą dawał, będąc jeszcze dwunastoletnim, kapłanom i doktorom prawa, karę, którą wymierzył na kupczących i wekslarzy w Domu Bożym, przebaczenie niewieście żałującej, wywyższenie zasługi wdowie ubogiej za

[46] Nabuchodonozor (Nebukadnezar), król babiloński w l. 605—562 p.n.e., zburzył Jerozolimę w roku 586.

rzucony pieniążek, nauki Zbawiciela dla tych, co Go słuchać chcieli, i na koniec Jego przepowiednia tym, co Mu ukazali budowanie kościelne: „widzicie to wszystko, zaprawdę powiadam wam, nie zostanie tu kamień na kamieniu, który by nie był rozwalon".

Nic nie zostało. Kościół Salomona prostokątny, około 30 m miał długości, a na 20 m szeroki i wysoki, meczet Omara ma kształt regularnego ośmiokątnego graniastosłupa o 55 m średnicy, okna kwadratowe, po dwa na każdej ścianie, szkła malowane najpiękniejszych kolorów, nad tym zaś ośmiościennym murem wznosi się okrągła kopuła ze złotym półksiężycem na szczycie. Kopuła jest ołowiem pokryta. Ściany na zewnątrz sowicie już to mozaiką, już porcelan[owy]mi kafelkami, już malowidłem, marmurami i tureckimi z Alkoranu[47] na złotym tle napisami tak okryte, że nie ma punktu na nich bez ozdoby, a wszystko bardzo drobiazgowe, różnobarwne, błękitnawy tylko kolor przebija się.

Wchodzi się po schodach o mało wyżej nad metr wysokości i pomimo tego, co nas uderza — wielkość, wspaniałość, bogactwo i nieporównanej piękności ogólny kształt budowy — zaraz u wejścia zwraca na siebie szczególną uwagę naga skała, której wierzch wysuwa się spośrodka meczetu, tak jak jest w naturze jaka nie bądź skała, nie obrobiona, nierównej powierzchni. Jest to tak nazwana Sakhra, przedmiot wielce poważany i czczony przez muzułmanów, i to jedyne — według Liévina — co jest nam wiadome, że należało do Sancta Sanctorum z świątyni Jehowy. Jest zupełnie regularna ta część skały, która wystyrka na wierzch, a podnosi się o jeden metr mniej więcej nad posadzkę meczetu. Okrąża ją najprzód ozdobna balustrada, a za nią dokoła dwa rzędy marmurowych kolumn rozmaitych kolorów i najcenniejszych odmian. Widziałem między nimi brecze zielone i czerwone z białym, i inne, które opisać trudno byłoby z pamięci. Ich kapitele są złocone, ale nie wszystkie kolumny są jednakowej średnicy ni wielkości; tym, które były krótsze, nadstawiano wysokością kapiteli, a wszystkie zapewne były przyniesione z rzymskich i greckich budowli. Ściany na wewnątrz pokryte też marmurem, jeżeli się nie mylę, żółtawym z białymi żyłami, a wielka moc na nich ozdób, błyskotek, architrawy i kopuła pozłotą, mozaikami i malowidłem przystrojona.

Nad skałą Sakhra zawieszony widać namiot zielony i czerwony Mahometa, a na tej skale — zgodnie z wiarą islamizmu — miał jechać prorok do nieba i zawisła, została tylko z wyciskiem jednej nogi jego na powierzchni, że zaś została pod nią próżnia, sądzą zabobonni, że ta skała nie dotyka ziemi; nie mogą się o tym przekonać z przyczyny balustrady, która im nie dozwala do niej przystępu. Liévin sądzi, że owa krypta pod

[47] Alkoran, Koran (arab.) — święta księga mahometan, zawierająca przepisy religijne, prawa i legendy.

skałą było [to] miejsce, skąd dobywano kamienie na budowle w czasach już posalomonowych.

Nie będę powtarzał, co tu muzułmani powiadają o znajdujących [się] w tym meczecie innych szczegółach, jako: dwa włosy z brody Mahometa, puklerz jego towarzysza Hamze'a, siodło Boraka[48] itd., wymienię tylko jako historyczne — chorągiew proroka zwiniętą i rozwiniętą Omara.

W tym ozdobnym gmachu, oszpeconym tylu kłamstwami i zaprzeczeniem najczystszej miłości, mocy i zbawienia, odprawiano jeszcze za Krzyżaków katolickie nabożeństwo, stał wielki ołtarz na środkowej skale, modlili się królowie jerozolimscy. Gotfryd de Bouillon oddał był kościół do zawiadowania kanonikom [reguły] św. Augustyna. Pod koniec XII wieku znowu opanowali go muzułmanie i przerobili na meczet. Tegoż losu doznał drugi mniejszy, na tejże samej esplanadzie naprzeciw meczetu Omara o paręset kroków ku południowi stojący, meczet El-Aksa[p], przerobiony z bazyliki Marii Przedstawienia (de Presentation). Był to kościół założony przez Konstantego W., wykończony przez Justyniana Ce[za]ra na uczczenie Panny Marii, którą rodzice, kiedy miała trzy lata, dzie[cię]ciem przedstawili w świątyni Salomona i ofiarowali Bogu. Chociaż po wielekroć rujnowany już to od niewiernych, już od trzęsienia ziemi, zachował jednak swoją budowę w kształcie krzyża. Tym zaś szczególnie różni się od innych bazylik i meczetów, że główna jego część, dłuższe skrzydło, ma siedm naw, a sześć rzędów kolumn. Średnia nawa wyższa jest od bocznych ramion, a we środku, gdzie styka się z trzema krótszymi, ma nad sobą niewielką kopułę opartą na czterech podwójnych marmurowych kolumnach. Dzisiejszy meczet El-Aksa ma 90 m długości, a na południowym końcu średniej nawy jest mihrab ozdobiony małymi kolumnami, mozaiką i dwoma lichtarzami. Tak przystrojonego mihrabu nie widziałem w innych meczetach, nawet stambulskich i Aggio Sofia, gdzie za mihrab, do którego na modlitwie obracają się muzułmanie, jest prosta w ścianie framuga. Tu przy mihrabie jest pięknie urzeźbiony mimbar, to jest kazalnica, a na boku przy tej ostatniej dwa inne mihraby, jeden dla Mojżesza, drugi dla Jezusa. Są wysokiej czci dla muslaminów te mihraby, równie jak odcisk stopy Jezusowej, który ukazują na kamieniu, nie wiadomo, skąd tu przyniesiony.

Podanie naucza, że w tym miejscu miała mieszkać N. Panna z prorokinią Anną, córką Phanela, i utrzymują wierni — przytacza Liévin — że na tym miejscu, „gdy się wypełnił czas oczyszczenia, przynieśli ro-

---

p W autogr. pomyłkowo: El Aska.

48 Właśc.: Buraq — według podania jest to nazwa bajecznego zwierzęcia (kobyła z głową kobiety), na którym Mahomet miał pewnej nocy odbyć swą podróż do nieba. W meczecie Sakhra (w Jerozolimie) znajduje się kamień o dziwnej formie, który nazywają siodłem Buraqa.

dzice Dzieciątko do Jeruzalem, aby Go stawili Panu, jako jest napisano w zakonie Pańskim" (Łuk. II, 22).

Za czasu krzyżowników był ten kościół obrócony na pałac królewski i zwano go pałacem Salomonowym, a Baudouin I oddał część jego templariuszom; dotąd została przy prawym ramieniu od północy przyległa sala, gdzie miała być zbrojownia templariuszów.

Zapłaciwszy ba[k]czys[z] i włożywszy obuwie szliśmy poza murem, który od południa górę Moria i esplanadę[49] okrąża, aż do Bramy Złotej, teraz zamurowanej, przez którą Jezus wjechał do Jerozolimy. „A rzesze, które przed nim i za nim szły, wołały mówiąc: »Hosanna Synowi Dawidowemu, błogosławiony, który idzie w imię Pańskie, Hosanna na wysokościach«" (M[ateusz] XXI, 9).

Dwoje wejść i dwoje drzwi było w tej bramie. Dwie ogromne kamienne kolumny dzielą portyk przy tej bramie na dwie nawy odpowiadające dwom wejściom noszącym nazwanie arabskie, jedne — drzwi Żalu, drugie — Miłosierdzia, nad każdą nawą osobna kopuła, z której światło wchodzi do środka i oświeca fryz górny, piękną rzeźbą ozdobiony.

Wróciliśmy znużeni tego dnia do Casa Nuova. Po odpoczynku poszedłem z wizytą do baszy jerozolimskiego, gubernatora Palestyny, do którego miałem list rekomendacyjny od ministra baszy Edhema. Wyjąwszy piątki urządza sprawy w pałacu rządowym co dzień od jedynastej do drugiej po p[ołudniu], poszedłem więc o drugiej. Pałac nieokazały, raczej dom nieco porządniejszy od innych, otoczony mnóstwem jakichś zabudowań i ruin. Nie widać przy nim szyldwachów ni niezwyczajnego ruchu. Wchodzi się po schodach na szeroką galerię otwartą, gdzie niemało Turków, Arabów, Greków i dwóch czy trzech baszybuzuków przy szablach znalazłem. Wręczyłem jednemu z nich moją wizytową kartkę, zaprosił grzecznie do przedpokoju, po chwili wyszło z przyległej sali kilku ludzi, a do niej mnie wprowadzono. Siedział basza na czerwonej niskiej kanapie, ubrany po europejsku, w ciemnej lewicie[50] i w czerwonym fezie. Brunet, śniadawej twarzy, czarnych oczu, niewysoki, młody jeszcze, nie pompatycznej — jak sobie wyobrażamy baszów — figury, owszem, niepoczesny, nieco schylony, przyjął mnie uprzejmie, spokojnie, z powagą i dosyć okrzesanym ujęciem. Powstał, podał dłoń i przysunął dla mnie krzesło, a sam usiadł na swoim dywanie. Rozmowa toczyła się we francuskim języku, którym dosyć nieźle władał, rozpytywał się o podróży mojej, ofiarował mi na usługi przewodników, gdybym potrzebował. Ton jego mowy nieco zimny, surowy, a przynajmniej nie przymilający się, bardziej na sposób owego, jaki się częstokroć u Hiszpanów spotyka, ale

[49] esplanada (fr.) — plac przed dużymi budowlami lub wałami.
[50] la levita (hiszp.) — zarzutka, surdut.

przyjemny, jednający zaufanie. Po mniej niż półgodzinnej rozmowie pożegnałem baszę, bo widziałem, że u drzwi na niego ktoś czekał.

4 październi[ka]. Była to niedziela, ranek przeszedł mi cudownie w kościele Grobu Bożego. Msza śpiewana przy kapliczce Grobu, potem druga, czytana, na Kalwarii, przy ołtarzu N. Panny Bolesnej. Nabożeństwo Greków licznie zebranych w retondzie i własnej ich kaplicy; śpiewy ich głośne bardzo, wznioślejsze, bardziej religijnym duchem przejęte, śpiewniejsze od owych patriarchatu greckiego w Stambule, mnóstwo kobiet, zupełnie białymi zasłonami ociągniętych, i wiele w narodowych strojach Greków. Po nich modły poważnych Ormian i Koptów w tylnej części okrągłej bazyliki Grobu.

Około południa przyszedł do Casa Nuova oddać mi wizytę basza i zaprosił mię do siebie na szóstą godzinę na obiad. Godziny poobiedne przepędziłem z zakonnikami Ziemi Świętej, odwiedziłem kustosza, który ma władzę nad całym klasztorem i wielce jest szanowanym, nieszpory zaś solenne mieliśmy w kościele Zbawiciela. O szóstej przysłał dla mnie basza gubernator swojego osła i dwóch ze swego domu posługaczy. Mieszkał on bowiem daleko za miastem i wiedział, że powracać w nocy z obiadu byłoby niewygodnie dla mnie. Musiała być pocieszna figura ze mnie, kiedym w kapeluszu, we fraku jechał na dużym siwym ośle, wyprostowany, jeden z posługaczy rozpędzał przede mną ludzi i wielbłądy, drugi z tyłu popędzał osła, gdy się zatrzymywał czując na sobie nieumiejętnego jeźdźca.

Tak wyjechałem przez Bramę Św. Stefana i zaraz za nią skierowano mnie na prawo. Dojechałem szczęśliwie o zmroku. Dom po europejsku opatrzony, przed domem ogród, w tym czasie poschły, w przedpokoju na dole dwóch czy trzech lokajów, po schodach wszedłem na pierwsze miejsce, do pokoju baszy. Przyjął mnie poufalej niż wczora w urzędowej sali; obiad był porządny, mało różniący się od naszych. Był tylko obecnym syn baszy, dziesięcioletni, przez cały czas milczący, ze spuszczonymi oczami. Ojciec powiadał, że ma już dla niego guwernera Niemca, który go uczy po niemiecku, i że on sam pobierał nauki w Niemczech, w towarzystwie jednego z synów baszy Edhema, skąd zapewne pochodzi przyjaźń i protekcja do niego ministra. Po obiedzie udaliśmy się do pokoju po europejsku umeblowanego, basza tylko usiadł na niskiej bez poręczy kanapie, podano dla niego fajkę o długim, z flaszką wody, cybuchu, a dla mnie, gdym odmówił cygara, lokaj przysunął krzesło. Do późnej nocy dość przyjemnie przeciągnęła się rozmowa.

Rozjaśniały się niekiedy wśród niej czoło i oczy gubernatora, przemagała jednak jakaś niby tęsknota wschodnia i coś jakby cierpiącego w mowie, gdyśmy przychodzili do spraw politycznych, z których od paru

dni rozeszła się była po Jerozolimie głucha wieść o świeżo wybuchłym bułgarsko-rumelijskim powstaniu. „To przywiedzie — rzekł — prędzej [czy] później wojnę europejską, Niemcy zdają się przychylać do Anglii, nie są na ten raz z Moskwą, Francja sama nie wie, czego chce; jeżeli już dzisiejsze jej pokolenie pokazuje się bezbożne, to późniejsze — z wychowania, jakie dziś pobiera — bezbożniejsze będzie, a dalsze — do czego przyjdzie? Niech każdy chwali Boga, jak chce, jak wierzy, ale bez Boga możeż kraj utrzymać się?" Kiedy się mówiło o potędze Rosji i dobrze wyćwiczonej armii niemieckiej — „tak, Niemcy mogą odnieść zwycięstwo w dwóch, trzech bataliach, ale zwyciężyć, zmusić do traktatu jak po Sadowie[51], po Sedanie![52] — toż możliwe?" Lecz spojrzawszy gorętszym okiem, rzekł: „jeśli się wszyscy zawezmą, toć wiadomo, że Chiny weszły w alians z Anglią, a ich wojsko niezmierne — Turcja wtenczas i Polska — długo i zbyt nierozważnie osłabialiśmy się wzajemnie na korzyść możniejszego".

Tak przerywkami zaprawiała się rozmowa dzisiejszego rządcy Palestyny. Powiedział mi, że basza Edhem nie przyjął nominacji na ambasadora w Paryżu i że prawdopodobnie przyjdzie do nowego kongresu. Kiedym zaś pochwalał dzisiejszą spokojność i bezpieczeństwo dla cudzoziemców, mianowicie pielgrzymów w Ziemi Świętej, podobała mu się widocznie moja uwaga, okazywał się stronnikiem zupełnej tolerancji religijnej i że ma na pieczy szczególnie dwie rzeczy: drogi, które urządza i prędko będzie miał ukończone z Jerozolimy do Betlejem, do Betanii, i szkoły, które pomnoży i powiększy, gdzie tylko będzie mógł, a wiadomo, że proteguje szkółki utrzymywane przez Braci Nauki Chrześcijańskiej (de la Doctrin Chrétienne) i franciszkanów, a przynajmniej nie tamuje ich rozwoju.

Z równąż etykietą jak byłem przyjechał, tak i odjechałem o pierwszej[r] go[dzinie] w nocy na ośle, a dwaj posługacze nieśli latarnie i jeden baszybu[zu]k przyłączył się z szablą.

5 października. Wstałem rano z żądzą wysłuchania mszy przy Grobie Świętym, ale o szóstej jeszcze nie był kościoł otwarty i nie wiadomo było, kiedy go otworzą. Poszedłem więc do kaplicy ks. franciszkanów na nabożeństwo, które już o tej godzinie było rozpoczęte.

O ósmej były konie przygotowane dla mnie, dla o. Rafała i dla brata Liévin, a lektyka dla o. Semenenki i pojechaliśmy na pielgrzymkę do

---

[r] W autogr.: Uª = una (hiszp.) — pierwsza.

[51] Mowa o zwycięskiej bitwie wojsk pruskich nad austriackimi siłami w dniu 3 lipca 1866 r., która położyła kres prymatowi Austrii wśród państw niemieckich.

[52] Mowa o zwycięskiej bitwie armii pruskiej nad armią francuską w dniu 2 września 1870 r., w której dostał się do niewoli Napoleon III i w następstwie został zdetronizowany.

Góry Wniebowstania. Droga przechodzi przez Jozafatową Dolinę i Ogród Oliwny koło Skały Białej, gdzie według podania apostoł św. Tomasz widział aniołów niosących N. Pannę do nieba, dalej zawraca się nieco na wschód i znowu na północ, ku górze Mężowie Galilejscy, na której po Wniebowstąpieniu Pańskim dwaj mężowie w białym odzieniu, stanąwszy przy ludziach patrzących w niebo za Jezusem do nieba idącym, gdy Go obłok zakrył przed nimi, rzekli: „Mężowie galilejscy, czemu stoicie patrząc w niebo? Ten Jezus, który wzięty jest od was do nieba, takoż przyjdzie, jakoście Go widzieli idącego do nieba". Stąd już niedaleko szczyt Góry Oliwnej, na którym była bazylika Wniebowstąpienia postawiona przez św. Helenę na miejscu, z którego Chrystus Pan wzniósł się do nieba, a na którym dziś stoi meczet niewielki okrążony murem i przy nim minaret. Meczet ten służy już tylko na zarobek dla muzułmanina, który go pilnuje i za niewielki bakczysz daje wejście do niego. Tu zsiedliśmy z koni; ojciec generał przywiózł z sobą swój podróżny ołtarzyk. Meczet nie ma więcej nad sześć metrów średnicy, jest wewnątrz okrągły, przykryty kopułą, ściany pobielone, puste, bez żadnej ozdoby. Od wejścia na prawo, przy kącie południowo-zachodnim, wystaje z posadzki, może na pół metra w kwadrat, skała marmurem okrążona, na której jest wycisk jak na jedną stopę. Uświęcone wiarą podanie zapewnia, że z tego miejsca Zbawiciel nasz podniósł się do nieba, zostawiwszy na kamieniu ślad Najświętszej Stopy swojej.

Ucałowawszy ten kamień, oczyściliśmy meczet, nad owym kamieniem postawiono stolik, na tym stoliku urządził o. Rafał ołtarz z przyniesionymi z miasta świecami i przy zamkniętych drzwiach o. Semenenko zmówił mszę, posługiwał mu ojciec Rafał. Jakiż to błogi był dla mnie moment, jak lekko modlitwa leciała do Boga! Jakaż wdzięczność i cześć dla Najwyższego obudziły mi się w duszy przy podniesieniu ofiarnej Hostii tu, na miejscu, na którym w obecności apostołów i licznie zebranych uczniów podniósł się Zbawiciel nasz, dokonał ofiary.

Góra ta od stóp aż do szczytu każdej pory roku jednostajnie od wieków oliwnymi drzewami umajona, szanowaną jest i od muzułmanów, okrywa się co rok ludem w święto Wniebowstąpienia i mają do niej wstęp na modlitwy zarówno Grecy, Ormianie, Syryjczycy etc., etc. Wszelki duch Pana Boga chwali.

Obok meczetu widać ruiny i nowy klasztor panien karmelitek, Francuzek, a z przyległego minaretu otwiera się daleki widok od wschodu na dolinę Jerycho, na Morze Martwe i ciągnące się ponad nim pasmo gór Moabitów. Daje się też stąd najlepiej jednym rzutem oka obejrzeć cała wysokim murem ociągnięta w kształcie fortecy Jerozolima, skupione w jednej masie jej domy, podnoszące się nad nimi kopuły Grobu Świę-

tego, meczetu Omara i strome pod miastem urwiska aż do Jozafatowej Doliny.

Niełatwo było oderwać się od tego widoku, z miejsca uświęconego najwyższą chwałą Bożą. Pozostał tu przy klasztorze panien karmelitek na trzy dni ojciec Piotr, a my z oo. Rafałem i Liévin postanowiliśmy przez ten czas zwiedzić Jeryho i Morze Martwe. Wróciwszy do miasta zajęliśmy się przygotowaniem do podróży i po niedługich staraniach znaleźliśmy za pomocą Liévina dosyć porządnego Greka, który za 270 fr. obowiązał się dać nam dobre konie i muła, służących, namiot, kuchnie, żywność, wino, owoce i opłacać Beduinom po drodze, licząc do tego i swoją asystencją.

6 październ[nika]. O ósmej rano, po mszy u Św. Salwatora, wyjechaliśmy z Casa Nuova. Dwie drogi stąd idą do Morza Martwego, jedna dalsza, może górzystsza, przez Saint Sabas, druga prostsza do Jeryho i stamtąd do Morza. Obraliśmy tę ostatnią. Od Bramy Św. Szczepana droga ta spuszcza się na Jozafatową Dolinę około skały, gdzie był ukamieniowany św. Szczepan, przechodzi po kamiennym mostku na Cedronie, idzie w górę poza Oliwnym Ogrodem rzucając na lewo grotę Getsemani, a nieprzerwanie towarzyszą jej drzewa oliwne i figowe. Zatrzymuje nas na jednym miejscu na moment Liévin ukazaniem kamienia, gdzie według podania uschło owo figowe drzewo przeklęte przez Jezusa, przy którym rzekł nasz Zbawiciel te słowa wracając rano z Jerozolimy: „Zaprawdę, mówię wam, iż ktobykolwiek rzekł tej górze: podnieś się a wrzuć się w morze, a nie wątpiłby w sercu swoim, ale by uwierzył, że się stanie, co by jedno rzekł, stanie się jemu" (Mar. XI, 23).

Mijamy Górę Oliwną, droga schodzi na obszerny parów i ukazuje się na wzgórzu wieś Betania w pięknym malowniczym położeniu, kilkanaście domów skupionych ku sobie, szarego — jak skała, na której stoją — koloru, płasko pokrytych, dokoła [n]ich drzewa oliwne, figowe, granaty, morwy, winnice, ogrodowiny, rola żyzna; widać małe trzody owiec i kóz o długich uszach. Widok to uroczy. Droga ta sama, po której często tędy chodził Jezus z uczniami swymi z Jerozolimy do domu Marty, Marii i Łazarza, do ulubionej wsi, do Betanii nowej dzielnicy, gdzie miał wiele uczniów i przyjaciół, cuda czynił i nauczał.

Niebo było pogodne, słońce wysoko, kiedy nas przy ostatnim domu we wschodniej części Betanii zatrzymał braciszek, przewódca karawany, na miejscu, gdzie był grób Łazarza i na którym widać szczątki dawnego kościoła. Zsiedliśmy z koni i ze świecą udałem się zaraz z bratem Liévinem do zwiedzenia tego świętego miejsca. Grób Łazarza, jak pospolicie dotąd groby w Palestynie, był wykuty w skale. Wchodzi się dziś do niego wąską sklepioną galerią po kamiennych schodach o 20 do 22 gra-

dusach. Sklepienie i schody są z późniejszych czasów, bo skała w tym miejscu nie jest twarda, doznała rozkładu, musiała się osypywać, jest nieco gliniasta. Zeszliśmy do dołu z zapalonymi świecami; wydrążenie, gdzie leżał Łazarz, nie ma więcej nad trzy metry długości, a mniej nieco szerokości, ściany umocowane grubszym kamieniem. Tuśmy się modlili, mając jakby przed oczyma podnoszącego się Łazarza na głos Zbawiciela: „Łazarze, wnidź sam" (Jan XI, 43). A Jezus był przy grobie, przy nim Marta, siostra umarłego.

W XIII wieku był jeszcze ten grób przykryty płytą marmurową i na nim stała kapliczka. Dziś, pomimo uszanowania, jakie mają dla niego muzułmanie, wejście do niego jest pod gołym niebem, drzwiami tylko przymknięte, a przystęp jest dozwolony dla wszystkich za opłatą małego bakczyszu dla islamima, do którego grunt należy.

Pokazują jeszcze niedaleko od grobu kamień, zwany Kamieniem Rozmowy, przy którym „Marta, skoro ujrzała, że Jezus idzie, zabieżała Mu, a Maria w domu siedziała. Rzekła tedy Marta do Jezusa: »Panie, byś tu był, nie umarłby brat mój. Lecz i teraz wiem, że o cokolwiek będziesz Boga prosił, dać to Bóg«. Powiedział Jezus: »Zmartwychwstanie brat twój«. Rzekła mu Marta: »Wiem, iż zmartwychwstanie w on ostatni dzień«. Rzekł jej Jezus: »Jam jest zmartwychwstanie i żywot, kto w mię uwierzy, choćby umarł, zmartwychwstanie«.

O paręset kroków na zachód od grobu Łazarza ma być miejsce, na którym stał dom Szymona Trędowatego, „u którego gdy był w Betanii Jezus i siedział u stołu, przyszła niewiasta mając słoik alabastrowy olejku spikanardowego, bardzo drogiego, a stłukszy alabaster wylała na głowę Jego, uprzedziła pomazać ciało Jego na pogrzeb" (Mar. XIV, 8).

Niedaleko zaś rozwalin wieży starego klasztoru benedyktynów jest miejsce domu Łazarza, Marty i Marii, pamiętne owymi słowami Chrystusa: „Marto, Marto, troszczysz się i frasujesz około wiela, aleć jednegoż potrzeba. Maria najlepszą cząstkę obrała, która od niej odjętą nie będzie".

Betania liczy dziś około 300 mieszkańców, wszyscy są muzułmani, lud bitny, kobiety nadobnej twarzy, dzieci piękne, wesołe, mężczyźni pospolicie służbę żandarmów pełnią; w domu spokojni, potulni, ale gdy użyci, mają opinię istnych baszybuzuków skorych do burdy i rabunku. Jeden z tych Betańczyków, młody, dzielny dwudziestoletni chłopak, śniadej twarzy, na dobrym koniu, przy pałaszu, towarzyszył nam i służył za eskortę, choć bez potrzeby, gdyż dziś cały ten kraj po Jordan i Morze Martwe jest spokojny, nie masz rabusiów i nie lęka się niebezpieczeństwa od Beduinów.

Po obejrzeniu miejsc wymienionych w Betanii w dalszą około dziesiątej [godziny] puściliśmy się podróż. Na czele jechał nasz żandarm z Betanii, dobrze uzbrojony w karabin, pałasz, kindżały i gospodarz nasz

drogman; za nimi szły muły ujuczone i posługacz, a z tyłu o. Liévin, o. Rafał, ja i mukr.

Prawie od samej Betanii droga poczyna być zła, skalista, istna pustynia bez żadnych drzew ni lichej krzewiny. W pół godziny, jadąc stępo, spuszczamy się do głębokiego parowu, gdzie jeszcze znajdujemy małe źródło dobrej wody, zwane Źródło Apostołów, przez to — że jak powiadają — Jezus z apostołami w częstych podróżach swoich z Jeruzalem do Jeryho tu się zastanawiali[53] dla ochłodzenia się. Tu się też zatrzymują karawany; jest szopa otwarta, niewiele cienia dająca, mała piscina[54] i kamienny pomnik małej wagi.

Jedziemy długą, pustą doliną, Doliną Anioła, Udi el-Hand; góry jednakowo warstwowane, skały mniej więcej wapienne, cała ich powierzchnia od skwaru słońca poschła. Z tej doliny wjeżdżamy na góry coraz wyższe. Około południa zatrzymujemy się w miejscu też odludnym, przy nowo zabudowanym khanie (karawan-seraju, oberży), zwanym Khan-el--Ahmar, znanym u pielgrzymów pod nazwaniem Dobrego Samarytanina, jakoby tu się stało, co Chrystus powiedział, kiedy uczniowie pytali: „a któż jest mój bliźni?" — „Człowiek niektóry stępował z Jeruzalem do Jerycha i wpadł między zbójce, którzy go złupili i rany zadawszy odeszli, na poły umarłego zostawiwszy. I przydało się, że niektóry kapłan zstępował tą drogą, a ujrzawszy go, minął. Także i lewit, będąc podle onego miejsca i widząc go, minął. A Samarytan[in] niektóry idąc przyszedł wedle niego, ujrzawszy go ulitował się. A przystąpiwszy, zawiązał rany nalawszy oliwy i wina, a włożywszy go na bydle swoje wprowadził do gospody i miał pieczę o nim. A nazajutrz wyjąwszy trzy srebrne grosze dał gospodarzowi i rzekł: »Weźmij go na swoją opiekę, a cokolwiek nadto wydasz, ja gdy się wrócę, oddam tobie«. Któryż z tych trzech zda się tobie bliźnim być onemu, co był wpadł między zbójce? A on rzekł: »który uczynił miłosierdzie nad nim«. I rzekł mu Jezus: »idźże i ty uczyń także«". Wielka litość, najwyższa nauka miłości bliźniego!

Ten khan, czyli nowy dom gościnny, nie jest czym innym, jak kwadratowy dziedzińczyk murem otoczony, a tylko z jednej strony pułap nieszeroki, od północy otwarty, niewiele cienia dający. Po drugiej stronie drugiż podobny dziedzińczyk z izbą dla arendarza. Niemałe to jednak dobrodziejstwo na pustyni schronienie przed skwarem słonecznym; mur nieniski, drzwi dobrze umocowane jakby od napadu. Na wzgórzu opodal zwaliska jakiegoś obronnego z dawych czasów zamku, o którym i podanie zaginęło.

Około drugiej po południu poczęło nam dokuczać gorąco, a tuż i ka-

---

[53] Tj. zatrzymywali.

[54] piscina (hiszp.) — staw, pływalnia.

rawana Beduinów nadeszła, puścili wielbłądy swoje na pole, a sami wdarli się do naszej pułapy. Trzeba było ustąpić przed natrętnymi gośćmi, nic nam jednak złego nie uczynili.

Przez dwie godziny nie zatrzymując się jedziemy po górach pustynią najdoskonalszą ze wszystkich, jakie zdarzyło mi się widzieć na dalekich podróżach. Dobrze o niej powiada Hołowiński: „zdaje ci się, że ta ziemia cierpiała przy swej śmierci konwulsje i tak powykręcana, zastygła, dziwne są bowiem kształty opok pokręconych i jakby wnętrznościami na wierzch wyrzuconych"[55]. Patrząc okiem geologa widzisz tylko pokłady na twarde warstwy podzielone i cały ich utwór na tysiące zapewne metrów gruby, głęboki, w gwałtownym podniesieniu się z morza podarty, popękany, potworzył góry i przepaście. Nie widać tu śladu życia roślin ni źwierzęcia, stronami tylko ukaże się jakaś ruina, kryjówka rozbojów, szlak niebłogosławieństwa Bożego.

Po spiekłej, niegodziwej drodze przebywamy wierzchy starożytnego Adommim, granicy między pokoleniami Judy i Beniamina, aż do szczytu góry Akbat er-Rîhha, z którego się odsłania wspaniały widok na dolinę Jerycho, Morze Martwe i za nimi ciągnące się od wschodu góry Moabu. Z tego szczytu zjazd jest trudniejszy, stromy, po stopniach warstw skalistych, „veritable cassecou"[56], jak go nazywa Liévin. Głęboki parów o pionowo prawie uciętych ścianach mamy po lewej ręce, zwaliska jakichś dawnych budowli po prawej.

Liévin nam ukazuje ruiny Kakun uświęcone tradycją, że w tym miejscu Zbawiciel nasz przywrócił wzrok ślepemu od urodzenia, jako powiedziano, że gdy Jezus „wychodził z Jerycho i uczniowie Jego, i rzesza niemała, syn Cyneuszów Bartymeus siedział przy drodze żebrząc, który usłyszawszy, że Jezus Nazareński jest, począł wołać i mówić: »Jezusie, Synu Dawidów, zmiłuj się nade mną«. I wielu ich groziło, aby milczał, a on tym więcej wołał. Jezus rzekł mu: »Co chcesz, abym uczynił?« »Mistrzu, abym przejrzał«. A Jezus mu rzekł: »idź, wiara twoja ciebie uzdrowiła«. A natychmiast przejrzał i szedł za nim w drodze".

O Boże, co za szczęście, jaka to radość dla mnie iść tą samą drogą, po której stąpały Twoje Przenajświętsze nogi. Wierzę, Panie, otwórz oczy duszy mojej, abym obaczył Przenajświętsze Oblicze Twoje.

O zachodzie słońca zeszliśmy z gór Judei na dolinę Jerycho, do miejsca nazwanego Źródło Eliasza, przez to, że tu ów prorok przemienił wody słone na dobre i czyste. Rozpięto namiot, uwiązano konie. Piękne to miejsce, tym piękniejsze dla nas się okazało, że od rana pustynie tylko widziały oczy nasze. Tu, u stóp prawie Góry Kwarantanny, na której Chrystus 40 dni pościł i był kuszony, płynie strumień czystej wody, a koło niego śliczne bukiety drzew i krzewów. Tu, u Źródła Eliasza, zna-

---

[55] I. Hołowiński, *Pielgrzymka do Ziemi Świętej*, Petersburg 1854, s. 436.
[56] prawdziwie karkołomnych.

leźliśmy popasującą liczną, o stu wielbłądach, karawanę wiozącą pszenicę do Jafy. Wielbłądy pasły się na małej łące koło strumyka, wory i przyrządy do transportu poustawiane na ziemi, ludzie przy małej chacie obiadowali. Nie mogłem z pewnością dowiedzieć się, skąd wieźli ten cenny płód rolniczy, nie byli to Araby, ale Kurdy, a wieźli pszenicę zza Damaszku, z północnych — jak mówili mojemu drogmanowi — ziem bardzo żyznych. Każdy Kurd był uzbrojony w strzelbę o długiej lufie lub w pikę. I dodam, nie spotkałem tu ani jednego człowieka, Araba czy kogo innego, który by nie był zbrojny w strzelbę czy pikę. Nawet młody Beduin, pilnujący trzody kóz u podnóża Góry Czterdziestodniowej (Kwarantanny), miał fuzję nabitą, siedział na kamieniu spokojnie. To powszechne uzbrojenie bynajmniej nie jest dziś znakiem niebezpieczeństwa od rozbojów, najmniejszej teraz obawy nie masz dla podróżujących, nasz baszybuzuk z Betanii prędko zadrzemał.

My z braciszkiem Liévin poszliśmy obejrzeć okolicę od strony Góry Czterdziestodniowej, która — choć zdawała się być blisko — dalej niż o parę kilometrów poczyna się. O mniej niż na połowę jej wysokości widać na jej skłoniach czarne otwory jaskiń, po których się kryli dawni pustelnicy, i wszystko dokoła, niższe góry i parowy, i podnosząca się ku nim płaszczyzna doliny Jerycho, wszystko posuchą okryte ma wejrzenie smutne, ale urocze. Przechowuje się między mieszkańcami Jerycha mniemanie, że w tej stronie było stare miasto, i w istocie, pokazał nam braciszek miejsce, na którym jacyś Anglicy poszukiwali śladów tego miasta, a w jednym przekopie, który zostawili, znaleziono czerepy i ułamki cegieł. Noc nas zastała na tej przechadzce, w namiocie znaleźliśmy wygodne łóżka i wieczerzę.

7 października. O wschodzie słońca byliśmy już na koniach, na drodze do Morza Martwego. Po dwakroć przejeżdżamy strumień i porosły na jego brzegu gaj, oddychając rannym chłodnym powietrzem, ożywieni tą myślą, że dziś staniemy na brzegu Jordanu. Gaj ten jest po części z kolczastych drzew, rozłożystych, ale niewysokich. Na niektórych były owoce drobne, podobne do białych wisien, tamaris[57] i wierzba.

We dwadzieście minut od Źródła Eliasza dochodzimy do Jerycho, owego miasta, którego mury runęły na głos trąby Izraela, miejsca pobytu Eliasza proroka, śmierci Szymona Machabeusza, po wielekroć odbudowane, ulubione Chrystusa miasto, słynne za Rzymian, niegdyś obfitujące w palmy, bogate. Dziś zaledwo kilkanaście chałup i nieobszerne ogrody dokoła stanowią Jerycho. Ni jednej palmy, kościoła, ni obalonych klasztorów. Domy z trzciny, ziemią oblepione. Sterczy jakaś samotna wieża

---

[57] Tamaryszek, krzew dwuliścienny, niektóre gatunki sączą sok słodki, krzepnący na liściach w postaci białych ziarenek.

na ustroniu, wiekiem nadpsuta, niewysoka, do której przywiązane podanie wskazuje, że tam miał być dom Zachea, arcycelnika, który, by widzieć Chrystusa, kiedy nasz Zbawiciel „szedł przez Jerycho, wstąpił na drzewo płonnej figi, a Jezus rzekł: »zstąp prędzej, albowiem dziś potrzeba mi mieszkać w domu twoim«. I prędko zstąpił, i przyjął Go z radością. I rzekł mu Jezus: »iż się dzisiaj zbawienie stało temu domowi«".

Mała ta wieścina, teraz przez Arabów zamieszkała, posiada grunt żyzny, polewa go strumień Eliaszowy, i aby mieć pojęcie, jak by ta osada szczęśliwą być mogła, dosyć jest rzucić okiem na dwa niewielkie ogrody, koło których się przejeżdża, pełne najpiękniejszych drzew pomarańczowych, bananów, granatów i winogradu. Małe to zbyt oazis, słynne cudami ze Starego i Nowego Testamentu, osierociałe z palm i słynnych w starożytności drzew balsamowych, zabiera na swój użytek cały strumień, który tu od Źródła Eliasza dochodzi i ginie.

Ledwo się wyjedzie z Jerycho, odkrywa się obszerna — jak okiem zajrzeć — pusta płaszczyzna, objęta od zachodu górami Judy, od wschodu Moabu. Na wschodnim jej krańcu kryje się koryto Jordanu, o parę zaś mil ku południowi już widać Morze Martwe. W miarę jak się ku temu morzu na południe przybliżamy, płaszczyzna się nieco zniża i coraz bardziej pożęta, nierówna, coraz głębszymi parowami poprzerzynana przemienia się we wzgórza dziwacznych kształtów, zaokrąglone, ostrokrężne, ucięte. Tu nam drogę przebiegł szakal, a słońce coraz bardziej dopiekać zaczynało.

Około szóstej przybyliśmy nad morze i tu na parę godzin zatrzymaliśmy się na płaskim jego brzegu, położonym — jak wiadomo — o niemało 400 metrów niżej od poziomu oceanu.

Dotąd każde miejsce Ziemi Świętej, które zwiedziłem, było miejscem cudu Boskiej miłości, miłosierdzia, ofiary, przebaczenia, tu — widok, przypomnienie strasznej, potężnej kary Bożej za zepsucie, zwierzęcość człowieka wyrzekającego się przykazań Bożych, kary na pięciu miastach prawie w raju ziemskim obfitym w dostatek, bogactwa, zboże, wino i owoce, w najpiękniejsze doliny, a gdzię już dziesięciu ludzi nie było uczciwych, karnych i posłusznych.

Fali nie było na brzegu, woda nieruchoma, martwa, wiatru nie było w powietrzu, góry — rzekłbyś, olbrzymie grobowce — podnoszą się od brzegów, od wschodu i zachodu, żar piecze od słońca, woda ciepła, jak gdyby się co warzyło na dnie otchłani pożerającej całe pokolenie nieposłuszne, niewierne; nie widać śladu stworzenia, ni ptaków, ni owadów, ni lichej krzewiny na brzegu, niebo tylko było błękitne.

„Tam, na zachodnio-północnej toni — rzekł wskazując zakonnik — była Gomorra, na południowym zaś końcu morza, o cztery mile stąd, Sodoma, wielkie pokłady soli, smolnego asfaltu; innych trzech miast [an]i

śladu, nie wiadomo, gdzie były. Tu, kiedy wiatry północne odbiją wodę od brzegu, odsłania się mała wysepka; doszedłem — dodał Liévin — suchą nogą jednego razu do niej, znajdują się na niej i koło brzegów szczątki budowli, czerepy naczyń i któż wie, czego by nie znaleziono, gdyby kto tego poszukał. Czasem i ptak jaki na krótko pokaże się i prędko odleci". Liévin często bardzo odwiedzał Morze Martwe i był świadomy tych rzeczy.

Przechadzając się z nim po brzegu, nie znaleźliśmy na nim najmniejszego śladu muszelek; uważałem, że choć morze było tego ranka spokojne, cały grunt od północy na pięć do sześciu metrów od brzegu był mokry lub przejęty wilgocią i wiele na nim, jako też dalej, na piasku, było wyrzuconych pni i grubych gałęzi drzewa odartych z kory, rozmaicie powykręcanych. Liévin tłumaczył, a toż samo powtarzał mój drogman, Grek bywały w tych stronach, że częste zdarzają się tu, i zapewne wiały tej nocy czy od wczora wiatry od południa i straszliwie poburzają morze, które natenczas daleko zachodzi na pobrzeże i pobliskie parowy, wyrzuca drzewo, piasek, a grubszy tylko żwir i kamyki zostawia bliżej na brzegu.

Przedmiotem były czas niejaki mojej ciekawości te kamyki, okruchy skał i spostrzegłem, że śladu między [nimi] nie było żadnych ułamków wulkanicznych, pumeksu, pechsleinu[58] ni obsydianu[59], tylko okruchy, i to nie bardzo zaokrąglone, chalcedonu i rozmaitych krzemieni, a między nimi w niemałej ilości otarte, kręglaste kamyczki czarne, tej samej — jak mi się zdaje — skalnej materii, z której w Jerozolimie widziałem wyrabiane kubki i czasze, ale nie mogę odgadnąć jeszcze jej natury. Kopiąc i wydrążając w kilku miejscach do pół łokcia głębokości osad pobrzeżny, znalazłem wszędzie czerwoną glinę niezbyt plastyczną.

Na samym brzegu wody, w stronie gdzie Jordan wpada do morza, znaleźliśmy małą rybkę zdechłą, ale jeszcze nie [z]gniłą; Liévin utrzymuje, że się to nierzadko przydarza, ale to są ryby, które z Jordanu przypływają i natychmiast giną, i że w Morzu Martwym nie masz ryb ani żadnych istot żyjących.

Z daleka we wschodniej stronie opodal od brzegu spostrzegliśmy ludzi, o których nam drogman powiedział, że się zajmują zbieraniem soli. Ciekawy byłem tego ich zajęcia się, tym bardziej że na całym brzegu, który przebiegłem, nie znalazłem był najmniejszego śladu pokładów soli, a przy tym nie pojmowałem dotąd, dlaczego sól, którą stąd wywożą — gdyby ta sól pochodziła z zupełnego wyparowania morskiej wody,

---

[58] Właśc. nazwa z epoki: pechsztein, obecnie: smołowiec, szkliwo wulkaniczne zielonawe, żółtawe, brunatne i in., używane przy wyrobie szkła i porcelany zamiast skaleni.

[59] obsydian — szkliwo wulkaniczne czarne przeświecające na krawędziach, używane do wyrobu guzików, wazonów itp.

która, jak wiadomo, prawie 36% zawiera materii solnych, w części magnezjalnych, między nimi wielką ilość bromku — może być nieszkodliwą i służyć na zwyczajny użytek mieszkańcom Jerozolimy. Owoż przyszedłszy na miejsce, gdzie pracowali owi ludzie, spostrzegłem, że sól nie tworzy tu mas na powierzchni ziemi, brył suchych (jakie się pokazują na południowych brzegach morza, gdzie była Sodoma), ale ją w koszykach ze trzciny wyciągają z dna jeziora, czyli napełnionej wodą morską doliny, i kładą tę sól w kupy na powierzchni ziemi, zostawiając ją tam, dopóki nie wyschnie. Owoż — jak widzę — rzecz się tak ma: jeziorko to od czasu do czasu, za każdym większym wzburzeniem się morza, napełnia [się] wodą, ta woda ulatniając się osadza sól czystszą, krystalizowaną na dnie, a zostają w niej sole rozpuszczalniejsze (bromek), szkodliwe; sól krystaliczna, choć porywa z sobą jaką małą cząstkę i tych ostatnich, to i ta cząstka wciągając w siebie wilgoć atmosferyczną rozpuszcza się w niej i wsiąka do ziemi, a sól czysta (chlorek) zostaje.

Dajmy pokój temu chemicznemu zboczeniu z drogi, mnie ciągnie do siebie Jordan, duch mój z tego miejsca gniewu i kary Bożej pędzi usłyszeć głos wołającego na puszczy: „Gotujcie drogę Pańską, proste czyńcie ścieżki Jego. Czyńcie pokutę, albowiem przybliżyło się królestwo niebieskie" (Mat. III).

Zatrzymał mię jeszcze na moment brat Liévin. „Spojrzyj — rzekł — na szczyt tej wspaniałej góry łańcucha Moab, tuż przed nami wznoszącej się ponad północnym brzegiem tego morza. Jest to góra Nebo (dzisiejsza Djebel-Nabon). Z niej Mojżesz patrzył na Obiecaną Ziemię, spełnił na niej wolę Najwyższego i umarł. Prorok Jeremiasz schował na tej górze Tabernakl, Arkę Przymierza i Ołtarz Woń.

Zmówiliśmy pacierz i koło dziesiątej ruszyliśmy dalej, kierując się ku wschodnio-północy, do miejsca, w którym trakt główny, idący z Jerozolimy do Arabii Pusty[ni], przerzyna rzekę Jordan. Wyjąwszy parowy, które w pobliżu morza dzielą płaszczyznę Jerycho, utworzoną zapewne z wylewów Jordanu o 20 do 30 m nad Morze Martwe, ciągnie się nieprzerwanie równina od podnóża gór Judei do gór Moabu, wypełniając tę dolinę na [s] szeroką, o 350 do 360 m pod poziomem oceanu, po której Jordan płynie. Ta równina zniża się nieznacznie od zachodu ku wschodowi, pusta i zupełnie sucha w tym miesiącu, tylko poza brzegami Jordanu na krańcu wschodnim ciągnie się gęsty las, a na zachodnim — zaledwo okiem dojrzeć — gaj niewielki około Jerycho i źródła Eliasza.

Około jedynastej, w godzinie największego upału, dochodzimy do brzegu Jordanu. Liévin nas prowadzi do miejsca, które od niepamiętnych czasów — zgodnie z podaniem — wierni uważają jako to samo, na któ-

---

s W autogr. wolne miejsce.

rym św. Jan chrzcił lud przychodzący z Jerozolimy i całej doliny Jerycho, i zza Jordanu, i tu co rok w święto [t] zbiera się lud pobożny.

Jordan w tym miejscu zakręca się, ma 50 do 60 szerokości, bieg wody na zakręcie prawie nieznaczny, ślad jednak w jednym punkcie z lekka wirującej wody koło brzegu niekiedy ukazuje się. Brzeg na półtora metra wysoki, pionowo z obu stron rzeki ucięty, utrudnia tu czerpanie wody, kolor jej powierzchni od odbicia barwy porosłych na jej brzegach drzew i krzewów wydaje się być nieco bladozielonawy, ale wlana do szklanki nie jest mętna, nie ma zapachu i dobra jest do picia. Ma być obfita w ryby. Po obu brzegach ocieniona jest rzeka gęstym, choć w niewysokie drzewa porosłym lasem, nie szerszym może nad 20 do 40 m od jej koryta i po większej części złożonym z tamarysu, trzciny i topoli (nie płaczących), miejscami gęstwinia trudna do przedarcia się przez nią; o południu znalazłem nieco rosy na tamarysie w gęstwini, a rosa miała nieco słony smak. Konary od drzew spuszczają [się] miejscami do wody.

Kiedyśmy na to uświęcone tradycją miejsce przybyli, już znaleźliśmy namiot rozpięty i rozesłany na ziemi kobierzec. Uklękliśmy i zmówiliśmy modlitwy przywiązane do miejsca i wypiłem szklankę wody jordanowej, dziękując Bogu, że dozwolił mi w tak podeszłym wieku ucałować ten brzeg rzeki świętej, na której Jezus był od Jana ochrzczony, i patrzyć w niebo, które tu nad nim było otworzone, „i zstąpił Duch Święty w postaci gołębicy: oto głos z niebios mówiący: »tenci jest Syn mój miły, w którymem się ukochał«".

Patrząc na tę dziś spokojną wodę wyobrażałem sobie, jak tu za przyjściem Izraela z czterdziestej pustyni do Obiecanej Ziemi zrządzeniem Bożym stanęła rzeka, rozstąpiły się jej wody murem we dwa rzędy urządzone, odkryły dno suche, z którego, po przejściu Izraela Arkę Przymierza niosącego, wziął dwanaście kamyków Jezus i ułożył na wieczną pamiątkę na brzegu. „Tu — przypomniał mi Liévin — prorok Eliasz uderzywszy płaszczem po wodzie suchą nogą przeszedł za Jordan, gdzie był podniesiony w ognistym wozie do nieba, i tędy, według mniemania ludu, król Dawid przeprawił się za Jordan, ścigany od syna swego Absalona".

Jakże mile i uroczo przeszły dla mnie trzy godziny na brzegu Jordanu! Ileż wspomnień z dobrodziejstw, jakich człowiek doświadczył od Boga pomimo uporu, namiętności, zniewagi Imienia Bożego, nieposłuszeństwa, jakiego się dopuścił! Komuż Bóg dozwolił tak dobroczynnie, po 83 latach życia, z drugiej półkuli ziemskiej, o tysiące mil, przez morza, przez góry, dociągnąć do widzenia tych miejsc świętych zbawienia świata i nie czuć znużenia, niemocy? — I tak mało dni już wiek zostawia na

t W autogr. wolne miejsce.

odwdzięczenie się Najwyższemu za tyle dobroci i miłosierdzia, za młodość w starości! — Już teraz powiedzieć mogę, u kresu pielgrzymki mojej: „nunc dimitte servum tuum, Domine"[60].

O trzeciej wracaliśmy do Jerycho drogą, która przerzyna w poprzek całą równinę, istną pustynię, na której spotykaliśmy karawany i pojedynczych Beduinów ciągnących zapewne za Jordan, bo na całej przestrzeni tej nie masz zamieszkałych miejsc ni gospody, jest to jedyny trakt komunikacyjny między Jerozolimą a Arabią Pust[ynią].

Po dwugodzinnej jeździe w gorąco, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczałem na długich moich od pięćdziesięciu lat podróżach, bo tu posusza ziemna z dołu, rozpalony piasek mocniej jeszcze o tej godzinie grzeje niż słońce u góry, dojeżdżamy, o pół mili od Jerycho, do małego strumienia, przy którym widać zwaliska dawnych jakichś zabudowań, małe zarośle, kilka drzew i ubogich chałup. Jest to miejsce dawniej Gilgal, dziś nazwane Galgala, gdzie się zatrzymał po pierwszy raz, po przejściu Jordanu, Izrael, a Jezus tu zbudował ołtarz z kamyków wziętych na dnie rzeki, stąd wysyłał hufce swoje na Chanaańczyków, tu Saul był uznany królem.

Przejeżdżamy około nowo zbudowanego przez Rosjan dla pielgrzymów dyzunitów domu z cerkiewką, stamtąd powtórnie przez Jerycho i wcześnie jeszcze stanęliśmy u Źródła Eliasza. Nie brakło na chętce zwiedzenia Góry Kwarantanny (Czterdziestodniowej), ale konie mieliśmy pomordowane, droga niegodziwa i tyle mi złego mówiono o stromych, skalistych skłoniach tej góry, że zwątpiłem, abym się mógł wdrapać na nią. Przy tym już i czas naglił do powrotu.

8 października. Noc była cicha, pogodna, dochodził do naszego namiotu głos szakala, jakieś niby łagodne skarżące się wycie. Przede dniem towarzysze moi dla uniknienia gorąca poczęli szamotać się, kazali siodłać konie, zwinięto namiot.

Pierwej nim słońce wyjrzało zza szczytów Moabu, pnęliśmy się już na koniach po szczeblach skalistych na górę Akbat er-Rîhha, pierwsze od wschodu ogniwo gór Judei. Dojechawszy do szczytu rzuciłem jeszcze wzrok na Morze Martwe i Jordanową Dolinę. Piękny to i wspaniały był wschód słońca, piękne niebo, błyszczał już ponad tonącymi jeszcze w cieniu moabskimi górami i na szczycie Nebo ranny promień, jak gdyby z tej góry patrzył jeszcze na Obiecaną sobie Ziemię Mojżesz, ziemię mlekiem i miodem płynącą, a dzisiejszą pustynię. Dolina Jerycho była jeszcze w pomroku, nad Morzem Martwym mgła wisiała.

---

[60] „Teraz zwolnij sługę swego, Panie" — słowa św. Symeona, gdy ujrzał Dzieciątko Jezus.

Na wyniosłej pustyni Adommim spotykamy jednego Beduina na koniu w lekkim zawoju, z długą rusznicą na plecach, a dalej Araba w białym burnusie z piką na trzy metry długą, tak okrytego, że tylko oczy czarne widne były. Co za malowniczy ich widok! Przez pięć godzin prawie nie zatrzymując się jechaliśmy, by uprzedzić przed południem gorąco, aż do Źródła Apostołów, gdzie na moment schroniwszy się w cieniu i napoiwszy konie, puściliśmy się powolnym krokiem do Betanii. Oglądaliśmy raz jeszcze tę małą mieścinę Marty i Marii, zostawiliśmy tu naszego żandarma-eskortę, Beduina, i jednym ciągiem, przez Jozafatową Dolinę i Bramę Św. Stefana, wróciliśmy do Casa Nuova. Tu znalazłem przybyłego z Damaszku ks. Gajewskiego i tegoż dnia powrócił z klasztoru na Górze Oliwnej [ojciec Semenenko], gdzieśmy go przed trzema dniami byli zostawili.

9 października. Z rana o szóstej msza ks. Gajewskiego na Kalwarii, potem o ósmej wotywa oo. franciszkanów u Grobu Świętego. Potem odpoczynek po znoju wczorajszym. O trzeciej Droga Krzyżowa z procesją od pałacu Piłata i pretorium do Kalwarii, tymi samymi uliczkami i przy tychże stacjach co przeszłego piątku.

U wieczerzy liczniejsi byliśmy: ks. Gajewski, kapucyn Irlandczyk, Grek Macedończyk w ubraniu księży greckich dyzunitów, o. Rafał. O. Semenenko dla słabości zdrowia jadł osobno. Rozmawiano wielu językami i wiele, bo i przełożony klasztoru, Włoch, i o. Liévin, Belgijczyk, i o. Anakleta, Polak, nam towarzyszyli. Nasz Macedończyk był skromny, milczący, poważny, ujmującego wejrzenia, nie wesoły, ale też i nie smutny. Był już od kilku dni w bliższych stosunkach z oo. franciszkanami, w[ielebn[ym] kustoszem i o. Semenenko. Oświadczył im, że chce przejść na łono Kościoła i jechać do Rzymu, a choć nie miał za czym, przyjęliśmy go do naszej kompanii.

10 października. Zostawało jeszcze wiele miejsc do zwiedzenia, tego więc dnia, po mszy o. Semenenki u ołtarza Ukazania się Panny Marii w kościele Grobu, poszliśmy z ks. Gajewskim i o. Rafałem, wiedzeni przez naszego nieoszacowanego braciszka Liévin, na Górę Syjonu, stanowiącą część południowo-zachodnią Jerozolimy i przyległą jej część za murem. Poczęliśmy od zamku, czyli forteczki El Kalah, stojącej tuż przy Bramie Jafy na prawo. Ta mała forteczka została z czasów Dawida i Heroda Wielkiego; ma na czterech rogach cztery wieże, z których północna, zwana Wieżą Dawida, uszła od zniszczeń i wstrząśnień, jakim ulegało miasto, jest jedną z najdawniejszych zabudowań, z trzech stron otoczona fosami; część jej, mianowicie niższa, z ogromnych płyt (jeden do czterech

metrów długich) złożona, ma być jeszcze dziełem Jebuzejczyków[61]. W zameczku mają tu broń i mieszkania dla żołnierzy, wieża w zaniedbaniu zupełnym. Ukazują tu okienko, z którego Dawid spojrzał na Betsabé, a nawet miejsce, na którym stał dom Uriaszowy[62], i izbę, w której król pokutował. Tuż niedaleko jest miejsce pałacu Heroda, w którym Magowie byli wypytywani, i mała cytadela. Stąd o kilkanaście kroków ku południowi przyszliśmy do miejsca, gdzie stał dom Annasza, teścia Kajfaszowego, do którego, po pojmaniu naszego Zbawiciela w Ogrojcu Oliwnym, był „przyprowadzony przez rotę, rotmistrza i przywodników żydowskich Jezus, a szli za nim Piotr i drugi uczeń, a ten uczeń był znajomy arcykapłana Nowi" (Jan XVIII). Jest dziś na tym miejscu kościół armeński z dwóch kaplic złożony. W pierwszej widać tylko cysternę dobrej wody, drugą zaś stanowi niska, nieobszerna izba; na jej środku dwie szerokie kwadratowe kolumny podpierają sklepienie. Niewiele do niej światła zewnątrz dochodzi, ma wejrzenie smutne, ponure, nie masz tam ozdób żadnych ni pozłoty, ni malowideł, tylko na lewo od wejścia jest mała kapliczka, w której dwóch ludzi zaledwie pomieścić się może, i ołtarzyk na miejscu, gdzie był pierwszy raz wypytywany Chrystus „o uczniach i o nauce i jeden ze służebników stojący tam dał policzek Jezusowi" (Jan XVIII, 20, 22).

Z tego domu odesłał Annasz związanego Jezusa do Kajfasza arcykapłana, którego dom stał na miejscu niedaleko stąd położonym, bardziej ku południowi za Bramą Syjońską, gdzie się teraz znajduje drugi kościół armeński, postawiony w r. 333 przez św. Helenę, a później odnowiony. W tym kościele jeden tylko jest ołtarz w absydzie i dwa znajdują się pomniki: jeden — mała kapliczka na miejscu, gdzie jakoby było więzienie, w którym Chrystus Pan przebył noc całą z czwartku na piątek, a drugim ma być kamień przyniesiony tu z Grobu Świętego, a którym ten grób był przywalony.

Jakiegoż wzruszenia doznała dusza moja, kiedym wspomniał, że tu, gdzie dziś kościół, był dom, w którym Jezus był jak najgorszy złoczyńca wypytywany od arcykapłana, naigrawany i lżony od mężów, którzy Go trzymali, bili i gdzie Go zaprzał najmilszy uczeń Jego. „A gdy był dzień, zeszli się starsi z ludu i arcykapłani, i doktorowie i przywiedli Go do rady swojej mówiąc: »jeśliś ty jest Chrystus, powiedz nam«. I rzekł im: »choćbym wam powiedział, nie uwierzycie mi, jeślibym się spytał, nie

[61] Jebuzyci, szczep kanaanejski w płd. Palestynie. Ich warowne miasto Jebus zdobył Dawid i pod nazwą Jerozolimy uczynił stolicą swego państwa.

[62] Uriasz, dowódca wojsk króla Dawida, zginął na polu walki wysłany celowo — z rozkazu króla — na najniebezpieczniejsze miejsce. Z jego żoną Betsabe ożenił się później Dawid i miał z nią syna Salomona, późniejszego swego następcę.

odpowiecie mi ani mię wypuścicie. Lecz odtąd będzie syn człowieczy siedział na prawicy Bożej«".

Pomodliwszy się na tym miejscu poszliśmy dalej po wysokiej płaszczyźnie, która jest częścią Góry Syjonu, tylekroć sławionej w psalmach Dawida, Góry Świętej, bo „z Syjonu wyszedł Zakon Miłości" (Ps. 131), a na niej Arka Przymierza spoczywała jako symbol wiecznego przymierza. Płaszczyzna ta spuszcza się z wolna ku południowi, ukazują się na niej — jak i w północnej stronie i wschodniej — cmentarze i odsłania się daleki widok na skaliste góry Judei.

O paręset kroków od Bramy Syjońskiej stoi meczet Dawida, na miejscu, gdzie był Wieczernik Pański. Prowadził nas do niego brat Liévin, opowiadając historią tego dziś meczetu. „Według podania wiarygodnego — rzekł — dom Wieczerzy Pańskiej należał był do św. Józefa z Arymatei i był miejscem, gdzie się zbierali pierwsi chrześcijanie. Św. Helena postawiła w IV wieku na tym miejscu kościoł o dwóch piętrach, w którym złożone były relikwie św. Stefana, Nikodema i innych. W wieku IX już były tylko zwaliska tego kościoła, lecz później Krzyżacy odbudowali na tymże miejscu kościoł, też o dwóch piętrach, pokryli go kopułą i oddali kanonikom reguły św. Augustyna. Później, w połowie XIII wieku, przeszedł był tenże kościoł we władanie oo. franciszka[nów], kiedy nagle sułtan egipski wygnał ich, a kościoł ucierpiał. W XIV wieku kupili to miejsce Robert[63], król sycylijski i Neapolu, z żoną swoją od sułtana i wtenczas ustanowieni przez nich na straży franciszkanie zbudowali na nowo na miejscu Wieczernika kościoł teraźniejszy i przez dwieście lat, pomimo częstych napadów, przez to, że był za murami miasta, odprawiali w nim nabożeństwa aż do połowy XVI wieku, w którym wygnali ich stąd muzułmanie, a kościoł przemienili na meczet, zwany dziś od nich meczetem Dawida. Dziś już — zakończył braciszek ze smutkiem — nie mamy prawa odmawiać w nim mszy ni wejścia do niego. Ale meczet zachował kształt pierwotnego kościoła, dzieli się na dwa piętra choć tylko może część jego południową zajmuje".

Zasmuciło nas to opowiadanie, tym bardziej kiedy zapłaciwszy bakczysz, wprowadził nas Turek przez zachodnie drzwi najprzód do ciemnej, opuszczonej izby, gdzie była stajnia. Z niej potem weszliśmy na mały dziedzińczyk, z którego po schodach i jakichś zawrotach otwarto nam drzwi do drugiego piętra, na dwie obszerne sale przedzielonego. Pierwsza z nich (pomimo profanacji jej przez muslamism) uważana jest i czczona przez chrześcijan jako miejsce Instytucji Przenajświętszego Sakramentu, drugą uważają Turcy jako cénotaphe[64] — grób Dawida. Pierw-

---

[63] Robert d'Anjou (1275—1343), syn Karola II, jego żona — Jolanta Aragońska.
[64] cénotaphe (fr.) — pusty grobowiec, mauzoleum.

sza, prostokątna, na czternaście metrów długa, ma dwie kolumny na środku i dwie półkolumny w ścianach tak ustawione, że dzielą podłużnie tę salę na dwie nawy. Trzy okna w murze zewnętrznym, w nim mihrab — zwyczajna framuga, ściany pobielone, to i wszystko, co się tam spostrzega.

Tuśmy się zatrzymali, modląc się w strapionej duszy. Tu bowiem „gdy przyszła godzina, usiadł Jezus i dwanaście apostołów z nim. I rzekł im: »żądzą wielką pożądałem pożywać tego Baranka z wami, pierwej niż bym ucierpiał. Boć wam powiadam, żeć już więcej nie będę jeść tego, aż gdyby się wypełniło w Królestwie Bożym«; a wziąwszy kielich, dzięki uczyniwszy rzekł: »Weźmijcie i podzielcie z sobą. Albowiem wam powiadam: żeć nie będę pił z owocu macicy winnej, aż gdyby przyszło Królestwo Boże«. A wziąwszy chleb, dzięki uczyniwszy, łamał i dawał im mówiąc: »toć jest ciało moje, które się za was daje. To czyńcie na pamiątkę moją«. Także i kielich, po wieczerzy, mówiąc: »ten jest kielich testamentu nowy we krwi mojej, który za was wylany będzie«" (Łuk. XXII).

Na tymże miejscu, po śmierci Chrystusa, gdy się wypełniły dni świąteczne, byli wszyscy spólnie. I stał się z prędka z nieba szum jakby przypadającego wiatru gwałtownego i napełnił wszystek dom, gdzie siedzieli. I ukazały się im rozdzielne języki jakby ognia, i usiadł na każdym z nich z osobna" (Dzieje Apos[tolskie] II).

Po długiej chwili, w milczeniu, weszliśmy na moment do drugiej sali, przedzielonej teraz na dwie izby, z której w jednej pokazał nam z daleka będący na straży muzułmanin jakąś wypukłość przy murze nakrytą dywanem i rozesłane na podłodze chorągwie. Tu jest miejsce, na którym się modlą muzułmanie.

Zszedłszy potem do dolnego piętra zatrzymał nas Liévin przy sali położonej pod salą górną Wieczernika, a w której — według podania powszechnie przyjętego — Chrystus umywał nogi swoim uczniom. Do tej sali, zamieszkałej przez kobiety muzułmańskie, wejście jest zabronione; druga zaś sala na dole, ta która leży pod górnym cenotafem Dawida, ma w istocie być na grobie Dawida, jak na to się zgadza powszechne mniemanie oparte na świadectwach, które tu nie jest czas przywodzić i rozbierać.

Nasz szanowny przewodnik zaprowadził nas potem, poza cmentarzem armeńskim, na niedaleko stąd znajdujące się miejsce domu, w którym mieszkała N. Panna od czasu, kiedy przy swoim świętym skonaniu na krzyżu polecił [Jezus] miłemu uczniowi swemu przyjąć Matkę Najświętszą. „Niewiasto — rzekł — oto syn twój", potem do ucznia: „Oto matka twoja". I od onej godziny wziął ją uczeń do siebie. Na tym miejscu znaleźliśmy ogród niewielki warzywny, ale nie pozostało znaku zabu-

dowania. Wróciliśmy tedy do Bramy Syjońskiej i od niej idąc poza murem miasta koło cmentarza katolickiego, potem kierując się ku południowi, doprowadził nas Liévin do Jaskini Skruchy św. Piotra, gdzie jest podanie, że św. Piotr po swoim zaprzaniu się schronił się i płakał rzewnie. Był to niegdyś kościołek, którego szczątki gruzów dotąd ukazują się i tylko widać niegłębokie wydrążenia w poczerniałej skale. Pomodliliśmy się tu, aby nam dał Bóg taką skruchę i łzy, jakimi odpokutował Piotr święty i znalazł łaskę u naszego Zbawiciela. Wróciliśmy poza murami miasta przez Bramę Św. Stefana.

11 października. Tej niedzieli wysłuchałem mszy na Kalwarii. Greckie duchowieństwo miało długą, śpiewaną mszę u Grobu Świętego przy bardzo licznym zebraniu pobożnych i z bardzo wystawnym obrządkiem.

O. Rafał przepędził był noc wewnątrz kościoła Grobu Świętego w celi oo. franciszkanów i powiadał, że tejże nocy, zamknięte od wieczora w tymże kościele, kobiety greckie od trzeciej godziny z rana śpiewały przy Grobie dobrze dobranymi głosami aż do świtu. Około dziesiątej z rana poszedłem z księdzem Gajewskim na mszę do katedralnego kościoła, był na niej obecnym patriarcha katolicki i czterech kanoników. Kościół nowej architektury, dobrze utrzymany, niewiele pobożnych.

Po południu zwiedziliśmy z ks. Gajewskim nową część miasta za murami od strony przyjazdu z Jafy, gdzie są nowo pobudowane szpitale, a mianowicie zakład rosyjski, wysokim obwarowany murem, w którym jest wspaniała cerkiew z wieżycami tegoż stylu, co są zwyczajne w Rosji cerkwie błahocześliwe[65], dwa duże domy dwupiętrowe dla pielgrzymów, ogrody pełne pomarańczowych i cytrynowych drzew i wiele innych budowli. Nad wieczór staraliśmy się poznać część najstarszą miasta, objętą tylko górami Moria, Bezetha i częścią Akra, jak potem powiększone było za Rzymian po jego spustoszeniu.

Opisywać szczegółów nie myślę, bom tu przybył na pielgrzymkę, a nie na pisanie podróży i opisanie kraju. Patrzyłem nie oczami, ale duchem — jak kiedy ludzie u nas idą na odpust do Ostrej Bramy czy do Częstochowy — i nie chciałem przerywać sobie modlitwy i duchowych rozważań zbieraniem notatek; zaledwo czas mam na zapisanie każdego wieczora, jak czas przepędziłem i gdziem się modlił.

12 październ[nika]. Że to już ostatni dzień mojej w Jeruzalem pielgrzymki, poszedłem o pół do szóstej z rana z ojcem P. Semenenką do Grobu Świętego. Tam przy Grobie miał mszę ojciec generał, z jego rąk przyjąłem Przenajświętszy Sakrament, po ostatni raz z rozrzewnieniem

[65] Spolszczone ros. błagoczestnyj, błogoczestiwyj — prawowierny, tu użyte w znaczeniu: cerkwie prawosławne.

ucałowałem ołtarz nad grotą, gdzie był nasz Zbawiciel pochowany. O dziewiątej oddałem osobiście cześć powinną naszemu rzymskokatolickiemu patriarsze[66] w jego mieszkaniu. Przedstawił mnię o. Semenenko i byłem przyjęty z ojcowską łaskawością od tego dostojnika, któremu Ojciec Święty powierza dziś straż i opiekę nad Kościołem Ziemi Świętej. Poważna to, ujmująca postać; rozum, słodycz i znak cierpienia na jego twarzy i w rozmowie, głos cichy, wyraźny; rodem Włoch, mówi płynnie po francusku; wysoki, z brodą, młody jeszcze. Jego mieszkanie ma raczej wejrzenie klasztoru o szerokim kurytarzu niż pałacu, dwa pokoje obszerne, ozdobne, u wejścia drogman bogato po grecku ustrojony.

Tegoż dnia pożegnałem w rządowej sali gubernatora baszę. Potwierdził mi wiadomość o baszy Edhemie, że nie przyjął ambasady do Paryża i że choć dotychczas nie zanosi się na wojnę, może przyjść do niej, i [że] Niemcy dotąd nie stoją po stronie Rosji. Resztę dnia przeszło na przygotowaniu do podróży, na nakupieniu różańców, krzyżyków i rozmaitych bagateli.

13 październ[nika]. Po rannej mszy u franciszkanów w kościele Zbawiciela wyjechaliśmy o dziewiątej z rana z Casa Nuova, pożegnani najuprzejmiej od przełożonego nad tym gościnnym domem. Prócz jednej dosyć licznej karawany Beduinów, szakala, który nam przebiegł drogę, nic nowego nie zdarzyło mi się widzieć. Po zatrzymaniu się na pół godziny na dolinie przy strumieniu Terebintin piechotą z o. Rafałem przeszliśmy po ogromnej górze, która zaraz za tą doliną poczyna się, i z jej szczytu raz jeszcze rzuciłem wzrokiem na daleką wieś św.. Jana na pustyni. Do sta robotników pracowało przy drodze. Około trzeciej po południu byliśmy już w Ramleh, skąd po ochłodzeniu się limonadą u drzwi klasztoru ojców Ziemi Świętej zaledwo o zmroku poczynaliśmy dojeżdżać do rozkosznych ogrodów Jafy. Choć było późno, przyjęli nas łaskawie i ochoczo do „Hospitium Latinum" w Jafie ojcowie Ziemi Świętej i uraczyli wyborną wieczerzą, winem i winogradami.

14 październ[nika]. Cały ten dzień czekać musimy na parowiec Lloyda idący z Konstantynopola.

Nabożeństwo u Św. Piotra, rozmowy z sędziwym Hiszpanem, przełożonym klasztoru, i z drugim, też Hiszpanem, zakonnikiem, przechadzki po starym mieście i na rynku zajęły cały ten dzień. Na tym rynku mianowicie miałby wiele do postrzeżenia podróżnik, a malarz do odmalowania. Tu bowiem zbieg ludzi z całej Palestyny, Syrii, Arabii, Egiptu, Sudanu, najrozmaitszych twarzy i ubioru. Z owoców i ogrodowin na targu

---

[66] Vincento Bracco (zm. 1889) objął patriarchat w roku 1873.

wielka obfitość pięknych żółtawych winogron, wielkich czerwonych granatów, cytryn, daktyli, pomarańcz, niezwykłej barwy i wielkości pomidorów, do tego i fasole, strąki czerwonego pieprzu etc., mnóstwo wielbłądów i osłów obładowanych, ruch nie do opisania w kupujących i targujących się. A obok tego część najbardziej malowniczą stanowią ugrupowane gromady spokojnie siedzących na ziemi Beduinów, Turków w zawojach, tułubach[67] jaskrawego, najrozmaitszego koloru, między nimi i biało okryte kobiety nieporuszone i obok leżące wielbłądy, muły. Koło nich pędzi przez ciżbę, przerzyna ją na koniu Arab, nie zawadziwszy o nikogo jak gdyby na pustyni, tuż niedaleko i bazar wschodnich wyrobów, wszędzie i we wszystkim nieporządek, nieochędóstwo, ciasnota — do nieopisania.

15 październ[nika]. O wschodzie słońca ukazał się parowiec, na który czekaliśmy. O dziewiątej [godzinie], po rannej mszy, po pożegnaniu oo. franciszkanów Ziemi Świętej i ich błogosławieństwie, zanieśli nas na barkach, po rozlewającej się na brzegu fali, do obszernego czółna silne Araby i szczęśliwie dobiliśmy do parowca, a wiatr poczynał już wiać na dobre. Oświadczył kapitan, że może nas w Port Saidzie przesadzić na parowiec tejże samej Spółki Lloyda, przychodzący z Chin, i na nim obowiązuje się dowieźć do Triestu nas czterech (bo i Mecedończyka wzięliśmy z sobą) o mało co więcej niż za tysiąc franków, ale ostrzegł, że nie może zawinąć do żadnego portu włoskiego z przyczyny cholery. Wiatr się wzmagał, przyszła choroba morska, noc była niedobra.

16 październ[nika]. Port-Said. O dziewiątej rano odprawił na okręcie mszę o. Semenenko i przed południem wylądowaliśmy.

17 [października]. W hotelu angielskim. Nie tyle mię zajęła niezliczona ilość okrętów okrążających brzeg portowy od samego ujścia odnogi Nilowej Rosety[68] o więcej niż na milę na zachód, o ile ta myśl, że jestem na Delcie Nilowej, w Egipcie, kraju Ptolomeuszów, faraona, skąd najdawniejszej oświaty historycy wywodzą pierwsze zabłyski kultury europejskiej.

Miasto jednak, gdzie jestem, jest najnowsze ze wszystkich może miast na świecie, biedna mieścina muzułmańska Said, która mu imię dała, została — tak jak od wieków była — o pół mili stąd, a to miasto wzięło życie od dnia Sueskiego Przekopu[69] i już liczy do trzydziestu tysięcy mieszkańców, domy porządne, drewniane, ulice szerokie, pod kąt prosty

---

[67] tułub (z ros.) — kożuch pokryty materią.

[68] Rosetta, zachodnie ramię delty Nilu.

[69] Dnia 17 listopada 1869 r. została całkowicie ukończona budowa Kanału Sueskiego i odbyło się uroczyste jego otwarcie. Zob. też t. V, cz. 1, rozdz. I, przyp. 19.

krzyżują się; magazyny milionami kosztownych towarów ze wszystkich części świata sprowadzanych zawalone; obok chińskich, japońskich, indyjskich wyrobów najnowsze paryskie, londyńskie, amerykańskie, i ludzie ze wszystkich krańców ziemi. Nie widać tu ni wysokich wież, ni minaretów, niełatwo odgadnąć, jakiego wyznania ludzie. Nie widać też wielbłądów, wszystko Kanałem Sueskim i odnogą Nilu spływa od południa okrętami, od północy, wschodu i zachodu. Z owoców tylko jabłka i daktyle świeże, za to cukiernie, piwiarnie i traktiery na każdej ulicy, w nich obok John Bula i zwinnych Francuzów białe turbany i pąsowe fezy, mnóstwo marynarzy. Grunt piaszczysty i takież ulice, ale chodniki z daleka przywiezionych płyt kamiennych. Nie brak i na ogrodach, choć niewielkich, przechadzka poza brzegiem portowym przyjemna, byle nie w dzień duszącego sirocco[70], który tego dnia wiać poczynał i niemiłe sprawiał uczucie. Najbardziej zaś zajmująca przechadzka jest w stronę ku wschodowi, do ujścia Kanału, po którym przychodzą i odchodzą nieustannie okręty rozmaitego kształtu i wielkości. Tu, przy samym ujściu, obszerny jest zakład marynarki francuski, murem obwiedziony, budowy ogromne, warsztaty okrętowe, magazyny, mnóstwo robotników, wieża wysoka. W mieście nieliczny garnizon z żołnierzy egipskich niewiele — jak się zdaje — ma do czynienia, toć i policja nieznaczna. Na pozór przynajmniej miasto spokojne, mieszkańce, choć tak różnorodni jak nigdzie, żyją z sobą spokojnie, handlują.

Opodal od środka miasta, od miejsca, gdzie się wylądowuje, jest mały kościołek i klasztor kapucynów. Pięciu zakonników pracuje tam w cichości i przyciąga do siebie, co tu jest z katolików. Mają szkółkę chłopców i dziewcząt, żyją ubogo, mają kościołek dobrze i czysto utrzymany; na niedzielnej mszy był napełniony Europejczykami, kobiety i mężczyźni należeli, jakby z powierzchowności wnosić, do ukształconej, bogatszej klasy.

Po południu wyszedłem za miasto i długi czas przypatrywałem się tej niezmiernej równinie egipskiej, suchej zupełnie, jak okiem zajrzeć żadnym przedmiotem nie przerwanej. Chęć brała odwiedzić Kair, piramidy. Ale nie było na to czasu, miałem nieodzowną potrzebę być przed pierwszym grudnia w Paryżu i nie chciałem opuścić moich towarzyszów podróży.

18 paźdz[iernika]. Przychodzi po piątej z wieczora parowiec z Chin, na który czekaliśmy, o dziesiątej w nocy ostrzega nas agent tego okrętu, że tejże godziny kapitan, lękając się zmiany powietrza i burzy, kazał podjąć kotwicę. Zaledwo zdążyliśmy przybyć w czas, o jedynastej płynęliśmy.

---

[70] sirocco (włos.) — suchy, gorący wiatr południowo-wschodni.

19 paździer[nika]. Wietrzno, ale się niebo rozpogadza.

20 [października]. Msza ojca Semenenki w izbie, gdzie był skład pawilonów okrętowych.

21 [października]. Na okręcie, oprócz nas czterech i jednej rodziny angielskiej, nikogo z podróżnych nie było. Podróż wygodna, szczęśliwa.

22 [października]. Okręt nieco miotany za silnie od wichru. Niepodobna było mieć mszy. O południu widzimy Korfu — chmurzy się niebo. Około trzeciej trąba morska od strony lądu może o milę od nas; trąba ta wychodzi z niższego obłoku i jak dziób ptaczy zakręca się w łuk, zwęża się i dotyka ostrym końcem do wody, ma kolor białawy. Zakręt jej był w stronę, do której posuwała się.

25 [października]. Po południu w Trieście. Ojciec generał z o. Rafałem i naszym Macedończykiem jadą do Rzymu — rozstanie się.

26 [października]. Do Wiednia.

27 [października]. Z Wiednia przez Salzburg, Innsbruck[u], Zurich, przez Szwajcarię do Paryża.

29 [października]. O siódmej [godzinie] rano w Paryżu.

---

[u] W autogr.: Inspruk.

IV. Dodatek[a] z lat 1887 i 1888

We trzy lata potem[1], lipca 31, 1887 r., o ósmej [godzinie] rano, w dzień św. Ignacego, w klasztorze oo. jezuitów, w celi św. Ignacego, w której ten święty umarł, było wyświęcenie mego syna Hernana. Cela, siedm do ośmiu łokci wszerz i wzdłuż mająca, pobielona, z podłogą i stolowaniem[2] drewnianym, jak była za życia świętego, zachowała całą surowość i prostotę klasztorną. Ma dwa okienka, jedne drzwi do izby tejże samej wielkości; przy jednej ścianie jest ołtarz, naprzeciw niego, we framudze za szkłem, posąg świętego naturalnej wielkości, w ubraniu, jak go widziano za życia. O ósmej [godzinie] wszedł kardynał Parocchi z dziesięciu przybranych w komży kapłanami, posługaczami obrzędu, za nim mój syn w albie, z profesorem swoim monsignor Fraterelli. Mnie tylko jednemu podano krzesło i pozwolono być w celi, liczna zaś publiczność, duchowni i świeccy z przyległej izby przez otwarte drzwi byli świadkami długiej ceremonii wyświęcenia i słuchali mszy kardynała. Był to dla mnie moment nader solenny i porywający duszę.

Obrządek rozpoczął się od ubioru kardynała w szaty pontyfikalne, odbył się ze mszą i całą okazałością, jak gdyby to było w jakim z największych kościołów rzymskich, przeciągnął się do pół do jedynastej. Potem nastąpiło ściskanie głów przez nowo wyświęconego kapłana i całowanie jego rąk, i błogosławienie, ku czemu, poczynając ode mnie, przystępowali do niego wszyscy obecni z przyległej izby.

Na drugi dzień, pierwszego sierp[nia], miał mój syn pierwszą mszę w krypcie, przy grobie św. Piotra pod wielkim ołtarzem, na Watykanie. Ja tylko i msr Fraterelli, który służył do mszy memu synowi i był jego mentorem[3], byliśmy obecni [na] tej mszy w małej, wąskiej kapliczce, do której dochodził tylko przytłumiony śpiew z góry nabożeństwa kościelnego. Na trzeci dzień odprawił mszę mój syn w bazylice Św. Cecylii.

---

[a] Tę partię pamiętnika zamieścił Domeyko — jak już zaznaczono w Przedmowie — po notatkach z Rzymu (t. V, cz. 1) z r. 1885, które kończy słowami: „na początku lipca wyjechałem z Rzymu na Kraków do Ziemi Świętej", i do tego okresu nawiązuje poniższe opowiadanie.

[1] Nieściśle. Od wyjazdu z Rzymu minęły dwa lata, a nie trzy.

[2] stolowanie — belkowanie, pułap, sufit.

[3] mentor — wychowawca.

1888 ROKU

Tego roku w pierwszy dzień Wielkiej Nocy, o ósmej rano, miał pierwszą mszę śpiewaną mój syn na Wawelu, w katedrze krakowskiej, przy grobie i na ołtarzu Św. Stanisława, patrona Polski. Towarzyszyli mu prałat Polkowski i dwóch seminarzystów, a wszyscy czterej mieli na sobie ornaty darowane katedrze przez kr[óla] Batorego; kielich złoty był roboty i podarunku kr[óla] Zygmunta III, a ołtarz był też przyozdobiony złotą różą[4] przesłaną w darze przez Klemensa[5] papieża żonie[6] Augusta III kr[óla]. Chór dobrych śpiewaków, liczne zgromadzenie pobożnych, błogosławieństwo młodego lewity po mszy, wielka to była łaska i dobrodziejstwo Boże dla mnie doczekać się takiej godziny w ośmdziesiątym szóstym roku życia.

---

[4] złota róża — dar papieski udzielany osobom panującym lub całym korporacjom (róża wykonana ze złota, poświęcona przez papieża). Złotą różę, o której tu mowa, zapisała królowa Maria Józefa w testamencie katedrze krakowskiej. Znajduje się do dzisiaj w skarbcu katedralnym.

[5] Klemens XII (Lorenzo Corsini) — papież w latach 1730—1740.

[6] Arcyksiężniczka Maria Józefa, córka cesarza Józefa I, żona króla Augusta III (1696—1763).

INDEKS OSÓB

(Liczba rzymska oznacza tom wydawniczy, arabska — stronę)

Abłamowiczowie III 153
Absalon, syn króla Dawida III 293
Adalbertus S. zob. Wojciech św.
Adhémar Alfonse Joseph I 191
Aecjusz Flawiusz I 112
Agassiz Ludwig I 11
Agola, oficer hiszp. II 102
Aguilero Pedro Olmo de II 484
Aguirre, mieszkaniec Coquimbo II 159
Aguirre Francisco de II 432, 435
Ahuitzotl, władca Meksyku II 153
Alamos José Hermojenes III 50, 76
Aldao José Felix II 310
Alderete Jerónimo de II 427, 432, 499
Aldunate José Santiago II 225, 288, 298, 301, 354, 357; III 8, 13, 27, 29, 38, 39, 45, 46, 148
Aleksander I, car ros. I 148; II 11, 292; III 114
Aleksander III, car ros. III 159, 161, 162
Aleksander IV, papież III 194
Aleksander VI, papież II 154
Aleksandrowicz, strzelec I 238—242
Aleksandrowicz Jerzy III 127
Alfons I, król portug. II 18
Alfonso, uczeń autora III 16, 22
Allapan, kacyk arauk. II 491
Almagro Diego II 234, 248, 514
Alvarado Antonio (?) II 434
Amand Jean Saint I 137
Ampère André Marie I 126, 127
Amunategui Miguel I 7
Anakleta, ks. franciszkanin III 252, 264, 295
Ancuta, cioteczny brat autora III 147
Ancuta, wojski, brat dziadka autora III 152
Ancuta Dominik, wuj autora III 152
Ancuta Jan, wuj autora III 149
Ancuta Michał, wuj autora III 152
Ancuta Stanisław, wuj autora III 149
Ancutowa Aniela z Wołodkowiczów, babka autora III 149—152
Ancutowie III 153
Ancutówna Karolina zob. Domeykowa Karolina
Andrada é Silva José Bonifacio II 69
Andreacka, żona wójta I 237
Andreacki, wójt I 48, 233, 235—238, 241—243
Andreo, Araukanin II 463
Angoulême Louis Antoine de Bourbon I 192
Anna Jagiellonka, królowa polska III 108
Asnyk Adam I 5
Antehuenu, wódz Indian II 434, 438, 439
Antier Beniamin I 137
Antoni Klemens Teodor, król saski III 205
Aracena Manuel III 18, 23
Arago Dominique François Jean I 126, 127, 193, 197
Aragones, woźnica II 362
Arande, żołnierz hiszp. II 429
Argandoña Ramon II 168
Aranguez Pedro II 382, 391
Araujo Lima Pedro de II 70
d'Arc Joanna III 100
d'Argenson Voyer Marc René I 219
d'Argout Antoine Maurice I 179, 208, 209
Arne Thomas Augustin II 43
Arriagado, administrator majątku II 360—362, 364—366, 381, 382
d'Artois zob. Karol X
Atahualpa (Atabaliba), król Peru II 153, 154

Athenais (Eudoksja), żona Teodozjusza II III 201
Attyla I 112
d'Auber Daniel François Esprit I 85
d'Aubigny, kupiec I 215
August II Mocny, król polski I 109; III 204
August III, król polski III 305
Augustyn z Barcelony, nauczyciel filozofii III 7
Avendaño, kapitan hiszp. II 429, 463
Avendano San Miguel de II 483, 484
d'Avril L. M. Adolphe III 228
Ayllavillo, wódz Araukanów II 425, 426
Azarian Etienne Pierre, ks. III 228, 232

B. (żeglarz, pierwszy po kapitanie) II 37, 46, 47
Badeni Kazimierz III 111
Bajazet, sułtan tur. III 225
Baldwin de Bouillon (Baudouin I), król jerozolimski III 239, 272, 273, 281
Baliński Michał I 8
Ballanche Charles I 75
Ballivian José II 355
Balzac Honoré de 140
Baquedano Fernando II 545
Baraniecki Adrian III 112
Barbiano Emilio I 188
Baret, dyplomata franc. II 461
Barros Arana Diego III 67, 72—74
Barrot Odilon Kamil I 164, 181, 200, 215, 217; III 165
Barruel, laborant w Sorbonie I 191, 192
Bartolo Wanezupal, kacyk arauk. II 491
Baryszkin, gen. ros. I 228
Barzykowski Stanisław I 62, 70
Bayle Claude Emile I 8; II 241
Bąkowski, bej, pułkownik III 213, 219, 232
Beaumont Elie de I 7, 8, 123, 195—197, 221; II 26, 31; III 19, 101, 102, 115
Becket Thomas zob. Tomasz św.
Bécourt, muzyk franc. I 128
Becquerel Antoine César I 195, 196
Beethoven Ludwig van III 162
Belgiojoso Krystyna, z domu Trivulzio I 188, 189
Bella, mieszkanka Châlonu I 116
Bellini Vincenzo I 97; II 414, 555
Bello Andrés III 30, 38, 50, 52, 56, 58, 70
Bełcikowska Alicja I 85, 87
Bem Józef I 144, 145, 150, 209
Benaventi, ród II 418
Benavides, oficer chil. II 383, 408, 415, 428, 440, 453
Benavides, brat oficera chil. II 428
Bérardi Gaston III 134
Bergeron Louis I 172
Bernal, dowódca hiszp. II 434, 438, 439
Bernasconi Antoni M. II 300
Bero Józef I 11, 40
Berrier Pierre Antoine I 179, 181
Berry Karol de I 123
Berry Karolina Ferdynanda Ludwika de, księżna I 123, 210
Bert Paul III 259
Berthelot Pierre Eugène Marcelin III 172
Berthier Pierre III 8, 11
Berzelius Jöns Jakob II 273; III 16
Bessera Antonio II 531—535, 538, 539, 541, 543
Beudant François Sulpice I 195
Bewster, wiceadmirał marynarki chil. II 358, 359
Białecka, mniszka III 181
Białopiotrowicz Jerzy I 158
Białopiotrowiczowa Kunegunda z Giedroyciów I 158
Bieliński Edward Tadeusz I 211
Bieliński Józef (pseud. dr Szeliga) I 26
Binet Jacques Philippe I 197, 198
Biot Jean Baptiste I 126, 127; III 19
Blainville Henri Marie Ducrotay I 194
Blanc Louis I 164
Błotnicki Hipolit I 148; III 163, 165
Bobadilla, żołnierz hiszp. II 457
Bojanus Ludwik Henryk I 126; III 135
Bolivar Simón III 52
Boniecki Adam I 24
Bonilla y Nieto Francisco II 155, 350
Borgia Rodrigo zob. Aleksander VI, papież
Borgoño José Manuel II 288, 321
Borgoño, syn José Manuela II 321
Borkowska Aleksandra z Chomętowskich I 20, 33; III 118, 119, 121
Borkowski Karol I 56, 81
Borowski Leon III 135
Borzywoj III 131, 132
Bosio François Joseph I 118
Bouilly Jean Nicoas III 162

Bourgeois, dowódca Gwardii Narod. w Suippes I 114—116
Bourgeois, żona dowódcy I 115
Bourry, panna I 172
Bracco Vincento III 300
Brancadori Cherubini II 452, 453, 459, 462, 523
Branicki Konstanty III 106, 121
Braschi Giovanni Angelo zob. Pius VI, papież
Braun, służący II 37
Bravais Auguste II 181
Breański Walerian Tyburcjusz I 161
Brenton de los Herreros Manuel 294
Brochocka Zofia z Malewskich III 140
Brochocki Wincenty I 65
Brochocki Władysław, kuzyn autora III 140
Brock zob. Dwernicka Józefowa
Brodziński Kazimierz I 168
Brongniart Adolphe Théodore I 195
Brongniart Alexandre I 194
Bronikowski Ksawery I 63, 201; III 165
Brown, gen. ang. II 547
Brzostowska Maria zob. Platerowa Maria
Buffon Georges Louis Leclerc I 220
Bugeaud Thomas Robert I 210, 215
Bujakowski Zygmunt I 25, 39
Bull John II 43
Bulnes Manuel II 225, 296, 301—303, 356—358, 360, 365, 367, 422, 450—452, 468, 489, 490, 515, 530, 531, 535, 549, 550; III 38, 49
Bulnes, żona Manuela II 358
Bulnes, pułkownik II 422, 461
Bułhak Tomasz III 142, 153
Bułhakowa Teresa z Wierzbickich III 142, 153
Burbonowie I 113, 120—123, 127, 170
Burzymowska Karolina zob. Giedroyciowa Karolina
Byron George Gordon I 185; III 135

Cabet Etienne I 210
Cadegual, kacyk II 460
Calcott August II 322
Caldeleugh, dyr. Spółki Górn. II 354, 356, 360, 361, 382
Calderon de la Barca II 169, 415
Calderon Garcia III 81, 82, 87
Callado Juan Cristobal II 57
Camden William II 13
Campos Ignacio II 352
Cano, żołnierz hiszp. II 434
Cantournet, rektor kolegium w Coquimbo III 7, 8, 23
Cappelari Mauro zob. Grzegorz XVI, papież
Carey Henry II 43
Carlos Don, Bourbon I 142; II 321
Carmona, mieszkaniec Concepcion II 488
Carmona, kacyk arauk. II 491
Carmona Carlos II 488, 489, 521
Carnegie William hr. Northesk II 12
Carnot Lazare Hippolyte I 215
Carrel Armand I 180
Carrera Ignacio II 288
Carrera José Miguel II 288, 363, 366
Carrera Juan zob. Ferrari Manuel de
Carrera Juan José II 288, 363, 366
Carrera Luis II 288, 363, 366
Carvallo, właśc. kopalni II 207, 208, 214
Casanova II 256
Cassin Eugène I 184, 195
Castilla Ramón II 548
Cauchy Augustin Louis I 197
Caupolican, wódz Araukanów II 426, 429, 433, 437, 438, 458, 460, 462, 463, 467, 484, 491, 496
Causinio, właśc. kopalni II 47
Cavaignac Louis Godefroy I 138, 180, 183
Cavalcanti de Albuquerque Francisco II 70
Cavareda Ramón II 289
Cavero Berta Lastaria I 29
Cervantes Saavedra Miguel de II 168
Chałubiński Tytus I 194
Chambord Henryk de I 123
Championnet Jean Antoine Etienne I 145
Châtel Ferdinand François I 134—137
Chełchowski Walerian I 9, 10, 222; III 44
Chełmicki Zygmunt, ks. II 125
Chevalier Michel I 8
Chevreul Michel Eugène III 102, 103, 170—172, 218
Chilca, Araukanin II 430
Chiłkow, dowódca ros. I 227, 228
Chłapowska Antonina Anna z Grudzińskich I 88
Chłapowski Dezydery Adam I 27, 43, 54—69, 71—73, 75, 76, 78, 80—82, 85, 86, 88, 93; III 114, 115, 143

Chłopicki Józef Grzegorz I 85
Chmaj Ludwik I 47
Chmielnicki Bohdan I 203
Chodźko Aleksander I 25, 26
Chodźko Feliks I 25, 65, 200
Chodźko Ignacy I 25, 96; III 135
Chodźko Jan I 25, 65
Chodźko Michał I 65
Chodźko Stanisław I 65
Chodźkowa Klara z Korsaków I 65
Chołoniewski zob. Chołowiński Ignacy
Chomętowska Maria III 117, 118, 124, 126
Chomętowska Teresa z Odyńców III 117—119, 121, 126, 128, 139, 173
Chomętowski Stanisław III 117, 118
Chopin Fryderyk III 169
Chreptowicz Joachim Litawor I 204
Chrystian VIII, król duński II 317
Chrzanowski Wojciech I 105, 151, 152
Cieszkowski August I 27
Cifuentes Abdon III 61, 62
Cobos, gospodarze II 236
Cochrane Thomas, hr. von Dundonald II 322
Cock, nauczyciel w Santiago II 318, 320
Colipi, Araukanin II 454, 459, 460
Colipi, kacyk II 522
Collingwood Cuthbert II 12
Colocolo, bohater arauk. II 433, 437, 439, 450, 462, 467
Combes Charles Pierre III 14
Constant de Rebecque Henri Benjamin I 205
Cooper, przedsiębiorca II 207, 208
Coquand Henri I 8; II 241
Cordier Pierre Louis Antoine I 194, 196
Cordovez de Cordovez Izabel II 340, 351, 352
Cordovez Gregorio II 340, 341, 343, 351—353
Correa, hrabina z domu de la Torre II 361, 380, 381
Correa Juan II 360, 361, 380—382, 392, 393, 409
Correa da Saa Alcalde (z hrabiów de la Villa Hermos) II 289
Correggio Antonio Allegri da I 97
Corsini Lorenzo zob. Klemens XII, papież
Cortez Fernando II 286, 456
Cortez, oficer hiszp. II 429
Coumbary Effendi III 229
Coyeguano, wódz arauk. II 438
Cranach Lucas I 99
Crosnier, naucz. w Coquimbo III 29
Cruz, gen. chil. III 49
Cruz, rodzina II 418
Cruz Guillermo I 6
Cuadros, uczeń autora III 16, 22
Culumil, kacyk arauk. II 491
Cunningham Richard III 84
Curimanque, kacyk II 434
Cuvier George I 126, 127, 194, 195; II 443, 444
Cycero III 190
Cyryl św. III 195
Czacki Włodzimierz, ks. kardynał III 184, 187, 188, 199, 201
Czajkowski Michał I 151; III 216
Czapska Fabianna z Obuchowiczów III 153
Czapski Adam Józef Erazm hr. Hutten III 153, 159, 160
Czapski Karol III 153
Czarniecki Stefan I 45; II 503
Czartoryscy I 12, 158, 169, 222
Czartoryska Anna z Sapiehów I 157, 164, 214
Czartoryski Adam I 15, 64, 86, 144—149, 151, 153, 154, 157, 159—165, 199, 201, 205, 206, 208, 212, 213, 215, 219; III 114, 115, 165
Czartoryski Władysław III 163—166
Czeczot Jan I 25, 26; III 113, 122, 123, 135, 144, 145, 147, 149
Czeczot Witold, ks. III 147, 148
Czetwertyński Janusz I 61—63, 67, 75, 77, 81, 98, 211; III 114
Czyński Jan I 111, 145, 174, 203

Dana, gen. chil. II 554
Darwin Charles Robert I 11; II 175
Dante Alighieri III 135
Danton Georges Jacques I 183
Darasz Wojciech I 161
Daubrée Gabriel Auguste I 197; III 101—103, 170, 171, 218
Davout Nicolas II 442
Dawid, król żyd. III 247—250, 275, 293, 295—298
Dąbrowski Henryk I 100, 103, 120, 145, 153, 159, 173

Dąbrowski Wacław III 209
Delaroche Hippolyte Paul II 14
Delano, kupiec II 415, 416
Delaunay Charles Eugène I 197, 220; III 101
Delavigne Casimir I 85
Delavigne German I 85
Dembiński Henryk I 73—75, 82, 86, 105, 144, 145, 149—151, 219, 222
Deotyma zob. Łuszczewska Jadwiga
Desains Quentin Paul III 173
Des Cloizeaux Alfred Louis Olivier III 170
Desormes Nicolas Clément I 195
Deumacan, kacyk arauk. II 491
Deville Henri Etienne Sainte Claire I 197
Dębicki Ludwik I 24, 98; III 113
Dębińska Marianna I 200
Diaz, mayordomo II 354, 367
Dickstein Samuel I 25
Diego, dyrektor kopalni II 169—173
Diego de Oro II 426
Diez de Hidalgo, Don Simon de Toledo II 323
Dimmel Marian I 39, 40
Dmochowski Henryk I 178
Dmuchowskie, siostrzenice autora III 139
Doboszyński, powstaniec styczniowy III 154
Domeyko Adam, brat autora I 53; III 141, 143, 149
Domeyko Aleksander, bratanek autora III 141, 143
Domeyko Hernan, ks., syn autora I 21, 28, 30, 33; III 60, 66, 67, 74, 76, 82, 104, 105, 119, 126, 139, 147, 154, 162, 174, 175, 183, 184, 186—188, 199, 200, 202, 304
Domeyko Hipolit, ojciec autora I 24, 25; III 64, 130, 142, 147, 213
Domeyko Hipolit, bratanek autora III 141, 142
Domeyko Ignacy, stryj autora I 25, 26, 43, 47, 49, 53—55, 95; II 491; III 29, 109, 154, 156
Domeyko Ignacy, bratanek autora III 155
Domeyko Józef, stryj autora I 25, 97; III 154
Domeyko Juan, wnuk autora I 30
Domeyko Kazimierz, syn autora I 28, 30; III 60, 66, 67, 74, 76, 82, 104, 105, 148, 154, 162, 163, 170, 186, 204
Domeyko Kazimierz, brat autora I 53; II 401; III 54, 64, 140—142
Domeyko Leon, bratanek i zięć autora I 7, 28, 53; III 64—67, 95, 99, 100, 104, 105, 140, 142, 148, 154, 156, 159, 168, 174, 186
Domeykowa Anna z Domeyków, córka autora I 28, 30, 53; III 53, 63—67, 95, 99, 100, 104, 105, 131, 140, 154, 156, 159, 163, 174, 186
Domeykowa Enriquéta z Sotomayorów, żona autora II 178, 226; III 46, 47, 54, 55, 57, 60, 64, 65, 76, 80, 131, 148
Domeykowa Idalia z Markiewiczów, bratowa autora I 53; III 54
Domeykowa Karolina z Ancutów, matka autora I 24, 25, 53, 98; II 521; III 64, 130, 140, 147, 149, 151, 152
Domeykowa Maria ze Śliźniów, żona bratanka autora III 141
Domeykowa Teofila z Wierzbowskich, 1° voto Miłaszewska, żona bratanka autora III 144, 148
Domeykówna Anna zob. Domeykowa Anna z Domeyków
Domeykówna Antonina zob. Jezierska Antonina
Domeykówna Celina, bratanica autora III 104, 105, 147
Domeykówna Maria zob. Wierzbowska Maria
Don Luis, administrator majątku II 365, 366
Don Pedro, adwokat chil. II 360
Donizetti Gaetano II 555
Donulew Paulo, kacyk arauk. II 491
Doria Andrea III 179
Doroszenko Piotr. I 203
de Drès, margrabia I 220
Drucki-Lubecki Franciszek Ksawery I 148; III 174
Duchińska Seweryna z Żochowskich, 1° voto Pruszakowa III 169
Dufrénoy Pierre Armand I 7, 8, 221; III 101, 102, 115
Dulong François Charles I 210
Dulong Pierre Louis I 192
Dumas Alexandre (syn) II 398

Dumas Jean Baptiste André I 192; III 102, 172
Duméril André Maria Constant I 194
Dunajewski Albin III 108, 111
Dunajewski Julian III 108
Dundes George II 322
Duński Edward I 169
Dupanloup Félix Antoine Philibert III 100
Dupin André Marie Jean Jacques I 125—127, 140, 179, 180, 207
Dupin François Pierre Charles I 125, 126
Dupin Simon Philippe I 125, 126
Dürer Albrecht I 99, 107; III 204
Dutkiewicz Józef I 140
Dwernicka Józefowa z domu Brock I 152
Dwernicki Józef I 77, 144, 145, 152, 159, 174, 175, 185, 187, 200, 201, 208, 210, 215, 216, 219, 225; II 358
Dybicz Iwan I 87, 235
Dybowski Benedykt III 121
Działyńska Izabela z Czartoryskich III 163, 174
Dzieduszycki Włodzimierz III 208
Dziewicki Kasper I 209
Dziewulski Klemens Eugeniusz III 127

Ebelmen Jacques Joseph I 197; III 101
Edhem Halil III 219
Edhem Pasza I 197; III 217—219, 229, 231, 232, 281—283, 300
Egaña Mariano II 289, 297, 298, 300—302
Elizondo Diego Antonio, biskup w Concepcion II 420
Elżbieta, królowa ang. II 14
Emery Jacques André I 198
Epaminondas II 156
Ercilla y Zuniga Alonso de I 18; II 414, 424, 426, 428—430, 432, 443, 450, 457, 463, 474, 480, 484, 491, 497, 507
Errázuris Zañartu Federico III 57, 58, 69
Espartero Baldomero I 142
Espic, kapitan II 270
Espinoza Juan Geronimo II 337
Espinoza, matka Juana II 337

Fabvier Charles Nicolas I 217
Falloux Alfred Frédéric Pierre I 180
Faucher Aleksandryna z Wołowskich III 174
Faucher Franciszek III 174
Faucher Léon III 174
Feijó Diego Antonio, ks. II 70
Feliński Zygmunt Szczęsny III 210
Ferdinand Philippe Louis Charles Henri, książę Orleanu I 215
Ferdynand IV, król Obojga Sycylii I 170
Ferdynand V Katolicki, król hiszp. III 244
Ferdynand VII, król hiszp. I 142; II 304
Ferrari Manuel de (Juan Carrera) I 29
Ferry Jules III 103, 259
Filip II, król hiszp. II 414; III 85
Filip IV, król hiszp. II 168
Fitz-James Eduard I 180
Flahaut de Billarderie Auguste Charles Joseph I 205
Fourier Charles I 167
Francesca de Braganza, księżniczka II 71
Franciszek I, ces. austr. I 123
Franciszek Józef I, ces. austr. III 107, 159, 162, 305
Francoeur Louis Benjamin I 191; II 294
François Ferdinand Philippe Louis Marie, książę Joinville II 70, 71, 94
Frank Józef III 135
Franklin Benjamin I 187
Fraterelli, prof. kolegium w Rzymie III 304
Freyre Ramon II 154, 182, 288, 299
Fryderyk II Wielki, król pruski I 92
Fryderyk III, ces. niem. III 162
Fryderyk IV, ces. niem. III 162
Fryderyk August I, król saski I 97; III 205
Fryderyk Krystian, elektor saski III 205
Fryderyk Wilhelm III, król pruski I 226

Gadon Lubomir I 105, 176, 200; III 164—166
Gaete Diego Ortiz de II 484
Gajewski, ks. III 216—218, 227, 231—233, 295, 299
Gallardo, dyr. górn. inż. II 273, 275, 276
Gallo, właśc. kopalni II 208, 209, 216, 240
Galofo, Murzyn II 464
Galvarino, wódz Araukanów II 430
Gałęzowski Jan I 44
Gałęzowski Seweryn I 44; III 167
Gamarra Agustin II 355, 548
Garcia, gubern. Osorno II 515

Garcia Huidobro (markiz de la Casa Real) II 289, 295
Garcia Ramon, bojownik hiszp. II 460
Garczyński Stefan, I 43, 53, 96, 98; II 414; III 115, 204
Garnier-Pagès Etienne Joseph Louis I 180, 181, 200
Gasztowtt Maurycy III 167
Gasztowtt Wacław III 164, 167, 169
Gautsch Paulus von Frankenthurn I 27
Gay Claude I 8; II 375, 518, 519
Gay-Lussac Louis Joseph I 126, 127, 190, 192, 193; III 19, 102
Gąsiorowska Zofia I 38, 39
Geoffroy Saint-Hilaire Etienne I 126
George (Dżordż), Murzyn II 37
Gérard Maurice Etienne I 171
Gerbert Olympe Philippe I 168
German Franciszek I 39
Gibbon Edward I 89
Giecołd Stefan I 207
Giedroyciowa (Giedrojciowa) Karolina z Burzymowskich I 158, 203
Giedroyciówna (Giedrojciówna) Łucja zob. Rautenstrauchowa Łucja
Giedroyć Józef I 63
Giedroyć Józef Stefan I 199
Giedroyć (Giedrojć) Romuald I 158
Giedroyć-Jurahowa Antonina z Radziwiłłów I 98; III 153
Giełgud Antoni I 62, 65—69, 71—74, 76—78, 80—82, 105; III 114, 115
Giełgud Jan I 75
Giełgud Michał I 62
Giełgudowa Eleonora z Tyszkiewiczów I 62
Girardin Emil I 180
Gnatowski Jan III 127
Gobelin Gilles III 170
Godlewski Mścisław III 127
Godoy Flores II 216
Godoy Juan II 216, 217, 224
Goethe Johann Wolfgang II 513; III 127, 135
Gołembiowski, komisarz z Cieszewy I 238, 239, 241
Gołuchowski Józef I 25
Gonta Iwan I 203
Gonzalo de Doblas D. II 83
Gordaszewski Franciszek I 212
Gordon, właśc. majątku II 24
Gorecka Maria z Mickiewiczów III 119, 120, 163
Gorecka Celina III 120
Gorecki Adam III 120
Gorecki Antoni I 98, 144, 146, 222
Gorecki Ludwik III 120
Gorecki Tadeusz III 119
Gorkowski Kanut III 169
Gotfryd de Bouillon III 239, 265, 280
Goyeneche Vicente Ovalle II 426, 434, 457
Goyenechea, właśc. kopalni II 217
Goyenechea, ród II 249
Grabowski Adam I 37, 38, 84
Grabowski, ojciec Adama I 37
Graham, kapitan ang. II 322
Graham Maria II 322
Gregorio, uczestnik wyprawy autora II 325
Gregorio, podróżny II 383—385
Grenade Louis de (Louis de Grenada) zob. Louis de Grenade
Grevy Jules III 187, 259
Grisi Giulietta I 214
Groddeck Gotfryd Ernest III 9, 135
Gronostajski Gerard I 63
Grudzińska Joanna, księżna łowicka I 46
Grzegorz, służący autora w Zapolu I 58, 59
Grzegorz XVI, papież I 169; II 300, 301
Grzymała Franciszek I 174
Guanulan, kacyk arauk. II 491
Guerrero, właśc. majątku II 251, 252, 254
Guevara José II 83
Guizot François Pierre I 179, 181
Gurowscy I 202, 210
Gurowski Adam I 145, 154—156, 161, 219
Guyton de Morveau Louis Bernard III 171

Habeneck François Antoine III 104
Hachette Jean Nicolas Pierre I 190, 191
Haidinger Wilhelm I 7; II 237; III 19
Hall Basil II 167, 176
Hall James II 167; III 103
Hanson, komendant portu Valdivia II 503
Harbut Juliusz Stanisław III 120
Hassoun Pierre, kardynał III 228
Haussman Georges Eugène III 199
Haüy Reue Just I 220

Helena św., cesarzowa III 254, 272, 276, 296, 297
Heltman Wiktor I 161
Henkiel Dionizy III 127
Henryk II, król franc. II 64
Henryk IV, król franc. I 119; II 318; III 203
Henryk VII, król ang. II 13, 14
Henryk VIII, król ang. II 14
Henryk Walezy, król polski I 109
Hernandez Juvenal I 29
Heyzman Udalryk III 135
Hieronim Bonaparte, król westfalski I 103
Hilario, kapucyn misjonarz II 506, 507, 510, 512—514
Hilzen Idzi I 158
Hiram, król Tyru III 239
Hlebowicz, szlachcic I 204
Hłuszniewicz Antoni I 185
Hoffman Karol I 157, 200; III 165
Hoffmanowa Klementyna z Tańskich I 157, 191, 200, 214
Holbein Hans I 99, 107; III 204
Hołowiński Ignacy III 245, 248, 257, 262, 288
Homer III 236
Horacy III 135
Huascar, brat Atahualpy II 153
Hube Józef, ks. I 169; III 181
Hube Michał I 159
Hudson Lowe II 549, 550
Hugo Victor Marie III 122, 202
Humboldt Alexander von I 7; II 48, 77, 137
Hurko Osip III 161
Hurkowa, żona Osipa III 161, 162

Ibrahim, basza I 150; III 248, 249
Ignacio, kacyk arauk. II 490
Ignacio, góral z Cumpeo III 37
Irarrazabal, rodzina II 289
Irarrazabal, minister II 298, 301
Irarrazabal de Borjas Francisco II 152, 155, 156, 159—162, 167, 174; III 11
Irarrazabal Undurraga Mercedes de, żona Franciszka II 160
Isakowicz Iząak Mikołaj III 209
Iwaszkiewisz Jarosław I 30
Izabela (Elżbieta św.), królowa Portugalii II 66
Izabela Kastylijska, królowa Kastylii III 244
Izabela II Maria Luiza, królowa hiszp. I 142; II 304, 457

J. B. O. zob. Ostrowski Józefat Bolesław
Jabłonowscy III 207
Jackson, kupiec I 113
Jakubowski Henryk I 161
Jan, służący w Zyburtowszczyźnie III 156
Jan II, król portug. II 18
Jan III Sobieski, król polski I 45, 173, 204; III 105, 120, 208
Jan Kazimierz, król polski I 166, 173, 199
Janocoana, Araukanin II 430
Janowski Jan Nepomucen I 154
Jański Bohdan I 169, 201; III 89
Januszkiewicz Eustachy I 99
Jaromilla, mieszkaniec Tuta II 516
Jelska Konstantowa z Korsaków III 109, 112
Jelski Konstanty III 109, 110, 112, 117, 121, 137
Jełowicki Aleksander I 98, 100, 160, 167, 169, 219, 222; III 37, 165
Jełowicki Edward I 99
Jełowicki Eustachy I 99
Jełowicki Teodor III 169
Jełowicki Wacław I 98
Jełowicki Wiktor III 37—41, 43, 45
Jenike Ludwik III 127
Jezierska Antonina z Domeyków, siostra autora III 149, 150, 152, 153
Jezierska Edwardowa z Jagminów III 147 150
Jezierska Jadwiga, siostrzenica autora III 151, 154
Jezierski Alfons, szwagier autora III 152
Jezierski Edward, siostrzeniec autora III 139, 147, 148, 150, 152
Jolanta, królowa neapolit. III 297
Jouy Victor Joseph Etienne I 127
Józefina, cesarzowa I 158
Jufante, ks. chil. III 202
Jullien Marc Anton I 184
Jundziłł Bonifacy I 25; III 115, 135
Jurahowa Antonina zob. Giedroyć-Jurahowa Antonina
Jussieu Adrien Laurent I 194
Jussieu Antoine I 194

Justynian I Wielki, cesarz bizant. III 221, 272, 280

Kajsiewicz Hieronim, ks. I 168, 169, 201; III 101
Kalinka Walerian III 208, 210
Kamieńska Adamina z Potockich III 163, 174
Kamieński Mikołaj III 163, 174
Kamiński Jan Nepomucen I 87
Kamiński Ludwik I 185
Kant Immanuel II 502
Kapetyngowie I 171
Karamzin Nikołaj III 195
Karnowicz Ewgeni Petrowicz III 120
Karol, przewodnik autora w Augustowskiem I 231
Karol II, król neapolit. III 297
Karol V, król hiszp. II 102, 286, 414, 435, 456, 459, 483
Karol X, król franc. I 110, 113, 123, 192
Karol XII, król szwedzki I 229, 230
Karol Albert, król Sardynii, Piemontu i Sabaudii I 143, 151, 165
Karol Wielki, cesarz III 203
Karpiński Franciszek I 97
Karski zob. Zaliwski Józef
Kartezjusz (Descartes) René III 30
Karwowski Jan Joachim I 199
Katarzynia II, ces. ros. I 230
Katarzyna Aragońska, królowa ang. II 14
Katarzyna Medici, królowa franc. I 113
Katon (Marcus Porcius Cato Censorinus) II 155
Katon (Marcus Porcius Cato Uticensis) II 155
Kazimierz Odnowiciel, król polski III 129
Kepler Johannes III 30
Kiekiernicki Piotr I 69
Kieniewiczowa Feliksowa (?) III 183
Kirkor Adam Honory III 135, 138
Klaczko Julian I 27
Klemens XII, papież III 305
Klementyna, księżna, córka Ludwika Filipa i Marii Amalii I 170
Kloss Ludwik, ks. III 209
Kniaziewicz Karol I 6, 120, 144, 145, 148, 149, 214, 216, 222; III 164, 165
Kobylińscy III 153
Kochanowski Jan III 166
Koczubej, hrabina III 161, 162
Kolumb Krzysztof I 17, 32; II 18, 286; III 98, 179
Konarski Szymon I 46, 207; III 142
Kondeusz (Condé) zob. Ludwik II de Bourbon
Konopka Julian III 110
Konopka Ksawery III 112
Konopka Roman III 110
Konopkowie, właśc. Modlnicy III 110, 206
Konrad, fotograf w Warszawie III 125
Konstanty, w. ks. I 46, 55, 61, 92, 98, 100, 155; III 120
Konstantyn Wielki, cesarz rzymski III 220, 254, 272, 280
Kontrym Kazimierz I 70, 71,
Kopernik Mikołaj I 95; III 30, 108
Korabiewicz Edmund I 36, 105
Korbutowa Zofia ze Śliźniów III 149
Korotyński Wincenty I 11, 12, 24, 40; III 122, 127, 128, 130, 131
Korowińska (pseud.) zob. Platerówna Emilia
Korsak Julian I 25; III 135
Korsakowie III 109
Korsakówna Klara zob. Chodźkowa Klara
Korytko I 218
Korytkowski Jan, ks. I 27
Kossakowscy III 162
Kossecki Ksawery I 229
Kościelski Ludwik I 88, 90
Kościuszko Tadeusz I 45, 159, 173, 184, 187, 203; II 322; III 109, 139, 165
Kowalewski Józef III 135
Kowalska Karolina z Wagnerów I 67
Kowalski Józef I 67
Kozakiewicz Stanisław I 26, 36, 46, 47, 52, 226, 227, 235
Koźmian Jan I 36, 37, 201
Koźmian Stanisław Egbert I 36, 37
Koźmianowa Zofia z Chłapowskich I 201
Köchlin, właśc. fabryk w Alzacji I 220, 221
Kramarczyk Karol I 40
Krasiński Adam Stanisław, biskup I 27; III 207
Krasiński Zygmunt I 146
Krassowski Józef I 48, 57
Kraszewski, prawnik, emigrant I 84, 91
Kraszewski Józef Ignacy I 7; III 203
Krępowiecki Tadeusz (Szymon) I 15, 111, 154, 156, 175, 202, 203, 212, 213

Krukowiecki Jan I 175
Krystyna, córka Ludwika Filipa i Marii Amalii I 170
Kublicki Adolf I 92, 94
Kuczyński Stefan III 107—110, 115, 135, 137
Kunatt Stanisław III 165
Kurek, podejrzany partyzant w Mereczu I 229
Kurpiński Karol I 85
Kuźniar Wiktor I 9

La Barra de, przedsiębiorca II 391, 399
Lablache Luigi I 214
Lachowicz Bronisław I 28
Lachowski Leonard II 406, 416
Lacordaire Jean Baptiste Henri I 211; II 513
Lascunza Manuel II 291
Ladré, poeta I 128
Lafayette Georges Washington I 181, 188, 209
Lafayette, żona Georgesa I 213
Lafayette Marie Joseph Paul I 113, 140, 171, 173—175, 178, 180, 181, 187—189, 199, 201, 202, 205, 208—210, 212, 213, 216—218; II 322
Lafayette Marie Adrienne I 189
Laffitte Jacques I 113, 138, 179, 210, 217
Lafit, przedsiębiorca I 155; II 9
Lafontaine, rządca majątku Pirca II 310
Lafuente, generał peruwiański II 355, 548
Lagorio Aleksander Ewgenewicz III 121
Lagrange Joseph Louis I 197; II 293, 443, 444
Lalande Joseph Jérôme I 197, 198
Lamartine Alphonce Marie Louis de Prat de I 180; III 44
Lambert, właśc. kopalni I 221 222; II 15, 16, 25, 67, 80, 99, 112, 137, 138, 144; III 95, 115
Lanconulla, kacyk II 521
Lannes Jean I 124
La Peña de, bojownik hiszp. II 426, 529
Laplace Pierre Simon I 197; II 293, 443, 444
La Rosa de, górnik II 238—240
Larrabure I 208
Larrain, margrabia II 365, 366
Larrain, syn margr., zięć Bulnesa II 365, 366
Larrain, mieszkanką Santiago II 305
Larrain Ganderillas Joaquin III 70
Larrain Rafael III 80
Las Heras II 310
Lascano, minister oświaty III 50
Laskowicz Władysław I 9, 28, 35, 44, 222; III 64, 100, 163
Lasteyrie du Saillant Adrien Jules I 188, 213
Lasteyrie du Saillant Charles Philibert I 173, 181
Lasteyrie, margrabina I 187, 213
La Torre de (hr. Toro), właśc. majątku II 237, 238, 361, 380, 381
Latour-Maubourg, margrabina I 187, 213
Lautaro, wódz Araukanów II 433—435, 450, 454, 458, 460, 467, 491, 496
Lebentun, kacyk II 434
Le Blanc, admirał II 92, 94
Ledóchowski Jan I 159, 216, 219
Ledóchowski Mieczysław, ks. kardynał III 183—185, 199, 201
Ledru-Rollin Alexandre Auguste I 164
Leibniz Gottfried Wilhelm III 30
Leighton, szwagierka autora III 65
Lelewel Jan Paweł I 202
Lelewel Joachim I 25, 111, 144, 145, 153—155, 159, 160, 169, 174, 176, 178, 184, 185, 202, 208, 227, 235; III 135
Lemaître Antoine Louis I 137
Lenartowicz Teofil III 202
Leocato, krewny Caupolicana II 458
Leon XIII, papież III 184—187, 199, 201
Leonard, fotograf w Warszawie III 125
Leoncjusz, sofista z Aten III 201
Leonidas, król Sparty II 155
Leopold I, król belg. I 110, 143, 170
Leopold Karol Fryderyk, wielki książę badeński I 99
Lepantre, aktor I 139
Lesseps Ferdinand Marie III 102
Leszczyński Stanisław zob. Stanisław Leszczyński, król polski
Levenhagen C. F., konsul pruski w Santiago III 54, 55
Lewicki Kazimierz III 124, 125, 132
Libri Carrucci della Sommaia Guglielmo Brutus I 143
Liévin de Hamme, franciszkanin III 241, 242, 248, 249, 252, 257, 258, 260—265,

272, 275, 277, 279, 280, 283, 285, 287—289, 291—293, 295, 297—299
Lincoya, bojownik arauk. II 429
Lisowska Anastazja zob. Roksolana
Lisowski, proboszcz w Rohatynie III 225
Lloyd E., przedsiębiorca III 233
Lobau-Mouton Georges hr. de I 171
Loga Adam, ks. I 55—57, 60, 62, 72, 73; III 114
Lorca (Lorka), kanonik w Concepcion II 449
Louis de Grenade III 245, 261
Louis-Philippe-Joseph (Philippe Égalité), książę Orleański I 171
Lozier, rektor szkoły w Santiago II 293, 443, 444
Lubomirska Łucja zob. Tyszkiewiczowa Łucja
Lubowicka, wdowa I 232—234, 252
Lucero, przewodnik II 385
Luco, rodzina chil. II 332
Lucrecia Doña, szwagierka autora III 80
Ludwik I św., król franc. III 239
Ludwik II de Bourbon, Condé, książę (Wielki Kondeusz) I 122
Ludwik XIV, król franc. I 122
Ludwik XVI, król franc. I 113, 119, 122 171, 188
Ludwik XVIII, król franc. I 127
Ludwik Filip, król franc. I 15, 104, 113, 119—121, 127, 128, 138, 140, 147, 152, 154, 162, 164, 170, 171, 179, 180, 183 188, 202, 206, 208, 210, 213, 220; II 70, 71, 195, 290; III 104, 137, 174,
Ludwika, córka króla Maksymiliana III 260
Ludwika, królowa belg. I 170
Lwowicz Józef Kalasanty, ks. I 26; III 130

Łagowski Piotr Ludomir I 98, 100, 185; II 251
Łączyńska Maria zob. Walewska Maria
Łepkowski Józef III 108, 137
Łowicka księżna zob. Grudzińska Joanna
Łoziński Teodor I 26; III 114
Łukasz, służący autora I 47, 58, 59, 79, 88; III 143
Łuszczewska Jadwiga (pseud. Deotyma) I 25; III 118, 119, 121—124, 128
Macaulay Thomas Babington III 159
Macchi, szambelan III 185
Macewicz Stanisław I 56, 61, 65—71, 73—75, 80, 95
Maciek w Dębowej I 237, 238
Mackiewiczówna Zofia zob. Odyńcowa Zofia
Macpherson James I 89
Mahomet (Muhammad, Muhammed), prorok muzułm. III 222
Mahomet II (Mehmed II Fatih), sułtan tur. III 225
Majer Józef I 12; III 106, 107, 135
Makowski Aleksander I 48
Maksymilian Józef, król bawarski III 260
Maksymilian Józef (pseud. Phantasus), książę baw. III 260
Malatesta Emma z Platerów III 183, 185
Malatesta Zygmunt hr. III 183, 185
Malewski Franciszek Hieronim III 112, 135
Malewski Szymon I 25; III 112, 113
Malinowski Lucjan III 137
Malinowski Mikołaj III 136
Malinowski Tomasz I 110, 161
Malinowski Władysław I 39
Małachowscy I 145
Małachowska Benigna z Wojczyków I 153
Małachowski Kazimierz I 144, 145, 153, 216
Mandiola, właśc. kopalni III 43
Mann Maurycy III 225, 265
Marat Jean Paul I 182, 183, 202
Maria Amalia, królowa franc. I 170
Maria Antonina, elekt. saska III 204
Maria Augusta Nepomucena, córka Fryderyka Augusta I 97; III 205
Maria II da Gloria, królowa portug. I 142, 188
Maria Józefa, królowa polska III 305
Maria Krystyna, królowa hiszp. I 142; II 304, 321
Maria Ludwika, ces. franc. I 123
Maria I Tudor, królowa ang. II 14
Marcin, gospodarz I 237, 238, 243
Marcinkowski Karol I 56—58, 62, 83, 203
Marin Ventura II 293
Markiewiczówna Idalia zob. Domeykowa Idalia
Maroto, hrabianka II 321

Maroto Rafal Don II 321
Marrast Armand I 138, 164, 180, 219
Mascart Eleuthère Elie Nicolaus III 173
Mascayano, właśc. hut i kopalni II 273
Mastaï Ferretti Giovanni M. zob. Pius IX, papież
Maślankiewicz Kazimierz I 40
Mata, górnik II 208
Matejko Jan I 27; III 208
Mateo Don, przewodnik autora w San José II 402—404
Mateo, kacyk II 491, 492, 494, 495, 517, 519
Matilda Doña, szwagierka autora III 80
Matteuci Carlo I 143
Matuszewicz Wincenty I 53, 62
Maubourg de zob. Latour-Maubourg, margrabina
Mazzini Giuseppe I 143, 164, 210, 211, 219
Medina Justo II 337
Mehmed-Ali, basza Egiptu I 120, 150
Melchers Paulus III 203
Melgarejo, gubernator m. Valparaiso II 317
Mendibury, rodzina II 418
Mendoza André Hurtado de II 435
Mendoza Antonio de II 435
Mendoza Diego Hurtado de II 429, 464
Mendoza Garcia Hurtado de II 429, 435, 462, 464, 480, 497
Mendoza Pedro de II 102
Meneses Juan Francisco II 301
Metody św. III 195
Metternich Klemens I 179
Michałowski Feliks I 28; III 164—166
Michałowski Juliusz I 57
Mickiewicz Adam I 5, 6, 8—10, 12—14, 25—27, 31, 33—35, 37, 39, 43, 46, 53, 60, 64, 67, 75, 96—100, 105, 106, 111, 114, 116, 121, 124, 125, 146, 156, 159, 167, 168, 203, 204, 222; II 7, 368, 400; III 44, 89, 100, 101, 106, 112—116, 119, 121, 123, 126, 129—132, 134, 135, 140, 146, 147, 149, 163—165, 167, 168, 174, 188, 204, 257
Mickiewicz Franciszek I 37
Mickiewicz Władysław I 39; III 100, 174
Mickiewiczowa Celina z Szymanowskich I 158, 222
Mickiewiczowa Maria z Malewskich, żona Władysława III 101, 163, 174
Mickiewiczówna Helena, córka Władysława III 101, 163
Mickiewiczówna Maria, córka Władysława III 101, 163
Mielżyński Ignacy III 114
Mielżyński Maciej III 114
Mielżyński Seweryn III 114
Mierosławski Ludwik I 145
Miguel Don, król portug. I 142
Mikołaj I, car ros. I 104
Mikulski Izydor I 62, 65, 84, 88, 90, 93
Mikulski Józef I 62, 88, 90, 93
Mikulski, krewny autora III 147
Miller, przedsiębiorca II 207, 208
Milton John II 129, 191
Miłkowski Zygmunt I 187
Mirabeau Honoré Gabriel de Riquetti II 70
Mirando, przewodnik II 364
Mochnacki Maurycy I 145, 155, 185
Modlińska Helena z Goreckich III 120, 163
Molé Louis Mathieu I 179
Molière (Jean Baptiste Poquelin) I 136
Molina Juan Ignacio II 291, 553
Monczyński, sekretarz kardynała III 183
Monge Gaspard I 190
Monroe Cortes, marques de la Pica II 155, 159, 161, 162, 480
Montalembert Charles I 164, 168, 180; III 165
Montalivet Marthe Camille Bachasson I 110
Montezuma (Moctezuma, Motecuhzoma) II 153, 154
Montgolfier Jacques Etienne I 195
Montgolfier Joseph Michel I 195
Montmorency, rodzina I 123
Montt, gubernator II 184
Montt, żona gubern. II 184
Montt Anibal, syn Manuela II 299, 302
Montt, córki Manuela II 299
Montt Manuel II 293, 298, 356, 454; III 13, 27—29, 38, 49, 50
Morales, komendant gwardii narodowej II 161
Morales Mercedes, żona komendanta II 161, 312, 313
Morawski Seweryn I 27; III 209
Morawski Teodor I 159; III 165
Morozewicz Józef I 39

Mosen Julius I 87
Mostowscy I 164
Mościcki Henryk I 12, 35, 65
Moury Alfred I 8
Mozart Wolfgang Amadeus I 97, 214
Munizaga, ojciec Miguela II 276
Munizaga Miguel, uczeń autora II 276, 413, 414, 424, 426, 452, 465, 466, 469, 486, 487, 489—491, 494, 495, 503, 525, 527, 541, 542, 550; III 20
Munizagowie, rodzina Miguela II 414; III 20
Muñoz Olfa Poblete I 29
Muraszko-Litwin III 166
Murawiew Michaił M. III 55
Müller, gen. ang. II 547

Nabielak Ludwik I 219
Nabuchodonozor (Nabukadnezar), król babiloński III 278
Nakwaska Anna z Krajewskich I 98
Nakwaski Franciszek I 98
Nakwaski Henryk I 98, 100, 145
Nanaleoy, kacyk arauk. II 491
Napoleon, lekarz w Valdivii II 499
Napoleon I, cesarz Francuzów I 43, 45, 48, 87, 93, 103, 118, 119, 121—123, 127, 130 138, 145, 148, 152, 163, 171, 192, 198, 206, 215, 216, 220; II 37, 256, 317, 362, 442, 549, 550, 551; III 44, 116, 171, 203, 243
Napoleon III, cesarz Francuzów III 199, 273, 283
Naranjo Nicolas III 18, 48, 49
Nelson Horatio II 12, 14
Neruda Pablo I 30
Newton Isaac II 14; III 30
Ney Michel II 442
Nicolas, uczeń autora II 228, 229
Nieciowa Elżbieta I 35
Niemcewicz Julian Ursyn I 6, 144, 145, 147, 148, 163, 200, 203—205, 214, 215, 222; III 164, 165
Niemczewski Zachariasz I 25, 126
Niemojowski Bonawentura I 144, 145, 149, 159, 199, 205,
Niepokojczycki Stanisław I 54
Niepokojczycki Wincenty I 54
Niesiołowska Zofia z Paców, 1° voto Potocka I 153
Niewęgłowski Henryk (Grach) I 218
Noailles Emmanuel Henri Victurnien de III 228
Noailles Marie Adrienne zob. Lafayette Marie Adrienne
Noailles z Lachmanów, 1° voto Szwejkowska III 228
Noailles Paul de III 228
Nolan, kapitan ang. II 370
Norberto, służący autora II 525
Nowikow Nikołaj Iwanowicz III 133
Nowodworski Michał I 27
Nowosilcow Nikołaj III 114

Obes Lucas José II 82
Oborski Ludwik I 202
Odyniec Antoni Edward I 7, 9, 11, 17, 25, 27, 36, 37, 43, 96, 98; II 414; III 64, 115, 117—119, 121, 123, 124, 126, 128, 129, 134—136, 139, 142, 144—147, 153, 154, 156, 159, 162, 174, 204
Odyńcowa Zofia z Mackiewiczów I 96; III 117
Ogińscy I 145
Ogińska Józefa z Ogińskich I 63
Ogińska Kunegunda z Platerów I 158
Ogiński Gabriel I 63
Ogiński Ignacy I 63
Ogiński Michał Kazimierz III 154
O'Higgins Ambrosio II 154, 514, 515, 530
O'Higgins Bernardo II 154, 288, 299, 323, 363, 530, 531, 554
Okińczycowa Józefa z Zaleskich II 164
Olendzki Władysław III 127
Olmos, bojownik hiszp. II 434
Olszewski Karol III 137
d'Orbigny Alcides I 7
Ordon Juliusz Konstanty I 159
O'Reilly, kapitan na okręcie „Spider" II 80
Oribe Manuel II 87
Orpiszewski Ludwik I 98
Orrego José Manuel II 509; III 51
Ortiz Alonzo de II 514
Ortiz José Santos II 117, 124
Ortuzar José Manuel II 289
Osjan (Ossian) I 89
Osman Nuri Basza Chądżi III 216
Osorio Diego II 429
Osorio (Ossorio), gen. hiszp. II 278
Osorio, uczeń autora III 16, 22
Osorno, dowódca hiszp. II 363

Ossa, rodzina II 301
Ossa, właśc. kopalni srebra II 217
Ostaszewska, uczennica warszawska III 132
Ostrowski Aleksander III 121
Ostrowski Antoni Jan I 145, 174, 175, 200, 201, 216
Ostrowski Józefat Bolesław I 156, 185, 203
Oubril Paweł III 54, 55
Ovalle, mieszkanka Santiago II 305

Pac Ludwik I 48, 152, 153, 206, 214; III 235
Pacifico, franciszkanin II 452, 454, 459, 460, 462, 523
Pacowie I 145
Pacówna Ludwika zob. Sapiehowa Ludwika
Pagès Emile (pseud.) zob. Bergeron Louis
Painemal, kacyk II 460, 522
Pajol Claude Pierre I 171
Palimachu, kacyk II 514
Pallas Peter Simon II 233, 234
Palmerston Henry John Temple I 164
Palmidos, sekretarz junty górn. II 409
Paprocki Kazimierz I 211, 212
Parkinson, agent ... II 29
Parocchi Lucido Maria III 201, 304
Parry William Edward II 38, 51
Pasierbski Platon I 150
Paskiewicz Iwan III 120
Pasquier Etienne Denis I 130, 131
Pastene Juan Bautista II 415
Pasteur Louis III 102
Patricio Don, gospodarz w Cauquenes II 380, 382, 393
Payen Anselme I 195; III 103
Paynean, kacyk arauk. II 491
Pecci Gioachino hr. zob. Leon XIII, papież
Pedro I l'Alcantara, cesarz braz. I 142 150, 188; II 63, 69, 71
Pedro II d'Alcantara II 63, 70, 75; III 91
Pelikan Wacław III 113
Pelski W. I 25, 39
Peña, przewodnik i tłumacz autora w Tucapelu II 444, 452
Pepe Don, przyjaciel autora (kum) III 214
Peralta, bracia oślarze II 217—219
Peralta, żona młodszego Peralty II 218
Perez Hernan II 429, 484
Pérez José Joaquin III 55, 61
Pernolet, kolega autora ze Szkoły Górniczej w Paryżu I 197
Perrot, nauczyciel w Santiago II 293
Pertek Jerzy I 35
Petit Frédéric I 197
Philippi Bernhard II 501; III 38
Philippi Rudolf Amandus II 234
Philippon Charles I 139, 140, 171
Piasecki Kazimierz I 26; III 136
Piczuguala, kacyk arauk. II 491
Pietkiewicz Antoni (pseud. Adam Pług) III 122, 126, 162
Pietkiewicz Walerian I 178, 179; III 122, 126
Pigault-Lebrune Charles Antoine (Pigault de l'Epiney) II 284
Pincheira Pablo II 301, 383, 401 451, 453, 532
Pindar, liryk grecki III 135
Pino, kacyk Pehuenczów II 535
Pinoleu, kacyk arauk. II 454
Pinto Anibal II 299; III 66, 69, 75
Pinto Francisco Antonio II 154, 225, 288, 296, 298—300, 302, 303, 309, 354, 356, 357, 361, 365, 443; III 27, 29, 38, 39
Pinto Henriqueta II 296, 303
Piotr I Wielki, car ros. I 204, 229
Piotr III, król arag. II 66
Pissis Pierre Joseph II 270
Pius VI, papież III 194
Pius IX, papież III 194
Pizarro Francisco II 153, 234, 548
Pizarrowie II 424, 456
Plater Cezary Augustyn I 64, 68, 167, 176; III 165
Plater Gabriel I 158
Plater Ludwik I 144, 158, 176
Plater Stanisław Kostka III 183, 185
Plater Władysław Ewaryst I 64, 213
Platerowa Apolinara z Żabów I 167
Platerowa Maria z Brzostowskich, 1° voto Hilzenowa I 158
Platerowa Maria Teresa z hr. Borchów III 183
Platerowie I 64, 145, 163, 164, 176, 216, 222

Platerówna Emilia (pseud. Korowińska) I 64, 65, 67, 69, 70, 74, 75; III 114
Platerówna Kunegunda zob. Ogińska Kunegunda
Plebański Jan Kazimierz III 127
Plotzer, komendant I 67
Pług Adam (pseud.) zob. Pietkiewicz Antoni
Płużański Ignacy I 154
Pociejowie I 145
Pohl Justyn I 36, 86
Poirier, poeta I 128
Poisson Siméon Denis I 126, 191
Pol Wincenty I 36, 98; III 115
Polak Jan III 213
Poliński Michał Pełka I 191
Polkowski Ignacy III 108, 137, 305
Poniatowski Józef I 103, 120, 203; III 114, 205
Poniatowski Kazimierz III 149
Poniatowski Stanisław III 149
Ponte Lorenzo da I 214
Popiel Paweł III 111, 112, 117, 119
Popiel Teofil Wincenty III 119, 121, 123
Portales Diego José Victorio II 139, 154, 202, 268, 289, 295, 300, 323
Postępski (Postempski) Paweł III 200
Postępski Roman III 200
Potoccy I 145, 164, 212
Potocka Anna z Działyńskich III 112
Potocka Katarzyna z Branickich III 206
Potocka Klaudyna z Działyńskich I 97, 98, 156, 157
Potocka Róża z Potockich III 206
Potocka Zofia zob. Niesiołowska Zofia
Potocki Adam III 206
Potocki Bernard I 97
Potocki Władysław III 206
Potter Louis I 221
Pouillet Claude Servais Mathias I 192, 193; III 137, 173
Pozzo di Borgo Karol Andrzej I 205
Pöppig Eduard Friedrich II 175, 532, 539; III 20
Pradt Dominik Dufour I 148, 205
Prądzyński Ignacy I 65
Prévost Louis Constant I 194, 196
Prieto Joaquin II 154, 198, 199, 297, 300—302, 414, 422
Protasewicz, koniuszy w Ostrówkach III 142
Przecławski Leon I 48, 178, 234, 251
Przeździecka Maria z Tyzenhausów III 121
Przeździecki Aleksander III 121
Przeździecki Józef Janusz I 61, 62, 77, 81, 84, 86
Przeździecki Konstanty III 121
Ptolomeusz I 21
Puciata, dzierżawca Mira III 145
Puciatowie III 147
Puciatówna Anna III 148
Pułaski Kazimierz Aleksander I 145, 154, 203, 208, 213, 218
Puran, bojownik arauk. II 463
Pusłowska Julia z Druckich Lubeckich III 174
Pusłowska Maria ze Scipionów del Campo III 174
Pusz, karczmarz I 36, 85, 87
Puszet Filip I 49
Puszet Jan Kasper I 36, 49, 243
Puszetowa Anna ze Strzemboszów I 49
Puttkamerowa Maria z Wereszczaków I 26, 54, 55; III 130, 131, 149, 150

Quélen Hyacinthe Louis de I 121, 211
Quintano, właśc. kopalni II 312, 313
Quiroga Juan Facundo II 117, 480
Quiroga Rodrigo de II 448

Radziwiłł Dominik Ignacy III 183, 185
Radziwiłł Karol Stanisław II 213, 214, 380; III 154
Radziwiłł Konstanty III 154
Radziwiłł Konstanty Mikołaj III 183
Radziwiłł Maciej Józef III 144, 147, 153, 183, 185
Radziwiłł Michał Kazimierz II 213
Radziwiłł Mikołaj Czarny III 154
Radziwiłł Mikołaj Krzysztof („Sierotka") III 154
Radziwiłłowa Dolores Maria z domu d'Agramonte, 1° voto Fernandès III 183, 185
Radziwiłłowa Elżbieta z Chodkiewiczów III 153
Radziwiłłowa Maria z domu Castellane III 161
Radziwiłłowa Maria Jadwiga z Krasińskich III 183

Radziwiłłowa Zofia Fryderyka z domu von Thurn und Taxis I 204
Radziwiłłowie I 204; II 208; III 143, 147
Radziwiłłówna Franciszka zob. Sołtanowa Franciszka
Rafael (Raffaello Santi) I 97
Rafał, ks. zmartwychwstaniec III 232, 235, 240—242, 252, 253, 260, 268, 270, 271, 275, 277, 283—285, 287, 295, 299, 300, 303
Ramorino Girolamo I 77, 96, 151, 159, 202, 210, 211, 213
Ramzes II, władca Egiptu I 120
Raszanowiczówna Maria I 65; III 114
Rauch Christian III 162
Rautenstrauch Józef I 158
Rautenstrauchowa Łucja z Giedroyciów I 158, 214
Rdułtowscy III 153
Redoma, indyjska kobieta II 499
Regnault Henri Victor III 101
Rego, naczelnik miasta Bahia II 56, 57
Reiset Jules de III 172
Reiset de, żona poprzedniego III 171, 172
Rengo, wódz Araukanów II 426, 430, 491, 496
Reszka Ignacy II 208
Rettel Leonard (pseud. Jan Zamostowski) I 8; III 20, 163
Reynoso Alonso II 429, 457, 462—464
Rębalińska, mieszkanka Warszawy III 162
Rittner Edward III 209
Rivera, rodzina II 418
Rivera José Fructuoso II 83, 87, 431
Robert d'Anjou, król neopolit. III 297
Robespierre Maximilien Fançois Marie Isidore de I 183, 184, 202
Roch, ks. I 137
Rohanowie I 123
Rojas, właśc. kopalni II 330
Roksolana, żona Solimana II Wspaniałego III 225
Roland Franciszek I 73—75, 80—82, 86, 93
Romanowie, ród I 166
Roniulo, kapucyn misjonarzy II 507, 511
Ronke, nadleśniczy dowódca powstańców I 57
Rosas Juan Manuel Ortiz de II 96, 97, 106, 107, 117, 118, 182, 310, 408
Ross, wiceadmirał ang. II 317
Roth, Francuz, gen. w służbie ros. I 226
Rouget de l'Isle Claude Joseph I 115
Rousseau Jean Jacques I 125; II 293
Rows, dyplomata ang. II 461
Römerowa Maria I 29
Różycki Karol I 8, 219; III 164
Rubens Peter Paul I 107
Rubini Giovanni Battista I 214
Rudolf II Habsburg, ces. niem. II 414
Rusteyko Józef III 164
Ruszkiewicz Kazimierz III 119, 121, 128
Rüdiger Fiodor I 226
Rybiński Maciej I 37
Ryszard Lwie Serce, król ang. III 226

Sabino, lekarz II 56, 57
Sadyk Mehmed zob. Czajkowski Michał
Safona (Safo) III 234
Saint-Simon Claude Henri I 167
Sainte-Claire Deville Charles III 102
Sainte-Claire Deville Henri Etienne I 7; III 101, 102
Salas José Hipolite, biskup III 74
Saldanha João Carlos I 142
Salomon, król żyd. III 239, 248, 278, 296,
Salverte Anne Joseph Euzèbe I 209
Sanchez, gen. hiszp. II 453, 481
Sanders (pseud.) zob. Dmochowski Henryk
Sandovola, przewodnik autora II 186
Saniewski Feliks I 174
San Martin Juan José II 128, 154, 278, 288, 299, 310, 323
Santa Cruz Andres II 99, 106, 297, 301, 355, 358, 531, 547—551
Santa Cruz, żona Andresa II 550
Santa Cruz Oskar II 106
Santa Maria Domingo III 72, 73, 76, 80
Sapieha Franciszek Ksawery I 153
Sapieha Leon I 212
Sapiehowa Ludwika z Paców I 153
Sapiehowie I 145, 164, 204; II 208
Sapieżanka Anna zob. Czartoryska Anna
Sarmiento de Gamboa Pierre III 85
Satibanies, przewodnik w Kordylierach II 375
Sauvage François Clément III 101
Schiller Friedrich III 135
Schleiermacher Friedrich Ernest Daniel II 502
Schön, major w powstaniu listop. I 49

Schuchhart, chemik III 205, 213
Schützenberger Paul III 172
Scipion del Campo Józef III 174
Scipionowa Teresa z Druckich Lubeckich III 174
Sebastiani Horace François I 140, 181
Secchi Angelo III 230
Ségni Rinaldi hr. zob. Aleksander IV, papież
Semenenko Piotr I 168, 169, 201; III 101, 181, 183—188, 199, 202, 205, 207—209, 211, 232, 234—236, 240, 241, 245, 247, 252, 253, 256, 260, 264, 268, 269, 272, 283—285, 295, 299—301, 303
Siemaszko Józef I 112
Siemieński Jan, ks. I 14, 99; III 101
Siemiradzki Henryk III 110
Siemiradzki Józef I 7, 24
Sienkiewicz Henryk III 119
Sienkiewicz Karol I 85; III 165
Sierawski Julian I 159, 160, 185
Sievers Jakub I 230
Skarbek Fryderyk Florian I 229; III 121
Skarbek Henryk Stanisław Leon III 121
Skarga Piotr I 92; II 413
Skórzyński Szymon, ks. I 173, 199
Skrzynecki Jan I 45, 47, 55, 85, 154, 155, 212, 219, 227; III 169
Skrzyńska, mniszka III 181
Skulski Stefan I 81; III 115
Słowacki Euzebiusz III 135
Słowacki Juliusz I 15, 146, 148; III 135
Słubicki Wincenty I 99
Smithson James III 59
Smolka Franciszek III 209
Sobańscy I 145
Sobieski Jan zob. Jan III Sobieski, król polski
Sobolewski Adam I 83, 85
Solar Francisco de Paulo III 67, 74
Soliman Wielki, sułtan tur. III 224, 233
Soliman II Wspaniały, sułtan tur. III 225
Solor, rodzina II 301
Sołtan Adam I 62, 65, 75, 82, 204; III 156
Sołtan Stanisław, syn Stanisława I 65
Sołtan Stanisław marsz. nadw. lit. I 62; III 156
Sołtanowa Franciszka z Radziwiłłów I 62
Sołtanowie I 145
Sołtyk Roman I 215, 216, 219
Sołtykowie I 145
Sotomayor Alonzo II 460
Sotomayor de la Cruz Juan, teść autora III 46, 148
Sotomayor, N. Guzman de los Montes, teściowa autora III 46
Sotomayor Rafael III 51
Soult Nicolas Jean I 171, 205
Stanisław św., biskup III 108
Stanisław August, król polski I 97; III 108, 120, 149
Stanisław Leszczyński, król polski I 109, 204
Stawiarski Franciszek I 56, 65, 69
Stefan Batory, król polski I 45, 204; III 305
Straszewicz Józef I 75
Strzemboszówna Anna zob. Puszetowa Anna
Stuart Dudley I 164, 218
Subercaseaux, lekarz II 198
Subercaseaux z domu de la Sierra, żona lekarza II 198
Subercaseaux z domu de la Torre, żona Wincentego II 198
Subercaseaux Vicente, syn lekarza II 198, 199, 201, 207, 210, 211, 214, 218, 228, 238, 285, 289, 309, 401; III 40, 42
Sułczewski zob. Słubicki Wincenty
Sułkowski Antoni Paweł I 93
Supiński Józef I 27
Suworin Aleksiej Sergiejewicz III 133, 134
Suworow Aleksander III 154
Szarkowski, dowódca strzelców w powstaniu listop. I 243, 247—249, 251
Szekspir (Shakespeare) William II 8, 14; III 122, 135
Szeliga dr (pseud.) zob. Bieliński Józef
Szemioth Franciszek I 150
Sznajde Franciszek I 160, 211
Szokalski Wiktor Feliks I 27; III 118, 128
Szöl (Szel), emigrant polski I 200, 201
Szpek Edward I 207
Sztolcman Jan III 121
Szujski Józef III 107
Szwejkowski dr, lekarz emigrant III 163, 169
Szwejkowski Leon III 228
Szymanowski Józef I 73, 74, 80, 81

Ślizień Jan III 148
Ślizień Lucjan III 148
Ślizień Otto III 146, 149
Śliźniowa Aniela z Mackiewiczów III 148
Śliźniowie III 153
Śliźniówna Józefa zob. Wierzbowska Józefa, 1° voto Domeykowa Adamowa
Śliźniówna Maria zob. Domeykowa Maria
Ślósarski Antoni III 127
Śniadecki Jan I 25, 126; III 115, 135
Śniadecki Jędrzej I 25, 126, 192; III 115, 129, 132, 135
Świętorzecka Brygida zob. Zanowa Brygida
Świętosławski Zenon I 200

Taczanowski Władysław I 27; III 120
Tagle, administrator majątku w Canteras II 543, 544
Talcaguano, dowódca arauk. II 438
Talleyrand-Périgord Charles Maurice I 205
Tamburini Antonio I 214
Tankred, książę Sycylii III 272
Tańska Marianna z Czempińskich I 157
Tański Ignacy I 157
Tarnowska Elżbieta III 106
Tarnowska Jadwiga III 106
Tarnowska Stanisławowa z Branickich III 106
Tarnowski Stanisław I 22, 27, 28; III 106, 107, 121
Tasso Torquato I 185
Teodorka, służąca II 405
Teodozjusz II, cesarz III 201
Teresa św., patronka Hiszpanii I 10, 44
Teresa Krystyna Maria, cesarzowa III 94
Thénard Louis Jacques I 127, 190—192; III 172
Thiers Adolphe I 141, 172, 179—181, 215; II 549
Thomson James II 43
Ticanhueno, dowódca arauk. II 433
Tidwitz, komendant pruski I 87
Tocornal Joaquin II 154, 296—298, 300—303
Tocornal Manuel Antonio III 30, 38, 39, 43, 56, 57, 69
Tomasz Becket św. I 9
Tomaszewski, szlachcic I 254
Tomaszewski Józef Bończa I 160
Tongollmo (Ongolmo), Indianin II 463
Torres Diego II 206
Torrico Juan Crisóstomo II 548
Travies de Villers Charles Joseph I 140
Tretiak Józef I 5, 6, 13, 35—37, 39
Trick Wilhelm II 501, 502
Trivulzio zob. Belgiojoso Krystyna
Troncoso, rodzina III 23
Trost Louis Joseph III 173
Tsakiriadi Athanase III 219
Tucapel, wódz Araukanów II 426, 429, 450, 464
Tureniusz (Turenne Henryk de Latour d'Auvergne) I 122
Turkowski Tadeusz I 40
Turski Ksawery III 156, 174
Twardowski Józef III 113
Tycjan (Tiziano Vecelli) I 97
Tyszkiewicz Jerzy I 5
Tyszkiewicz Tadeusz I 70, 73
Tyszkiewicz Wincenty I 55, 57
Tyszkiewiczowa Łucja z Lubomirskich I 55
Tyszkiewiczówna Eleonora zob. Giełgudowa Eleonora

Ucracan, kacyk II 491
Umiński Jan Nepomucen I 159, 185
Urban I, papież III 194
Ure Andrew II 257
Uriasz, dowódca wojsk króla Dawida III 296
Urquiza Justo José II 96

Valdivia Pedro de II 286, 287, 304, 415, 424—427, 429, 432—434, 456—459, 480, 499, 514, 523, 526
Valdivieso, właśc. majątku II 359
Valdivieso y Zanartu Rafael Valentin III 45
Van del Hel, nauczyciel II 318, 320
Varas Antonio III 28—31, 38, 39, 50, 51, 55, 57, 58, 61, 66, 67, 70, 72—74
Vasconcellos Zacarias de Goes y II 70, 85
Vasquez Mateo II 258, 260, 261
Velasco José Miguel II 355
Velloso José II 57
Verdugo José Agustin III 48
Vergara Eugenio III 73—75
Vernet, aktor franc. I 139

Veuillot Louis François III 61
Vial, pułkownik franc. II 547, 549—551
Vial Santelices (Augustin) II 288
Vicuña, rodzina II 323
Vicuña Francisco Ramón II 288, 290, 323, 358
Vicuña, syn Franciszka II 323, 324
Vicuña Manuel II 301, 409; III 45
Viennet Jean Pons Guillaume I 127
Villagra Francisco de I 432—435, 499, 514
Villagra Pedro de I 434
Villegagnon Nicolas Durand II 64
Vivanco, generał II 297
Volney Constantin François de Chasseboeuf II 284
Voltaire zob. Wolter

Waga Antoni Stanisław III 163
Wagnerówna Karolina zob. Kowalska Karolina
Walewska Maria z Łączyńskich I 163
Walewski Aleksander I 163, 215; III 165
Wałecki Antoni III 127
Waszyngton (Washington) George I 148, 187; II 340; III 165
Ważyński Porfiry I 57
Weigiel Ferdynand III 111
Weill Georges I 129
Wereszczakowie III 130
Wereszczakówna Maryla zob. Puttkamerowa Maria
Wereszycki Henryk I 40
Werner Abraham Gottlob I 25, 97; III 155
Wernezan pan, kacyk arauk. II 491
Weyssenhoff Lucjan I 96; III 204
Węgierski Emilian I 201
Wielobłocki Ignacy I 62
Wierzbowska Jadwiga III 147
Wierzbowska Janowa z Magnuszewskich III 148
Wierzbowska Józefa ze Śliźniów, 1° voto Domeykowa Adamowa, bratowa autora I 53; III 144, 148
Wierzbowska Maria z Domeyków, siostra autora I 25, 53, 214; III 118, 144, 147—150
Wierzbowska Teofila zob. Domeykowa Teofila
Wierzbowski Antoni, szwagier autora III 140, 143—149, 151
Wierzbowski Jan, siostrzeniec autora III 147
Wierzbowskie, siostrzenice autora III 118
Wilhelm I, ces. niem. III 159, 162, 203
Wilson, kapitan I 207
Wincenty (Wicuś), służący autora I 58; III 143
Wirtemberska Maria Anna z Czartoryskich I 148, 157
Wiśniowski Tadeusz I 11
Witkowski Władysław III 101, 164, 169
Witwicki Stefan I 9, 10, 146, 167, 168, 222; III 89
Władysław III Warneńczyk, król polski III 211
Wojciech św. I 92; III 110, 206
Wojczyk Benigna zob. Małachowska Benigna
Wojtkiewicz Paweł I 110
Wolf, komendant fregaty II 317
Wolfrum Hermann I 209
Wolter (Voltaire) I 124, 125; II 214, 263, 284
Wołłowicz Michał I 48, 93, 176—178, 207, 235, 251
Wołowska Tekla I 158
Wołowski Franciszek I 158, 219
Worcell Stanisław Gabriel I 145, 156, 160, 208, 213, 218
Wrotnowski Feliks I 56, 92, 94—96; III 165, 204

Zabiełło Jan I 62
Zakrzewski Jan Kanty I 47
Zalescy I 219, 222
Zalescy z Litwy III 202
Zaleska Zofia z Rosengardtów III 164
Zaleski Bohdan I 8—10, 12, 44, 146, 160, 167, 187; III 64, 89, 100, 123, 129, 131, 134, 163—165, 169, 174, 175, 181
Zaleski Bronisław I 12
Zaleski Józef I 8—10, 187; III 164
Zaleski Konstanty I 54—56, 185
Zaleski Marcin I 70, 71
Zaliwska Józefowa I 189
Zaliwski Józef I 56, 110, 162, 169, 174, 176—179, 187, 206, 207
Załęska Eleonora z Buczyńskich III 139
Załęska Maria III 149, 150
Załęska z Ancutów, ciotka autora III 139
Załęska z Kościuszków III 139

Załęski, wuj autora III 139
Załęski Karol, brat cioteczny autora III 139
Załęski Witold III 124, 128
Załęskie, kanoniczki III 139, 162
Zamostowski Jan (pseud.) zob. Rettel Leonard
Zamoyscy I 145, 164
Zamoyska Maria Karolina de Bourbon III 183
Zamoyski Andrzej Przemysław hr. III 183, 185
Zamoyski August hr. III 162
Zamoyski August iun. III 162
Zamoyski Stanisław hr. III 183
Zamoyski Tomasz III 162
Zamoyski Władysław III 167
Zan Ignacy III 144, 145
Zan Tomasz I 25, 26, 39; III 82, 112, 113, 122, 123, 135, 144, 145, 147, 149
Zanartu, b. urzędnik poselstwa II 420
Zanowa Brygida z Świętorzeckich III 145
Zawadzka Teofila z Radziwiłłów III 153
Zawadzki Piotr Stanisław Wacław III 153, 154
Zawisza Artur I 178, 207
Zejszner Ludwik III 46
Znatowicz Bronisław III 128
Zuber Rudolf I 7
Zumalacárreguy Tomaso II 321
Zuniga (Lwie Serce), komisarz rządowy w Tucapelu II 450—452, 454, 460—462, 465—470, 489, 490
Zuniga Manuel II 461, 462, 474, 486, 488—491, 493, 494, 503, 516—518, 521—523, 531, 532
Zwierkowski Walenty I 160
Zyblikiewicz Mikołaj III 208
Zygmunt III, król polski I 45; III 305

Żarczyński Amancjusz Bohdan I 99, 100
Żółkiewski Stefan I 45
Żuliński Józef I 12

INDEKS MIEJSCOWOŚCI

Abukir II 9
Achiras II 115, 116, 126
Adrianopol III 213, 232
Aleksandria I 150
Alençon I 196
Algarrovito (kopalnia) II 235
Almaden II 256, 257
Amienś II 9
Amons (Emaus) III 249
Ancud (San Carlos de Chiloé) III 67, 74
Andacollo I 35; II 207, 259, 335—337, 345, 349, 395
Angers I 159
Angol II 460, 486
Antofagasta II 234
Antuco II 236, 531, 537, 539, 543
Arauco II 186, 287, 436, 438, 440, 442—444, 448, 450, 457, 524
Archangielsk III 207
Areco II 125
Arequipa II 365
Arequito II 126
Arica II 356, 548
Arozuello de en Medio (Arroyo de en Medio) II 107, 125
Arozuello de Ramallo (Arroyo de Ramallo) II 107, 125
Arqueros (kopalnia) II 169
Arrecife II 125
Arroyo San José II 112, 113, 126
Arroyo de Pavon II 107, 125
Ascheken I 83, 84, 86, 88, 92
Ateny III 201, 233
Augustów I 48, 49, 51, 66, 67, 69, 243, 245, 248
Austerlitz I 119
Avignon I 43, 222

Bagrationowsk I 93
Bahia II 37, 49, 53, 55—57, 70, 73, 75; III 92, 98
Balbek III 235
Balice III 183
Ballenar II 532
Bałakława II 369
Báquillas II 234
Baranowicze III 161
Barcelona III 183
Barraneas II 126
Barrasa II 333, 334
Bartniki III 148
Bayreuth I 99
Bejrut III 237
Bénaménil I 108
Berlin I 87, 94, 113, 205; II 460; III 54, 55, 121, 162, 203, 228, 232
Berno I 212
Besançon I 53, 56, 57, 110, 159, 202, 212
Betania III 285—287, 289, 295
Betlejem III 250, 251, 268, 270, 275, 283
Białowieża I 65, 227, 248
Białystok III 125
Bielica I 55; II 120
Bochnia III 207
Bolonia I 143; II 291; III 180
Bonne-Fontaine I 6, 220, 221
Boracin III 147
Bordeaux II 69, 198; III 98, 99, 126
Boroa II 517, 522
Borodino II 549
Bota-Fogo II 64, 68, 73; III 90
Boulogne II 9, 34, 38, 146
Bourges I 63, 137, 150, 159, 196
Braniewo III 154
Brindisi III 239
Brodnica I 37
Bruksela I 208, 213; II 106
Brześć nad Bugiem II 120; III 140
Buenos Aires I 15, 16; II 34, 37, 80—83, 92—96, 99, 100, 102, 104, 105, 107, 109, 111, 112, 114, 117, 118, 120, 125, 127, 128, 145, 146, 195, 247, 337; III 81, 87, 115
Bukareszt III 211

Caballo Muerto II 402, 403
Caldera II 231, 233
Canada de Escobar II 125
Canada de La Cruz II 125
Canada de Lucas II 113, 126
Canada de Rocha II 102, 105, 125
Cancha Rayada II 289
Candelaria m. II 126
Candelaria (kopalnia) II 224—226; III 39, 41, 43
Cañete II 426, 435, 448, 463, 465, 486
Canteras II 530, 531, 541—543, 554
Canterbury II 9
Caracas III 52
Carballo II 104, 125
Carmagnola I 128
Carolina II 116
Carrisal (miasto, kopalnie miedzi) II 184, 186, 188, 191, 215, 219
Carskie Sioło zob. Puszkin
Casablanca II 356
Casuto II 328, 332, 333
Catapirco II 323
Catemo II 273
Cauquenes I 186, 364, 365, 367, 372, 380
Cerillo del Rosalio II 107, 108, 126
Cerro Blanco (kopalnia) II 216, 238
Cerro de los Amayes (kopalnia) II 403
Chacabuco II 278
Chacras de Ayala II 105, 106, 125
Châlons-sur-Marne I 105, 106, 110, 111, 113, 114, 116
Chamunate II 209, 210
Chañaral II 180
Chañaral Bajo II 240
Chañarcillo II 196, 208, 214—217, 223—225, 227, 228, 231, 235, 236; II 12, 40, 47—49, 211
Chateauroux I 159
Cherburg I 197
Chillán II 420, 441, 452, 454, 500, 528, 545—547, 549, 552
Cholchol II 522
Choy-Choy-Malin II 537
Chucul II 114, 126
Cichowo I 233
Cieszewo I 238
Cisowo I 233, 242, 244, 245, 252, 253
Cobija II 233
Cocalan II 267
Cogoti II 142, 143, 145, 261
Coligny II 64
Colina II 283
Colla II 380, 381
Colorado II 242
Combarbala II 258; III 13
Concepcion II 286, 291, 300, 411, 414, 417, 419, 421—423, 425, 433, 441, 451, 453, 461, 479, 488, 496, 499, 512, 515, 524—528, 538, 546, 552; III 74
Conchali II 332
Concon II 321
Constitucion II 552
Copiapó I 7, 29; II 174, 182, 184, 186, 192, 194—197, 204, 207, 209, 215—219, 231—234, 237, 250, 277, 287, 371, 435, 443, 500; III 12, 17, 18, 40—42
Coquimbo (La Serena) I 6, 9, 10, 16, 19, 24, 31, 221; II 8, 60, 118, 140, 144—147, 149, 150, 155, 167, 169, 174—176, 180, 182, 194, 201, 206, 207, 209, 217, 241, 251, 261, 275, 276, 281, 288, 297, 309, 314, 321, 325, 328, 333, 334, 340, 341, 345, 349, 401, 402, 410, 412, 414, 421, 435, 446, 453, 500, 502, 525, 549, 555; III 7—9, 12, 15—18, 20—23, 27, 29, 49, 115, 129, 136, 137
Cordoba II 109, 112, 114, 117, 118, 120
Corocorto II 121, 127
Coronel II 431, 493
Corral II 502
Cruces II 498, 516
Cudico II 522
Cuesta de Soto (kopalnia) II 516
Cumpeo III 32, 33, 37
Cusco II 235, 448, 458
Custoza I 151
Czerniowce III 210
Częstochowa II 336; III 123, 299

Damaszek III 235, 237, 289, 295
Dąbrowa I 231, 254
Dee I 208
Desaguadero II 119, 127
Descubridora (kopalnia) II 216, 217, 219, 227—229; III 47—49
Desmochados II 108, 126
Destacado II 368, 371, 380
Devonport II 15
Dębe Wielkie (Dembe Wielkie) I 45, 65, 231, 236
Dębowa (Dębowo) I 48, 233, 242, 243, 245, 246

Dołhinów III 130
Dołmatowszczyzna I 53, 214; III 143—147, 159
Dombasle I 108
Doña Ines II 234
Dormida II 121, 127
Dorpat III 121, 124
Dover II 9, 34
Drezno I 36, 37, 43, 94—98, 109, 156, 168, 178, 254; II 414; III 115, 204
Drohobyl III 154
Druckowszczyzna III 149
Druskieniki III 145
Duchowola zob. Suchowola
Dusiaty I 64

Edynburg (Edinburgh) II 257
Efez (Ajasoluk) III 221
Ejszyszki I 55, 60
Elbląg I 37
El Bronce (kopalnia) II 268
El Cobre (kopalnia) II 233, 269
El Delirio (kopalnia) II 219
El Espejnelo (kopalnia) II 184
El Fuerte 241
Elgui (El Guy) III 17
El Rincon (kopalnia) II 184
El San José (kopalnia) II 219
Encantadas II 234
Epernay I 116
Epinay I 112
Esquina de la Guardia II 108, 126
Esquina de Medrano II 112, 126
Excheter II 9
Eylau (Iława Pruska) zob. Bagrationowsk

Falmouth II 9, 15, 34, 37, 60, 146
Fernambouc (Fernambuk, Pernambuco) zob. Recife
Fischhausen I 91—93
Florencja II 513; III 180, 202
Fontesuelas II 125
Frankfurt nad Menem I 96, 110, 111, 113
Frankfurt nad Odrą I 94—96
Frauenburg zob. Frombork
Frayle Muerto II 107, 111, 120, 126
Freiberg I 25, 97; III 74, 155, 205
Freyrina II 182—184, 371
Friedland zob. Frydląd
Frombork I 95
Frydląd I 93

Fuerte Viejo II 532
Funchal II 19, 21, 25—27, 45

Gabrielowo I 63
Gaeta I 145
Gdańsk I 93, 94, 202, 234, 235
Genewa III 204
Genua III 87, 175, 179, 233
Gerdauen zob. Gierdawy
Gezer (Abuchucheh) III 248
Giełgudyszki I 65; III 114
Gierdawy I 93, 94
Giurgewo (Giurgiu) III 211
Glasgow II 257
Gomorra III 290
Goniądz I 232
Görlitz zob. Zgorzelec
Granica III 126
Grenoble I 122
Grignon I 185, 186
Grochów I 45, 62, 65, 69, 87, 99, 100, 145, 212
Grodno I 28, 36, 47, 48, 52, 62, 178, 226, 227, 230, 231
Gualilinga II 185
Gualqui II 420, 525
Guantelauque II 333
Guardia del Resguardo II 133
Guardia Vieja II 134, 136, 137
Guasco Alto II 182
Guayaquil II 355, 549

Hajnowszczyzna I 54, 57
Hambach I 111
Harwich I 207, 216
Hawr (Le Havre) I 207, 208, 216; II 318
Hebron (El Chalil) III 241
Heroica II 138
Hierro II 268
Hołdów (Ołdowo) I 55, 60
Hornillo II 236
Horodnica I 229
Horodziej III 140, 146, 147
Huasco (Guasco) II 174, 182, 183, 453,
Hubniki I 99

Iglesia II 143, 242
Illapel (Illa Pel) II 142, 143, 258, 261—263, 265, 270, 275, 333, 502; III 13
Iława Pruska zob. Bagrationowsk

Imilac II 233, 234
Imperial II 433, 434, 461, 469, 470, 474, 483, 484, 496, 517
Ingavi II 355
Innsbruk I 37; III 107, 303
Iquique II 548
Iszkołdź III 142

Jabłonna I 27
Jafa III 202, 232, 237, 238, 241, 243—245, 251, 289, 299, 300
Jarosław III 207, 210
Jastrzębna I 232, 242—244, 247, 248, 252, 254
Jasur III 246
Jebus zob. Jerozolima
Jerozolima (Jeruzalem) I 14, 20, 21, 43; III 161, 177, 182, 184, 187, 201, 219, 229, 232—234, 238, 241, 245, 247, 249, 251, 252, 257, 262, 264, 265, 267—269, 275, 281, 283—285, 287, 291—296, 299
Jeryho III 285, 287—290, 292, 294
Joinville II 70
Jorquera II 249, 250
Juan Godoy II 224, 236
Justynów I 64

Kair III 302
Kalnowo I 230, 231
Kalwaria I 229
Kamionka I 227
Kariath-el-Enab (Abugosz, Kariatiarum) III 249
Karlsruhe I 99
Kassel II 234
Kazań III 135
Kętrzyn I 93
Kiejdany I 47, 65, 68, 70, 71, 79
Kilimary II 145
Kirow III 207
Kłajpeda I 74, 78—80, 84, 86, 88, 90
Kolin III 111
Kolonia III 162, 163, 203
Kolumbia III 20
Koniah I 150
Konstantynopol I 20, 111, 151, 197; III 211—214, 217, 219, 220, 223, 225, 227—230, 232, 233, 235, 237, 282, 300
Kopenhaga II 503
Kosel zob. Koźle
Kowno I 65—71, 74, 79; II 484; III 114
Koźle III 205
Kraków I 9, 11—13, 20—22, 28, 30—32, 35—37, 39; II 5, 7; III 46, 47, 99, 105—109, 111, 112, 115, 120, 126, 132, 135, 137, 140, 164, 184, 188, 199, 201, 202, 205, 206, 210, 304
Kroszyn I 98; III 152, 153
Kroże I 47, 65
Królewiec I 74, 78, 79, 91, 92, 95
Krzemieniec III 135
Krzeszowice III 105, 205
Kufstein I 56, 178, 179
Kurszany I 73, 75, 78, 80, 82, 83, 85, 150

La Cabeza del Tigre II 108, 126
La Colorada (kopalnia) II 219
La Compania II 174, 361, 380, 381, 395
La Constanciada (kopalnia) II 219
La Cruz Alta II 126
Ladrillos (kopalnia) II 235
La Esperanza (kopalnia) II 219
Lagrange I 187, 189
La Higuera (kopalnia) II 175, 178
La Paz II 248, 355, 453, 550
La Plata II 102
La Poza (kopalnia) II 273
La Punta de la Balena II 141, 145
La Punta de las Vacas II 132, 133
La Serena zob. Coquimbo
La Valenciana (kopalnia) II 219
Las Amolanas II 240
Las Juntas II 240—242, 249, 250
Las Salines II 234
Latrun III 248, 249
La Union (San José de la Union) II 504, 505
Lebquetal II 484
Lebú II 463, 493
Leningrad I 54, 113; II 233; III 109, 113, 119, 121, 132—134, 147, 166, 196, 207, 227, 245, 248
Lida I 47, 55—60, 227, 228; II 176, 513, 554
Ligua II 141, 145, 272, 323, 324
Lima (Ciudad de los Reyes) II 104, 109, 125, 288, 295, 296, 298, 356, 435, 448, 548, 550; III 68, 69, 81
Lipawa (Libawa) I 74
Lipno I 110
Lipsk I 159; II 175; III 203
Lirquen II 415
Liverpool II 34

Lizbona II 17, 46, 47; III 95
Londyn I 15, 75, 88, 89, 113, 140, 145, 152, 159, 164, 205; II 9—11, 13, 15, 20, 34, 47, 75, 106, 146, 257, 297; III 140, 155, 164, 233
Longavi II 554
Lontué II 553
Los Angeles (Los Anjeles) II 451, 521
Los Arenillas (kopalnia) II 184
Los Hornos II 143, 145, 261
Los Molles II 171, 350
Los Peralles II 382, 384, 385, 389—391
Lota II 431, 493, 516, 524
Lubowla III 183
Lujan II 125
Luneville I 108, 109
Luxor I 119, 120
Lwów I 13, 151; III 107, 121, 202, 207—209
Lyon I 122; II 181

Łomża I 27, 227, 238, 239, 250
Łuków I 37, 84

Machali II 382, 384, 385
Madera I 15; II 17, 18, 25—28, 146
Madryt II 548
Magdeburg III 203, 204
Magellan II 501
Magliano I 145
Malbork I 95
Mała Niedźwiadka I 53
Manatiales II 126
Manchester II 34
Manto de Cobos (kopalnia) II 219
Manto de Mandiola (kopalnia) II 224—228; III 39—43, 48
Manto de Osa (kopalnia) II 219
Manto de Peralta (kopalnia) II 219
Manzanares II 392
Mariampol I 49
Marsylia (Marseille) I 208
Maybeneillo II 333
Mayenne I 174, 196
Maypó II 128
Maytenes II 402
Mączki III 126
Mediolan II 555
Mekka III 214, 222, 225, 236, 242
Meksyk II 286, 295; III 54
Memel zob. Kłajpeda
Mendoza II 99, 104, 105, 114, 118, 120, 123—125, 127—130, 140, 145, 146, 196, 310, 311
Merecz I 228
Mereczowszczyzna III 139
Metz nad Mozelą I 104
Miluza (Mulhouse) I 221; III 172
Mińsk Litewski III 147
Mińsk Mazowiecki III 140
Mir II 290; III 141—143, 145, 147
Modlin III 161
Modlnica III 110, 206
Molina II 553
Mołodeczno III 155
Monachium III 104
Mondaca (kopalnia) II 190
Montebello I 124
Montevideo I 15; II 34, 80—82, 84—87, 90, 94, 95, 146; III 87
Morros II 116, 126
Moskwa I 113, 176, 177, 204, 215, 219; II 150, 209, 362, 442; III 109, 133, 162
Mszonów III 153
Mulanuo II 242
Mulchen II 479
Mulsen I 90
Mysłowice III 205
Myto I 60

Nancy I 109, 186
Nantes II 406
Neapol I 140; II 555; III 179, 199, 200
Nerczynsk II 223
Niebel II 502
Niecieża I 203
Niedźwiadka I 24, 79; II 405; III 54, 64, 130, 140, 141, 143, 144, 146, 147, 157
Niegość I 62
Nieśwież III 130
Nikopoli III 249
Nikozja (Leukosia) III 236
Norcewicze III 156, 157
Norymberga I 99; III 51
Nowara I 151
Nowogródek I 226; II 513; III 115, 130, 147, 155
Nowy Jork I 216

Ochagavía II 289
Ocoa II 138
Ojo de Agua II 137

Olinda II 70, 77
Olkieniki I 60
Ołdowo zob. Hołdów
Ołomuniec I 187, 216
Oporto II 81
Oran I 216
Orenburg III 82
Orlean I 164; III 100
Orqueto II 107, 126
Osorno (dawniej Santa Marina de Gaete, San Mateo de Osorno) II 154, 411, 486, 499, 503, 505, 507, 513—515, 554
Ostrołęka I 27, 62, 65, 145, 151, 231
Ostrożany III 130
Ostrówki III 142
Oszmiana I 24, 47, 53, 57, 226; II 176, 228
Oświęcim III 205
Ovalle II 251, 256
Ozierany III 155

Paicavi II 465, 469, 486
Pajonales II 191
Palmaiquen (Pilmaiquen) II 426, 463
Palmira (Tedmur) III 221
Palos de la Frontena (Palos) III 98
Pano de Azucar II 78
Paposo II 233
Parral II 258
Paryż I 7, 8, 10, 12, 15, 20—22, 28, 29, 31, 33, 35, 38, 39, 44, 48, 56, 57, 61, 62, 65, 94, 99, 101, 104—106, 109, 110, 113, 115—121, 123, 125, 126, 131—133, 137, 138, 141, 142, 144, 146, 148—150, 152, 154, 157, 159—161, 164, 165, 169—174, 176, 178, 184—187, 189—191, 195, 196, 198, 203, 205, 206, 210—212, 214, 216, 220—222; II 5, 9, 14, 16, 31, 34, 38, 50, 56, 66, 74, 75, 92, 106, 110, 123, 146, 182, 215, 238, 241, 246, 261, 263, 283, 284, 288; 293, 298, 306, 325, 361, 442, 547, 548; III 8, 13, 16, 19, 22, 40, 43, 44, 54, 76, 79, 100—104, 115, 118, 126, 130, 132, 134, 137, 140, 155, 158, 161, 163—165, 167—169, 172—175, 179, 183, 187, 199, 202, 203, 208, 217, 219, 227, 230—232, 235, 283, 300, 302, 303
Pauillac III 98, 99
Pemuco II 545
Penco II 415—419, 429
Pera II 75
Pergamino II 106
Perm III 64
Pernambuco (Fernambuk) zob. Recife
Petersburg zob. Leningrad
Petorca II 261, 265, 267—270, 272; III 13
Peuco II 393, 395, 397, 399
Pichilangue II 323
Pilmayquen zob. Palmaiquen
Piława I 43, 91, 92
Pinta Cura II 142, 145
Pirca II 243, 309
Piza I 143
Plymouth II 15
Płock I 47
Poitiers I 161
Polillos (kopalnia) II 516
Połąga I 74, 80, 226
Połock II 292; III 130
Połoneczka II 290; III 145, 153
Pompei III 199, 200
Portesuelo II 138
Port-Famine (Port Głodu) III 85
Portici I 85
Porto Santo II 18, 46
Port Said I 21; III 301
Portsmouth I 208, 216
Poryck III 184
Potosi II 295, 453, 550
Potrero Grande II 236, 237, 240
Poznań I 56; III 206
Praga I 214; III 111
Praya Grande II 64, 65
Przemyśl III 207
Pueblo de los Indios II 232
Puente de Marqueza II 125
Puławy III 165
Pułtusk I 27
Punitaqui II 255
Punta Arenas (Magallanes) III 38, 85
Punta Ulpeadora II 242
Pupido II 265, 267
Puquios (kopalnia) II 387, 391, 406, 409
Puren II 457, 460, 462, 479, 486, 518
Purutun II 140, 141, 145
Puszkin III 196

Quebrada Negra II 141, 142, 145
Queule II 494, 517
Quiapo II 448, 462
Quilimari II 325
Quillaquen II 506
Quillota II 138, 139, 143, 145, 272, 321

Quinchilca II 505
Quintero II 322
Quito II 268

Radziwoniszki I 47, 55, 60
Ragnica I 61
Rajgród I 235, 239—241, 243
Ramleh (Rama) III 245—247, 300
Rancagua II 278, 359, 360, 362—364, 391, 554
Ranchillo II 380
Raperswil I 64
Rastenburg zob. Kętrzyn
Rawenna I 143
Recife II 37, 56, 75; III 94
Recoleta II 144
Rengo II 554
Represa II 127
Requinoa II 363
Rere II 420
Retamo II 122, 127
Rio Cuarto II 105, 111, 114, 126
Rio de Janeiro I 15, 16; II 34, 37, 53, 55, 61, 63—66, 70, 71, 73, 75, 76, 78, 80—82, 84, 85, 90, 91, 110, 146, 266, 318; III 88, 93, 212, 213
Rio Grande II 73, 75, 88
Rio Quinto II 116, 120, 127
Rio Saladillo II 109—111, 126
Rio Tambo II 114, 115, 120, 126
Rivadavia III 17
Rochester II 9
Rodeo del Medio II 123, 127
Rohatyn III 225
Rohotna zob. Rohatyn
Romero II 263, 264
Rosalin I 72
Rudniki I 47
Ruszczuk III 211
Ryga I 240; III 120
Rykonty I 65
Rzeszów III 207, 209
Rzym I 20, 21, 28, 32, 39, 43, 73, 99, 146, 168, 169; II 46, 74, 154, 298, 300, 301, 548; III 102, 106, 108, 161, 175, 177, 179—183, 188, 189, 191—202, 208, 210, 228, 230, 276, 295, 303, 305

Saczywki I 53, 98; III 148, 149, 152, 154, 159, 160, 161
Sadowa III 283
Saint-Etienne III 16, 164
Saint-Nicolas I 108
Salta II 249
Salzburg III 303
San Antonio (kopalnia) II 237
San Bartolo (kopalnia) II 235
San Bernardo III 81
San Carlos II 502
San Domingo III 133
San Felipe II 138, 321, 361
San Felipe de Aconcagua II 272, 276
San Fernando II 554
San Francisco III 29
San Francisco del Volcan (kopalnia) II 406, 409
San Gabriel II 405
San José II 310, 401, 516
San José de la Union zob. La Union
San Juan II 114, 118, 123, 181, 184, 196, 275
San Lorenzo (kopalnia) II 401, 405, 406; III 76
San Luis II 105, 112—114, 116, 119, 120, 122, 127, 509
San Mateo de Osorno zob. Osorno
San Pedro II 423, 424, 428
San Pedro Nolasco (kopalnia) II 310, 311, 313, 401, 406; III 14
Santa Barbara y Baraucas II 114
Santa Carlos II 551
Santa Cruz II 19, 27, 28, 64; III 95
Santa Fé (Argentyna) II 105
Santa Fé (Chile) II 454
Santa Fé de Bogota III 183
Santa Juana II 441
Santa Marina de Gaete zob. Osorno
Santa Rosa (prow. Aconcagua) II 138, 145, 272
Santa Rosa (prow. San Luis) II 121, 127, 128
Santa Rose del Guasco zob. Freyrina
Santiago de Chile I 5—7, 10, 14, 17, 19, 20, 24, 28—30, 32; II 111, 128, 162, 163, 167, 186, 206, 225—228, 230, 234, 251, 258, 261, 265, 267, 270, 278, 283, 286, 291—293, 296, 300, 301, 309, 314, 324, 332, 333, 354, 356, 359, 361, 372, 383, 391, 405, 409, 410, 415, 418, 421, 424, 432, 433, 443, 444, 448, 457, 458, 460, 488, 500, 515, 519, 543, 548, 551, 554, 555; III 7, 13, 15, 19, 25, 27, 29—33, 37, 40—42, 45, 52, 54—56,

60, 61, 63, 66, 68—70, 76, 80, 104, 115, 116, 121, 126, 128, 131, 134, 136, 137, 199, 202, 213,
Santos II 65
San Vicente de Atacama II 233, 235
São Paulo II 70
Saturno II 350
Sedan III 283
Sejny I 48, 64
Serock I 27
Siedlce III 140
Siloe III 267
Sitka (Nowoarchangielsk) II 316
Skierniewice III 118, 159, 161, 162
Skutari III 214, 233
Słonim I 53—55; III 154
Słuck I 226
Smorgonie I 86
Smyrna (Izmir) I 153; III 233, 235, 237
Soba (Sotheba) III 249
Sodoma III 290, 292
Sokal III 207
Sparta II 155
Spezia III 179, 180
Stambuł zob. Konstantynopol
Stankowo I 244, 252
Stoczek I 45, 47, 145, 152, 212
Stołowicze II 290; III 154
Strasburg I 48, 94, 99, 103—107
Suchowola I 36, 48
Suippes I 114, 116
Sukurcze I 59
Sylistria III 211
Szawle I 65, 71—73, 79
Szczawnica III 106
Szczuczyn (Litewski) I 25, 47, 103, 227; III 130, 174
Sztokholm II 273
Szulikale III 234
Szyrwinty III 136

Świsłocz I 55

Tacna II 356, 548
Talca II 291, 420, 552—554; III 31, 32
Talca de Barrasa (kopalnia) II 334
Talcahuano II 415—417, 428, 502, 516, 526, 546
Tamaya II 261
Tambito II 126
Tarbes I 62
Tarnów III 207
Telsze I 63, 74, 75
Temblores II 178
Temeszwer I 150
Teniente (kopalnia) II 406, 409
Tierra Amarilla (kopalnia) II 235
Tirna II 383, 464, 468, 470, 472—474, 479, 482, 486, 496, 522
Toledo II 168
Tollo II 310, 311, 313, 380, 400, 401, 404, 408
Tolten II 519
Tomaszowice III 110
Tomaszów I 145
Tomé II 415
Tomsk I 46; III 142
Tongoy II 181, 333, 334
Toruń III 162
Totoral (prow. Cordoba) II 126
Totoral (prow. Maule) II 191
Totoralillo (port) II 178
Totoralillo (prow. Coquimbo) II 333
Tours I 159, 178
Tres Cruces II 126
Tres Puntas (kopalnia) II 234
Treviso (łac. Tarvisium) III 254
Triest I 207, 208; III 301, 303
Troki I 62, 63
Tucapel (prow. Bio-Bio) II 449
Tucapel (Tucapel Nuevo, prow. Concepcion) II 433, 438, 444, 445, 449, 450, 453—457, 461, 465, 466, 469, 474, 488, 507, 520, 523, 524
Tucapel Viejo II 545
Tucamán II 249, 432
Tuluza I 197
Tuqui II 144
Turwia I 43
Turyn I 151; III 175
Tuta II 503, 516
Tylża I 103

Ufa III 135
Ugołość I 62
Uspallata II 128—130, 133, 145, 278
Użogość I 62

Valdivia II 224, 291, 411, 422, 433, 461, 468, 479, 486, 491, 496—501, 505, 507, 511, 515—517, 519
Valencia (kopalnia) II 228

Vallenar II 182, 183
Valparaiso II 138—140, 156, 167, 267, 268, 285, 286, 292, 314—316, 319—321, 328, 331, 354—356, 401, 409—411, 414, 501, 525, 555; III 15, 27, 29, 38, 45, 54, 55, 60, 64, 65, 80, 92
Villagalhaô II 64
Villarica II 462, 486, 499, 522
Villa Vicencia II 129, 130
Viterbo III 194
Volcan II 407

Walencja III 194
Warna III 211
Warszawa I 11, 13, 20, 24, 27, 31, 39, 45, 47, 50, 56, 62, 64, 74, 78, 85, 86, 88, 99, 104, 105, 140, 150, 151, 152, 157, 159, 175, 178, 181, 184, 185, 201, 202 (Praga), 204 (Wola), 207, 225, 230—232, 234—236, 242, 251; II 224, 442, 487; III 51, 115, 117—122, 124, 126—128, 130—132, 134, 135, 138, 142, 145, 156, 161, 174
Wasiliszki I 226
Waszyngton (Washington) III 54, 55, 59, 228
Wawer I 62, 65, 69, 212, 231, 236
Weichselmünde I 73
Wenecja I 118; II 414; III 254
Werenów (Woronów) I 58
Wersal I 110, 186
Wiatka zob. Kirow
Wiedeń I 113, 124, 151, 204; II 460; III 19, 54, 104, 105, 161, 209, 227, 230, 259, 303
Wieliczka III 206
Wielka Niedźwiadka I 53
Wiesbaden I 159
Wiesy I 248
Wieś Pasterzy III 274
Więzowice I 62
Wilno I 17, 24, 26, 35, 36, 43—48, 50, 52, 54, 55, 59, 60, 62, 63, 66—69, 72, 73, 92, 126, 191, 226, 227, 235; II 24, 124, 195, 208, 265, 491; III 9, 114, 121, 136, 145, 207, 245,
Wołogda I 73
Wrocław III 205
Würtemberg zob. Würzburg
Würzburg I 36, 111

Ximenes II 125

Yerba Buena II 175, 187
Yumbel II 420, 527, 546; III 20
Yunay II 296, 301, 368, 545, 549
Yungay II 105

Zalesie zob. Zapole
Zamość I 173, 202
Zanjon II 110, 125
Zapole I 11, 22, 24, 26, 27, 41, 43, 48, 52, 53, 57—60, 75, 79, 88, 108, 186, 227; II 303; III 131, 168
Zdzięcioł I 55; III 155—157
Zgorzelec III 205, 213
Zurych III 303
Zyburtowszczyzna I 13, 14, 20, 27, 28, 32, 33, 38, 53, 55, 100; III 154—156, 159, 174

Żołudek I 55
Żółkiew III 208
Żurowice (Żurowicze) I 112; II 336
Żyrmuny (Żermony) I 58—61

S P I S T R E Ś C I

TOM CZWARTY

CZTERDZIEŚCIE SZEŚĆ LAT MEGO ZAWODU NAUCZYCIELSKIEGO I NAUKOWEGO W CHILE

CZĘŚĆ PIERWSZA

Coquimbo 1838—1846

I. Coquimbo 1838—1846 7

CZĘŚĆ DRUGA

SANTIAGO. PRZEBIEG LAT OD 1846 DO 1884

I. Santiago 1846—1851 27
II. Santiago 1852—1862 52
III. Santiago 1862—1870 56
IV. Santiago 1870—1877 60
V. Trzecie i ostatnie dziesięciolecie mego urzędowania na rektorstwie 1877—1884 68

TOM PIĄTY

CZĘŚĆ PIERWSZA

POWRÓT Z CHILE DO EUROPY W 1884 ROKU

I. Wyjazd z Chile. — Żegluga. — Paryż 79
II. Kraków 103
III. Warszawa 115
IV. Dodatek. Wyjątki z gazet i dzienników 124
V. Na Litwie 137
VI. Jeszcze nie koniec 159

CZĘŚĆ DRUGA

RZYM. — JEROZOLIMA. — POWRÓT

I. Rzym 177
II. Z Rzymu do Jafy 200
III. Jafa. — Jeruzalem. — Jordan. — Powrót 236
IV. Dodatek z lat 1887 i 1888 304

Indeks osób 307
Indeks miejscowości 327
Wykaz ilustracji 337